

Sekundę za późno

One second after

William R. Forstchen

Przełożył

Kamil Maksymiuk-Salamoński



*Dla mojej córki, Meghan Marie Forstchen...
oraz dla tych, którzy ją chronią
i pozwalają dorastać w pokoju.
Oraz dla mojego ojca, Johna Josepha Forstchena,
który nauczył mnie, co jest naprawdę w życiu ważne.*

Spis treści

Spis treści.....	3
PRZEDMOWA.....	4
ROZDZIAŁ PIERWSZY.....	7
ROZDZIAŁ DRUGI.....	23
ROZDZIAŁ TRZECI.....	41
ROZDZIAŁ CZWARTY.....	80
ROZDZIAŁ PIĄTY.....	108
ROZDZIAŁ SZÓSTY.....	144
ROZDZIAŁ SIÓDMY.....	176
ROZDZIAŁ ÓSMY.....	209
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.....	243
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.....	284
ROZDZIAŁ JEDENASTY.....	311
ROZDZIAŁ DWUNASTY.....	325
POSŁOWIE.....	340
PODZIĘKOWANIA.....	344

PRZEDMOWA

napisana przez Newta Gingricha, byłego przewodniczącego
Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych

Niniejsza książka jest fikcją literacką, lecz jednocześnie dziełem opartym na faktach. Powiedzmy, że jest to powieść z gatunku „future history”, która powinna nas wszystkich skłonić do przemyśleń, a nawet zmrozić krew w żyłach i spędzić sen z powiek. Opierając się na wynikach prowadzonych przeze mnie przez kilka dziesięcioleci badań wiem, że ta konkretna broń, opisana przez Billa Forstchena w książce *Sekunda później*, stanowi rzeczywiste zagrożenie dla bezpieczeństwa Ameryki.

Od czasu zamachów z jedenastego września wiele uwagi poświęca się różnym niebezpieczeństwom czyhającym na Stany Zjednoczone... Wspomina się o kolejnych porwaniach samolotów pasażerskich, atakach przy użyciu broni biologicznej, chemicznej lub tzw. „brudnej bomby”, a nawet o zdetonowaniu bomby atomowej w samym sercu jednego z największych miast w naszym kraju.

Nieliczni jednak wiedzą i mówią o straszliwym, przerażającym realnym zagrożeniu jakie stanowi atak EMP, czyli atak przy użyciu broni wykorzystującej impuls elektromagnetyczny.

Mój przyjaciel, kapitan William Sanders z marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, jeden z czołowych amerykańskich ekspertów w tej dziedzinie, napisał posłowie do niniejszej książki, w którym - korzystając z jawnych dokumentów - bardziej szczegółowo tłumaczy działanie tego typu broni. Ja opiszę to w skrócie: kiedy bomba atomowa zostaje zdetonowana ponad atmosferą ziemską, może wywołać falę elektromagnetyczną, która - przemieszczając się z prędkością światła - spowoduje krótkie spięcie i uszkodzi każde urządzenie elektroniczne na ziemi w swoim zasięgu. Przypomina to uderzenie pioruna, który z wielką mocą uderza tuż obok waszego domu, przez co może spalić się wam komputer. Fala elektromagnetyczna jest jednak nieskończenie gorsza, ponieważ uderzy w cały nasz kraj, prawdopodobnie zupełnie zniemacka, bez ostrzeżenia, i będzie w stanie zniszczyć całą naszą sieć wysokiego napięcia oraz wszystko, co jest pod nią podpięte. To jest realne zagrożenie, nader realne zagrożenie, które od dawna napawa głębokim

niepokojem mnie oraz wiele innych osób.

Współpracuję z moim przyjacielem Billem Forstchenem od wielu lat, napisaliśmy wspólnie sześć powieści historycznych. Udało mi się go bardzo dobrze poznać. Uzyskał tytuł doktora historii na Purdue University, specjalizuje się w historii technologii wojskowej. Książka, którą państwo trzymają w rękach, nie jest wytworem jego wyobraźni. Przeciwnie, pomysł na nią narodził się kilka lat temu podczas jednej z moich rozmów z Billem, którą zwińczyło jego oświadczenie, że odczuwa potrzebę napisania powieści o tym zagrożeniu, aby za jej pomocą podnieść poziom świadomości opinii publicznej.

Jak już wcześniej wspomniałem, postrzegam *Sekundę później* jako przerażającą „przyszłą historię”, która może się ziścić. Tego typu książki mają długą tradycję i odgrywają znaczącą rolę. Spod pióra H.G. Wellsa wyszły przerażająco celne przepowiednie na temat wydarzeń, które historia później nazwała I i II wojną światową. Dwa wspaniałe klasyki z epoki zimnej wojny, powieść *Alas, Babylon* oraz film *Testament*, dały nam głęboko poruszający obraz losu zwykłych obywateli w przypadku wybuchu wojny pomiędzy Ameryką a sowietami. Bill zresztą otwarcie przyznaje, że oba wspomniane dzieła były dla niego wzorem przy pisaniu własnej książki. Osobiście śmiem porównywać również *Sekundę później* do prawdopodobnie najstynniejszej książki nurtu „future history”, czyli *1984* George’a Orwella. Gdybyśmy po zakończeniu II wojny światowej pozwolili przeżartym złem reżimom totalitarnym wyrosnąć na gruzach Europy, ta wersja naszej przyszłości mogłaby stać się rzeczywistością. Orwell swym dziełem podniósł naszą świadomość, która być może uratowała nas przed Wielkim Bratem i Policją Myśli.

Chciałbym, aby powieść Billa przyniosła taki sam skutek. Nieliczni członkowie naszego rządu oraz przedstawiciele sektora publicznego chcą otwarcie zmierzyć się z zagrożeniem, które stanowi znajdujący się w rękach wroga ładunek nuklearny skonstruowany tak, by wywołać potężną falę elektromagnetyczną. To wydarzenie w mgnieniu oka zniszczyłoby nasze złożone, delikatne społeczeństwo *high-tech* i skazało nas na egzystencję rodem ze średniowiecza. Już w pierwszym tygodniu umarłyby miliony ludzi, być może nawet niektórzy z was - ci, którzy potrzebują dostępu do określonych leków, nie wspominając o tak podstawowych rzeczach jak pożywienie oraz czysta woda.

Miejsca, które opisuje Bill istnieją naprawdę. Na kartach powieści znalazło się miasteczko, w którym mieszka, i uczelnia, w której wykłada. Pamiętam rozmowy, które prowadziliśmy, kiedy pracował nad tą książką. Wielokrotnie był do głębi poruszony informacjami, do których dotarł, oraz odkryciami, których dokonał. Następnie usiłował to wszystko przekuć w historię, którą mógłby przeczytać każdy człowiek. Zdradził mi, że

najbardziej dręczyła go jedna rzecz - nie mógł przestać wyobrażać sobie, że jego nastoletnia córka nagle znalazła się w tej koszmarnej, opisywanej przez niego rzeczywistości. Podczas lektury znajdują państwo odbicie tych lęków na kartach książki. Mnie również poruszyło to do głębi, ponieważ mam dwoje wnuków. Bill usiłuje uchronić swą córkę przed tak straszliwym losem, tak samo jak ja chcę uchronić swoje wnuki - pragnę dać im Amerykę, która jest wolna od takich zagrożeń.

Zagrożenie jest bowiem prawdziwe, a my, jako obywatele Ameryki, musimy stanąć z nim twarzą w twarz. Musimy się dobrze przygotować oraz wiedzieć, jak zapobiec tej katastrofie. Ponieważ jeśli tego nie zrobimy, sekundę później Ameryka, którą znamy, wielbimy i kochamy, zniknie raz na zawsze.

„To nie jest kwestia tego, czy to się stanie, tylko *kiedy* to się stanie”

Eugene Habiger, emerytowany generał Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych

Były naczelny dowódca sił zbrojnych,

Dowództwo Strategiczne USA

Maj 2002*

* Bill Kelner, *Nuclear Nightmares*, New York Times Magazine, 26 maja 2002. Wywiad z emerytowanym generałem sił powietrznych USA, Eugenem Habigerem, na temat różnych scenariuszy ataków terrorystycznych z użyciem broni atomowej.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Teraz stałem się Śmiercią,
niszczycielem światów.*

Black Mountain, Karolina Północna

14:30 EDT (wschodnioamerykańskiego czasu letniego)

John Matherson podniósł z lady plastikową torebkę.

- Jesteś pewna, że dałaś mi te dobre? - zapytał.

Nancy, właścicielka sklepu Ivy Corner, uśmiechnęła się.

- Bez obaw, John, sama je wybrała kilka tygodni temu. Uściskaj ją ode mnie i ucałuj.

Aż trudno uwierzyć, że kończy dzisiaj już dwanaście lat!

John westchnął i pokiwał głową, spoglądając na torbę wypełnioną tuzinem pluszaków Beanie Babies - po jednym na każdy rok życia jego córki Jennifer, która przysłała na świat w tym właśnie dniu, dwanaście lat temu.

- Mam nadzieję, że jeszcze długo będzie chciała dostawać maskotki - powiedział. - Boże uchowaj mnie przed dniem, kiedy pod drzwiami mojego domu pojawi się pierwszy chłopak, który będzie chciał ją zabrać na randkę.

Oboje roześmiali się głośno, a Nancy pokiwała głową ze zrozumieniem. Druga córka Johna, szesnastoletnia Elizabeth, właśnie zaczęła umawiać się na randki. Być może właśnie dlatego, jak i z wielu innych podwodów, marzył, by móc choć o kilka dni, tygodni lub miesięcy móc przedłużyć ten cudowny okres, który wszyscy ojcowie wspominają później z rozrzewnieniem jako czas, gdy mieli swoje „małe dziewczynki” tylko dla siebie.

Był piękny, wiosenny dzień. John szedł ulicą obsadzoną kwitnącymi teraz wiśniami, których delikatne płatki wirowały na wietrze niczym różowy deszcz. Minął gabinet doktora Kellora, sklep z antykami, nową, nieco gotycką z wyglądu galerię sztuki, która została otwarta w ubiegłym miesiącu, butik z pamiątkami, a nawet lodziarnię urządzoną w starym stylu (półtora dolara za jedną gałkę). Dalej znajdował się antykwariat Bensona z używanymi i rzadkimi książkami. John zawahał się, czy nie wstąpić tam na kilka minut. Wyciągnął telefon komórkowy, by sprawdzić czas.

Czternasta trzydzieści. Autobus córki przyjeżdża o piętnastej, więc dzisiaj nie ma czasu zahaczyć o antykwariat, napić się kawy, pogadać o książkach i historii. Walt Benson dostrzegł jednak Johna, uniósł do góry kubek, zapraszając go do środka. John pokręcił głową i pokazał palcem swój nadgarstek, mimo że od dawna nie nosił już na nim zegarka, i poszedł dalej. Tuż za rogiem, przed sklepem wielobranżowym Taylora, stał zaparkowany jego mitsubishi eclipse, wersja SUV.

John zatrzymał się, odwrócił i omiół spojrzeniem ulicę.

Zupełnie jakbym mieszkał w jednym z tych cholernych obrazów Normana Rockwella, pomyślał po raz tysięczny.

Jak wylądował w tym miejscu? Nigdy o tym nie marzył, nigdy tego nie planował ani nawet nie chciał. Osiem lat temu pracował na uczelni wojskowej Army War College w Carlisle w stanie Pensylwania, gdzie wykładał historię wojskowości i prowadził zajęcia z taktyki wojny oraz wojny asymetrycznej. I czekał, aż dostanie swoją pierwszą generalską gwiazdkę.

A potem miały miejsca dwa wydarzenia. Najpierw go awansowano i zaproponowano posadę w Brukseli jako łącznika z NATO. To była ciepła posadka, choć jego kariera utknęłaby w martwym punkcie. Kilka dni później Mary przyszła do domu po wizycie u lekarza blada jak ściana, z mocno zaciśniętymi ustami. Powiedziała tylko trzy słowa: „Mam raka piersi”.

Zarządzający College'em Bob Wright, stary przyjaciel Mathersonów i ojciec chrzestny Jennifer ze zrozumieniem odniósł się do jego prośby. John chciał przyjąć awans, ale zastanawiał się, czy zamiast do Brukseli nie można by go przenieść do Pentagonu? Mieliby wtedy blisko do Mayo Clinic i rodziny Mary.

Lecz ten plan nie wypalił. Akurat wtedy w wojsku cięto koszty. Przełożeni okazywali mu współczucie, lecz jeśli chciał zostać generałem, musiał wziąć Brukselę; może za rok znaleźliby dla niego miejsce z powrotem w Stanach.

Po rozmowie z lekarzem Mary złożył rezygnację. Postanowił zabrać żonę do domu w Black Mountain w Karolinie Północnej, bo tego właśnie chciała.

Kiedy John zaczął przebąkiwać o przeprowadzce do Black Mountain, okazało się, że Bob ma tam kogoś znajomego. Wystarczył jeden telefon. Sieć starych kumpli, oldbojów, mimo że krytykowana jako politycznie niepoprawna, miała się całkiem dobrze, i czasem się naprawdę przydawała. W rzeczy samej, dyrektor Montross College w rodzinnym mieście Mary, nagle doszedł do wniosku, że koniecznie potrzebuje dyrektora do spraw rozwoju. John nienawidził papierkowej roboty, ale zacisnął zęby, a cztery lata temu doczekał się nagrody:

gdy zwolnił się etat wykładowcy historii, dostał tę posadę.

Dyrektor uczelni, Dan Hunt, zawdzięczał życie Bobowi Wrightowi, który w 1968 roku wyciągnął go z pola minowego. Dan stracił wówczas nogę, a Bob dostał kolejną Brązową Gwiazdę za odwagę, którą wykazał, spiesząc mu na ratunek. Od tej pory byli prawdziwymi przyjaciółmi. Troszczyli się o siebie i o tych, na których im zależało.

Tak więc Mary mogła wrócić do domu po dwudziestu latach wędrówki. Towarzyszyła mu w Fort Benning, skąd skierowano go do Niemiec i Okinawy, a później umierała z nerwów podczas Pustynnej Burzy. Dalej był Pentagon, a potem cudowny rok w West Point i trzy jeszcze wspanialsze lata, kiedy jej mąż nauczał w Carlisle. W głębi serca John był właśnie tym - nauczycielem historii. Być może więc ten bydlak w dziale kadr w Pentagonie, który odrzucił jego prośbę, by mógł zostać w kraju, mimo wszystko oddał mu przysługę.

Gdy w 1998 roku umierająca Mary zapragnęła wrócić do domu w Black Mountain w Karolinie Północnej, John nie wahał się ani sekundy. Zrezygnował z patentu oficerskiego i awansu i przeniósł się w ten górski zakątek stanu.

Zatopiony we wspomnieniach odwrócił się i omiótł wzrokiem Main Street; czas na chwilę przestał płynąć. W przyszłym tygodniu minie czwarta rocznica śmierci Mary. Pamiętał, kiedy ostatni raz wyszli z domu na świeże powietrze. Był to powolny, męczący spacer tą właśnie ulicą. Tą samą, po której biegła jako mała dziewczynka.

To naprawdę było miasto jakby żywcem wyjęte z płótna Normana Rockwella. Wszyscy mieszkańcy znali Mary i wiedzieli, co się z nią dzieje. Tamtego dnia, podczas ich ostatniej wspólnej przechadzki, podchodzili do niej, by się przywitać, uścisnąć ją i ucałować. Wiedzieli, że to pożegnanie, lecz nikt nie mówił tego głośno. Były to gesty miłości, których John nigdy nie zapomni.

Nagle otrząsnął się, odpędził wspomnienia. To wszystko było jeszcze dla niego zbyt świeże, a za dwadzieścia minut przyjedzie autobus Jennifer.

Wsiadł do samochodu, zapalił silnik i ruszył na wschód. Uwielbiał tę trasę. Pełno tu było różnego rodzaju sklepów i sklepików, a uliczka wiła się wśród budynków z czerwonej cegły, które pochodziły z przełomu poprzednich wieków.

Black Mountain było niegdyś prężnie rozwijającym się miasteczkiem dzięki tutejszym sanatoriom leczącym gruźlicę. Kiedy na początku lat osiemdziesiątych XIX wieku tory kolejowe przebiły się wreszcie przez góry zachodniej części Karoliny Północnej, pierwszymi, którzy zdecydowali się zapuścić w te okolice, byli chorzy na gruźlicę. Zjeżdżało się tu ich tysiące. Zatrzymywali się w sanatoriach, które na tutejszych nasłonecznionych zboczach wyrastały jak grzyby po deszczu. Na początku lat dwudziestych ubiegłego stulecia w samych

tylko okolicach Asheville, dużego miasta położonego kilkanaście mil na zachód od Black Mountain, było przynajmniej tuzin tego typu instytucji.

A potem nadeszły czasy Wielkiego Kryzysu i Black Mountain jakby zastygło w czasie. Kiedy zaś tuż po wojnie zaczęły pojawiać się antybiotyki, sanatoria zwyczajnie opustoszały. Wszystkie te wspaniałe budynki, które w innych miastach zostałyby zrównane z ziemią, by na ich miejscu powstały większe i mniejsze centra handlowe, tu pozostały nietknięte; postęp ominął je szerokim łukiem.

Organizowano w nich obozy letnie dla dzieci lub wykorzystywano je jako centra konferencyjne różnych kościołów. College, w którym pracował John, również zagospodarował jedno z takich miejsc w okolicy, którą wszyscy nazywali Niedźwiedzim Stokiem. Szkoła była raczej mała - uczęszczało do niej sześciuset uczniów, większość z nich pochodziła z prowincjonalnych miasteczek z terenu obu Karolin, choć byli także studenci z Atlanty czy Florydy. Niektórych z nich przerażało to odcięcie od świata, lecz większość niechętnie przyznawała, że bardzo im się tutaj podoba, a campus to piękne i bezpieczne miejsce. W pobliżu biegł stary trakt wycinki drzew prowadzący prosto do szczytu Mount Mitchell, nieopodal przepływała rwąca rzeka, idealna do spływów kajakowych, a otaczające college lasy dawały schronienie imprezowiczom, którym nie w smak były surowe zasady obowiązujące na terenie uczelni.

Black Mountain obudziło się z letargu na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, lecz co najlepsze, urokliwy starodawny wygląd miasta został zachowany. Latem i jesienią jego ulice zalewały fale turystów i wycieczkowiczów przybywających z północy, z Charlotte lub Winston Salem, którzy pragnęli uciec przed spiekotą panującą na nizinach. Do tego dochodziły rzesze letników zatrzymujących się w domkach na Niedźwiedzim Stoku, przy czym niektórym z tych domów w rzeczywistości bliżej było do rezydencji, zwłaszcza że ich właścicielami były bogate rodziny pochodzące z południa kraju.

Taka właśnie była rodzina Mary, od pokoleń zamieszkująca południowe Stany i od pokoleń gromadząca fortunę. „Me-ma” Jennie, matka Mary, po której imię dostała Jennifer, nadal kurczowo trzymała się swego domu na Niedźwiedzim Stoku, nie chcąc nawet słyszeć o przeprowadzce, mimo że „Papa” Tyler przebywał już teraz w pobliskim domu opieki ze zdiagnozowanym końcowym stadium raka.

John jechał dalej na wschód. Z lewej strony słyszał ryk silników na autostradzie międzystanowej numer 40 dobiegający do jego uszu przez przełęcz Swannanoa. Wiekowi autochtoni po dziś dzień wyrażali swoją nienawiść wobec tej „cholery ulicy”. Zanim położono tę wielopasmową jezdnię, Black Mountain nadal było po prostu senną wioską na

południu. Wraz z autostradą pojawili się developerzy, ruch uliczny oraz zalew weekendowych turystów, których kochała chyba tylko Izba Handlowa, a wszyscy inni z trudem tolerowali.

Trzymając się starej drogi, równoległej do autostrady międzystanowej, przejechał jeszcze niecałą milę poza miasto, po czym skręcił w prawo na drogę gruntową, która wiła się wzwyż po zboczu wzgórza górującego nad miastem. Jak w tym starym dowcipie: Po czym poznać, że ktoś wskazuje ci drogę do domu w górach? Po słowach „a potem skręć na drogę gruntową”.

John dzieciństwo spędził w New Jersey, dlatego nadal frajdę sprawiała mu świadomość, że mieszka na Południu, na zboczu góry, w pół drogi na szczyt, a widok z jego okna wart jest milion dolców.

Dom, który kupił wraz z Mary, był jednym z pierwszych nowo powstałych w tej okolicy. W całym hrabstwie nie istniało coś takiego jak plan zagospodarowania przestrzennego, dlatego na niższej części góry stało kilka przyczep kempingowych, stara szopa zamieszkała przez Connie Yarborough, wspaniałą sąsiadkę, która nadal dawała sobie radę bez elektryczności i bieżącej wody i ekscentryczny warsztat samochodowy, gdzie naprawiało się volkswageny. Parking zagracony był tuzinami zardzewiałych garbusów, furgonetek, a nawet kilkoma bezcennymi autobusami marki Volkswagen i samochodami sportowymi karmann ghia. Jego właściciel, stary hippis Jim Bartlett, nadal ciepło wspominał lata sześćdziesiąte.

Dom Johna i Mary, który ochrzczili imieniem Rivendell (wynik wspólnej miłości do dzieł Tolkiena), czarował panoramicznym, zapierającym dech w piersi widokiem na dolinę. W oddali widać było zabudowania Asheville obramowane górami Smoky Mountains. Dom stał frontem na zachód, aby Mary mogła oglądać zachody słońca.

Kiedy dzwonili dawni przyjaciele z Carlisle nawet nie próbował opisywać im tego widoku. Zamiast tego namawiał ich, by obejrzeni film *Ostatni Mohikanin*, który został nakręcony w miejscu oddalonym o pół godziny drogi od ich domu.

Sam budynek był stosunkowo nowoczesny: miał wysoki sufit, a ściana zachodnia, obejmująca sypialnię, salon oraz jadalnię, była cała przeszklona. Łóżko Mary zostało ustawione naprzeciwko szklanej ściany, tak jak sobie zażyczyła. Chciała oglądać świat na zewnątrz, gdy stopniowo ulatywało z niej życie... a John zatrzymał się przed domem. Dwa „przygłupy”, Ginger i Zach, psy rasy golden retriever, piękne, lecz głupie jak but, wygrzewały się na tarasie. Nagle zerwały się i zaczęły szczekać jak opętane, jakby John był włamywaczem. Gdyby nim jednak rzeczywiście był, oba psy zrejterowałyby z podkulonymi ogonami do pokoju Jennifer, po drodze zapaskudzając dywan.

Po chwili przebiegły przez sypialnię i wyskoczyły na zewnątrz przez wejściowe drzwi siatkowe, a raczej przez dziurę w ich dolnej partii. Wymiana drzwi nic by nie dała; po paru dniach psy znowu by je przebiły. John już kilka lat temu poddał się i zaprzestał tej bezsensownej walki.

Odzwyczyił się też od zamykania drzwi. Takie było Black Mountain. Obcym mogło się to wydawać dziwne, ale tutejsi ludzie rzadko zamykali drzwi swoich domów i z reguły zostawiali kluczyki w stacyjkach samochodów, a dzieci bawiły się wieczorami na ulicach. W miasteczku urządzano parady z okazji czwartego lipca, świąt Bożego Narodzenia oraz nedorzecznego Festiwalu Szyszki, w ramach którego odbywały się też wybory Miss Szyszki. We wczesnym okresie narzeczeństwa Papa Tyler absolutnie skompromitował swoją córkę przed Johnem, kiedy z dumą pokazał mu jej zdjęcie: Miss Szyszki roku 1974. A jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, po Black Mountain w letnie wieczory nadal krążył samochód, z którego sprzedawano lody... Johnowi, wychowanemu w Newark w stanie New Jersey, to wszystko wydawało się jak z innej planety.

Na podjeździe zaparkowany był samochód. Ford edsel rocznik 1959 o nieco oryginalnej stylistyce, który należał do matki Mary, Jennie. To właśnie na autach tej marki rodzina Mary zbiła fortunę - byli właścicielami sieci salonów samochodowych rozrzuconych na terenie Karoliny Północnej i Południowej, jeszcze za czasów samego Henry'ego Forda. W ich domu wisiało nawet oprawione zdjęcie przedstawiające pradziadka Mary oraz Henry'ego Forda, zrobione na gali z okazji otwarcia salonu w Charlotte przed wybuchem I wojny światowej.

W sferach, w których obracała się rodzina Mary, zajmowanie się biznesem przez kobiety nie było uznawane za rzecz w dobrym tonie, więc Jennie odgrywała rolę dystyngowanej damy z Południa. John jednak wiedział, że swego czasu była obrotną i sprytną bizneswoman, dorównującą w tym względzie swojemu mężowi.

Zaparkował swoje auto tuż obok forda, a Jennie odłożyła książkę, którą czytała.

- Cześć, Jen.

Pałała nienawiścią do określeń typu mama, matka, mamuśka oraz najgorszego z najgorszych - „Me-ma” lub babcia, szczególnie z ust swego jankeskiego zięcia, który z całą pewnością nie był mężem, jakiego w swoich marzeniach widziała u boku jedynej córki. Z czasem jednak niechęć Jennie osłabła, szczególnie pod koniec, kiedy John przywiózł jej do domu córkę i wnuczki.

Oboje wysiedli z samochodów. Teściowa wystawiła policzek do pocałunku; miała niespełna sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. John, ze swoimi stu osiemdziesięcioma,

zdecydowanie nad nią górował. Lekko dotknęła jego ramienia i uściskała go w afektowany sposób.

- A już myślałam, że nie dotrzesz na czas. Lada chwila przyjedzie.

Jen jeszcze nie uderzyła w wysokie tony, ani w stylu à la „starsza dama”. John zastanawiał się, czy teściowa nie trenuje swojego głosu co noc przed lustrem, aby nie utracić tej wspaniałej, dziewczęcej, melodyjnej intonacji zabarwionej południowym akcentem. A on nie mógł tego słuchać obojętnie. Tak samo mówiła Mary, kiedy pierwszy raz spotkali się w Duke, dwadzieścia osiem lat temu. Gdy czasami słyszał, jak Jen woła dziewczynki z sąsiedniego pokoju, jego oczy zachodziły łzami.

- Mamy czas. Dlaczego nie poczekałaś wewnątrz?

- W towarzystwie tych dwóch kundli? Skoczyłyby na mnie i zniszczyły mi rajstopy.

Ginger i Zach obskakiwały Johna... ale do Jen nawet nie próbowały się zbliżyć. Pomimo niskiej inteligencji, psy potrafiły wyczuć, że ktoś ich nie lubi i że to się nie zmieni bez względu na to, jak bardzo będą się starały.

Wyłowiwszy z wozu torebkę z pluszakami, podszedł do kamiennej ściany biegnącej wzdłuż ścieżki prowadzącej do domu i zaczął je wyciągać, ustawiając jeden za drugim, w równym rzędzie.

- John, czy nie sądzisz, że ona raczej już z tego wyrosła?

- Moja mała córeczka? Nie, jeszcze nie.

Starsza pani zaśmiała się lekko.

- Nie da się w nieskończoność zatrzymywać czasu.

- Ale nie zaszkodzi spróbować, prawda? - odparł, uśmiechając się radośnie.

Uśmiech, którym mu odpowiedziała, nie był aż tak wesoły.

- Jak myślisz, co ja i Tyler pomyśleliśmy o tobie, kiedy pierwszy raz przyszedłeś do naszego domu?

John z uczuciem dotknął jej policzka.

- Od razu zakochaliście się we mnie.

- W tobie? W jakimś Jankesie? Niech mnie diabli! Tyler naprawdę zastanawiał się, czy nie wyciągnąć strzelby i nie spróbować cię przepędzić. A tamtego dnia, kiedy zostałeś u nas na noc...

Minęło tak wiele lat, a on nadal czerwił się na wspomnienie wydarzeń tamtego wieczoru. Jen przyłapała jego i Mary w niedwuznaczej sytuacji. Miało to miejsce w pokoju dziennym, na sofie, o drugiej w nocy. Nie była to jakaś nazbyt szokująca scena, lecz mimo to najadł się wtedy niemal wstydu. Jen ze swojej strony nigdy nie pozwoliła mu o tym

zapomnieć.

Ustawił wszystkie pluszaki, zrobił krok w tył i omiół je wzrokiem niczym sierżant lustrujący nowych rekrutów. Ten miś, czerwono-biało-niebieski, czyli patriotyczny, stojący po prawej stronie, powinien stać w środku, pomyślał, jak żołnierz niosący flagę.

Usłyszał warkot silnika oraz zgrzyt towarzyszący zmianie biegów; autobus szkolny skręcał właśnie ze starej Route 70 i wjeżdżał na zbocze góry.

- Zaraz tu będzie! - ekscytowała się Jen.

Przez otwarte okno swojego forda wyjęła płaskie, elegancko zapakowane pudełeczko, przyozdobione nienaganną kokardką.

- Biżuteria? - zapytał.

- Ależ naturalnie! Kończy przecież dwanaście lat. Każda szanująca się młoda dama powinna w tym wieku mieć już złoty naszyjnik. Tak jak jej matka.

- Tak, pamiętam naszyjnik Mary - skomentował z uśmiechem. - Miała go na sobie tamtej pamiętnej nocy, którą przed chwilą przywołałaś. I liczyła sobie już wtedy dwadzieścia lat...

- Grubianin! - rzuciła Jen łagodnym tonem i uderzyła go leciutko w ramię. John udał żartobliwie, że cios bardzo go zabolął.

Ginger i Zach przestały skakać wokół Johna. Zadarły łebki, nadsluchując odgłosów zbliżającego się autobusu, a potem pisku hamulców, kiedy zatrzymał się na dole podjazdu. Jego żółty kolor ledwie przebijał się przez wiosenne, kwitnące drzewa.

Psy rzuciły się w jego stronę, szczekając wniebogłosy. Sekundę później rozbrzmiał śmiech jego córki i dwojga dzieci ich sąsiadów - o rok starszej od Jennifer Patricii i jej brata Seta, który chodził już do jedenastej klasy.

Dziewczynki biegly przez podjazd, a Seth rzucił patykiem, który na moment przykuł uwagę psów. Po chwili jednak zwierzaki znowu biegly za dziewczynkami. Seth pomachał z oddali i przeszedł przez ulicę w stronę swojego domu.

John poczuł dłoń wślizgującą się w jego uścisk. To była dłoń Jen.

- Zupełnie jak jej matka... - wyszeptała zdławionym głosem.

Tak, Jennifer bardzo przypominała mu Mary - była smukła, a właściwie chuda jak patyk, miała blond włosy do ramion związane z tyłu i nadal wydawała się nieco nieporadną małą dziewczynką. Teraz nieco zwolniła, oparła się ręką o drzewo, jakby próbując złapać oddech i zebrać siły... Patricia odwróciła się i czekała na nią. John spojrział na córkę z niepokojem. Chciał do niej podejść i jej pomóc, ale wiedział, że nie należy tego zrobić. Zresztą Jen nie pozwoliła mu zrobić ani kroku.

- Jesteś nadopiekuńczy - powiedziała szeptem. - Sama musi dać sobie radę.

Jennifer złapała oddech, uniosła głowę. Była odrobinę blada. Gdy zobaczyła tatę i babcię czekających na nią, jej twarz rozświetlił szeroki uśmiech.

- Me-ma! Przyjechałaś dziś swoim starym fordem edselem. Wybierzemy się na przejażdżkę?

Jen zdjęła dłoń z biodra i nachyliła się lekko, kiedy Jennifer podbiegła i wpadła w jej ramiona.

- Jak się miewa moja jubilatka?

Uścisnęły się mocno, babcia obsypała wnuczkę pocałunkami. Było ich dokładnie dwanaście - odliczyła je starannie. Pat spojrzała na ustawione w rzędzie pluszaki, uśmiechnęła się do Johna.

- Dzień dobry, panie Matherson.

- Jak się masz, Pat?

- Jennifer powinna się przebadać - szepnęła.

- Za chwilę.

- Tatusiu! - zawołała Jennifer, rzucając się mu w objęcia. John podniósł ją do góry i uściskał z całych sił. Dziewczynka zaśmiała się, a potem mruknęła: - Uważaj, bo złamiesz mi kręgosłup!

Odstawił ją na ziemię, nie spuszczać z niej wzroku i czekając, aż zauważy pluszaki Beanie Babies ustawione w rzędzie na murku... Nie mylił się: w jej oczach nadal był ten dziecienny błysk.

- Miś Patriota! I Struś Ollie!

Gdy Jennifer zaczęła zbierać maskotki, John posłał Jen triumfalny uśmiech, jakby chciał powiedzieć: „A widzisz, to wciąż moja mała córeczka!”.

Jen, podejmując rękawicę rzuconą przez Johna, podeszła do Jennifer i wręczyła jej płaskie pudełeczko.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie.

Dziewczynka zerwała ozdobny papier, a Ginger, najwyraźniej uznając, że to prezent dla niej, złapała go w zęby i uciekła. W ślad za nią pogalopował Zach.

Gdy Jennifer otworzyła pudełeczko, jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Och, Me-ma!

- Najwyższa pora, żeby moja dziewczynka miała prawdziwy złoty naszyjnik. Może twoja koleżanka pomoże ci go założyć?

John spojrział na podarunek. Boże, pomyślał, to musiało kosztować fortunę! Naszyjnik

był ciężki, miał niemal grubość ołówka. Jen kątem oka rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Jesteś teraz młodą damą - oświadczyła, a kiedy Pat zapięła naszyjnik na szyi Jennifer, wyłowiła z torebki małe lustreczko i uniosła je w górę, aby dziewczynka mogła się w nim przejrzeć.

- Och, babciu... jest przeuroczy!

- Przeuroczy prezent dla przeuroczej damy.

John stał z boku, nie odzywając się ani słowem. Nie wiedział, co powiedzieć. Obserwował, jak jego córka przegląda się w lusterku, podziwiając biżuterię, leciutko unosząc brodę. Robiła to tak, jak dorosła kobieta.

- Słonko, powinnaś chyba sprawdzić poziom cukru we krwi. Wyglądałaś na nieco zmęczoną, kiedy biegłaś tu pod górkę - odezwał się ciężkim głosem, celowo psując tę uroczystą chwilę.

- Dobrze, tatusiu.

Jennifer oparła się o ścianę, zdjęła plecak i wyjęła urządzenie do kontrolowania poziomu cukru we krwi. To był jeden z tych nowych, cyfrowych modeli. Nie trzeba już było przekłuwać palca do krwi, wystarczyło szybkie ukłucie w ramię. Dziewczynka wolną ręką bezwiednie dotykała naszyjnika, czekając na wynik badania.

- Sto czterdzieści dwa... Odrobinę za dużo.

- Powinnaś wziąć trochę insuliny - poradził John.

Córka przytaknęła.

Żyła z tą dolegliwością już od dziesięciu lat. John wiedział, że to właśnie z tego powodu jest nadopiekuńczym rodzicem. Kiedy Jennifer miała dwa, trzy latka, serce mu się krajało za każdym razem, gdy musiał nakłuwać jej palec. Już na sam widok jego lub Mary, zbliżających się z zestawem do testów, mała zanosila się od płaczu.

Wszyscy lekarze twierdzili, że dziewczynka musi jak najprędzej nauczyć się badać samą siebie i że rodzice powinni pozwolić jej na samodzielność już w wieku siedmiu czy ośmiu lat. Powinna umieć sprawdzać poziom cukru we krwi i aplikować sobie lekarstwa. Mary znacznie lepiej niż John dała sobie radę z tą sytuacją, być może dlatego, że sama pod koniec życia zmagala się z chorobą. Jen, o równie silnym jak córka charakterze, miała podobne podejście do choroby wnuczki.

To dziwne, pomyślał John. Oto on, żołnierz z dwudziestoletnim stażem. Widział na własne oczy trochę wojny (co prawda jedynymi ofiarami byli wtedy Irakijczycy, a nie jego ludzie), uczył żołnierzy, jak radzić sobie z trudnościami, lecz kiedy chodziło o cukrzycę jego córki (ta cholerna, najbardziej agresywna jej postać, cukrzyca typu 1), zawsze zżerały go

nerwy. Był twardym facetem, doskonałym w tym, co robił, cieszącym się szacunkiem wśród żołnierzy, lecz kiedy chodziło o obie jego córki, okazywał się kompletnym mięczakiem.

- W domu czekają kolejne prezenty - poinformował z uśmiechem. - Wejdźcie do środka. Kiedy wróci twoja siostra i przyjdą twoi przyjaciele, zaczniemy imprezę.

- Tato, nie odebrałeś wiadomości od Elizabeth?

- Jakiej wiadomości?

- Masz, przeczytaj, głuptasie.

Jennifer sięgnęła do kieszeni ojca po telefon komórkowy, wciśnięty obok paczki papierosów. Zaczęła wyciągać papierosy, najwyraźniej odczuwając pokusę, by je podeptać albo porwać na strzępy, lecz zatrzymała się, widząc jego wzrok.

- Któregoś dnia, tato, jeszcze zobaczysz... - westchnęła. Wzięła do ręki telefon, wcisnęła kilka klawiszy i podsunęła go ojcu pod nos.

Na ekranie wyświetliła się wiadomość: „Wrócę późno. Jestem z Benem”.

- Wysłała ci i mnie SMS-a podczas lunchu.

- SMS-a?

- Tak, tato, SMS-a, czyli wiadomość tekstową. W dzisiejszych czasach wszyscy wysyłają SMS-y.

- A co jest nie tak z normalną rozmową telefoniczną?

Popatrzyła na niego, jakby był przedpotopowym okazem człowieka, a potem weszła do domu.

- Elizabeth przysłała wiadomość? - zapytała Jen.

John pokazał jej tekst na ekranie telefonu.

Jen uśmiechnęła się kącikiem ust.

- Lepiej miej baczne oko na Elizabeth - poradziła. - Jeśli w żyłach tego chłopaka płynie choćby odrobina krwi jego dziadka... - Zachichotała, jakby przypomniało jej się coś wyjątkowo zabawnego.

- Oszczędź mi szczegółów.

- Dobrze, pułkowniku.

- Prawdę powiedziawszy, wolę, by tytułowano mnie doktorze lub profesorze.

- Doktor to ktoś, kto babra się w ludzkim ciele. Jeśli chodzi o profesorów, no cóż... zawsze uważałam ich za dziwnych typów. Profesor to albo stary lubieżnik uganiający się za spódniczkami, albo śmiertelny nudziarz. Tu, na południu kraju, pułkownik brzmi najlepiej. Najbardziej męsko.

- Nie jestem już w czynnej służbie. Jestem profesorem, nauczycielem akademickim,

pozostańmy więc przy Johnie.

Jen wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, a potem podeszła, stanęła na palcach i lekko pocałowała go w policzek.

- Rozumiem, dlaczego moja córka swego czasu straciła dla ciebie głowę, John... Niedługo sam się przekonasz, jak to jest. Przyjdą jacyś pryszczaci chłopcy i ukradną ci twoje małe dziewczynki. Więc trzymaj je przy sobie tak długo, jak tylko to możliwe.

- Cóż, pewne jest, że nie pomagasz mi takimi akcjami jak zawieszenie na szyi Jennifer złotego naszyjnika. Ile kosztował: tysiąc, półtora tysiąca?

- W przybliżeniu. Poza tym żadna kobieta nie mówi prawdy, jeśli chodzi o kupowanie biżuterii.

- Do momentu, aż przychodzi rachunek i mąż musi bulić...

Zapadło milczenie. Wiedział, że strzelił gafę. Gdyby palnął coś takiego w obecności Mary, dałaby mu oświecający wykład na temat niezależności kobiet i przeklełaby mężów płacących rachunki... W rzeczy samej, Mary faktycznie zajmowała się finansami rodzinnymi, pomijając kilka ostatnich tygodni jej życia.

Co do Tylera, męża Jen, starszek teraz już nawet nie kojarzył, czym jest rachunek. A to bolało, niezależnie od tego, na jak samowystarczalną osobę pozowała teściowa.

- Czas na mnie - rzuciła.

- Przepraszam, nie chciałem żeby tak to zabrzmiało...

- Nie ma sprawy, John. Pojadę do domu opieki, żeby spędzić trochę czasu z Tylerem, a potem wrócę tu na przyjęcie.

- Jennifer liczyła na przejazdkę twoim pokracznym autem.

- Ford edsel, mój drogi młodzieńcze, ówczesnie wyprzedzał resztę wozów o całe pokolenie.

- Był też największą klapą w historii Forda. Boże święty, rzuć okiem na tę osłonę chłodnicy, jest brzydka jak noc!

Jen ożywiła się nieco tą wymianą złości. W swoim garażu trzymała pół tuzina aut, kilka nowszych modeli, ale również autentyczny Model A, stojący na ceglach, oraz piękność nad pięknosciami, błękitny mustang kabriolet z 1965 roku. Wiązało się z nim jednak wiele przykrych wspomnień. Kiedy John chodził na randki z Mary, namówili jej rodziców, by pożyczyci im ten wóz na przejazdkę do Mount Mitchell. Za kierownicą siedział John. W Winnebago wpakował się w tył auta jakiejś starszej pary.

Wszyscy wyszli z wypadku bez szwanku, ale wóz został dokumentnie skasowany. Ojciec Mary wydał tysiące dolarów na naprawę i poprzysiągł sobie, że nikt oprócz niego

samego i jego żony już nigdy nie tknie mustanga. Jen nadal przestrzegająca tej zasady.

- Ten edsel zawiózłby człowieka na koniec świata, mój drogi. Sprawdź sobie na eBayu, ile to cacko jest warte. Jestem pewna, że o wiele więcej niż ten twój SUV.

John oparł się o kamienną ścianę, podczas gdy Jen manewrowała monstrualnym autem, po czym wyjechała z podjazdu na pełnych obrotach. Ściana wchłonęła ciepło popołudniowego słońca. Pluszaki nadal stały na murku. John poczuł ukłucie w sercu. Jennifer mogła zabrać ze sobą przynajmniej Misia Patriotę albo Strusia...

Stojąc na zewnątrz, słyszał, jak w środku Jennifer i Pat rozmawiają o naszyjniku, a potem włączają wieżę stereo. Z głośników ryczał jakiś żeński głos. Britney Spears? Nie, Britney, dzięki Bogu, wyszła już z mody. Nie wiedział, kto śpiewa, ale wiedział, że mu się to w ogóle nie podoba. Wolał Pink Floyd, czasem słuchał też starych nagrań w, których gustowali jego rodzice, na przykład Sinatry czy Glenna Millera, albo najlepiej Chieftains. Sięgnął po Misia Patriotę.

- Obawiam się, przyjacielu, że niedługo pójdziemy w odstawkę - powiedział.

Ponownie oparł się o ścianę, zachwycając się widokami. Delektował się spokojem tej chwili, zakłócanym jedynie odległym szmerem ruchu na autostradzie międzystanowej numer 40 oraz hałasem dobiegającym z wnętrza domu.

Ginger i Zach wróciły ze spaceru po terenie za domem i padły u jego stóp, dysząc głośno.

Powietrze przepelniał zapach bzu. Jeśli ktoś szukał oznak prawdziwej wiosny, to mógł je znaleźć w tych właśnie górach. Dolina pełna była kwitnących drzew wiśniowych. Drzewa wokół jego domu, dopiero zaczynały budzić się do życia, ale bez kwitł już w najlepsze. Po prawej stronie, na szczycie oddalonej o dziesięć mil góry Mount Mitchell lśniła śnieżna korona. Tam nadal trwała zima.

„Gdy bzy ostatnie kwitły na dziedzińcu...”

Ten aromat zawsze przywodził mu na myśl poemat Whitmana na cześć Lincolna. A to z kolei przypomniało mu, że dziś wieczorem, jak w każdy pierwszy wtorek miesiąca, w piwnicy kościoła metodystów, odbywa się spotkanie Koła Miłośników Wojny Secesyjnej. Zapowiadała się kolejna runda tradycyjnie burzliwej dyskusji; inni członkowie kółka gnębili Johna jako jedyne Jankesa, który był pod ręką.

Nagle rozbrzmiał dzwonek telefonu. Wyłowił go z kieszeni, spodziewając się, że to Elizabeth. Chciał jej powiedzieć co nieco do słuchu. Jak śmiała wymigać się od urodzin młodszej siostry i wymknąć się z tym przyszczatym, napalonym osiłkiem Bartlettem...

Na ekranie ukazał się jednak inny numer, zaczynający się od 202... Waszyngton,

pomyślał. Rozpoznał kolejne trzy cyfry. To Pentagon.

Otworzył klapkę i wcisnął guzik.

- Czołem, Bob.

- Co u ciebie, John? I jak się miewa moja córka chrzestna?

Wypowiedział te słowa, naśladowując głos Marlona Brando grającego Dona Corleone w średnio udanej parodii.

Bob Wright, teraz już generał broni, dawny szef Johna w Carlisle i zarazem jego stary dobry przyjaciel, był ojcem chrzestnym Jennifer. Mimo że wywodził się z katolików irlandzkich, a nie włoskich, bardzo serio podchodził do obietnicy złożonej na chrzcie. Wraz z żoną Barbarą zazwyczaj zjawiał się w Black Mountain trzy lub cztery razy do roku. Kiedy umarła Mary, Bob i Barbara wzięli kilka tygodni wolnego i zostali z Johnem, by mu pomóc w ciężkich chwilach. Sami nigdy nie mieli dzieci, dlatego traktowali Jennifer i Elizabeth jako własne, zastępcze córki.

- Jennifer... dorasta - westchnął smutno John do słuchawki. - Dostała od babci złoty naszyjnik, który kosztował co najmniej patola, a może i więcej. Zupełnie przyćmił moje pluszaki. Talia kart z Pokemonami czeka w środku. Kupiłem nawet bilety do Disney World, żebyśmy tam pojechali po zakończeniu roku szkolnego. Wręcę je przy obiedzie, ale zastanawiam się, czy to nadal będzie to samo, co kiedyś...

- Masz na myśli wasz wypad do Disney World, kiedy Jennifer miała osiem lat, a Elizabeth dwanaście? Pewnie, że to już nie będzie to samo, ale zobaczysz, że tam na miejscu z Jennifer wyjdzie jeszcze mała dziewczynka. Nawet z Elizabeth! A przy okazji, co u niej?

- Planuję dziś popołudniu zastrzelić jej chłopaka.

Bob ryknął śmiechem.

- Może miałem rację, że nie postarałem się o córki. Mieć syna, to co innego...

Zamilkł na moment w zamyśleniu.

- Pozwolisz mi zamienić kilka słów z chrześnicą? - odezwał się po chwili.

- Jasne.

John wszedł do domu, wołając Jennifer. Wybiegła ze swojego pokoju, nadal mając na sobie ten cholerny naszyjnik. Wzięła od ojca telefon.

- Cześć, wujku Bob!

John stuknął ją w ramię.

- Insulina? - zapytał.

Dziewczynka kiwnęła głową, a potem szczebiocząc przez telefon, zaczęła chodzić po domu.

John wyjrzał przez okno na dolinę, omiatając wzrokiem góry. To był piękny, pogodny wiosenny dzień. Humor zaczął mu się poprawiać. Wkrótce zjawią się przyjaciele córki. Urządzą małe przyjęcie. On usmaży kilka hamburgerów na grillu na bocznym tarasie, a potem dzieciaki uciekną do pokoju Jennifer. W weekend uruchomił basen w ogrodzie; mimo że woda była nieco chłodnawa, miała dwadzieścia stopni Celsjusza, może kilkoro gości skusi się i wskoczy popływać.

Każę im zmiatać, kiedy zaczną się ściemniać, i pójdzie na spotkanie koła, a potem może znowu zasiądzie do pisania artykułu, który zleciła mu redakcja „Civil War Journal” na temat Lee kontra Grant jako dowódca strategiczny. Artykuł nie wymagał żadnego wysiłku umysłowego, ale pięć stówek piechotą nie chodzi. Poza tym będzie mógł się nim pochwalić podczas kolejnej oceny jego pracy, która wypadła w przyszłym roku. Dzisiaj może trochę dłużej posiedzieć w nocy - jutro pierwszy wykład miał dopiero o jedenastej rano.

- Tato, wujek Bob chce jeszcze z tobą porozmawiać!

Jennifer wyszła ze swojego pokoju z komórką w ręku. John wziął od niej telefon, w przelocie ucałował ją w czoło i dał czulego kuksańca, kiedy odbiegała. Po paru sekundach ta przekłeta muzyka buchnęła z głośników jeszcze głośniejsze.

- Co tam, Bob?

- John, przepraszam cię, ale muszę lecieć.

W głosie przyjaciela usłyszał nutę napięcia. W tle słyszał jakieś głosy... krzyki... ale hałas z wieży Jennifer wszystko zagłuszał.

- Nie ma sprawy, Bob. Przyjedziecie w przyszłym miesiącu?

- Słuchaj, John, coś się dzieje. Mamy tu jakiś problem. Muszę...

Telefon nagle się wyłączył.

W tym samym momencie zamilkła wieża stereo w pokoju Jennifer i zatrzymał się wiatrak pod sufitem. John zajrzał do swojego gabinetu - wygaszacz ekranu na jego komputerze znikł, tak samo jak zielona dioda na dwiętnastocalowym telewizorze. Usłyszał brzęczenie - sygnał, że alarm domowy oraz przeciwpożarowy zostaje wyłączony. Po chwili nawet on ucichł.

- Bob?

Głucha cisza w słuchawce. Zamknął klapkę.

Cholera, awaria prądu, pomyślał.

- Tato?

Podniósł wzrok i zobaczył Jennifer.

- Padł mi odtwarzacz płyt!

- Wiem, kochanie - odparł, w głębi serca odczuwając ulgę.

- Awaria prądu.

Dziewczynka rzuciła mu nieco pochmurne spojrzenie, jakby to on był odpowiedzialny za tę sytuację lub jakby mógł pstryknąć palcami, by jej sprzęt grający odżył. Szczerze mówiąc, gdyby w jego mocy było uciszenie na wieki wieków tego przeklętego odtwarzacza, czułby nie lada pokusę, by to właśnie zrobić.

- Co z moją imprezą? Pat dała mi w prezencie płytę, chciałam ją puścić podczas przyjęcia.

- Nie martw się, złotko. Zadzwoń do elektrowni. Pewnie spalił się im transformator.

Podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego. Głucha cisza. Brak sygnału.

Ostatnim razem, kiedy coś takiego miało miejsce, jakiś pijany kierowca skosił słup telefoniczny u podnóża góry, a potem, rzecz jasna, zbiegł z miejsca wypadku.

Komórka. Znowu otworzył klapkę i w złości zaczął po kolei wciskać guziki... Bez skutku.

Do diabła!

Nie działa. Odłożył telefon na stół kuchenny.

Dziwne. Bateria w telefonie musiała się rozładować w momencie, gdy Bob się rozłączył. Bez prądu nie można naładować telefonu, żeby zadzwonić do firmy dostarczającej energię elektryczną do ich domu.

Spojrzał na Jennifer, która wpatrywała się w niego wyczekująco, tak jakby mógł wszystkiemu zaradzić.

- Nie ma problemu, słonko. Pewnie zaraz wezmą się do roboty. Poza tym mamy piękny dzień, nie musisz siedzieć w domu i słuchać tego badziewia. Dlaczego nie możesz polubić Mozarta albo Debussy'ego, tak jak Pat?

Pat, która również wyszła z pokoju Jennifer, rzuciła mu skępowane spojrzenie. John uświadomił sobie, że popełnił jeden z największych grzechów, jakiego może dopuścić się rodzic. A brzmi on: nigdy, przenigdy nie porównuj swojej córki do jej koleżanek.

- Wyjdźcie na zewnątrz. Idźcie na spacer z psami. Do obiadu na pewno będziemy mieć już prąd.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dzień 1

18:00

Wrzucił cztery hamburgery na grilla - dwa dla siebie, po jednym dla Jennifer i Pat. Spojrzał przez ramię i przez chwilę obserwował, jak na polance za domem dziewczynki bawią się z psami w berka. To był piękny widok: popołudniowe słońce, osiem kwitnących jabłoni i roześmiane dziewczynki biegające tam i z powrotem. Ginger, która była młodsza i bardziej zwariowana niż Zach, skoczyła na Jennifer i przewróciła ją, kiedy starała się trzymać frisbee poza zasięgiem psa. Pisku było co nie miara i po chwili obie dziewczynki i oba psy kotłowały się na trawie.

Wiele miesięcy temu John przestał nosić na ręce zegarek. Od tamtej pory za czasomierz służyła mu komórka. Spojrzał przez okno kuchenne na zegar, pamiętający jeszcze czasy dziadka; dochodziła szósta. Dzieciaki zaproszone przez Jennifer powinny być już na miejscu; umówili się, że goście będą mogli przyjść na krótkie przyjęcie, które - z racji tego, że nazajutrz trzeba maszerować do szkoły - miało się zakończyć w pół do ósmej. Tymczasem nikt się jeszcze nie stawił. Nie wróciła też Jen.

Zapalił papierosa, zaciągając się pospieszenie. Niesamowite, jak irytująca może być dwunastolatka prowadząca kampanię na rzecz rzucenia palenia przez ojca... John pstryknął do połowy wypalonego camela przez ogrodzenie patia.

Burgery były gotowe. Położył je na stole, wszedł do domu, wyciągnął tort z lodówki, postawił go na stole kuchennym i wetknął weń dwanaście świeczek.

Wrócił na taras.

- Obiad!

W pierwszej kolejności zareagowały psy - przybiegły z polanki i okrążyły stół, a potem zajęły strategiczne pozycje, skąd mogły zebrać o jedzenie. Po chwili przyszły Pat i Jennifer.

- Tato, dzieje się coś dziwnego.

- Naprawdę?

- Posłuchaj.

Przez chwilę stał w milczeniu. To był spokojny, wiosenny wieczór. Dookoła panowała cisza, przerywana jedynie śpiewem ptaków, szczekaniem jakiegoś psa w oddali... Podobało mu się to.

- Nic nie słyszę.

- No i w tym rzecz, tato. Nie słysząc hałasu z autostrady międzystanowej.

Odwrócił się twarzą w kierunku autostrady. Była zasłonięta przez drzewa... ale córka miała rację: cicho jak makiem zasiał. Kiedy kupował dom, jego uwagę uszły odgłosy samochodów. Dopiero pierwszej nocy pod nowym dachem do jego uszu dotarł zgiełk ruchu ulicznego z oddalonej o milę autostrady międzystanowej. Ów hałas zanikał jedynie w zimie podczas burzy śniegowej albo wypadku.

- Pewnie jakiś wypadek wstrzymał ruch - zasugerował.

Wypadki zdarzały się dość często. Na długiej, wijącej się w górę drodze z Old Fort każdego miesiąca co najmniej dwie ciężarówki miały problemy z hamulcami, walkę z zakrętami przegrywały też długie na ponad pięć metrów sedany prowadzone zazwyczaj przez jakichś emerytów. Wystarczył jeden tego typu wypadek, a wyciek niebezpiecznych substancji z przewróconej ciężarówki potrafił zablokować ruch uliczny z obu stron na cały dzień.

- Panie Matherson, my też tak myślałyśmy, ale nie ma żadnych korków, po prostu samochody stoją w miejscu. Można to zobaczyć, stojąc na zboczu góry.

- Co masz na myśli?

- Dokładnie to, co mówi, tatusiu. Mnóstwo samochodów na poboczu, niektóre na środku, ale nie ma żadnych korków ani nic. Po prostu wszyscy się zatrzymali.

Słuchał nieuważnie, wrzucając burgery do bułek i kładąc je na talerzach dziewczynek.

- Prawdopodobnie wypadek miał miejsce gdzieś dalej, a kierowcom kazano zjechać na pobocze i poczekać - wyjaśnił.

Dziewczynki skinęły głową i wgryzły się w hamburgery. John zjadł swoją bułkę w ciszy, nie odzywając się ani słowem, nasłuchując. Dziwaczna sprawa. Można by pomyśleć, że powinno być słychać syreny policyjne, jeśli faktycznie doszło do wypadku. Poza tym starą drogą 70 powinny przemykać jakieś samochody. Zazwyczaj kiedy międzystanowa była zamknięta, pojazdy uprzywilejowane, na przykład karetki czy radiowozy, korzystały właśnie z siedemdziesiątki, podobnie inne wozy, których kierowcy chcieli ominąć zator. A poza tym zazwyczaj o tej porze przekłete dzieciaki Jeffersonów z samego szczytu góry zaczynały jeździć po lesie swoimi cholernymi quadami.

John spojrział na niebo i poczuł, jak przechodzi go dreszcz.

O tej porze dnia wszystkie samoloty zostawiały na niebie smugi kondensacyjne.

Bezpośrednio nad ich głowami znajdował się korytarz powietrzny do Atlanty dla większości lotów z północnego wschodu. W każdej chwili przestworza przecinały przynajmniej dwie czy trzy maszyny. Tymczasem niebo błyszczało błękitem, bez choćby jednej smugi pozostawionej przez samolot.

Ten zimny dreszcz... To wszystko przypomniało mu wydarzenia z jedenastego września. Ciszę, która nagle zapadła tamtego dnia; każdy siedział w domu, wpatrywał się w telewizor, a niebo było wymiecione z wszelkich samolotów.

Wstał, podszedł do końca balustrady, osłonił dłonią oczy przed popołudniowym słońcem. Przy Craggy Dome płonął ogień, dym leciał prosto w górę. Kolejny ogień dało się zauważyć nieco dalej, przy odległym skraju parku narodowego Great Smoky Mountains.

W Black Mountain nic się nie ruszało, całe miasto jakby zamarło. Zazwyczaj widać stąd było czerwone i zielone światła na skrzyżowaniu ulic State oraz Main. Teraz żadne światła się nie paliły, nawet nie migały.

Spojrzał przez okno na stary zegar w kuchni. O tej porze codziennie przejeżdżał nieopodal „pociąg wart milion dolarów” - zyskał ten przydomek, ponieważ przewoził węgiel o wartości ponad milion dolarów wykopywany w Kentucky dla kilku elektrowni w pobliżu Charlotte. Kiedy córeczki Johna były młodsze, zawsze po obiedzie zjeżdżali na dół, w pobliże do torów, by dziewczynki mogły pomachać do maszynisty, a pięć masywnych lokomotyw, przecinając powietrze z ogłuszającym łoskotem, pędziło z ładunkiem w stronę tunelu przy przełęczy Swannanoa.

Nagle usłyszał silnik samochodu, gardłowy warkot monstrualnego forda, za którego kółkiem siedziała Jen.

Zaparkowała obok jego mitsubishi, wysiadła i podeszła do nich.

- Niech to diabli! - zaczęła. - Wysiadł prąd w domu opieki. Powinniście zobaczyć międzystanową. Wszędzie stoją samochody. Po prostu stoją w miejscu.

- Tutaj też nie ma prądu, babciu - poinformowała Jennifer.

- Wysiadł prąd w klinice? - zdziwił się John. - A co z zapasowym generatorem? Powinien włączać się automatycznie w przypadku awarii.

- No nie wiem, wszystko tam zgasło, wysiadło. Kompletnie.

- Powinni mieć zasilanie awaryjne. To jest wymóg prawny - upierał się John.

- Widocznie generator się nie włączył. Ktoś powiedział, że musiał się zepsuć jakiś przełącznik prądu i trzeba wezwać elektryka. Mimo wszystko jestem zmartwiona. Musieli pacjentom pod tlenem podać tlen z butli, ponieważ pompy w każdym pokoju przestały działać. Pompa aparatury do sztucznego karmienia Tylera też wysiadła.

- Nic mu nie jest?

- Na szczęście akurat skończył swoją porcję, więc bez obaw. Powiedzieli mi, że nic mu się złego nie stanie. Wyszłam na parking, a tam akurat roіło się od pielęgniarek i lekarzy i wszystkich innych, którzy o piątej skończyli swoją zmianę. Przekrećali kluczyki w stacyjkach, ale żaden samochód nie chciał odpalić. Z wyjątkiem mojego starego maleństwa, które nazywasz potworem. Musiałam przecież stawić się na urodziny ukochanej wnuczki, a moje rzekome „monstrum” nie zawiodło mnie, jak zwykle.

Spojrzała z dumą na swojego forda edsela.

- Babciu, możemy wybrać się na przejażdżkę i zobaczyć to wszystko na własne oczy?

- poprosiła Jennifer.

- A co z twoim przyjęciem urodzinowym? - zapytał John.

- Przecież nikt nie przyszedł - odparła smutno.

Babcia Jen pochyliła się nad dziewczynką i ucałowała ją w czoło.

- Rany Boga, moje dziecko, wyglądasz jak siedem nieszczęść!

- Dziewczynki bawiły się na łące.

- I w trakcie tych harców miałaś na sobie naszyjnik? - W głosie Jen dało się słyszeć prawdziwe przerażenie.

John skrzywił się. Powinien był dopilnować, żeby Jennifer zdjęła wisiołek, zanim poszła brykać z psami. Gdyby go zgubiła lub gdyby uszkodził się podczas zapasów z Ginger i Zachem, musiałby słono zapłacić za swoje niedopatrzienie.

- Masz ochotę na burgera, Jen?

Pokręciła głową.

- Nie jestem głodna.

- Zjedz przynajmniej kawałek ciasta.

- Niech będzie.

John wszedł do kuchni i zapalił dwanaście świeczek na torcie. Specjalnym torcie, rzecz jasna - bez dodatku cukru. Wniósł go, śpiewając *Happy Birthday*, a Pat i Jen wtórowały mu głośno.

Przyszła pora na pozostałe prezenty. Do kartki od Boba i Barbary Wrightów dołączony był bon zakupowy o wartości stu dolarów do wykorzystania w Amazon.com. Nieco więcej uwagi ze strony Jennifer doczekały się w końcu pluszaki, które przyniósł sprzed domu i ustawił w rzędzie na stole. Jennifer wcisnęła Misia Patriotę pod pachę i zaczęła otwierać wielką kopertę, którą John zrobił poprzedniej nocy. Wewnątrz był kolaż zdjęć z Disneylandu, a na środku widniał napis: „Bilet dla Jennifer, Tatusia oraz Elizabeth”.

Ten prezent był strzałem w dziesiątkę.

- Nie ściskaj mnie tak mocno, złamiesz mi kręgosłup! - powiedział do córki.

Kameralne przyjęcie dobiegło końca, było już po siódmej. Pat ruszyła w dół do domu w towarzystwie Jennifer i psów.

- Pewnie dzisiaj nie odbędzie się zebranie mojego koła - rzekł John, spoglądając w stronę miasta, gdy Jen pomagała mu ułożyć naczynia w zmywarce, mimo że nie mogli włączyć maszyny.

- Jak myślisz, co tu się dzieje? - zapytała. W jej głosie pobrzmiewał lekki niepokój.

- Co masz na myśli?

- John, to mi przypomina jedenastego września. Ta cisza. Wtedy jednak mieliśmy prąd, mogliśmy oglądać wiadomości w telewizji. A teraz... wszystkie te samochody, które nagle przestały jechać...

Nie skomentował jej wypowiedzi. W jego głowie nagle pojawiła się pewna myśl, ale uznał, że jest zbyt niepokojąca, by o niej w tej chwili deliberować. Chciał wierzyć, że był to jedynie dziwaczny zbieg okoliczności, lokalna awaria prądu, przez którą wstrzymano wszystkie loty ze względu na niedziałające wieże kontrolne. Może awarię wywołała jakaś poważna burza słoneczna, na tyle silna, by wywołać zniszczenie transformatorów wysokiego napięcia. Coś podobnego wydarzyło się w Kanadzie kilka lat temu.

Nagle coś wpadło mu do głowy.

- Uruchom silnik w tym swoim monstrum.

- Po co?

- Zobaczysz.

Wyszli na zewnątrz i wsiedli do samochodu, John na miejsce pasażera. Jen przekręciła kluczyk w stacyjce, a silnik natychmiast odpowiedział. Ten odgłos, po paru godzinach głuchoj ciszy panującej wszędzie dokoła, dodawał otuchy.

Włączył radio. To był jeden z tych antycznych odbiorników z pokrętkami zamiast przycisków. Na poźółkłej obudowie widać było nawet dwa małe trójkąciki oznaczające częstotliwości zarezerwowane dawniej dla komunikatów obrony cywilnej.

Szum. Na wszystkich częstotliwościach nic tylko szum. Zbliżał się zmierzch, o tej porze zazwyczaj Federalna Komisja Łączności blokowała sygnał większości stacji radiowych AM, lecz duże stacje, które stać było na koncesje, powinny teraz podkreślać moc do pięćdziesięciu tysięcy watów i mieć zasięg na pół kraju, jeśli tylko sprzyjały warunki atmosferyczne.

Pamiętał, że gdy jako młody chłopak jeździł z New Jersey do Durham w Karolinie

Północnej, gdzie studiował w college'u Duke, zabijał czas, kręcąc powoli pokrętłem w radioodbiorniku swojego zdezelowanego garbusa, nastrajając się na WGN w Chicago albo tę dziwną stację radiową z Wheeling puszczającą muzykę country; to było dziwaczne przeżycie, słuchać utyskiwań na temat pickupów i kobiet. Nocą, jeśli pozwalała na to pogoda, łapał WOR z Nowego Jorku, słuchając w środku nocy swojej ulubionej audycji prowadzonej przez Jean Shepherd.

A teraz radio zionęło ciszą.

- Wyglądasz, jakby coś cię dręczyło, pułkowniku.

John spojrział na Jen. Ton, jakim wypowiedziała słowo „pułkowniku”...

- Możliwe, że to jakaś błąhostka. Może rozpętała się jakaś wielka burza słoneczna, to wszystko.

Ta informacja najwyraźniej przestraszyła Jen, która spojrzała na zachodni horyzont, nad którym słońce wisiało już bardzo nisko, tuż nad górami parku narodowego Great Smoky Mountains.

- Myślisz, że słońce... wybuchło czy coś w tym guście?

John się roześmiał.

- Moja droga teściowo, gdyby słońce wybuchło, czy nadal byśmy je widzieli?

Nieco zakłopotana, pokręciła głową.

- Wielkie rozbłyski na powierzchni słońca wysyłają potężne fale rozmaitych typów promieniowania. To stąd biorą się zorze polarne.

- Nigdy ani jednej nie widziałam.

- To dlatego, że nie jesteś Jankeską. Czasami te rozbłyski są tak intensywne, że ich skutkiem jest elektryczne wyładowanie w atmosferze, które zakłóca pracę sprzętu elektronicznego.

- Ale co to ma wspólnego z samochodami?

- Większość współczesnych wozów jest naszpikowana elektroniką. To by wyjaśniało, dlaczego twoje auto jest dalej na chodzie, a wozy innych nie mogą ruszyć z miejsca.

- Ludzie nie powinni byli wyrzucać tych starych fordów na złom - odparła z nerwowym uśmiechem.

- Martwię się o Elizabeth - powiedział cichym głosem. - Pojedźmy do centrum. Może gdzieś na nią natrafimy.

- Zgoda.

Wrzuciła bieg. Na dole podjazdu John nagle dostrzegł Jennifer. Krzyknął do niej, by wskoczyła do wozu. Dziewczynka przybiegła, rozpromieniona, przeskoczyła przez ojca i

usiadła pomiędzy nim a babcią. Pomyślał, że tak właśnie to wszystko wyglądało czterdzieści lat temu. Mama i tata udają się na przejażdżkę, dziecko między nimi, nie było wówczas jeszcze żadnych foteli lotniczych, z wyjątkiem samochodów sportowych. Dzieci nie siedziały unieruchomione na tylnym siedzeniu, zapięte pasami.

John miał tylko nadzieję, że Tom Barker, komendant policji Black Mountain, nie napatoczy się gdzieś po drodze. Gdyby był akurat w podłym nastroju, mógłby wlepić im mandat.

Zjechali do podnóża wzgórza. Stara siedemdziesiątka była opustoszała, z wyjątkiem paru porzuconych na poboczu samochodów. Z kolei autostrada międzystanowa była rzeczywiście zagracona samochodami, tak jak opowiadała Jennifer. Wiele z nich stało na poboczu, a niektóre na środku jezdni. Nie było jednak żadnego korka. Wyglądało to tak, jakby po prostu wszyscy wyłączyli jednocześnie silniki i auta powoli się zatrzymały. Niemal wszyscy kierowcy i pasażerowie wyszli ze swoich pojazdów. Niektórzy spoglądali w ich stronę, kiedy edsel wtoczył się na starą drogę i ruszył w kierunku miasta.

- Tam jest Elizabeth! - zawołała nagle Jennifer, pokazując siostrę ręką.

Bez wątpienia to Elizabeth, stwierdził z goryczą John. Szła z tym cholernym chłopakiem Bartlettów, który trzymał łapę na jej talii... a właściwie niżej, prawie na jej pupie. Na widok nadjeżdżającego forda odskoczył od dziewczyny jak oparzony. Jen zatrzymała się na poboczu. John wysiadł z auta.

- Gdzie się, do cholery, włóczyliście?! - zagrzmiął.

- Tato, czy to nie dziwne? - Elizabeth zignorowała jego pytanie, wskazując ręką na autostradę międzystanową.

Po chwili przywołała na twarz swój najbardziej czarujący uśmiech. Głowa lekko przechylona na bok i błękitne oczy mówiące „och, tatusiu, wyluzuj!”. Wkładała w to całe serce. Elizabeth była idealną szesnastoletnią kopia swojej matki i zdawała sobie sprawę, że takimi minami zawsze kupi swego ojca. Ale wspomnienie Mary wywoływało w nim również przypływ opiekuńczości.

Przeszył spojrzeniem młodego Bartletta. Chłopak przez wiele lat był członkiem drużyny skautów, którą John wspomagał jako zastępca drużynowego. Patrząc na niego przez ten pryzmat, uważał go za dobrego, bystrego chłopaka. Doszedł do stopnia „*Life*”, zanim wystąpił z szeregów, ponieważ w dziewiątej klasie bycie skautem nie było już czymś cool. Słowem, miły, dobry dzieciak. Jego ojciec należał do Koła Miłośników Wojny Secesyjnej.

Jednak w tej konkretnej chwili Ben był tylko smarkaczem, który od czterech godzin najwyraźniej kładł swoje łapy niemalże na siedzeniu jego córki, i Bóg wie gdzie jeszcze.

- Panie Matherson, to moja wina - odezwał się Ben, zrobiwszy pół kroku do przodu. - Elizabeth i ja pojechaliliśmy po lekcjach do centrum handlowego w Asheville. Chcieliśmy upolować jakiś super prezent dla Jennifer.

- Co mi kupiliście? - zapytała podekscytowana Jennifer.

- Prezent zostawiliśmy w aucie - odparła Elizabeth. - Tato, to było takie dziwne. Samochód po prostu zgasł kilka mil na zachód od miasta, w pobliżu naszego kościoła. Postanowiliśmy pójść do domu na piechotę.

John posłał Benowi lodowate spojrzenie, pod którego ciężarem chłopak jednak się nie ugiął, nie spuścił wzroku.

Dzieciak jest w porządku, pomyślał John. Nie uciekał oczami, nie próbował odgrywać Pana Mądralińskiego. Doskonale wiedział, że ojciec Elizabeth przyłapał go na czymś niedozwolonym, i gotów był stawić czoła zagniewanemu rodzicowi. Elizabeth i Ben byli przyjaciółmi od czasów gimnazjum, grali razem w zespole szkolnym, a teraz... cóż, teraz było jasne jak słońce, że w ciągu ostatnich paru miesięcy ich znajomość stała się czymś innym.

Spojrząwszy na chłopaka, John przypomniał sobie, o czym myślał, kiedy sam miał siedemnaście lat, i co było wówczas jego główną motywacją w życiu.

Jen zerknęła na Johna i posłała mu chytry uśmiezek.

- Ben, co słyhać u twojego dziadka?

- Wszystko dobrze, psze pani. Byliśmy na rybach w ubiegłą sobotę, nad Flat Creek. Gdyby pani widziała, jakiego pstrąga złapał! Czterdzieści centymetrów. Cieszył się jak dziecko.

Jen się zaśmiała.

- Pamiętam, jak kiedyś poszłam z nim na ryby nad ten sam strumień. Zawsze nabijał za mnie przynętę na haczyk - powiedziała i aż się wzdrygnęła. - Boże, jak ja nienawidziłam tego robić! Pozdrów go ode mnie.

- Oczywiście, psze pani, pozdrowię go.

- Podrzucić cię do domu? - zapytał John, gdy wreszcie uleciała z niego złość.

- Nie, psze pana. Mam niedaleko. - Skinął głową w kierunku drugiej strony autostrady międzystanowej. - Mogę tędy przejść.

- No dobra, Ben. Twoi rodzice na pewno się o ciebie martwią. Pędź do domu.

- Dobrze, psze pana. I przepraszam, psze pana. Ej, mała, wszystkiego najlepszego!

- Dzięki, Ben. - Jak większość młodszych siostr, Jennifer durzyła się nieco w chłopaku swojej starszej siostry. A Ben, mądry dzieciak, oraz, jak niechętnie zauważył John, porządny chłopak, odwzajemniał sympatię Jennifer.

- Dobranoc, Elizabeth.

Nastąpiła krepująca chwila, kiedy chłopak i dziewczyna spojrzeli na siebie. Elizabeth nieco się zarumieniła. W końcu Ben odwrócił się, podszedł do ogrodzenia przy międzystanowej i w mgnieniu oka był już po drugiej stronie.

John patrzył, jak chłopak przechodzi przez autostradę. Niektórzy ludzie, stojący dotąd przy swoich samochodach, podeszli do niego. John stał w miejscu, obserwując to wszystko. Ben wskazał ręką w kierunku zjazdu do Black Mountain.

- Przepraszam... Przepraszam!

John znowu spojrzął przez ogrodzenie, które przed chwilą przeskoczył Ben. Dobrze ubrana kobieta w ciemnoszarym kostiumie, o długich do ramion, błyszczących blond włosach, wspinała się właśnie na trawiastą skarpe, chybocząc się na swoich wysokich obcasach.

- Dzień dobry pani.

- Czy może mi pan powiedzieć, co tu się dzieje?

W ślad za nią ruszyło pół tuzina innych ludzi, którzy wyszli ze swoich unieruchomionych samochodów i zaczęli się zbliżać do ogrodzenia.

- Przykro mi, wiem tylko tyle, co pani.

- Jechałam autem - pokazała palcem swoje bmw 330 porzucone na poboczu - i nagle silnik po prostu zgasł. To samo przytrafiło się wszystkim innym.

- Nie jestem pewny, co tu się dzieje - odparł John. Starannie dobierał słowa, widząc, że zbliża się coraz więcej osób: czterech mężczyzn, koło trzydziestki, może tuż po trzydziestce. Postawni faceci, wyglądali na robotników budowlanych. John poczuł, jak budzą się w nim złe przeczucia wywołane widokiem tych gości, którzy stanęli teraz przy ogrodzeniu, obok kobiety.

- Hej, stary, jakim cudem twoja bryka jest na chodzie? - rzucił jeden z nich.

Mężczyzna niemal dorównywał wzrostem Johnowi. Był dobrze zbudowany, z potężnymi barkami.

- Nie wiem, jakim cudem, po prostu sobie jeździ.

- No ale to deczko dziwne, nie? Wszystkie tu wozy zamarły na amen, a ten twój gruchot dalej pomyka.

- Tak, to chyba faktycznie trochę dziwne.

- Jak żeś go odpalił?

- Po prostu przekręciłem klucz w stacyjce, to wszystko - odparł spokojnie John, wbijając wzrok w nieznanego i wytrzymując jego spojrzenie.

- Proszę pana, czy podrzuci mnie pan do miasta? - zapytała blondynka.

Spojrzał na drucianą siatkę, którą Ben z taką łatwością przeskoczył. Poszukał go wzrokiem i zobaczył, że chłopak pokonuje siatkę po drugiej stronie autostrady, a potem rusza pod górę, w kierunku swojego domu.

Do siatki zbliżało się coraz więcej ludzi. Jakaś starsza para, kobieta trzymająca za rękę około sześciolatnie dziecko, kilku nastolatków, facet z nadwagą w drogim garniturze, z koszulą rozpiętą pod szyją i poluzowanym krawatem. Nawet kierowca ciężarówki wysiadł ze swojego wozu stojącego na wschodnim pasie i wolnym krokiem szedł w jego stronę.

- Proszę pani, nie mam pojęcia, jak miałyby pani przejść przez to ogrodzenie - powiedział John, wskazując ruchem głowy na drucianą siatkę, która ich odgradzała. - Milej stąd jest zjazd numer 64 - kontynuował, wskazując głową na zachód.

- Niech pani nie skręca w zjazd 65, tam jest tylko mały sklepik.

Wyciągnął rękę i pokazał pas ruchu dla oddalonego o zaledwie kilkaset metrów zjazdu numer 65, który pojawiał się tuż przed tym, jak autostrada zakreślała na wiadukt zbudowany ponad torami kolejowymi.

- Niech pani idzie do zjazdu numer 64. Droga zajmie pani jakieś dwadzieścia minut. Są tam dwa motele. Jeden z nich to Holiday Inn z dobrą restauracją. Powinno się pani udać wynająć pokój, dopóki cała ta sytuacja się nie wyjaśni.

- John? - usłyszał za plecami szept Jen. - Pomóż jej.

Gwałtownie wyciągnął rękę za plecami, na znak, żeby zamknęła usta.

Osiem lat, które spędził w tym mieście, faktycznie go zmieniły, i to na wiele różnych sposobów. Do kobiet nie zwracano się tutaj po imieniu, tylko „proszę pani”, i przytrzymywało się im drzwi, bez względu na ich wiek. Jeśli mężczyzna w miejscu publicznym odezwał się niestosownie do kobiety, a nieopodal znajdował się inny mężczyzna, w powietrzu od razu wisiało mordobicie. Kobieta w kostiumie rzuciła mu błagalne spojrzenie. Odmówienie jej oznaczałoby sprzeniewierzenie się odwiecznym prawom Południa.

Do diabła, wyczuł nawet, że między nim a kobietą coś zaiskrzyło; jeszcze dziesięć minut temu w ogóle by o czymś takim nie marzył. Od śmierci Mary, John miał kilka przelotnych flirtów, a nawet krótki romans z panią profesorem z uniwersytetu stanowego. Jednak tak naprawdę nigdy nie angażował się emocjonalnie w żadną z tych relacji. Nie potrafił uwolnić się od Mary. Blondynka po drugiej stronie ogrodzenia była atrakcyjna, wyglądała na kobietę sukcesu i miała na oko trzydzieści kilka lat. Mimowolnie zerknął na jej lewą dłoń, ale nie zauważył obrączki. Gdyby to działo się dawno temu, zanim spotkał Mary... gołymi rękami wyrwałby dziurę w tym ogrodzeniu i odegrał rolę bohatera, który spieszy na ratunek tej

pięknej nieznajomej. W tej chwili też niemal korciło go, by to zrobić.

Jednak teraz odczuwał też coś innego. Odezwała się w nim intuicja, coś, co czuł w swoich wnętrznościach, w głębi siebie. Bez wątpienia coś się wydarzyło - coś złego. Nadal nie wiedział, co dokładnie, ale jak na jego gust dało się tu zauważyć trochę zbyt wiele anomalii - brak prądu, unieruchomione samochody, z wyjątkiem antycznego wozu Jen, brak samolotów na niebie... Coś tu nie grało. I tak oto w tej chwili, pierwszy raz od bardzo dawna, poczuł, jak daje o sobie znać jego zmysł „miejskiego survivalu”.

Robotnicze przedmieścia Newark, w których dorastał w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dały mu niezłą szkołę życia. Miał zaledwie osiem lat, kiedy w 1967 roku do Newark dotarła fala zamieszek, która całemu pokoleniu wybiła z głowy myśl o tym, co niektórzy nazywali wielokulturowością. W efekcie Włosi trzymali się swoich terenów, Polacy i Irlandczycy swoich, tak samo jak Latynosi i czarnoskórzy. Jeśli zabłąkałeś się do nieodpowiedniej dzielnicy po zmroku, a zazwyczaj nawet w świetle dnia, to Bóg ci dopomóż, brachu...

Autostrada w tym właśnie momencie stała się tego typu nieodpowiednią dzielnicą. Widok tych czterech robotników - sposobu, w jaki stali i patrzyli na Johna i jego auto, jedyny wóz będący na chodzie - był sygnałem ostrzegawczym. Jeden z mężczyzn był ewidentnie pijany. John od razu zakwalifikował go do kategorii „typ podpity i napastliwy”.

Coś się zmieniało... a raczej już zmieniło, w ciągu kilku ostatnich godzin. Gdyby był sam, mógłby zaryzykować i zgodzić się pomóc kobiecie i niewykluczone, że wszystko poszłoby gładko. Był jednak ojcem; w tym samochodzie wiózł dwie córki i teściową.

- No dalej, koleś - odezwał się jeden z budowlańców. W jego ostrym głosie dało się usłyszeć drwinę. - Pomóżże damie. Przepchniemy ją na drugą stronę, a potem sami przeskoczmy przez ogrodzonko i też nas grzecznie podwieziesz.

Kobieta spojrzała na robotników za swoimi plecami.

- Nie potrzebuję waszej pomocy - odparła lodowatym tonem.

Jeden z nich, ten pijany, zaśmiał się pod nosem.

John miał uczucie, że znalazł się w pułapce, szczególnie gdy pospiesznie rzucił okiem na Jennifer. Gdyby te draby zabrały mu wóz, musieliby wracać na piechotę, a dla jego małej córki byłby to naprawdę długi spacer...

Nagle dostrzegł spojrzenie kierowcy ciężarówki. Mężczyzna leciutko skinął głową, a następnie bardzo ostrożnie wysunął zza pleców prawą rękę. Trzymał w niej niewielki pistolet. Na ułamek sekundy John poczuł ostry skurcz w żołądku, lecz w oczach mężczyzny dostrzegł jasny komunikat: „Spokojnie, kolego, dopilnuję tu porządku”.

John spojrział z powrotem na kobietę.

- Przykro mi, droga pani, ale muszę zawieźć dzieci do domu. Proszę zrobić tak, jak mówiłem. Niecałą milę stąd znajdziecie schronienie oraz jedzenie.

- O ty zgniłe łajno! - ryknął pijany robotnik i zaczął wspinać się na ogrodzenie.

- Dziewczyny, do samochodu! - zawołał szybko John. Posłusznie wskoczyły i zamknęły drzwi. John też wycofał się do wozu i podczas gdy pijak z trudem gramolił się na ogrodzenie, wrzucił wsteczny i wcisnął pedał gazu.

- Sukinsynu, chcemy tylko, żebyś nas podrzucił! - burknął pijak, pokazując Johnowi środkowy palec.

John z wciśniętym pedałem gazu wycofał aż do zakrętu, a potem wrzucił przedni bieg i ruszył prosto na drogę gruntową.

- Johnie Matherson, nie mogę uwierzyć, że zostawiłeś tamtą kobietę na pastwę losu! W towarzystwie tych zwierząt.

- Mam rodzinę - odparł cierpko John, patrząc w lusterko wsteczne na siedzące z tyłu wozu Elizabeth i Jennifer. Dziewczynki milczały, ale wyczuwał z ich strony negatywne i oskarżycielskie wibracje - tatuś okazał się tchórzem. Pokręcił głową, nie odzywając się więcej ani słowem.

Wjechał na podjazd. Psy radośnie rzuciły się na niego, lecz poczuły, że jest w złym nastroju, i momentalnie przeniosły swoją uwagę na Jennifer i Elizabeth.

- Dziewczynki, robi się ciemno. Pamiętajcie, jak był huragan i wszyscy schroniliśmy się w mojej sypialni? Dzisiaj będzie tak samo. Elizabeth, wyciągnij lampę Colemana, wiesz, jak ją zapalić. Jennifer, pomóż siostrze.

- Tato, daj spokój. Uważam, że trochę za bardzo się nakręcasz.

- Zrób, co mówię, Elizabeth - wycedził powoli i z naciskiem.

- Dobra.

Dziewczynki ruszyły w stronę drzwi. Jennifer wypytywała Elizabeth, jaki ona i Ben kupili dla niej prezent.

- Elizabeth, kiedy już zapalisz lampę, pomóż Jennifer zrobić sobie zastrzyk. Nie trzymaj lekarstwa poza lodówką dłużej, niż to niezbędne.

- Dobrze, tato.

- A potem nakarm psa.

- Spoko, tato.

Córki weszły do domu, a John wyłowił z kieszeni papierosa.

- Wrócisz tam, by pomóc tej kobiecie? - spytała Jen.

- Nie.

Przez chwilę milczała.

- Zdziwiasz mnie, John - odezwała się w końcu.

- Wiem, że postępuję słusznie. Gdybym wrócił na autostradę, te bydlaki ukradłyby mi wóz.

- A co z tamtą kobietą? Jak sobie da radę? Nie masz wyrzutów sumienia?

John wbił w Jen ostre spojrzenie.

- Co, do diabła, masz na myśli?

- Mam na myśli kobietę, którą zostawiłeś tam na pastwę losu. Zresztą była tam jeszcze druga, z małym dzieckiem. Mogą je zgwałcić.

Pokręcił głową.

- Nie, jeszcze nie. Ci faceci wcale nie byli tacy groźni. Ten pijany stracił nad sobą kontrolę, a ten pyskаты tylko popisывał się przed kumplami i tamtą kobietą. Owszem, to dziwne, że nasz samochód jako jedyny jest na chodzie, dlatego gdybym tam wrócił, na pewno chcieliby mi go zabrać. Albo przez całą noc musiałbym oferować usługi przewozowe każdej osobie uwięzionej na autostradzie. Pewnie napatoczyłoby się jeszcze paru innych podpitych drabów.

Zaciągnął się kilka razy papierosem.

- Ale żeby od razu gwałt? - kontynuował po chwili. - Nie, tam wokoło jest zbyt wielu porządných ludzi. Wszyscy inni są trzeźwi. Jest tam kilku kierowców ciężarówek, a to są przeważnie porządni ludzie. Jeden z nich miał pistolet, chociaż go nie widziałas. Dopilnuje porządku. Tamta kobieta, jak i cała reszta, będzie bezpieczna. O takie rzeczy jeszcze bym się nie martwił.

- Jeszcze?

John westchnął głośno, cisnął na ziemię wypalony papieros, po czym wyjął z paczki kolejnego.

- Chciałbym, żebyś dziś z nami nocowała. Dziewczynki będą wniebowzięte.

- A co, martwisz się o mnie?

- Szczerze mówiąc, tak. Nie podoba mi się pomysł, żebyś sama po nocy krążyła tym dziwolągami - mówiąc to, poklepał dach edsela.

- Dobrze, zostanę na noc.

Spojrzał na nią, zdumiony, że tak szybko się zgodziła i nawet nie próbowała się wykręcić tym, że musi nakarmić swojego kota i takie tam. W wieczornym mroku nie mógł dostrzec jej twarzy, lecz po głosie poznał, że się boi.

- Jest tak ciemno - wyszeptała.

Rozejrzał się dokoła. Rzeczywiście było ciemno. W mieście nie paliło się ani jedno światło, z wyjątkiem czegoś, co wyglądało jak migotanie gazowych lampek biwakowych i świec. Pograżona w ciemnościach była również autostrada; bez tej irytującej, bijącej po oczach poświaty ze stacji serwisowej przy zjeździe. Zarówno w domach otaczających dolinę, jak i w odległym Asheville na próżno było szukać jakiegokolwiek światelka. Tylko na zboczu góry przy Craggy Dome coś się tliło na czerwono; wyglądało to na ognisko.

Gwiazdy cudownie rozświetlały niebo. John nie widział takich gwiazd od czasu, gdy był na pustyni w Arabii Saudyjskiej... zanim zaczęły płonąć szyby naftowe. Wokół nie było absolutnie żadnych innych źródeł światła, które przysłaniałyby migotanie gwiazd. To był wspaniały widok oraz, jak się przekonał, niezwykle uspokajający.

- Wejdz do środka, Jen, dołączę do was za minutkę.

Jen odeszła powolnym krokiem. We wnętrzu domu widział teraz poświatę, jaką dawało światło lampy Colmana, a chwilę później usłyszał odgłosy śmiechu, które dodały mu otuchy.

Skończył palić drugiego papierosa i upuścił go na ziemię. Patrzył, jak tli się na betonowym chodniku podjazdu. Po chwili niedopałek zgasł.

Otworzył drzwi swojego samochodu, wślizgnął się do środka i przekręcił kluczyk w stacyjce. Nic. Z rozrusznika nie wydobyło się nawet jęknięcie, światła na tablicy rozdzielczej się nie zapaliły... nic.

Sięgnął ręką pod fotelem i wyciągnął ciężką, zasilaną sześcioma bateriami latarkę. Włączył ją i rozbliła światłem.

Wszedł do domu. Dziewczynki już urządzały zabawę w kemping.

- Tato, nowy glukometr Jennifer nie działa - poinformowała Elizabeth.

- Co?

- Nowy przyrząd do badania krwi. Znalazłam jednak stary i tego właśnie użyłyśmy. Z małą wszystko OK.

- To dobrze, kochanie.

Z jakiegoś powodu przez ten drobny szczegół w głowie Johna rozbrzmiało jeszcze więcej dzwonek alarmowych. Nowy zestaw testujący był cudem techniki, a jego pamięć przechowywała historię poziomu cukru we krwi, którą można było zgrać na komputer. Jennifer za tydzień miała zostać wyposażona w jedną z tych nowych, wszczepianych pomp insulinowych. Coś mówiło Johnowi, że powinien się cieszyć, iż nie zdążyli tego zrobić.

- Okej.

Zaczęła się szykować do odejścia. John wziął głęboki wdech.

- Elizabeth...

- Tak, tato?

- Ty i Ben... - Nagle poczuł się strasznie zmieszany. - No wiesz, może chciałabyś o czymś ze mną porozmawiać?

- Daj spokój, tato. Teraz?

- Tak, masz rację... Przypilnuj, żeby Jennifer przeniosła się do mojej sypialni. Idziemy zaraz spać.

- Ale, tato, nie ma nawet ósmej!

- Pamiętasz ten czterodniowy huragan? Pod koniec przywykliśmy do zasypiania o zmroku i wstawania o świcie.

- Dobrze.

John zajrzał do sypialni i ku swojej ucieście zobaczył Jennifer układającą w rzędzie nowe pluszaki po swojej stronie ogromnego łóżka wodnego. Pod pachą trzymała inną ukochaną maskotkę - pluszowego zająca. „Pana Zająca” podarowali jej Bob i Barbara w dniu, w którym przysłała na świat. Od tamtej pory zając był jej nieodłącznym, wiernym kompanem.

Dawniej Pan Zając był biały i puszysty, a potem zszarzał. Wiele w swoim życiu przeżył i wiele razy był przyczyną nie lada nerwów. Kiedyś zostawili go niechący w restauracji; musieli wracać niemal sto mil, żeby go odzyskać, przy czym Jennifer każdą z tych mil umilała reszcie rodziny swoim płaczem. Pan Zając został też raz uprowadzony przez psa sąsiada. John dwa dni przeczesywał las, zanim go odnalazł. Był połatany, a jego futerko miejscami zupełnie wytarte, i mimo że Jennifer kończyła dziś dwanaście lat, Pan Zając nadal był jej przyjacielem od serca i pewnie takim pozostanie... do dnia, kiedy dziewczynka, a raczej młoda dama, wyjedzie do college’u, a zając wyląduje na biurku ojca, by przypominać mu o starych, dobrych czasach.

Psy skończyły pożerać swój obiad i John wypuścił je na wieczorny spacer. Ginger była nieco zdenerwowana - właściciel zawsze zapalał im reflektory przed domem. O tej porze roku po okolicy kręciły się niedźwiedzie z młodymi oraz szopy pracze. Gdyby Ginger ujrzała nagle niedźwiedzia albo szopa, prawie na pewno dostałaby zawału serca. Szybko więc załatwiła swoją potrzebę i piorunem wróciła do domu, układając się u stóp Jennifer.

- Nie muszę iść jutro do szkoły? - zapytała dziewczynka z nadzieją w głosie.

- Cóż, jeśli w nocy włączą prąd, trzeba będzie maszerować na lekcje. A jeśli nie, zostaniesz w domu.

- W takim razie mam nadzieję, że całą noc będą panować egipskie ciemności...

- Mam spać w pokoju gościnnym? - zapytała Jen, trzymając lampę Colemana.

- Śpisz z nami, babciu - oświadczyła Jennifer.

- Aha, czyli przypada mi miejsce w środku - jęknęła Elizabeth - a ta mała kopie w czasie snu.

- Okej, moje drogie panie, będę w swoim gabinecie. A teraz kładźcie się spać.

Jen uśmiechnęła się i weszła do łazienki, dzierżąc lampę.

- Dobranoc, dziewczynki.

- Kocham cię, tato.

- Ja ciebie też.

Zamknął za sobą drzwi i przeszedł do swojego gabinetu. Na chwilę usiadł przy biurku, stawiając latarkę tak, by snop światła padał na sufit, oświetlając pokój odbitym blaskiem.

Ten gabinet zawsze doprowadzał Mary do szału. Jak refren powtarzała, że nie tego się spodziewała po wojskowym, na co on zawsze odpowiadał, że wyszła też przecież za profesora. Na biurku po obu stronach rosły sterty papierów, posegregowanych, jak zwykły mawiać, według „warstw geologicznych”. Po lewej stronie stał regał na książki; były ustawione w dwóch rzędach, tylnym i przednim. Książki na temat rzeczy, nad którymi w danym momencie pracował albo które go interesowały, zajmowały najbliższą półkę. Na ścianach królowały rysunki, oprawione w ramki dyplomy (w tym dyplom magisterski Mary) oraz fotografie ich córeczek.

Wstał i przez chwilę wpatrywał się w regał, a potem wyciągnął część książek z pierwszego rzędu, znalazł dokument, którego szukał, i wyjął go. Nie zaglądał do niego od lat. Od czasu, gdy opuścił Carlisle.

Usiadł i położył wolumin na kolanach. Przyświecając sobie latarką, przebiegł wzrokiem spis treści wydrukowany na drukarce igłowej z połowy lat dziewięćdziesiątych, po czym oparł się wygodnie i na pół godziny zagłębił w lekturze. W końcu odłożył raport na biurko.

Za plecami miał zamkniętą szafkę. Wyciągnął klucz z szuflady w biurku, otworzył nim szafkę i włożył rękę do środka, Zawahał się przez sekundę, nie mogąc się zdecydować, którą broń wyjąć. Ostatecznie wybrał strzelbę śrutową typu pump action, kaliber 20. Wyjął pudełko naboji śrutowych i załadował pół tuzina. Nie była to broń śmiercionośna (chyba że człowiek oddawał strzały z bliskiej odległości), ale na pewno skuteczna, jeśli chodzi o odstraszanie nieproszonych gości.

Następny był pistolet. Rewolwer Colt Dragoon, rocznik 1855. Wielka, ciężka spluwa. Sam wygląd tego cacka był w stanie odstraszyć większość pijaków.

Nawiasem mówiąc, przeszedł już próbę bojową. To było jeszcze w czasach studenckich, zanim spotkał Mary. Mieszkał poza campusem, w domku na farmie wraz z kilkoma innymi chłopakami. Uważali się za hipisów, nosili długie włosy i popalali trawkę... Mary już pierwszego dnia ich znajomości postawiła warunek: „Dopóki tego nie rzucisz, nie możesz ze mną chodzić”.

Niektórzy miejscowi zapalali wyjątkową niechęcią do „długowłosych pedałów” mieszkających nieopodal i pewnej nocy urządzili strzelaninę. Ostrzelali ich dom grubym śrutem, wywalając z zawiasów drzwi kuchenne. Darli się, że cioty mają wyjść na zewnątrz, żeby mogli się z nimi porachować.

Współlokatorzy Johna spanikowali, jeden z nich zaczął płakać, że czuje się jak w filmie *Uwolnienie*. Jednak intruzi nie mieli pojęcia o tym, że jeden z tych „pedałów” pochodzi z New Jersey, interesuje się rekonstrukcjami wydarzeń z czasów wojny secesyjnej i wie co nieco o broni palnej. Wyszedł do nich, dzierżąc w dłoni swojego dragoon. Uniósł broń i oddał dwa strzały. Nie miał zamiaru nikogo zabić, tylko nastraszyć. Następnie wycelował prosto w klatkę piersiową wieśniaka z dubeltówką.

- Następny strzał będzie już na serio - oświadczył spokojnym głosem.

Napastnicy piorunem wskoczyli do swojej półciężarówki i zmyli się w ekspresowym tempie. Kumple Johna wyszli na ganek i gapili się na niego z podziwem i wyrazem zdumienia na twarzach, a on, wchodząc z powrotem do domu, czuł się jak Gary Cooper w filmie *W samo południe*.

- Zaprowadzać pokój dzięki potężnej sile ognia - wyrecytował spokojnie, a potem nalał sobie solidną porcję wódki, aby się uspokoić, podczas gdy jego współlokatorzy nadal nie mogli się otrząsnąć z wrażenia i przez pół nocy w kółko odgrywali tę scenkę.

Co tak naprawdę wtedy go przeraziło? Świadomość, że był gotów zabić jednego z tych bydlaków, gdyby spróbowali jeszcze raz oddać strzał. Nie podobało mu się to uczucie, nic a nic, i miał nadzieję, że już nigdy czegoś takiego nie poczuje... Ale poczuł, wiele lat później w Iraku, chociaż wtedy akurat przynajmniej nie on osobiście musiał naciskać spust.

Następnego ranka, w sobotę, przyszedł właściciel farmy ze zgrzewką piwa. Chciał zobaczyć tę legendarną już spluwę. Poinformował Johna i jego kumpli, że „cieszycie się, chłopaki, teraz szacunkiem”.

Miesiąc później John wstąpił z garstką przyjaciół do przydrożnego baru na piwo. Tak się złożyło, że w środku był jeden z czterech napastników. Rozpoznał Johna i atmosfera na moment zgęstniała, ale nagle facet roześmiał się, przyniósł Johnowi piwo i opowiedział wszystkim obecnym o tamtej nocy, wieńcząc swoją historię słowami: „Ten Jankeś to równy

gość”. Na koniec uścisnęli sobie dłonie.

Do diabła, nawet w takich momentach kochał już wtedy Południe.

Rewolwer, który wyjął z szafki, był naładowany. Położył go na biurku.

Nagle usłyszał, że ktoś wszedł do pokoju. Podniósł wzrok. W progu stała Jen.

- To poważna sprawa... prawda? - zapytała.

- Idź spać - zawahał się, zanim po chwili dodał: - mam.

Stała przez moment w milczeniu, skinęła głową i odeszła.

Nie zdjęwszy nawet butów, John rozciągnął się na sofie w swoim gabinecie.

Dubeltówkę położył obok na podłodze.

Dopiero po kilku długich godzinach udało mu się zapaść w sen. Gdy zasypiał, Zach wyslizgnął się z objęć Jennifer, przebiegł do gabinetu i z westchnieniem ułożył się obok Johna.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dzień 2

Obudził go krzyk. Po omacku odnalazł strzelbę i zerwał się na równe nogi, gdy usłyszał głos Elizabeth.

- Cholera jasna, nie ma ciepłej wody!

Odłożył broń i wszedł do sypialni. Elizabeth pojawiła się w drzwiach łazienki owinięta ręcznikiem. Wyglądała na mocno zirytowaną.

- Tato, nie ma ciepłej wody!

- A czego, do diabła, się spodziewałaś? - burknął. Jego serce nadal biło w panice.

Jennifer usiadła na łóżku z Panem Zającem wciśniętym pod pachę. Uśmiechnęła się.

- Nie ma dziś szkoły, tatusiu?

- Nie.

- Super!

- Tato, jak mam wziąć prysznic?

- Używając zimnej wody. To cię nie zabije - mruknął, po czym przeszedł do kuchni.

Potrzebuję kawy, psiakrew, kawy!

Wyjął saszetkę kawy, papierowy filtr, nastawił na ekstra mocną, nappełnił zbiornik wodą i wcisnął guzik.

Przez dobrą minutę stał tam jak kompletny idiota. Potem uprzytomnił sobie swój błąd.

- Niech to szlag!

Wyciągnął mały garnuszek z szafki, nappełnił go wodą i wyszedł na ganek. Rozpalił grilla i postawił na nim naczynie. Wyłowił z kieszeni papierosa i go zapalił.

Woda wreszcie się zagotowała. Przyniósł sobie kubek i przyrządził kawę w staroświecki sposób, którego nauczył się jako skaut - nasypać kilka łyżek do kubka, zalać wrzątkiem i pal licha fusy.

- Dla mnie też się znajdzie trochę kawy?

To była Jen.

- Jasne.

Przyrządził dla niej kawę w drugim kubku. Jen przyglądała się temu z niesmakiem.

Weszła do kuchni, otworzyła lodówkę, wyjęła mleko w plastikowej butelce i wyszła na ganek, upijając z niej łyk.

- Pij tę kawę z zaciśniętymi zębami. W ten sposób przefiltrujesz fusy - powiedział John, siląc się na pierwszy tego dnia uśmiech.

- Muszę znaleźć swoją starą kawiarkę - odparła. - Nigdy nie lubiłam tych chromowanych maszynek Mr Coffee. Kawa najlepiej smakuje, gdy się ją odpowiednio przyrządzi w tradycyjny sposób.

Na dworze panował lekki chłód, który na Johna podziałał ożywczo. Kawa i papieros spełniły swoje zadanie, czyli skutecznie go rozbudziły.

W przeciwieństwie do większości facetów, którzy zrobili karierę w wojsku, John nigdy nie przywykł do wczesnego wstawania. Nie cierpiał rannych ptaszków, a w szczególności tych, które wesoło ćwierkały. On zawsze był sową, kładł się spać o drugiej lub trzeciej w nocy, potem budził się o dziewiątej lub dziesiątej, by zdążyć na wykład o jedenastej.

Władze college'u szybko poznały jego zwyczaje i nigdy nie dostawał zajęć wcześniej niż o jedenastej.

Musiał jednak przyznać, że poranki bywają piękne i czasem żałował, że je przesypia. Mary była rannym ptaszkiem. Przypomniawszy sobie, jak budziła go czasem o świcie, przynajmniej na kilka minut, po to, żeby... Nie. Wspomnienie było zbyt bolesne. Odepchnął je od siebie.

- Tamten ogień nadal płonie - zauważyła Jen, wskazując na Craggy Dome.

John przytaknął. Ogień trochę się rozprzestrzenił, a smuga dymu poszerzyła się, opadając w stronę znajdującego się w dolinie rezerwuaru wody należącego do Asheville. Na oko było to jakieś sto akrów albo i więcej.

Nieco dalej John dostrzegł kolejne dwie wstęgi dymu.

Świat milczał. Ruch uliczny przestał istnieć. Black Mountain pogrążone było w bezruchu.

Nic się nie zmieniło.

- Dostanę kawy?

To była Elizabeth. Miała mokre włosy i osuszała je ręcznikiem. Włożyła na siebie grubego szlafrok, lecz mimo to drżała z zimna.

- Pewnie, kochanie - powiedział John. Przyrządził jej kawę, którą wypła bez kręcenia nosem.

Jennifer również wyszła na ganek z Panem Zającem pod pachą. Kiedy spała lub była

półprzytomna tak jak teraz, wyglądała prześlicznie. Miała wtedy oczy małego dziecka...

- Nie będzie szkoły?

- Nie sędzę.

Ziewnęła, odwróciła się bez słowa i weszła do środka.

- Zbadałaś sobie krew?! - zawołał za nią John.

- Tak tato, wszystko w porządku. - Ruszyła z powrotem do sypialni, aby dokończyć przerwany sen.

- Chyba pojedę teraz do miasta. Sprawdzę, co tam się dzieje.

- Mogę zabrać się z tobą? - zapytała Elizabeth.

- Nie, wolę, żebyś została tutaj.

- Tato, proszę cię! Wszyscy tam będą. Chcę to zobaczyć na własne oczy.

Ujął ją łagodnie pod rękę i poprowadził z dala od drzwi wejściowych.

- Chcę, żebyś strzegła domu.

Uśmiechnęła się sarkastycznie.

- Strzegła? Przed kim? Przed terrorystami?

- To nie jest temat do żartów - oznajmił stanowczym tonem.

Elizabeth zamilkła i spojrzała na niego z powagą.

- Umiesz się obchodzić z bronią. To jest kaliber 20, więc się nie martw. Broń jest odbezpieczona, ale w komorze nie ma pocisku. Jeśli zajdzie potrzeba, najpierw przeładuj, a potem strzelaj.

- Tato, to jakieś wariactwo!

- Posłuchaj, Liz, ja nie żartuję. Moim zdaniem stało się coś poważnego.

- Co?

- Rozejrzyj się dokoła. Nie ma prądu. Nie ma nic.

- Włączą później.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w nią.

- Jeśli na podjeździe pojawi się ktoś, kogo znasz, to w porządku, nie ma sprawy. Ale jeśli to będzie ktoś obcy, chcę, żebyś stanęła w progu drzwi i używała framugi jako osłony. Pozwól im zobaczyć, że trzymasz broń i że celujesz w ich kierunku. Nie słuchaj żadnych bzdurnych gadek ani kłamstw. Nawet jeśli ci ludzie będą na pierwszy rzut oka w opłakanym stanie. Nawet jeśli będą szukać telefonu, wody i tak dalej. Po prostu powiedz im, żeby przespacerowali się do miasta. Tam znajdą ludzi, którzy im pomogą. Rozumiesz?

- Spoko.

- Rozumiesz? - ponowił pytanie ostrzejszym tonem.

- Rozumiem, tato.

- Jeśli ktoś będzie próbował wykręcić jakiś numer, nieważne jaki, nie wahaj się pociągnąć za spust, Liz. Bez oddawania strzałów ostrzegawczych i tego typu ceregieli. Celuj w brzuch i naciskaj spust. Jeśli będziesz miała do czynienia z większą grupą, celuj w osobę znajdującą się najbliżej ciebie albo w tego, kto jest uzbrojony.

- Tato, przerażasz mnie!

Położył dłonie na jej ramionach i ścisnął je mocno.

- Nauczyłem ciebie i twoją mamę strzelać. Pamiętasz, co wam wtedy mówiłem?

- Że najbardziej niebezpieczna jest kobieta ze spluwą, która nie ma na tyle jaj, by jej użyć - wyrecytowała z pamięci, a on przypomniał sobie, jak Mary zawsze powtarzała, że to strasznie seksistowskie zdanie.

- Facet taki jak ten pijany, którego spotkaliśmy wczoraj, jest w stanie zorientować się, że tak naprawdę nie masz zamiaru strzelać. Musisz dać mu znać, że... - zawahał się chwilę - że z tobą nie ma żartów. Wtedy będzie duża szansa, że przejdiesz przez życie i ani razu nie będziesz zmuszona pociągnąć za cyngiel.

- Rozumiem, tato.

John uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Kochanie, wpadłem po prostu w paranoiczny nastrój. Nie spuszczaaj wzroku z Jennifer. Jeśli przyjdzie Pat, żeby się z nią pobawić, to tym lepiej.

- A jeśli przyjdzie Ben?

Zawahał się. Ale przecież Jen była w domu.

- Nie ma problemu.

- To naprawdę słodki chłopak, tato. Przekonałbyś się o tym, gdybyś dał mu szansę.

Kiwnął głową.

- Wiem o tym.

- Dlaczego tak bardzo go nie lubisz?

- Wiesz dlaczego.

Dziewczyna uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Boisz się, że posunie się trochę za daleko w kontaktach ze mną albo jak to się chyba kiedyś mówiło „zaliczy pierwszą bazę”?

John cały zeszytywniał. Pierwszy raz w życiu Elizabeth wypowiedziała się na te tematy tak bezpośrednio. Wszystkie kobiece sprawy załatwiała za niego babcia Jen, włącznie z „rozmowami na te tematy”. John brał na siebie jedynie tradycyjny obowiązek patrzenia wilkiem na każdego absztyfikanta, który zaczynał kręcić się koło jego córki.

Zdawał sobie sprawę, że nie jest ojcem na miarę XXI wieku. Był być może odrobinę staromodny, ale w ten sposób został wychowany... Poza tym przez tak wiele lat zakładał, że „te rzeczy” leżą w gestii Mary.

- To w pewnym sensie z powodu mamy, prawda?

- Jak to?

- No wiesz. My straciliśmy mamę, ale ty straciłeś żonę, przyjaciółkę, wierną towarzyszkę. Jennifer i ja w pewnej mierze wypełniamy tę pustkę i w głębi serca nienawidzisz tego, że dorastamy, a dorastając, stopniowo odsuwamy się od ciebie.

Zamurowało go. Był zszokowany przenikliwą wypowiedzią córki.

- Dlaczego tak myślisz?

- Tak nam mówił terapeuta po śmierci mamy. I wiem, że to prawda. Ale nie martw się, tato, wszystko gra. Kocham cię i nigdy nie przestanę - powiedziała, stając na palcach, by pocałować go w policzek. - Zawsze będziesz moim facetem numer jeden.

Uściskał ją z oczami pełnymi łez.

- Dziękuję, córeczko.

Odsunęli się od siebie, oboje nieco zakłopotani.

- Zobaczą, co da się wyczarować na śniadanie - rzuciła Elizabeth i poszła do kuchni.

- Twoja mała dziewczynka bez wątplenia dorasta - stwierdziła Jen, podchodząc do niego i podając mu drugi kubek kawy.

John pociągnął nosem, przytaknął, a potem się uśmiechnął.

- Mary też taka była w wieku szesnastu lat. Mądra ponad swój wiek. Zdarzało się jej doprowadzać Tylera do pasji.

John wypił kawę. Zdążyła już trochę wystygnać, ale to nie szkodzi. Mimo wszystko dwie kawy i dwa papierosy na czczo nie wpłynęły najkorzystniej na stan jego żołądka.

- Pożyczysz mi tego swojego potwora na czterech kółkach? Chcę pojechać do miasta i zobaczyć, co się tam dzieje.

- Nie - powiedziała, a po chwili dodała z uśmiechem: - Ale jeśli chodzi o edsela, to już zupełnie inna para kaloszy...

*

Tym razem jechał autostradą międzystanową. Wszystkie samochody stały dokładnie w tych samych miejscach, gdzie poprzedniego wieczoru. Jezdnia była wyludniona, z wyjątkiem samotnego kierowcy ciężarówki, który siedział w kabinie przy otwartych drzwiach i zaciągał się cygarem. Pomachał do Johna. To był ten facet, którego widział wczoraj - ten z

pistoletem za plecami. Jego widok dodawał otuchy.

Kamień spadł mu z serca. Martwił się, że w nocy mogło tu się stać coś złego. Dokoła jednak panował spokój, żadnych znaków, że były jakieś problemy.

Wjechał na State Street, mijając budynek szkoły podstawowej. Drzwi frontowe były otwarte. Przez sekundę zastanawiał się, czy szkoła rzeczywiście była dziś otwarta, ale szybko zauważył, że wszystkie autobusy szkolne stoją na parkingu. Przy wejściu wisiała napisana odręcznie kartka: „Schron Awaryjny”.

Barbecue u Pete’a, restauracja po drugiej stronie ulicy, wystawiła na zewnątrz swój wielki grill, taki, jakiego używa się na festynach i jarmarkach. Był też Pete we własnej osobie. Miał na sobie swój absurdalny, różowy fartuch oraz różową czapkę szefa kuchni z namalowaną uśmiechniętą świnką. Na grillu ustawionych było kilka kociołków i czajników. Ludzie czekali w kolejce po kawę i barbecue na śniadanie. Cały Pete - zawsze się poświęcał na rzecz miasta.

John zatrąbił, Pete spojrzał na niego z wyrazem zdziwienia na twarzy, podobnie jak wszyscy ludzie ustawieni w kolejce, którzy go teraz dostrzegli.

Światła na skrzyżowaniu, do którego się zbliżał, były wyłączone, więc musiał zwolnić. Pół tuzina samochodów blokowało przejazd, zmuszony był więc przenieść się na drugi pas przeznaczony dla samochodów jadących w przeciwnym kierunku. Gdy dotarł do skrzyżowania, odruchowo rozejrzał się na obie strony. Dopadło go dziwne uczucie. Oczywiście w zasięgu wzroku nie było żadnego ruchu ulicznego, na skrzyżowaniu stały jedynie porzucone wozy. Wyminął je slalomem, skręcił w prawo i zatrzymał się przy sklepie Smiley’s. Wskoczył z auta i wszedł do środka.

- Czołem, Hamid, jak się masz?

Hamid był fascynującym przypadkiem. Pochodził z Pakistanu, ożenił się z tutejszą dziewczyną i kupił sklep kilka miesięcy przed atakami na World Trade Center. Dwa dni po tragedii pojawili się agencji FBI i aresztowali Hamida, powołując się na informacje, jakoby Pakistańczyk oświadczył publicznie, iż popiera ataki terrorystyczne w Nowym Jorku i z przyjemnością przyłożyłby rękę do prób zamachów tu, w okolicy.

Ku uciesze Johna, aresztowanie Hamida wywołało falę oburzenia. Miejscowi szybko połapali się, że oczerniającą plotkę puścił inny facet, ubiegający się o względy dziewczyny. Całe miasto wypięło się na konkurenta, stanęło murem za Hamidem i tak długo nękało senatora z Karoliny Północnej, aby zajął się tą sprawą, aż koniec końców Hamida wypuszczono na wolność. Na jego cześć urządzono w dzielnicy przyjęcie powitalne.

Następnego ranka w witrynie jego sklepu pojawiła się wielka kartka z odręcznym

napisem: „Jestem dumny, że jestem Amerykaninem. Niech Bóg was błogosławi, moi przyjaciele”.

Hamid stał za ladą. John podejrzewał, że ten facet dosłownie mieszka w swoim sklepie.

- Świat zwariował - powitał go Pakistańczyk. - Musiałem tu zostać na noc. Zbiegli się wszyscy ludzie z autostrady. Istny obłęd!

- Masz może kilka kartonów cameli lightów? - rzucił John.

Hamid pokręcił głową.

John wymienił kilka innych marek papierosów, aż stanęło na kool lightach.

- Są jeszcze trzy kartony.

- Biorę.

John wyjął portfel i zaczął wyciągać kartę kredytową.

- John, no wiesz, mamy awarię.

- A, tak, jasne...

Wyciągnął jakieś zaskórniaki. Pięćdziesiąt dolarów. O dziesięć za mało.

- Później doniesiesz mi resztę. Jesteś godnym zaufania klientem.

John zawahał się, zanim wziął papierosy.

- Posłuchaj, Hamid. Muszę ci coś najpierw powiedzieć... Zawsze uważałem cię za porządnego faceta. Nawet nie wiem, czy dać ci te pieniądze. Może być jeszcze gorzej, niż jest teraz.

Hamid spojrzał na niego zdezorientowany.

- Co masz na myśli, John?

John wskazał palcem banknoty leżące na kontuarze.

- Mam na myśli to.

- Pieniądze? - Pakistańczyk zaśmiał się. - Może w mojej dawnej ojczyźnie, ale tu, amerykańskie dolary? Żartujesz?

- Musiałem cię o tym uprzedzić. W ciągu paru dni karton papierosów może być wart o wiele, wiele więcej niż dwadzieścia baksów.

Hamid wziął banknoty i przesunął papierosy w jego stronę.

- Dzięki, John, rozumiem cię, ale bierz te fajki, przyjacielu.

John westchnął z ulgą. Przed chwilą oddałby wszystkie swoje pieniądze za jedną paczkę. Teraz jednak bez poczucia winy mógł wziąć aż trzy kartony.

- Dzięki, Hamid.

Wziął papierosy i rozejrzał się po sklepie. Prawie w ogóle nie było już piwa, tak samo

jak napojów gazowanych. Nie było też śladu po chrupkach, chipsach, pieczonych skórkach wieprzowych.

Hamid się zaśmiał.

- Ubiegła noc to był mój rekordowy utarg! W kasie mam pewnie kilka patyków.

- Hamid, wyświadczyć sobie samemu przysługę.

- To znaczy?

- Zdejmij z półki resztę papierosów i gdzieś je zabunkruj.

- Po co?

- Powiedzmy, że to inwestycja. Ceny produktów pójdą w górę.

Hamid pokręcił głową.

- Nie mogę tego zrobić. Schować je przed obcymi z autostrady, może i tak, ale przed moimi przyjaciółmi z miasta?

John się uśmiechnął.

- To tylko taka serdeczna rada, Hamid. Schowaj je gdzieś. Od tej pory, gdy będziesz chciał sprzedawać papierosy przyjaciołom, dawaj im po jednej paczce, nie więcej.

Zostawił Hamida, który od razu zaczął zdejmować kartony papierosów ze stojaków, i przejechał jeszcze jedną przecznicę do centrum miasta, znowu wymijając unieruchomione samochody. Następnie wjechał w Black Mountain Road, którą codziennie jeździł na swoją uczelnię. Po prawej stronie znajdował się komisariat policji i remiza strażacka. Zebrała się tam mała grupka ludzi. Wszyscy gapili się na jadącego autem Johna. Zatrzymał się, wysiadł z wozu i tym razem zamknął drzwi kluczykiem, który wrzucił do kieszeni.

- Hej, John, jakim cudem zmusiłeś tę starą bestię do jazdy?

To był Charlie Fuller, Dyrektor Bezpieczeństwa Publicznego w Black Mountain, co czyniło go szefem zarówno policji, jak i straży pożarnej. Był też wieloletnim członkiem Koła Miłośników Wojny Secesyjnej i często głównym przeciwnikiem Johna podczas dyskusji na temat zasadności racji Południa.

John omiół wzrokiem parking. Wszystkie wozy strażackie schowano w środku budynku, razem z karetką.

- Macie coś na chodzie? - zapytał John.

Charlie pokręcił głową.

- Nic. To była ciężka noc.

- To znaczy?

- Na dobry początek, jakieś pół tuzina zgonów.

- Co?!

- Głównie ofiary zawałów serca. Jeden schorowany facet z nadwagą przyszedł tu prosto z autostrady i stracił przytomność dokładnie w miejscu, gdzie teraz stoimy. Nie mam do dyspozycji karetki, nie mam nic! Zawołaliśmy doktora Kellora, ale kiedy się zjawił, facet był już martwy.

Charlie zawahał się, zanim znowu zaczął mówić.

- Trzy osoby umarły w domu opieki. Ale z Tylerem wszystko w porządku - dodał uspokajającym tonem. - Przynajmniej z tego, co ostatnio słyszałem... Przychodzą do nas ludzie, albo przyjeżdżają na rowerach, i składają doniesienia o różnych wypadkach oraz pożarze na Craggy.

- Tak, widziałem go.

- Ktoś mi powiedział, że to była katastrofa lotnicza. Rozbił się jakiś ogromny samolot. John nie skomentował tych przypuszczeń.

- John, wszystkie moje środki łączności nie działają. Naziemne linie telefoniczne, radio, wszystko trafił szlag. Nie mam żadnego sygnału od władz Asheville. Nie wiem nic!

- Tego się obawiałem.

Usłyszeli warkot silnika. John natychmiast rozpoznał ten odgłos. Zza rogu wyłonił się stary volkswagen van. Za kierownicą siedział Jim Bartlett, sąsiad Johna.

Jim zatrzymał wóz przy edselu i wysiadł. John na widok Jima zawsze wybuchał śmiechem - facet wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z wehikułu czasu, który przeniósł go do czasów obecnych prosto z lat siedemdziesiątych. Miał na sobie podarte dzinsy, koszulę bez kołnierzyka, a na głowie bandanę w stylu Williego Nelsona. Jediną oznaką tego, że czas dla Jima mimo wszystko nie stał w miejscu, była siwizna jego krótkich włosów oraz sięgającej mu aż do klatki piersiowej brody.

- Cześć, chłopaki. Co się dzieje?

- Ej, wy dwaj, musimy pogadać - powiedział Tom Barker, komendant policji, wychodząc z komisariatu.

- O w mordę - mruknął Jim. - Idzie szefunio.

- Jak się masz, Tom? - odezwał się cichym głosem John.

- Jak beznogi pies, po którym łażą wszy, a on nie może się podrapać - odparł. John uśmiechnął się, słysząc kolejne barwne powiedzonko Toma, charakterystyczne dla mieszkańców Południa. Zwrócił się w stronę Fullera.

- Charlie, mam do ciebie pytanie. Chcesz powiedzieć, że nie ma absolutnie żadnej łączności i że wszystkie samochody padły, z wyjątkiem mojego i tej tu bryki Jima?

- Zgadza się. Na chodzie jest też stary jeep w garażu Butlera. Poza tym widziałem

kilka starszych motorowerów i motocykli, no i antyczny, pamiętający czasy II wojny światowej jeep Maury'ego Hurta. Ten ostatni przeczesuje teraz autostradę, sprawdzając doniesienia o wypadkach.

- Niedobrze - zawyrokował John.

- Trudno mi się z tobą nie zgodzić - rzucił cicho Charlie.

- Gdzie jest Orville Gardner?

John wiedział, że Orville pracuje w centrum Asheville jako wicedyrektor Biura Zarządzania Kryzysowego w hrabstwie.

- Nie mam od niego żadnych wieści. Pewnie utknął w Asheville.

- Tom, Charlie, możemy wejść do środka i pogadać? - poprosił John.

- Po co? - zapytał Tom. - Najpierw chciałbym się dowiedzieć, dlaczego wy dwaj macie wozy na chodzie, a reszta z nas nie.

- Dlatego, że volkswageny są niezniszczalne, człowieku - odparł Jim, uśmiechając się szeroko.

John wszedł pomiędzy Jima i Toma.

- Panowie, spokojnie... Naprawdę uważam, że powinniśmy wejść do środka - nie dawał za wygraną. Mimo że większą część swojej kariery w wojsku spędził z nosem w książkach lub prowadząc wykłady, zdarzyło mu się też dowodzić oddziałami żołnierzy na polu bitwy i nadal pamiętał co nieco na temat tego, jakim tonem należy wydawać rozkazy. Teraz zrobił z tej wiedzy użytek.

Tom zjeżył się nieco, ale Charlie się uśmiechnął.

- Jasne, czemu nie. Pani burmistrz jest w środku. Przejdźmy się do jej gabinetu.

Trzej mężczyźni weszli do środka, na samym końcu pałętał się Jim. John nie chciał sprawić mu przykrości, ale odwrócił się i spojrzał na kolegę z uśmiechem.

- Posłuchaj, Jim. Wiesz, że jesteś wrzodem na tyłku Toma.

Na twarz Jima znowu wstąpił uśmiech.

- Co roku przeczesuje moją działkę, polując na trawkę, ale nigdy jeszcze nic nie znalazł.

- Może więc powinienes darować sobie tę naradę. Zamiast tego mógłbyś popilnować naszych bryk.

- Jasne, bracie! - Jim zasalutował po przyjacielsku.

John wszedł do gabinetu burmistrz Kate Lindsey. Podniosła wzrok znad biurka i popatrzyła na nich przekrwionymi oczami. John i Kate byli starymi przyjaciółmi. Kate i Mary znały się od dzieciństwa.

- Wyglądasz na ledwo żywą, Kate.

- Bo tak się czuję. Błędem było ubieganie się o trzecią kadencję. Nie dość, że bycie burmistrzem czasami jest przeklętą, niewdzięczną robotą, to w dodatku teraz coś takiego... Czy Tom mówił ci, że był u nas jakiś człowiek z domu opieki? Mają tam trzech martwych pacjentów.

- Wiem, słyszałem o tym.

- Jednym z nich jest chłopak Wilsonów.

John spuścił głowę i westchnął. Trzy lata temu, kiedy Josh Wilson był na pierwszym roku w college'u, miał wypadek samochodowy. Historia jak wiele innych: pijany sprawca uciekł z miejsca wypadku. Ofiarę, w stanie wegetatywnym, przy życiu utrzymywał tylko respirator. Rodzice chłopca nie tracili jednak nadziei... i raptem wszystko skończone.

- Byłam przekonana, że przepisy wymagają, aby wszystkie domy opieki posiadały zasilanie awaryjne. Ludzi, którzy tego nie dopilnowali, na sto procent czeka pozew sądowy - rzuciła ze złością Kate.

- A co z autostradą międzystanową? - zapytał John. - Jakież problemy? Zeszłej nocy miałem tam utarczkę z jakimś pijanym gościem.

- W tej chwili w areszcie mam czterech nietrzeźwych - poinformował go Tom. - Wśród nich pewnie jest twój chojrak. Chcesz skierować sprawę do sądu czy coś w tym stylu?

- Nie, dam sobie spokój.

- Kilka godzin temu przyjechał tu na rowerze jakiś człowiek z North Fork. Powiedział, że spaliła się u nich przyczepa kempingowa. Stara babcia Thomas spłonęła żywcem.

- A niech to diabli... - szepnął John.

Kate wyjrzała przez okno, a potem przeniosła wzrok na Johna.

- Dlaczego twój samochód i wóz Jima są na chodzie?

John rozejrzał się, szukając krzesła i usiadł, nie czekając na zaproszenie. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął złożony raport, który poprzedniej nocy znalazł na półce. Rzucił go na biurko Kate.

- Coś z czasów, kiedy pracowałem w szkole wojskowej.

- „Prawdopodobieństwo ataku asymetrycznego na kontynentalne Stany Zjednoczone”

- Kate przeczytała na głos tytuł widniejący na okładce.

- Wraz z paroma pracownikami mojej uczelni sporządziliśmy ten raport, przygotowując się do serii wykładów w 1996 roku. Rzecz jasna nikt nie zwrócił na to uwagi, z wyjątkiem oficerów uczęszczających na nasze zajęcia. Zatrzymałem sobie jeden egzemplarz na pamiątkę. Przeczytaj rozdział czwarty traktujący o EMP.

- EMP - powtórzył Charlie cichym głosem. - To było moje pierwsze skojarzenie, kiedy zobaczyłem na autostradzie wszystkie te samochody, w których nagle zgasły silniki. Cieszę się, że wpadłeś do nas, John. Prawdę mówiąc, liczyłem na to, że będziesz coś wiedział.

- Dobra, nie chcę zabrzmieć jak głupia baba w męskim gronie - odezwała się Kate ostrym tonem - ale czy możecie mi wreszcie powiedzieć, o czym, do jasnej cholery, gadacie?

John mimowolnie spojrzął na Toma.

- Coś mi dzwoni, ale nie pamiętam dokładnie, o co chodzi. Myślicie, że to jakiegoś rodzaju zamach terrorystyczny?

John przytaknął.

- EMP, czyli impuls elektromagnetyczny, jest efektem ubocznym wybuchu jądrowego.

- Ktoś na nas zrzucił bombę atomową? - zapytała Kate, wyraźnie zszokowana.

- Tak sądzę.

- Jezu Chryste! A co ze skażeniem radioaktywnym? Musimy natychmiast zacząć działać!

John pokręcił głową.

- Daj mi minutkę, Kate. To wszystko jest trochę bardziej skomplikowane. W wolnej chwili koniecznie przeczytaj raport, tam jest wszystko wyjaśnione.

- John, naprawdę ktoś zrzucił na nas bombę? Czy to oznacza, że jest wojna?

- Nie mam pojęcia, Kate. Na temat tego, co dzieje się poza Black Mountain, wiem teraz tyle, co i ty. Ale nawet sam ten fakt daje dużo do myślenia.

- Jak to?

John wziął głęboki wdech. Wlepił wzrok w styropianowy kubek stojący na biurku Kate oraz na papierowy talerzyk pokryty okruchami.

- Słuchajcie, głupio mi z tym wyskakiwać, ale... konam z głodu i nie pogardziłbym odrobiną kofeiny.

Przez chwilę nikt się nie ruszał. Kate siedziała nieruchomo w swoim fotelu, nie drgnąwszy nawet o milimetr.

- Na zewnątrz mamy czajnik z wodą - odezwał się w końcu Charlie i wyszedł z pokoju. Wrócił po minucie z kubkiem kawy, czarnej, takiej, jaką zawsze pijał John. O dziwo, przyniósł też bekon i jajka.

- Wyobraźcie sobie, że EMP, impuls elektromagnetyczny, to coś w rodzaju pioruna, który uderzył w linię elektryczną albo linię telefoniczną podczas burzy. BUM! Nagle cały sprzęt elektroniczny w waszym domu jest spalony, szczególnie delikatne rzeczy z układami

scalonymi w środku. Mikroczip w komputerze pracuje na setnych ampera, a ten piorun ma ładunek tysięcy amperów. Niszczy każdy sprzęt.

Kate nie odezwała się ani słowem. Dała mu chwilę na to, by pożarł łączywie jedno z jajek i kawałek bekonu. Po chwili mógł mówić dalej:

- Pierwszy raz zauważono tę niszczycielską falę w latach czterdziestych XX wieku, kiedy zaczęliśmy się bawić bombami atomowymi. Nie była zbyt duża, ponieważ ówczesną broń jądrową można określić jako raczej prymitywną, ale nie zmienia to faktu, że już wtedy odnotowano jej obecność. Sęk w tym, że nie istniały wówczas żadne urządzenia wykorzystujące technologię półprzewodnikową. We wszystkim tkwiły jeszcze lampy elektronowe, więc bardzo rzadko się zdarzało, by te słabe impulsy wywołane przez pierwsze bomby uszkodziły ten czy inny sprzęt. A teraz przenieśmy się w nasze czasy - kontynuował John. - Kiedy w 1996 roku pisałem z kolegami tamte artykuły o EMP, doszły nas pogłoski, że Chińczycy prowadzą intensywne badania na temat tego, jak zwiększyć moc impulsu elektromagnetycznego wywołanego wybuchem termojądrowym. Jak sprawić, by ów efekt był tysiące razy potężniejszy.

- Czyli to Chińczycy nas zaatakowali? - zapytał Tom. - Przekląte bydłaki!

- Nie wiem - odparł John nieco poirytowany. - Nikt nie wie, przynajmniej nikt tutaj, przynajmniej na razie. Może nawet w Pentagonie nie mają jeszcze o niczym bladego pojęcia.

Po tych słowach zamilkł, bo od razu jego myśli powędrowały do Boba Wrighta. Czy Pentagon w ogóle jeszcze istnieje? Nie docierały tu od nich żadne wiadomości. Jeden ze scenariuszy, który wydał im się całkiem prawdopodobny podczas pisania raportu, przewidywał najpierw atak EMP, aby zerwać łączność w całym kraju, a potem detonację kilku naziemnych bomb nuklearnych w kluczowych miejscach, aby zwieńczyć dzieło. Rzecz jasna pierwszym w kolejności celem byłby Waszyngton.

Niewiedza i niepewność doprowadzały go do szału.

- Jak to możliwe, że nikt tu nie ma o niczym pojęcia? - rzuciła gniewnie Kate.

- Na tym właśnie polega cała idea ataku EMP - wyjaśnił John. - Nieważne, czy mówimy o zakrojonym na wielką skalę ataku ze strony tradycyjnego wroga, takiego jak Związek Radziecki podczas zimnej wojny, czy o współczesnym zamachu terrorystycznym. Detonujesz bombę atomową, wywołuje to potężną falę elektromagnetyczną, która niszczy wszelkie łącza komunikacyjne oraz wiele innych rzeczy, a potem albo siadasz i podziwiasz swoje dzieło albo idziesz za ciosem i działasz dalej. Straszna rzeczą, którą sobie uświadomiliśmy, było to, że jakiś trzeciorzędny pomyleniec, jakaś komórka terrorystyczna czy kraj typu Korea Północna albo Iran, dysponując zaledwie jedną czy dwiema bombami

atomowymi, jest w stanie mieć równe szanse w starciu z nami pomimo tego, że my w przeciwieństwie do nich jesteśmy uzbrojeni po zęby. To właśnie oznacza termin „atak asymetryczny”.

- Czyli teraz w całym kraju panuje taka sytuacja jak tutaj? - chciała wiedzieć Kate. - Czy tylko nas tak urządzili?

John pokręcił głową.

- Przepraszam, jestem trochę zmęczony, większość nocy spędziłem, pilnując domu. Pozwól więc, że wytłumaczę to wszystko po kolei, jeśli wam to nie przeszkadza.

- Jasne, John, powoli, nie spiesz się - zainteresował Charlie.

- Chodzi o to, że w tym samym czasie, kiedy rosła potencjalna siła impulsu elektromagnetycznego, nasz sprzęt elektroniczny stawał się coraz bardziej nieodporny. Wiercie mi na słowo, nie mam pojęcia o technicznych szczegółach całej tej akcji. Wiem tylko tyle, że to cholerstwo ma miejsce, kiedy wybucha bomba atomowa. Moi koledzy i ja doszliśmy do wniosku, że nawet mały ładunek atomowy da się podkręcić tak, by miał wielką siłę rażenia elektromagnetycznego.

- Nikt nie widział eksplozji - odezwał się Charlie. - Uwierz mi, pytałem kogo się da, podejrzewając to samo, co ty.

- To jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy. Wszystko jest w raporcie. - John wskazał ręką dokument leżący na biurku Kate.

Burmistrz spojrzała na raport i przerzuciła kilka stron.

- Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli skserujemy to w paru egzemplarzach, żeby... - nagle urwała, lekko się czerwieniąc. Zdała sobie sprawę, że palnęła głupstwo.

- Nie przejmuj się, Kate. Trudno się człowiekowi do tego przyzwyczaić. - Uśmiechnął się, chcąc dodać jej otuchy. - Dziś rano próbowałem zrobić sobie kawę w ekspresie.

Zerknęła na niego nieco zakłopotana, po czym skinęła głową.

- Mów dalej, John.

- Okej, wracając do pytania, które zadał Charlie. Z efektem EMP mamy do czynienia tylko wtedy, gdy zdetonuje się bombę ponad atmosferą. To się nazywa Efekt Comptona. Czytałem o tym, ale nie bardzo wszystko ogarniam. Przydałby się jakiś jajogłowy ekspert. Z grubsza chodzi o to, że wybuch ponad atmosferą wywołuje elektrozakłócenia, coś na kształt burzy, która spada w niższą warstwę atmosfery jak piorun magnetyczny, i bingo! Wszystko, co opiera się na elektronice, zostaje załatwione na cacy.

- Wystarczy jedna bomba? - zapytała Kate.

Przytaknął.

- Pamiętacie odbiorniki telewizyjne z lat pięćdziesiątych i wczesnych sześćdziesiątych z lampami, które piekielnie się nagrzewały? A teraz telewizorek mieści się w ręku mojego dziecka, kiedy gra w te swoje przeklęte gierki.

John zastanowił się przez chwilę nad tym, czy przestały działać wszystkie kieszonkowe zabawki komputerowe... Jeśli tak, nie będzie po nich płakał.

- No więc cały sprzęt robi się coraz bardziej delikatny, a jednocześnie coraz bardziej czuły na najłżejsze nawet przepięcie elektryczne. Możliwe, że ktoś zdetonował bombę nuklearną tak skonstruowaną, by miała maksymalny ładunek EMP, i wszystko, co znalazło się jej w polu rażenia, zostało usmażone, nawet jeśli było oddalone o tysiąc mil. Podobny los spotkał urządzenia podpięte pod naszą sieć elektryczną. Przewody elektryczne są jak gigantyczne anteny, jeśli chodzi o EMP, i prowadzą ten impuls prosto do naszych domów, przez gniazdka w ścianach. A potem bam! Trafia we wszystko, co jest pod nie podłączone.

- A co z listwami przeciwprzepięciowymi? - nie dawała za wygraną Kate. - Wydałam sto zielonych na taki bezpiecznik do mojego nowego telewizora.

John pokręcił głową.

- W tym przypadku są bezradne - wtrącił się Charlie.

John spojrzał na niego.

- Mieliśmy jedno, dosłownie jedno spotkanie informacyjne na ten temat dwa lata temu - poinformował szef bezpieczeństwa. - Zrobili sto wykładów na temat innych zagrożeń, a na temat tego, tylko jedno. Pamiętam jednak, że ktoś zadał takie pytanie. Zdaje się, że cały ten impuls elektromagnetyczny porusza się o wiele szybciej niż zwyczajne przepięcie, na przykład z powodu uderzenia pioruna. Nie chodzi o to, że jest szybszy w sensie prędkości, tylko że szybciej uderza, trzykrotnie lub czterokrotnie szybciej niż piorun, który trafił w linię elektryczną. Tak szybko, że przekaźnik wewnątrz filtru antyprzepięciowego nie zdąży się nawet uruchomić i bum! cały system jest usmażony. Właśnie dlatego to jest tak cholernie niebezpieczne. Przepala wszystkie sprzęty elektroniczne, zanim te wbudowane bezpieczniki zdążą zareagować.

- John, nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie o ten twój przeklęty samochód - sapnął Tom. - Dlaczego jest na chodzie, a moich sześć radiowozów zdechło na amen?

- To z powodu elektroniki - odezwał się znowu Charlie. - Dlatego właśnie pomyślałem, że to może być atak EMP. Ale uznałem, że lepiej się z tym nie wychylać.

- Dlaczego nie? - zdziwił się Tom.

- Z powodu paniki. Kilka miesięcy temu znalazłem w Internecie artykuł na ten temat. Przedstawił całą sprawę w o wiele gorszym świetle, niż gdy mówili nam o tym dwa lata

temu. Niektórzy ludzie, u których nie cieszymy się sympatią, podobno wkładają mnóstwo czasu i pieniędzy w osiągnięcie większego efektu.

- Dlaczego więc nie zrobiliśmy nic, żeby się przed tym zabezpieczyć? - spytała Kate. - Do diabła, wynalezienie lepszego filtra przepięciowego nie jest chyba aż tak trudne?

John westchnął i spuścił głowę. Niestety, pani burmistrz miała rację.

- Kate, to dość zawile kwestie techniczne, powiem tylko, że oznaczałoby zmodernizowanie od groma sprzętu i kosztowało setki miliardów dolarów. Poza tym mnóstwo wysoko postawionych osób dosłownie przysypiało, kiedy naukowcy zaczęli tłumaczyć całą sprawę przy użyciu swojego technicznego żargonu. Ich raporty lądowały w jakichś komitetach, a potem...

- A potem stało się to, co teraz - przerwał mu Charlie chłodnym tonem.

John przytaknął. Sam również czuł frustrację.

- Globalne ocieplenie? Proszę bardzo, wydajmy setki miliardów dolarów na to, co być może jest zagrożeniem, chociaż wielu twierdzi, że nie jest. Ale o tym trąbią media, głos zabierają wielkie gwiazdy i politycy. EMP nie trafiło na czołówki gazet i do serwisów informacyjnych, więc nie dotarło do niczyjej świadomości, z wyjątkiem nielicznych.

- I tak nie łapię, o co chodzi z tymi samochodami - wrócił do swojego pytania Tom. - Nie działają komputery, to rozumiem. Ale samochody?

- Każdy samochód wyprodukowany mniej więcej po roku 1970 ma pod maską masę elektroniki - wyjaśnił John. - Pamiętacie taki przeżytek znany jako gaźnik? To dzięki niemu działał silnik, zanim pojawił się układ wtryskowy i zapłon elektroniczny. Dlatego właśnie wóz mojej teściowej, stary ford edsel, i volkswagen Jima Bartletta są nadal na chodzie. Ich silniki nie są skomputeryzowane, a w radioodbiornikach mają lampy elektronowe. Przepięcie w ich przypadku nie miało czego usmażyć. Więc jeżdżą sobie, jak gdyby nigdy nic. We współczesnych samochodach wszystko jest połączone z jakiegoś rodzaju komputerem. Oto lepsze życie, które zawdzięczamy rozwojowi nauki...

John wyłowił z kieszeni papierosa, lecz po chwili zamarł. Kate wbiła w niego wrogie spojrzenie, tak samo jak Tom. We wszystkich budynkach publicznych w mieście obowiązywał zakaz palenia.

Zawahał się, ale chciało mu się palić jak diabli.

- Słuchajcie, jeśli chcecie, żebyśmy dalej gadał, muszę zapalić.

- Mary skopałaby ci tyłek, gdyby wiedziała, że nadal ćmisz - oznajmiła Kate.

Popatrzył na nią wymownie. To przez śmierć Mary wrócił do palenia po dziesięcioletnim okresie abstynencji. Wojsko zaczęło mieć fioła na punkcie palenia. Jeśli

palileś, księgowi i aktuariusze z Pentagonu blokowali ci awans. Twierdzili, że nie ma sensu inwestować w faceta, który być może przez nałóg umrze przedwcześnie.

- Dobra, zapal sobie - rzuciła Kate niepewnie. - Mnie też poczęstuj tym cholernym świństwem.

Nie wiedział, co zrobić. Nie chciał wprowadzać nikogo z powrotem na ścieżkę grzechu, ale w tym wyjątkowym dniu... pal licha!

Kate zapaliła papierosa, oparła się wygodnie w fotelu, a potem zaciągnęła się głęboko, wypuściła dym i westchnęła.

- Rany boskie, od sześciu lat miałam na to ochotę. Cholernie dobre!

Kilka sekund później na jej twarzy pojawił się nawet uśmiech, pierwszy raz, odkąd John wszedł do jej gabinetu.

- Aż kręci mi się w głowie - mruknęła i znowu się zaciągnęła.

- Niemal w każdej rzeczy jest teraz ukryty jakiś komputer - kontynuował John. - Kasy fiskalne, telefony, zabawki, samochody, ciężarówki. Ale i tak najbardziej podatny na atak był nasz system dystrybucji prądu. Aż się prosił, żeby ktoś w tę zagmatwaną sieć w końcu uderzył.

Tom oparł się o ścianę i wyrzucił z siebie cichą wiązkę przekleństw.

- A można by pomyśleć, że oni to przewidzą... Że coś z tym zrobią.

- Jacy oni?

- Chryste, John, przecież wiesz! Prezydent, Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Do diabła, prawie codziennie dostawałem e-maile na temat alarmów terrorystycznych, ćwiczeń pod tytułem „co zrobić, jeśli terroryści porwą ciężarówkę załadowaną odpadami atomowymi”. W ubiegłym roku mieliśmy nawet ćwiczenia w szpitalu, na wypadek gdyby wybuchła epidemia jakiejś zarazy. W magazynie mam dwadzieścia kombinezonów ochronnych. A o całym tym EMP nie słyszałem ani jednego słowa.

John westchnął.

- Wiem. Większość ludzi po prostu nie zaprzętała sobie tym głowy. Dla niektórych to była tylko fantastyka naukowa. Ale teraz to nie ma żadnego znaczenia.

- Mimo wszystko nadal martwię się promieniowaniem - wyznała Kate. - Opadami radioaktywnymi.

- Nie martw się o to.

- Mówisz to z taką pewnością siebie...

- Czy macie jakieś działające radio? - spytał John.

Tom pokręcił głową.

- A ja mam.

- Jak to?

- W edselu. To stare radio lampowe. Sprawdzalem je ubiegłej nocy. Na wszystkich częstotliwościach szum i nic poza tym. Gdyby to była lokalna awaria albo gdyby zdetonowali bombę nad Atlantą i Charlotte, to i tak moglibyśmy odbierać sygnały stacji radiowych ze środkowego zachodu i z północnego wschodu.

- Dlaczego?

- Efekt ma charakter horyzontalny. Tak jak mówiłem, obejmuje wszystko dookoła. Podejrzewam, że to musiała być jedna, góra trzy bomby, zdetonowane kilkaset mil ponad ziemią. Pole rażenia objęło większość kraju... a może nawet całe Stany. Opady radioaktywne to produkt uboczny tego, że w wyniku wybuchu bomby wylatuje w powietrze gruz. Z kolei wysadzenie bomby EMP ponad atmosferą ziemską to inna para kaloszy. Tak więc, przynajmniej nie musimy się martwić promieniowaniem.

- Jezu Chryste... - jęknął Charlie.

Ten komentarz zaskoczył Johna. Wzywanie imion świętych to grzech, mimo że przeciętny katolik na takie rzeczy w ogóle nie zwraca uwagi. Charlie jednak był ortodoksyjnym baptystą, na dodatek z Południa, więc usłyszeć z jego ust takie słowa było prawdziwym szokiem...

- Jak myślisz, kto nas tak urządził?

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? - odbił piłeczkę John.

- Tak, dla mnie może ma - odparł Tom. - Mam w tej chwili syna w Iraku. A jeden z moich siostrzeńców służy w marynarce wojennej i krąży gdzieś na swojej łajbie po Pacyfiku. Więc tak, chciałbym wiedzieć, z kim, do cholery, przyjdzie nam walczyć. Jeśli za bombą stoją żółtki, będzie w to zaplątany mój siostrzeniec. Jeśli to sprawka Arabów, padnie na mojego syna.

- Nie sądzę, żeby to były Chiny - odparł John spokojnym głosem.

- Dlaczego nie? Sam mówiłeś, że prowadzili badania...

- Badania, owszem, ale używanie tej technologii już przy pierwszym ataku? Śmiem wątpić. A poza tym są tak samo nieodporni na impuls elektromagnetyczny jak my. I doskonale wiedzą, że gdyby nas zaatakowali, odpłacilibyśmy im tym samym.

- My też mamy takie bomby?

- Jasne jak słońce. A myślisz, że czym groziliśmy Saddamowi w 1991 roku? Charlie, byłeś tam wtedy, tak samo jak ja, pamiętasz?

- Taa... Mówiło się, że jeśli rąbną w nas jakąkolwiek bronią masowego rażenia, to my

walniemy im bombę atomową jakieś dwadzieścia mil nad Bagdadem.

- Kiedy bomba atomowa wybuchła ponad atmosferą ziemską, a nawet w wyższych warstwach atmosfery, wywołuje tę elektryczną reakcję łańcuchową, o której wspominałem. To przypomina rozbłysk słoneczny. Zazwyczaj górna atmosfera wchłania zakłócenia magnetyczne rozbłysku, a ludzie na północy kraju widzą to wszystko pod postacią zorzy polarnej. Jeśli jednak mamy do czynienia z większym wybuchem, zakłócenia docierają na ziemię i zaczynają indukować przepięcia. Dlatego groziliśmy Saddamowi atakiem EMP, gdyby postanowił czymś nas potraktować - wyjął John. - Wybuch sparaliżowałby całą sieć wysokiego napięcia środkowego Iraku oraz cały ich system dowodzenia i kontroli. Ostatecznie nic nam nie zrobili, więc my im też nie.

- Ale czy taki atak nie zniszczyłby przy okazji naszego sprzętu? - zapytała Kate.

- Nie. Pamiętaj, chodzi o linię wzroku. Wybuch miałby miejsce dwadzieścia mil nad Bagdadem, a nasze siły zbrojne w Arabii Saudyjskiej znajdowałyby się poniżej linii horyzontu. Poza tym cały nasz sprzęt został w różnym stopniu uodporniony na impuls elektromagnetyczny. Za prezydentury Reagana wpompowano w to mnóstwo kasy.

- To znaczy, że tu, na terenie Stanów, nasze siły zbrojne są bezpieczne? - dopytywała się Kate.

- Wątpię. O tym właśnie mówi raport, który ci dałem. Od czasów Reagana niewiele się z tym działo. Każda kolejna administracja lekceważyła temat, a w tym samym czasie nasz sprzęt stawał się coraz bardziej podatny na uszkodzenia spowodowane impulsem. Pamiętasz, jak wszyscy byliśmy pod wrażeniem zaawansowania technologicznego, jakie osiągnęliśmy na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku? W porównaniu z tym, czym obecnie dysponujemy, tamte urządzenia wydają się teraz prymitywne niczym silnik parowy. Pracując nad ulepszeniem komputerów i innych urządzeń wykorzystujących elektronikę, za bardzo skupiliśmy się na miniaturyzacji, a zaniedbaliśmy kwestie zabezpieczenia przed atakiem EMP.

John wrzucił niedopałek do pustego kubka po kawie. Podsunął Kate drugiego papierosa, którego wzięła bez wahania. Sam też znowu zapalił.

- W takim razie, kto za tym stoi?

- Gdybym miał postawić swoją kasę... to może wytypowałbym Koreę Północną, może terrorystów z Bliskiego Wschodu, którym broń dostarcza Iran albo Korea, albo oba te państwa. Jeśli chodzi o głowice bojowe, wszyscy wiemy, że po Związku Radzieckim zostało ich wystarczająco dużo. Wcześniej czy później ktoś musiał położyć na nich łapy, przynajmniej z powodu zabaweczek, które znajdują się w środku, a które robią wielkie BUM.

Irańczycy i Koreańczycy też się pocili nad wyprodukowaniem bomby atomowej. Ale musieliby być kompletnie szurnięci, żeby strzelić w nas trzema czy czterema bombami, kiedy my moglibyśmy zetrzeć ich z powierzchni ziemi, posyłając im w ramach odwetu nawet tysiąc atomówek. Wystarczy jednak, że udałoby im się przerobić te swoje bomby na broń typu EMP i wygrywają. Przynajmniej w tym sensie, że zadaliby nam cios o wiele silniejszy, niż się spodziewaliśmy. Może wystrzelili raketę z głowicą z łodzi podwodnej - kontynuował John - a może z transportowca, który stanął sobie kilka mil morskich od naszego wybrzeża? Z takiej odległości nawet stara rakietka typu Scud mogłaby wystrzelić ładunek na odpowiednią wysokość. Wystarczyłby jeden pocisk, no, może dwa albo trzy, żeby uziemić i sparaliżować cały nasz kraj.

- Za to, co nam zrobili, zmieciemy tych bydlaków z powierzchni ziemi! - wybuchnął Tom.

- Prawdopodobnie już coś w tym kierunku zrobiliśmy. Myślisz jednak, że oni się tym przejmą? Mają to gdzieś. Przywódcy przeżyją, pewnie schronili się w bunkrach pod ziemią, a teraz dławią się ze śmiechu. Jeśli podejmiemy akcję odwetową, powiedzą swoim ludziom, tym, którzy przeżyją, że to my pierwsi w nich uderzyliśmy. I tak oto zdobędą miliony nowych wyznawców.

- To wszystko do mnie jeszcze nie dociera - westchnęła Kate.

- Sun Tzu - odezwał się nagle Charlie.

John spojrzał na niego i się uśmiechnął.

- Wróg nigdy nie uderzy cię tam, gdzie jesteś najsilniejszy... Uderzy cię tam, gdzie jesteś najsłabszy. Jeśli nie znasz swoich słabych punktów, możesz być pewny, że zna je twój wróg.

Cała trójka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- No co? Pamięta się te kilka rzeczy z college'u...

Przez chwilę wszyscy milczeli.

- To, co się zdarzyło gdzieś tam - zaczął John spokojnym głosem - jest dla nas bez znaczenia. Znaczenie ma to, co dzieje się tutaj, w Black Mountain.

- Kiedy będziemy znowu mieli prąd? - zapytała Kate. - I kiedy dostaniemy jakieś instrukcje postępowania z Waszyngtonu? Albo chociaż z Raleigh lub Asheville?

Ni stąd ni zowąd w głowie Johna pojawił się fragment *Loreny*, starej pieśni z okresu wojny secesyjnej: „to może trwać lata, to może trwać wiecznie...”.

- To może potrwać tygodnie, miesiące, nawet lata - wypowiedział na głos nieco złagodzoną wersję tego, co chodziło mu po głowie. Nie zdobył się jednak na to, by spojrzeć

Kate w oczy.

Jeszcze wczoraj największą zmorą burmistrz była burzliwa dyskusja tocząca się w mieście na temat tego, kto powinien poprowadzić w tym roku paradę z okazji czwartego lipca. To, oraz nieustanne spory z Asheville na temat zużycia wody.

- Musimy ustalić priorytety - zarządził Tom. - Na pierwszym miejscu postawiłbym bezpieczeństwo. Od rana mam na głowie pięciuset zupełnie obcych ludzi. A więc, tak na dobry początek, co, u diabła, mamy z nimi zrobić?

Wśród obecnych zapadła cisza.

- No cóż... - odezwała się w końcu Kate. - Nie możemy ich stąd tak po prostu wyrzucić.

John milczał.

- Musimy ustalić priorytety, żeby przetrwać kryzys - upierał się Charlie.

Każdy z nich zaczynał być podminowany. John uświadomił sobie, że przez ostatnie piętnaście godzin czekali, aż ktoś powie im, co mają robić. Powoli zaczynała docierać do nich brutalna prawda: być może ten ktoś się nie pojawi, być może już nie istnieje.

- Woda to podstawa - oświadczyła Kate. - Kiedy zbiornik na szczycie wzgórza zostanie opróżniony do dna, większość miasta będzie odcięta od wody. Bez działających pomp nie mamy żadnej możliwości ponownego napełnienia zbiornika. A pompy potrzebują prądu. To może się stać w ciągu jednego dnia.

- I tak mamy szczęście - zauważył Charlie. - Większość miasta jest zaopatrywana w wodę dzięki sile grawitacji. Zapora znajduje się siedemset pięćdziesiąt metrów ponad poziomem morza, więc przynajmniej tu w centrum nie będziemy mieć tego kłopotu. Niemniej każdy człowiek mieszkający powyżej zapory będzie odcięty od wody.

John uświadomił sobie, że zalicza się do tych właśnie nieszczęśników. Jego sąsiad miał przy podjeździe tabliczkę z napisem: „800 m n.p.m.”. Znajdowali się pięćdziesiąt metrów ponad punktem, w którym woda płynie w rurach dzięki sile grawitacji. Przynajmniej, dzięki Bogu, mamy basen, pomyślał.

- Jedzenie - rzucił Tom. - Jezu, przecież bez prądu nie da się mrozić jedzenia!

John siedział cicho. Palił trzeciego papierosa, podczas gdy reszta obecnych klóciła się na temat tego, jakie powinni podjąć teraz działania.

- Muszę załatwić coś bardzo ważnego w aptece, gdy tylko ją otworzą, i wpaść choć na chwilę na uczelnię - poinformował John, wcinając się w dyskusję. - Powiedziałem wam w zasadzie wszystko, co wiem, pozwólcie więc, że już się ulotnię.

Wstał i ruszył w stronę drzwi.

- John.

Spodziewał się tego. To był Tom.

- Chodzi o twój samochód.

- Co z nim?

- Chcę go mieć.

- Po co?

- Muszę się czymś poruszać.

- Wskakuj na rower. Dobrze ci to zrobi.

- John, nie pieprz mi tu głupot. Potrzebuję tego wozu. Podrzucę cię do domu, ale muszę go mieć.

John obrzucił spojrzeniem Kate, a potem Toma.

- Ten samochód należy do mnie i mojej rodziny. Chcesz wprowadzić stan wyjątkowy?

- Chyba będziemy do tego zmuszeni - odezwała się Kate cichym głosem.

- Gdy już to zrobicie, przyjdź i spróbuj mi go zabrać, Tom.

- Co masz na myśli, mówiąc „spróbuj”?

- Dokładnie to. Spróbuj.

Tom stał bez słowa, tak jak reszta, po czym kiwnął głową.

- Dobra, John.

John zerknął na Kate, która westchnęła, a następnie skinęła głową na znak zgody.

- Wybacz, John, poniosło nas.

- Nie ma sprawy. Mam dla ciebie małą radę.

- To znaczy?

Wskazał palcem papierosa, którego trzymała w dłoniach.

- Skoro znowu palisz, to radzę ci wpaść do Smiley'a i zaopatrzyć się w kilka kartonów. Płatne tylko gotówką. Jeśli Hamid powie ci, że nie ma już kartonów, użyj swojego autorytetu i zmusz go. Chomikuje je na zapleczu sklepu. Lepiej już teraz zrób zapasy, bo na pewno ci się przydadzą.

Odwrócił się ku drzwiom. Po chwili zdał sobie sprawę, że Tom ruszył w ślad za nim.

- O co, do cholery, chodzi tym razem? - burknął John.

Tom wahał się kilka chwil.

- Słuchaj, John. Przepraszam. Od wczoraj nie zmrzyłem oka. Sorry za moje zachowanie tam w środku. - Wskazał ręką gabinet Kate.

- Przepraszam. Nie chciałbym teraz być na twoim miejscu.

- Słuchaj, stary. Wiem, że nie jestem najbardziej bystrym facetem pod słońcem. To ty

jesteś gościem, co ma łeb nie od parady. Ale lubię swoją robotę i zawsze starałem się wykonywać, co do mnie należało. Nigdy jednak nie spodziewałem się, że przyjdzie mi się zmierzyć z czymś takim.

- Wiem, Tom. Cholera, mam nadzieję, że wszystko, o czym wam przed chwilą opowiedziałem, okaże się nieprawdą. Moją pierwszą myślą było, że to jakaś dziwaczna burza magnetyczna. Może więc grubo się myłę i za dziesięć minut włączą się wszystkie światła?

- Myślisz, że to możliwe? - zapytał Tom z nadzieją w głosie.

John niechętnie pokręcił głową, podszedł do samochodu, otworzył drzwi kluczykiem i wsiadł. Poczłł niemal ukłucie winy, kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, a silnik zawarczał. Wszyscy zebrani na parkingu odprowadzali go wzrokiem, dopóki nie zniknął im z oczu.

*

Droga do college'u była krótka. John czuł, że musi tam zajrzeć, sprawdzić sytuację i nastroje.

Kiedy wjechał na teren kampusu i zatrzymał się naprzeciw budynku Gaither Hall, w którym mieściło się biuro dyrektora, wiele głów odwróciło się w jego stronę.

- Hej, profesorze, ale wypasiona bryka! - krzyknął ktoś.

John przytaknął i się uśmiechnął.

Rozmowa z rektorem Huntem zajęła mu zaledwie kilka minut. Hunt, ogólnie rzecz biorąc, miał takie same podejrzania jak John, i już zaczął zaprowadzać porządek na uczelni. Dzieciaki od rana opychały się stekami i lodami. Opróżniały zamrażarki w ekspresowym tempie, ładując wszystko do swoich żołądków. Cokolwiek było zakonserwowane albo w puszkach mogło poczekać.

Młodzież na tym małym kampusie była dobrą ekipą, rwącą się do pomocy. Zorganizowano grupkę do spychania samochodów ze środka jezdni na pobocza, inni taszczyli wiadra wody aż z samego jeziora, żeby utworzyć prowizoryczne zbiorniki wodne w pobliżu budynków, na wypadek pożaru. Basen miał służyć jako źródło wody pitnej, a cztery przenośne toalety, zostały z jękiem i narzekaniem przeniesione z placu budowy nowej sali gimnastycznej oraz paru nowych domów na Niedźwiedzim Stoku i postawione naprzeciwko akademików.

Szef ochrony kampusu, Washington Parker, wśród większości studentów miał do tej pory reputację „ochroniarza do wynajęcia”, którego wolno było dręczyć wypominaniem mu, że przysypia w nocy podczas pilnowania budynków uczelni. Był żołnierzem piechoty morskiej, z której odszedł w stopniu sierżanta, i uważał, że gdy się ma na karku

sześćdziesiątkę, można pozwolić sobie na dobroduszość w stosunku do podopiecznych. Czasem tylko zrugął jakiegoś dzieciaka za pijaństwo w miejscu publicznym albo omiatał światłem latarki zaparkowane samochody, by przerwać gorące scenki odbywające się wewnątrz. Dzisiaj jednak spotkał się już z najmocniejszymi członkami drużyny koszykarzy i ich trenerem, aby przedyskutować kwestię zapewnienia bezpieczeństwa kampusowi i wprowadzenia całodobowego dozoru.

Przez lata Washington bardzo poważnie podchodził do swoich obowiązków, pomimo faktu, że jeśli istniał jakiś bezpieczny kampus w górach zachodniej części Karoliny Północnej, to znajdował się właśnie w Black Mountain. Zdarzało się, że w ciągu roku, a nawet dwóch, nie miało tu miejsca ani jedno drobne przestępstwo, nie wspominając o poważniejszych wykroczeniach takich jak gwałt, napaść czy twarde narkotyki. Mimo to Washington Parker z nabożeństwem uczestniczył w każdej konferencji dotyczącej bezpieczeństwa na terenie kampusów, jaką tylko organizował rząd. Szczególnie upodobał sobie te, na których podejmowano kwestię potencjalnego ataku terrorystycznego na kampus. Swego czasu rozmawiał z Johnem na ten temat, zwracając mu uwagę na fakt, że, ogólnie rzecz biorąc, cieszą się oni tak cholernie dużym poczuciem bezpieczeństwa w tym górskim zakątku, że ich kampus paradoksalnie stanowi idealny cel takiego ataku.

John, wycofując się sprzed Gaither Hall i zawracając wóz, by ruszyć z powrotem do miasta, dostrzegł Washingtona stojącego przy bramie i od razu wyhamował. Parker spojrzał na niego, po czym zasalutował.

- Dobry, pułkowniku.

To był ich stary żart - tytułowali siebie nawzajem pułkownikiem i sierżantem, lecz dzisiaj czuli się z tym bardzo dziwnie.

- Wpadł pan na przegląd wojsk? - zapytał Washington.

- Pomyślałem sobie, że wpadnę sprawdzić, co u was słychać.

- To EMP, prawda?

- Skąd wiesz?

- Wystarczy spojrzeć na pański samochód, sir... - rzucił Washington, nieco zaciągając. Miał głęboki, afroamerykański akcent rodem z Karoliny Południowej, zmieszany z urywanym tonem, właściwym dla byłego sierżanta musztrującego rekrutów. - Jeździ, bo nie ma w nim żadnej elektroniki. Założę się, że mustang pana teściowej też ruszy z miejsca.

John nie wpadł na to. Dom Jen znajdował się nieopodal kampusu, można było do niego dojść pieszo. Uświadomił sobie, że teraz odległości zacznie się mierzyć w oparciu o chodzenie na piechotę, a nie jazdę autem.

- Czyżbyś coś sugerował, sierzancie?

- Tak, pułkowniku, dokładnie to właśnie robię. Dobrze byłoby mieć tutaj przynajmniej jeden pojazd, żebym w razie czego mógł się szybko przemieszczać. Poza tym, kiedy ludzie zaczną się domyślać, o co w tym wszystkim chodzi, ktoś po prostu zwinie jej tego mustanga.

- Jen zabiłaby mnie, gdybym jej o tym powiedział, więc niech to zostanie między nami, Washington. - John wyłowił z kieszeni pęk kluczy i zerwał jeden z nich.

- To klucz do jej domu. Kod dostępu to...

Nagle zaśmiał się ze swojej gafy i pokręcił głową.

- Klucz do mustanga, cóż, nigdy nie miałem do niego kodu.

Washington się zaśmiał.

- Obejdzie się.

- Jest twój do czasu, aż to wszystko się nie skończy - zawahał się - albo do momentu, kiedy moje monstrum się nie zepsuje lub ktoś go nie ukradnie. Szeryf Barker i ja prawie się pobiliśmy z tego powodu jakąś godzinę temu. Udało mi się zatrzymać tę pokrakę, ale Tom może sobie w każdej chwili przypomnieć o mustangu, więc radzę ci, żebyś nie zwlekał i jechał tam od razu. Weź go pod swoje skrzydła i czuj się właścicielem.

- Umowa stoi, sir. Obiecuję, że będę dobrze traktował tę bryczkę, żadnych wygłupów, sir.

- Daj spokój, Washington. Mam na imię John. Przecież teraz jestem cywilem i normalnie zarabiam na życie.

Na twarzy Washingtona pojawił się uśmiech.

- Powiedział pan „do czasu, aż to wszystko się nie skończy”, jeśli chodzi o tamten wóz. - Teraz jego twarz przybrała poważny wyraz i przeniósł wzrok z Johna z powrotem na bramę. - To dobra lokalizacja i pan o tym wie - mruknął.

John myślał o tym niejedną raz, kiedy wjeżdżał pod górę na teren kampusu ulokowany na Niedźwiedzim Stoku. Portiernia była małym kamiennym budynkiem z bramą w kształcie łuku. W latach dwudziestych XX wieku było to wejście na szlak turystyczny, który piął się w górę na sam szczyt Mount Mitchell. Portiernia stanowiła dziwną, choć uroczą pozostałość po tym dawno porzuconym szlaku. Na wschód od bramy przepływał potok Flat Creek, a na zachód był niemal pionowy klif - w jego zboczach wywiercono dziurę, by puścić tędy drogę. Była tylko jedna droga wejścia i jedna droga wyjścia i znajdowała się właśnie w tym miejscu.

Washington z pewnością już wiele lat temu dogłębnie przeanalizował to zagadnienie.

John bez słowa odjechał w stronę miasta, przecinając State Street oraz tory kolejowe. Minął hotel Holiday Inn. Kilkoro dorosłych siedziało na zewnątrz przy stolikach, a grupka

dzieci bawiła się w berka. Ustawiono kilka grillów, na których przygotowywano jedzenie.

Musiał zwolnić, dostrzegłszy jakąś postać stojącą na jezdni, po raz kolejny czując dyskomfort z powodu tego, jak wiele spojrzeń przyciągało jego auto.

Kobieta. Stała z założonymi rękami, spoglądając w stronę gór. Teraz jednak popatrzyła na niego. Rozpoznała go w mgnieniu oka.

- Jestem pani winny przeprosiny - odezwał się pierwszy.

- Zgadzam się.

Nadal miała na sobie kostium, ale buty na wysokich obcasach zastąpiła parą zniszczonych trampek.

John otworzył drzwi samochodu, wysiadł i wyciągnął rękę.

- Mówię poważnie, przepraszam. Miałem ze sobą dzieci, moją teściową i szczerze mówiąc... - urwał nagle.

W jej oczach pojawiło się zrozumienie. Wyciągnęła rękę i uściśliła sobie dłonie.

- Przeprosimy przyjęte. Pewnie postąpiłabym tak samo, gdybym znalazła się na pana miejscu.

- John Matherson.

- Makala Turner.

- Niespotykane imię.

- Mój dziadek stacjonował na Hawajach podczas II wojny światowej. Twierdził, że to rodzaj tamtejszych kwiatów. Namówił mojego ojca, aby nadać mi takie imię.

John nie mógł powstrzymać się od błyskawicznego zlustrowania rozmówczynie. Była wysoka, nawet bez butów na obcasie. Mogła mieć około metra siedemdziesięciu pięciu albo coś koło tego. Szczupła. Blond włosy do ramion. Dwa górne guziki bluzki rozpięte.

Starał się nie być nachalny, lecz wiedział, że ona to zauważyła. Dziwne, pomyślał. Jeśli nie pogapisz się na atrakcyjną kobietę, choćby przez sekundę, uzna to za zniewagę, a jeśli to zrobisz, narazisz się na lodowate spojrzenie.

Uśmiechnęła się lekko.

- Skąd jesteś? - zapytał John.

- Z Charlotte. Jestem szefową pielęgniarek na oddziale kardiochirurgii. Jechałam na konferencję w szpitalu Memorial Mission w Asheville na temat nowych sposobów leczenia arytmii serca.

Po chwili znowu się odezwała:

- A teraz, czy byłbyś tak uprzejmy i powiedział mi, co tu się, do cholery, dzieje?

- Właśnie sobie o czymś przypomniałem - odparł. - Posłuchaj, muszę teraz coś pilnie

załatwić. Czy będziesz tu za dziesięć minut?

- Pewnie.

Wskoczył z powrotem do samochodu, odczekał chwilę, po czym spojrzał na nią.

- Jadę teraz do apteki. Muszę coś kupić. Jeśli chcesz, możesz zabrać się ze mną.

Kobieta stała bez ruchu.

- To nie jest podryw ani nic w tym stylu. Serio. Muszę kupić lekarstwa dla córki. Mogę po drodze udzielić odpowiedzi na twoje pytanie.

- Okej. I tak nie mam nic innego do roboty.

Centrum handlowe, w którym znajdował się mały supermarket sieci Ingram oraz drogeria CVS, było oddalone zaledwie o kilka przecznic. Parking był niemal w całości zapelniony. Nigdzie jednak nie było widać żywej duszy.

John wyszedł z samochodu i spojrzał na aptekę. Poczł rozczarowanie, zauważywszy ciemne wnętrze, żadne światło się nie paliło. Pewnie apteka jest zamknięta. Po chwili jednak zrozumiał absurdalność tego toku rozumowania - przecież wszystkie sklepy są teraz pozbawione światła.

- Uważam, że to był atak EMP, tak jak przed chwilą mówiłem - rzekł John, kontynuując ich krótką konwersację.

- Też na to stawiałam.

- Naprawdę?

Uśmiechnęła się.

- Pomagam prowadzić oddział chirurgiczny. Mieliśmy mnóstwo szkoleń z zakresu kataklizmów i katastrof, zwłaszcza po jedenastym września. Na jednym z zebrań przerabialiśmy scenariusz ataku EMP. To nie było miłe. Przez kilka kolejnych nocy spędzało mi to sen z powiek. Spora część szpitali nie jest przygotowana na tego typu ewentualność. Awaryjne generatory wysiądą tak samo jak wszystko inne. A wiesz, co to oznacza...

- Resztę powiesz mi później - poprosił John. Otworzył drzwi apteki i wszedł do środka.

W środku panował chaos. Znękana ekspedientka krzyczała zza lady:

- Proszę o uwagę! Przyjmujemy tylko gotówkę. Przykro mi, żadnych czeków...

John minął ją, przechodząc na tyły sklepu, do okienka farmaceutycznego. Dziś przyjmowała Rachel. Jej córka przyjaźniła się z Elizabeth. Do okienka ustawiła się długa kolejka. Pierwszy przy ladzie utknął czterdziestolatek z nadwagą w nieco tandetnym garniturze, z poluzowanym krawatem.

- Posłuchaj mnie! - wrzasnął na Rachel. - Potrzebuję tego leku w tej chwili, do jasnej

cholery!

- Proszę pana, przecież tłumaczę. Przykro mi, ale nie znamy pana, nie dysponujemy danymi na pana temat, a pan domaga się leku ścisłego zachowania, na który trzeba mieć pozwolenie.

- Nie jestem miejscowy, do cholery. Czy wy, cholerne wieśniaki, nie możecie tego pojąć? Żądam zrealizowania tej recepty!

John dostrzegł Liz, farmaceutkę, ona jego też. Miała niewiele ponad trzydzieści lat, choć filigranowa figura sprawiała, że wyglądała jeszcze młodziej. Zawsze twierdził, że jest najbardziej atrakcyjną aptekarką, jaką w życiu widział. Wyszła za byłego komandosa. Niestety w pobliżu nie było jej męża, a ona sama z pewnością nie dałaby sobie rady z potężnym mężczyzną.

Liz spojrzała na niego błagalnie. John zrozumiał. Rozejrzał się dokoła, przy ladzie stał stojak z książkami i magazynami. Nic, czego mógłby użyć. Jego wzrok padł na lodówkę z napojami.

Podszedł do niej, była jeszcze w miarę pełna. Wyjął butelkę piwa Coors. Makala patrzyła na niego z odrazą, źle interpretując zachowanie Johna.

Liz podeszła do okienka i próbowała uspokoić wściekłego klienta.

- Posłuchaj mnie, do jasnej cholery. Oksykodon. Chcę trzydzieści tabletek. Jak już włączą prąd, zadzwonicie sobie do mojego lekarza, a on wszystko potwierdzi.

- Proszę pana, proszę opuścić nasz sklep.

- O nie, koniec tego dobrego! Co za suki! Zejdźcie mi z drogi!

Facet zaczął wspinać się na ladę, Liz zrobiła kilka kroków w tył.

John podbiegł do niego i wziął zamach.

Butelka rozbiła się na głowie faceta i rozprysła na kawałeczki.

Kiedy mężczyzna zaczął słać się na nogach, John odciągnął go od lady, rzucił na ziemię i dla pewności kopnął w splot słoneczny.

Facet leżał na podłodze, a z ust wyrывał mu się rozdzierający wrzask. Wszyscy inni stali w milczeniu i szoku. John spojrzał na Liz.

- Przepraszam.

Czuł się zażenowany tym, co się przed chwilą stało. Złamał tabu społeczne. Tutejsi ludzie nie tłuką butelek na czyjejsz głowie, napadając od tyłu, w aptece. Niemal spodziewał się, że zaraz zawyje alarm, przyjedzie policja... Ale ciszę przerywało tylko pojękiwanie leżącego na podłodze mężczyzny.

Omiótł wzrokiem ludzi ustawionych w aptece. Jakaś kobieta pokręciła głową.

- A więc to tak traktujecie nieznajomych w tej wiejskiej dziurze? - wypaliła. - Już nigdy się tu nie zatrzymam, po moim trupie!

Wybiegła z apteki, a zaraz za nią kilka innych osób.

John rozpoznał jednego z mężczyzn nadal stojących w kolejce. Był to Pat Burgess, pastor baptystów, członek Koła Miłośników Wojny Secesyjnej. Pat skinął głową na powitanie.

- Dobra robota, John. Wybacz, że nie pomogłem, ale z moim sercem, prawdopodobnie wyciągnąłbym nogi, gdybym próbował się na niego rzucić.

Słowa Pata wyrwały Johna z chwilowego otępienia. Wrócił do rzeczywistości, do bycia tu i teraz. Do tego, co on sam musi tu załatwić.

- Pat, możesz się nim zająć? Weź jakiś pasek czy coś i zwiąż mu ręce. Może ktoś sprawdzi, czy nie uszkodziłem mu oka.

- Uszkodziłeś, cholerny bydlaku! Nic nie widzę! Mój prawnik ci tego nie daruje!

Facet zaczął krzyczeć i John ponownie uciszył go butem. Grubas skrzywił się i zamknął jadaczkę.

John pochylił się nad nim.

- Posłuchaj, człowieku. Groziłeś tym tutaj damom. Jeszcze jedno słowo, a wydłubię ci oczy - ostrzegł. Facet znowu zaczął kwilić, zakrywając twarz. Przez palce przeciekała mu krew.

John spojrział na Liz, a potem przeszedł za kontuar.

- Liz, mogę cię prosić na słówko.

- Pewnie, John.

Wskazał ręką kąt apteki. Oboje przeszli do pokoiku obok i stali przy półprzymkniętych drzwiach.

- Dzięki Bogu, że się tu zjawileś, John - westchnęła Liz.

- Od rana miałam już trzech takich klientów. Cudem udało nam się wyprosić tamtą dwójkę, ale ten to prawdziwy czubek. Prawdopodobnie uzależniony. Pewnie nie wozi przy sobie prochów, na wypadek gdyby zatrzymała go policja. Zapasy trzyma w domu.

- Liz, potrzebuję twojej pomocy.

Aptekarka zamilkła. Wyraz wdzięczności zniknął jej z twarzy.

- Myślę, że sytuacja jest poważna - powiedziała cichym głosem. - Prawda?

- Nie będę cię okłamywał. Chyba tak...

Rzuciła okiem na ladę i kolejkę klientów, która wciąż rosła.

- Spędziłam tu całą noc - rzuciła zmęczonym głosem.

- Mieszkam w Asheville, nic nie jeździ, liczyłam na to, że przyjedzie po mnie Jim, ale jakoś się nie zjawia...

Urwała nagle.

- Kiedy będziemy mieć znowu prąd? - zapytała po chwili.

- Nie wiem.

- Kiedy?

- Za miesiąc, rok, może dłużej...

- O Boże! - jęknęła.

- Wiesz, o co chcę cię poprosić.

- John, mam dokładnie czterdzieści fiolek. W mieście jest jeszcze inny chłopiec, który cierpi na to samo, co twoja córka. A poza tym ponad stu dorosłych cukrzyków z różnym stopniem zapotrzebowania na insulinę. Od rana były już cztery osoby, prosząc o dodatkowe dawki - ciągnęła Liz. - Nie mogę ci ich dać, John, jestem odpowiedzialna za wszystkich, nie tylko za Jennifer... - Po chwili dodała: - Nie tylko za ciebie, John.

- Liz, mówimy o mojej córeczce, mojej małej dziewczynce - powiedział zdławionym głosem.

Aptekarka wskazała ręką szufladki z lekarstwami.

- John, jestem odpowiedzialna za setki ludzi. Jeśli to, co mówiłeś, jest prawdą, wielu z nich czeka śmierć. Niektórzy umrą w ciągu paru dni. Nie mamy w magazynie aż tak dużych zapasów. Żadne apteki nie mają dużych zapasów. Polegamy na codziennych dostawach.

- Przez jakiś czas nie będzie żadnych codziennych dostaw, Liz.

- To co się stanie z moimi pacjentami chorymi na zapalenie trzustki? Jeśli nie będą brać codziennie pigułek, umrą. Na przykład pani Sterling umrze w ciągu tygodnia... - Głos jej się załamał i milczała przez chwilę, a potem wzięła głęboki oddech i spojrzała mu prosto w oczy. - Ostre przypadki nadciśnienia, arytmie serca, mamy pięciu pacjentów biorących leki przeciwko odrzuceniu przeszczepu. Jezu Chryste, John, co ja mam teraz zrobić?

Nienawidził siebie za to... ale już zaczął i nie mógł przestać.

- Liz, ja już straciłem Mary. Proszę cię, Boże drogi, nie zabieraj mi też Jennifer. Wszystko, tylko nie to...

Spuścił głowę, oczy zaszyły mu łzami. Otarł je, starając się nie stracić panowania nad sobą.

Popatrzył na Liz... Czuł wstyd. Czuł też jednak w głębi serca determinację.

Liz odwzajemniła jego spojrzenie i dostrzegł, że też ma łzy w oczach.

- Zanoszą się na piekło, prawda, John?

Przytaknął. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

Liz nadal na niego patrzyła. Westchnęła, odwróciła się i otworzyła zamrażarkę. Wyjęła cztery fiolki. Zawahała się i wzięła jeszcze jedną.

John walczył z potwornym impulsem, by odepchnąć Liz i zgarnąć wszystkie. Ledwie udało mu się zwalczyć tę pokusę.

Nagle poczuł czyjś dotyk na ramieniu. Odwrócił się, sądząc, że ktoś chce się wepchać do pomieszczenia. To była jednak Makala. Spojrzała na niego bez słowa.

Liz szybko zamknęła zamrażarkę, otworzyła szafkę, wyjęła paczkę stu strzykawek, a potem wrzuciła wszystko do torebki, owijając ją dodatkową grubą warstwą folii.

- Pewnie pójde za to do piekła... - powiedziała cicho. - Pięć fiolek dla ciebie, pięć dla chłopca państwa Valentich i po jednej dla każdej z trzydziestu pozostałych osób.

- To sprawiedliwe - wyszeptała Makala.

Liz popatrzyła na nią, ale nie skomentowała jej słów. Odwróciła się do Johna.

- Zajrzyj do zamrażalnika, może zostało jeszcze trochę lodu. Weź też wszystkie batony, których ludzie nie rozgrabili. Jedź prosto do domu, John, leki muszą być przechowywane w temperaturze pięciu stopni Celsjusza, każde dodatkowe dziesięć stopni skraca o połowę okres ważności leku. Pędź więc do domu. Kiedy skończy ci się lód, znajdź najchłodniejsze miejsce, żeby tam przechowywać fiolki.

- Dziękuję, Liz. Niech Bóg cię błogosławi.

- Proszę, idź już, John. Muszę się nad tym wszystkim zastanowić.

John skinął głową. Nadal dręczyły go wyrzuty sumienia.

- Chcesz, żebym zahaczył o komisariat i przywiózł tu kogoś?

Liz pokręciła głową.

- Wyślę Rachel do miasta po pomoc. Ma rower, więc obróci w obie strony prawie tak szybko jak ty.

Następnie otworzyła szufladę i wskazała ręką leżący w środku rewolwer, kaliber 38.

- To jest wbrew polityce firmy, ale mój mąż suszył mi głowę, żebym trzymała tu broń. Wiesz, jaki on jest, były Rangers i w ogóle. Zrobiłabym z niego użytek, gdybyś się nie zjawił.

- W jej głosie wyczuł chłód. Zastanawiał się, czy gdyby chciał ją odepchnąć i zgarnąć wszystkie fiolki, sięgnęłaby po swoją broń. Patrząc na wyraz jej twarzy, wiedział, że tak właśnie by się stało.

- Mam dla ciebie radę, Liz.

- Tak?

- Uciekaj stąd.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić, John.

- Miałem na myśli: kiedy zaczną kończyć się wam leki. Zapakuj to, co według ciebie przyda się tobie i twojej rodzinie, i wiesz stąd. Kiedy zaczną brakować leków, może zrobić się nieprzyjemnie.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Nawet z wyprostowanymi plecami miała mniej niż metr sześćdziesiąt wzrostu.

- Jim nauczył mnie strzelać z tej spluwy - wyjaśniła. - Będę miała wszystko pod kontrolą.

John położył rękę na jej ramieniu.

- Niech Bóg cię błogosławi - powtórzył i wyszedł. Kolejka do okienka wciąż rosła. Kilka osób poznało Johna i skinęło mu głową. Inni stali w milczeniu, najwyraźniej wszyscy wiedzieli już o tym, co się tu przed chwilą wydarzyło, co się stało z zakrwawionym facetem, którego Bob unieruchomił przy pomocy taśmy.

Jedna z kobiet dostrzegła pakunek, który niósł John.

- Pan Matherson, tak?

- Tak, proszę pani.

- Co on ci tam dał na zapleczu? - zapytała, spoglądając na Liz. - A co ty mu dałaś w zamian?

- Tylko kilka strzykawkę dla jego córeczki. To wszystko, Julie.

- Nie chcę słyszeć o tym, że niektórych klientów traktuje się w uprzywilejowany sposób, Liz. Jestem klientką tej firmy od dwudziestu lat i też mam długą listę tego, czego potrzebuję...

John nie słuchał już kobiety, wszedł w jedną z alejek sklepowych i o dziwo znalazł wielki stos batoników Hershey. Bez wahania zagarnął wszystkie prosto do swojej torby. Kasjerka w wieku licealnym dostrzegła to, nie wiedziała jednak, jak zareagować, kiedy John przechodził obok niej.

- Bez obaw. Liz powiedziała, że mogę je wziąć, zapłacę później.

Skinęła głową. Zachowanie Johna wywołało jednak awanturę ze strony klienta, który nie miał przy sobie gotówki, a chciał papierosów.

Wyszedłszy na zewnątrz, John otworzył chłodziarkę. W środku nadal był z tuzin pięciokilogramowych worków z lodem. Przekręcił kluczyk w drzwiach samochodu, otworzył tylne drzwi i wrócił pod chłodziarkę. Wyciągnął cztery worki i wrzucił je na tylne siedzenie. Wrócił i przytaszczył kolejne cztery, po czym zawahał się, czując na sobie spojrzenie Makali.

Wziął więc już tylko dwa i zamknął wieko, a potem wrzucił worki do samochodu i

trzasnął drzwiami.

Wsiadł do auta, wziął głęboki wdech, a gdy tylko silnik zawarczał, wyciągnął papierosa.

- Pewnego dnia ten nałóg wpędzi cię do grobu - mruknęła Makala.

Spojrzał na nią, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

- Zrobiłeś to, co należy. Tak samo jak Liz. Każdy rodzic by tak postąpił, będąc na twoim miejscu.

John westchnął głośno.

- Pamiętasz stare filmy, stare kreskówki z czasów II wojny światowej, o ludziach, którzy gromadzą zapasy?

- Jestem za młoda, by pamiętać.

- Cholera, ja mam dopiero czterdzieści osiem lat, a i tak je pamiętam...

Nie skomentowała tego.

- Twoja córka ma cukrzycę typu 1, prawda?

- Tak.

- Posłuchaj rady Liz i pędź prosto do domu.

Sięgnęła po coś na tylne siedzenie. John poczuł się jak kompletny dupek, nie mogąc oderwać od niej wzroku, kiedy spódnica podjechała jej do połowy uda.

Zauważyła jego spojrzenie. Wyciągnęła z tylnego siedzenia worek z lodem. Bez słowa otworzyła go. Wytrząsnęła pudełko strzykawek z plastikowej torebki, a następnie delikatnie położyła zawiniątko z fiolkami na kostkach lodu.

- To powinno wystarczyć, żebyś bezpiecznie dowiózł je do domu. Tylko nie wkładaj ich do lodu, bo fiolki zamrzną i nie będą się nadawały do użytku. Spróbuj owinać lód jakąś izolacją, ale trzymaj worek otwarty, z fiolkami na samym wierzchu. To mniej więcej powinno zapewnić im odpowiednią temperaturę. Resztę lodu wrzuc do swojego zamrażalnika, to najlepsze miejsce dla niego. Przy odrobinie szczęścia lód powinien wystarczyć ci na tydzień.

- Nawet nie wiem, jak ci dziękować - odparł John.

- Cóż, może na początek pomógłbyś mi znaleźć jakieś jedzenie - rzuciła z uśmiechem.

- Znam miejsce, gdzie serwują rewelacyjne barbecue.

- Brzmi nieźle.

Wyjechał z terenu centrum handlowego i ruszył w stronę miasta.

- Mam nadzieję, że nie obrazisz się, jeśli zadam ci osobiste pytanie - powiedziała Makala.

- Strzelaj.

- Kto to jest Mary?

- Moja żona.

- Dawno temu...?

- Cztery lata. Rak piersi.

- Przykro mi.

- W porządku - skłamał. - Zostawiła mi dwie piękne córki.

- Wiem, widziałam je wczoraj wieczorem. Tak myślałam, że twoja młodsza córka jest diabetikiem. W moim zawodzie człowiek może się nauczyć dostrzegać takie rzeczy gołym okiem. To dlatego nie gniewałam się jakoś szczególnie, kiedy odwróciłeś się i odjechałeś. W jej stanie stres jest szkodliwy.

- Wiem. I tak jeszcze raz przepraszam, że zostawiłem cię tam na pastwę losu.

Uśmiechnęła się.

- Na szczęście zaopiekował się nami pewien kierowca ciężarówki. Zachował się po rycersku. Koniec końców dał popalić tamtemu pijanemu facetowi, a potem odprowadził nas, kobiety, do motelu.

Przez chwilę milczała.

- Trochę mnie zaskoczyło to, jak poradziłeś sobie z tamtym facetem w aptece.

- Pewnie pomyślałaś, że raczej zwieję z podkulonym ogonem?

- Cóż, prawdę mówiąc, tak.

- Ale tego nie zrobiłem.

Lekko się zaśmiała.

- Zrobiłeś porządek z facetem. Być może odrobinę brutalnie, ale skutecznie.

- Jeśli walczysz, to tylko po to, by wygrać - odparł spokojnie John.

- Zauważyłeś, że masz ranę na ręce?

Spojrzał na swoją prawą dłoń i dopiero teraz poczuł ukłucie bólu. Kawalek rozbitej butelki głęboko rozorał dłoń od palca wskazującego, aż do zgięcia kciuka.

Nagle zaboląło go jak jasna cholera.

- Zatrzymaj się. Muszę to obejrzeć - poprosiła Makala.

Zjechał na pobocze i zatrzymał wóz. Ujęła jego dłoń i łagodnie otworzyła ranę. Teraz bolało jeszcze bardziej.

- Trzeba ci będzie założyć szwy. Tak na oko od dziesięciu do dwunastu.

Kiedy oglądała jego ranę, krew skapnęła na jej spódnicę.

- Uwważaj! Twoja spódnica... - powiedział.

Zignorowała go.

- Nie mam przy sobie nic sterylne. Trzeba zajrzeć do jakiegoś gabinetu lekarskiego.
- Później. Najpierw chcę zawieźć do domu lekarstwa. Poza tym doktor jest pewnie w tej chwili zawałony robotą.

Mówiąc to, wskazał ruchem głowy jezdnię.

Stary jeep, będący na chodzie, zjeżdżał z autostrady międzystanowej. W środku siedziały cztery osoby, jedno dziecko - zgarbione i blade na twarzy - rozpaczliwie łapało oddech. Z tyłu leżała starsza kobieta. John zauważył, że staruszka już nie żyje.

- Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo jesteśmy zależni od wszystkiego.... - westchnęła Makala, obserwując, jak jeep slalomem wymija porzucone na drodze samochody, kierując się w stronę miasta. - Nie chciałabym być teraz w moim szpitalu. Jeśli nie włączyły się generatory, wszyscy, którzy byli na oddziale intensywnej terapii albo na stole operacyjnym pewnie już nie żyją. Ubiegłej nocy widziałam, jak jakiś biedak się zabił. Miał beamera, takiego jak mój. Ta pijana hołota trochę go wystraszyła. Facet uparcie pchał swój samochód, tak jakby ktoś chciał mu go ukraść. Cholerny idiota! Słyszałam potem, że stracił przytomność i już nie wstał. Ludzie to wariaci, a cała ta awaria wyciąga to na światło dzienne.

Puściła jego rękę.

- Jeśli uda ci się coś znaleźć, zabandażuję ci rękę, ale najpierw, faktycznie, powinieneś zawieźć leki do domu.

John zastanawiał się, czy kobieta przypadkiem nie wprasza się do jego domu. W tej chwili naprawdę nie wiedział, jak na to wszystko zareagować.

Uruchomił wóz i wjechał na teren miasta, skręciwszy w State Street. Coraz więcej osób gromadziło się przy ratuszu. Biedny Tom zebrał kordon swoich policjantów. Na głównym skrzyżowaniu zawieszono wielką tablicę z napisem: „Punkt Medyczny”, ze strzałką wskazującą na remizę strażacką stojącą obok ratusza.

- Może powinnam tam pójść i pomóc - rzuciła Makala.

- Najpierw musisz coś zjeść - odparł John.

Oddalili się od State Street. Chwilę później dotarli do budynku szkoły podstawowej.

- Może wstąpimy tu, żeby założyć ci szwy?

- Moja teściowa da sobie z tym radę - zaproponował John.

- Jasne - powiedziała bezbarwnym głosem. - Upewnij się tylko, że weźmiesz odpowiednią dawkę antybiotyku. Jeśli jest aż tak źle, jak mówiłeś podczas rozmowy z Liz, nie możesz ryzykować jakąś infekcją.

- Dobrze, proszę pani.

- Nie wygłupiaj się. Mów mi Makala.

Uśmiechnął się.

- W porządku.

Zatrzymał się na szkolnym trawniku. Pete nadal siedział przy swoim grillu. Kolejka już niemal w całości została obsłużona. John wyskoczył z samochodu i podszedł do kucharza. Makala podążyła za nim.

- Cześć, Pete. Widzę, że dzisiaj nie próżnujesz?

- Jakbyś zgadł, profesorze. Doszedłem do wniosku, że całe to mięso i tak zgnije. Inspekcja nie pozwoli mi nic z nim zrobić, skoro przez dłuższy czas nie będzie działała zamrażarka. Pomyślałem więc sobie, a niech to diabli! Czemu by nie urządzić barbecue?

John się uśmiechnął. Naprawdę lubił tego faceta. Wieprzowina z rusztu nigdy nie była co prawda jego ulubionym daniem, szczególnie z przyprawami, których Pete nigdy nie żałował, ale czasem i tak tutaj jadał, tylko po to, by pogadać.

- Nazwałeś go profesorem? - zdziwiła się Makala.

- Ano tak, John to tęga głowa - odparł Pete. - Jest profesorem w naszym college'u. Poza tym ma stopień pułkownika. Chcieli mu nawet dać gwiazdkę i mianować generałem, ale John postanowił odejść... - urwał.

Wszyscy w mieście oczywiście wiedzieli, dlaczego John przeszedł na wcześniejszą emeryturę, ale Pete wkraczał w sferę zbyt osobistą, więc - nieco zażenowany - przestał mówić.

- No dobra, Pete - rzucił John z uśmiechem, kończąc nerwową ciszę, która zapadła. - Ta pani jest moją dobrą przyjaciółką. Podaj jej więc podwójną porcję czegokolwiek sobie zażyczy. Okej?

John wyciągnął rękę do kobiety, by się z nią pożegnać. Makala tylko się uśmiechnęła.

- Najpierw ją zabandażuj, John. Potem uściśniemy sobie ręce.

- A tak, jasne...

Ruszył z powrotem do samochodu, lecz na chwilę zawahał się i odwrócił. Patrzyła na niego. Przywołał ją ruchem dłoni.

- Posłuchaj... Rozumiem, że zatrzymałaś się w Holiday Inn?

- Na to wygląda.

- Znasz drogę powrotną?

- To proste. Najpierw skręcić w lewo na światłach, a potem przejść przez tory.

- Wiesz, hmm... Nie chcę, żebyś źle to odebrała, ale jeśli będziesz czegoś potrzebowała, idź prosto tą drogą pod górę, mniej więcej milę. Skręć w prawo przy Ridgecrest Drive. Mieszkam pod numerem 18.

- Dobrze, John. Może kiedyś wpadnę.

- Dziękuję za pomoc w sprawie leków. Powinienem je zawieźć do domu.

- John?

- Tak?

- Gapiłeś się na mnie, kiedy sięgałam w samochodzie na tylne siedzenie, prawda?

Raptem John spiekł raka.

- W porządku. Po wysoce stresującej sytuacji, myśli mężczyzn zazwyczaj grawitują w tym kierunku. Nie obraziłam się. Chcę tylko, żebyś wiedział, że to normalne. Bo później mogłoby cię to trochę dręczyć, no wiesz, biorąc pod uwagę to, że powinieneś w tamtej chwili martwić się o swoją córkę, wspominać żonę i w ogóle...

Teraz to ona oblała się rumieńcem.

- Głupio zabrzmiało. Jedź do domu. Dam sobie radę.

- Dzięki, Makala.

Wsiadł do samochodu i odjechał, ostrożnie podtrzymując jedną ręką worek z lodem, na którego wierzchu leżały lekarstwa.

Zajechał pod dom i wyłączył silnik. Poczul w sercu radość, widząc Jennifer i Pat, które bawiły się na trawniku, rzucając sobie nawzajem frisbee. Ginger zerknęła na Johna, lecz po chwili znowu zaczęła ganiać latające frisbee. Podszedł do niego za to Zach, merdając ogonem na powitanie.

Elizabeth, ubrana w szorty i T-shirt, siedziała przy basenie, zażywając kąpieli słonecznej. U jej boku siedział Ben, czytał książkę lub tylko pozorował; w pobliżu, oparta o murek, stała strzelba.

Chłopak zerwał się na widok Johna i podszedł do jego samochodu.

- Ben, pomożesz mi wnieść do domu te worki z lodem? Mam też kilka kartonów fajek.

- Jasne, psze pana.

Nadal trzymając w rękach worek z fiolkami ułożonymi na wierzchu, ruszył w stronę domu. Jen była w salonie, stała w milczeniu wpatrzona w widok za oknem. Kiedy dotarli do niej kroki Johna, odwróciła się i posłała mu uśmiech.

Nie potrzebowała dodatkowych wyjaśnień, gdy zobaczyła firmową torebkę z apteki.

- Otworzysz mi drzwi do suterenu, Jen?

Spełniła jego prośbę. Nagle nawiedziły go paranoiczne myśli o tym, że zaraz upuści drogocenne przedmioty. Worek z lodem przycisnął więc do piersi, drugą ręką jeszcze mocniej przytrzymując fiołki.

Schodząc do sutereny, rozejrzał się przez chwilę. Zauważył stary styropianowy ochładzacz. Włożył do niego worek z lodem, a całość ulokował w kabinie prysznicowej, po czym ostrożnie rozmieścił na wierzchu fiolki. Nałożył wieko, ale pozostawił je niedociśnięte, a następnie, używając kieszonkowego scyzoryka, zrobił małą dziurkę w dnie ochładzacza, aby woda z roztopionego lodu miała jak wyciekać.

Trochę się pochlapał. Krew kapłała mu z ręki.

- Ile lekarstwa zdobył pan dla Jennifer? - zapytał Ben.

John odwrócił się i zobaczył, że chłopak wpatruje się w niego intensywnie.

- Pięć fiolek.

- Czyli pięć miesięcy, nie licząc tego, co jest w lodówce?

Słowa młodzieńca zaskoczyły Johna.

- Tak, coś koło tego.

- Rozumiem - odparł Ben cichym głosem.

John wstał.

- Posłuchaj, Ben. Nie mam zamiaru cię okłamywać. Sytuacja może się pogorszyć. Podejrzewam, że ktoś nas zaatakował, używając broni, która na terenie całego kraju wyłączyła na amen sieć wysokiego napięcia. To znaczy, że mogą minąć miesiące, zanim znowu będziemy mieli prąd.

Chłopak trawił w milczeniu słowa Johna, kiwając jedynie głową.

- Nie piśnij ani słówka Elizabeth ani Jennifer. Zrozumiano? Sam im o tym powiem w odpowiedni sposób i w odpowiednim czasie.

Jennifer... Na myśl o niej Johna znowu opadło to dławiące uczucie. Była szalenie inteligentną dziewczynką. Gdyby się dowiedziała, że awaria prądu potrwa bardzo długo, mogłaby się domyślić, że zaczął się dla niej wyścig z czasem.

Spojrzał chłopakowi prosto w oczy, nie odzywając się ani słowem.

- Dobrze, psze pana - wyszeptał Ben.

- Cieszę się.

- Pan krwawi.

- Miałem wypadek. Drobiazg.

Wszedł po schodach i usiadł przy stole w jadalni. Jen już na niego czekała z apteczką.

- Mów, co się stało.

John podniósł wzrok. Ben stanął przy wyjściu na taras.

- Wszystko w porządku, Ben. Pamiętaj, że nie chcę, aby dziewczynki się czymkolwiek martwiły. Biorąc pod uwagę sytuację, liczę na to, że zachowasz się jak prawdziwy mężczyzna

i będziesz miał na nie obie oko.

- Cokolwiek pan rozkaże, sir. - Ben wyszedł z pokoju.

- Wiesz, John, to naprawdę miły chłopiec. A propos, podczas twojej nieobecności skończyła się nam woda.

- Tak szybko?

- Biedna Jennifer skorzystała z toalety i coś... nie chciało się spłukać. Była mocno zażenowana. Ben wziął wiadro, nabrał wody z basenu, chlusnął do toalety, a potem napełnił spłuczkę. To dobry dzieciak.

Ułożył rękę na stole. Jen zbadała ją wzrokiem.

- Powinieneś być wstąpić do lekarza, żeby założyli ci szwy.

- Nie miałem czasu. Chciałem przywieźć jak najprędzej lekarstwa.

- Założę tymczasowe szwy - stwierdziła, po czym zabrała się do dzieła. - Później pokażesz ranę doktorowi Kellorowi.

- A teraz, powiedz mi - kontynuowała - skąd ta rana? I jakie są najświeższe wieści.

John opowiedział jej prawie o wszystkim... z wyjątkiem Makali oraz, rzecz jasna, mustanga.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dzień 4

Odgłos śmigłowca typu Blackhawk po tak długiej ciszy był szokujący. Pruł do przodu, jakieś sto pięćdziesiąt metrów ponad ziemią, przelatując nad wjazdem na autostradę, a potem zmienił kurs.

John poczuł przyływ emocji na widok śmigłowca z wymalowaną na boku czarną gwiazdą. Helikopter zawarczał tuż nad jego domem, który znajdował się na tyle wysoko, że John mógł niemal zajrzeć przez boczne okienko pilota. Elizabeth skakała jak oszalała, krzycząc i machając rękami.

- Jesteśmy uratowani! - zawołała radośnie. - Uratowani!

- Przypominała rozbitka na bezludnej wyspie.

John również mimowolnie zaczął machać... Widok tego helikoptera był teraz tak symboliczny i może oznaczał, że w ciągu kilku minut znowu włączą prąd.

Śmigłowiec jednak pomknął z warkotem dalej, na zachód. Mała w oczach, odgłos silnika milkł w oddali, aż w końcu zupełnie znikł, pozostawiając po sobie głuchą, bolesną ciszę.

Euforia ustąpiła miejsca obezwładniającej depresji. John stał nieruchomo, osłaniając dłonią oczy przed słońcem i wpatrując się w zachodni horyzont.

Wszystko było takie samo jak wcześniej.

Elizabeth podeszła do basenu, klapnęła, wyraźnie przybita, i zanurzyła w nim stopy. Ben dołączył do niej, pryskając na nią wodą, która nadal była zimna. Bez pompy panele słoneczne nie mogły jej ogrzać. Była jednak nadal czysta i przejrzysta, John doprawiał ją mocno chlorem, skoro służyła teraz jako woda do picia i mycia. To, że w basenie kąpały się jego córki i Ben przynajmniej sprawiało, że woda nie mętniała.

- Gotowe!

Ben pomachał, John wskazał ręką dubeltówkę opartą o ścianę i skinął głową. Jennifer spędzała dzisiaj dzień w towarzystwie Pat i kilku innych koleżanek. Całe popołudnie miały grać w Monopoly.

Teściowa siedziała już w samochodzie. John wyjechał z podjazdu, wtoczył się na

drogę 70, skręcił na wschód i ruszył w stronę Domu Opieki Millera, w którym przebywał Tyler. Jen pojechała do męża nazajutrz po awarii i powiedziała, że pomimo panującego tam bałaganu i chaosu, Tylerowi nic nie jest.

Żadne z nich wczoraj nie opuszczało domu z wyjątkiem krótkiego wypadu Johna.

John sporządził długą listę rzeczy do zrobienia. Mięso zalegające w zamrażarce w suterenie zostało wyciągnięte i dokładnie upieczone. Każdy zjadł tyle, ile zdołał upchnąć do żołądka. Następnie to, co zostało, owinęli w folię i schowali. John nie miał pewności, czy to cokolwiek pomoże, ale postanowił wszystkie kawałki mięsa posolić całą solą, która była w domu.

Potem przyszła kolej na wychodek, wykopany na skraju sadu, zasłonę zrobiono z namiotu. Dziewczynki upierały się, że toaleta w domu wystarczy. Odbyła się też raczej drażliwa dyskusja na temat tego, co można zrobić w wychodku, a co w toalecie w domu.

- Czy nie możemy zrobić tego tak jak Zach - rzuciła Jennifer z uśmiechem - pod drzewkiem.

John musiał zrobić mały wykład na temat ryzyka zdrowotnego wiążącego się z tą sugestią. Potem zajął się trochę dostosowaniem domu do nowych warunków. Łóżko wodne, pozbawione ogrzewania z grzejnika, zdążyło już trochę wystygnąć, więc przyniesiono koce z suterenu i ułożono je na nim. Wyciągnięto też jakieś stare, dekoracyjne świece i stare ubrania, które można było pociąć na kawałki, by służyły za papier toaletowy. Ku zdziwieniu Johna stara piła łańcuchowa, od lat leżąca odłogiem, uruchomiła się po tym, jak Ben trochę przy niej pomajstrował.

Po południu wybrał się do sklepu Food Lion we wschodniej części miasta. Miał nadzieję, że zrobi zapasy, zaopatrzy się w konserwy i papier toaletowy, ale ludzie zdążyli już wcześniej wszystko wykupić. Prawdę mówiąc, wyglądało to tak, jakby raczej wszystko rozgrabiono. Pluł sobie w brodę, że nie przewidział tego i nie zajrzał tu wczoraj, zanim ludzie wpadli w panikę.

Jeden z ekspedientów nadal czuwał w zaciemnionym sklepie. Siedział i czytał magazyn, gdy John wkroczył do środka.

- Wczoraj była tu niezła zadyma, profesorze - oświadczył.

- Nigdy nie sądziłem, że zobaczę moich przyjaciół i sąsiadów zachowujących się jak zwierzęta. Biegali po całym sklepie, ładowali rzeczy do koszyków, aż się wysypywały. Tłumaczyłem im, że skoro nie mają kasy, to nici z zakupów. No to wtedy odepchnęli mnie i zaczęło się prawdziwe szaleństwo. Zanim zjawiły się gliny, sklep został już prawie doszczętnie wyczyszczony.

Wzruszył ramionami.

- Mogę się rozejrzeć? - zapytał John.

- Oczywiście, proszę pana. Proszę się rozgościć.

John nie mógł znaleźć nawet koszyka, więc z pustymi rękoma chodził wzdłuż alejek. Jakaś para starsuszków przeczesywała zamrażalniki, wyciągając pokiereszowane i ociekające wodą pudełka mrożonych warzyw i opakowania gofrów i wrzucając je do plastikowego worka na śmieci.

Oczywiście po konserwach nie było już śladu. Pod podeszwami butów chrzęściły rozbite butelki, popękane puszki, kawałki mięsa, kurczaków, owoców morza. Podłoga zrobiła się od tego wszystkiego śliska, zaczęło już brzydko pachnąć, dokoła latały chmary much. W dziale z pieczywem znalazł dziurawy dziesięciokilogramowy worek mąki, który ktoś kopnął pod ścianę. John natychmiast go złapał. W dziale produktów dla zwierząt znalazł spore opakowanie suchej karmy dla psów - była rozszarpana, ale w środku zostało jeszcze ze dwie trzecie zawartości. Nie zastanawiał się, wziął. W pobliżu drzwi zauważył worek soli kamiennej, który został po zimie. John natychmiast go dorwał. Nie było już nic innego. Ruszył w stronę drzwi.

Spojrzał na ekspedienta.

- Śmiało, proszę sobie to wszystko wziąć, profesorze.

John nagle się zatrzymał, powodowany czystą ciekawością.

- Po co tu właściwie siedzisz, Ernie? - Wskazał głową sklep tonący w ciemnościach, starą parę, która powoli ciągnęła po podłodze worek z rozmrożoną żywnością. Z każdym oddechem powietrze coraz bardziej przenikał zapach zgnilizny.

Ernie popatrzył na niego, powoli kręcąc głową.

- Nie wiem, profesorze. Pewno z przyzwyczajenia. Nie mam rodziny. W zeszłym roku opuściła mnie Dolores, zabierając ze sobą dzieciaki. No więc wychodzi na to, że siedzę tu z nawyku...

John skinął głową w ramach podziękowania. Wrzucił łup na tylne siedzenie wozu, po czym udał się do sklepu Dollar. Wszedł do środka i ujrzał mniej więcej taki sam bałagan, jak w poprzednim miejscu. W środku nie było żywej duszy.

Odwrócił się i nagle ujrzał Verna Coopera, jednego z tutejszych policjantów. Zaglądał do środka przez wybitą witrynę.

- To ja, Vern, John Matherson.

- Proszę stamtąd wyjść, natychmiast!

John wyszedł. Nagle uderzyło go poczucie, że dokonana się jakaś zmiana - głęboka

zmiana, którą przeszedł świat. Vern zawsze był przyjacielskim facetem typem pocziwego gliniarza. Teraz dzierżył dubeltówkę, której lufę uniósł nieco do góry. Nie celował w Johna, ale był tego blisko.

- Przyszedłem tylko się rozejrzeć, Vern.

- John, mógłbym cię teraz aresztować za szabrowanie.

- Że co?

- Dokładnie to, John. Zeszłej nocy miały tu miejsce naprawdę brzydkie rzeczy.

- Taa, słyszałem.

- Idź stąd, John, proszę cię. Jedź do domu - westchnął Vern.

John zrezygnował z pytania o szczegóły wydarzeń ubiegłej nocy i zrobił to, o co prosił go policjant.

W sklepie U-Rent wyprzedano już wszystkie butle z propanem. Nawet nie pofatygował się, by zajrzeć do małego marketu ze sprzętem elektrycznym i mechanicznym, panował tam kompletny chaos, kolejka ludzi wylewała się na zewnątrz i ciągnęła aż na pół ulicy. Sam fakt, że John posiadał samochód na chodzie sprawił, iż niemal każdy z obecnych na miejscu ludzi zaczął się na niego gapić. Poczł się nieswojo, więc po prostu zawrócił i pojechał do domu.

Uświadomił sobie, że miał sporo szczęścia, znajdując sól kamienną. Rozpakowali zapasy mięsa, posolili je i ponownie zapakowali. Następnie przyszła pora na porąbanie drewna, ponieważ wiedział, że raczej prędzej niż później, propan do grilla się wyczerpie. Pod koniec dnia wszyscy padali z nóg.

Obiecał Jen, że pojedą w odwiedziny do Tylera, a potem wpadną do jej domu po trochę ubrań oraz oczywiście sprawdzić, co u jej kota. Do domu opieki było bardzo blisko, zaledwie jedna mila. Minął porzucone samochody, rodzinę maszerującą w przeciwnym kierunku, matka i ojciec oboje pchali wózki z supermarketu; w jednym wózku siedziało dziecko, w drugim wałało się kilka rodzinnych skarbów. Kim byli? Nie wiedział. Nie miał też pojęcia, dokąd idą. Nawet nie zwolnił, żeby ich o to zapytać.

I znowu uświadomił sobie tę zdumiewającą zmianę. Jeszcze tydzień temu, gdyby napotkał tych ludzi, zatrzymałby się i zapytał, czy przypadkiem nie potrzebują, by ich podrzucić. Ten widok był przecież żalony...

Kiedy dojechali na parking przed domem opieki, momentalnie dopadło go przeczucie, że coś jest nie tak - bardzo nie tak. Trzy osoby błąkały się przed budynkiem. Poznał, że to pacjenci. Szurali nogami, zupełnie zdezorientowani. Jeden z nich był nagi.

- Boże święty, co tu się dzieje? - jęknęła Jen.

John pobiegł do osoby znajdującej się najbliżej, aby odprowadzić ją do środka, ale Jen zawołała do niego, by szedł za nią.

Otworzył drzwi i natychmiast zorientował się, że stało się coś strasznego. Smród niemal ścinał z nóg. Był tak intensywny, że John aż się zakrztusił i zrobił krok w tył, łapiąc oddech.

Jen była bardziej zahartowana. Stała w drzwiach.

- Weź kilka głębszych oddechów, będę w pokoju Tylera.

Odczekał chwilę. Korciło go, by zapalić papierosa. Wstrzymał się jednak; w ciągu dwóch dni wypalił pięć paczek. Zostało mu sześć i dwa kartony. Zaczynał już liczyć każdego papierosa.

Wziął jeszcze jeden głęboki wdech, zebrał się w sobie i wtargnął do środka. Zaatakował go smród fekaliów, uryny, wymiotów. Dławił się, niemal sam zwymiotował, lecz zwalczył torsje.

Korytarz, jeszcze tydzień temu rześcicie oświetlony i sterylne czysty, teraz tonął w ciemnościach. Wielkie nosze na kółkach stojące w bocznej wnęce były źródłem najgorszego odoru. Szybko przeszedł obok nich, skręcił i dotarł do stanowiska pielęgniarek w zachodnim skrzydle. Za kontuarem siedziała kobieta, spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem. Jej szlafrok z Kubusiem Puchatkiem był cały brudny. Zerknął na jej plakietkę... miała na imię Caroline. Przypomniał sobie, że zazwyczaj przychodziła na nocną zmianę.

Chciał na nią krzyknąć, ale widział, że znękana kobieta jest już na skraju wyczerpania.

- Jak się masz, Caroline?

- Chyba dobrze - odparła drewnianym głosem.

Spojrzał na korytarz. Smród był tak koszmarny, że powinien unosić się w powietrzu niczym mgła.

- Co tu się, do cholery, wyprawia? - zapytał.

- Co masz na myśli?

Był w szoku. Nagle zrozumiał. Biedna dziewczyna była kompletnie otepiała. Z jej oczu zionęła pustka.

- Kiedy ostatnio spałaś?

Podniosła wzrok i utkwiała go w zegarze ściennym. Wskazówki zatrzymały się na czwartej pięćdziesiąt.

W korytarzu słyhać było echo pojękiwań... „pomocy, pomocy, pomocy...”

- Spałam wczoraj kilka godzin.

- Jest tu jeszcze ktoś z personelu?

- Janice w drugim skrzydle. I chyba Waldo gdzieś się kręci.

- Jest was tylko troje?

Przytaknęła.

- Zaraz wracam.

Starając się zachować spokój, zaczął brnąć przez korytarz. Wszystkie drzwi były pootwierane, ale nie było żadnego przeciągu ani przewiewu; panowała piekielna temperatura. Kolejny całkowicie skomputeryzowany budynek zaprojektowany z myślą o całorocznej klimatyzacji. Małe okienka w każdym pokoju ledwie się otwierały. Przez popołudniowy upał temperatura w środku budynku była jeszcze wyższa niż na zewnątrz.

Zajrzał do pierwszego pokoju. W środku siedziała staruszka. Przypomniał sobie, że ta kobieta cierpi na Alzheimera. Kiwała się w tył i w przód, taplając się we własnych nieczystościach. Na podłodze leżała rozrzucona pościel. Następny pokój zajmowało dwóch dziadków. Jeden siedział na elektrycznym wózku inwalidzkim, który przestał działać. Drugi leżał na łóżku; pościel była mokra od moczu.

Obaj mężczyźni spojrzeli na Johna.

- Synu, czy mógłbyś nam przynieść trochę wody? - zapytał ten na wózku uprzejmym tonem.

- Oczywiście.

Wycofał się z pokoju i wrócił do recepcji.

- Mogę prosić o dzbanek wody?

Pielęgniarka pokręciła głową.

- Wczoraj się skończyła.

- Jak to skończyła?

- Zwyczajnie. Brak bieżącej wody.

- Nie macie zapasowego zbiornika? Przecież powinniście gdzieś mieć rezerwy!

- Nie wiem - odparła głosem wypranym z życia. - Jest gdzieś chyba awaryjne źródło, które działa napędzane przez generator.

- Chryste Panie...

Otworzył drzwi do łazienki na korytarzu, lecz natychmiast stamtąd wypadł, krztusząc się. Na sedesie siedziała kobieta, pochylona do przodu... martwa. Małe pomieszczenie zaczął już wypełniać zapach rozkładającego się ciała.

Odwrócił się i przeszedł głównym korytarzem do kuchni. Zastał tam jednego staruszka opartego o swój balkonik. Ciężka stalowa lodówka była otwarta. Mężczyzna trzymał w ręku paczkę hot dogów. Jadł je na zimno.

- Uszanowanie - rzucił przyjaznym tonem. - Skusi się pan? - zapytał, unosząc hot dogi.

- Nie, dziękuję.

John podszedł do zlewu, odkręcił kurki. Nic nie popłynęło.

- Cholera.

Wyszedł, dotarł do stołówki, zdjął pokrywę z wielkiego zbiornika, w którym zazwyczaj przechowywano lód. Na dnie była teraz woda. Wziął dwa kubki, napełnił je i pobiegł korytarzem do pokoju staruszków.

- Dzięki Bogu - powiedział mężczyzna leżący w łóżku ledwie słyszalnym głosem. John musiał przytrzymać mu kubek, aby mógł się napić.

Drugi staruszek, ten na wózku, miał na głowie starą pamiątkową czapkę z napisem „Wielka Czerwona Jedyńka - Plaża Omaha 1944-2004” i baretkami, które John z miejsca rozpoznał: Srebrna Gwiazda, dwa Purpurowe Serca, a do tego miniaturowe szewrony sierżanta. Na widok bohatera wojennego dopijającego łąpczywie resztkę wody mimowolnie zacisnął pięści.

- Synu, nie chcę cię fatygować... - wyszeptał staruszek. - Mój wózek nie daje się poruszyć. Czy mógłbyś mi przynieść jeszcze jeden kubek wody?

- John, gdzie ty się, do cholery, pałętasz?!

To była Jen. Wołała do niego głosem ostrym jak brzytwa.

- Już idę, mamó! - odrzyknął i spojrzał na starszego mężczyznę. - Sir, niedługo wrócę - powiedział, po czym wybiegł z pokoju.

Starął się nie zaglądać do kolejnych otwartych pomieszczeń, które mijał, maszerując korytarzem. Ale rozgrywające się w nich sceny mimo woli przykuwały jego wzrok. Zauważył starszą kobietę; siedziała naga, skulona, łkając. Z kolejnego pokoju doszedł go słodkawy, mdły zapach. John nie mógł się powstrzymać... i zobaczył spuchnięte ciało mężczyzny. Jego twarz była pożółkła i nosiła ślady początkowej fazy rozkładu. Pościel wałała się po podłodze, pewnie wskutek walki ze śmiercią, jaką stoczył... Jego współlokator siedział na krześle, gapiąc się przez okno. Sprawiał wrażenie zupełnie nieobecnego.

Dotarł do pokoju Tylera. Jen stała w drzwiach. Płakała.

- Musimy zabrać go do domu - wykrztusiła.

Przez chwilę myślał, że Tyler nie żyje. Leżał z odrzuconą do tyłu głową, na twarzy miał zarost. Kroplówka nadał tkwiła w jego ramieniu; była opróżniona. Rurka do sztucznego karmienia, wsadzona do jego żołądka, była napędzana małą elektryczną pompką, plastikowy zbiornik podłączony do pompki był pusty.

Tyler wydawał się ledwie przytomny. Mamrotał coś bez sensu.

Powietrze zatruwał odór fekaliów. John z trudem powstrzymywał się, by nie zwymiotować. To było silniejsze od niego - od zawsze. Szczycił się tym, że jest cholernie dobrym ojcem, lecz kiedy dzieci jeszcze nosiły pieluchy, całą tę brudną robotę pozostawiał Mary. Opieka nad Mary, kiedy przechodziła chemioterapię, była koszmarem. Dzielnie jednak przy niej trwał. Trzymał ją za rękę, kiedy wymiotowała, czyścił jej twarz, a następnie sam pędził do łazienki, by zwrócić jedzenie. Po jej śmierci, kiedy córeczki chorowały, o pomoc prosił Jen. Był przerażony tym, czemu musiał teraz stawić czoła.

- Doprowadzę go do porządku - odezwała się teściowa - a ty znajdź nosze na kółkach, żebyśmy mogli przenieść go do samochodu.

- Jak, do diabła, masz zamiar go umyć? - zapytał John.

- Po prostu znajdź nosze, ja zajmę się resztą.

Wyszedł z pokoju i rzucił się biegiem przez korytarz do stanowiska pielęgniarki.

- Zabieram stąd mojego teścia.

- To dobrze, powinien pan - odpowiedziała Caroline stłumionym głosem.

- Jak, na Boga, możecie pozwalać na to, co tu się dzieje?

Podniosła wzrok, spojrzała na Johna i po prostu się rozkleiła, targana szlochem.

- Nikt nie przyszedł do pracy. Jestem tu odkąd... odkąd wyłączyli prąd. Wallace i Kimberly wzięli wolne zeszłej nocy, mówili, że muszą iść do domu, dopilnować dzieci, i że wrócą, ale nie wrócili. Sama mam w domu córkę. Jej ojciec to drań i pijak, mieszka z jakąś inną kobietą. Boję się, że nie poszedł sprawdzić, co u mojej córeczki, i siedzi tam sama.

Nadal na niego patrzyła, a łzy płynęły jej po twarzy.

- Muszę zapalić - powiedział John.

Kiwnęła głową, pogrzebała w torebce i wyciągnęła pudełko papierosów, myśląc, że John poprosił ją o papierosa.

Pokręcił głową, wyłowił z kieszeni dwa papierosy i podał jej jednego. Zapalili. Co prawda to lecznica, ale w tej chwili, pomyślał John, zapach dymu może zagłuszy odór i pozwoli pielęgniарce nieco się uspokoić.

Zaciągnęła się głęboko, wypuściła dym, łzy przestały płynąć z jej oczu.

- Potrzebuję noszy na kółkach, żeby zabrać stąd teścia.

- Chyba znajdzie je pan w następnym korytarzu. Waldo kilka godzin temu je tam zabrał.

- Kiedy ci wszyscy pacjenci byli ostatnio myci, karmieni, pojeni?

- Nie wiem.

- Przypomnij sobie, do cholery!

- Chyba dwa dni temu. A potem wszystko się... posypało. Pan Yardborough zmarł, potem panna Emily, potem pan Cohen. Nikt się nie pojawił, żeby zabrać ich ciała. Zazwyczaj zakład pogrzebowy przysyła karawan w ciągu pół godziny. Wydaje mi się, że powiadomiłam ich telefonicznie, ale nikt się nie pojawił. Pani Johnston w pokoju 23 upadła, chyba złamała sobie biodro, a pan Burnelli miał kolejny atak serca. Wszyscy oni umierają - kontynuowała pielęgniarka. - Wszyscy, po kolei. Panna Kilpatrick leży martwa w pokoju obok. Boże, tak bardzo ją uwielbiałam... - Kobieta znowu zaczęła szlochać.

Pamiętał pannę Kilpatrick. Była raczej młoda. Ofiara wypadku samochodowego. Sparaliżowana od pasa w dół. Przechodziła tutaj rehabilitację, potem chciała wrócić do domu. Pracowała jako nauczycielka fizyki w liceum. Wjechał w nią pijany kierowca. Jak się okazało - jeden z jej uczniów.

- Znalazła nożyczki i podcięła sobie żyły. Jest na świetlicy. Martwa.

Nawet jej nie zauważył, kiedy tamtędy przechodził.

- Mówiła, że wie, co się stało, i że tego nie przeżyje.

- Caroline, musisz pomóc tym ludziom.

- No nie wiem. Jestem tylko zwykłą pielęgniarką, nie jestem przeszkolona pod kątem specjalistycznej opieki, proszę pana.

Znowu się rozkleiła.

- Gdzie dyrektorka?

- W swoim gabinecie. Chyba.

Skinął głową, zostawił Caroline i skierował się do sąsiedniego skrzydła, a potem skręcił w korytarz biurowy. Drzwi do gabinetu były zamknięte. John wszedł bez pukania.

Kobieta siedząca za biurkiem spała kamiennym snem, z głową na blacie.

- Eli, wstawaj! - warknął gniewnie.

Podniosła głowę.

- Profesor Matherson?

- Tak, to ja.

Potarła oczy dłońmi i wyprostowała się w fotelu.

- Wiem, że się pan gniewa...

- Gniewam? To nieadekwatne określenie. Jestem wściekły!

Kobieta skinęła głową.

- Wiem. W budynku mam teraz czworo, może troje swoich ludzi. Kimberly chyba się ulotniła. Wysłałam ostatnią osobę z personelu kuchennego do miasta, żeby ściągnęła pomoc.

Ale to było kilka godzin temu... nikt się nie zjawił. Nie mamy wody, nie mamy klimatyzacji, nie mamy możliwości mrożenia jedzenia i leków...

Zawiesiła głos. Spojrzała na listę spraw do załatwienia leżącą na biurku. Cała sytuacja ewidentnie przerastała tę kobietę, więc usiłowała szukać schronienia w wykonywaniu standardowych procedur.

- Kiedy ostatnio liczyłam, siedemnaście osób było martwych. Sześć rodzin zabrało zwłoki... To znaczy, że zostało czterdziestu pacjentów i trzy osoby z personelu wykonujące nadgodziny. Normalnie na dziennej zmianie mam tu ponad trzydziestu pracowników.

Boże, pomyślał John, można by się spodziewać, że wszystkie rodziny zechcą zabrać zwłoki bliskich. Po chwili jednak uprzytomnił sobie, jak trudne jest to zadanie. Niektórzy przecież mieli rodzinę daleko stąd. Załóżmy, że ktoś tu przeszedł na emeryturę, umarł jego lub jej małżonek, wylądował więc w domu opieki, a dzieci mieszkają zupełnie gdzie indziej, w Nowym Jorku, Kalifornii, Chicago... jak to w Ameryce.

A nawet dla tutejszych, mieszkających pięć czy dziesięć mil stąd nie będzie to łatwe. Jak w takiej sytuacji przewieźć chorego umysłowo, niedołężnego, czy umierającego rodzica lub dziadka? Wiele osób prawdopodobnie żyje, albo chce żyć, w przekonaniu, że „dziadek jest tam bezpieczny, w końcu płacą za to pięć tysięcy dolarów miesięcznie”.

- Ale przecież trzeba coś z tym zrobić - zaprotestował John słabym głosem.

- Błagam, najpierw powiedz, co dokładnie mam zrobić - odparła kobieta spokojnie. - Wiesz, że wczoraj w nocy nas okradziono?

- Co?!

- Jakieś bandziory, dzieci śmieci. Jeden z nich miał broń i zażądał narkotyków. Zabrali wszystkie środki uśmierzające ból. Pigułki i morfinę w płynie.

- Co to za jedni?

- Nie mam pojęcia. Ten z pistoletem miał ogoloną głowę, kolczyk w uchu, a na lewym ramieniu wytatuowanego węża. Przyjechał czerwonym motorem.

- Bydlaki - stwierdził John tonem zimnym jak lód.

Tyler miał bezustannie podawaną morfinę. Jezu, kiedy się ocknie, nagle znajdzie się w piekle...

- Tak ich właśnie nazwałam. Wyśmiali mnie.

Johnowi zabrakło słów, by odpowiedzieć. Nagle poczuł przyływ współczucia dla Eli. Była dobrą kobietą. Jej najstarszy syn kilka lat temu należał do grupy skautów, której przewodził John.

- Pojadę do miasta i dowiem się, czy możemy jakoś ewakuować tych ludzi.

- Dziękuję.

- Tymczasem zabieram stąd mojego teścia.

- To dobrze.

- Co z jego rurką do karmienia? Z odżywką?

- Osobiście odradzałabym odżywkę. Powinna być trzymana w zamrażarce. Chyba mamy jeszcze kilka puszek preparatu ensure. Użyj lejka, popłynie dzięki ciśnieniu.

John skinął głową. Poczuł, jak jego żołądek się buntuje.

- Lepiej już pójdę.

Zostawił kobietę samą i załamaną. Wbiegł w następny korytarz. Zapuszczał się w jeszcze niższy, jeszcze gorszy krąg piekła. Całe skrzydło było pod ścisłym nadzorem. Trzymano tu pacjentów z Alzheimerem albo chorych na demencję. Część z nich była teraz w holu. Ci, którzy byli w stanie się poruszać, błakali się bezcelowo. Gdy ujrzeli Johna, zaczęli wyciągać w jego stronę rachityczne ręce. Niektórzy coś mówili, inni jedynie mamrotali lub wydawali niezidentyfikowane odgłosy. John poczuł się jak zakładnik jakiegoś surrealistycznego koszmaru. Nie mógł się zatrzymać, pomóc im. Gdyby to zrobił, nigdy by się już nie wyrwał z tego koszmaru.

Mijając awaryjne drzwi wyjściowe, wyrzał na zewnątrz. Jeden z pacjentów wolnym krokiem dreptał w stronę lasu. Cały system bezpieczeństwa wysiadł, więc obrączki noszone przez pacjentów na kostce - najnowszy środek bezpieczeństwa, który automatycznie blokował drzwi i włączał alarm na stanowisku pielęgniarek, gdy ktoś próbował wyjść na zewnątrz - teraz nie działały. Cud, że pacjenci, którzy byli w stanie poruszać się o własnych siłach, nadal tkwili w budynku. John zastanawiał się, ilu z nich do tej pory po prostu wyszło stąd i ruszyło do lasu...

Dostrzegł nosze na końcu korytarza. Zbliżając się do nich, ku swemu przerażeniu zauważył, że na noszach leży skręcone, drobne ciało jakiegoś staruszka. Obok stała stara kobieta i głaskała mężczyznę po włosach.

Zrobił kilka kroków do przodu, zdeterminowany wziąć nosze, lecz kiedy kobieta podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, jego wola osłabła. Wycofał się i wybiegł z tej części oddziału.

Wrócił do skrzydła, w którym przebywał teść. Jen rzeczywiście jakimś cudem umyła męża. Na podłodze leżały podarte, mokre prześcieradła. Spojrzała na Johna. Bił od niej spokój. Zadziwiła go jej siła ducha.

- Znalazłeś nosze?

- Sam go wyniosę.

Jen zdążyła już odłączyć rurkę do sztucznego karmienia i kroplówkę i owinać męża w miarę czystym kocem. John ujął Tylera pod pachy i wstał. Mężczyzna, mimo że tak wymizerowany, nadal sporo ważył. John zacisnął zęby, zanim odważył się zrobić pierwszy krok. Odwrócił się, wyszedł przez drzwi na korytarz. Przyspieszył nieco, z całych sił starając się nie upuścić Tylera. Minęli recepcję, Caroline nie odezwała się słowem, Jen pobiegła pierwsza, by otworzyć drzwi.

W rogu świetlicy zauważył tym razem pochylone do przodu, jak złamana gałązka, ciało panny Kilpatrick. Kałuża krwi wsiąknęła w dywan pod jej stopami. Już zlatywały się do niej muchy.

Łapiąc oddech, John dotarł do drzwi, a następnie do samochodu. Ułożył Tylera na tylnym siedzeniu. Gdy teść podniósł powieki, John dostrzegł w jego oczach błysk rozpoznania.

- Już dobrze, Tyler, zabieramy cię do domu. Wszystko będzie dobrze.

Tyler nie mógł mówić. Rak już dawno temu wyżarł mu gardło i struny głosowe, po czym rozprzestrzenił się do klatki piersiowej. Jego oddech był chrapliwy, sprawiał wrażenie, jakby zbliżał się kolejny atak zapalenia płuc.

Mimo to staruszek miał dość sił, by złapać Johna za ramię, ucisnąć je, a potem puścić.

- Jen, włącz silnik, zaraz wracam - powiedział, wciskając jej w dłoń kluczyki.

Wszedł z powrotem do budynku i podbiegł do pielęgniarki.

- Caroline, gdzie znajdę odżywki ensure?

Ruchem głowy wskazała mu magazyn. Wszedł do środka, znowu próbując zachować zimną krew. Ktoś zwymiotował na podłogę. Ostrożnie ominął kałużę i otwierał w pośpiechu szafki. Bandaż, którym był obwiązany jego rozorany palec, przesiąkł Bóg wie czym i wreszcie się ześlizgnął. Puste pudełka po drogocennym preparacie walały się po podłodze, aż tu nagle, gdy już chciał się poddać, znalazł dwa kartony zawierające dwadzieścia cztery puszki. Złapał je i wyszedł.

Ruszył w stronę drzwi wyjściowych, lecz nagle zatrzymał się, odwrócił i pobiegł do pokoju, w którym przebywali dwaj staruszkowie. Wyciągnął z kartonu kilka puszek i ułożył je na kolanach weterana.

- Dziękuję za to, co dawno temu zrobił pan dla nas, sierżancie - wyszeptał John.

Staruszek uśmiechnął się i skinął głową. Najpierw John poczuł się trochę głupio, ale nie mógł się powstrzymać - zsalutował staremu weteranowi. Mężczyzna wyprostował się na wózek, uśmiechnął i odsalutował.

John wyszedł i ruszył do samochodu.

Wrzucił puszkę na podłogę pod przednim fotelem i wślizgnął się do środka auta.

- Wynośmy się stąd w cholere! - rzucił.

Zawrócił wóz. Celowo nie spojrzał na pacjentów z demencją błąkających się po podwórku. Gdyby się przy nich zatrzymał, z powrotem zostałby wessany w ten koszmar, a przecież wioził na tylnym siedzeniu Tylera. Z nieba lał się żar.

Kilkanaście minut później byli już w domu.

- Ben, Elizabeth! - zawołał.

Córka i jej chłopak wyskoczyli z basenu, ociekając wodą i śmiejąc się głośno. Po chwili zwolnili kroku, widząc, jak John usiłuje wyciągnąć Tylera z samochodu.

Elizabeth cofnęła się niepewnie.

- Jezu, dziadku... - Zaczęła płakać.

- Pomóc panu? - zapytał Ben nerwowym tonem.

- Przytrzymaj mi drzwi.

John wniósł teścia do środka, Jen deptała mu po piętach. Skierowali się do pokoju Jennifer, gdzie ułożyli go na łóżku.

Jen przyciągnęła krzesło i siedziała już przy mężu, łagodnie głaszcząc go po policzku.

- Już dobrze, Tyler, jesteśmy w domu... w domu... - szeptała.

John wyszedł z pokoju. Nagle poczuł przemożną potrzebę umycia się. W salonie wpadł na Elizabeth. Stała, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w drzwi pokoju Jennifer.

- Elizabeth.

Płakała.

- Będzie nam ciężko, ale musimy dać sobie z tym radę. Przynies wiadro wody. Podgrzej ją na grillu, znajdź jakieś mydło i ręczniki, a potem idź pomóż babci.

Dziewczynka próbowała powstrzymać szloch i skinęła głową.

Jak dobrze, że Jennifer nie ma w domu i nie musi tego wszystkiego oglądać, pomyślał John.

Zamknął się w łazience. Nalał trochę wody z wiadra do umywalki i starannie umył ręce. Ból wykrzywił mu twarz, piął się do góry po jego ramieniu. Pokropił ranę odrobiną spirytusu do dezynfekcji.

Odciał kawałek starego prześcieradła wyciągniętego z szafki i owinał nim dłoń. Następnie wrócił do pokoju Jennifer.

- Mamo, wszystko w porządku?

Podniosła wzrok, spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Jasne. Dam sobie radę, John. Dziękuję.

Pojawił się Ben z wiadrem podgrzanej wody. Elizabeth zawahała się na moment, zanim weszła, niosąc ręcznik i mydło.

- Elizabeth, kochanie. Sądzę, że twój dziadek nie chciałby, aby jego wnuczka przy tym pomagała - oświadczyła Jen z poważnym wyrazem twarzy.

Przeniosła spojrzenie na Johna.

- A ty, John, masz najwrażliwszy żołądek na świecie. Zostawcie mnie samą z dziadkiem.

- Ja zostanę - rzekł Ben cichym głosem.

Cała trójka popatrzyła na niego w zdumieniu.

- Kurczę, przecież ze sto razy przewijałem mojego młodszego brata. Pomogę pani.

- Dobry z ciebie facet, Ben.

- A ja może lepiej pojedę do miasta - odezwał się John. - Sprawdzę, czy nie da się sprowadzić jakiejś pomocy.

- Dobry pomysł, John.

Zawahał się i spojrzał na Elizabeth.

- Może powinnaś pojechać ze mną.

- Jesteś pewny, tato?

- Jasne.

Spojrzała na niego z wdzięcznością i ulgą. Oboje poszli do samochodu i wsiedli.

- Przepraszam, tato. Chyba nie mogłabym wytrzymać tego, co trzeba zrobić z dziadkiem... chociaż pewnie bym spróbowała.

- Posłuchaj, kochanie, ja sam ledwie dałem sobie z tym radę. Zapnij pasy.

Dziewczyna zaśmiała się łagodnie, chociaż nadal była roztrzęsiona.

- To jest ford edsel rocznik 1959, tato. Tu nie ma pasów.

Dojechawszy do miasta, John natychmiast poczuł, jakby wkraczał do zupełnie innego świata.

Darmowe barbecue u Pete'a już się skończyło, małomiasteczkowa atmosfera festynu pod chmurką kompletnie wyparowała. Dwóch policjantów uzbrojonych w dubeltówki stało przed gmachem szkoły podstawowej. Spora grupa ludzi uformowała się w kolejkę. Płonął ogień, a nad nim dyndał kociołek.

W pobliżu ratusza, komisariatu oraz remizy strażackiej zobaczył kolejne pół tuzina policjantów i tyle samo strażaków. Kilku mężczyzn stało z tyłu volkswagena busa Jima Bartletta, wyładowywali jakieś pudła. Dokoła zaparkowanych było sporo rowerów, kilka

motocykli, jeden harley davidson, jakiś jeep wyciągnięty z garażu, inny jeep, antyk pamiętający jeszcze II wojnę światową oraz kilka starych farmerskich pikapów. Brama do remizy była otwarta, wozy strażackie wystawione na zewnątrz. W środku piętrzyły się pudła i skrzynki.

Nieopodał utworzyła się druga kolejka, do wojskowej cysterny na kołach. Strażnik pilnował ludzi ustawionych w kolejce, wszyscy trzymali w rękach plastikowe wiaderka lub inne pojemniki.

John zatrzymał się na poboczu i wyszedł z auta razem z Elizabeth.

- Jeden galon wody na osobę - powtarzał jak katarynka strażnik. John przygarnął bliżej siebie Elizabeth i ruszył do gabinetu pani burmistrz.

Mimo że w centrum miasta była woda, ludzie mieszkający w innych częściach Black Mountain zostali jej pozbawieni. Musieli iść na piechotę aż tak daleko, by zdobyć zaledwie jeden galon.

Jeden ze strażników dostrzegł Johna i skinął głową.

- Witam, profesorze.

Rozpoznał swojego dawnego studenta. Ukończył college kilka lat temu, a teraz pracował jako nauczyciel w liceum. John czuł się głupio, że imię mężczyzny wypadło mu z głowy.

- Co u ciebie?

- Cóż, Charlie ogłosił stan nadzwyczajny. Przenosimy wszystkie środki medyczne tutaj do remizy, tak samo jak resztki jedzenia, które można jeszcze dorwać w supermarketach, ale raczej niewiele tego zostało.

- Byłem w Food Lion. We wszystkich sklepach jest tak tragicznie?

- Cóż, proszę pana, chyba można powiedzieć, że mieliśmy do czynienia ze zbiorowym szałem. Ludzie zaczęli zwyczajnie włamywać się do sklepów, zabierali to, na co mieli ochotę. Nie wyglądało to ładnie. Głównie robili to obcy.

- Obcy?

- No wie pan, ludzie z autostrady.

Sposób, w jaki mężczyzna powiedział „obcy”, zdenerwował Johna. Uważał, że to nie w porządku.

- Wiele osób przychodzi do nas drogą prosto z Asheville. Część z nich to mieszkańcy naszego miasta, tylko że akurat utknęli w Asheville. Niektórzy jednak po prostu stamtąd uciekają. Ubiegłej nocy zważyło się tu ponad tysiąc osób. Ponoć w Asheville jest teraz bardzo ciężko. Ci, którzy uciekli, mówią, że grasują tam gangi, głównie nieletnich. Cholerni wandale

włamali się do centrum handlowego, część budynku spłonęła. Ktoś mówił, że zginęło ponad pięćdziesiąt osób. Setki ludzi w dzikim szale szabrowało sklepy.

John w milczeniu trawił słowa rozmówcy.

- Mówią też, że ludzie umierają na drodze. Tracą przytomność, serca im wysiadają, głównie starsze osoby. Słyszałem, że ktoś naliczył co najmniej dwudziestu martwych na odcinku pomiędzy miejscem, gdzie stoimy, a zjazdem numer 53.

Trudno było w to uwierzyć.

- Dzięki za informacje. Czy pani burmistrz jest u siebie?

- Pewnie, że tak. Mają tam teraz jakąś naradę.

Nie czekał na zaproszenie, po prostu wszedł do budynku. Elizabeth zostawił przy drzwiach i kazał jej nie ruszać się z miejsca. Jego wzrok zatrzymał się na tablicy pamiątkowej...

„9.11.2001 KU PAMIĘCI CZŁONKÓW EKIP PIERWSZEJ POMOCY, KTÓRZY POŚWIECILI SWOJE ŻYCIE... SPOCZYWAJCIE W POKOJU”.

Po korytarzu kręciło się kilkoro mężczyzn i kobiet. Drzwi do sali konferencyjnej były zamknięte.

- Chcę się widzieć z panią burmistrz - rzucił do jednego z policjantów pilnujących wejścia.

- Właśnie trwa narada, sir.

- Wiem, ale to bardzo pilna sprawa.

- Obawiam się, sir, że musi pan poczekać.

- To sprawa niecierpiąca zwłoki! - powiedział podniesionym głosem.

- Sir, proszę wyjść na zewnątrz i tam poczekać.

Przypomniał sobie weterana wojennego, który błagał o szklanekę wody. Ta myśl dała mu kopa.

- Muszę się z nią zobaczyć - rzucił ostrym tonem. - Proszę się odsunąć.

- Sir, niech mnie pan nie zmusza do użycia siły.

Zauważył, że glina jest jeszcze niemalże nastolatkiem. Nie dorównywał Johnowi pod względem siły. Jeszcze tydzień temu był prawdopodobnie kompletnym żółtodziobem, a największym wyzwaniem, jakiemu musiał sprostać, pełniąc służbę, była pewnie jakaś szarpanina z pijanym facetem w sobotnią noc.

John przepchnął się siłą, złapał klamkę i otworzył drzwi.

- Sir! Proszę tam nie wchodzić.

W pokoju siedzieli Charlie, Kate i Tom, a poza tym doktor Kellor oraz, co ciekawe,

Washington Parker i para starszków, którą John gdzieś już kiedyś chyba widział.

- Wszystko w porządku, Gene. To profesor Matherson. Wejdz, John.

John uklonił się zdawkowo młodemu policjantowi i wszedł do środka. Wszyscy wlepili w niego wzrok, przez co nagle poczuł się nieco zażenowany. Jednak to uczucie zostało wyparte przez wspomnienie o tym, czego był świadkiem w domu opieki.

- O co chodzi, John? Czemu jesteś taki podminowany? - zapytał Charlie.

- Byłem przed chwilą w Domu Opieki Millera. Boże, tam jest istne piekło!

- Już o tym wiemy, John - odparła Kate. - Obecny tu pan Parker wysłał właśnie grupkę ludzi, wolontariuszy z college'u, aby zanieśli im trochę jedzenia i wody. Doktor Kellor z tłumów uchodźców wylapuje pielęgniarki, aby też pospieszyły tam z pomocą.

- Obawiam się, że sprawy nie załatwi paru studentów i garstka pielęgniarek - stwierdził John - ale i tak dzięki, Washington. - Wiesz, że był napad na dom opieki? Jakież gnojki ukradły cały zapas morfiny i środków usmierzających ból.

- To też wiemy, John - poinformował go Tom spokojnym głosem.

John czuł się teraz jak idiota.

Charlie rzucił ukradkowe spojrzenie Kate, która kiwnęła głową.

- John, prawdę mówiąc, powinienem był zaprosić cię na to spotkanie - odezwał się Charlie łagodnym tonem. - Właśnie dyskutujemy o pewnych kwestiach. Może dołożysz swoje trzy grosze. Znasz Wendy i Dona Barberów?

John spojrział na starszą parę. Jak się okazało, znał ich. Teraz to sobie skojarzył. Mieli domek letniskowy, a raczej willę, nieopodal domu jego teściów.

Oboje wyglądali na ledwie żywych. Pani Barber była blada jak ściana, najwyraźniej walczyła o zachowanie przytomności.

- Państwo Barber dopiero co wrócili z Charlotte.

Don Barber z wolna skinął głową.

- Niech pan mówi dalej - poprosiła Kate.

- No więc tak jak mówiłem - odezwał się Don - już wczoraj rano wszystko wymknęło się spod kontroli. Z Fort Bragg dzień po awarii przyleciało kilka helikopterów. Wylądowały obok ratusza, wypadł z nich jakiś tuzin uzbrojonych żołnierzy. Tak więc, do ratusza wchodzi jakiś skretyniały major, wychodzi dwadzieścia minut później, helikoptery odlatują, a potem nagle ktoś wybiega z ratusza i drze mordę, że wybuchła wojna!

Wszystkich zatkało.

- Wojna? Z kim? - zapytał Tom.

- Nie wiem... nikt nie wie! Ten idiota krzyczał, że jest wojna i że ktoś w nas rąbnął

bombą atomową, i że już przegraliśmy. To on wywołał całą tę panikę. Co za bydlak, niewyparzona gęba!

Zrobił pauzę i spojrzał na żonę.

- Przepraszam, Wendy.

- No, cóż, to rzeczywiście był jakiś głupi sukinkot... - wyszeptała, ledwie będąc w stanie trzymać otwarte powieki. John się uśmiechnął.

- Jestem na tyle stary, by pamiętać rok 1941 - ciągnął Don. - I zamach na Kennedy'ego w 1963 roku, zamach na Reagana, no i oczywiście zamachy z jedenastego września 2001 roku. Zawsze mieliśmy dostęp do radia, telewizji. Docierały do nas informacje o tym, co się dzieje, co mamy robić. Ktoś nami kierował, przewodził. I to nas jednoczyło. Tym razem jest pustka, próżnia. Był tylko ten jeden kretyn, który wybiegł i wydarł gębę. Rzecz jasna zrobiło się zbiegowisko z powodu lądowania helikopterów. Potem ruszyłem ulicą i na własne uszy słyszałem, jak rozprzestrzeniają się plotki. Ludzie gadali o bombie atomowej, ktoś zaczął się wydzierać na temat promieniowania, które nas wszystkich zabije, i to wystarczyło. W ciągu godziny całe centrum miasta pogrążyło się w chaosie. Ludzie płądrowali sklepy, bili się ze sobą, nie dało się ich okiełznać.

Przerwał na moment i pokręcił głową, jakby sam nie mógł uwierzyć w to, co mówi. Po chwili kontynuował opowieść:

- Policja była zupełnie zdezorientowana. Poprzedniej nocy było spokojnie. Policjanci i strażacy zarekwirowała kilka starych samochodów. Jeździli wte i wewte po ulicach i przez stary megafon apelowali do mieszkańców o zachowanie spokoju. Mówili, że ktoś nam spieszy z pomocą. Podziałało. Ale przez ten wybuch paniki wszystko szlag trafił.

John nie chciał zadać tego pytania, ale musiał.

- Naprawdę uderzyli w nas bombą atomową? To znaczy, tak... frontalnie?

Barber pokręcił głową.

- Znam osobiście prokuratora okręgowego naszego hrabstwa. Udało mi się dotrzeć do jego biura. Tamten kretyn, biurokrata upośledzony, kilka minut posłuchał sprawozdania wojskowych, spanikował i wybiegł na zewnątrz siac popłoch... Jeśli chodzi o to, jak jest naprawdę, wiemy bardzo niewiele. Pamiętajcie, że po jedenastym września dopiero kilka dni później wszystko zaczęło się wyjaśniać, a przecież wtedy nie mieliśmy żadnych problemów z łącznością. No więc jak powiedział mi prokurator, wojskowi poinformowali ich, że nad Stanami Zjednoczonymi, kilkaset mil nad powierzchnią ziemi, zdetonowano jeden, dwa, a może nawet trzy ładunki nuklearne.

- Czyli pewne jest - wtrącił się John - że to atak EMP.

- Tak twierdzi prokurator. Podobno niektóre urządzenia komunikacyjne w Fort Bragg wyszły z tego wszystkiego bez szwanku. Jakiś samolot zaparkowany był w bunkrze ochronnym razem z paroma innymi pojazdami. Pomijając to, w całych Stanach padła sieć energetyczna, z wyjątkiem kilku odbiorników radiowych i maszyn, które, zdaniem tamtego majora, zostały wcześniej „uodpornione”. Mówił, że wojsko będzie dokładać starań, żeby wszystko naprawić, i że trzeba uspokoić ludność. Ale to może zająć im kilka tygodni.

Don pokręcił głową.

- Lepiej by było, gdyby ten wojskowy nigdy się tu nie pojawił. Sposób, w jaki nadlecieli tymi helikopterami, a potem odlecieli, w pośpiechu, tylko wzmógł panikę.

- Kilka tygodni? Gówno prawda - wymamrotał John.

Don zamilkł.

John spojrział na Kate.

- Przeczytałaś raport, który ci zostawiłem? - zapytał.

Przytaknęła.

- To wszystko zajmie im długie miesiące, nawet lata. Informacje od pana Barbera, tylko potwierdzają te przypuszczenia.

- Zdaję sobie z tego sprawę, John.

Ton, jakim wypowiedziała te słowa, sugerował, że Kate życzy sobie, by John trochę się pohamował. Sam zresztą wiedział, że pani burmistrz ma rację.

- I co działo się dalej, sir? - zapytał Charlie.

- Sytuacja już i tak była trudna. W centrum rozbiły się dwa samoloty, tuż po tym, jak wszystko padło. Jeden z nich to był boeing 737. Zrobił się niezły pasztet. Niektórzy myśleli, że to wszystko jest jakimś nieudanym atakiem terrorystycznym. Tak jak mówiłem, bez radia, bez jakichkolwiek innych środków komunikacji, plotki wyprzedziły prawdę, tak jak zwykle to bywa. Nikt nic nie wiedział i dlatego każdy mianował się ekspertem. Wszyscy zaczęli się nawzajem straszyć jak cholera. Wtedy zrozumiałem, że lepiej będzie, jeśli ja i Wendy opuścimy Charlotte i przeniesiemy się tutaj.

- Dlaczego tutaj? - zainteresowała się Kate.

- Bo tu jest bezpiecznie - odparł starszy pan. Rozejrzał się po pokoju, szukając potwierdzenia swoich słów.

- Jasne, Don - odezwał się Charlie. - Teraz jesteście bezpieczni, jesteście wśród swoich.

- Wyszedłem z biura w centrum i ruszyłem do domu. Odległość rzędu czterech mil. To były najcięższe cztery mile w moim życiu, przynajmniej od dnia, kiedy zestrzelili mnie

nad Koreą i musiałem piechotą wracać na nasze linie... Zabrałem Wendy. Dwa dni zajęło nam dotarcie na lotnisko, gdzie trzymam swojego L-4.

- L-4? Kurczę, a co to jest? - zapytał Tom.

- Wojskowe oznaczenie samolotu Piper Cub. Sporo z nich korzystaliśmy w czasie II wojny światowej, a nawet w Korei. To samolot łącznikowy oraz zwiadowczy. Maszyna bliźniaczo podobna do tej, którą latałem jako obserwator artyleryjski w Korei.

Uśmiechnął się.

- Znalazłem to cacko w opłakanym stanie jakieś dziesięć lat temu. Przywróciłem ją do dawnego stanu. Ślicznotka pięknie lata, wolno i nisko.

John nie mógł powstrzymać uśmiechu. Tak jak wielu innych starych weteranów wojennych opowiadających o tego typu rzeczach, Donowi nagle ubyło jakieś trzydzieści lat. Z jego oczu znowu biła młodość i opowiadał o tym jak o szczęśliwym wspomnieniu.

- Maszerując z żoną, cały czas bałem się, że mi ją ukradziono albo zniszczono. Ale, niech mnie licho, nadal stała sobie w hangarze. Nie ma w niej żadnego współczesnego badziewia. Przywróciłem jej pierwotny stan i może to właśnie ją uratowało. W środku ani krztyny elektroniki. Nie udało mi się znaleźć oryginalnego radioodbiornika z tamtych czasów, więc wmontowałem małego GPS-a. Oczywiście urządzonek się usmażyło, ale poza tym samolot wyszedł z tego bez szwanku.

Zrobił pauzę.

- Rozrusznik nie działał, ale do diabła z tym, dawniej uruchamiało się przepustnicę ręcznie. Zakręciłem śmigłem, no i wzbiliśmy się w przestworza.

- A potem przylecieliście tutaj? - zapytał John.

- Ano tak. Jakieś cztery godziny temu wystartowaliśmy, krążyliśmy trochę nad Charlotte.

Zamilkł na chwilę, spuściwszy głowę.

- W Korei widziałem to i owo. Byłem tam, kiedy komuchy drugi raz zajęły Seul. Nigdy nie pomyślałbym, że coś podobnego zobaczę tutaj, w Ameryce.

- Co pan zobaczył? - zapytała Kate cichym głosem.

- Coś, co przypominało mi jedenasty września. To, w jaki sposób ludzie w Nowym Jorku i Waszyngtonie tamtego dnia się zachowywali, i jakoś przetrwali te ciężkie chwile. Patrząc na to z perspektywy czasu, nie wybuchła wtedy nawet panika. W telewizji wystąpił Guiliani, potem prezydent. To nam pomogło. Ale teraz jest inaczej. Próżnia. Szczególnie w miastach. Tak jak mówiłem, wszystko wymknęło się spod kontroli. Centrum Charlotte trawił ogień. Dostrzegłem, że nikt nie gasi pożaru. Ciśnienie wody szlag trafił już wtedy, kiedy

postanowiłem pójść do domu. Zaczął się masowy szaber. Ludziom po prostu odbiło - kontynuował. - Na ulicach leżały trupy. Członkowie Gwardii Narodowej otoczyli centrum handlowe, zleciało się tysiące ludzi, próbowali włamać się do środka, żeby dorwać jakieś żarcie. Dziki tłum przepchnął się przez strażników, którzy zaczęli strzelać do ludzi. To wyglądało jak... jak stare kroniki filmowe z II wojny światowej albo Sajgonu, albo jak to, co się działo w Somalii. Nigdy przenigdy nie przyszłoby mi do głowy, że coś takiego ujrzę tutaj.

Don zawiesił na chwilę głos, popatrzył przez okno.

- Polecieliśmy wzdłuż autostrady międzystanowej numer 85, a potem przez Hickory Nut Gorge. Najpierw pomyślałem, żeby wylądować w Asheville, no ale co wtedy? Nadal bylibyśmy aż trzydzieści mil od domu.

- Wdział pan gdzieś jakiś ruch? - zapytał Charlie. - Szczególnie w Asheville?

- Chyba kilka samochodów, ale nic poza tym. Dużo pożarów. Paliło się kilka domów i las w paru miejscach, między innymi ten na Craggy, pięćdziesiąt mil dalej. Przelecieliśmy nad wrakiem samolotu pasażerskiego, który rozbił się tuż pod Asheville. Nadal stał w płomieniach.

- Dlaczego rozbiło się aż tyle samolotów? - rzuciła Kate.

- Ponieważ prawie każdy samolot pasażerski, który śmiga w powietrzu, jest naszpikowany elektroniką - wyjaśnił Don. - Nawet ster nie jest już podłączony do przewodu, tak jak dawniej. Teraz w samolotach są same komputerowe ustrojstwa. A kiedy szlag je trafił, to pewnie każdy samolot w Ameryce zarył dziobem w ziemię.

- Jezu - westchnął Tom. - Jedenastego września rozbiły się tylko cztery samoloty.

- Wychodzi na to, że teraz z nieba runęło jakieś trzy tysiące samolotów, bo o tej porze dnia tyle właśnie jest ich w powietrzu - powiedział Don bez cienia emocji w głosie. - Przeciętnie na pokładzie samolotu znajduje się dwustu pasażerów... sami sobie obliczcie resztę.

Mężczyzna westchnął głośno, nieobecne spojrzenie zdawało się ciągle spoglądać na daleki, mroczny horyzont.

- Paliło się też centrum handlowe Asheville. Ogromny pożar. To przekonało mnie, żeby wylądować tak blisko domu, jak tylko się da. Gdybym wylądował na lotnisku, nigdy bym tu nie dostał. Na autostradzie międzystanowej numer 40, na zachód od miasta, znalazłem kilkaset czyściutkich metrów, bez ani jednego pojazdu, i moja mała ślicznotka wcisnęła się tam i wylądowała.

Tom uśmiechnął się szeroko.

- Ależ to był widok. Nagle zobaczyłem samolot pędzący zjazdem z autostrady, a

potem parkujący pod centrum handlowym Ingram. Był pomalowany jak stare samoloty wojskowe, cholera jasna, na jego widok na moment aż mi serce podskoczyło!

- Tom, ustawiłeś przy nim straż? - zapytał Charlie.

- No jakżeby inaczej! Przecież to nasz skarb.

- Dziękuję, panie Barber - rzekł Charlie. - Cieszę się, że dotarł pan do domu.

- Wiecie co, padamy z nóg. Jest jakiś sposób, żeby podrzucić nas do chałupy?

- Chyba da się dla pana coś specjalnego wykombinować - odparł Charlie. - W ramach wymiany.

- To znaczy?

- Pozwoli nam pan użyć swojego samolotu.

- Tylko pod warunkiem, że sam będę pilotował - zarzekł się Don. - Pięć lat odnawiałem moją ślicznotkę, więc nikt nie może jej dotknąć oprócz mnie. Ale powiecie, gdzie polecieć, to polecę.

- Umowa stoi.

Charlie wstał, podszedł do drzwi i je otworzył.

- Jeszcze jedna rzecz - odezwał się Don. - Chodzi o autostrady międzystanowe. Roi się na nich od ludzi. Są ich tam tysiące. To jest istny exodus... Idą w tę stronę.

Podał rękę Wendy i oboje wyszli z pokoju, Charlie zamknął za nim drzwi.

- Domyśliłem się tego - skomentował cichym głosem. - Przerabialiśmy to na jednym ze szkoleń na temat tradycyjnego ataku atomowego, czyli uderzenia przynajmniej jednej bomby w miejski teren zabudowany. Kiedy wieść się rozniesie, najpierw wybuchną zamieszki. Ludzie będą wrywać sobie nawzajem z rąk to, co ich zdaniem pozwoli im przetrwać, a potem instynkt każe im brać nogi za pas i uciekać z miasta i dosłownie szukać schronienia w górach. To samo tyczy się epidemii. Najpierw zbiorowa panika, a potem zbiorowa ucieczka, tu, w góry.

- Dlaczego akurat tu? - zirytowała się Kate.

- A dlaczego my tutaj jesteśmy? - wtrącił się John.

- Co masz na myśli?

- Spróbujmy dogrzebać się do najgłębszych powodów, dla których jesteśmy tutaj, a nie gdzie indziej. Ja przeprowadziłem się tu z powodu Mary. Ale dlaczego jej rodzice postanowili tu zamieszkać? Zdaje się, że to jakiś instynkt, a może fantazja, że tu, w górach, życie jest bezpieczne, otoczenie przyjazne, a ludzie sobie wzajemnie pomagają. Jeśli się nad tym zastanowić, faktycznie tak to wyglądało, tacy rzeczywiście byliśmy. Jeszcze niedawno.

- Cóż, na pewno nie wczoraj. Wczoraj nie było to wcale takie przyjazne miejsce... -

zauważył Tom.

- Było aż tak źle? - zapytał John.

- A co, nie widziałeś tego na własne oczy?

John zastanowił się, czy Tom przypadkiem nie daje mu do zrozumienia, że wie od Verna, jak buszował po Dollar Store.

- Prawie cały dzień byłem w domu, miałem kupę roboty. Dopiero późnym popołudniem pojechałem do Food Lion, wszystko było już rozgrabione.

- Taa, jasne... Vern mówił, że przyłapał cię na szwendaniu się po Dollar Store - powiedział wreszcie Tom chłodnym tonem.

- Jezu, Tom, gdybym miał chętkę na szaber, wybrałbym o wiele lepsze miejsce, do ciężkiej cholery.

Nagle John zaczął się zastanawiać, czy te kilka rzeczy, które sobie wziął, rzeczywiście klasyfikują go teraz jako szabrownika. Do diabła, pomyślał, podczas wojny, w Rosji czy Niemczech, ludzi rozstrzeliwano za drobniejsze przewinienia. W Leningradzie wystarczyło ukraść kromkę chleba, żeby zawisnąć na stryczku.

- W takim razie po co się tam kręciłeś?

- No dalej, aresztuj mnie, jeśli na to właśnie masz ochotę - odwarknął John.

- Ej, panowie! - wtrąciła się Kate. - Spokój!

- Posłuchaj John, mieliśmy tu prawdziwe piekło - odezwał się Charlie. - Może to moja wina. Powinienem już pierwszego dnia wprowadzić stan nadzwyczajny, ale tego nie zrobiłem. Noc pomiędzy drugim a trzecim dniem wyglądała tak, jakby miasto nawiedziła zbiorowa panika. Większość ludzi nadal nie ma zielonego pojęcia, co się stało. Wiedzą tylko tyle, że stało się coś złego. Najpierw więc popędzili do banków, żeby wyjąć swoją forszę, ale wszystkie banki stosują elektroniczny zapis historii rachunków, a wykopywanie w przypadku każdej osoby dokumentów i innych papierków trochę trwa. To już nie te stare, dobre czasy, kiedy mieliśmy stemplowane księgi rachunkowe. No więc lud przeprowadził masowy szturm na banki, i to tam Tom ulokował większość swoich ludzi. Bankom szybko skończyła się gotówka, zanim udało mi się to wszystko ukrócić. Jakaś kobieta chciała wyjąć pięćdziesiąt tysięcy dolarów z konta bankowego w First Charter.

John omal się nie roześmiał.

- Przecież teraz pieniądze to i tak tylko papier, nic poza tym - westchnął.

- Nie chcę o tym słuchać - rzuciła Kate.

- Przykro mi, Kate, ale moim zdaniem powinnaś. Dopóki rząd federalny naprawdę tego wszystkiego nie pozamiata, z pomocą instytucji finansowych, wszystkie pieniądze w

papierkach, które krążą, są teraz bezwartościowe. Fundamentem całej naszej współczesnej ekonomii są pieniądze elektroniczne, wirtualne. To wszystko jest niczym wiara. A jeśli ta wiara zaczyna słabnąć i się sypać, to co wtedy?

- W takim razie szykuje się barter, czy nie tak? - zapytał Charlie.

John przytaknął.

- A ty ustalasz kryteria - dodał.

- Jak to?

- Proponuję konfiskatę wszystkich rzeczy, które są gdzieś tam jeszcze dostępne, a które mogą się okazać przydatne do przeżycia. Lekarstwa, narzędzia, części samochodowe, które mogą być użyte zamiast tych niedziałających, materiały budowlane, szczególnie hydrauliczne i tym podobne. A przede wszystkim żywność. Skonfiskuj i przywieź całą żywność tutaj, wprowadź wydawanie racji żywnościowych, które staną się walutą wymienną, wymienialną na inne rzeczy.

- Trąci mi to komunizmem - prychnął Tom.

- To nie komunizm, tylko strategia przetrwania - poprawił go John ostrym tonem. - Poza tym, Tom, moje poglądy polityczne nie są ci obce, więc mnie nie obrażaj.

- Cóż, sporo z rzeczy, które wymieniłeś, już nie ma - zabrał głos Charlie. - Psiakrew, zostaliśmy zaskoczeni. Tak jak mówiłem, żadnego gotowego planu. Wszystko zaczęło się od szturm na banki. Zaraz potem ludzie rzucili się hurmem do sklepów, chcąc kupić cokolwiek... wykupić wszystko. Bez transportu nie mieliśmy żadnych szans. A poza tym my, gliniarze, jesteśmy strasznie przyzwyczajeni do radiodbiorników w naszych radiowozach, które zapoznają nas na bieżąco z cholerną sytuacją. Szaber w centrum handlowym Ingram rozpełtał się już na dobre, zanim jeden z dwóch funkcjonariuszy, którzy pilnowali tego miejsca, zdążył dobiec tutaj, żeby nas o wszystkim powiadomić. Zanim posłaliśmy tam naszych ludzi, żeby zaprowadzili porządek, było już po wszystkim... Do diabła, ludzie oblegali nawet fast foody przy międzystanowej, wymachując studolarowymi banknotami i chcąc kupić surowe hamburgery! Ci bystrzejsi rzucili się jednak do trzech dużych marketów w mieście i tak oto zamiast kolejek na dwadzieścia osób raptem znalazły się tam takie tłumy, że ludzie nie mieścili się w środku, wysypywali się przez drzwi.

- Czy ktoś próbował ich powstrzymać? - zapytał John, spoglądając na Toma.

Szeryf westchnął.

- John, przecież mówimy o naszych sąsiadach. Niech to wszystko szlag trafi! Widziałem tam ludzi z mojej parafii, rodziców dzieci, które przyjaźnią się z moimi dziećmi. Tak, próbowałem ich powstrzymać, ale na Boga, nie mogliśmy przecież do nich strzelać!

- I tak zginęło około dwudziestu osób - poinformowała Kate. - Głównie wskutek utraty przytomności i zawałów serca. Witryna w sklepie Ingram została roztrzaskana, ktoś na nią wpadł i wykrwawił się na śmierć.

- Ludzie pchali się do środka, tratując tę kobietę, kiedy umierała - powiedział Tom cichym głosem.

John wyjrzał przez okno i utkwiał wzrok w volkswagenie Bartletta, który odjechał, zostawiając za sobą piramidy pudeł.

- John, to był czysty surrealizm - westchnął Charlie. - Wszyscy na nogach, ulice pełne ludzi, a najbardziej pożądanym wczoraj przedmiotem był wózek na zakupy z supermarketu. Wszystkie zostały rozgrabione, ludzie maszerowali po ulicach, pchając w nich swoje łupy.

- Stąd się właśnie wzięły zawały serca - odezwał się wreszcie doktor Kellor.

John spojrział na swojego starego przyjaciela. Kellor, jako bardzo młody internista, wyciągnął Mary z łona matki na ten świat, był również przy niej, kiedy ten świat opuszczała. Teraz zajmował się Jennifer i zazwyczaj składał wizyty w domu Johna mniej więcej raz w miesiącu, aby, jak mawiał, „sprawdzić, co słychać u mojej ulubionej dziewczynki”. Potem zostawał na szklaneczkę szkockiej oraz partycjkę szachów. Do szewskiej pasji doprowadzał go fakt, że John wygrywał dziewięć partii na dziesięć rozegranych.

- Mordercą jest strach. Strach połączony z faktem, że ludzie musieli przejść pieszo więcej niż zwyczajowe kilka kroków - ciągnął dalej doktor. - Odkąd to wszystko się zaczęło, odnotowaliśmy jakieś trzysta ofiar śmiertelnych.

- Aż trzysta?

- A co w tym dziwnego? - zapytał Kellor oschłym tonem.

- Nie zapominajmy o tym, że tak naprawdę jesteśmy strasznie delikatni i nieodporni. Należymy do najbardziej rozpieszczonych pokoleń w historii ludzkości. Jak na razie odnotowaliśmy zawały serca, kilka idiotycznych wypadków, co najmniej osiem morderstw i kilka samobójstw. Mówiąc bez ogródek, moi przyjaciele: wszyscy ludzie, którzy powinni byli umrzeć dawno temu, i umarliby dawno temu, gdyby nie beta blokery, stenty, angioplastyki, rozruszniki serca, egzotyczne leki, no więc wszystkie te osoby umierają właśnie teraz, wszyscy naraz.

John spoglądał przez chwilę na Kellora, zastanawiając się, jakie inne myśli kryje lekarz.

- Rozruszniki serca też zostały uszkodzone? - jęknął Charlie. - Dobry Boże, moja matka ma rozrusznik!

Szef bezpieczeństwa skupił na sobie wzrok wszystkich obecnych.

- Jest na Florydzie. Nie mam pojęcia, co u niej... - nagle zawiesił głos.

- Przykro mi, Charlie - rzekł Kellor. - Muszę jednak być szczery. O dziwo niektóre rozruszniki nadal działają, ale jak długo wytrzymają baterie? Wszystkich tych ludzi, nawet jeśli dotąd nie umarli, i tak czeka śmierć.

John spojrział na przyjaciela i postanowił zmienić temat, żeby odwrócić jego uwagę od nieprzyjemnych myśli.

- Charlie, będziesz musiał przejąć kontrolę - oświadczył ostrym, rozkazującym tonem.

- Trzeba to wszystko przyhamować, w przeciwnym razie będzie jeszcze gorzej. Na razie nadal jesteśmy dopiero w pierwszej fazie paniki.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ludzie, co prawda, próbują dorwać to, co wydaje im się niezbędne w zaistniałych okolicznościach, ale niewiele osób myśli długofalowo: o tym, co będzie za tydzień, za miesiąc... - urwał nagle, a po krótkiej przerwie dokończył - za rok. Czy zorganizowałeś publiczne zebranie, aby przedyskutować z mieszkańcami to, co się stało, oraz to, co trzeba teraz zrobić?

- To była katastrofa - westchnęła Kate. - Zrobiliśmy coś takiego ubiegłej nocy. Przyszło jakieś pięćset, sześćset osób, trudno było ich przekrzyczeć. Przez całe to zebranie sytuacja chyba jeszcze się pogorszyła. Charlie zaczął mówić o atakach EMP oraz wybuchach atomowych, a niektórym ludziom na sam dźwięk słowa „atomowy” nagle kompletnie odbiło. Mówili, że muszą iść do domu kopać schrony.

- Zdaniem Dona Barbera tak samo wyglądało to w Charlotte - przypomniał John. - Kiedy ludzie wreszcie uświadomią sobie, że to nie jest sytuacja tymczasowa, zaczną patrzeć na siebie wilkiem. Zaczną się zastanawiać, czy ich sąsiedzi przypadkiem nie chomikują w piwnicy zapasowej konserwy...

- Albo zapasowej fiolki lekarstwa schowanej w chłodziarce - powiedział cichym głosem Kellor. John wiedział, że była to aluzja pod jego adresem, lecz nie zareagował.

- Możemy teraz, w tym właśnie momencie, albo wziąć się w garść i utrzymać porządek, albo wszystko szlag trafi i wybuchnie totalna anarchia.

- Przypomina mi się stary odcinek serialu *Strefa mroku* - rzuciła Kate. - Grupa kulturalnych przedstawicieli klasy średniej bawi się na jakimś sympatycznym przyjęciu, gdy nagle w radio ogłaszają, że wybuchła wojna atomowa. Pod koniec półgodzinnego odcinka bohaterowie walczą ze sobą, usiłując wcisnąć się do schronu, który gospodarz miał w piwnicy.

To zabawne, że patrzemy na to wszystko przez pryzmat filmów, pomyślał John. Sam

wczoraj wieczorem rozmyślał nad jednym z odcinków *Strefy mroku*, w którym kosmici zaczęli włączać i wyłączać światło w domach. Wkrótce wszyscy ludzie wpadli w panikę, gotowi powybijać się nawzajem, a kosmici mieli z tego wszystkiego świetny ubaw.

Co by powiedział o terażniejszych wypadkach Rod Serling ze *Strefy*? „Seans ku przestrodze - Ameryka wali się jak domek z kart, kiedy z kontaktu wyciągnięto wtyczkę...”

- Do diabła ze *Strefą mroku* - zirytował się Tom. - Zajmijmy się uchodźcami. Obcy zaczynają zlatywać się chmurami. To jest w tej chwili mój największy problem. W przypadku naszych sąsiadów przynajmniej wiemy, co to za ludzie, na kogo można liczyć. Natomiast wszyscy ci zamiejscowi... kto wie, do czego są zdolni? Jeśli zjawi się ich za dużo, to w ciągu paru dni zaczniemy przymierać głodem.

- Charlotte przed awarią liczyło co najmniej milion mieszkańców - powiedział Charlie. - Jeszcze większym skupiskiem ludności jest trójmiasto, czyli Greensboro, Winston Salem i High Point. Wystarczy, że jedna osoba na sto postanowi tu przywędrować, a przybędzie nam dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy żołądków do wykarmienia.

Charlie zamilkł i przez bardzo długą chwilę nikt się nie odzywał.

- Musimy mieć jakiś plan - stwierdziła Kate.

- Jasne, plan... ale jaki plan? - westchnął Charlie. - Mielśmy przygotowany plan na każdy inny scenariusz, ale nigdy na coś takiego. Ani razu nie wzięliśmy pod uwagę podobnej sytuacji. I właśnie dlatego byłem zbity z tropu - stwierdził smutnym głosem, kręcąc przy tym głową. - Czekałem, aż ktoś zadzwoni, ktoś coś zrobi. Przepraszam.

- Charlie, każdy na twoim miejscu byłby przytłoczony sytuacją - powiedział John, nie do końca zgodnie z tym, co myślał. Rozumiał jednak Charliego. Tak jak wojskowi byli szkoleni do walki na polu bitwy, tak oni, służby porządkowe, byli szkoleni na wypadek kataklizmów i klęsk żywiołowych. Nikt nigdy nie przeszedł jednakże szkolenia na wypadek czegoś na tak wielką skalę jak to, co się wydarzyło. Nie istniał gotowy, genialny plan, jak sobie z czymś takim poradzić. Dlatego te pierwsze, niezwykle istotne dni, w których można było tak wiele zrobić i działać, zostały zmarnowane.

- Może ktoś w Asheville jest w stanie to wszystko jakoś ogarnąć - rzekł Tom. - Wszyscy widzieliśmy ten przelatujący nad miastem helikopter. Leciał prosto do Asheville. Może oni mają tam jakąś łączność ze światem?

John milczał. Asheville. Odcinek od zjazdu 64 do zjazdu 53, jedenaście mil. Elizabeth niemal codziennie usiłowała znaleźć jakąś wymówkę, by pojechać do tamtejszego centrum handlowego. On sam każdego tygodnia wpadał tam do księgarni Barnes and Noble, żeby pogrzebać w dziale książek militarnych, a potem wypić kawę, albo zabrać córeczki do ich

ulubionej pizzerii o nazwie Magic Mushroom, gdzie zlatywali się „dziwacy i hipisi”, ku uciesze dziewczynek, które delectowały się posiłkiem połączonym z obserwowaniem ludzi na ulicy.

Jedenaście mil przez nieznaną terytorium wydawało się teraz podróżą pełną niebezpieczeństw. Mój Boże, pomyślał, w ciągu zaledwie czterech dni staliśmy się takimi agorafobami, ludźmi tak zamkniętymi w sobie...

- Sądzę, że powinniśmy jutro zajrzeć do Asheville i zobaczyć, co się tam, u licha, dzieje - zaproponował głośno.

- Zgoda - odparł Charlie.

John rozejrzał się po twarzach obecnych i uświadomił sobie, że mimowolnie został szefem wycieczki.

- Dobra, pojedziemy moim wozem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dzień 5

- To niemożliwe! - oświadczył Charlie, a John mruknął potakująco.

Jechali na zachód. Tuż za zjazdem numer 55 autostrada międzystanowa była kompletnie zatarasowana rzędami porzuconych samochodów. To właśnie na tym odcinku w godzinach szczytu zazwyczaj tworzyły się zatory, a kiedy nastąpił atak EMP, cały ruch uliczny po prostu zamarł, zapychając jezdnię na obu pasach oraz na poboczu, na które podryfowało wiele samochodów, kiedy zgasły ich silniki.

John wrzucił wsteczny bieg, wycofał slalomem pomiędzy porzrzuconymi samochodami do zjazdu, zawrócił i zjechał z międzystanowej na drogę numer 70, która od północnej strony biegła równolegle do autostrady.

- I tak chciałem, żebyśmy pojechali tą właśnie drogą - odezwał się Washington z tylnego siedzenia edsela. - Może szpital weteranów ma łączność ze światem.

Po obu stronach Washingtona siedzieli dwaj chłopcy ze szkolnej drużyny koszykarskiej, Phil Vail oraz Jeremy Sims. Za rekomendacją Washingtona, pod którą Charlie się podpisał, cała trójka zabrała się z Johnem na „przejażdżkę”. U ich stóp zabunkrowane były dwie strzelby, a w ręce Washingtona tkwił colt, kaliber 45.

John skinął głową, wymijając porzucone samochody i przejeżdżając pod mostem Blue Ridge Parkway. Tuż za nim, po prawej stronie, znajdował się budynek szpitala dla weteranów wojennych.

Wjechali przez bramę i nagle John poczuł bolesny zawód. Z jakiegoś powodu liczył na to, że tutaj, w szpitalu weteranów, w placówce państwowej, może stał się cud - może mieli uodporniony generator lub przynajmniej jakąś namiastkę normalnego życia, ładu i porządku. Nie dziwiłby się, gdyby ujrzał kordon żołnierzy stojących na straży obiektu.

Zamiast tego zobaczył pacjentów w podeszłym wieku błąkających się wokół budynku; niektórzy leżeli na kocach na trawniku, inni spacerowali bez celu. Jezdnia została oczyszczona ze znieruchomiałych samochodów. Na środku podjazdu stał ochroniarz z dubeltówką w rękach. Gestem dłoni kazał im się zatrzymać.

John wychylił się przez szybę, gdy ochroniarz ostrożnie podszedł do samochodu z

lekką podniesioną lufą strzelby.

- Jestem pułkownik John Matherson - oświadczył z lekkim skrepowaniem. Przez ostatnich kilka lat przyzwyczał się, że tytułowano go profesorem albo doktorem, jednak Washington poradził mu odkurzyć swój stopień wojskowy na rzecz tej wyprawy. - Mieszkam w Black Mountain. To jest Charlie Fuller, nasz Dyrektor Bezpieczeństwa Publicznego - kontynuował przedstawianie ich grupy. - Na tylnym siedzeniu siedzi sierżant Washington, były marines oraz dwóch studentów z naszego college'u.

Ochroniarz skinął głową. Nie odezwał się ani słowem, lecz przestał celować w Johna i opuścił strzelbę.

- Jedziemy do Asheville, żeby czegoś się dowiedzieć. Czy u was cokolwiek działa? Macie prąd?

- Gdzie tam. Fazy brak. A u was?

- Nie. Czy jest tu ktoś z dowodzących, kto wie, co się dzieje? Macie kontakt z Raleigh albo z Waszyngtonem?

Ochroniarz znowu pokręcił głową.

- Cholera.

- Ano cholera - odparł mężczyzna. - Tu w środku jest piekło. Te dziadki padają jak muchy. Nie wiedziałem, że tak prędko będą umierali bez łykania lekarstw przez kilka dni.

John pomyślał o domu opieki i o swoim teściu. Nie czuł się dobrze z tym, że zostawił Jen i dziewczynki same z Tylerem. Na szczęście Ben teraz był już stałym gościem w ich domu. Poza tym sąsiedzi Johna, Mona i Lee Robinsonowie, rodzice Setha i Pat, zgłosili się na ochotnika, że wpadną na chwilę zaopiekować się Tylerem, aby Jen mogła się trochę przespać.

Stan Tylera oczywiście się pogarszał. Nie było kroplówki ani tlenu. Jedyne, co mogli robić, to wlewać mu ensure i wodę rurką prosto do żołądka. Brak środków uśmierzających ból powodował agonię. Być może było to swego rodzaju błogosławieństwo, że wskutek tych paru dni, kiedy był pozbawiony opieki medycznej, Tyler niemal zapadł w śpiączkę. Kiedy jednak zdarzały mu się przebłyski świadomości, John dostrzegał w jego oczach niehumanitarne cierpienie. Jen całą noc siedziała przy mężu, na szczęście tuż przed wyjazdem Johna do Asheville przyszła Mona, aby pomóc.

John ponownie rozejrzał się po terenie szpitala. Przyjrzał się pacjentom, paru pielęgniarkom taszczącym wiadra wody prosto ze strumienia górskiego przepływającego przez skraj posesji. Mógł sobie jedynie wyobrazić, jak jest w środku budynku. Zapowiadał się piekielnie upalny dzień.

- Powinniśmy się już chyba zbierać - rzucił Charlie.

Ochroniarz przytaknął.

- Powodzenia. Powiedzcie tam ludziom, że potrzebujemy tu na gwałt pomocy - poprosił. - Część personelu została, znaczy paru lekarzy i pielęgniarek, ale wielu pracowników zwało i prawie nikt nie wrócił.

- A pan dlaczego został? - zapytał John z ciekawości.

- Wczoraj ktoś tu przyszedł i powiedział, że na kilka domów opieki w okolicy napadli narkomani. W budynku mamy od groma lekarstw i takich tam. Trzeba je chronić, nie? Poza tym, byłem marines, byłem w Hue w czasie wojny wietnamskiej w 1968 roku. Czyli w środku są tak jakby moi towarzysze broni. Nie mam na głowie rodziny, więc wychodzi na to, że ci tam, pacjenci, to moja rodzina.

Mężczyzna klepnął się mocno w swoją lewą nogę, rozległo się głucho echo.

- *Semper fi* - rzucił Washington, jak przystało na byłego żołnierza piechoty morskiej. Wychylił się przez otwarte okno i uściśnął dłoń strażnika. - Drobną radą. Niech pan nie stoi na środku jezdni. Lepiej postawić jakiegoś rodzaju barierkę i stanąć z boku, schować się za jednym z porzuconych wozów. Mógłbym pana sprzątnąć, zanim zdążyłby pan mrugnąć...

Mężczyzna skinął głową.

- Taa, chyba ma pan rację. Nie pomyślałem o tym. To pewnie przez zmęczenie.

- Powodzenia, żołnierzu.

- Nawzajem.

John wycofał auto z podjazdu, wjechał na siedemdziesiątkę i ruszył w kierunku Asheville. Milę dalej, kiedy zaczęli zjeżdżać z rozległego wzgórza, za stanowym Departamentem Ruchu Drogowego ujrzeli centrum handlowe w Asheville. Unosiła się nad nim gruba smuga dymu.

- Wjedź na obwodnicę - poradził Charlie. - Nie zbliżaj się do centrum handlowego.

Dociskając pedał gazu, John wjechał na obwodnicę międzystanowej 240, która prowadziła prosto do serca Asheville. Ponownie zaczął rozmyślać nad tym, czy przyjazd tu, do miasta, to mądra decyzja.

Na obwodnicy roило się od porzuconych aut, które trzeba było non stop wymijać. Jadąc szosą szybkiego ruchu, poprowadzoną przez górę Beatcher Mountain, John zauważył wiele trawiących miasto pożarów; smugi dymu unosiły się w powietrzu, w porannym upale, przemieniając się w ciemne chmury.

Poboczem drogi co chwila płynęła stróżka ludzi. Ów widok mimowolnie skojarzył mu się ze starymi materiałami filmowymi pokazującymi francuskich uchodźców uciekających przed niemiecką ofensywą w 1940 roku. Niektórzy pchali wózki dziecięce, wózki na zakupy z

supermarketu, taczki. Jedna z rodzin ciągnęła mały dwukołowy wózek, podobny do tego, jaki przyczepia się do traktora. We wszystkich tych wózkach piętrzył się dobytek: dziwne przedmioty takie jak stary obraz, ukochane meble, sterta grubych książek albo siedziały w nich dzieci.

John jechał w kierunku przeciwnym do ich marszu. Wszyscy patrzyli na niego tak, jakby był kosmitą, kilka osób weszło na szosę i machając rękami, próbowało go zatrzymać.

- Uwaga, spluwa! - krzyknął nagle Washington.

John momentalnie wcisnął pedał gazu. Z pobocza w ich stronę biegł jakiś człowiek. Wymachiwał rewolwerem, a potem zaczął do nich celować.

- Do cholery, Jeremy, kropnij go! - rozkazał Washington.

Chłopak podniósł z podłogi strzelbę, lecz zdążyli już minąć uzbrojonego faceta. Nie oddał ani jednego strzału, jedynie wymachiwał z wściekłością pistoletem.

- Trzymaj swoją broń w pogotowiu, chłopcze - burknął Washington - a kiedy mówię „strzelać”, naciskaj spust.

- Dobrze, sir.

John zerknął w lusterko wsteczne. Jeremy siedział blady jak ściana. To był dobry chłopak, grał w kosza. Wielu zawodników drużyny koszykarskiej rznąło twardzieli, macho, ale w głębi serca większość z nich nadal była małymi chłopcami z małych miasteczek, którzy chodzili do kościoła i którym jeszcze tydzień temu nawet się nie śniło, że z dnia na dzień przestaną zaprzętać sobie głowę rzeczami takimi jak następny mecz, egzaminy, które powinny się zacząć właśnie dzisiaj, albo przekonywanie tutejszych dziewczyn, żeby skoczyły z nimi na chwilę do lasu. Nie przypuszczali, że zamiast tego będą musieli do kogoś strzelać.

Na estakadzie do Charlotte Street stało dwóch gliniarzy. Jeden z nich ruchem ręki kazał Johnowi zjechać z obwodnicy, grożąc mu czymś, co wyglądało jak karabin AR-15.

John planował tą właśnie estakadą dostać się do centrum, ale nie spodziewał się tak niegościnnego powitania.

Na drodze zjazdowej nie było ani jednego pojazdu. Skręcił w lewo z rampy na estakadę, gdzie stał policjant z wymierzonym w ich stronę karabinem.

John zatrzymał wóz.

- Coście za jedni, do cholery? - zapytał glina.

Charlie powoli uniósł ręce, otworzył drzwi samochodu i zaczął z niego wysiadać.

- Czy powiedziałem, że można opuścić wóz?

- Posłuchaj, człowieku - zaczął Charlie ostrym tonem.

- Jestem Dyrektorem Bezpieczeństwa Publicznego w Black Mountain. Zaraz się

wylegitymuję.

Gliniarz skinął głową. Charlie powoli sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej portfel i otworzył go. Policjant zrobił krok do przodu i nachylił się, by rzucić okiem na dokumenty.

- Dupek - syknął Washington siedzący na tylnym siedzeniu samochodu. Swoją czterdziestkępiątkę trzymał blisko siebie, przy lewym boku.

- Przyjechałem zobaczyć się z Edem Torrellem, dyrektorem zarządzania kryzysowego w naszym hrabstwie. Chcę się dowiedzieć, co się dzieje.

Glina przytaknął i obrzucił spojrzeniem samochód.

- Dostałem rozkazy, aby konfiskować wszystkie poruszające się pojazdy.

- Proszę posłuchać. Przyjechaliśmy z Black Mountain.

Muszę jak najprędzej zobaczyć się z Edem. Jeśli skonfiskuje pan nasz wóz, to jak do cholery wrócimy do domu?

- Na piechotę. Dostałem rozkazy, takie a nie inne.

- Do cholery jasnej. Ten samochód jest moją własnością i taką pozostanie - warknął John. Glina obrócił się twarzą do niego.

- Wysiadać z samochodu, wszyscy! Możecie przejść na piechotę do urzędu hrabstwa. Ed tam jest. Jeśli powie, że wolno wam zabrać wóz i będziecie mieli jego zgodę na piśmie, to w porządku. Ale w tej chwili go rekwiruję. Znajdziecie go za gmachem sądu, o ile Torrell rzeczywiście zgodzi się wam go oddać.

- A może zrobić wszystko odwrotnie? - odparł Charlie, zachowując spokój. - Niech pan pojedzie z nami do Eda, a on od razu rozwiąże nasz problem.

Gliniarz pokręcił głową.

- Wykonuję rozkazy. Mam pilnować tego mostu i rekwirować każdy wóz, który jest na chodzie. Wysiadać, wszyscy!

Charlie, któremu zaczynały puszczać nerwy, spojrzał na Johna kręcącego głową ze zmęczoną miną. Nie ma nic gorszego niż ograniczony umysłowo typ kaprała, który ma broń i swoje „rozkazy”. Żadna dawka logiki nie byłaby w stanie dotrzeć to tego zakutego łba.

- Wiesz, do kogo jesteś podobny dzięki tej swojej gadce pod tytułem „ja tylko wykonuję rozkazy”? - zapytał.

Policjant spojrzał na niego.

- Do cholernego nazisty! Samochód zostaje z nami, a Charlie jedzie zobaczyć się z Torrellem.

- Ty sukinsynu! Wynocha z samochodu! Wszyscy ręce na głowę.

- Pozwól, że się tym zajmę - szepnął Washington.

- No, szybciej! Ty pierwszy, sukinsynu z niewyparzoną gębą. - Gliniarz wycelował swój karabin prosto w Johna.

- Spokojnie - szepnął Waszyngton.

- Ani drgnę - odparł John ostrym tonem, na tyle głośno, by usłyszał gliniarz.

- Wysiadaj, dupku.

- Zaszła pomyłka. Nie jestem dupkiem, tylko pułkownikiem - odgryzł się John.

- Wypad z wozu, no już! - Oparł karabin o ramię, skierowując lufę prosto w głowę Johna.

- Lepiej rób to, co każe - powiedział Charlie z rezygnacją.

- Wysiadaj, John.

- Hej, wyluzujcie. Wszystko gra - odezwał się Washington. Jego ton głosu nagle się zmienił. Zamiast mówić jak były żołnierz, przemawiał wyluzowanym akcentem Afroamerykanina rodem z Południa.

- No dalej, bracie - powiedział Murzyn, klepiąc Johna po ramieniu lewą ręką i wsuwając sobie swój pistolet za pasek spodni na plecach. - Luzik. Po prostu rób to, co mówi szanowny pan.

Washington ostrożnie wyszedł z wozu, podnosząc ręce do góry. Szedł w stronę policjanta z szerokim uśmiechem na twarzy. Poruszał się wolno, spokojnym i zrelaksowanym krokiem... sekundę później gliniarz leżał jak długi na ziemi. Zaczął wymachiwać swoim AR-15, lecz Washington wyjął już swojego colta i wycelował prosto w głowę leżącego.

- Rusz się choćby o milimetr, a będzie po tobie.

Gliniarz zmarł.

- Nikomu nie stanie się krzywda - oświadczył Washington spokojnym tonem. - Pan Fuller pojedzie zobaczyć się z panem Torrellem. Wszystko pójdzie gładko, a potem sobie odjedziemy. Wszyscy tu sobie posiedzimy, poczekamy i pogadamy jak przyjaciele. A teraz, synu, upuść broń albo obiecuję ci, że w ciągu pięciu sekund będziesz martwy.

Policjant położył AR na ziemi.

- Chłopcy, zabierzcie ich karabiny. I pistolety.

Washington nadal trzymał wycelowany pistolet, podczas gdy Jeremy i Phil obszukali obu policjantów. Ten, którego Washington powalił na ziemię jednym uderzeniem, teraz siedział z czerwoną twarzą, krew spływała mu z rozkwaszonego nosa.

- Wybacz, synu, że musiałem ci to zrobić - rzekł Washington, po czym zwrócił się do Charliego: - Panie Fuller, sądzę, że powinien pan pójść na piechotę. Jeśli obowiązuje rozkaz o konfiskowaniu pojazdów, to na pewno stracimy nasz wóz, próbując dojechać do urzędu.

Poczekamy na pana tutaj.

- Pójdę z tobą, Charlie - zaproponował John.

- O nie, pułkowniku - wtrącił się Washington. - Uważam, że musi pan tutaj zostać.

- Niby dlaczego?

- Może się tu zlecieć więcej glin, a ja mam pod ręką tylko tych dwóch chłopców.

John skinął głową, wziął w ręce jeden z karabinów i wzrok utkwił w Charliem.

- Wrócę do was najszybciej, jak będę mógł - obiecał Charlie. - A teraz skupcie się.

Jeśli z jakiegoś powodu nie wrócę - zerknął na swój stary zegarek na nadgarstku - w ciągu dwóch godzin, jedźcie do domu. Jeśli wystąpi jakieś ryzyko utraty wozu albo wdania się z kimś w bójkę, to natychmiast stąd wiejcie. Ja wrócę do Black Mountain na piechotę. Zgoda?

- Jasne, Charlie.

Charlie skręcił i ruszył wolnym krokiem w kierunku bliźniaczych gmachów sądu i urzędu hrabstwa. Odprowadzając go wzrokiem, John pomyślał to co zwykle, gdy miał przed oczami niskie bliźniacze budynki Asheville. Przypomniała mu się słynna miejscowa legenda o tym, jak w 1943 roku pilot bombowca B-17 Memphis Belle, pułkownik Bob Morgan, przeleciał swoją maszyną pomiędzy tymi dwoma budynkami, okręcając maszynę pod kątem czterdziestu pięciu stopni, aby się precyzyjnie.

Morgan umarł dobrych kilka lat temu i został pochowany na cmentarzu weteranów wojennych w Black Mountain.

John spojrział na gliniarza ze złamanym nosem, na starego forda edsela, na dwóch studentów, którzy stali przestraszeni, z wybałuszonymi oczami... Boże, pomyślał znowu, strach się zastanawiać nad tym, jak wszystko się zmieniło.

- W porządku? - zapytał John przyjaznym głosem, kucając obok policjanta.

- Chrzań się, dupku - warknął mężczyzna. - Ten smoluch, sukinsyn, złamał mi nos.

Washington spojrział na ofiarę swojego ciosu i pokręcił głową.

- Ciesz się, że tylko to ci złamałem - powiedział tonem spokojnym, lecz już wypranym ze współczucia. - A kiedy następnym razem będziesz się zwracać do tego tu pana, używaj słów „panie pułkowniku”. Mnie możesz mówić per sierzancie.

Po chwili zwrócił się do dwóch studentów:

- Chłopcy, pomóżcie mu przejść na drugą stronę jezdni, posadźcie go z tyłu tamtej hondy. - Odwrócił się i popatrzył na drugiego policjanta. - A czy ty możesz dołączyć do kolegi i usiąść tam razem z nim?

Policjant skinął głową, nie otwierając ust.

- Phil, pakuj się z powrotem do wozu - rzucił Washington, kiedy obaj przedstawiciele

prawa z Asheville zajęli już miejsca, które im wyznaczył. - Wyłącz silnik, ale bądź gotów uruchomić na mój znak. Pułkownik, co pan powie na to, żebyśmy obaj stanęli na warcie?

Washington oparł się o barierkę na moście. John stanął obok niego. Z daleka wyglądało to tak, jakby nie zaszła żadna zmiana.

Wyłowił z kieszeni papierosa, zapalił i zauważył, że drugi policjant wlepia w niego wzrok.

- Chcesz zapalić?

- Tak, sir.

John wyciągnął papierosa i podał go policjantowi. Za pozwoleniem Washingtona chłopak wyciągnął z kieszeni zapalniczkę.

- Jezu, dziękuję panu, sir. Dwa dni temu skończyły mi się fajki.

John nadal trzymając w ręku pudełko, zajrzał do niego i przeliczył papierosy. Zostało mu jeszcze osiem. Wyciągnął dodatkowe dwa i podał je mężczyźnie.

- Dziękuję bardzo, sir.

John zauważył, że policjant odprężył się, z rozkoszą głęboko zaciągając się papierosem.

Potem przeniósł wzrok na drugiego policjanta, który ostrożnie macał opuchnięty już nos, z którego nadal sączyła się krew.

- Palisz?

- Pocałuj mnie w dupę.

- Ej, kolego... - zaczął Washington.

- Gus, nigdy nie wiesz, kiedy zamknąć dziób - powiedział drugi policjant. - Ty zakuta pało. Wreszcie dostałeś to, na co zasłużyłeś.

Gus posłał mu nienawistne spojrzenie, nie odzywając się ani słowem. Z jego oczu można jednak było wyczytać, że w późniejszym terminie koledze oberwie się za ten komentarz.

- Jak masz na imię? - zapytał John bardziej rozsądnego gliniarza.

- Bill.

- Co tu u was się dzieje, Bill?

- Chyba sam pan widzi, sir. - Policjant nadal siedząc na ziemi, ruchem głowy wskazał miasto.

- Szaber, panika. Wczoraj ogłoszono stan wyjątkowy. Ubiegłej nocy na środku Pack Place dokonano egzekucji na jakimś facecie. Zastrzelił glinę.

- W takim razie zasłużył sobie na to - zawyrokował Washington.

- Co ty, do diabła, możesz o tym wiedzieć - burknął Gus.

- Wiem, ponieważ, ty tępy pustaku, sam jestem gliną, ale w przeciwieństwie do ciebie mam co nieco oleju w głowie. Przedtem przez dwadzieścia cztery lata byłem marines. Może w to nie uwierzysz, koleś, ale jestem po twojej stronie. Jednak szczerze mówiąc, typków w mundurkach takich jak ty, zjadam na śniadanie.

- Zbliżają się jacyś ludzie - oświadczył Jeremy i ruchem głowy wskazał Charlotte Street.

- Mam nadzieję, że będziecie z nami współpracować - rzucił Washington.

- Jasne - odparł Bill. - Nic do was nie mam, panowie. Poza tym, zachowaliście się w porządku.

- Poczekaj, aż doniosę o tym szefowi - pogroził mu Gus.

- Proszę bardzo. To nie ja dostałem w ryj.

John spojrział w kierunku, który wskazał Jeremy, i aż zaniemówił. To było jak procesja - sto osób, może nawet więcej. W większości, jak nazywała ich Jennifer, „dziwadła”.

Asheville przez lata dorobiło się kiepskiej reputacji. Szczególnie wschodnia część miasta, gdzie roilo się od nie najmłodszych już hipisów, wyznawców new age, wiccan oraz sporej rzeszy młodzieży na haju. Zdaniem Johna była to nieszkodliwa gromadka, chociaż bardziej konserwatywni mieszkańcy nie tolerowali ich obecności. On sam, gdyby miał być ze sobą całkiem szczerzy, musiałby przyznać, że w głębi serca widzi w nich odrobinę siebie sprzed lat.

To była rzeczywiście procesja. Faceci idący na czele pochodu uderzali w bębny, było też kilka dziewczyn - jedna z nich, wyjątkowo ładna, miała długie blond włosy oraz przezroczystą sukienkę w stylu lat sześćdziesiątych, pod którą była zupełnie naga. Był też jakiś stary facet z siwą brodą i siwymi włosami, miał na sobie togę i niósł tabliczkę z napisem „Koniec Świata WRESZCIE nadszedł”. Inni nieśli transparenty o podobnej wymowie: „Stop globalizacji”, „Dostaliśmy to, co na zasłużyliśmy” oraz kilka tabliczek z napisem „A teraz niech będzie pokój!”.

Jeremy stał w miejscu z uśmiechem na twarzy, kiedy dziewczyna, ta w przezroczystej sukience, podeszła do niego i prowokująco zatańczyła wokół niego w rytm bębnow. Kiedy procesja mijała honde, ktoś zawołał:

- Hej, tu są gliny! Ci ludzie skopali dupę Gestapowcowi Gusowi!

Tłum nagle wyhamował.

- Hej, człowieku! Czas na rewolucję! - krzyknął jakiś mężczyzna, zbliżając się do Washingtona.

- Gówno, nie rewolucja - odparł cierpko Washington. Członek pochodu zatrzymał się gwałtownie.

Bill wstał z ziemi.

- George, znasz mnie - powiedział, zwracając się do brodacza niosącego tabliczkę o końcu świata.

- Jasne, Bill.

- Wszystko w porządku. Gus upadł i rozkwaśił sobie nos. Ci panowie nam tylko pomagają. Nie przeszkadzajcie sobie, maszerujcie dalej.

Przywódca pochodu skinął głową, bębny znowu rozbrzmiały i tłum ruszył do przodu.

- Coś nieprawdopodobnego - skomentował Washington z westchnieniem.

- No cóż, witaj w Asheville - mruknął Bill. - Nie ma co, trudno nie kochać tego miasta, nawet w takich momentach jak ten. Znam wielu spośród tych dzieciaków. Większość z nich jest w porządku, chociaż trochę zblądziła.

Tańcząca blondynka podeszła do policjanta i pocałowała go w policzek. Bill poklepał ją po pupie, zanim ruszyła dalej tanecznym krokiem.

Bill zauważył, że John się na niego gapi, więc uśmiechnął się lekko.

- Monica i ja trochę ze sobą kręciliśmy kilka miesięcy temu - wytłumaczył.

- Naprawdę, stary? - zainteresował się Jeremy.

Bill tylko się uśmiechnął, nie odzywając się słowem.

John wyjął dwa papierosy i podał jednego policjantowi. Obaj zapalili.

- Biedne dzieciaki - westchnął Bill. - Choć dziwne to wszystko, jak się nad tym zastanowić. W sumie wielu z nich marzyło o czymś takim od lat. Ten jeden, ten z tablicą „Stop globalizacji”... nigdy go nie lubiłem. Wcisnął ten kit o pokoju tylko po to, by podrywać panienki. W środku jest jednak potencjalnym mordercą. Prawdziwy anarchista, gdyby to on mógł dokonać tego zamachu, zrobiłby to i jeszcze się z tego cieszył. Mimo wszystko - ciągnął dalej Bill - większość z tych ludzi jest w porządku. Poza tym żyjemy w wolnym kraju, no nie?

Zaśmiał się pod nosem ponuro i pokręcił głową.

- Oni wszyscy nie rozumieją sytuacji. Jeśli naprawdę jest tak źle, jak myślę, że jest... umrą w pierwszej kolejności. Nie wiedzą, jak przetrwać bez społeczeństwa, które ich utrzymuje, mimo że oni to społeczeństwo przeklinają albo przeciw niemu się buntują.

Westchnął.

- Kiedy skończy im się żarcie, rzeczywistość zdzieli ich obuchem po głowie, ale wtedy już każdy człowiek ze spluwą w ręku powie im, żeby spadali na bambus, gdy przyjdą

zebrać o jedzenie. Z kolei jeśli te biedne dzieciaki będą miały jakieś żarcie, to ci uzbrojeni przyjdą i je im zabiorą. Są przyzwyczajeni do darmowych klinik, schronisk dla bezdomnych. Ludzie, którzy za młodu byli hipisami, uśmiechają się na ich widok i wciskają im kilka dolarów. Ale to już się skończyło. Będą padali jak muchy. Nie mają zielonego pojęcia o tym, jak okrutny może być świat, kiedy ludźmi kieruje strach i głód. - Psiakrew... wolałbym nie widzieć tego na własne oczy - mruknął John. - Wolałbym, żeby ich idealistyczne wyobrażenia miały pokrycie w rzeczywistości.

- Gandhi i Stalin.

- Że co? - John nie zrozumiał słów Billa.

- Kiedy dyskutowaliśmy o polityce, często wspominałem o tym Monice. Ona zawsze wychwalała Gandhiego. A ja na to, że Gandhi nie padł trupem po swoim pierwszym proteście tylko i wyłącznie dlatego, że miał do czynienia z Brytyjczykami. Gdyby to Stalin rządził wtedy Indiami, Gandhi w mig gryzłby ziemię i nikt by o nim nie pamiętał.

John zapamiętał sobie tę teorię. Bill miał rację.

Pochód zniknął za rogiem, kierując się w stronę serca miasta.

- Wczoraj przelatował nad nami Blackhawk - powiedział John. - Wylądował u was w Asheville?

- Tak, dokładnie w Pack Place. Przyleciał z Fort Bragg.

- O co chodziło?

- Tuż po tym, jak przyleciał, Ed wreszcie ogłosił stan wyjątkowy. Toczmy wojnę. To wszystko, co wiem. Ten facet, który przyleciał, jakiś pułkownik, powiedział, że wróci za tydzień czy coś koło tego. A potem odleciał.

- Toczmy wojnę... ale z kim?

- Nikt tak naprawdę nie wie. Z terrorystami, Koreą Północną, Iranem, Chinami... Podobno rąbnęli w nas bombą nuklearną EMP, więc ten gość powiedział, że to oznacza wojnę. A co się dzieje u was w Black Mountain?

- Mniej więcej to samo. Trochę szabru, ale Charlie nad wszystkim panuje... Czy nadal działa szpital Memorial Mission? - zapytał John.

- Nie, sir. Generatory się nie włączyły. Musiałem zawieść tam wczoraj w nocy jakąś staruszkę z zawałem serca. Mamy kilka starych ciężarówek, które są na chodzie, kilka wozów robi za karetki. Boże święty, tam w szpitalu było prawdziwe piekło. Sto ciał, a może i więcej, leżących na parkingu... - policjant zawiesił głos. Spoglądał w kierunku miasta, gdzie nadal płonął stary hotel Battery Park, który teraz był już tylko poczerniałą skorupą z cegieł. Na horyzoncie można było dostrzec inne pożary, z oddali małe jak kropeczki.

- The Doors - odezwał się Bill.

- Co?

- No wie pan, The Doors. Nagrali taką piosenkę, *This is the End*. Ostatnio często o niej myślę.

- O, wraca Charlie - przerwał ich rozmowę Washington.

Wspinał się po skarpie, a raczej biegł truchtem, ewidentnie czymś pobudzony. Ruchem ręki kazał im wsiadać do wozu.

John spojrział na Gusa, który siedział na chodniku z czerwonymi sińcami pod oczami. Patrzył się na nich spode łba.

John podszedł do edsela, wyciągnął zeszyt spod fotela pasażera, otworzył go, naskrobał coś, a potem podpisał.

Poczynioną notatkę pokazał następnie Washingtonowi, który przeczytał ją, uśmiechnął się i również złożył na kartce swój podpis.

Do Szefa Policji w Asheville, NC Funkcjonariusz policji, który dostarczył tę notatkę, Bill Tolliver, jest profesjonalistą i zasługuje na najwyższą rekomendację. Incydent, który miał miejsce pomiędzy nami a funkcjonariuszami, był niefortunny, lecz jedynym winowajcą jest Gus Carter, zakuty łeb, którego powinno się wyrzucić na zbity pysk, zanim ktoś go zabije.

Podpisano:

Pułkownik (emerytowany) John Matherson

Profesor historii

Black Mountain College

Starszy sierżant (emerytowany) Washington Parker

US Marines

Washington uśmiechnął się szeroko, po czym dopisał na dole kartki post scriptum.

Carter miał farta, że go nie zabiłem, byle dziecko jest w stanie go obezwładnić.

John wyrwał notatkę z zeszytu, zgiął ją i wręczył Billowi.

- Mam nadzieję, że to ci pomoże.

- Co tam jest napisane? - zapytał Gus.

- To nie twój zakichany interes - warknął John.
- Do samochodu, natychmiast! - zawołał Charlie, pokonując ostatnie kilka metrów.
- Pułkowniku - rzucił Washington - proszę, zachowując amunicję, opróżnić broń i zwrócić ją.

John wyciągnął magazynek, wysypał z komory pociski i zwrócił broń Tolliverowi. Gus wstał z ziemi, gapiąc się na Washingtona.

- Podoba mi się twoja spluwa - wyznał Parker spokojnym tonem. - I szczerze mówiąc, z bronią w rękę jesteś niebezpieczny dla otoczenia, chociaż nie dla przestępców.

- Oddawaj moją broń - burknął Gus.

- Nie, rekwiruję ją. Idź, wytłumacz swojemu szefowi, jak to się stało, że ją straciłeś.

- Ty cholerny czarnu... - nie zdołał dokończyć. Zainkasował cios w brzuch od Washingtona i padł na ziemię.

Tolliver powstrzymał się od jakiegokolwiek komentarza.

Washington zajął się następnie glockiem Billa, wyjmując pociski i chowając je do kieszeni, po czym zwrócił broń policjantowi. Zatrzymał jednak dla siebie glocka należącego do Gusa.

- Powodzenia, Bill - powiedział John, ściskając dłoń policjanta. Sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę papierosów. Zostały mu cztery. Wyjął dwa i podał je policjantowi.

I znowu nasunęło mu się skojarzenie z II wojną światową. Żołnierz z paczką papierosów był wówczas majątnym człowiekiem. Mógł poczęstować dymkiem innego towarzysza broni, a nawet pojmanego lub rannego wroga, zdobywając się na szlachetny gest.

- Spływamy stąd - zaordynował Charlie, podbiegając do samochodu, ledwo łapiąc oddech.

Phil zapuścił silnik, zeskoczył z fotela kierowcy, na który wsunął się John.

- Wezmę shot guna - oznajmił Washington, siadając na fotelu pasażera. Charlie przytaknął i usiadł na tylnym siedzeniu razem z dwoma studentami.

John wrzucił wsteczny bieg, okręcił wóz, a potem wjechał z powrotem na drogę zjazdową. Dziwnie się czuł, jadąc po złej stronie autostrady, dociskając pedał gazu.

Washington wyjął pistolety, którymi teraz dysponował, czyli swojego colta i glocka. Tego drugiego położył przy Johnie. Karabin AR-15 trzymał w rękach w stanie gotowości.

- Co tam się działo podczas mojej nieobecności? - zapytał Charlie.

- Brataliśmy się z glinami - odparł John. - A co u ciebie?

- Jezu Chryste, urząd hrabstwa zamienił się w dom wariatów. Ed Torrell nie żyje.

- Co?

- Jakieś cztery godziny temu zemdłał. Parę minut później był już sztywny. Ludzie wpadli przez to w panikę. Ed był porządnym facetem. Surowym, ale sprawiedliwym.

- Sprawiedliwym? Przez niego mogliśmy stracić naszą brykę.

- Przecież ja robię to samo, co on.

John zerknął w lusterko wsteczne.

- Mnie też to zrobisz?

Charlie zawahał się, po czym pokręcił głową.

- Oczywiście, że nie, John. Dopóki będziesz nam pomagał, tak jak teraz, wszystko gra.

Wiem, że mogę na ciebie liczyć, kiedy będziemy w potrzebie.

John odetchnął z ulgą.

- No dobra, mów, co się tam dzieje.

- Ten helikopter przyleciał z Fort Bragg.

- Wiemy o tym. Powiedział nam jeden z gliniarzy.

- Jest kiepsko. Bardzo kiepsko. Nie ma jeszcze nigdzie łączności. Mówią, że mają kilka radioodbiorników zabunkrowanych w miejscach uodpornionych na tego typu ataki, i zaczną je wyciągać, ale nic jeszcze nie jest pewne. Planują też sprawdzić, czy niektórzy krótkofalowcy nie mają starych odbiorników lampowych. Może też zaczną nadawać morsem.

- To jak w tym filmie, *Dzień Niepodległości* - wtrącił Jeremy.

- To prawda. Jesteśmy w tak samo rozpaczliwej sytuacji.

- Ale są jakieś wieści? To znaczy, z zewnątrz - dopytywał się John.

- Rząd stanowy przenosi się do Bragg. Przetrwały tam niektóre nasze sprzęty wojskowe. Poza tym jest tam bezpiecznie.

- Toczymy z kimś wojnę?

- Nikt nie wie dokładnie z kim. Przynajmniej na tym szczeblu władzy. Krążą plotki, że wczoraj zrzuciliśmy bombę atomową na Teheran i kilka innych miast w Iranie oraz przypieprzyliśmy Korei Północnej.

- Naprawdę? - zapytał Jeremy.

- Tak jak mówię, takie krążą pogłoski.

- Jakim cudem? - rzucił drugi student, Phil.

- Ale co?

- No, jakim cudem ich zaatakowaliśmy, skoro wszystko nam wysiadło.

- Na zamachu ucierpiały pewnie tylko kontynentalne Stany Zjednoczone. Nasze zamorskie siły zbrojne są nadal nietknięte, przynajmniej na razie.

Na moment zapadła cisza.

- Aha - dodał po chwili Charlie. - Krąży też plotka, że prezydent nie żyje.

- Co?! - zawołał John.

- Ktoś powiedział, że Biały Dom dostał cynk o zamachu jakiś kwadrans przed wybuchem. Ewakuowali prezydenta na pokładzie Air Force One... a ten cholerny samolot nie był dostatecznie uodporniony. I rozbił się.

- Nie wierzę, że nie zahartowali Air Force One - stwierdził Washington.

- Taa, przecież nie jesteśmy aż takimi debilami... co? - mruknął Charlie głosem przepełnionym gorzką ironią.

- Ale co się dzieje tutaj, teraz? - dopytywał się John.

Zadając to pytanie, poczuł się dziwnie. W każdym innym momencie historii USA wieść o śmierci prezydenta pogrążała cały naród w paraliżu, odrętwieniu. Pamiętał dzień, w którym postrzelono Reagana, tę niesamowitą gafę sekretarza stanu Alexandra Haiga na konferencji prasowej, kiedy wypalił, że „kontroluje sytuację”. Ten lapsus prawie wywołał wybuch paniki, a niektórzy spodziewali się nawet próby zamachu stanu.

A więc Air Force One się rozbił? To była potworna myśl, jednak w tej chwili John odniósł wrażenie, że nic go to nie obchodzi. Liczyło się tylko przeżycie. Przeżycie tu i teraz. Liczyła się jego rodzina. Jechał dalej, wymijając pozostawiony na środku drogi osiemnastokółowiec, ciężarówkę, która wiozła śmieciowe jedzenie, chipsy ziemniaczane i kukurydziane. Teraz ciężarówka wyglądała jak zwłoki leżące na pustyni. Setki rozdartych kartonowych pudeł piętrzących się na poboczu drogi, torebki z chipsami podeptane, rozdarte, zalegające na asfalcie. Jakaś staruszka starannie przebierała torebki, wsypując resztki do plastikowej torby na śmieci.

- W Asheville mieli farta, jeśli chodzi o samochody - poinformował Charlie. - Zachowało się trochę wozów zaparkowanych w podziemnych garażach. Za to ich największym problemem jest woda. My przynajmniej jesteśmy w strefie, do której woda dopływa dzięki sile grawitacji, ale do części centrum ich miasta trzeba przepompowywać wodę z Beacatcher, chociaż przy Biltmore i na wschodniej ścianie góry nadal pobierają wodę z rezerwuaru. Stąd tyle pożarów, z którymi nie mogą się uporać.

Na chwilę przerwał.

- Dlatego w Asheville usiłują zorganizować akcję ewakuacyjną - powiedział.

- Dokąd? - zapytał Washington.

- No, cóż, między innymi do Black Mountain. Ten nowy facet, który przejął władzę w mieście... nawet go nie znam, ale powiedział mi, że musimy przyjąć pięć tysięcy uchodźców z ich miasta. W ogóle nie zapytał mnie o zgodę, żadnej dyskusji. Wydał rozkaz, jakby teraz był

dyktatorem tych gór. To były pierwsze słowa, jakie usłyszałem z jego ust, kiedy zdałem mu raport. Ci z Asheville chcą rozrzucić swoich mieszkańców po całym regionie, aż do Waynesboro na zachodzie, Mars Hill na północy i Flat Rock na południu.

- Dlaczego?

- Dlatego, że ich zdaniem mamy jedzenie. Ich kiepska sytuacja z wodą to tylko wymówka. Przecież, do diabła, mają pod nosem rzekę French Broad. Słyszałem, że dysponują nawet cysterną na chodzie, która może za jednym zamachem przywieźć pięć tysięcy galonów wody. Kręcą i kombinują. Chodzi im o pożywienie.

- Mamy tyle jedzenia, co oni? - zapytał John.

Charlie pokręcił głową. Widać było, że kipi ze złości.

- Mieli szczęście z tymi porzuconymi ciężarówkami na autostradach. Wiele z nich wiozło akurat żywność. Do tego dwie ciężarówki załadowane setką świń. Widziałem, jak za gmachem sądu akurat jedną sobie piekli. Dziesiątki wagonów pełnych żywności na stacji Norfolk Southern. Powiedział mi o tym asystent szefa policji, mój dobry znajomy. Próbowałem poruszyć ten temat - ciągnął dalej Charlie - w rozmowie z tym nowym idiotą. Sugerowałem, że całe hrabstwo powinno połączyć w jedno wszystkie zasoby. Nie chciał nawet o tym słyszeć. Tylko dalej mi rozkazywał, żebym przyjął w ciągu paru dni pięć tysięcy uchodźców z Asheville.

- Do jasnej cholery, przecież to raczej my powinniśmy się do nich przeprowadzić! - oburzył się Washington.

- A dlaczegoż to? - zapytał John. Nie mógł uwierzyć, że władza aż tak kompletnie się załamała i że nawet na poziomie hrabstwa nie ma współpracy.

- Ten gość myśli przyszłościowo - oświadczył Washington z goryczą w głosie. - Bardzo przyszłościowo. Wykopujesz z miasta co drugiego mieszkańca i tak oto zostaje ci jedzenia na dwa razy dłużej, a o tych wypędzonych niech martwi się kto inny. Założę się, że sporo członków tej politycznej klikki, tych ważniaków, obiboków i ich kumpli nadal będzie jadło regularne posiłki za pół roku. Poza tym, wygląda na to, że wszyscy mieszkańcy Asheville wbili sobie do głowy, że gdzie indziej jest o wiele więcej jedzenia niż u nich.

John westchnął. Kłania się teoria ładu społecznego, pomyślał. Im większa grupa, tym bardziej prawdopodobne, że rozpadnie się pod wpływem stresu. A ci nieliczni, dzierżący władzę, przede wszystkim będą dbać o własny tyłek. Pięć tysięcy osób można jakoś przekonać, by dzielili się jedzeniem i współpracowali z władzami. Ale sto tysięcy to już inna para kaloszy. Będą się kierować interesem własnym i zaczną przejmować kontrolę nad otoczeniem, szczególnie przy kompletnym braku środków łączności.

Na tym zawsze polegała potęga mediów znajdujących się w rękach dobrego przywódcy. Chodzi o to, by przekonać ludzi, jako indywidualne osoby, a nie grupę, że ich przywódca zwraca się bezpośrednio do nich. Udało się to Churchillowi w 1940 roku, Johnowi Kennedy'emu w 1962 i Reaganowi w latach osiemdziesiątych. Tego typu głos przywódcy byłby nam teraz w stanie pomóc, ale w obecnej sytuacji nic takiego się nie wydarzy. Paru członków starego politycznego układu dzierżącego władzę w hrabstwie zapewne zaczną dbać o interesy swoje i swoich kolegów, a co z resztą ludzi? Do diabła z nimi. John nie mógł sobie nawet wyobrazić sytuacji, jaka w tej chwili panuje w mieście, gdzie mieszka milion ludzi lub pięć milionów, lub dziesięć...

- Jeśli ich wszystkich wpuszczymy do Black Mountain, to okres, na jaki wystarczy nam żywności, skurczy się o połowę - westchnął Charlie. - I wątpię, czy wtedy ktokolwiek nam pomoże... Doszedłem więc do wniosku, że lepiej stamtąd wiać i się nie spierać. Powiedziałem tylko tamtemu gościowi, że przekażę wiadomość radzie miejskiej. Na co on, że to jest rozkaz. Nie wyklócałem się z nim o to. Po prostu wyszedłem. Przy wyjściu jacyś gliniarze zapytali mnie, jak dostałem się do miasta. Skłamałem, że na piechotę. To dlatego tu przybiegłem. Przeszedłem jedną czy dwie ulice, ale oni nie odpuścili i ruszyli za mną.

- Wiem, że to może zabrzmieć głupio - zaczął Jeremy - ale pomyślałem sobie, że przecież wszyscy płyniemy w tej samej łódce. Przecież jesteśmy sąsiadami...

Po chwili dodał:

- Przecież wszyscy jesteśmy Amerykanami...

John zerknął w lusterko wsteczne. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Skoncentrował się na drodze i prowadzeniu auta.

Dotarli do skrętu w siedemdziesiątkę. Zjechał z drogi zjazdowej i wbił się na pas, który nadal uważał za prawidłową stronę ulicy, a potem docisnął pedał gazu.

Sznurek uchodźców, których wcześniej mijali, teraz się powiększył. Przybyło ludzi idących na piechotę, niektórzy jechali na rowerach, inni nauczyli się starej sztuczki uchodźców mówiącej, że rower może służyć jako koń juczny - można go obłóżyć tobołami i jeśli dobrze się go prowadzi, jest się w stanie przetransportować kilkaset funtów ciężaru.

- Uwaga, spluwa na horyzoncie! - krzyknął nagle Washington. - Skręć w lewo.

John zarzucił starym edselem w poprzek autostrady. To dziwne, pomyślał, znajdujemy się tuż pod gmachem stanowego Departamentu Ruchu Drogowego i jeszcze tydzień temu miałbym na ogonie tuzin policjantów, goniących mnie, żeby wlepić mi mandat za takie manewry, z kolei facet z bronią byłby wystarczającym powodem, by wezwać ekipę SWAT.

Facetem z bronią okazał się ten sam człowiek, co poprzednim razem. Stał przed

salonem samochodowym, ale na widok jadącego wozu, ruszył w ich stronę, wymachując pistoletem.

Washington uniósł w powietrzu zdobyczny karabin i wystawił jego lufę przez okno auta. Grupka uchodźców rozpięchła się na widok broni, inni po prostu stali jak wryci, gapiąc się na prującego po szosie edsela. Jeszcze inni zupełnie nie zwracali na to wszystko uwagi.

- Nie rób tego, koleś - syknął Washington.

I zupełnie jakby uzbrojony mężczyzna go usłyszał, albo, co o wiele bardziej prawdopodobne, zauważył wycelowany w siebie karabin, bo zatrzymał się i cofnął.

Sierżant nie spuszczał go z muszki, kiedy obok niego przejeżdżali, po czym głośno wypuścił powietrze.

- Profesorze, twój student zadał wcześniej pytanie - przypomniał spokojnym tonem.

John nadal trząsał się z nerwów. Rzucił okiem na Jeremy'ego siedzącego obok Charliego.

- Nadal jesteśmy Amerykanami - odparł cichym głosem.

*

Godzinę później byli z powrotem w Black Mountain. W zachodniej części Swannanoa była blokada drogowa. Tamtejszy szef policji wybrał dobry punkt: ciasne przejście, po obu stronach strome granie, droga numer 70, rzeka Swannanoa oraz autostrada międzystanowa 40. Wszystko obok siebie. Kiedy parę godzin wcześniej tędy jechali, blokady jeszcze nie było.

John zwolnił, gdy zbliżali się do barierki. Charlie wychylił się przez okno i został rozpoznany przez kilku policjantów. Zapytali go, czy ma jakieś wieści. Potwierdził plotkę, która zdążyła już do nich dotrzeć - z Asheville wychodzi coraz więcej uchodźców.

Wjechali na międzystanową. Gdy minęli znak oznaczający granice Black Mountain, John odetchnął z ulgą. Poczuli, jak reszta pasażerów też zaczyna się odprężać. Washington wreszcie opuścił lufę karabinu. Mieli wrażenie, że odbyli podróż na daleki, obcy ląd, a teraz wrócili cali i zdrowi do domu.

Kiedy jednak wjechali na parking przed remizą strażacką i komisariatem, John znowu zrobił się spięty. Ujrzał zbiegowisko ludzi, tłum liczący na oko przynajmniej pięćset osób. Przez kilka chwil pomyślał, że zgromadzili się tu, by siłą wdrzeć się do środka budynku i dorwać do cennych zapasów.

Cała piątka wyskoczyła z samochodu. Na widok Charliego kilka osób ruszyło w jego stronę.

- Złapali dwóch złodziei, Charlie! - powiedział ktoś podnieconym tonem.

John pokręcił głową. Do cholery, pomyślał, połowa mieszkańców tego miasta w ciągu ostatnich pięciu dni ma na sumieniu jakąś kradzież, nawet on sam, przecież nie pofatygował się wrócić do apteki, by zapłacić za lekarstwa i batoniki dla Jennifer ani nie oddał dziesięciu baksów, które był dłużny Hamidowi. Poza tym, przecież pieniądze teraz i tak straciły jakiegokolwiek znaczenie.

- To te bydlaki, które napadły na dom opieki! - krzyknął ktoś inny. Przez tłum przetoczył się gniewny pomruk.

Charlie utorował sobie drogę pomiędzy zgromadzonymi, John i Washington ruszyli w ślad za nim.

Dotarli do drzwi.

- John, może powinieneś poczekać na zewnątrz.

- To dotyczy mnie osobiście. Byłem tam. Ucierpiał na tym mój teść.

- Okej.

Weszli do środka. Przy drzwiach do sali konferencyjnej zgromadził się tłum ludzi. John przebił się przez niego wraz z Charliem.

Kate spojrzała na nich. W jej oczach widać było uczucie ulgi.

- Jesteście z powrotem cali i zdrowi. Dzięki Bogu.

- Co tu się dzieje?

- Złapaliśmy tych dwóch - odezwał się Tom.

Po drugiej stronie ujrzał dwóch mężczyzn, na oko w wieku dwudziestu paru lat. Jeden wyglądał tak, jak opisano to Johnowi - ogolony na zero, wyraźny tatuaż, koleczyk w uchu. Drugi z nich nie różnił się bardzo od studentów Johna, tych którzy czekali teraz na zewnątrz. Był w miarę dobrze zbudowany, krótko ostrzyżony. Po oczach poznał jednak, że chłopak lubi sobie często zapalić trawkę.

- Charlie, Tom chce ich rozstrzelać - oznajmiła Kate cichym tonem.

Charlie siadł na blacie biurka i spojrzał na mężczyzn.

- Opowiadaj, Tom.

- Kiedy otrzymałem rysopis sprawcy z domu opieki, od razu wiedziałem, gdzie go szukać - powiedział Tom, wskazując palcem tego z wężem wytatuowanym na ramieniu. - Trzy lata temu przymknąłem go za drzwiczki. Urządził sobie normalne laboratorium w domu przy końcu Route Nin. Dom należał do jego kuzyna, również tu obecnego.

- Nie mam z tym nic wspólnego - jęknął kuzyn. - To wszystko wina Larry'ego. To on!

- Stul, kurwa, dziób, Bruce - warknął Larry, usiłując rzucić się na kuzyna, lecz nie

mógł się poruszyć. Obaj byli zakuci w kajdanki i przywiązani do krzeseł.

- Pojechałem więc pod ten adres dzisiaj rano i tak oto znalazłem tych dwóch. Naćpani prawie do nieprzytomności. Zobaczycie ślady ukłuć po morfinie.

John przyjrzał się temu normalnie wyglądającemu. Coś mu zaczęło majaczyć w pamięci.

- Profesor Matherson! Pan mnie zna. Cztery lata temu chodziłem do pana na zajęcia z historii. Zna mnie pan!

John wpatrywał się w niego intensywnie. Nie miał pamięci do nazwisk, ale twarzy zazwyczaj nie zapominał. Tak, ten chłopak był jego studentem, nawet obiecującym, ale po semestrze czy roku po prostu zniknął z uczelni.

Tom spojrzał na Johna pytającym wzrokiem.

- Kiedyś był moim studentem. Kilka lat temu.

- Teraz to bez znaczenia - odparł Tom.

- Żądam prawnika. Pierdolonego prawnika! - ryknął Larry. - Znam swoje prawa. Ty glino, zakuty łbie, nawet nie przeczytałeś mi moich praw, więc naprawdę spieprzyłeś to arestowanie, człowieku. Jak tylko dostanę adwokata, spadam stąd. Oskarżę was też o brutalne traktowanie. - Odwrócił głowę, by pokazać spuchnięty policzek. Prawe oko miał na wpół przymknięte.

- Obowiązuje obecnie stan nadzwyczajny - poinformował spokojnie Charlie, włączając się do wymiany zdań.

Bruce spojrzał na Charliego wybałuszonymi oczami.

- A co to oznacza?

Charlie wstał i rozejrzał się dokoła.

- Jacyś świadkowie?

- Przyprawdziliśmy dyrektorkę domu opieki. Czeka na zewnątrz.

- Wprowadzić ją - polecił Charlie.

John wstał gdy do pokoju weszła szefowa domu opieki. Wyglądała jeszcze gorzej niż wczoraj. Włosy miała w nieładzie, była brudna. Plamy na jedwabnej bluzce sugerowały, że w którymś momencie kobieta otrząsnęła się z odrętwienia i próbowała pomagać swoim pacjentom.

Omiotła wzrokiem obu mężczyzn.

- Ten z tatuażem... tego na pewno rozpoznaję.

- Ty kłamliwa suko! Było ciemno, jak mogłaś mnie zobaczyć?

- Skąd wiesz, że było ciemno, kiedy miał miejsce napad? - zapytał Charlie.

- Ktoś mi o tym opowiadał.

- A ten drugi... nie jestem pewna. Miał na głowie kominiarkę, to znaczy obaj mieli, ale pamiętam ten tatuaż.

- Dziękuję za identyfikację.

Skinęła głową.

Charlie przez chwilę się wahał, rozglądając się po pokoju.

- Czy powtórzysz to pod przysięgą?

- Oczywiście, Charlie.

- Niech ktoś przyniesie tu Biblię.

Kate poszła do swojego gabinetu. Po chwili wróciła z Biblią. Charlie nie pamiętał dokładnie kwestii, więc Kate pomogła kobiecie złożyć przysięgę. Dyrektorka powtórzyła swoje zeznania.

- Masz te leki, Tom? - zapytał Charlie.

- Tak. Są w moim gabinecie.

- Przynieś je.

Tom wrócił, niosąc kilkadziesiąt fiolek płynnej morfiny oraz pojemniki z lekami opioidowymi w formie pigułek.

- Tom, spójrz na te pojemniki - powiedziała Eli. - Tu jest napisane „Dom Opieki Millera”. Powinien być też kod. Wszystkie substancje, których posiadanie jest regulowane przez prawo amerykańskie, posiadają numer referencyjny oraz identyfikacyjny. - Kobieta wyrecytowała te numery.

- Zgadza się - stwierdził Tom.

- John, czy będziesz świadkiem?

John, zaskoczony, spojrzał na Charliego. Czuł, że ktoś go wciąga w całą tę kabałę. Jednak przypomniał sobie ból i cierpienie, których był świadkiem w domu opieki. Wstał, podszedł do Charliego i podniósł pojemnik.

- Tu jest napisane: Dom Opieki Millera.

- Tom, teraz ty - poprosił Charlie.

Tom również powtórzył swoje zeznania pod przysięgą.

Następnie cofnął się i stanął za plecami oskarżonych.

- Macie coś do powiedzenia? - zapytał ich Charlie.

- Żądam, kurwa mać, prawnika! - wrzasnął Larry.

- A ty, masz coś do powiedzenia? - zapytał Charlie drugiego mężczyznę.

- Tak, jak najbardziej, dajcie mi Biblię - powiedział Bruce.

Charlie poczerwieniał na twarzy i zerknął na Kate.

- Podajcie mu Biblię - poleciała.

Larry milczał.

- Poproszę o Biblię! - powtórzył Bruce.

Charlie położył ją przed Bruce'em, który złożył przysięgę.

- Opowiedz nam swoją wersję wydarzeń, Bruce.

Przez pięć minut mężczyzna trajkotał. Mówił, że nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, po prostu Larry przychodził do niego do domu z narkotykami. Kim był ten drugi gość, współnik Larry'ego? Nie ma pojęcia. On i Larry podzielili łup.

John patrzył na niego uważnie. Mężczyzna, a raczej nadal jeszcze chłopak, bo miał nie więcej niż dwadzieścia jeden lub dwa lata, był ewidentnie przerażony. John wyczuł też jednak, że chłopak kłamie jak z nut. Długie lata kariery profesorskiej wyostrzyły w nim zmysł rozpoznawania, kiedy ktoś wciska kit.

Chłopak wreszcie zakończył swoją opowieść.

- Eli, ile skradziono u was morfiny w płynie? - zapytał Charlie.

- Każdy pacjent ma indywidualne fiołki, ponieważ różne jest dozowanie oraz stężenie. Sądzę, że około czterdziestu fiolek.

- Skonfiskowaliśmy trzydzieści dwie - wtrącił Tom.

- Coś kiepski ten podział pomiędzy twoim przyjacielem a jego współnikiem - zauważył Charlie. - Chcesz powiedzieć, że zadowolili się ośmioma fiołkami, a Larry wziął aż ponad trzydzieści?

- Tak, pewnie tak właśnie było. Nikt nie śmie kłócić się z Larrym.

- Osiem fiolek wystarczy, by urządzić sobie niezłą balangę - wtrącił się znowu Tom. - To cud, że przy okazji nie wykitowali.

- Bydlaki! - rzuciła Eli łamiącym się głosem. - Mam siedmiu pacjentów, którzy umierają na raka. Dwaj, dzięki Bogu, już odeszli, ale cała reszta cierpi nieludzkie katusze. Jedyne, co mogę im dać, to ich codzienne lekarstwa, i dorzucić do tego aspirynę. Mam nadzieję, że obu was rozstrzelają!

Zamilkła. W jej oczach płonęła furia.

- Larry... - powiedział Charlie, wskazując Biblię.

- Po cholere mi to?

Charlie skinął głową, po czym spojrzał na Johna.

- John, chcę dopełnić wszelkich formalności. Wyznaczam cię, abyś występował w imieniu obu oskarżonych.

- Co?

- Nie udawaj, że nie usłyszałeś.

- Mój teść jest w to wszystko zamieszany. Nie jestem bezstronny.

- John, po prostu wyświadczyć mi przysługę.

- Idź po Norma, on jest prawnikiem. Zrobi to lepiej niż ja.

- Mieszka za daleko stąd.

- Mogę pojechać po niego wozem.

- John, załatwmy to jak najszybciej.

- Żądam pierdolonego adwokata! - powtórzył Larry. - Przywieźcie tu Norma.

John spojrział na niego, potem na Bruce'a, w końcu na Eli. Następnie przez wpół przymknięte żaluzje spojrział na tłum ludzi kłębiący się na zewnątrz.

Wreszcie skinął głową i wstał.

- Powiem to w ich imieniu. Świat, który dotychczas znaliśmy, być może się skończył. Skończył raz na zawsze. Być może nie, ale wątpię w to. Tym, co nas teraz jednoczy, są rzeczy, w które wierzyliśmy, nasza przeszłość i tradycja, oraz to, kim chcemy być... Charlie, decyzja należy do ciebie. Niech przyświeca ci ta myśl. Pomyśl o tym, jaki ma być ten kraj, nawet w tak ciężkich chwilach, jak teraz. Wiem, o czym myślisz. Wiem, czego chcą nasi sąsiedzi, tam na zewnątrz. Niezależnie od tego, jaka będzie twoja decyzja, pamiętaj o tym, że stanie się ona fundamentem tego, co będzie dalej. Jeśli teraz popełnimy błąd, Charlie, to ten fundament trafi szlag... - Po chwili dodał: - I przestaniemy być Amerykanami.

Skończył przemowę i usunął się w kąt sali.

Bruce zaczął płakać. Charlie milczał. Stał ze spuszczoną głową.

- Boję się tego - powiedział po chwili stłumionym głosem.

- Nigdy nie sądziłem, że będę musiał coś takiego zrobić. Muszę jednak myśleć o naszej społeczności.

Stanął na środku sali, za krzesłem, na którym siedziała Kate.

- Larry Tolliverze, Brusie...

- Wilson - podpowiedział Tom.

- ...Brusie Wilsonie, skazuję was na śmierć przez rozstrzelanie za grabież cennych zasobów medycznych nie tylko tej społeczności, ale i placówki, gdzie ludzie rozpaczliwie potrzebowali tych lekarstw, by zagłuszyć przedśmiertny ból. Egzekucja ma zostać przeprowadzona natychmiast.

- Sukinsyn! - syknął Larry.

- Synu, zaraz pójdziesz przed oblicze Boga, daję ci dziesięć minut, żebyś przemyślał

swoje życie. Niech ktoś pójdzie znaleźć dla nich pastora - powiedział Charlie i wyszedł.

John poszedł za nim do jego gabinetu. Charlie nie miał nic przeciwko, kiedy John zamknął za sobą drzwi. Wyjął ostatniego papierosa z kieszeni i zapalił go. Szef bezpieczeństwa przez kilka sekund wpatrywał się w papierosa tęsknym wzrokiem. John był gotów podzielić się z nim, ale po chwili Charlie pokręcił głową.

- Czy postąpiłem słusznie, John? Szczerze mówiąc, jestem tak wściekły na tych dwóch zwyrodnialców, szczególnie tego Larry'ego, że bez wahania sam bym ich rozstrzelał. Ale mimo wszystko... czy zrobiłem to, co należało?

John usiadł i przez chwilę milczał. Sam również był rozdarty. Znowu przypomniało mu się, jak sam miał ochotę odepchnąć w apteczkę Liz i zgarnąć lekarstwa dla Jennifer.

- Boże, John, to tak, jakbyśmy się cofnęli o sto pięćdziesiąt lat. Dziki Zachód. Ciągłe myślę o filmie *Zdarzenie w Ox-Bow*. Pamiętasz? Powiesili w nim trzech ludzi, a potem okazało się, że byli niewinni.

- Mnie też się przypomniał ten film. Puszczała go w telewizji w zeszłym tygodniu. Jedna z najlepszych ról Henry'ego Fondy.

- W zeszłym tygodniu... - westchnął Charlie. - Naprawdę to było tak niedawno?

- Ci tutaj jednak nie są niewinni - stwierdził John.

- Mimo wszystko, jeszcze tydzień temu nie zabijaliśmy popieprzonych gnojek za kradzież leków. Ten drugi chłopak, Bruce, gdyby go odpowiednio poprowadzić, mógłby wyjść na ludzi.

John pokręcił głową.

- Posłuchaj, Charlie, skończyło się gdybanie. Teraz w mieście mamy sześć, może siedem tysięcy ludzi. Ile mamy jedzenia? Ile leków? Centrum nadal ma dostęp do wody, tak długo, jak wytrzyma rura dostarczająca wodę ze zbiornika. Ale ci z nas, którzy mieszkają na zboczach gór, są odcięci od wody. Charlie, jeśli nie utrzymamy tu porządku, w ciągu miesiąca ludzie będą się zabijać w imię torebki chipsów!

Poczuł, jak żar papierosa parzy mu palce. Spojrzał na niedopałek i rzucił go do pustego kubka po kawie. - Albo w imię paczki papierosów - dokończył. - Przykro mi, przyjacielu, ale podjąłeś słuszną decyzję. Zapamiętaj jednak to, co powiedziałem w ich imieniu, tam w sali konferencyjnej.

Charlie przytaknął.

Ktoś zapukał do drzwi. Tom i Kate. John kazał im wejść.

- Przyszedł wielebny Black. Już tam z nimi siedzi. Zaraz kończy się im czas - poinformował Tom.

- Tom, to nie ty wykonasz egzekucję - powiedział John.

Szeryf wbił w niego wzrok.

- W tym mieście stanowisz władzę policyjną. Jeśli ktoś musi wykonać egzekucję, nie możesz być to ty ani żaden inny funkcjonariusz czy przedstawiciel władzy. To koszmarnie zadanie zawsze trzymane z daleka od tych, którzy egzekwują prawo i stoją na jego straży. Bo w przeciwnym razie... - Pomyślał o Stalinie i Gestapo. - Nie, to musi być ktoś inny.

Tom skinął głową i John ucieszył się, że pomimo ostrego ataku na złodziei leków, w twarzy szeryfa odmalowała się ulga, że nie będzie musiał być katem.

John spojrział na Charliego.

- Ja tego nie zrobię, John.

- Wiem, ty też nie możesz ich rozstrzelać, Charlie. Ty reprezentujesz rząd nadzwyczajny, a Kate rząd tradycyjny. Nie, wy oboje odpadacie.

- W takim razie kto? - zapytał Charlie.

Wszyscy milczeli.

- Ty, John - odezwała się wreszcie Kate cichym głosem.

John był w szoku. Spojrział na nią. On jedynie udzielał im dobrych rad, jako historyk. Nie spodziewał się, że w ten sposób nominuje sam siebie.

- Do cholery jasnej! Nie zgłaszałem się na ochotnika - zaprotestował. - Chciałem tylko dopilnować, żebyśmy zachowali ciągłość pomiędzy tym, kim byliśmy kiedyś, a kim jesteśmy teraz, w sensie narodu.

- Nie wyjdę tam na ulicę pytać tłumu, kto chce być ochotnikiem - odparł Charlie. - Nie pozwolę, żeby to wszystko zamieniło się w cyrk, żeby jakiś chory bydlak zgłosił się dobrowolnie, by ich rozstrzelać. Chcę, żebyś ty to zrobił, John. To ty jesteś historykiem, to ty wszystko to rozumiesz, pojmujesz sens tego zdarzenia. W tym mieście cieszysz się reputacją szanowanego profesora. Wszyscy cię znają, ciebie i twoją rodzinę.

- Jezus Maria... - wyszeptał John, wiedząc, że jest w potrzasku.

Z wielką niechęcią skinął głową.

- Gdzie to zrobimy? - rzucił Tom.

John nie był w stanie myśleć.

- W parku - zaproponował Charlie. - To miejsce publicznych spotkań. Nie chcę robić tego pokątnie.

- Dobra - zgodził się Tom. - Teraz zawieziemy ich do parku i od razu to załatwimy. Zapakujemy ich do furgonetki Jima. Na korcie tenisowym jest betonowa ściana do ćwiczeń w odbijaniu piłki. Wyjdę teraz na zewnątrz i ogłoszę, że odbędzie się to za pół godziny.

Zaproponowanie kortu tenisowego jako miejsca egzekucji przejęło Johna chłodem. Skojarzyło mu się z Talibami i niesławnym stadionem piłkarskim w Kabulu. Czy to nam teraz zostało, pomyślał, kort tenisowy?

- Może jednak nie zrobimy tego publicznie - zaryzykowała Kate. - Może lepiej zrobić to bez świadków. Nie podoba mi się idea publicznej egzekucji.

- Mnie też nie - powiedział ostrożnie John - ale musimy to zrobić. W mieście szaleje strach. Słyszę, jak ludzie określają uchodźców idących do nas autostradą, mianem „obcych”. Już zaczęliśmy się wszyscy dzielić. Jeśli urządzimy egzekucję bez świadków, gwarantuję ci, że w ciągu dwudziestu czterech godzin ludzie niemieszkający tutaj zaczną rozpuszczać plotki, że urządzamy sądy stalinowskie i pozbawiamy ludzi życia w piwnicy komisariatu. Skoro jesteśmy zmuszeni do tak drastycznych kroków, zróbmy to publicznie.

- Poza tym - wtrącił Tom - niech to będzie przestrożą dla każdego, komu chodzi po głowie kradzież.

- Poczekaj, Tom - rzucił pospiesznie John. - Mam nadzieję, że nie będziemy zabijać ludzi za to, że ktoś ukradł kromkę chleba.

Szeryf pokręcił głową, zezłościł go komentarz Johna.

- John, nie przypisuj mi takich zamiarów. Nie podoba mi się to wszystko tak samo jak tobie.

John spojrzał mu głęboko w oczy, po czym skinął głową.

- Okej, Tom, przepraszam.

- Idę wydać oświadczenie.

- Tom - zatrzymała go Kate. - Obecni będą mogli być tylko dorośli. Nie chcę tam widzieć żadnych dzieci.

Szeryf opuścił pokój, po chwili usłyszeli głośny szum, odgłos włączania ręcznego megafonu. Tom zaczął swoje przemówienie.

Wśród tłumu zerwał się aplauz, kilka osób nawet wiwatowało. Ktoś krzyknął, że lepszy byłby stryczek.

Do diabła, pomyślał John, to faktycznie przypomina stare westerny, w których tłum skandował: „Zlinczować ich!”.

Ludzie nagle zaczęli się rozchodzić, wiele osób kierowało się w stronę parku, inni, zwłaszcza ci z dziećmi, szli z tyłu. Mijały długie minuty. John milczał, spoglądając przez okno.

Usłyszał na korytarzu głośne przekleństwa i płacz. Wyprowadzano skazańców.

- Musimy już iść - powiedział Charlie, po czym otworzył drzwi.

John miał wrażenie, jakby sam był skazańcem i szedł na własną egzekucję. Jakim cudem sobie z tym poradzi? Spędził wiele lat w wojsku, przeszedł ćwiczenia, lecz nigdy nie oddał strzału pchany złością ani nawet z zimną krwią, jak profesjonalista, na którego próbowano go wyszkolić. Podczas operacji Pustynna Burza pełnił funkcję zastępcy dowódcy batalionu, ale nawet wtedy siedział w wozie pancernym stojącym kilka mil od linii frontu. Nigdy tak naprawdę nie pociągnął za spust na polu bitwy.

Pomyślał o tamtych wieśniakach, którzy zaatakowali jego i kolegów, kiedy był w college'u. O tamtej chwili, gdy przerażająca furia pchnęła go do tego, że gotów był zastrzelić jednego z nich. A potem szok, którego doznał z tego powodu... Kilka dni później z jednym z napastników uścisnęli sobie ręce i wypili razem drinka.

Wyszedł na zewnątrz. Skazańcy siedzieli z tyłu furgonetki Jima Bartletta, zakuci w kajdanki, z nogami związanymi łańcuchem. Tom siadł z przodu, trzymał w rękach pistolet, walebnny Black zajął miejsce między Jimem i Tomem.

John patrzył na obu skazańców, kiedy zamykały się drzwi, a gdy nawiązał kontakt wzrokowy z Bruce'em, uświadomił sobie, że jest coś, czego zrobić nie może. Co prawda ledwie pamiętał tego chłopaka, ale przecież był kiedyś jego studentem...

Zauważył Washingtona stojącego razem z Jeremym i Philem i podszedł do nich.

- Washington, potrzebuję twojej pomocy. Boże święty, potrzebuję jak cholera... - Po czym opowiedział mu wszystko.

Sierżant przytaknął, nie wypowiadając ani słowa, następnie wsiadł do wozu wraz z Johnem. Kate, Phil i Jeremy zapakowali się na tylne siedzenie.

Oba samochody ruszyły. Na Black Mountain Road, a potem w bocznej uliczce prowadzącej do parku ujrzeli tłumy. Jedni szli w stronę miejsca egzekucji, inni stali i gapili się na nich.

- Zabijanie ludzi to grzech! - zawołał ktoś, gdy wlekli się za vanem, który jechał nie szybciej niż pięć mil na godzinę.

To jak cholerna procesja w czasach rewolucji francuskiej, pomyślał John.

Zjechali ze stromego wzgórza na skraj parku, gdzie już zgromadził się spory tłum. Zatrzymali się przy kortach tenisowych z betonową ścianą pomalowaną na biało, z której odpadały płaty farby.

Skazańcy zostali wyprowadzeni z furgonetki.

Wszyscy dokoła zamilkli.

John przełknął głośno ślinę i zerknął na Washingtona.

- Po prostu niech pan celuje w klatkę piersiową, sir - poradził mu Washington. - Jeśli

celuje się w głowę, a ręka drży, pudło murowane. Pierwszy strzał w klatkę piersiową. Skazaniec upadnie. Nie odrzuca ich do tyłu, po strzale nie latają w powietrzu tak jak w filmach. Zazwyczaj po prostu padają na ziemię albo wolno się osuwają. Kiedy skazaniec będzie już na ziemi, należy opróżnić magazynek. Wystrzelać wszystko. Ostatni strzał najlepiej w głowę. Zrozumiał pan, sir?

Wręczył Johnowi glocka.

- Jest naładowany.

John skinął głową.

Wysiadł z samochodu. Tłum gapiów zrobił mu przejście. Z przodu szli skazańcy. Bruce szlochał, mówił coś błagalnym tonem. Larry milczał jak zakłęty. Wielebny Black podtrzymywał Bruce'a za rękę, z kolei Tom mocnym chwytem trzymał Larry'ego.

- To jest złe, Charlie! - krzyknął ktoś z obecnych.

Przez tłum przeszedł pomruk niezadowolenia. Ludzie krzyczeli, kłócili się.

Skazańcy zostali odprowadzeni pod ścianę.

Z tłumu nadal dochodziły ich okrzyki. Niektórzy protestowali, większość była za. Dało się słyszeć kilka głosów opowiadających się za powieszeniem złodziei, a nie za rozstrzelaniem.

Johnowi zrobiło się niedobrze. Popatrzył dokoła i nagle zorientował się, że trzyma już broń w powietrzu i naciska spust. Strzelił prosto w niebo.

Bruce zawył ze strachu i runął na kolana. Z tłumu wyrwało się jeszcze kilka okrzyków. Potem zapadła cisza. Wszyscy spoglądali na Johna.

- Zostałem wytypowany do zrobienia czegoś, o czym nie śniło mi się nawet w najgorszych koszmarach! - zawołał głośno.

Wszyscy milczeli.

- Wyznam wam, że jednego ze skazanych nie jestem w stanie rozstrzelać. Kiedyś był moim studentem. Poprosiłem pana Parkera, emerytowanego sierżanta batalionu marines, aby wykonał wyrok za mnie, i to właśnie zrobi - przerwał na chwilę, po czym dodał: - tak jak mu rozkazałem.

W dalszym ciągu nikt się nie odzywał.

- Nasz świat się zmienił - ponownie zabrał głos, lecz urwał. Po chwili podniósł głowę i powiedział: - Ale to jest nadal Ameryka. Chcę wierzyć, że to jest nadal Ameryka. Jesteśmy w stanie wojny. Pan Fuller dziś wieczorem zwoła zebranie w sali gimnastycznej i podzieli się z wami najświeższymi informacjami. Jesteście wszyscy zaproszeni: ci, którzy się tu urodzili, ci, którzy się tu wprowadzili, tak jak ja, oraz ci, którzy wylądowali tutaj w wyniku takich, a

nie innych okoliczności.

Znowu zrobił pauzę.

- Wszyscy jesteście obywatelami tego państwa. Pan Fuller, Dyrektor Bezpieczeństwa Publicznego, sprawował ten urząd, zanim wybuchła wojna, więc sprawuje go również teraz. I jest on naszym - przez chwilę John szukał odpowiedniego słowa - tymczasowym przywódcą w Black Mountain w stanie nadzwyczajnym. Podzieli się z wami wiadomościami, które przywieźliśmy z Asheville na temat tego, co się stało, co się dzieje i co dzieć się będzie. - Jesteśmy w stanie wojny - powtórzył - a w tym mieście wprowadzono stan nadzwyczajny. Ci dwaj mężczyźni zostali skazani na karę śmierci zgodnie z normami stanu nadzwyczajnego. Zostali uznani za winnych kradzieży szalenie ważnych lekarstw, środków uśmierzających ból z Domu Opieki Millera, przez co skazali jego rezydentów na cierpienie i agonię. Za to przestępstwo oraz za przestępstwo szabrowania, zostali uznani za winnych, ponad wszelką wątpliwość, w toku sprawiedliwego i otwartego procesu.

- Pierdolę wasz proces! - wrzasnął Larry. - To jest zbiorowy lincz!

John zamilkł. Nikt z zebranych nie odpowiedział, nikt nie krzyczał ani ich nie wyzywał.

- Jestem obywatelem tego miasta - powiedział John już łagodniejszym tonem. - Jak nakazuje tradycja, nawet podczas obowiązywania stanu wyjątkowego, nasza policja, która bezpośrednio egzekwuje prawo, nie bierze udziału w tym, co za chwilę będzie miało miejsce. To samo się tyczy naszego organu władzy. Chcę, abyście zwrócili na to uwagę i to pojęli. To nie jest państwo policyjne i nigdy w takowe się nie zamieni. Skazani zostali uznani za winnych na drodze rzetelnej rozprawy. Kara zostanie za chwilę wymierzona, jednak nie z rąk tych, którzy tymczasowo stoją na straży prawa i porządku, lecz z rąk dwóch pełnoprawnie mianowanych obywateli, którzy zgłosili się na ochotnika, by wykonać to zadanie.

Spuścił głowę i głośno przełknął ślinę. Był świadom, że nie może sobie pozwolić, by zadrżał mu głos.

- To, co za chwilę przyjdzie mi zrobić, napętnia mnie odrazą. Nie marzyłem o tym - urwał, a po kilku sekundach dodał: - Lecz ktoś musi to zrobić.

Znowu przerwał na moment, uświadomiwszy sobie, że trzeba powiedzieć tym ludziom coś jeszcze.

- Wszyscy, tu zebrani, jesteśmy Amerykanami. Wśród was są setki, a może już tysiące osób, które jeszcze pięć dni temu tu nie mieszkały. - Znowu zrobił krótką pauzę. - Ale musicie wiedzieć, że wszyscy jesteśmy równi w świetle prawa. Wszyscy, co do jednego. Jeśli chcemy przetrwać, musimy współpracować ze sobą nawzajem jako sąsiedzi. Tragiczna

sprawiedliwość, której trzeba uczynić zadość, dotyczy nas wszystkich, niezależnie od tego, czy ktoś się tu urodził, czy przeniósł, tak jak ja kilka lat temu, czy zjawił się tu wczoraj. Sprawiedliwość musi być taka sama dla nas wszystkich...

Urwał. Nerwowo spojrział na obu skazańców; wielebny Black podtrzymywał jedną ręką Bruce'a, w drugiej trzymając otwartą Biblię. Larry nadal był przytrzymywany przez Toma; oczy przestępcy zaszyły nieco mgłą odurzenia narkotycznego, lecz wyzierała z nich nienawiść.

John zastanawiał się w tej chwili, czy to, co powiedział, oraz to, co zamierzał zaraz zrobić, jest tak naprawdę zgodne z prawem i tradycją zachodniej cywilizacji. Mimo wszystko czuł, że jest to słuszne - odpowiednie w obecnej sytuacji. Musiał to zrobić, skoro chcieli przetrwać jako społeczność.

Spojrzął w milczeniu na Charliego. Zapadła chwilowa cisza, dopóki Charlie nie zrozumiał, że rytuał wymaga, by również powiedział kilka słów.

Szef bezpieczeństwa zrobił krok do przodu i stanął przed grupą.

- Na mocy władzy powierzonej mi drogą dekretu nadzwyczajnego przez rząd obywatelski tej społeczności, czyli mieszkańców miasta Black Mountain, objętego stanem wyjątkowym, uznaję Larry'ego Iversona i Bruce'a Wilsona winnych kradzieży zapasów medycznych, skutkiem czego spowodowali ból, cierpienie oraz śmierć. Ich karą jest śmierć przez rozstrzelanie, która zaraz zostanie wymierzona przez doktora Johna Mathersona oraz pana Washingtona Parkera, mianowanych przeze mnie do wykonania tego zadania.

Charlie spojrział na Johna i dał mu znak ruchem głowy. John odwrócił się twarzą do skazańców; drżały mu ręce.

- Niech pan pamięta o tym, co powiedziałem. Najpierw strzelać w klatkę piersiową, żeby padł, potem wystrzelać resztę magazynku, ostatnia kulka w głowę - szepnął Washington.

Obaj przeszli kilkanaście kroków w kierunku skazanych. Tom odszedł od Larry'ego, który patrzył na niego z nienawiścią. Natomiast wielebny Black ani drgnął, nadal podtrzymywał Bruce'a. - Sądzę, że powinniśmy się pomodlić - oznajmił duchowny. John skinął głową na znak zgody, zażenowany, że nie przemknęło mu to przez myśl.

Nadal podtrzymując Bruce'a, wielebny zwrócił się do tłumu:

- Proszę Boga miłosiernego, aby raczył dać wybaczenie tym dwóm mężczyznom. Lecz musimy teraz oddać cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie. Wybaczenie i odkupienie to teraz sprawa pomiędzy Bruce'em, Larrym i ich Stwórcą.

Odwrócił się do pierwszego skazańca.

- Bruce, czy prosisz Pana Boga o przebaczenie?

- Tak, błagam cię Boże, proszę, przebac mi...

- A ty, Larry?

Drugi skazaniec milczał.

- Ojcie nasz, któryś jest w niebie...

John powtarzał słowa modlitwy, w nadziei, że przestaną drzeć mu ręce. Spojrzał na Larry'ego, który nawiązał z nim kontakt wzrokowy.

W jego oczach nie dostrzegł nic prócz wściekłości, ślepej zwierzęcej furii. John niemalże poczuł litość.

- Albowiem twoje jest Królestwo i moc, i chwała na wieki wieków. Amen.

Ostatnie słowo, „amen”, odbiło się echem wśród tłumu.

John przełożył broń do lewej ręki i pierwszy raz od wielu lat przeżegnał się. Następnie znowu chwycił pistolet prawą ręką.

Wielebny Black odszedł od Bruce'a, który z trudem utrzymywał się na nogach. John uprzytomnił sobie nagle, że przydałyby się opaski na oczy albo worki na głowy.

Nieważne. Załatw to, załatw to jak najprędzej, ponaglał się w myślach.

- Proszę podejść bliżej - szepnął Washington. - Kiedy pan odda strzał, ja też strzelę.

John spojrzał prosto na Larry'ego, który stał w odległości zaledwie kilku metrów.

- No dalej, zrób to - wycedził Larry bez emocji.

John nagle poczuł, że czas zwalnia. Bez żadnych ceremonii, ozdobników, podniósł pistolet i wycelował w jego klatkę piersiową. W ostatniej chwili Larry poruszył się, chciał zrobić unik i paść na ziemię.

John nacisnął spust.

Widział impet, z którym kula trafiła w ciało skazańca. Larry zachybotał się, odrzuciło go na betonową ścianę. Usłyszał ryk czterdziestkapiątki Washingtona i aż podskoczył. Za drugim razem John spudłował, strzelił tuż nad głową Larry'ego, który osuwał się po ścianie, zostawiając na niej krwawą smugę.

Washington oddał dwa kolejne szybkie strzały.

John usiłował wycentrować pistolet wycelowany w brzuch Larry'ego, który anemicznie wierzgał nogami. Za plecami usłyszał krzyki. Strzelił znowu. I znowu. I znowu...

Poczuł rękę na ramieniu. Washington.

- Głowa - powiedział spokojnie Murzyn.

John podszedł do Larry'ego. Czy był już martwy? Kałuża krwi utworzyła się pod jego ciałem. Miał mokrą plamę na spodniach. John poczuł też inny brzydki zapach. Pęcherz i jelita nie wytrzymały.

Zauważył ledwie widoczny ruch gałki ocznej skazańca. Wycelował w środek głowy Larry'ego, stojąc nad nim, i strzelił.

Sekundę później rozległ się kolejny huk, Washington oddał ostatni strzał w głowę Bruce'a.

John poczuł się jak kukła z drewna. Odwrócił się. Wszyscy wpatrywali się w niego w milczeniu. Ludzie zakrywali usta rękami. Niektórzy płakali. Sposób, w jaki na niego spoglądali... był inny od tego, co do tej pory widział w oczach ludzi patrzących na niego. Zobaczył tam strach... podziw... wstręt... choć z niektórych twarzy wyczytał prawie że zazdrość.

Poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Musiał nad tym zapanować. Skierował pistolet lufą do nieba, nie był pewny, czy opróżnił cały magazynek. Jego student, Jeremy, stał w tłumie gapiów. Nawiązali krótki kontakt wzrokowy, po czym chłopak podszedł do Johna, który oddał mu glocka.

- Zabezpiecz broń i czekaj na mnie w samochodzie - wyszeptał.

Odwrócił się i oddalił od tłumu. Schował się za betonowym murem, pochylił i zwymiotował.

Z trudem łapiąc powietrze, nadal stał pochylony.

- Już w porządku, sir - powiedział Washington.

John spojrział na sierżanta, nagle zrobiło mu się wstyd.

- Ja też prawie wypłułem swoje flaki, kiedy pierwszy raz zabiłem człowieka. Gdyby pan nie zwymiotował, sir, zacząłbym się o pana martwić.

- Przestań mówić do mnie „sir”, na miłość boską - wydusił z siebie John pomiędzy kolejnymi torsjami.

- Postąpił pan słusznie, sir. Dobrze panu poszło.

- Dobrze mi poszło? Jak można w ten sposób mówić o zabiciu człowieka.

- Nie, sir. Nie to miałem na myśli. Egzekucja to zawsze śmierdzące szambo. Mam na myśli to, co pan powiedział. To dlatego mówię teraz do pana „sir”. Wcześniej to było w ramach żartu. Wiedziałem, że pan jest profesorem, ale wcześniej był pan pułkownikiem, więc tak sobie żartowałem. Ale dzisiaj, sir, podołał pan zadaniu. Stanął pan twarzą w twarz z czymś strasznym i dał pan radę.

- OK - westchnął John.

- Proszę wstać, zmywajmy się stąd.

John przytaknął. Otarł usta wierzchem dłoni. Skrzywił się z bólu. Miał infekcję palca. Strzelanie z pistoletu na nowo otworzyło ranę.

Wyszedł zza murku i spostrzegł, że tłum prawie zupełnie zniknął. Tylko kilka osób bląkało się po okolicy. Sprzątnięto ciała. Furgonetka Bartletta odjechała.

Dotarło do niego, że spędził kilka długich minut za murkiem.

Cieszył się, że wszyscy sobie poszli i nikt go nie widzi.

Chybotliwym krokiem ruszył w kierunku swojego wozu.

- John?

Usłyszał głos Makali.

Z początku jej nie rozpoznał. Nie było śladu po seksownym stroju biznesowym. Miała na sobie parę obszernych dzinsów, o kilka rozmiarów za dużych, oraz starą, wypłowiałą koszulkę z napisem Purdue University.

- Dziękuję, John.

- Za co, do cholery?

- Za to, co powiedziałaś, zanim musieliście rozstrzelać tych dwóch.

Skinął głową.

- Sytuacja robi się napięta pomiędzy stałymi mieszkańcami tego miasta a ludźmi takimi jak ja, przybyszami z zewnątrz. To, co powiedziałaś, przypominało nam, że jedziemy na jednym wózku.

- Okej.

Naprawdę nie miał ochoty na rozmowę. Podreptał powoli do samochodu.

- Pozwól, że rzucę okiem na twoją rękę.

Zatarasowała mu drogę, stając naprzeciwko niego. Twarz wykrzywił mu ból, kiedy Makala zrywała bandaż.

- John, to infekcja, paskudna infekcja. Mówiłam ci, żebyś pojechał do domu, przemył ranę i uważał na nią.

Pomyślał o domu opieki, dźwiganiu swojego teścia, o całym brudzie, który tam panował.

- Muszę ci przemyć ranę, John, i trzeba ją koniecznie zaszyć.

- To może poczekać - powiedział bezbarwnym głosem, bez cienia emocji. - Chcę pojechać do domu.

- W porządku. Pojadę z tobą.

Wbił w nią zimne i ostre jak sople spojrzenie. Przez głowę przemknęła mu wypaczona myśl - być może on ją teraz podnieca, bo przed chwilą rozstrzelał człowieka? A może jako „obca” chciała się wkupić w łaski człowieka, który ewidentnie sprawował teraz pewną władzę w mieście.

Zrobiła pół kroku w tył.

- John... Po pierwsze, masz paskudną infekcję. W tej sytuacji możesz stracić rękę, a nawet życie. Po drugie, słyszałam o twoim teściu i o domu opieki. Zgłosiłam się na ochotnika, żeby tam pojechać, pomóc wszystko posprzątać i zaopiekować się pacjentami. Szybko zajmę się twoją raną, a potem pójdę tam na piechotę, będę miała bliżej. Po trzecie, John, twoja córka... ma na imię Jennifer, tak?

- Tak.

- Monitorowanie jej diety będzie teraz ciężkim zadaniem. Co kilka dni powinna być badana przez pielęgniarkę lub lekarza. Zatem zabierz mnie do siebie do domu, zrobię to, co należy zrobić, a potem pójdę na noc do domu opieki.

- Dobrze. - Tylko tyle mógł z siebie wydusić.

Dotarł do samochodu, przy którym stał Washington wraz z dwoma studentami. Jeremy wręczył Johnowi broń.

- Wyczyszczony i opróżniony, sir. Tom dał mi nowy magazynek. Znajdzie go pan w skrytce w aucie.

Washington wyjął z samochodu AR-15 i dwa shot guny.

- Pójdziemy do kampusu na piechotę, sir. Niech pan jedzie prosto do domu.

Phil obszedł auto i otworzył drzwi dla Makali, która wsiadła.

John obejrzał się na ścianę pochłapaną krwią. Potem, jak na ironię, zauważył maszt, a na nim amerykańską flagę powiewającą na wietrze. Niebo zaczęło ciemnieć. Zapowiadało się na burzę.

Przypomniało mu się pytanie, które Jeremy zadał w drodze powrotnej z Asheville. Czy damy radę nadal być Ameryką?

Czy jeszcze jesteśmy Ameryką?

*

W drodze powrotnej do domu nie odezwał się ani słowem.

- Wymiotowałeś, prawda? - odezwała się wreszcie Makala, przerywając ciszę.

- Tak.

- Myślałam, że jesteś żołnierzem.

- Jestem... to znaczy, byłem. Nie wszyscy żołnierze lubią jednak strzelać do ludzi. Brałem udział w Pustynnej Burzy, jako zastępca dowódcy batalionu Pierwszej Dywizji Kawalerii. Obserwowałem działania wojenne z oddali, ani razu nie musiałem strzelać. Przez większość czasu ślecząłem zgarbiony przed ekranem komputera, usiłując dyrygować akcją.

- Przepraszam, głupio to zabrzmiało - odparła Makala. - Nie chciałam cię obrazić. Zasugerowałam się tym, jak przedwczoraj załatwiłeś tego faceta w aptece. Pomyślałam sobie, że jesteś człowiekiem, który ma doświadczenie bojowe.

- Nie.

- W porządku. Mnie też nadal czasem mdli podczas operacji. Prawie wyzionęłam ducha, kiedy wczoraj pomagałam w domu opieki.

- Dziękuję, że tam poszłaś.

- Na tym chyba polega moja praca.

Rozmowa się urwała.

Wjechali na podjazd. Dwa głupole, Ginger i Zach, przybiegły galopem. Na widok obcej osoby okazały typową dla rasy golden retriever lojalność i... podbiegły do Makali, traktując Johna jak powietrze.

Makala wybuchła śmiechem, drapiąc psy za uszami, podczas gdy one podskakiwały w powietrzu, by ją polizać, tańczyły wokół niej i szczekały. John ruszył ku drzwiom, w których stała Jen.

- Dzięki Bogu, wróciłeś! - powitała go. - Co się stało? Cały dzień umierałam z nerwów z twojego powodu.

- Pojechałem do Asheville, tak jak mówiłem.

Starsza pani spojrzała Johnowi przez ramię na zbliżającą się w obstawie psów Makalę. Oczy Jen rozszerzyły się troszeczkę i John poczuł, że teściowa nie jest zadowolona - postrzegając młodą kobietę jako intruza na jej terytorium.

- Mamo, chcę ci przedstawić Makalę Turner. Makalo, to moja teściowa, Jennifer Dobson.

Obie panie ukloniły się delikatnie i uściśniły sobie dłonie.

- Mamo, być może przypominasz sobie Makalę. To właśnie ją spotkaliśmy na autostradzie pierwszego wieczoru.

- Ach, tak! Kochanie, wybaczone, nie poznałam cię, jesteś teraz nieco inaczej ubrana...

- Makala jest pielęgniarką, mamo. A właściwie dyplomowaną pielęgniarką, przełożoną na oddziale chirurgicznym.

Przyjechała rzucić okiem na Tylera, Jennifer, no i na to - powiedział, pokazując swoją rękę.

Jen schowała szpony, a na jej usta wstąpił uśmiech.

- Zapraszam do środka, moja droga.

- Jak się czuje Tyler? - zapytał John.

- Odpoczywa. Przynajmniej jest mu wygodnie - poinformowała cichym głosem.
- A dziewczynki?
- Jennifer ucina sobie drzemkę. Miała wysoki poziom cukru, niedawno brała zastrzyk.

Elizabeth wyszła na spacer z Benem.

- W porządku.

Wszedł do swojego gabinetu. Makala i Jen poszły prosto do pokoju, w którym leżał Tyler.

Wyjął glocka zza paska spodni, obejrzał go, a potem położył na biurku. Dopiero teraz zauważył, że od broni bił zapach prochu, tak samo, jak od niego.

Spod biurka wyłowił zakurzoną butelkę. Kilka razy w życiu picie niemalże zawładnęło jego życiem, ostatnim razem było tak przez kilka tygodni bezpośrednio po śmierci Mary. Widok kurzu na butelce dodał mu otuchy. Nalał sobie podwójną szkocką do pustej filiżanki po kawie i dwoma łykami wypił zawartość.

Na zachodnim horyzoncie dała o sobie znać burza. Deszcz zaczął w szybę... dla uszu Johna był to kojący odgłos.

Kiedy pół godziny później Makala weszła do gabinetu, aby rzucić okiem na jego rękę, John spał już snem sprawiedliwego.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dzień 10

- John, wyglądasz jak gówno podgrzane na grillu.

Skinął głowę, wchodząc do gabinetu Kate na kolejną naradę. Poranne spotkania stały się już codzienną tradycją.

- Dzięki, Tom, tego mi było właśnie trzeba.

Pomimo interwencji Makali, w ranie Johna nadal gnieździła się infekcja. Miał gorączkę, trzydzieści osiem stopni Celsjusza.

Usiadł tam, gdzie zwykle, przy środku stołu. To ciekawe, pomyślał, jak na tego typu spotkaniach rodzą się nawyki - człowiek siądzie raz na tym, a nie innym krześle, i następnego dnia siada w tym samym miejscu. To samo tyczy się symboliki tego, kto gdzie siedzi przy stole. Kate nadal zajmowała to symboliczne, najważniejsze miejsce, lecz dzisiaj to Charlie, siedzący po jej prawicy, prowadził poranne sprawozdanie. Tom zajął miejsce po przeciwnej stronie. Doktor Kellor, który również był już stałym członkiem ich grupki, usadowił się naprzeciwko Johna. Dziś obecni byli jeszcze jacyś dwaj inni mężczyźni, których John nie znał. Jeden miał na sobie mundur policyjny z naszywką wydziału policji w Swannanoa. Drugi mężczyzna ubrany był w dzinsy i T-shirt. Obaj wyglądali na jakieś czterdzieści pięć lat.

John lewą ręką ujął czekający na niego kubek kawy.

- Pozwól, że rzucę okiem na twoją dłoń - odezwał się Kellor, wstając z krzesła i obchodząc dokoła stół.

Lekarz poluzował gazę, którą Makala poprzedniego wieczoru opatrzyła mu ranę.

- Pierwszorzędne szwy. Sam bym lepszych nie założył.

John siedział bez słowa. Makala założyła mu kilkanaście szwów, bez środków znieczulających, pomijając łyk szkockiej. Mężnie zniósł cały zabieg, nie jęczał, choć wymknęło mu się kilka przekleństw, kiedy pokropiła ranę alkoholem.

Vince Kellor nachylił się, powąchał bandaż i pokręcił głową.

- Gdzie podłapałeś taką infekcję?

- Chyba w domu opieki, kiedy wynosiłem stamtąd teścia.

- Czym to leczysz?

- Zajmuje się mną Makala Turner, pielęgniarka, która pomaga teraz prowadzić dom opieki. Daje mi cyprofloksacynę. Znalazłem jej trochę właśnie w domu opieki.

- To prawdopodobnie wynik kontaktu z fekaliami - oznajmił Kellor, kiwając głową i przyglądając się ranie. - Można się jednak natknąć na ciężkie odmiany bakterii i wirusów nawet w domu czy szpitalu, który lśni czystością. Wrócimy do tematu później - powiedział i zajął z powrotem swoje miejsce.

Kate odchrząknęła głośno.

- Dobra, zaczynajmy. Mamy nowy problem. Doktor Kellor wtajemniczył was w całą sprawę.

Kellor kiwnął głową.

- W obozie uchodźców w gmachu szkoły podstawowej wybuchła epidemia salmonelli. To było nieuchronne. Dziś rano naliczyłem minimum stu chorych. Piekło, prawdziwe piekło.

- Skąd to się wzięło? - zapytała Kate.

Vince spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Do diabła, Kate, przecież ludzie z reguły używają wody, od cholery wody, codziennie. Sprawdzają termin ważności żywności, a jak coś jest dzień po terminie, to automatycznie ląduje w koszu. Mamy u nas ponad sześćset osób, przynajmniej nadal w łazienkach jest ciśnienie, dzięki czemu można spuszczać wodę, ale z kranów leci tylko zimna. Szczerze mówiąc, nie mamy też papieru toaletowego ani papierowych ręczników. Robi się niemiło... Ludzie, zastanówcie się. Większość z nas nie kąpała się od dziesięciu dni, papier toaletowy to teraz rarytas, w obozie uchodźców tylko dwa razy dziennie wydajemy zupe. Jedzenie nie jest teraz zbyt bezpieczne, jestem pewny, że pod koniec dnia niemal każda osoba będzie cierpieć na biegunkę i wymioty.

Kellor westchnął głośno.

- Dzisiaj odnotowaliśmy siedem zgonów. Sprawdziłem, zanim tu przyszedłem. Dwoje dzieci, reszta to staruszkowie. Tak błyskawicznie się odwodnili, że nie zdążyłem podać im elektrolitów. Potrzebuję więcej ochotników do pomocy, bo za chwilę rozpęta się tam prawdziwe piekło.

Wszyscy obecni milczeli, pogrążeni w myślach o całym gmachu szkolnym pełnym ludzi w takim stanie...

- Pamiętacie huragan Katrina i ludzi szukających schronienia na stadionie Louisiana Superdome? - westchnął Charlie.

- Mamy teraz do czynienia z czymś tak okropnym?

- Nie. Z czymś jeszcze gorszym - odparł Kellor. - Co prawda władze spieprzyły wtedy

sprawę, ale koniec końców pomoc była w drodze, mimo że mnóstwo ludzi wpadło w panikę z powodu koszmarnych doniesień o gwałtach i morderstwach. Do nas takie zjawiska w ogóle jeszcze nie zawitały, ale z drugiej strony, nie ma co wyczekiwać spieszących ku nam posiłków, helikopterów pełnych artykułów pierwszej potrzeby. Jesteśmy pozostawieni sami sobie. Potrzebujemy czystych zbiorników na sterylną wodę, żebyśmy mogli przygotować elektrolity do podawania pacjentom, takie, jakich się używa w krajach Trzeciego Świata.

- A więc jesteśmy teraz pieprzonym krajem Trzeciego Świata - powiedział spokojnym głosem policjant ze Swannanoa.

- To całkiem proste. Wystarczy czysta woda. Nadal takową dysponujemy, prawda, Charlie?

- To, co ciągniemy z rezerwuaru nadal jest czyste, przynajmniej takie było wczoraj, kiedy nasi spece od wody robili badania.

- Nie daje mi to spokoju. Wystarczy, że koło rezerwuaru pokręci się kilka osób, rozbije tam namiot. Załóżmy, że jedna z nich jest chora, załatwi się przy jeziorze i wszyscy natychmiast jesteśmy chorzy.

Charlie spojrzał na Toma.

- Lepiej zorganizujemy patrol dookoła jeziora, ustawmy tam kilku naszych ludzi. Niech nie pozwolą nikomu się tam osiedlać.

Przez lata tajemnicą poliszynela było wędkowanie nad jeziorem. Na teren rezerwuaru, wspólnej własności Black Mountain i Asheville, rzekomo nikt nie miał prawa wstępu, jeszcze zanim stało się to, co się stało. Często jednak ktoś, jakieś dzieciaki z wędką, przemykały się tam cichcem i wyciągały imponującego łososia o wadze pięciu kilogramów albo i więcej. Sześć lat temu jakiś działacz z hrabstwa nagłośnił sprawę, ale wcześniej były tam nawet w lesie nieopodal jeziora prywatne domki. Sekretna kryjówka szlachty z Asheville i Black Mountain. Klub paru kolesiów, którzy wpadali tam na weekend popić i złowić dużą rybę. Jezioro uznawali za swoją własność prywatną.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że te same osoby zaczęły teraz upatrywać w jeziorze źródła pożywienia. Trzeba było temu zapobiec.

- Musimy zmieszać ze sobą kilkaset galonów czystej wody, sól i cukier. To zapewni równowagę elektrolityczną. Następnie musimy zacząć wlewać ten płyn w gardła tych biednych ludzi. Co prawda i tak dziewięćdziesiąt procent z nich rozchoruje się na kilka dni, ale ujdą z życiem.

- A pozostałe dziesięć procent? - zapytał Charlie.

Kellor westchnął.

- To ludzie pozbawieni kroplówek, seniorzy, dzieci poniżej pierwszego roku życia, ludzie już wycieńczeni przez inne choroby - urwał i na chwilę wbił wzrok w sufit. - Według moich obliczeń, jutro do wieczora umrze trzydzieści osób, może pięćdziesiąt.

Charlie nerwowo skrzyżował ręce na piersiach, by po chwili je rozłożyć.

- Kto zorganizuje ochotników? - zapytał.

John westchnął.

- Pojadę do siebie na campus. Zobaczą, czy uda się zwerbować trochę młodzieży.

- Obiecuj im, że po wykonanym zadaniu w nagrodę dostaną niezłą wyżerkę - rzekł Charlie. - Jeden z moich ludzi ubiegłej nocy ustrzelił sarnę. Schowałem ją, będą z niej steki. Wielka uczta za jeden dzień harówki.

- Wątpię, czy będą mieli apetyt po tym, w co chcemy ich wpakować, ale przekażę im twoją propozycję - powiedział John.

Kellor kiwnął głową.

- Niech zameldują się u mnie do południa, dokładnie tu, w tym miejscu. Zanim ich tam wyślę, zrobię im mały wykład na temat tego, że narażają własne bezpieczeństwo i zdrowie.

John przytaknął.

- No dobra, to mi się skojarzyło z czymś, o czym nie mamy ochoty gadać - zaczął Charlie - ale moim zdaniem powinniśmy to przedyskutować. Grzebanie zmarłych.

- Chyba będziemy ich chować tak, jak zwykle, co? - zapytała Kate.

- Na terenie miasta nie ma cmentarza. Najbliższy znajduje się cztery mile stąd. Zaczniemy o tym myśleć długofalowo. Nie tylko o ofiarach salmonelli, ale o wszystkich zmarłych, których przybędzie w najbliższych kilku miesiącach.

Wszyscy milczeli jak zakłęci.

- Osobiście myślę o polu golfowym naprzeciwko parku.

- Że co? - uniósł się Tom. - To wariactwo! Naprawdę masz na myśli pole golfowe?

- Naprawdę. Znajduje się w obrębie centrum miasta. Kiedy je budowano, zrobiono sporo nasypów, to wszystko to gleba, łatwo w niej kopać. Podejścia aż do szóstego dołka mają głębokość sześć stóp albo i więcej. Pamiętajcie, że nie ma już więcej koparek do kopania grobów. Musimy wrócić do łopat, a groby mają być głębokie i kopane w szybkim tempie.

- W mordę, Charlie! Przecież to nasze miejskie pole golfowe - nie ustępował Tom.

- A co, ktoś wybiera się dzisiaj na partyjkę? - odparł Charlie cierpkim tonem. - Do licha, Tom, nawet ty grasz, używając tylko i wyłącznie wózka elektrycznego do poruszania

się po polu. Uważam, że potrzebujemy cmentarza, i to w zasięgu ręki, a nie po drugiej stronie Allen Mountain. Doktorze, wyrażasz na to zgodę?

- Niech cmentarz będzie oddalony o przynajmniej kilkanaście metrów od strumyka, który przepływa przez park. Na skarpie z dala od wody. Ale tak, zgadzam się.

- W takim razie tam od tej pory grzebiemy zmarłych.

John nie brał udziału w dyskusji. To ciekawe, pomyślał, jak różne rzeczy, różne zmiany szokowały na różne sposoby. Tom był zapalonym golfiarzem, zatem bez względu na to, jak wyglądała teraz sytuacja, zamiana jego ukochanej nieruchomości w cmentarz... cóż, w tym momencie nie był nawet w stanie przetrwać tego pomysłu.

- Powinniśmy zwołać paru pastorów, żeby poświęcili ziemię - rzekła Kate. - Ludzie na pewno by sobie tego życzyli.

Charlie zapisał to w notesie.

- Pogadam z wielebnym Blackiem, on jest teraz tak jakby szefem tutejszych duchownych.

- Są jeszcze jakieś inne problemy z dziedziny zdrowia? - zapytał Charlie.

- Ubiegłej nocy zmarły kolejne cztery osoby w domu opieki. Tamtejsi pacjenci padają jak muchy.

John pomyślał o Makali. W gruncie rzeczy to właśnie ona teraz odpowiadała za prowadzenie placówki. John nie widział jej od dwóch dni.

- Mielśmy też trzy samobójstwa. McDougalowie oraz jakiś przybysz z zewnątrz.

- Greg i Fran? - Kate była w szoku.

- Ich sąsiad usłyszał wystrzał z broni. Greg zastrzelił Fran, a potem siebie. Zostawili list pożegnalny. Fran miała raka, wiedzieliście o tym? Zdawała sobie sprawę, co ją czeka, jeśli pozbawi się ją cotygodniowych zabiegów w Asheville, więc poprosiła Grega, żeby skrócił jej cierpienia. No a potem sam odebrał sobie życie. W liście napisali, żebyśmy dali pozostałe środki przeciwbólowe Fran komuś, kto nadal ma szansę na przeżycie.

- Oboje śpiewali ze mną w chórze kościelnym - powiedziała Kate łagodnym głosem. Na moment jej twarz przybrała czerwony odcień, ponieważ z trudem usiłowała powstrzymać łzy.

Wszyscy milczeli.

- Wydam oświadczenie, że od dzisiaj pole golfowe jest cmentarzem i pozostanie tak przez cały okres trwania tej sytuacji - powiedział wreszcie Charlie, przerywając ciszę.

Kilka ogromnych białych tablic przyciągnięto aż ze szkoły podstawowej, po czym oparto je o zewnętrzną ścianę komisariatu. Pełniły one teraz rolę oficjalnej tablicy

ogłoszeniowej.

- Mamy wielu innych ludzi, którym, jak mniemam, nie pozostało wiele życia - ciągnął dalej Kellor. - Ludzie z niewydolnością trzustki, w momencie gdy skończą im się leki, zaczną umierać. Wielu z naszych pacjentów cierpiących na choroby wieńcowe już umarło. Garth Watson zmarł wczoraj w nocy, taszcząc wiadro wody do domu.

- Jezu! On miał zaledwie czterdzieści trzy lata - skomentowała Kate.

- Miał też pięćdziesiąt funtów nadwagi oraz cholesterol na poziomie dwieście osiemdziesiąt - dodał Kellor. - Ostrzegałem go. Tak oto kończy się żarcie fast foodów... Mamy w mieście ponad sto osób chorych na raka, przechodzących chemioterapię lub radioterapię. Jakie mamy dla nich prognozy? Cóż, wiemy, co się stało z Fran McDougal. Niech Bóg raczy jej wybaczyć. Mimo to, wiele osób może wybrać właśnie takie wyjście z sytuacji, szczególnie ludzie nękani potwornym bólem. Zapomnieliśmy już o tym, jakim koszmarem mogą być ostatnie stadia raka, kiedy nie ma się pod ręką morfiny.

Zrobił przerwę, rozejrzał się po twarzach obecnych.

- Sądzę, że musimy chyba w tej chwili przedyskutować tę sprawę - oświadczył. - Dysponujemy ograniczoną ilością środków uśmierzających ból. Czy mamy je wszystkie skonfiskować i używać ich jedynie w krytycznych sytuacjach, czy nadal pozwalamy ludziom śmiertelnie chorym zużywać to, co zostało.

- Jezu, doktorze! - wtrącił się Tom. - Co ty, do cholery, wygadujesz? Jedną z osób, o których mówisz, jest moja ciotka.

- Wiem - odparł łagodnie lekarz. - Bóg mi świadkiem, że wiem... Ale twoja ciotka Helen i tak wkrótce umrze, to nie tajemnica. Załóżmy, że trafi mi się dzieciak, który wymaga poważnej operacji. Szok i trauma potrafią zabić, a uśmierzanie bólu może stanowić różnicę pomiędzy życiem a śmiercią. Musimy brać to pod uwagę.

- Masz na myśli decydowanie, kto ma umrzeć, a kto ma żyć, prawda, doktorze? - zapytał John ściszym głosem.

Kellor spojrzał na niego i powoli skinął głową.

- Nie jestem gotów do podjęcia takiej decyzji - westchnął Charlie. - Większość osób, o których wspomina doktor, nadal trzyma w domu jakieś leki. Później się tym zajmiemy.

- Ale nie uciekniemy od tego - mruknął Kellor ze spuszczoną głową.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

- Wypadki. Nie uwierzycie, ile wypadków ma teraz miejsce - odezwał się wreszcie Tom, przerywając ciszę. - Samochody już nie są głównymi mordercami. Teraz chodzi o piły mechaniczne, siekiery, szpadle. Ubiegłej nocy Joe Peterson, rąbiąc drewno na opał, niemal

odrabiał sobie nogę. Wczoraj mieliśmy trzy przypadkowe rany postrzałowe, jedna osoba zmarła. Półgłówki chodzą teraz z bronią i takie są skutki.

- Uważam, że tematem, który wymaga z naszej strony poważnego potraktowania, jest pożywienie - odezwał się ponownie Kellor.

- Jakie w takim razie proponujesz zmiany? - warknął Charlie ostrym tonem. John poczuł, że szef bezpieczeństwa jest rozdrażniony. Być może już przed naradą pokłócili się na ten temat.

- Według twoich szacunków - zaczął Kellor - mamy w zanadru tyle jedzenia, aby wyżywić wszystkich przez kolejne siedem do dziesięciu dni. To oznacza spożywanie mięsa, którego jeszcze dwa tygodnie temu każdy inspektor by zakazał. No dobrze, Charlie. Ale co potem?

Charlie westchnął głośno i wzruszył ramionami. Był zmęczony.

Pomimo trawiącej go gorączki i trzęsących nim dreszczy, John skupił całą uwagę na Charliem, który po dziesięciu dniach sytuacji kryzysowej, po dziesięciu dniach łapania zaledwie trzech lub czterech godzin snu, był teraz bliski wycieńczenia i omdlenia.

- Połowiczne racje żywnościowe - mruknął pod nosem John.

Charlie spojrzał na niego i skinął głową.

- Nie wiem, czy to zadziała w przypadku niektórych rzeczy - odparł Kellor. - Dla przykładu, mięso, które zaczyna się już psuć, produkty nabiałowe. Proponuję wszystko rozdać, zużyć. Jeśli zajdzie taka potrzeba, dziś wieczorem urządzcie sobie wielką ucztę z pozostałego mięsa, które może się zaczynać już psuć. Dopilnujcie jednak, żeby było ugotowane tak bardzo, aż będzie miękkie jak pianka. Potem wszystkie konserwowy pójdą na połowiczne racje.

- Zgoda, zrobimy tak, jak mówisz - powiedział Charlie.

- A co z ludźmi, którzy zaszyli się w swoich domach z jedzeniem? - zadał kolejne pytanie Kellor. - Charlie, jest teraz co najmniej pół tuzina domów, w których mają prąd dzięki starym generatorom, które nie były podłączone do kontaktu i przetrwały. Dają wystarczająco dużo prądu, by podłączyć zamrażarkę. Na przykład klan Franklinów, mieszkający w North Fork. Założę się, że siedzą na ćwierć tony mięsa, które przechowują w zamrażarce w piwnicy.

- I chcesz, żebym poszedł i zabrał im to mięso?

Kellor przytaknął.

Charlie spojrzał pytająco na Toma.

- Wątpię, żeby taka sztuczka udała się z Franklinami - powiedział Tom, kręcąc głową.

- Nie ma mowy, żeby i moi ludzie, i oni wyszli z tej akcji żywi. W tej części gór żyje sporo

traperów starego typu, będących za pan brat z naturą. To ci, którzy przeżyli zawód, kiedy świat się nie skończył w 2000 roku. Oni tylko czekają, aż się zjawimy i spróbujemy z nimi zadrzeć.

- Darujmy to sobie na razie - powiedział John. - Jeśli zaczniemy bawić się w stalinowskich komisarzy polujących na każde ziarno zboża albo skrawek mięsa, aby oddać je w ręce ludu, to ta delikatna równowaga, którą cieszymy się w tej chwili, zostanie zniszczona i nagle człowiek stanie się człowiekowi wilkiem. Poza tym, jak w przypadku każdej kolektywizacji, rozniosą się plotki, prawdziwe albo nieprawdziwe, że co prawda rekwirujemy jedzenie, ale teraz niektóre zwierzęta są bardziej równiejsze.

- Że co? - zapytał Tom.

- Oj, chyba przespałeś lekcje angielskiego z panem Quincy'm, Tom - zadrwiła Kate. - To z Orwella, *Folwark zwierzęcy*. Przeczytaj sobie w wolnej chwili.

- Poza tym - ciągnął dalej John - nawet gdybyśmy wydarli całe to żarcie Franklinom, to i tak wyszłoby z tego sześćset jednorazowych posiłków. Nie warto narażać się na polityczne reperkusje. Moim zdaniem to zbyt ryzykowny politycznie i prawnie precedens. W tak trudnych chwilach, jak te obecne, nie powinniśmy robić sobie z bliźnich wrogów. Cholera, wprost przeciwnie, wolelibyśmy, żeby ludzie tacy jak Franklinowie z nami kooperowali. Jeśli, tak jak mówisz, to są survivaliści, ludzie, którzy potrafią dać sobie radę na łonie przyrody, to lepiej z nimi nie zadzierać, tylko nauczyć się od nich jakichś umiejętności.

Tom westchnął z ulgą.

- To chyba sprawiedliwe, że jedzenie, które udało nam się zebrać ze sklepów, jest teraz własnością naszej społeczności. Jednak to, co ludzie trzymają w swoich domach, niezależnie od tego, czy termin ważności mija jutro czy za pół roku, jest ich własnością.

John omiół wzrokiem twarze obecnych, wszyscy kiwali głowami na znak zgody.

Żałował jedynie, że Charlie nie zareagował szybciej, a raczej, że sam na to nie wpadł i nie zmusił Charliego do przejęcia kontroli nad całą żywnością w mieście już pierwszego dnia. Gdyby tak się stało i gdyby jedzenie rozdawano w odpowiednich porcjach, przy połowicznych racjach żywnościowych można by wydłużyć ten okres o minimum dwa miesiące. Teraz jednak było już za późno.

- Co mamy zrobić z farmami? - zapytała Kate.

- Mogę odpowiedzieć na twoje pytanie już teraz, Kate - odezwał się Tom. - Zresztą ty też się wychowałeś na tutejszej ziemi, więc powinnaś wiedzieć. Wszystkie stare farmy prawie już znikły. Kiedy spada na ludzi taka katastrofa, jak ta nasza, to każdy zdaje się myśleć, że ludzie żyjący na wiejskich terenach siedzą po uszy w żarciu, które powinni rozdawać na lewo

i prawo. Prawda jest taka, że w dzisiejszych czasach nawet farmerzy są uzależnieni od supermarketów, przynajmniej do czasu żniw. W North Fork jest kilka małych farm, na których można znaleźć jakieś sześćdziesiąt sztuk bydła, może z kilkaset świń, no i rzecz jasna kury, indyki, trochę gęsi.

- Dobre i to - rzuciła Kate. - Gdyby to odpowiednio racjonować, jedzenia wystarczyłoby na dodatkowy miesiąc czy coś koło tego.

- Chyba będziemy musieli skonfiskować te zwierzęta - zdecydował Charlie. - To co innego niż wyciąganie ludziom jedzenia z piwnicy.

John westchnął i uświadomił sobie, że musi się z nim zgodzić, mimo że nie różniło się to za bardzo od jego wyobrażeń o stalinowskich politrukach sprzed paru minut.

Sześćdziesiąt sztuk bydła. Można by zabijać dwie lub trzy dziennie i zamieniać w zupę czy gulasz. Jedzenia wystarczyłoby na dłużej. Ale pozostawały problemy natury praktycznej. Jak sprawować nad tym wszystkim kontrolę? Jak powstrzymywać innych ludzi przed kradzieżą bydła, przed najeżdżaniem na farmy w nocy, zabijaniem właścicieli, a potem zarzynaniem zwierząt, braniem tego, z czym można szybko zwiać i pozostawianiem reszty mięsa, by zgniła.

I znowu wyświetliła mu się w głowie scena z filmu, tym razem z *Tańczącego z wilkami*, w której Indianie znaleźli setki bizonów zarżniętych przez białych kłusowników, którzy jedynie zdarli z nich skórę i wycięli języki, a resztę mięsa zostawili, by zgniło. To samo mogłoby się przydarzyć tutaj. Kolejny raz Johna uderzyła myśl o tym, jak filmy zdefiniowały wyobrażenia Amerykanów o nich samych. Teraz jednak ekran był pusty. Zastanowił się przez moment co zostanie pokazane w filmie o ich czasach, takim, który powstanie za pięćdziesiąt lat, jeśli coś takiego jak film będzie jeszcze istniało...

- Charlie, będziemy musieli ubić interes z kilkoma farmerami z doliny. Nie możemy ot tak wmaszerować na ich ziemię, zabrać im bydło i cześć. Musimy się z nimi dogadać. My będziemy chronić ich pożywienie, a oni w zamian będą otrzymywać hojniejsze racje żywnościowe z tego tytułu, że dzielą się z resztą społeczności. W zamian będziemy chronić ich samych, ich zwierzęta oraz uprawy. Poza tym musimy pozostawić trochę z tych zwierząt przy życiu.

- Po co?

- Na przyszły rok. Kilka samców i wystarczającą liczbę samic. Za rok nadal możemy być w tej niewesołej sytuacji. Musimy rozmnażać bydło, nawet jeśli ma to oznaczać, że teraz będziemy głodować. W dawnych czasach pożeranie bydła przeznaczonego do rozrodu było krańcowym aktem desperacji.

- John - odezwała się Kate - nie chcę teraz o tym nawet słuchać. Czyżbyś sugerował, że za rok nadal będziemy w tym szambie?

- Niewykluczone. A jeśli teraz nie będziemy myśleć długofalowo, żadne z nas nie dożyje przyszłego roku.

- Dobra, John - rzekł Charlie. - Jeszcze dzisiaj pojedziemy do North Fork i zaczniemy negocjacje.

- Założmy jednak, że tamci ludzie, stojąc z dubeltówką w rękach, powiedzą nam, żeby się wynosić w diabły i spieprzać z ich ziemi? - zapytała Kate. - Tom, powiedziałeś, że wychowałam się tutaj. To prawda. Dlatego znam tych ludzi. To porządne ludziska, ale zalewa ich krew, kiedy ktoś zaczyna nimi rządzić.

- W takim razie może to ty powinnaś wybrać się tam i z nimi pogadać - zaproponował John cichym głosem.

- Ja?

- Ty. Każda osoba w mieście cię zna, Kate, o wiele lepiej niż Toma czy Charliego. To byłaby bezpieczna opcja, w pierwszej kolejności wysłać tam ciebie.

- Dlatego, że jestem burmistrzem czy dlatego, że jestem kobietą? - odparła ostrym tonem.

- Szczerze mówiąc, Kate, i to, i to. Gdyby pojechał tam Tom, ze spluwą na biodrze, to by wyglądało jak przejęcie wzorców stalinowskich. A gdybyś ty tam zawitała, usiadła z rodziną, ucięła sobie z nimi pogawędkę, moim zdaniem mogłabyś przemówić do rozsądku tym właścicielom małych farm. Musisz z nimi dobić targu, ponieważ pozostawieni sami sobie wcześniej czy później zostaną napadnięci i ograbieni. Obiecujemy objąć ich posesje całodobową ochroną. Tak więc, my dajemy im ochronę, a oni część pożywienia oddają naszej społeczności.

- Brzmi to trochę jak rzecz rodem z miejsca, z którego pochodzisz - powiedział Charlie z cieniem uśmiechu na ustach.

- Innymi słowy, haracz.

John spróbował się uśmiechnąć, pomimo tego, że kręciło mu się w głowie.

- Czy się nam to podoba czy nie, tak właśnie rzeczy teraz się mają. Jestem całym sobą przeciwko nalotom na domy mieszkalne, ale chyba wszyscy się zgodzimy, że farmy muszą być chronione, jak też, że w zamian musimy otrzymywać coś, co pomoże całemu miastu.

Kate skinęła głową na znak zgody.

- Dobrze, pojedę.

Charlie zerknął w dół do swojego notesu.

- A teraz kwestia transportu. Czy coś się zmieniło w tej materii?
- Mamy trzy dodatkowe wozy na chodzie - oznajmił Tom.
- Mówiąc dokładniej, ma je Jim Bartlett na tym swoim złomowisku volkswagenów.

Dwa garbusy i kolejny van.

- No proszę, Jim stał się twoim prawdziwym przyjacielem - rzuciła Kate i przynajmniej na moment na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Taa, przeklęty stary hipis... Mimo to nie kupuję tej jego gadki, że powinniśmy w celach leczniczych palić trawkę.

- W obecnej sytuacji jestem skłonny się z nim zgodzić - wtrącił Kellor.

- To wbrew prawu! - warknął Tom.

- Samochody, Tom - przypomniała Kate. - Wróćmy to tematowi samochodów.

- Dobra. Inni ludzie mówią, że są w stanie przywrócić do życia z dziesięć czy piętnaście starych gruchotów, w tym stary ciągnik siodłowy u Youngerów.

- A my w ciągu tygodnia zdobędziemy czterdzieści lub pięćdziesiąt wozów na chodzie - odezwał się po raz pierwszy policjant ze Swannanoa.

Wszyscy zamilkli i wlepili w niego spojrzenia.

- Wy, mieszkańcy Black Mountain, zawsze patrzyliście z góry na nas, ludzi ze Swannanoa. Może dlatego, że zawsze byliśmy biedniejsi. Ale dzięki temu jesteśmy teraz więcej warci.

John uśmiechnął się, wiedząc, że facet ma rację. Pamiętał, jak Tyler nazywał Swannanoa miastem dla „białej biedoty” z powodu tego, że ludzie mieszkali tam w przyczepach kempingowych otoczeni przez złomowiska pełne starych gruchotów. Odkąd wiele lat temu zamknięto tam wielką fabrykę wełny i koców, miasto właściwie zeszło na psy. Dawniej niezłe prosperujące centrum wiejskiego Swannanoa teraz było niemalże opustoszałe, szczególnie od czasu pożaru, który strawił fabrykę. Droga numer 70, która przecinała w linii prostej Swannanoa, była naszpikowana starymi pasażami handlowymi, lumpeksami, sklepami ze starociami i zakładami naprawczymi. Ostatnimi czasy, to znaczy aż do wybuchu, sytuacja zaczynała się zmieniać na lepsze; coraz więcej „obcych” przyjeżdżało tam, szukając działek z malowniczymi widokami, które oferują tamtejsze okolice. Tereny na północ od miasta zaczęły się prężnie rozwijać, powstały tam drogie posiadłości, lecz w gruncie rzeczy była to tragiczna strata, ponieważ w ciągu paru ostatnich lat wiele starych farm zostało zamienionych w „posiadłości McWillowe”.

Na dawnych polach kempingowych zalegało mnóstwo samochodów, które jeszcze tydzień temu każdy kierowca bmw albo nowego SUV-a omijałby szerokim łukiem na

autostradzie międzystanowej. A teraz niektóre z tych gruchotów były warte więcej niż sto „beemek”.

- Przedstawiam wam Carla Erwina - wtrącił Tom. - Szef policji miasta Swannanoa. Zaprosiłem go tu dzisiaj, aby podyskutować o propozycji, którą mamy.

Wszyscy uprzejmie skinęli głowami na znak powitania. Carl swoim ostatnim zdaniem skutecznie skupił na sobie uwagę obecnych.

- Jak brzmi propozycja? - zapytała Kate.

- Sojusz.

John się uśmiechnął. Znowu odezwał się w nim historyk. Przed oczami stanęli mu żyjący dawno temu królowie, podróżujący karetami na spotkania, aby dyskutować o prawach do tej czy innej wody, wymianie córek lub aby zjednoczyć swoje siły zbrojne.

- Razem z Carlem rozmawiamy o tym od paru dni - wyjaśnił Tom. - Ja się zgadzam.

- Na co? - zapytała Kate.

- Na to, żeby zespolić nasze miasta na czas kryzysu.

- W jakim celu?

- W celu obrony - wyjaśnił Carl. - My pilnujemy przejazdu na zachód, a wy na wschód. Jeśli będziemy współpracować, przeżyjemy. A jak nie, wpadniemy po szyję w szambo.

Charlie wstał i wskazał ręką mapę USA zawieszoną na ścianie.

- W Black Mountain na wschodzie mamy wąziutkie przejście dla międzystanowej numer 40 i drogi stanowej numer 70, tuż za zjazdem 66. Natomiast tuż przy zjeździe 59, po zachodniej stronie, jest kolejne przejście, gdzie na paśmie górskim Swannanoa schodzi w dół boczna droga. Obie autostrady, tory kolejowe oraz rzeka w Swannanoa są praktycznie obok siebie. Dobra pozycja obronna, szeroka na jedynie kilkaset metrów. Mówiąc inaczej, my obstawiamy drzwi frontowe, a oni tylne.

- A może odwrotnie? - odezwał się Carl, w jego głosie słychać było nutę irytacji. - Pamiętajcie, że to my jesteśmy bliżej Asheville. Oni nadal usiłują wcisnąć nam i wam po pięć tysięcy ludzi. Na razie ich powstrzymuję, ale w szybkim tempie robi się coraz bardziej paskudnie. W ciągu ostatnich dwóch dni mieliśmy kilka przypadków śmierci przy barykadzie.

- Wskutek czego? - zapytał Kellor.

- Strzałów z broni, a czego innego? - odparł Charlie ostrym tonem. - Ludziom, którzy przyszli do nas, powiedziano, że znajdą tu pożywienie. My natomiast tłumaczymy im, że go nie mamy. No i robi się paskudnie. Domyślam się, że na starej siedemdziesiątce i na autostradzie do Asheville panuje chaos.

- Dlaczego te półgłówki w radzie miejskiej po prostu nie kazały ludziom siedzieć na tyłku? - warknął Charlie z goryczą w głosie. - Zaczęli ten exodus, chociaż mówiliśmy im, żeby tego nie robili.

- Zrobili to, ponieważ zależy im na przeżyciu - rzekł John. - A mają u siebie w mieście za dużo ludzi.

- To będzie pomór - wtrąciła Kate. - Na wielką skalę. Ci z Asheville chcą zrzucić to wszystko na nasze barki. Szczerze mówiąc, trudno ich za to winić...

- A mnie łatwo jak cholera - odparł Charlie chłodnym tonem.

- Cóż, jeśli nie chcecie, żeby wasze miasto zalała powódź uchodźców - zaczął Carl - to lepiej czym prędzej zacznijmy współpracować ze sobą nawzajem.

- Mądre posunięcie - stwierdził John.

- Te pięćdziesiąt sztuk bydła, o których wspominaliście. Jeśli zlecą się do was ci z Asheville, wyżrą wszystko w jeden dzień, a potem co?

Carl zawiesił głos i uśmiechnął się.

- Poza tym, w naszym mieście doliczyliśmy się ponad stu dwudziestu sztuk bydła oraz trzystu świń.

Pomimo tego, że sytuacja była przeraźliwie kryzysowa, John był rozbawiony. Teraz już naprawdę cała ta narada przypominała mu negocjacje starożytnych monarchów.

Carl rozejrzał się po twarzach osób obecnych w pokoju. Wszyscy milczeli. Przed chwilą wyciągnął asa z rękawa i dzięki temu wygrał rozgrywkę.

- Jest jeszcze jedno „tylne wyjście” - ponownie odezwał się Carl. - Przy Haw Creek, ale również możemy je zamknąć. U was w mieście, nie licząc nowo przybyłych, jest około tysiąca osób więcej niż u nas.

- Podzielicie się z nami bydłem? - zapytał Charlie.

Carl zawahał się. Spojrzał na swojego towarzysza.

- Macie trzy apteki, my w Swannanoa tylko jedną. Jeśli podzielicie się z nami waszymi środkami medycznymi, rozważymy transfer części bydła i świń.

- Rozważycie? - zirytowała się Kate. W jej oczach zamigotała złość.

Carl zerknął na Charliego.

- Dobra. Podzielimy się z wami lekami, w granicach waszych potrzeb - odparł Charlie.

- Ale to musi być obustronna umowa. Lekarstwa, pożywienie, broń, pojazdy, siła robocza.

Charlie rozejrzał się po sali. Natknął się na spojrzenie Johna.

- Kwestia zarządzania... - rzekł John.

- Mów.

- Przykro mi, przyjaciele, ale czuję się jak w starym filmie o średniowieczu albo starożytności - powiedział John. - To tak, jakbyśmy byli dwoma królestwami toczącymi negocjacje.

- Cóż, wydaje mi się, że tak właśnie jest - zauważył Kellor. - Swannanoa ma zewnętrzną klinikę dla swojego ośrodka Memorial Mission. Moglibyśmy skorzystać z tego obiektu, jako ośrodka medycznego. Jest tam sprzęt przeznaczony do przeprowadzania drobnych operacji, ostry dyżur i tak dalej. Poza tym gdyby dodać trzech czy czterech lekarzy z waszego miasta do naszej ekipy, mielibyśmy łącznie dziewięciu medyków.

Carl przytaknął.

- Od pierwszego dnia roztoczyliśmy ochronę nad kliniką. Mieliśmy taki sam problem jak wy, z jakimiś ćpunami... - Po chwili dodał: - Zastrzeliliśmy ich, kiedy próbowali uciec.

John wolał nie pytać o szczegóły tych zdarzeń.

- Kwestia zarządzania - przypomniał. - Nasze miasta nie mogą być od siebie oddzielone, jeśli zgodzimy się współpracować. Jedziemy na tym samym wózku. No więc, jak będzie?

Charlie zerknął na Carla.

- Znam cię od lat, Charlie Fuller. Jeśli nie będziesz podlegał Asheville, będę wykonywał twoje rozkazy. Szczerze mówiąc, psiamac, cieszę się, że nie będę musiał sam podejmować niektórych decyzji.

Charlie kiwnął głową.

- W takim razie Carl zostaje członkiem tej rady - oznajmił John.

- Kim pan jest? - zapytał Carl, wbijając spojrzenie w Johna.

- Wykłada historię u nas na uczelni. Były wojskowy, pułkownik z doświadczeniem bojowym.

John spojrzał na Charliego. Doświadczenie bojowe to trochę za dużo powiedziane, pomyślał.

- Jest naszym doradcą jeśli chodzi o prawo i problemy moralne. A poza tym łośbski facet, bardzo przydatny.

- W takim razie dlaczego bierze udział w tej naradzie? - zapytał Carl spokojnym tonem.

John nieco się zjeżył. Jak to się stało, że zaczął uczęszczać na te spotkania? Cóż, zaczęło się od tego, że wepchnął się na chama, lecz teraz, po tygodniu, czuł, że musi tu przychodzić, że ma w tym cel.

- To on przeprowadził egzekucję złodziei narkotyków - wyjaśnił Tom. - Powiedzmy,

że... wskazuje nam drogę. To profesor, ale też równy gość.

Carl nie spuszczał z niego wzroku. John zastanawiał się, czy nie będzie z tym facetem jakichś problemów.

- W takim razie chcę, żeby w tej radzie zasiadał też mój przyjaciel, obecny tu Mike Vance. U nas w Swannanoa nie mieliśmy burmistrza, tak jak wy, ale Mike był szefem naszego miasta.

John domyślił się, że Vance jest kimś, kto wykonuje rozkazy Carla.

- Przykro mi to mówić - zaczął John - ale w tej chwili nie mamy tu demokracji. Jesteśmy w stanie nadzwyczajnym, a naszym przywódcą jest Charlie Fuller. Reszta z nas jedynie mu doradza. Jeśli zamierzamy ze sobą współpracować, to Charlie powinien mieć ostatnie słowo.

- Fajnego masz kumpla, Charlie - skomentował Mike.

- Mike, Carl, posłuchajcie - głos zabrał Tom. - Musimy ze sobą współpracować. Zgadzam się z Johnem. Albo Charlie będzie naszym szefem, albo możemy sobie darować nasz układ.

W pokoju zapadła cisza.

Wreszcie Carl kiwnął głową.

Charlie wstał z krzesła, obszedł stół i uściśnął dłoń Carlowi, który również wstał.

John milczał. Formalny rytuał został odegrany. Królowie uściśnęli sobie dłonie, zawarto porozumienie. To było mądre posunięcie, chociaż zastanawiał się, czy tak samo będzie można powiedzieć za miesiąc albo za pół roku.

Charlie wrócił na swoje miejsce i usiadł.

- A teraz sprawa dodatkowych pojazdów. Znam już odpowiedź na to pytanie, ale: skąd brać paliwo?

- Spuszczamy benzynę z samochodów porzuconych na autostradzie - powiedział Tom.

- Wiem o tym, ale czy nie powinniśmy zacząć jakoś gromadzić to paliwo?

- Osobiście odradzam - wtrącił Mike. - Benzyna z czasem się psuje. Nie możemy brać paliwa ze stacji benzynowych, dopóki nie sklecimy jakichś pomp. Ale zbiorniki paliwa w samochodach są szczelnie zamknięte, więc benzyna będzie w lepszym stanie, jeśli pozostawimy ją tam w środku. Wiem coś o tym - dodał Mike - bo prowadzę warsztat samochodowy.

John pomyślał, że niezależnie od tego, czy lubi tego gościa, czy nie, posiada on wiedzę, a w tej chwili ta wiedza może być cenniejsza niż jego własna.

- Dobra - rzucił Charlie. - A teraz wracamy do tematu Asheville. Carl, ty i ja

otrzymaliśmy to samo żądanie od ich nowego Dyrektora Bezpieczeństwa Publicznego, Rogera Burnsa.

- To dupek - powiedział cicho Carl.

Tom przytaknął.

- Żądanie, abyśmy przyjęli dziesięć tysięcy uchodźców.

- Niech pocałuje nas w dupę - warknął Carl. - Dziesięć tysięcy tych japiszonów i hippisów? Wolne żarty.

John zauważył zmianę, którą zdążył już przynieść sojusz. Teraz był to konflikt „my” kontra „oni”. Miał nadzieję, że taka sytuacja długo się utrzyma.

Dyskusja trwała kilkanaście minut. Kate skłaniała się ku przyjęciu rozkazu z Asheville, mówiąc, że ci ludzie to przecież nasi sąsiedzi, oraz że na terenie hrabstwa musi zostać przywrócona jakaś namiastka ładu. Carl i Tom obstawali przy swoim zdaniu.

John zastanawiał się, co się teraz dzieje w Winston Salem, Charlotte, albo większych aglomeracjach typu Waszyngton, Chicago czy Nowy York. Prawdopodobnie miliony ludzi uciekało z tych miast. Być może ta masowa ucieczka była w jakimś stopniu zorganizowaną akcją, lecz bardziej prawdopodobne, że przybrała formę chaotycznego exodusu przypominającego chmurę szarańczy pożerającą wszystko, co napotka na swojej drodze, czyli na przedmieściach. Tu przynajmniej na ich korzyść działała geografia. Mieszkali w stosunkowo trudno dostępnym miejscu.

John ubiegłej nocy wpadł na pewien pomysł. Genialny w swej prostocie, ale straszny ze względu na skutki. To był jednak już dziesiąty dzień sytuacji kryzysowej...

Poczekał na jakąś przerwę w wymianie zdań.

- Ja mam prostsze rozwiązanie - powiedział wreszcie. - Zażegna kryzys bez konfrontacji.

- Zamieniam się w słuch, profesorze - powiedział Carl sarkastycznym tonem.

- Woda.

- Woda? - powtórzył Carl, lecz John dostrzegł już na jego twarzy cień uśmiechu.

- Ich rezerwuar znajduje się na naszym terytorium. Umowa jest prosta. Niech dadzą nam spokój i wyślą swoich uchodźców gdzieś indziej. W przeciwnym razie zakręcimy im kurek.

Carl przez kilka sekund patrzył na Johna wytrzeszczonymi oczami, po czym odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

- A niech mnie!

- Jeśli zakręcimy wodę Asheville, będziemy smażyć się w piekle - wtrącił Kellor. Kate

kiwnęła głową na znak zgody z opinią doktora.

- Zdaję sobie z tego sprawę - rzekł cicho John. - Nie wiem, czy rzeczywiście byłbym w stanie to zrobić. Przecież chodzi tu o setki tysięcy niewinnych ludzi. Ten megaloman stosuje wobec nas politykę nacisku, ale to przecież my mamy asa w rękawie. Wyślij im naszą wiadomość. Nadal będą mieli swoją wodę, pod warunkiem że swoich uchodźców wyślą gdzie indziej. To proste jak drut, nie sprawi im żadnego problemu. A jeśli nie, wysadzimy w powietrze główną rurę i do diabła z nimi.

- A co, jeśli ich to sprowokuje do próby zajęcia wodociągów siłą? - zapytała Kate.

John pokręcił głową.

- Niemożliwe. Przypomnijcie sobie huragan z 2004 roku. Główna rura biegnąca z rezerwuaru nagle pękła i zrobił się niezły pasztet. Trzeba było spoza stanu zwozić specjalne części, aby usunąć uszkodzenie. Od tamtej pory ci z Asheville wiedzą, jak delikatną materią jest dostęp do wody. Musimy postawić sprawę jasno: jeśli złączą świrać, wysadzamy rurę w powietrze i już nigdy nie dojdą do siebie.

- Skoro mamy takiego asa w rękawie, to go użyjmy - powiedział Carl. - Doszły mnie słuchy, że w Asheville mają kilkadziesiąt wagonów pełnych żarcia i wszystko trzymają dla siebie. Przy okazji moglibyśmy się upomnieć o swoją porcję.

- Całkiem niezły pomysł - pochwalił Carla Tom. - Nieźle kombinujesz, chłopie.

- Jeszcze nie ma takiej potrzeby - odparła żywo Kate. - Handlowanie wodą za pożywienie. Jeszcze nie teraz.

- Zgadza się, na razie ograniczmy się do problemu uchodźców. Sądzę, że gdybyśmy zażądali części ich zapasów... wytoczyliby nam wojnę. A pamiętajcie, że mają więcej ludzi niż my - stwierdził John. - Dostalibyśmy po tyłkach. Natomiast jeśli chodzi o uchodźców, powiedzmy, że złożymy im propozycję nie do odrzucenia.

Charlie się uśmiechnął.

- Sprytne. Nic dziwnego, przecież jesteś z New Jersey.

John również się uśmiechnął.

- Jeśli wycofają się z planów wciśnięcia nam swoich mieszkańców, to nadal będą mieli wodę w kranach.

Charlie rozejrzał się po obecnych - wszyscy kiwnęli głowami.

- Tom, jeszcze dzisiaj poślij im kuriera. Niech weźmie jeden z motorowerów, które są na chodzie. Nie chcę ryzykować utraty wozu.

- Nie ma sprawy, Charlie. Chciałbym zobaczyć facjatę tego pana Burnsa, kiedy przeczyta wiadomość.

- Pamiętajmy jednak o pewnej rzeczy - przypomniał Charlie. - Nasze ścieki wlatują do oczyszczalni w Asheville. Większość filtrów prawdopodobnie teraz nie działa, pewnie wlewają wszystko prosto do rzeki French Broad, ale mimo to, jeśli zamkną rurę, wszystko wróci tu do nas. W ramach odwetu mogliby się do tego posunąć.

- Wtedy zagrozimy im, że wlejemy nasze nieoczyszczone ścieki do rzeki Swannanoa, która płynie prosto do Asheville - odparł Tom.

- Jezu Chryste - westchnął Kellor. - Czy naprawdę tak nisko upadliśmy?

Nikt mu nie odpowiedział.

- No dobra - odezwał się wreszcie Charlie - a teraz zajmijmy się wielkim problemem. Nasza barykada na autostradzie numer 40, na szczycie przełęczy.

Przeniósł spojrzenie na Toma.

- Robi się tam coraz paskudniej. Już wczoraj o tym mówiliśmy. Wysłałem jednego z naszych ludzi z wiadomością do Old Fort, z prośbą o to, aby postawili znak, że droga jest zamknięta. Władze Old Fort odmówiły. Siedem, może nawet dziesięć tysięcy mieszkańców ich miasta rozbiło tam obóz, a wszyscy usiłują wspiąć się na te góry. Władze Old Fort chcą, żebyśmy pozwolili ich ludziom przejść. Prawdę mówiąc, zachęcają ich do człapania autostradą, a jeśli będzie taka potrzeba, do przejścia siłą. Ciśnienie rośnie. Na długości całej autostrady są uchodźcy.

- Wczoraj w nocy - dodał po chwili Tom - jeden z moich ludzi oddał strzał i... zabił dwie osoby.

- Co? - krzyknęła Kate. - Nic mi o tym nie wiadomo!

- Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli poinformuję was o tym dziś rano - wyjaśnił Tom.

- Co się tam stało?

- Grupa około pięćdziesięciu osób nie chciała zawrócić. Strażnicy pilnujący przejścia powiedzieli, że rozpoznali sporo ludzi, którzy wcześniej zostali odesłani z kwitkiem. Cała akcja była zaplanowana. Chcieli sforsować barykadę. Ktoś po ich stronie zaczął strzelać, więc moi ludzie też pociągnęli za spust. Dwóch martwych, około tuzina rannych.

Kate pokręciła głową.

- A będzie jeszcze gorzej - ostrzegł Tom. - Pamiętajcie, co powiedział Don Barber, kiedy tu przyleciał w ubiegłym tygodniu? Mówił, że autostrada jest zalana falą uchodźców wylewającą się z Charlotte i Winston Salem. Charlotte jest sto dziesięć mil stąd, a Winston Salem około sto czterdzieści. A to oznacza, że ta wielka fala zacznie w nas uderzać dopiero dzisiaj. Aż się dziwię, że nie stało się to wcześniej. Tą drogą będzie się przedzierać dwadzieścia, trzydzieści, może nawet pięćdziesiąt tysięcy osób.

- To dlatego zabiegałem o sojusz - rzekł Carl. - Jesteście naszymi „tylnymi drzwiami”. Gdybyście ich wpuścili, to nas by zalało. Utknęlibyśmy pomiędzy Asheville a tymi dzikimi tłumami. W jeden dzień wyzarliby nasze całe zapasy.

- I poroznosili trochę chorób - wtrącił Kellor.

- Pan zdaje się mówić, że choroby to już tu mamy - powiedział Carl.

Kellor westchnął i pokręcił głową.

- Salmonella jest zagrożeniem w każdej społeczności. A ja miałem na myśli rozmaite egzotyczne choroby. W wielkomijskiej populacji wirus zapalenia wątroby występuje w każdej odmianie. To, co mnie najbardziej przeraża, przeraża jak cholera, to wizja jakiegoś imigranta zza oceanu albo kogoś, kto utknął na lotnisku w Charlotte. Taka osoba może na pierwszy rzut oka wyglądać i czuć się dobrze, ale tak naprawdę być nosicielem tyfusu, cholery i czego jeszcze chcecie. Załóżmy, że zdarzy się jeden taki człowiek w wielkim tłumie - ciągnął dalej doktor. - Co się stanie, biorąc pod uwagę poziom higieny ludzi, którzy tu idą? Wystarczy jeden dotyk, uścisk dłoni albo przedostanie się fekalii chorego do naszych zasobów wodnych lub zapasów żywnościowych, a bakterie się rozniosą. Podamy komuś talerz jedzenia, ta osoba nie ma umytych dłoni, my nie umyjemy tego talerza wrzątkiem, a w ciągu tygodnia zachorują tysiące ludzi i zaczną się przypadki śmiertelne... Ktoś z was widział kiedyś na własne oczy cholere? - zapytał Kellor.

Wszyscy milczeli.

- Ja widziałem, trzydzieści lat temu, podczas wypadu misyjnego do Afryki. Przy cholere salmonella to łagodny katar. Większość ludzi mieszkających w tamtych regionach w jakimś momencie życia zostało zarażonych tą chorobą i przeżyło. A my jesteśmy narażeni na epidemię. Między masowymi przypadkami zachorowań na cholere a dzisiejszymi czasami żyło i umarło sześć, może siedem pokoleń. Nie posiadamy naturalnej odporności. Ameryka jest jak egzotyczna roślina cieplarniana. Teraz może żyć tylko i wyłącznie w sztucznie wykreowanym środowisku szczepionek, sterylizacji oraz antybiotyków, które zaczęliśmy wytwarzać ponad sto lat temu. Nie licząc światowej epidemii grypy z 1918 roku, ostatnią wielką falą zachorowań, taką, która w zaledwie kilka tygodni zdziesiątkowała populację, była w mojej opinii epidemia tyfusu w Chicago w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Zmarły wtedy dziesiątki tysięcy ludzi. Zapasy wody zostały skażone i ludzie padali jak muchy. W porównaniu z tą epidemią wielki pożar w Chicago z 1871 roku pod względem ofiar wypadł blade.

- A co ze szczepieniami? - zapytał Charlie.

- Jakimi szczepieniami? - odparł Kellor, śmiejąc się cynicznie. - Przeciwno tyfusowi i

cholerze? To są szczepienia zarządzane przez służbę zdrowia na poziomie hrabstwa, daje się je podróżnym wyjeżdżającym za granicę, a nawet w takich przypadkach musi być specjalne zamówienie. Jestem przekonany, że nawet jedna osoba na tysiąc w tej dolinie nie jest zaszczepiona przeciwko cholerze, chyba że niedawno odbywała podróż do Afryki albo Azji Południowej. Na tyfus jest odpornych zapewne kilka osób. Dzięki Bogu nasze miasto jest położone dość wysoko, a nasz klimat na tyle chłodny, że nie martwię się o choroby przenoszone przez komary, takie jak malaria, gorączka Zachodniego Nilu i wiele innych. I nawet nie chce mi się mieć o zorem o tym, że powinniśmy zacząć szukać pluskiew, wszy...

Doktor urwał.

- Będziemy świadkami infekcji, które nie są śmiertelne, ale wystarczą, by osłabiać ofiary, przez co człowiek będzie łatwym celem kolejnej infekcji. Kate, większości facetów nawet nie przemknęło to przez myśl, ale jak wygląda sprawa z zapasami tego, co eufemistycznie nazywamy produktami higieny kobiecej?

Kate lekko się zarumieniła.

- Wystarczy na jeden miesiąc.

- Otóż to, panowie. Wiele kobiet zaczyna zdawać sobie z tego teraz sprawę. Nasze panie cofną się do czasów swoich prababek, czyli braku kąpeli oraz kiepskiej diety. Wskaźnik infekcji poszybuję w górę. To jedna z wielu sytuacji, o których jeszcze tydzień temu nie myśleliśmy.

Kellor popatrzył po twarzach uczestników narady.

- Kiedy Johnnie nadeptuje na zardzewiały gwóźdź, w normalnych okolicznościach otrzymuje zastrzyk przeciwężcowy - kontynuował po chwili. - Mamy ich do dyspozycji około stu. Możliwe, że przyjdzie jesień, a my będziemy mieć epidemię tężca. Wyliczać dalej?

Nikt nie odezwał się ani słowem.

John spojrzał prosto w oczy swojego starego przyjaciela i dostrzegł, że lekarz, bardziej niż ktokolwiek inny w tym pomieszczeniu, jest przerażony perspektywą koszmarnego powrotu do czasów średniowiecza.

John jako historyk wiedział co nieco na temat tego koszmaru. Na każdą osobę, która w czasie migracji nowo przybyłej ludności w głąb kontynentu zginęła z rąk rdzennych mieszkańców Ameryki, przypadają tysiące, a może dziesiątki tysięcy innych, które umarły, pijąc wodę z oczek wodnych zakażonych cholerą lub tyfusem... ale to przecież nie jest dobry materiał na atrakcyjny film, a jak wiadomo, Ameryka kocha tylko piękne legendy.

- Jest coś, co zaniedbaliśmy, i chcę, żebyśmy zajęli się tym natychmiast - rzekł Kellor.

- Pluję sobie w brodę, że wcześniej o tym nie pomyślałem. Zorganizujcie ekipę weterynarzy.

- Weterynarzy? - powtórzył ze zdziwieniem Carl.

- Tak, do diabła! Oni dysponują środkami znieczulającymi i antybiotykami i szczerze mówiąc w krytycznych sytuacjach potrafią przeprowadzać zabiegi chirurgiczne. Pies w środku nie różni się aż tak bardzo od człowieka. To samo dotyczy dentystów i pediatrów. Potrzebujemy lekarstw, które im zostały. Przewieźcie je do kliniki, którą zgodziliśmy się zorganizować w Swannanoa i strzeżcie jej dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Charlie zanotował to w swoim zeszycie.

- Wracając do sprawy uchodźców: co z nimi robimy? - zapytał.

- Nie wpuszczamy - rzucił Carl.

- Jeśli nadal nie będziemy ich wpuszczać - zaczął Tom - to mówię wam, że pod koniec tygodnia uzbiera się ich tam pięćdziesiąt tysięcy i wcześniej czy później wedrą się tu siłą, a ofiar będzie niemało.

- W takim razie proponuję wentyl bezpieczeństwa - wtrąciła Kate.

- To znaczy? - zapytał Charlie.

- Tam przy przełęczy, na autostradzie, mamy coś na kształt szybkowaru, który gotowy jest do wybuchu. Albo wybuchnie nam prosto w twarz, albo stworzymy wentyl bezpieczeństwa.

- Powtarzam, co to dokładnie znaczy? - W głosie Charliego słychać było nutę irytacji.

- Przepuście ludzi.

- No do ciężkiej cholery! - zareagował Carl. - Myślałem, że nasz sojusz jest po to, żebyśmy chronili sobie nawzajem tyłki, a teraz mówicie, żeby ich wpuścić? Jeśli tak, zrywamy umowę.

- Za późno - odparł chłodno Charlie - Już się zgodziliście i nie możecie się wycofać.

- Jezu, zaczynasz mówić jak przeklęty Jankes, a ja jestem konfederatem. Jeśli będziemy mieli ochotę wystąpić z tego sojuszu, to tak zrobimy.

- Kate ma rację - odezwał się John.

- O, świetnie, głos zabiera pan profesor - rzucił Carl z sarkazmem.

- Do ciężkiej cholery, posłuchaj głosu rozsądku! - zawołał John.

Ten nagły wybuch sprawił, że zakręciło mu się w głowie. Jego rana zaczęła pulsować. Reakcja Johna zbiła Carla z tropu.

- Kate ma rację. Będziemy puszczać ludzi, po sto osób, instruując ich dokładnie, że nie mogą się zatrzymać dopóki nie miną barierki na drugim końcu zjazdu numer 59. A potem mogą dalej maszerować.

- Będą musieli oddawać nam swoją broń, tak jak robili to kowboje na spotkaniu z

szeryfem, kiedy wjeżdżali do jego miasta. Dostaną ją z powrotem, dopiero gdy dotrą na skraj naszego terytorium. Nie będziemy wydawać żadnych posiłków, lecz dla przyzwoitości zrobimy przynajmniej punkt z wodą, powiedzmy przy zjeździe numer 64. Powinno tam być wystarczająco wysokie ciśnienie, aby przeciągnąć prowizoryczną rurę. Trzeba też postawić wychodek z mnóstwem wapna w środku.

Charlie przytaknął.

- Jeśli będziemy ich wciąż tamować, to tak jak mówił Tom, ciśnienie będzie narastać, aż w końcu tłum nas rozdepcze.

- A co z ryzykiem wybuchu epidemii, o którym wspominał doktor Kellor? - zapytał Tom.

- Uważam, że porównując oba zagrożenia, propozycja Kate i Johna jest mniejszym złem - odparł lekarz. - Jeśli ktoś jest ewidentnie chory, to go nie przepuszczamy. Poddajemy go kwarantannie, tak jak się to robiło kiedyś. Wszyscy inni mogą przejść, w eskorcie uzbrojonych strażników, ale nie mogą się zatrzymywać.

- Mamy kombinezony ochronne - przypomniał Charlie.

- Co?

- W tym budynku, w magazynie, mamy dwadzieścia kombinezonów. Kilka lat temu przysłali je nam z Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego. Nigdy nie sądziłem, że będziemy musieli ich używać w takich okolicznościach, ale czy nie przydadzą się teraz?

- Jak cholera! - odparł Kellor. - Niech każdy z naszych ludzi przy barierkach, który ma kontakt z uchodźcami, ma na sobie taki kombinezon.

- To będzie też miało dobry efekt psychologiczny - wtrącił John. - Kombinezon wywołuje wrażenie władzy. Poza tym, chociaż mówię to z wielkim niesmakiem, ci po drugiej stronie poczują się gorsi, a przez to będą bardziej ulegli i skłonni grzecznie przemaszerować bez zatrzymywania się.

W głębi ducha był na siebie wściekły, że o tym w ogóle wspomniał. Mundury, a białe kombinezony ochronne przypominały uniformy, od zawsze w historii były jedną z metod sprawowania władzy nad tłumami. Tak było między innymi w obozach zagłady.

- Jeśli chodzi o wodę, niech będzie tak, jak mówiłem. Niech strażnicy mają oko na to, by nikt nie załatwiał się w miejscu innym niż wyznaczony wychodek, żeby uniknąć zagrożenia sanitarnego. Niech eskortują ich uzbrojeni strażnicy w kombinezonach. Uchodźcy mogą sobie przejść, i to wszystko.

- A co z Asheville? - zapytała Kate. - Oni też mogą zablokować drogę.

- Tam jeszcze nie ma żadnej barykady - powiedział Carl.

- Zakładają, że fala uchodźców płynie tylko w naszym kierunku. Przez kilka dni uda się nam nasza sztuczka, zanim ludzie z Asheville się nie zorientują. A kiedy to nastąpi, musimy im logicznie wytłumaczyć, żeby pozwolili po prostu na przemarsz tych tłumów. W razie problemów, tak jak mówił profesor, zagrozimy im odcięciem wody i złożymy propozycję nie do odrzucenia.

John rozejrzał się po obecnych. Nie było głosów sprzeciwu.

- Dobry plan - powiedział wreszcie Charlie. - Właśnie to zrobimy.

- Mam propozycję jednej drobnej zmiany. Niektórym osobom powinniśmy pozwolić u nas zostać - oznajmiła Kate.

- Dlaczegoż to? - zapytał Kellor.

- Mamy tu setki ludzi, którzy utknęli u nas w dniu, kiedy wszystko wysiadło. Jechali do domu, na spotkania, na lotnisko w Charlotte, skąd planowali ruszyć dalej. Mają prawo tu być i musimy im na to pozwolić. Wiele osób, które tego pierwszego dnia utknęło w Asheville - ciągnęła dalej Kate - już wróciło, ale nadal mamy sporą grupę zaginionych. Kiedy się pojawiają, powinniśmy ich tu wpuścić, to samo tyczy się ludzi, którzy mają tu jakąś własność i próbują dotrzeć do niej jako do swojego bezpiecznego schronienia. Od lat mieszkają u nas, jesteśmy im to winni, kiedy się pojawiają.

- Ale co z groźbą epidemii? - zapytał Charlie.

- Cóż, jak powiedział doktor, trzeba zarządzić kwarantannę - stwierdził John. - Tak wyglądał ten proceder sto lat temu, kiedy statki dobijały do portu w Nowym Jorku. Doktor przeprowadzał inspekcję pasażerów, a jeśli miał jakieś podejrzenia, daną osobę pakowano na oddział zakaźny.

I znowu w głowie Johna wyświetliła się scena z filmu.

- Pamiętacie drugą część *Ojca Chrzestnego*? Kiedy Don przybył do Ameryki jako mały chłopiec i wsadzono go do izolatki, ponieważ istniało podejrzenie, że jest chory. W tamtych czasach to była nagminna procedura. I skuteczna.

- Taa, i popatrz, co nam z tego przyszło... mafia - mruknął Carl.

Do Johna dotarło, że użył niewłaściwego porównania, ale ciągnął dalej:

- Praktyki sprzed stu lat zdały egzamin i musimy do nich powrócić. Jeśli do portu dobijał statek, na którym podobno panowała jakaś epidemia, zakotwiczano go w porcie awaryjnym, dopóki nie uznano, że nie stanowi zagrożenia i może wpłynąć do doku. Musimy zrobić to samo teraz - zakończył John, spoglądając z nadzieją na Kellora.

Doktor przez chwilę się wahał, po czym pokiwał głową na znak zgody.

- Doktorze, a co z domem opieki? - zapytał John, kręcąc smutno głową.

- Roi się tam od wszystkich znanych człowiekowi infekcji. Proponuję zająć jeden z większych budynków w centrum konferencyjnym Kościoła baptystów w pobliżu przełęczy.

Rozejrzał się po sali, wszyscy pokiwali głowami.

- Posłuchajcie, wiem, że narażę się niektórym z was, ale muszę zacząć ten temat - głos zabrał Carl. - Obcy, ci, którzy przyszedli tu w ciągu kilku pierwszych dni, zanim zastawiliśmy drogi. Przez nich mamy około dwóch tysięcy ludzi więcej. Czy powinniśmy pozwolić im tu zostać?

Nikt się nie wrywał z odpowiedzią. Kate pokręciła głową.

- Już to ustaliliśmy - powiedział Charlie. John zerknął na niego. Odruchowo pomyślał o Makali.

- Dlaczego? - zapytał Carl. - Uważam, że powinniśmy byli to przedyskutować, zanim zawarliśmy układ.

- Co sugerujesz, Carl? - warknął Charlie. - Ci ludzie są tu od ośmiu, dziesięciu dni. Wielu już się z nami zintegrowało, zaprzyjaźniło z mieszkańcami albo znalazło jakieś zajęcie. Co mielibyśmy niby zrobić? Przeczesać całe miasto i zebrać ich do kupy, grożąc bronią? To byłoby koszarne przedstawienie i tylko by nas pogrążyło.

- Kiedyś wszyscy byliśmy Amerykanami... - odezwała się Kate cichym głosem.

- Właśnie - podjął wątek John. - Ci, którzy tu są, mają zostać. Doszliśmy już w tej kwestii do zgody.

Rozejrzał się po twarzach obecnych. Pomimo przemówienia, które wygłosił w parku przed egzekucją, zastanawiał się teraz, czy przypadkiem ludzie nie zaczynają zmieniać swojego stanowiska w tej sprawie z powodu ewidentnego już teraz niedostatku żywności.

- A czym to się różni od zgody na pozostanie tu ludzi, którzy stoją po drugiej stronie barykady? - zapytał Carl.

- Może niczym, na Boga - odparł John. - Nie znam na to pytanie odpowiedzi. Ale ci, którzy tu są, mają zostać.

Spojrzał na Charliego, szukając w nim sprzymierzeńca w tej dyskusji.

- Jeśli zmienimy nasze stanowisko w tej kwestii, rezygnuję z członkostwa w tej radzie. To by było zaprzeczeniem słów, które wygłosiłem w parku.

- A co z rzeczami, które zebraliśmy z autostrady? - włączyła się Kate. - Zapomnieliście już o tym? Mamy sześć ciężarówek załadowanych jedzeniem, wystarczy, by wyżywić ich wszystkich przez kilka tygodni. Spójrz na to jak na formę ich zapłaty.

John, patrząc na Kate, skinął głową; to było z jej strony sprytne posunięcie.

- Zostają - zdecydował w końcu Charlie. Carl koniec końców też skinął głową.

- Aha, jeszcze jedna sprawa - zabrał głos John. - Chodzi o ludzi, którzy będą przechodzić przez nasze miasto. Jeśli trafią się jakieś wyjątkowe jednostki, to powinniśmy pozwolić im u nas zostać.

- Kogo masz na myśli? - zapytał Kellor.

- Każdego, kto pomoże nam teraz przetrwać. Albo potem odbudować miasto.

- Na przykład?

- Wojskowi, policjanci...

Wiedział, że uzyska aprobatę ze strony Toma i Carla. „Stowarzyszenie braterskie” zdecydowanie szukało swoich i uświadomił sobie, że on robi to samo, jeśli chodzi o wojskowych.

- Ale są też inni. Farmerzy. Mają umiejętności, których potrzebujemy, mogą nam pomóc przy bydle, świniach, uprawach. Wszystkie nowoczesne urządzenia padły, więc spora część rolnictwa cofnęła się do czasów cholernie ciężkiej fizycznej roboty. Powinniśmy też moim zdaniem werbować każdego elektryka, jak się nam nawinie. Ludzi z elektrowni i tym podobnych. Poza tym lekarzy i pielęgniarki. Powinniśmy z nimi porozmawiać i o ile uznamy, że są OK, będą mogli do nas dołączyć.

Zapadła chwilowa cisza.

- Zgoda - odparł Charlie.

- Ale to samo dotyczy rodzin tych ludzi - powiedziała Kate. - Jak ognia radziłabym unikać faceta albo kobiety, którzy kurczowo trzymaliby się możliwości osiedlenia się w Black Mountain, jednocześnie pozostawiając swoją rodzinę na pastwę losu.

- Bez dwóch zdań - zgodził się Charlie.

- John, czy możesz sporządzić listę pożądanых umiejętności, które by się nam przydały?

John przytaknął.

- Szczerze mówiąc, oddałbym wszystko za kogoś, kto potrafi zbudować silnik parowy.

Komentarz wywołał chichot zebranych.

- Ej, ja nie żartuję! Mówię śmiertelnie poważnie. Silnik parowy byłby teraz na wagę złota. Czy ktoś z was ma o tym pojęcie? Albo zreperować jakiś stary, który wala się gdzieś za stodołą, tak żeby znowu działał.

Cała sala milczała.

John nakręcał się swoją myślą.

- Gdybyśmy uruchomili silnik parowy, mielibyśmy też prąd! Moglibyśmy pompować, kopać, ciąć, cholera, nawet zainstalować go na torach, żeby transportować różne rzeczy.

Chciałbym znaleźć jakiegoś starszego faceta, który czterdzieści lat temu naprawiał ówczesne linie telefoniczne i mógłby teraz przywrócić je do życia. W sklepach z antykami na Cherry Street, na pewno można znaleźć jakieś stare telefony na korbkę, które mogłyby nadal działać, gdyby udało się znaleźć kogoś, kto umie je podłączyć. Można by w ten sposób połączyć oba krańce naszej społeczności.

Zebrani kiwali głową z aprobatą.

- Niektórzy moi koledzy z Koła Miłośników Wojny Secesyjnej, którzy bawią się w inscenizacje historyczne, mają wiedzę, która u reszty społeczeństwa popadła w zapomnienie. Potrzebuję tego typu ludzi. Oddałbym teraz stu jajogłowych informatyków za jednego faceta, który zna się na silnikach parowych. Zamieniłbym stu prawników na kogoś, kto by nam pokazał, jak wytwarzać proch z minerałów, które mamy pod nosem tu w tej dolinie, albo które korzenie możemy wykopywać i bezpiecznie jeść. Przydałby się stary chemik, który jest w stanie wytwarzać eter lub chloroform. Doktorze, będziemy potrzebowali mnóstwo tych substancji w nadchodzących miesiącach i mogę się założyć, że już teraz mamy ich niedobór. Przydałby się stary dentysta, który byłby w stanie uruchomić starodawne wiertło zasilane pedałem. Pamiętajcie o tym, kiedy następnym razem zaboli was ząb. A przy okazji, wolicie mieć zamiast tego wyrwany ząb i to bez znieczulenia? Pamiętacie stare filmy, o jakiejś bandzie dzieciaków, spośród których jeden miał zazwyczaj głowę obwiązaną bandażem, żeby nie mógł otwierać ust, ponieważ miał zapalenie ropne zęba? Gdybyśmy dwa tygodnie temu zobaczyli coś takiego, rodzice tego dziecka zostaliby zaaresztowani pod zarzutem znęcania się nad nim. Ale mówię wam, że takie widoki już niedługo będą na porządku dziennym.

John uzmysłowił sobie nagle, że trochę się zagalopował. W pokoju panowało milczenie. Nagle zrobiło mu się duszno.

- Wybaczcie...

Wszyscy siedzieli, nie odzywając się ani słowem. Nie wiedział, czy to dlatego, że byli zażenowani jego bełkotliwym monologiem, czy dlatego, że rzeczywiście trafił swoją wypowiedzią w dziesiątkę.

- Chyba na razie to by było na tyle - rzekł Charlie. - Zabierajmy się do roboty. Kolejna narada jutro o tej samej porze.

Wszyscy wstali z krzesel. John raptem poczuł ukłucie bólu. Nachylił się nad nim Kellor, trzymając jego prawą rękę i zdzierając bandaż. Wszyscy spojrzeli w ich stronę. W oczach Kate John dostrzegł niepokój.

- John, powinienes jechać prosto do domu. Masz gorączkę. Zobaczę, czy uda mi się znaleźć jakieś leki i wpadnę do ciebie później.

- Mówiłem ci, że opiekuje się mną pielęgniarka, ta wysoka, ładna. Na imię ma Makala. Daje mi Cipro.

- To dlaczego jeszcze nie zaczęło działać? Nie podoba mi się to. - Kellor znowu powąchał bandaż, marszcząc nos.

John rzucił okiem na swoją dłoń. Była opuchnięta, pokryta smugami. Obnażona rana straszyla czerwienią. Mięso tam, gdzie zostało zszyte, wyglądało na pofałdowane.

Nagle zaczął się tym martwić. Cholera jasna, pomyślał, zainfekowana ręka, akurat teraz? Przed oczami wyobraźni stanęły mu zabiegi chirurgiczne z epoki wojny domowej.

- Co to, u licha, może być, Vince? - zapytała Kate, podchodząc bliżej.

- Może gronkowiec, ale nie dysponuję laboratorium, żeby przeprowadzić badanie. Pojawia się w szpitalach, domach opieki. Odporne cholerstwo. Idź do domu, John, połóż się do łóżka, wpadnę popołudniu lub wieczorem.

- Przecież powiedziałem, że jadę dziś do college'u, żeby zwerbować dla ciebie ochotników.

- W żadnym wypadku nie chcę, żebyś łąził teraz po uczelni albo po gmachu szkoły podstawowej z tą ręką. Jeśli masz infekcję gronkowcem złościstym, możesz roznosić zarazę. Więc jedź do domu.

John kiwnął głową i wstał. Zakręciło mu się w głowie.

Wyszedł z pokoju i ruszył na parking przed ratuszem. Chwilę później jechał już domu.

Gdy zatrzymał się na podjeździe, momentalnie wiedział.

Przed domem, na kamiennym murku prowadzącym do drzwi wejściowych, siedziała Jen. U jej boku z jednej strony przycupnęła Elizabeth, a z drugiej Jennifer. John wyskoczył z auta i psy ruszyły ku niemu biegiem, lecz powstrzymał je ostrą komendą.

- Tyler... tak? - zapytał.

Jen uśmiechnęła się smutno i przytaknęła.

Jennifer zaczęła płakać. John objął ją ramieniem. Dziewczynka wtuliła głowę w jego pierś.

- Dzia-dzia... - To wszystko, co była w stanie z siebie wydusić.

Jen położyła dłoń na ramieniu wnuczki.

- Dziadek jest teraz w niebie, kochanie. Ale dobrze jest sobie popłakać...

Elizabeth również przyłgnęła do ojca, powstrzymując łzy, lecz po chwili spojrzała na niego.

- Tato, ty płoniesz!

- Nic mi nie jest - odrzekł.

Spojrzał na Jen.

- Wejdźmy do środka - powiedziała.

Ruszył za nią do domu, w którym panowała teraz idealna cisza. Weszli do pokoju Jennifer.

Twarz Tylera zaczęła już szarzeć i żółknąć.

Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie. Tyler obrzucił lodowatym spojrzeniem tego, co gorsza, pochodzącego z New Jersey, Jankesa, któremu zależało tylko na tym, by uwieść i zabrać mu jego córkę.

John uśmiechnął się. Teraz już cię rozumiem, staruszkule, pomyślał.

Ale potem lody zaczęły topnieć. Pamiętał, jak pierwszy raz poszli razem na polowanie, podczas gdy „dziewczyny” wybrały się do centrum na zakupy. Tyler był zafascynowany starym coltem Johna, który ten przyniósł ze sobą. Ryczał ze śmiechu, gdy John opowiedział mu o swoich perypetiach z miejscowymi wieśniakami sprzed paru tygodni. Ten właśnie dzień przełamał między nimi lody. Ojciec dziewczyny i potencjalny zięć poszli postrzelać, porozmawiali o broni i wrócili do domu wypić zimne piwo na patio.

A potem niechętna akceptacja zamieniła się w przyjaźń, aż wreszcie w miłość, taką, jaką ojciec może czuć względem syna. Syna, który następnie dał mu dwie piękne wnuczki. Dzięki nim Tyler mógł raz jeszcze przeżyć radość, jaką niesie wychowywanie dzieci.

A teraz Tyler odszedł. Gdyby nie wybuchła cała ta wojna, też by umarł - tyle że przez wojnę stało się to o wiele wcześniej, niż powinno. W świetle bezlitosnego dzielenia ludzi na tych, którzy mają żyć, i tych, którzy mają umrzeć, Tyler był starym człowiekiem, jednym z wielu, którzy tego dnia, dziesięć dni po ataku, w wioskach i miastach na terenie całych Stanów Zjednoczonych, zostali spisani na straty.

Dla starego człowieka w zaawansowanym stadium nowotworu i tak nie wystarczyłoby lekarstw... Teraz leki wydawano osobom, które miały szansę, lub też które, mówiąc bez ogródek, mogły się do czegoś przydać. Gdyby leżał w szpitalu, a nie w domu, byłby jedynie ciałem, którego śmierć zwolniłaby łóżko w szpitalu pękającym w szwach od osób chorych i rannych. Z perspektywy społeczności przymierającej głodem, śmierć Tylera oznaczała jeden żołądek mniej, nawet mimo tego, że jego ostatnie posiłki to była zawartość puszki wprowadzona do żołądka przez rurkę. Lecz nawet ta jedna puszka ensure stanowiła teraz posiłek, który komuś innemu wystarczał na jeden dzień.

Trwała wojna, chociaż inna niż ktokolwiek mógłby przewidzieć... Tyler nie żył, tak samo jak miliony innych ludzi, którzy umarli albo umierali od dziesięciu dni. Był martwy tak samo, jak żołnierze polegli na plażach Normandii, jak więźniowie obozów koncentracyjnych

oraz jak każda inna ofiara wojny.

John, przez chwilę tknięty lękiem, spojrzał na Jennifer, która stała w progu u boku babci. Ostatnie kostki lodu roztopiły się dwa dni temu - fiołki z insuliną były teraz zatopione w zbiorniku w piwnicy, aby się chłodziły. John poczuł narastającą falę paniki. Wiedział dokładnie, niemal z dokładnością do jednego dnia, ile zostało insuliny.

Zauważył, że Jen mu się przygląda. Widziała, jak spoglądał na Jennifer, dlatego jeszcze bardziej przytuliła do siebie wnuczkę.

John przeniósł wzrok na Tylera.

- Powinniśmy się pomodlić... - rzekł.

Uklęknął i przeżegnał się.

- Ojcze nasz, któryś jest w Niebie...

*

Zbliżał się zachód słońca. Okoliczne wzgórza, przez miejscowych czule nazywane Siedmioma Siostrami, skąpane były w popołudniowym, złocistym świetle. Za nimi widać było masywną bryłę Mount Mitchell. Zbocza góry zazieleniły się, wiosna miarowo wspinała się w kierunku wierzchołka.

- Chyba jest już wystarczająco głęboki, Ben - powiedział John.

Ben spojrzał w górę z dołu, który od trzech godzin kopał z pomocą studentów Johna, Phila i Jeremy'ego.

Charlie miał rację. Pole golfowe było idealnym miejscem na nowy cmentarz. Tutejszą ziemię łatwo się kopało. Tego dnia wykopano ponad dwadzieścia nowych grobów. W nocy zmarło osiem osób przebywających w budynku szkoły podstawowej; pięć kolejnych osób zakończyło życie w ciągu dnia. Były też trzy samobójstwa; jeden pastor próbował oprotestować decyzję o pochówku, lecz spotkał się z lodowatą dezaprobatą Charliego, który teraz był już byłym członkiem tej parafii. Zdarzyły się też dwa śmiertelne zawały serca, a w domu opieki zmarło czterech kolejnych staruszków. Najtragiczniejsza jednak była śmierć siedmioletniego synka państwa Taylorów, który miał atak astmy.

John próbował nie wsłuchiwać się w krzyki matki, kiedy zasypywano grób jej synka.

Wielebny Black odszedł od rodziny Taylorów i zbliżył się do Johna.

- Gotowy?

John przytaknął.

Richard wyglądał na wycieńczonego. Miał przekrwione oczy. Chłopiec Taylorów należał do jego parafii, był kolegą jego synka.

John spojrział na Jeremy'ego i Phila i skinął głową.

Obaj młodzieńcy poszli do samochodu, otworzyli tylne drzwi i z wysiłkiem wyciągnęli ciało Taylora zawinięte w kołdrę. Zwłoki były już sztywne z powodu *rigor mortis*. Przynieśli go i zatrzymali się przy grobie, spoglądając bezradnie w dół. John uświadomił sobie, że nikt nie pomyślał o tym, jak ułożyć ciało w zagłębieniu.

Zazwyczaj człowieka chowało się w trumnie. Ukryty, mechaniczny dźwig spuszczał trumnę w dół w pełen godności sposób. Jennifer wpadła w histerię, wyrwała się babci i zaczęła uciekać. John dał znak Elizabeth, by pobięła za siostrą.

- Pomogę wam - powiedział Richard. Wskoczył do grobu wraz z Benem. Obaj wzięli ciało z rąk Phila i Jeremy'ego, ułożyli je na ziemi, a następnie wydostali się z grobu.

John nagle zaczął się zastanawiać, skąd wzięła się stara tradycja mówiąca, że grób winien być głęboki na sześć stóp. Na szczęście grób Taylora był głęboki na trzy i pół, może cztery stopy, dlatego duchownemu łatwiej było z niego wyjść.

Tyler leżał w dole z zakrytą twarzą, lecz z odkrytymi bosymi stopami. John pomyślał, że takie odkrycie ciała jest nieprzyzwoite, lecz było już za późno, żeby coś z tym zrobić.

Spojrział na Jen stojącą nad grobem. Wydawała się spokojna, niemal odległa.

- Nie znam obrządku katolickiego - powiedział Richard. - Przykro mi.

- Nie sądzę, żeby Boga albo Tylera, to obchodziło - odparła Jen. - Od lat jesteś naszym przyjacielem i sąsiadem. Sądzę, że Taylor by chciał, żebyś to właśnie ty odprawił ceremonię.

Richard otworzył swój modlitewnik i zaczął tradycyjne prezbiteriańskie nabożeństwo żałobne.

Gdy już skończył, podszedł do Jen, uściskał ją i pocałował w czoło, a potem zrobił coś, co John widział tylko raz w życiu, dawno temu podczas żydowskiego pogrzebu. Richard wziął szpadel wbity w kupkę ziemi, nabrał jej nieco i sypnął nią do grobu.

Kiedy John zobaczył to po raz pierwszy, podczas pogrzebu żony profesora, który uczył go w szkole podyplomowej, był w szoku. Najpierw ziemię sypnął rabin, potem mąż, następnie rodzina i przyjaciele, Każdy po kolei zasypywał grób, podczas gdy jego ukochany profesor stał w milczeniu, patrząc, jak znika trumna i w końcu zostaje jedynie kopiec ziemi. To była ostra, trudna lekcja śmiertelności, obracania się w proch. Coś zupełnie innego niż śmierć w amerykańskim stylu, która polega na ukrywaniu jej za eufemizmami, chowaniu żywej ziemi pod sztuczną zieloniutką trawką, a koparka starannie gdzieś ukryta, do momentu, aż odejdzie ostatni z żałobników.

Jen nagle jakby się ocknęła. Rozplakała się.

Richard spojrział na Johna i wręczył mu szpadel. Mimo że koszmarnie go to bolało, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie, wiedział, że musi to zrobić. Wbił łopatę w pagórek gliny, odwrócił się, na chwilę zawahał, a następnie sypnął ziemią na zakrytą twarz Tylera.

Aż zakręciło mu się w głowie. Zrobił krok do tyłu.

- My się zajmujemy resztą, proszę pana - powiedział Jeremy.

John kiwnął głową i oddał chłopakowi szpadel.

Odszedł, kierując się w stronę parku. Na palcu zabaw ujrzał Jennifer i Elizabeth. Jennifer siedziała na huśtawce, a jej starsza siostra obok niej na ziemi.

Jennifer dostrzegła, jak ojciec się zbliża. Elizabeth wstała na jego widok, po jej twarzy ciekły łzy, podeszła do niego.

- Już po wszystkim?

- Tak.

- Pomyślałam, że powinnam zostać z Jennifer.

- Słusznie zrobiłaś.

- Musisz z nią porozmawiać, tato - szepnęła dziewczynka łamiącym się głosem. - Ona rozmyśla o...

Nie dokończyła.

- Idź zajmij się babcią.

- Dobrze, tato.

John podszedł do huśtawki i spojrział na Jennifer.

- Wszystko w porządku, skarbie?

Milczała jak zaklęta, siedząc ze spuszczoną głową. Przyniosła ze sobą Pana Zająca, którego teraz mocno tuliła.

John walczył z trawiącą go gorączką, nie wiedział, co powiedzieć, i bał się tego, co może usłyszeć.

- Pamiętasz, jak huśtałem cię na tej huśtawce? - zapytał. Przepeliła go nostalgia za tamtymi czasami, kiedy Mary nadal żyła i przychodzili tutaj z dziewczynkami, żeby się bawić, karmić kaczki, chodzić wokoło jeziora, dopóki Mary nadal miała siłę.

John stanął za Jennifer i złapał jedną ręką za huśtawkę, by przyciągnąć ją w swoją stronę.

- Co powiesz na to, żebyśmy znowu to zrobili? Popchnę cię, żebyś mogła się rozhuścić.

Raptem Jennifer zeskoczyła z huśtawki i wtuliła się w niego, zanosząc się płaczem.

- Tatusiu... a kiedy mnie tu pochowają?

Ukląkł. Dziewczynka objęła ramionami jego szyję.

- Tatusiu, nie zakopujcie mnie tutaj. W nocy bałabym się tu być. Chcę być blisko ciebie. Proszę, nie zakopujcie mnie tutaj...

Rozpłynął się we łzach, ściskając ją mocno.

- Obiecuję, kochanie. Masz przed sobą jeszcze wiele lat życia. Tatuś zawsze będzie cię chronił.

Odsunęła się łagodnie, spojrzała na niego poważnym wzrokiem, jej oczy przepelnione były mądrością dziecka.

- Nie sądzę, tatusiu.

To wszystko, co powiedziała.

Pamiętał, że te chwile trwały niczym wieczność, a potem jakieś ręce łagodnie ich rozdzieliły, to były ręce Jen. Był też Ben oraz obaj studenci, którzy pomogli mu dojść do samochodu, zanim gorączka wszystko pochłonęła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dzień 18

Obudził się tak osłabiony, że ledwo był w stanie unieść głowę.

- A więc dobry pan profesor wrócił ze świata umarłych.

Odwrócił głowę, wysilił wzrok. To była Makala.

Przyłożyła wierzch dłoni do jego czoła, a następnie palec do szyi. Trzymała go tam przez kilka sekund.

- Gorączka spadła, tak jak się spodziewałam. Tętno też już w porządku.

Uśmiechnęła się.

- Cóż, panie Matherson, sądzę, że od teraz będzie coraz lepiej.

- Co mi się stało?

- Och, byłeś w fatalnym stanie... koszmarnym. Doktor Kellor miał rację, to była infekcja gronkowca złocistego. Gdzieś z tyłu głowy brałam pod uwagę taką możliwość, ale miałam nadzieję, że twój problem jest prostszy, i liczyłam, że ciprofloksacyna pomoże... Przez kilka dni myślałam, że cię stracimy - wyznała. - Albo że przynajmniej ty stracisz swoją rękę.

W panice spojrzał na dłoń. Była na swoim miejscu. Pomarszczona i obolała, ale nadal ją miał.

- Trzy dni temu była dwa razy większa niż normalnie. Zaczynało to wyglądać na posocznicę i gangrenę. Ale udało się nam ją uratować. Charlie Fuller dostarczył nam trudno teraz dostępne antybiotyki, kilka dawek z naszych rezerw, a doktor Kellor przyszedł, by ci je podać.

- A to wszystko przez jakąś głupią ranę...

- Mówiłam ci, żebyś dokładnie ją przemywał i zawsze owijał bandażem - powiedziała karcąco. - Teraz żałuję, że nie przyjechałam tu do ciebie tamtej pierwszej nocy i nie dopilnowałam tego osobiście. Ale bałam się, że to wypadnie zbyt... bezpośrednio.

- Bezpośrednio czy nie, ja też żałuję.

Makala się uśmiechnęła. Wilgotną chustką przetarła mu czoło.

- Jestem głodny.

- Przyniosę ci trochę zupy.

- Muszę do łazienki.

- Przyniosę basen.

- Ani mi się waż - jęknął.

- Nie bądź dzieckiem, na miłość boską. Przez ostatni tydzień byłam twoją pielęgniarką.

- Pomóż mi wstać.

- Dobrze, ale jeśli nie będziesz się czuł na siłach, położysz się z powrotem.

Zakreśliło mu się w głowie, jednak przemilczał ten fakt. Czuł się paskudnie. W ustach miał kleisty, ohydny smak. Otarł twarz zdrową ręką i poczuł twarde zarost przechodzący już właściwie w brodę. Ogólnie rzecz biorąc, miał wrażenie, że cały jest brudny i obrzydliwy.

Uwolnił się od Makali przy drzwiach i sam wszedł do łazienki. Skorzystał z toalety. Na szczęście ktoś napelnił sfluczkę. Spojrzał tęsknym wzrokiem na wannę. Marzył o kąpieli, o wyszorowaniu się.

Postanowił, że zrobi to później. Będzie musiał zagotować wodę, nie ma mowy, żeby kąpał się w zimnej. Wyszorował zęby. Tubka pasty była niemal pusta. Obok stała szklanka napelniona węglem drzewnym. I tak użył pasty, dzięki czemu od razu poczuł się jak inny człowiek. Wyszedł z łazienki.

Do jego nozdrzy doleciał zapach jedzenia, nagle poczuł się głodny jak wilk, wolnym krokiem wszedł do salonu. Makala stała na tarasie, mieszając w garnku. W kącie zauważył stary grill, pewnie skończył się już propan. Ktoś, prawdopodobnie Ben albo jeden z jego studentów, sklecił coś w rodzaju zewnętrznego paleniska ze starego piecyka na drewno. Postawiony był na kawałkach drewna, tak żeby osoba gotująca nie musiała się nachylać.

Makala spojrzała na niego z uśmiechem.

- Zupa parówkowa z dodatkiem paru ziemniaków. Zasugerowałabym do tego wino merlot, lecz niestety sommelier wziął sobie wolne.

John uśmiechnął się i usiadł przy stole na patio.

- Gdzie dziewczynki?

- Jen zabrała je na spacer z psami.

Postawiła przed nim głęboki talerz. Bez wątpienia była w nim zupa z parówek pokrojonych w małe kawałeczki z dodatkiem ziemniaków. Kilka pierwszych łyżek było tak gorących, aż parzyło.

- Powoli - zaśmiała się, siadając naprzeciwko niego. Pomieszała łyżką zupę, zanim jej spróbowała. Skrzywiła się nieco.

- Zdecydowanie nie urodziłam się, by być kucharką.

- Jest super.

- Tak ci się tylko wydaje, bo jesteś głodny. Czego bym nie oddała za krewetki, schłodzone krewetki królewskie, sałatkę, kieliszek chardonnay...

Spojrzał na nią.

- Gdybyś nie uratowała mi życia, powiedziałbym ci, żebyś się zamknęła - rzucił z lekkim uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech. John nie mógł nie zauważyć, jak przesiąknięty potem T-shirt przylepiał się do jej ciała. Przez kilka sekund napawał oczy tym widokiem, aż w końcu znowu nawiązał z nią kontakt wzrokowy.

- No proszę, widzę, że zdrowiejesz - stwierdziła łagodnym tonem, nadal się uśmiechając. John spuścił wzrok.

Ziemniaki mu smakowały, chociaż były nieco niedogotowane. Wyjadł całą zupę, aż to dna, podniósł talerz, żeby wypić ostatnie krople tłustego płynu, po czym postawił puste naczynie na stole.

- Dokładka? - zapytała.

Przytaknął.

- Nie spiesz się tak bardzo. Byłeś w naprawdę kiepskim stanie. Tego typu infekcje... powiem tylko, że jesteś twardym facetem, skoro chodzisz teraz o własnych siłach.

Wstała i ponownie napełniła jego talerz.

- Co u dziewczynek i Jen?

- Jen to niesamowita kobieta. Bardzo twarda i silna. Oczywiście potwornie tęskni za Tylerem, w nocy słyszę, jak płacze, ale jednocześnie jest w stanie zaakceptować swoją stratę i skupić się na tych, których kocha i za których czuje się odpowiedzialna. Tak naprawdę była chyba trochę zła, że na tyle dni się tu wprowadziłam, żeby się tobą zajmować. Powiedziała, że sama dałaby sobie radę.

- Wprowadziłaś się?

- Jedynie tymczasowo, John - odparła z uśmiechem, stawiając mu przed nosem zupę, po czym usiadła, aby kontynuować swój posiłek. - Właściwie tylko wypełniłam rozkaz doktora. Kellor i Charlie piekielnie się o ciebie martwili. Mówili, że muszą cię mieć żywego i na chodzie, więc tak jakby zgłosiłam się na ochotnika.

- Niechętnie? - zapytał John.

Uśmiechnęła się.

- Nie do końca.

- Niewiele pamiętam...

- Nic dziwnego, przecież gorączka prawie usmażyła ci mózg! Miałeś piekielną temperaturę, czterdzieści i pół stopnia, ręka spuchnięta jak balon. Jeszcze trzy tygodnie temu wylądowałbyś na oddziale zakaźnym, na intensywnej terapii, obłożony lodem, z kroplówką, bo było z tobą naprawdę źle. Kellor szykował się nawet do amputacji, gdyby antybiotyki nie przewyciężyły zakażenia.

- Tyle zamieszania przez ranę po głupiej bójce.

- Ostrzegałam cię - powiedziała, machając mu przed nosem łyżką. - Leczenie gronkowca w szpitalu to całodobowa walka. Nabawiłeś się tego paskudztwa w domu opieki. Trzy dni bez sprzątania, odkażania, latało tam w powietrzu setki różnych mikrobów, a ty akurat trafiłeś na najgorszego.

- Jak to się stało?

- Jak? Przecież, do cholery, miałeś otwartą ranę, prawie było widać kości. Wystarczyło dotknąć lady albo pacjenta... Pamiętaj, John, stare czasy minęły bezpowrotnie. Dzisiaj szpitale są o wiele groźniejsze niż siedzenie w domu.

- Co tam się teraz dzieje?

- Zostało dwunastu pacjentów.

- Co? Przecież było ich sześćdziesięciu.

- Trzydziestu jeden zmarło. Sześciu zniknęło.

- Jak to zniknęło?

- Ci z alzheimerem, którzy byli w stanie się poruszać. Pamiętaj, że wysiadł system alarmowy. Po prostu wyszli na zewnątrz, do lasu. Biedni ludzie, prawdopodobnie zmarli w ciągu jednego czy dwóch dni. Wczoraj postanowiliśmy wynieść się z tamtego budynku na dobre i przenieść tych, którzy pozostali przy życiu do kwater w centrum konferencyjnym. Trudno jest mieć na oku pacjentów z alzheimerem, kiedy system elektroniczny nie działa. Myślałam, że już nigdy nie zobaczę czegoś takiego, ale... musimy ich tam trzymać siłą, przywiązanych do łóżek.

Westchnęła głośno.

- To zabrzmi koszmarnie, John, jednak najlepiej będzie, kiedy już odejdą. Do pilnowania ich przez całą dobę potrzebujemy czterech osób. Przynajmniej w tamtym budynku są tylko dwa wejścia i wyjścia, no i jest czysiej.

- A co poza tym?

Makala ponownie westchnęła.

- Jest niedobrze.

- To znaczy?

- Przedwczoraj w nocy doszło do starć na przełęczy.

- Jak bardzo było źle?

- Ponad dwieście ofiar śmiertelnych po obu stronach. Kilkaset osób rannych.

- Jezu! Co się stało?

- Przepuszczaliśmy ludzi, sto osób za jednym zamachem, poszliśmy za twoją radą, profesorze. To wszystko szło bardzo wolno, uchodźcy z Winston Salem, Charlotte, Greensboro, a nawet z dalekiego Durham zaczęli tłoczyć się przy barykadzie. Boże, John, tam na autostradzie jest jak w czasach średniowiecza. Ludzie rozbijają obozy, biją się o kawałek jedzenia. Szaleją choroby, głównie salmonella, zapalenie płuc i paskudna odmiana grypy. No więc - kontynuowała Makala - nasi ludzie eskortowali jedną z grup. Jej członkowie zbuntowali się, zaczęli uciekać z autostrady w las. Dwóch z nich miało ukryte pistolety, zastrzelili policjantów, którzy ich eskortowali. A potem grupa się rozbiegła. Tom rozkazał ich znaleźć. Doktora Kellora zżerały nerwy, że ci ludzie mogą być nosicielami jakichś paskudnych chorób. Zrobiło się niemiło. Większość uciekinierów była zbyt wycieńczona, żeby zawędrować daleko, ale niektórzy stawiali opór. Około dwudziestu przepadło bez śladu, zniknęli w górach. Większość z nich to niegroźne jednostki, ale kilku prowodyrów wciąż grasuje na wolności, a Tom na nich poluje. To wszystko wywołało zamieszki przy barykadzie - wyjaśniła wreszcie Makala. - Charlie nakazał zamknąć przejście, dopóki nie zapanujemy nad sytuacją. Uchodźcy nie chcieli się na to zgodzić. To oznaczało tysiące ludzi pchających się na zapory utworzone przez samochody i ciężarówki. Tom miał trochę gazu łzawiącego, żeby odeprzeć natarcie, ale potem wrócili i...

- Otworzyliście ogień?

Przytaknęła.

- Strzały słyhać było w całym mieście. Jak na wojnie. Tom kazał rozstawić karabiny automatyczne po obu stronach przejścia i otworzyć ogień. John, w najgorszych koszmarach nie przewidziałabym, że będziemy robić takie rzeczy sobie nawzajem...

Zamilkła. Bawiła się kawałkiem parówki na dnie swojego talerza.

John spojrzał na nią. Uprzytomnił sobie, jaką rolę w życiu tej kobiety odegrał ślepy los. Gdyby nie jechała tamtego dnia do Asheville, byłaby w Charlotte, kiedy to wszystko się stało. Może wszystko ułożyłoby się dla niej dobrze, biorąc pod uwagę jej pracę w szpitalu. Z drugiej strony, mogłaby być jednym z uchodźców szturmujących barykadę, rozpaczliwie potrzebującym kawałka chleba czy pół talerza zupy, którą teraz jedli.

- Mogłam być po drugiej stronie barykady - powiedziała stłumionym głosem, jakby

czytała w jego myślach. Spojrzała na niego i przez chwilę jej oczy błysnęły furia, tak jakby ona i John faktycznie byli we wrogich sobie obozach, jakby byli wrogami spożywającymi obiad podczas tymczasowego rozejmu, zanim znowu zacznie się zabijanie.

- Ale nie byłaś. Jesteś tutaj i jesteś bezpieczna.

- Na jak długo, John? Niektórzy mogą powiedzieć, że nadal jestem jedną z tych „obcych”.

- Cholera jasna, Makala, nie waż się tak o sobie mówić!

- Cóż, szkoda, że nie słyszałaś, co mówili niektórzy ludzie po zamieszkach. Zginęło w nich dwudziestu mieszkańców Black Mountain, w tym kilku policjantów, i można było wczoraj spotkać wielu ludzi stojących przy ratuszu, domagających się głośno tego, żeby wykopać z miasta wszystkich, którzy nie są stąd.

- Głupie pieprzenie. Przemawia przez nich strach.

- To niesamowite, prawda? - Pokręciła głową. - Trzy tygodnie temu wszyscy byliśmy Amerykanami. Do diabła, kiedy ktoś wypowiedział obraźliwe słowo, zrobił rasistowską albo seksistowską uwagę, to, mój Boże, każdy był oburzony, a historia trafiała na pierwszą stronę gazety. Wyłączono prąd i bang! w ciągu paru dni skaczemy sobie do gardeł. Obcy kontra miejscowi. Czy cały kraj pograżył się już w tym szaleństwie? Czy cała Ameryka zamieniła się w dziesięć tysięcy małych plemion gotowych do wybijania się nawzajem, a wszyscy ludzie z autostrad należą do jakiejś barbarzyńskiej hordy?

John nie był w stanie odpowiedzieć. Bał się, że to, co mówi Makala, może być prawdą. Nie chciał jednak w to wierzyć, pomimo tego, co niedawno miało miejsce w Black Mountain.

- Nadal wszyscy jesteśmy Amerykanami - westchnął. - Musimy w to wierzyć. Na naszej ziemi toczyły się już bratobójcze walki. Przecież w wojnie domowej zginęło sześćset tysięcy ludzi. Pamiętam też z dzieciństwa zamieszki w Newark, tę nienawiść, która się między nami wytworzyła i którą jeszcze wiele lat później dało się odczuć. Ale mimo to, w sytuacjach naprawdę ważnych, zawsze się jednoczyliśmy.

- No a teraz?

- Ludzie są głodni, przerażeni. Życie rozpieściło nas jak żadne inne pokolenie w historii i zapomnieliśmy, jak bardzo jesteśmy uzależnieni od prądu przepływającego w kablach, od tego, że robimy rzeczy za pomocą przyciśnięcia guzika. Gdybyśmy chociaż mieli łączność... Gdybyśmy wiedzieli, czy rząd nadal działa, gdybyśmy usłyszeli głos, któremu ufaliśmy... To by zrobiło kolosalną różnicę. Mój dziadek często mi opowiadał, jak w czasach Wielkiego Kryzysu banki zaczęły upadać, wybuchła panika, w powietrzu zdawała się nawet

wisieć rewolucja. A potem Franklin Delano Roosevelt wystąpił w radiu, w jednej jedynej audycji. Przypomnił nam, że wszyscy jesteśmy dla siebie sąsiadami, zaapelował o to, żebyśmy współpracowali i pomagali sobie nawzajem, i mimo że kryzys trwał jeszcze kolejne siedem lat, panika się skończyła. To samo było w przypadku zamachów z jedenastego września - kontynuował John. - Moim zdaniem teraz ludzi doprowadza do szału ta cisza. Nikt nie wie, co się dzieje, jakie są podejmowane kroki, czy naprawdę toczymy wojnę, a jeśli tak, to z kim? Wygrywamy czy przegrywamy? Jesteśmy obecnie tak odcięci od świata jak siedemset lat temu ludzie mieszkający w Europie, do których docierały pogłoski, jedynie pogłoski, o tym, że zbliżają się Tatarzy albo że w sąsiedniej wiosce szaleje zaraza.

Westchnął, wskazując głową na swój pusty talerz. Makala dołała i jemu, i sobie.

- Dawniej każdy kataklizm - ciągnął dalej John - był wydarzeniem lokalnym, w najgorszym wypadku regionalnym. Huragany w 2004 roku. Walnęły w nas mocno, tu w Black Mountain. Większość newsów koncentrowała się na Florydzie, ale mówię ci, że najbardziej oberwało się między innymi nam. Oba huragany dosłownie krzyżowały się ponad nami w ciągu zaledwie paru dni. Przez cały czas wiedzieliśmy jednak, że pomoc się zbliża. Faceci, którzy znowu podłączyli mi zerwane linie po czterech dniach, to była załoga z Birmingham w Alabamie. Ciężarówka, którą dostarczono nam tysiące galonów wody, przyjechała z Charlotte, a poza tym nadal dysponowaliśmy radioodbiornikami na baterie... Gdyby tylko udało nam się połączyć ze światem zewnętrznym, myślę, że wielu z nas by się uspokoilo. Czy udało się nawiązać jakikolwiek kontakt ze światem zewnętrznym?

Makala upiła łyżkę zupy, po czym pokręciła głową.

- Ani słowa. Dwa dni temu przeleciał nad miastem helikopter. Gdybyś widział wtedy ludzi... Zachowywali się, jakby przelatywał po niebie jakiś bóg w rydwanie. Wszyscy podnieśli ręce, krzyczeli. Jedyne, co do nas dociera, to plotki z ust ludzi, którzy tędy przechodzą. Globalna wojna, inwazja Chin, pomoc z Europy, zaraza w Waszyngtonie, zamach stanu. Dużo pogłosek o fanatykach religijnych, którzy zakładają gangi. Twierdzą, że oto nadeszła apokalipsa, i ludzie albo się do nich przyłączą, albo zginą. Czyste szaleństwo. Wszyscy wiedzą tyle, ile wiem ja czy ty.

- Problemem są też samochody - stwierdził John. - One są tak integralną częścią naszego życia, przecież to dzięki nim ludzie żyją na przedmieściach i jeżdżą do pracy w centrum. Jeszcze sto lat temu ten cholerny dom nie mógłby zostać wybudowany, bez względu na to, jak piękny jest stąd widok. Byłby za bardzo oddalony od centrum miasta, nawet jeśli tym miastem jest malutka wioska. To nie są pola uprawne, to tak naprawdę ugory, z wyjątkiem lasów. Ale dzięki samochodom to miejsce stało się cenne. Spójrz na to, jak nawet

teraz migrują ludzie, instynktownie idą wzdłuż autostrad międzystanowych. Najstraszniejsze chyba dla nas było to, że samochody ni stąd, ni zowąd zgasły. Bo dla nas samochód jest nie tylko cholernym środkiem transportu, ale też wyznacznikiem statusu społecznego, poziomu bogactwa, wieku, klasy. Dajmy na to ty...

- Ja?

- Miałaś bmw 330, tak? Od razu wiedziałem, że nie masz dzieci, a nawet jeśli masz męża, to oboje jesteście ludźmi sukcesu, robicie kariery w swoich zawodach.

Makala zaśmiała się łagodnie.

- Porozwodowy samochód kryzysowy.

John przytaknął.

- Tak naprawdę nic o tobie nie wiem.

- Po prostu porozwodowy samochód. Poznaliśmy się z mężem na studiach w Duke. Oboje studiowaliśmy medycynę.

John się zaśmiał.

- Mary i ja też poznaliśmy się na Duke, chociaż pewnie dziesięć, piętnaście lat wcześniej niż wy. Ja studiowałem historię, ona biologię, oboje chcieliśmy uczyć. W latach siedemdziesiątych wstąpiłem do wojska, zapisałem się na kurs oficerski, potem zaferowali mi świetny układ.

- Wiem, widziałam dyplomy w twoim gabinecie. Robią wrażenie, John. Magisterium na Uniwersytecie Purdue, doktorat na Uniwersytecie Wirginii. Myślałam, że służyłeś w wojsku.

- Hej, w armii też uczą! Ci ludzie byli na tyle szaleni, żeby opłacać moją naukę. Na każdą jedną godzinę, kiedy miałem w rękę broń, przypadało sto spędzonych w klasie na zajęciach albo w archiwum. Byłem dowódcą paru akcji na polu bitwy. Najpierw z kompanią rozpoznawczą Pierwszej Dywizji Kawalerii w Niemczech tuż przed tym, jak komunizm wyzionął ducha. Nawet podobała mi się ta posada, miałem dużo czasu na badanie tamtejszej historii, to już było moje zajęcie ponadprogramowe. A potem była Pustynna Burza. Mój oddział został zmobilizowany i nie mogłem się doczekać tego wyzwania, dowodzenia kompanią na linii frontu, kiedy zostałem awansowany na majora. Ale przenieśli mnie jeszcze wyżej, na zastępcę dowódcy batalionu. Przez to zdjęto mnie z pola walki i do dziś dnia zastanawiam się, czy skutkiem tego nie ominęło mnie w życiu parę rzeczy... Dobra, ale dość o mnie.

Makala się uśmiechnęła.

- Pobraliśmy się z mężem tuż po tym, jak on skończył studia, dwa lata wcześniej niż

ja, a potem to już klasyka - westchnęła. - Zmieniłam specjalizację, wybrałam pielęgniarstwo, żeby zacząć zarabiać pieniądze. Umowa była taka, że kiedy on zostanie już rezydentem w szpitalu, wrócę na studia, żeby szkolić się na lekarza.

- Niech zgadnę - wtrącił John. - Facet dostał swojego „doktora”, a ty dostałaś rozwód.

- Coś w tym stylu. Chyba po prostu jakoś... się rozjechaliśmy. Doszła też inna kobieta, a raczej kilka innych kobiet, miałam tego dość i odeszłam. No wiesz, młodzi lekarze z wybujałym ego, pielęgniarki robiące wielkie oczy i mówiące „och, panie doktorze”, druga w nocy. To zdarza się nagminnie.

John spojrział na nią. Kiedy się uśmiechała, pojawiały się w jej policzkach małe dołeczki. Miała czyste, błękitne oczy, była wysoka i szczupła. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Co za idiota...

- John, nawet mnie nie znasz - odparła z uśmiechem - więc nie oceniaj mnie po wyglądzie. Mam też swoją złą stronę.

- Cóż, ja jeszcze jej nie widziałem. Zgłosiłaś się na ochotnika do pomocy w domu opieki. To wymagało nie lada odwagi.

- A może to była czysta kalkulacja? - rzuciła. - Żeby w ten sposób stać się częścią waszej społeczności.

Spojrzał jej prosto w oczy. Przypomniał sobie to, co powiedziała mu w dniu, gdy zastrzelił Larry'ego i ponownie pokręcił głową.

- Nie, zrobiłabyś to bez względu na sytuację.

Przez chwilę milczał, wpatrując się w swoją zupę.

- Spotykasz się z kimś?

- Dlaczego pytasz?

- Chcę tylko poskładać do kupy części łamigłówek.

- Aktualnie nie jestem w żadnym poważnym związku, jeśli to miałeś na myśli. Stałam się podejrzliwa i ostrożna.

- Masz dzieci?

- Dzięki Bogu, nie.

- Dlaczego dzięki Bogu?

- Być matką, w takich okolicznościach? Myślisz, że chciałabym mieć takie zmartwienie na głowie? Załóżmy, że miałabym z mężem dzieci i byłabym tu w dniu, kiedy to wszystko się stało. Przecież teraz przedzierałabym się przez tłumy uchodźców, żeby wrócić do Charlotte.

Skinął głową. Sposób, w jaki to powiedziała, „przedzierać się”, wiele mu powiedział. Lubiła dzieci, może nawet marzyła o posiadaniu dzieci i miała instynkt, by chronić je za wszelką cenę, bez względu na to, czyje to dziecko było.

- Porozmawiajmy o Jennifer - zaproponowała cichym głosem.

- Jest jakiś problem? - zapytał, nagle drżąc z nerwów.

- Oczywiście, że jest, John. Twoje zapasy insuliny wystarczą raptem na cztery miesiące. Woda, w której przechowujesz fiołki, ma ponad dziesięć stopni Celsjusza. Sprawdzalam. To skróci odrobinę okres ważności leku.

- O ile? - zapytał. Poczul przypływ paniki.

- Nie wiem dokładnie, John. Dowiemy się, kiedy regularna dawka przestanie kontrolować poziom cukru w jej krwi. Poza tym musimy zacząć oszczędzać glukometr. Ten nowy, jak wiesz, nadaje się do kosza na śmieci, a stary, dzięki Bogu, przetrwał, lecz jest problem z paskami testowymi, nie ma już zapasowych. Zatem będziemy musieli się nauczyć po prostu dokładniej monitorować sytuację i używać pasków tylko wtedy, kiedy to absolutnie niezbędne.

John nie był w stanie nic powiedzieć. Omiatał wzrokiem dolinę. Panował taki spokój... żadnych hałasów, nic. Widział smużki dymu z małych pożarów wznoszące się ku niebu na bryzie wiejącej od zachodu. Sięgnął do kieszeni na piersi. Nie znalazł jej, ponieważ nadal miał na sobie przesiąknięty potem T-shirt.

- Papierosa? - zapytała.

Kiwnął głową.

- Zaraz przyniosę.

Za minutę wróciła z dwoma papierosami. Odpaliła jednego zapalniczką, zaciągnęła się i przez sekundę się zawahała, ale podała go Johnowi, a drugiego położyła na stole.

- Była palaczka?

- Taa. Zdziwiłbyś się, ile pielęgniarek pali. Widziałam jednak zbyt wiele płuc przeżartych rakiem.

- Nie chcę o tym słuchać.

Uśmiechnęła się.

- I tak za dwa tygodnie ci się skończą. Jeśli będziesz oszczędzał, to za cztery albo nawet sześć, ale wcześniej czy później będziesz musiał rzucić palenie. Może to będzie jeden z niewielu pozytywnych skutków tej sytuacji. Cały naród nagle został pozbawiony tytoniu, alkoholu, narkotyków. Nie ma samochodów, więc trzeba spacerować albo jeździć na rowerze. Dobrze nam to robi.

- Wracając do Jennifer - powiedział po tym, jak kilka razy, zaciągnął się dymem. Żołądek miał przyjemnie napełniony posiłkiem, lecz dym uderzył mu mocno do głowy po kilku dniach abstinencji. Poczul się nagle roztrzęsiony i osłabiony.

- Śmierć Tylera i jego pogrzeb... - zawyrokowała. - Gdybym była wtedy w pobliżu, zostałabym z Jennifer w domu podczas pogrzebu. To była dla niej prawdziwa trauma. W tym wieku dla każdego dziecka utrata dziadka jest ciężkim przeżyciem. Tylko że my, my wszyscy, odpędzamy od siebie śmierć, trzymamy ją w ukryciu. Tyler umarł w pokoju Jennifer. Szczerze mówiąc, ona nawet boi się do niego wchodzić. Kiedy leżałeś nieprzytomny, Jennifer przychodziła z wizytą, ale nie przekraczała progu pokoju, stała w drzwiach. Ona po prostu była świadkiem tego wszystkiego. Wszystko zapamiętała. John, twoja córka ma cukrzycę - ciągnęła dalej Makala. - Nawet w wieku dwunastu lat dzieci z tą dolegliwością są świadome swojej śmiertelności. Wiedzą, że ich życie zależy od igły i fiolki, lecz od siedemdziesięciu lat te fiolki kupuje się w aptece i nie zadaje żadnych pytań. Jennifer wie, że te czasy się skończyły.

- Skąd wie?

- Do cholery, John, nie jest głucha ani ślepa! Każdego dnia, od czasu wybuchu, ludzie umierają, a ona wie, że na nią przyjdzie kolej, kiedy skończą się zapasy insuliny.

John pokręcił gniewnie głową.

- Nie, Boże, nie! Mamy aż cztery miesiące. Do tej pory staniemy na nogi. Będziemy mieć przynajmniej łączność, jakieś leki.

- John, to ty, a nie kto inny, rozpowiadał wszem wobec, że sytuacja jest zła, tragiczna i że zajmie nam to lata, żeby się z tego wykaraskać. Jeśli w ogóle się to uda...

- Ale przy niej nie pisałem ani słówka!

- Och, John, jesteś pierwszorzędnym ojcem, ale nie rozumiesz dzieci. Opiekowałam się w szpitalu maluchami takimi jak Jennifer. Śmiertelnie chorymi dziećmi. Uświadomiły sobie swoje położenie na długo przed tym, zanim ich rodzice pogodzili się z tą myślą.

- Jennifer nie jest śmiertelnie chora - warknął, gromiąc Makalę spojrzeniem.

Nie odpowiedziała.

- Cholera, nie, NIE! - Poczul się zażenowany łzami, które nagle napłynęły mu do oczu, rozmazując obraz.

Z całych sił próbował powstrzymać szloch, który go przytłaczał.

Makala wyciągnęła dłoń, aby go dotknąć. John gwałtownie odsunął się, wbijając w nią wzrok przepelniony bezradną wściekłością.

- Moja córeczka da sobie radę - powiedział, łapiąc oddech. - Moja córeczka przeżyje!

Nachyliła się w jego stronę, łagodnie dotknęła jego twarzy, a potem wstała, pocałowała go w czoło i przyciągnęła swoje krzesło blisko niego.

- John, jeśli szczęście nam dopisze, jeśli sytuacja się poprawi, skontaktujemy się ze szpitalami, które działają, zanim skończy się nam insulina.

Zauważył, że mówi o tym wszystkim, używając formy „my”.

- Zbliżyłam się do niej, John. W ciągu ostatnich kilku dni bardzo się z nią zżyłam. To słodkie dziecko. Nie jest jedną z tych dwunastolatek, które ubierają się, mówią, a czasem zachowują tak, jakby miały dwadzieścia jeden lat. Ona nadal śpi przytulona do swojego pluszowego zajęcia, bawi się zabawkami, które od ciebie dostała, dużo czyta. Jest taka, jakie były dwunastoletnie dzieci dawno temu. Właściwie to jest trochę takim typem kujona...

John próbował nad sobą zapanować, kiedy Makala opisywała jego córeczkę. Upuścił wypalonego papierosa. Bez słowa zapaliła następnego i podała mu, przedtem sama mocno się zaciągając.

Uśmiechnęła się, a on uświadomił sobie, że jej oczy są pełne łez.

- To po prostu mała dziewczynka, która od momentu, kiedy widziała śmierć dziadka i jego pogrzeb oraz dowiedziała się, że teraz codziennie zakopujemy setkę ludzi, zaczęła mieć obsesję na punkcie śmierci.

- Pomówię z nią.

- Już to zrobiłam - odparła Makala cichym głosem.

- O czym z nią rozmawiałas?

Zawahała się.

- No powiedz, o czym?

- O śmierci - wyszeptała. - Poprosiła mnie, żebym powiedziała jej prawdę. O tym, ile zostało jej czasu, zanim zabraknie insuliny.

- I co jej powiedziałaś? - warknął i skrzywił się, gdy chwycił ją chorą ręką za ramię. - Co jej powiedziałaś?

- John, mówiłam ci, że opiekowałam się dziećmi takimi jak Jennifer. Wiem, kiedy lepiej jest kłamać, i wiem, kiedy jest najwyższa pora, by wyjawić prawdę. Pocieszyłam ją, że wszystko będzie dobrze. Że ty i reszta ludzi dokładacie starań, żeby wszystko wróciło do normy i żeby zaczęły do nas docierać lekarstwa.

Puścił jej ramię.

- Przepraszam - mruknął.

- Mimo to, ty też powinieneś z nią porozmawiać, John.

Przytaknął. Spuścił głowę, znowu usiłując zapanować nad sobą. Czuł się tak cholernie

słaby. Nie tylko fizycznie, ale i emocjonalnie. Dla Tylera czas się skończył i mimo że John z czasem pokochał go tak, jakby był jego własnym ojcem, czerpał poczucie spokoju ze świadomości, że miał długie, dobre życie. Ale Jennifer?

- Powinieneś ciągle ją uspokajać i dodawać jej otuchy, jeśli chcesz, żeby była szczęśliwa - poradziła Makala.

- Szczęśliwa przez ten krótki czas, który jej pozostał? - zapytał, nie spuszczać z niej oczu.

- Po prostu módlmy się o to, żeby wszystko dobrze się ułożyło.

Skończył palić papierosa, usiadł wygodniej na krześle.

- A więc pochowaliśmy już setki ludzi?

Makala przytaknęła, po czym spojrzała w bok.

John usłyszał szczekanie, a potem głośny śmiech. Na polanie ponad domem pojawiła się jego rodzina. Psy na jego widok przygalopowały prosto do niego. Nie mógł powstrzymać śmiechu, oba merdały ogonami i tańczyły wokół jego krzesła. A potem podniosły w górę nosy i węszyły, wietrząc zapach zupy. Ginger stanęła na tylnych łapach i próbowała zajrzeć go garnka, przez co niemal się poparzyła, kiedy straciła równowagę i wpadła na piec.

Przybiegła Jennifer i rzuciła mu się w ramiona.

- Wyzdrowiałeś, tatusiu!

- Jeszcze nie do końca, ale prawie, pączusiu.

Wtuliła się głową w jego ramię i przez moment zastanawiał się, czy Jennifer nie płacze. Po chwili dziewczynka odrzuciła głowę.

- Tatusiu, strasznie brzydko pachniesz!

John wybuchnął śmiechem. Miał ochotę zabawić się w nią w starą zabawę pod tytułem „pacha”, która polegała na tym, że łapał Jennifer i przyciskał ją mocno do zgięcia swojego ramienia. Uwielbiała tę zabawę, kiedy miała osiem lat, chociaż zawsze krzyczała, protestując. Ale teraz uznał, że lepiej tego nie robić. Wiedział, że naprawdę brzydko pachnie.

- Obiecuję, że później się wykapię.

- Teraz mamy łazienkę na zewnątrz, tatusiu - powiedziała wskazując ręką mały basenik dla dzieci oraz topornie zrobiony prysznic, sklecony z drabiny wysokiej na sześć stóp oraz jednogalonowego plastikowego wiadra zawieszzonego na najwyższym szczeblu. Dno wiadra było podziurawione kilkadziesiątoma małutkimi dziurkami.

- Ben to zrobił. Jedna osoba bierze prysznic, a druga wlewa wodę w wiadro, stojąc na drabinie.

John przytaknął. Więc to dzieło Bena... nagle naszła go pewna niepokojąca myśl.

Makala się roześmiała.

- To ja stoję na drabinie, kiedy prysznic bierze Elizabeth - uspokoiła go.

- Ben poleje mi wodę, a wy, drogie panie, idźcie sobie gdzieś indziej.

Jennifer uściskała go mocno, puściła i zajrzała do garnka.

- Co tam jest?

- Parówki i ziemniaki - poinformowała Makala.

- Ble! Brzmi ohydnie.

- Jest naprawdę dobre, poważnie - odparł John.

- Czy Zach i Ginger mogą się poczęstować?

Oba psy stały u boku Johna z językami na wierzchu, dysząc, ze wzrokiem utkwionym w pustym talerzu ich pana. Przez lata, zupełnie nieświadomie, tradycją stało się zostawianie trochę jedzenia dla psów. Kiedy do rodziny dołączyła Ginger, John zawsze musiał dopilnować, aby kłaść na ziemię dwa talerze, i to zawsze jednocześnie. Niezależnie od tego, jak bardzo psy dbały o siebie nawzajem, kiedy był tylko jeden talerz, od razu dochodziło do przepychanek i lamentów, zazwyczaj wydobywających się z pyska Ginger, która przegrywała z Zachem. Teraz jednak Zach zaczynał zdradzać oznaki starzenia, i to on przegrywał w tych potyczkach ze swoją koleżanką.

- Wczoraj skończyła się nam karma dla psów - oświadczyła Makala.

Cholera, zupełnie o tym nie pomyślałem! - zgał się w duchu.

- Nawet ta w puszkach?

Makala nie odpowiedziała. John nagle uświadomił sobie ze zgrozą, że powodem jej milczenia jest to, iż ona lub Jen schowały psią karmę na czarną godzinę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zastanawiał się, czy parówki, które wkroiła do zupy, też pochodziły z puszki dla psów, ale wiedział, że lepiej w to nie wnikać.

- Tato, one umierają z głodu!

Spojrzał na swoje dwa psy, swoich wiernych towarzyszy podczas wielu nocy, kiedy pisał lub czytał. Zawsze przychodziły do jego gabinetu, zwijały się w kłębek obok niego. Kiedy nadchodził moment, by pójść spać, Ginger zazwyczaj dreptała do pokoju Jennifer, a Zach, jak zwykle, do pokoju Johna.

Spojrzał na dziewczynkę, a potem na psy.

- Pewnie, chodźcie tu, moje głuptasy.

Wziął talerz swój i Makali, dolał po chochli zupy do każdego naczynia i położył je na ziemi. Oba psy rzuciły się na posiłek i pożarły go w kilka sekund.

Jennifer uśmiechała się, patrząc na psy. Makala milczała.

- Chyba chciałbym pojechać do miasta, zobaczyć, co się dzieje, może też zahaczyłbym o campus.

- Nie nadużywaj swojego szczęścia, John - odezwała się Jen. Podeszła do niego, stanęła na palcach i pocałowała go.

- Rany Boga, ależ brzydko pachniesz - mruknęła z dezaprobatą, robiąc krok do tyłu.

- Ja siądę za kółkiem - wtrąciła Makala. - Poza tym, skoro nasz pacjent czuje się już lepiej, powinnam wrócić do domu opieki i nadzorować przeprowadzkę do centrum konferencyjnego.

Teściowa nie odezwała się słowem, kiedy Makala weszła do domu. Elizabeth cmoknęła ojca w policzek i usiadła, by jeść.

- To miła dziewczyna - powiedziała w końcu Jen.

- Moim zdaniem ona jest w tobie zakochana, tato - oświadczyła Elizabeth takim tonem, jakby wypowiadała komentarz na temat pogody lub informowała która jest godzina.

Jennifer zachichotała.

John przeniósł wzrok na Jen.

- Trzy noce z rzędu siedziała przy tobie. Byłeś w fatalnym stanie, John.

Jen uśmiechnęła się, lecz John zauważył, że jej oczy robią się podejrzanie błyszczące.

- O co chodzi, mamó?

- Och, o nic... - Odwróciła się. John wiedział, że Jen myśli o Mary.

*

Droga do miasta wyglądała mniej więcej tak samo jak wcześniej, z wyjątkiem tego, że mężczyźni, których mijali, nieśli strzelby albo karabiny. Przy szkole podstawowej leżał ogromny stos drewna na opał, nad rozpalonym ogniskiem dyndało kilka kociołków.

- Jak przedstawia się u nich sytuacja?

- Ci, którzy nie mogą przeżyć, umierają jeden po drugim - westchnęła Makala. - Wielu zmarło, ale na razie wszystko jest pod kontrolą.

Na miejscu dowiedział się, że Charlie pojechał do Swannanoa, a Tom jest przy barykadzie przy przejściu. John przeczytał wiadomości napisane czerwonym markerem na białych tablicach przyczepionych do muru ratusza.

WTOREK 20 MAJA

TRWA STAN NADZWYCZAJNY

John zauważył, że cała tablica była wielokrotnie wycierana, z wyjątkiem tych trzech słów - TRWA STAN NADZWYCZAJNY.

1. Szacuje się, że dwudziestu uciekinierów z autostrady międzystanowej nadal grasuje po okolicy. Jeśli ktoś ich zauważy, powinien zaarrestować, uwięzić lub zastosować inne środki przymusu, a następnie zgłosić wszystko w naszym biurze.

2. Kartki żywnościowe zaczną być wydawane, poczynając od dzisiaj, wszystkim członkom naszej społeczności. Jeśli jesteś rezydentem tego miasta, tutaj zamieszkałym i składasz podanie o przydział kartek żywnościowych, musisz najpierw zezwolić na przeszukanie swojej nieruchomości pod kątem ukrytego jedzenia. Jeśli pożywienie zostanie znalezione, będzie skonfiskowane, a następnie przekazane społeczności. Nie staraj się o racje, chyba że naprawdę jesteś w potrzebie. Poczynając od jutra, nikt nie będzie w stanie otrzymać jedzenia w żadnej publicznej placówce bez uprzedniego okazania kartek żywnościowych oraz wylegitymowania się.

John zatrzymał się przy tym punkcie i go przeanalizował. Doszedł do wniosku, że to słuszna decyzja. Nie było groźby rekwirowania jedzenia, chyba że wnioskowało się o kartki. Dzięki temu oszuści nie będą wyjadali publicznych zapasów, jednocześnie siedząc na własnych. Czytał dalej.

3. Epidemia salmonelli w Awaryjnym Obozie Uchodźców została ujarzmiona. Dziękujemy ochotnikom z Black Mountain College oraz zespołowi pod przewodnictwem doktora Kellora. Ze smutkiem informujemy, że epidemia w ośrodku pochłonęła 61 ofiar. Jeśli chodzi o całą społeczność, odnotowano 310 zgonów spowodowanych salmonellą na ponad 3000 przypadków zachorowań.

4. Otwarto nowy szpital kryzysowy w galerii handlowej Ingram w Swannanoa. Jeśli potrzebujesz transportu do tego ośrodka, publiczny pojazd będzie od tej pory kursował tam codziennie w samo południe.

5. Dyrektor Greene, od tej pory nadzorca szkół naszej społeczności, oficjalnie oświadczył, że wszystkie szkoły zostały zamknięte. Zajęcia zostaną wznowione dzień po święcie pracy, drugiego września. Wraz ze wznowieniem zajęć ogłoszone zostaną wyniki

nauki z poprzedniego roku szkolnego.

John uznał to za dziwne, że dopiero teraz oficjalnie zamknięto szkoły. Dziewczynki będą wniebowzięte. Poza tym to optymistyczne, że zostanie zachowana pewnego rodzaju ciągłość i z przyjemnością przyjął to do wiadomości.

6. Powiadomienia o zgonach: Wczoraj odnotowano 81 zgonów w społeczności Black Mountain oraz Swannanoa. Pamiętajcie, wszystkie ciała zostaną pochowane na nowych cmentarzach, czyli na polu golfowym w Black Mountain oraz na terenie Akademii Chrześcijańskiej w Swannanoa. Przyczyna zgonu musi zostać potwierdzona przez pełniącego służbę lekarza w odpowiedniej siedzibie rady miejskiej pomiędzy godziną ósmą rano a piątą po południu.

Wywieszono listę zmarłych. John przeleciał po niej wzrokiem. Znał jedną osobę, studentkę. Śliczna dziewczyna z drugiego roku, miała lekką nadwagę, ale też uśmiech, którym umiała rozświetlić cały pokój. Pamiętał, że cierpiała na rozmaite alergię, także na jad pszczeli. Na początku każdego semestru rozsyłano wszystkim jej nauczycielom wiadomość, aby byli świadomi sytuacji i natychmiast wyprowadzili ją z sali, jeśli wleci do niej jakiś żądający insekt. John zastanawiał się, czy ukąszenie nie było powodem śmierci.

7. UWAGA. Jeśli w waszej rodzinie ktoś umarł, a przyjęliście kartki żywnościowe, ukrywając zgon członka rodziny, wszystkie kartki żywnościowe dla najbliższej rodziny zostaną skonfiskowane na stałe z wyjątkiem dzieci poniżej 11 roku życia. Rzeczne dzieci zostaną przeniesione do Obozu Uchodźców. Jeśli nie jesteś stałym mieszkańcem naszej społeczności, ty i twoja najbliższa rodzina zostaniecie wydaleny z miasta z wyjątkiem dzieci poniżej 11 roku życia.

Ostatnie zdanie zaniepokoiło Johna. Sugerowało istnienie jakiejś gorszej klasy ludzi w ramach ich społeczności. Makala stała u jego boku, czytając tablicę ogłoszeń, i John zastanawiał się, co poczuła po przeczytaniu tej informacji.

8. WIADOMOŚCI Z OSTATNIEJ CHWILI! Jeden z mieszkańców naszego miasta, który był w Greensboro, doniósł nam, że w Morgantown dysponują działającym radioodbiornikiem odbierającym fale krótkie. Mieszkaniec twierdzi, że na własne uszy słyszał

audycję radia BBC w Londynie. Rząd brytyjski podobno zadeklarował solidarność z Ameryką i w tej chwili organizuje zakrojoną na wielką skalę akcję pomocy humanitarnej. Niech żyją nasi sprzymierzeńcy, dawni i obecni!

Ta wiadomość wywołała uśmiech na twarzy Johna. Jeśli jest prawdziwa, to być może - być może - oznacza, że sprzęt do komunikacji zbliża się w ich kierunku, aby pomóc na nowo nawiązać łączność. Dręczyło go jednak pytanie - dlaczego tylko Wielka Brytania zaoferowała pomoc?

9. WIADOMOŚCI WOJENNE! Ten sam mieszkaniec donosi, że obecnie przyjmuje się, iż w Stany Zjednoczone uderzyły trzy pociski wystrzelone przez kontenerowiec zakotwiczony w Zatoce Meksykańskiej. Nasze oddziały za granicą zaangażowane są w ostre działania wojenne w Iraku, Iranie, Arabii Saudyjskiej, Pakistanie i Korei. Na wszystkich frontach dobrze sobie radzimy. Odpowiedzialność za atak na USA ponosi sojusz sił Bliskiego Wschodu oraz Korei Północnej. Raporty potwierdzają, że broń podobna do tej, którą uderzono w Stany Zjednoczone, została również zdetonowana nad zachodnim Pacyfikiem, wywołując podobne skutki w Japonii, Korei Południowej oraz na Tajwanie. Kolejny pocisk został podobno wymierzony w Europę Wschodnią.

Otrzymaliśmy również informację, że rząd federalny nawet w tej chwili organizuje dystrybucję radioodbiorników, które pochodzą z ukrytych zapasów. Łączność z władzami centralnymi zostanie wkrótce przywrócona.

10. Wszystkie ogłoszenia umieszczone na niniejszej tablicy są oficjalne oraz prawomocne od momentu ich wywieszenia. Deklarowanie nieznanostwo powyższych praw nie będzie przyjmowane jako usprawiedliwienie dla ich nieprzestrzegania.

Podpisano

Charles Fuller Dyrektor Bezpieczeństwa Publicznego

ZWYCIĘŻYMY! NIECH BÓG BŁOGOSŁAWI I MA W SWEJ OPIECE STANY ZJEDNOCZONE AMERYKI.

John odwrócił się plecami do tablicy i spojrzał na Makalę.

- O czym myślisz? - zapytał.

- Czuję się jak jedna z postaci z wiejskiej książki albo filmu - westchnęła. - Niech Żyje Król albo Niech Żyje Nasz Wspaniały Przywódca, albo inny napis w tym stylu powinien zostać umieszczony na tablicy.

- Nawet się do tego jeszcze nie zbliżamy - zaprotestował John chłodnym tonem.

- Powinnam ostrzec cię już teraz: należę do grona liberałów w starym stylu, którzy zwykli upatrywać spisku we wszystkim, co robią prawnicy.

Spojrzał na nią i ujrzał na jej twarzy cień uśmiechu.

- Ja mam taki sam stosunek do lewicy - powiedział i tym razem on się uśmiechnął. - Teraz wydaje mi się to absurdem.

- Mimo wszystko, przepaść pomiędzy tym, czym byliśmy trzy tygodnie temu, a tym, czym jesteśmy teraz, jest nie do ogarnięcia rozumem.

Przeszli z powrotem do edsela. John zauważył, że parking przy komisariacie został uprzątnięty ze wszystkich nowych, ale bezużytecznych samochodów. Teraz stało tam kilka volkswagenów garbusów. Na boku każdego z nich wymalowano napis „Dzięki uprzejmości Jima Bartletta” oraz znaczek pokoju w starym stylu. To musiało naprawdę wkurzyć Toma, pomyślał John. Oprócz tego były tam jeszcze dwa stare jeepy, w tym jeden niemal antyczny, z czasów II wojny światowej, z białą gwiazdą namalowaną na masce. Do tego kilka samochodów z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czyli zanim fabryki w Detroit zaczęły produkować złom, który nie trzymał się tak dobrze jak starsze modele. Obok samochodów parkowało kilka motocykli i motorowerów.

Ku swojemu zdziwieniu zauważył także kilka koni. Zatrzymał się, by się im przyjrzeć.

- Pochodzą ze stadniny, która urządziła obozy rekreacyjne dla dzieci. Razem mamy ponad czterdzieści koni w całej naszej społeczności - wyjaśniła Makala. - Charlie większość z nich przydzielił do patrolowania bocznych uliczek.

Makala podeszła bliżej, pogłaskała nos konia, który zarżał.

- Kiedyś uwielbiałam jazdę konną. A ty?

- Szczerze mówiąc, ja również. Podobało mi się to uczucie wolności, kiedy jedzie się po otwartej przestrzeni... Ale dawno tego nie robiłem.

- Biedne zwierzątka.

- Dlaczego?

- Charlie powiedział, że przez lato będziemy je wykorzystywać do patroli, ale kiedy zabraknie już bydła i świń, konie będą następne w kolejce.

John skinął głową, nie odzywając się słowem.

Wrócili do samochodu, za kierownicą znowu usiadła Makala, i ruszyli w kierunku

college'u. Na kamiennej bramie w kształcie łuku przywitał ich wielki odręcznie namalowany znak: „Stop! Zatrzymaj się!”

Makala wyhamowała. Dwóch studentów blokowało wjazd, obaj dzierżyli dubeltówki. Najpierw wycelowali w samochód, lecz po chwili rozpoznali pasażera i powitali go szerokim uśmiechem.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - zapytał John.

- Proszę wybaczyć, profesorze. Wewnętrzna ochrona. Niektórzy z uciekinierów z autostrady nadal grasują w okolicy. Poza tym ludzie próbują wdzierać się przez starą płatną drogę, biegnącą na tyłach miasta. Sierżant Parker ustanowił tutaj całodobową straż.

John skinął głową, nic nie powiedział, Makala przejechała przez bramę na teren kampusu.

Panowały tu spokój i cisza, lecz nagle ich zobaczył. Stali w rzędach na trawiastej skarpie naprzeciwko Gaither Hall. Kazał Makali się zatrzymać.

Przez chwilę siedział w samochodzie i patrzył. Do ciężkiej cholery, pomyślał, istny obóz dla rekrutów! Pięćdziesięciu studentów, czyli grupka wielkości plutonu, stało na baczność. Trwał przegląd broni; każdy z nich rzeczywiście był uzbrojony. Niektórzy w dubeltówki, inni w karabiny do polowań, a jeszcze inni w pistolety. Słowem, posiadali każdy typ broni, jaki można sobie wyobrazić, poczynając od chińskich SKS-ów, przez karabiny półautomatyczne kaliber 22, aż po wielgachne shot guny. Dwóch chłopców miało repliki muszkietów kaliber 58 z czasów wojny secesyjnej.

John wyskoczył z auta, aby obejrzeć tę scenę. Kilkoro studentów spojrzało w jego stronę, jedna dziewczyna posłała mu uśmiech i zaczęła do niego machać, lecz nagle uświadomiła sobie, że jej nie wolno, więc znowu stanęła na baczność.

Oczywiście obecny był też Washington Parker maszerujący wzdłuż szeregu. Wyrwał jednemu ze studentów broń, pociągnął za dźwignię zamka, zajrzał do komory, a potem wcisnął z powrotem w ręce chłopaka.

- Niewystarczająco czysty! Chcesz przeżyć? Jeśli tak, dbaj o czystość swojej broni!

John podszedł do nich wolnym krokiem. Studenci zaczęli spoglądać w jego stronę, przez co odwrócił się też Washington. Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu, a potem stanął na baczność i zaszalutował.

- Witam, panie pułkowniku. Czy zechce pan przeprowadzić przegląd wojska?

John odsalutował.

- Czy czuje się pan już lepiej, sir?

- Tak, panie... - urwał i po chwili poprawił się: - Tak, sierżancie Parker, dziękuję.

Nieco zażenowany, omiółtł wzrokiem swoich uczniów, którzy jeszcze trzy tygodnie temu byli zwykłymi dzieciakami. Nieraz opowiadał im o przywilejach, którymi mogą się cieszyć. Mówił, że osoby w ich wieku walczą za nich na odległych frontach, podczas gdy oni przysypiają na zajęciach. Część absolwentów college'u trafiła do Iraku lub Afganistanu i kiedy John otrzymywał od nich e-maile, zazwyczaj czytał je na głos swoim studentom. Ale teraz to oni stali pod bronią naprzeciwko głównego budynku campusu, w którym mieściły się biura władz uczelni, wydział muzyczny oraz jedna z dwóch kaplic.

Zdawał sobie sprawę, że oczekują od niego wygłoszenia kilku słów, lecz nie mógł znaleźć tych właściwych. Dostrzegł swoich dwóch ulubionych uczniów, Jeremy'ego i Phila, stojących po prawej stronie rzędu. Na granatowych T-shirtach uczelni, które wszyscy nosili niczym mundury, ci dwaj mieli przyczepione szewrony sierżantów.

Nawiązali kontakt wzrokowy z Johnem, który skinął im głową.

Zastanawiał się, czy wszyscy ci młodzi ludzie wiedzą, co zrobił w parku. Oczywiście, że wiedzą, pomyślał, przecież całe miasto o tym wie. Spojrzał na nich i widział to w ich oczach. Patrzyli na niego inaczej. Nie był już w ich oczach wykładowcą historii, który pomimo wojskowej przeszłości, sływał z miękkiego serca, szczególnie względem studentek, jeśli się ładnie do niego uśmiechały lub wiedziały, w którym momencie najlepiej się rozpłakać.

- Prezentują się niezłe. - Tylko tyle mógł z siebie wydusić, kiedy odwrócił się twarzą do Washingtona, który mu zasalutował. John odsalutował i ruszył do Gaither Hall.

- Zrobiło się paramilitarnie, prawda? - zapytała Makala, dołączając do niego.

John nic nie odpowiedział.

Wszedł do budynku i przez chwilę nie był pewien, czego tak naprawdę powinien oczekiwać. Oczywiście na korytarzach panowała ciemność, powietrze było ciężkie i wilgotne. Na szczęście gmach był stary, został zaprojektowany na długo przed wynalezieniem centralnej klimatyzacji, więc przynajmniej było trochę cyrkulacji powietrza. Drzwi do biura przyjęć i rejestracji były zamknięte, z kaplicy dobiegły go jednak dźwięki fortepianu. Ruchem głowy dał znak Makali, aby szła za nim.

Kaplica powstała w latach trzydziestych XX wieku. Zbudowano ją ze ściętych drzew, gdy w góry Karoliny zawitała zaraza kasztanowa. Było to piękne drewno o ciepłym, ciemnozłotym odcieniu. W pewnym stopniu wystrój był surowy, jako że przecież znajdowała się na terenie szkoły prezbiteriańskiej, ale mimo to John uważał, że kaplica jest wspaniała.

Na scenie wokół fortepianu zgromadziła się grupka uczniów. Jessie, który jako specjalizację wybrał muzykę, wyglądał się, uderzając w klawisze.

Laura, jedyna ze studentek, którą rozpoznał, powiedziała coś, po czym Jessie zagrał kilka akordów, a ona zaczęła śpiewać. Raptem John poczuł, jak ściska go w gardle. Laura śpiewała ten utwór na wiosennym festiwalu muzycznym.

Była to piosenka ze sztuki *The Fantasticks*. John uznawał ją za zbyt sentymentalną, jednak teraz widział w niej doskonałą metaforę tego, co się działo.

*Zapamiętaj tamten wrzesień,
kiedy dni płynęły tak leniwie i spokojnie...*

Palce Makali wślizgnęły się w jego dłoń. Stali w milczeniu, aż poczuł, że Makala drży, a potem płacze.

Głos Laury odbijał się echem w całej kaplicy.

*Zapamiętaj tamtą jesień,
kiedy życie było dla nas aż zbyt hojne...*

Słyszał, jak na zewnątrz Parker wykrzykuje rozkazy, teraz studenci przechodzili instruktaż postępowania z bronią. Dla Johna to było zbyt wiele, ledwie mógł to znieść. To wszystko nie miało prawa się tutaj zdarzyć. A jednak się zdarzyło.

Laura dokończyła drugą zwrotkę i przeszła do trzeciej.

- Nie wytrzymam tego - wyszeptała Makala.

Wymknęli się z kaplicy, Laura i reszta obecnych nawet nie zauważyli, że tam byli.

Makala oparła się o Johna, łkając. Objął ją i przytulił. Po chwili uwolniła się z jego uścisku i spojrzała na niego.

- Przepraszam.

- Nie ma za co... To było raczej miłe - odparł.

Piosenka w kaplicy dobiegła końca. Ruszyli ku wyjściu z budynku, gdy nagle John zauważył, że drzwi do gabinetu dyrektora Hunta są uchylone. Zapukał i wszedł do środka. Za biurkiem nie zastał asystentki szefa, Kim Murty. Był rozczarowany. Zawsze przypominała mu aktorkę Nicole Kidman, tylko że była jeszcze ładniejsza. John musiał przyznać, że w przyjacielski sposób był w niej zadurzony. Przyjacielski, ponieważ jej mąż, dyrektor wydziału komputerowego, był jego bliskim przyjacielem... poza tym nadal czuł obecność Mary. To, co przed chwilą stało się z Makalą - nie wiedział teraz, jak na to zareagować.

- Dyrektorze Hunt?

- Tutaj.

John wszedł do jego gabinetu i nagle stanął jak wryty.

Hunt wyglądał tak, jakby postarzał się o tyle lat, ile minęło dni od ataku. Podkrążone oczy, włosy w nieładzie... John zastanowił się nad sobą i nad tym, jak sam teraz wygląda: wciąż chodzi chybottliwym krokiem, nieogolony, brudny, wyczerpany.

- John, wyglądasz koszmarnie.

- No, jeśli nie weźmie mi pan tego za złe, to powiem, że pan też wygląda cholernie kiepsko.

Dan wskazał na krzesło. John usiadł. Zawsze lubił gabinet dyrektora. Obejrzał się i zobaczył Makalę w biurze Kim. Skinęła głową i wyszła, pokazując, że poczeka na zewnątrz.

Kiedy był tu pierwszy raz na przesłuchaniu w sprawie pracy, którą załatwił mu Bob Wright, jego uwagę przykuły trzy obrazy zawieszane na ścianie. Pierwszy był w miarę standardowym obrazem jak na gabinet dyrektora religijnej szkoły, czyli ładnie oprawionym fragmentem z fresku Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej, dłoń Boga wyciągnięta, by dotknąć dłoni Adama.

Dwa pozostałe wydawały się z innej bajki. Jeden z nich stanowił swego rodzaju połączenie tematyki religijnej z wojskową: przedstawiał Jerzego Waszyngtona, modlącego się na kolanach w śniegu w Valley Forge. Trzecim obrazem było płótno *The Nation Makers* pędzla Howarda Pyle'a - zdumiewający portret żołnierzy piechoty ruszających do boju podczas wojny secesyjnej. Żołnierze w oplakanyim stanie, lecz nieustraszeni, amerykańska flaga podziurawiona i postrzępiona, lecz niesiona mężnie naprzód, ku temu, co może być jedynie ostatecznym zwycięstwem.

Obrazy nadal wisały na ścianach, jak zwykle, lecz kiedy odwrócił się, by wyjrzeć za okno na musztrę, dzieło Pyle'a nabrało nowego znaczenia.

Dan milczał, a potem, ku zdumieniu Johna, sięgnął do dolnej szuflady biurka i wyciągnął butelkę szkockiej oraz dwa kubki do kawy.

- Jeśli zarząd by się o tym kiedyś dowiedział, zawisłbym na stryczku - stwierdził Dan. John zastanawiał się, czy mówi poważnie, czy jedynie żartuje. Na terenie kampusu od zawsze obowiązywał zakaz spożywania alkoholu.

John wziął kubek i poczekał, aż Dan naleje do niego kilka kropel. Potem podniósł naczynie.

- Niech żyje Republika, niech Bóg ma ją w swej opiece - wznosił toast Dan.

Obaj wypili trunek do dna za jednym zamachem. Dan głośno wypuścił powietrze, stawiając pusty kubek na biurku.

- Co u ciebie słyhać, John? - zapytał.

- No cóż, pewnie pan wie, że na jakiś tydzień wypadłem z obiegu.

- Napędziłeś nam stracha, John. W kaplicy w ciągu ostatniego tygodnia wielebny Abel i uczniowie codziennie modlili się za ciebie.

- Cóż, zdecydowanie mi to pomogło - odrzekł John, spoglądając na swoją rękę. - A co z zajęciami? Nadal są prowadzone?

Dan pokręcił głową.

- Pamiętaj, że większość z naszych wykładowców mieszka mile stąd. Wszystkie zajęcia zawieszono.

- Ale i tak codziennie odprawiacie msze w kaplicy.

- Częściej niż normalnie - odparł Dan cichym głosem.

To było budujące, cholernie budujące, pomyślał John.

W pewnym sensie łączyło ich z tym, co było wcześniej. Poza tym tak już jest, że w czasach kryzysu kościoły znowu zapełniają się ludźmi. W niedzielę po zamachu z jedenastego września, jak pamiętał John, mała kapliczka w Swannanoa, do której jeździł z Mary, pękała w szwach od tłumów, które wylewały się nawet na zewnątrz.

- Pomyślałem, że powinienem tu wpaść i zobaczyć, jak się sprawy mają na kampusie. Przecież to jest moje miejsce pracy - na chwilę urwał, po czym dodał: - Nie, tak naprawdę, na wiele różnych sposobów, to jest moje życie. Zastanawiałem się, czy jest coś, w czym mógłbym pomóc.

- Doceniam to - odezwał się Hunt łagodnym tonem - ale sądzę, że masz teraz na głowie wiele innych obowiązków.

John milczał.

- Słyszałem o roli, którą pełnisz w tym, co ludzie teraz nazywają Radą. I bardzo dobrze, moim zdaniem. Potrzebują kogoś takiego jak ty, skup się więc na tym i nie martw o nas.

- Ale to są moi uczniowie. Martwię się o nich, Z zewnątrz dobiegło ich echo głosu Washingtona, który akurat kogoś beształ. Znowu brzmiał jak sierżant marines szkolący rekrutów - w głosie miał odpowiednią dawkę sarkazmu, lecz z szacunku dla tradycji kampusu, przynajmniej nie dorzucał do swojej przemowy komentarzy o ewidentnie seksualnym zabarwieniu, trącających skatologią czy po prostu obscenicznymi.

- Aby przeżyć, aby utrzymać tych uczniów przy życiu, musimy zająć się czynną służbą - wyjaśnił cicho Dan. - Ale za tym kryje się coś więcej.

John wstał i podszedł do okna, trzymając w ręku pusty kubek. Obserwował

Washingtona, który skończył przegląd, a teraz serwował dzieciakom musztrę marszową.

- Więc o co tu chodzi? - zapytał John.

- To pierwszy pluton kompanii A oddziałów militarnych Black Mountain - odparł Dan.

- Że co?

- To, co powiedziałem. Charlie Fuller i ja doszliśmy w tej sprawie do porozumienia kilka dni temu. Na razie zwerbowaaliśmy stu pięćdziesięciu młodych. Dwa pozostałe plutony aktualnie biegają w ramach ćwiczeń. Utworzylibyśmy więcej oddziałów, ale na razie mamy tylko tyle sztuk broni. Kompania B zacznie się formować w momencie, gdy zdobędziemy więcej pistoletów i karabinów.

- Czy to nie lekka przesada? - zapytał John. - Do diabła, wiem, że Washington to równy gość, w zasadzie wspaniały człowiek, ale Dan, spójrz, co on tu robi! Podnieca się starymi wspomnieniami. Myśli, że to powtórka z Parris Island czy Khe Sanh?

- Prawdę mówiąc, tak, John. Pewnie słyszałeś o zamieszkach przy przełęczy.

- Słyszałem.

- To właśnie wtedy Charlie podjął decyzję, pewnie za namową Washingtona. Potrzebujemy armii.

John westchnął.

- Jeszcze trzy tygodnie temu te dzieciaki przysypiały na zajęciach, próbowały wymknąć się na Lookout Mountain ze swoją dziewczyną czy chłopakiem oraz, przypuszczalnie i teoretycznie, uczyły się do egzaminów. A teraz robimy z nich żołnierzy?

- Byłem młodszy od nich, kiedy mi to urwało! - warknął Dan, klepiąc się po lewej nodze. John usłyszał głuchy odgłos uderzenia. - Sam byłeś porucznikiem w wieku dwudziestu dwóch lat.

- Jasne, ale Dan, to jest college! Mały chrześcijański college położony w górach w Karolinie Północnej. Moim zdaniem coś tu nie gra.

- Gdzie na terenie całej doliny znajdziesz czterystu młodych mężczyzn i kobiet, w dobrej kondycji, na cholernie wysokim poziomie umysłowym, już zarażonych poczuciem solidarności ze swoją uczelnią i tymi, którzy im przewodzą, czyli ludźmi takim jak ja, ty, Washington?

- Nie wiem - westchnął John, obserwując jak kolumna ćwiczy marsz flankowy; dwie dziewczyny się pomyliły, Washington od razu doskoczył do nich i ochrzanił tak mocno, że jedna z dziewczyn rozplakała się, kiedy próbowała dalej maszerować.

- Mieliśmy tutaj sześciuset uczniów, zanim szlag to wszystko trafił - powiedział Dan,

stając obok Johna przy oknie i obserwując musztrę studentów. - Około stu pięćdziesięciu odeszło. Postanowili spróbować wrócić do swoich domów. To było naprawdę trudne. Zwołaliśmy zebranie w kaplicy. Mnóstwo modlitw, głębokich dylematów. Namawiałem ich, by zostali. Mówiłem, że ich rodzice też by sobie życzyli, aby tu zostali, dopóki nie skończy się kryzys, ponieważ wiedzieliby, że ich dzieci tu, na kampusie, są bezpieczne. Większość z tych, którzy postanowili odejść, to miejscowi, mieszkają jakiś dzień wędrowki stąd. Ale było też kilka osób z Florydy, które czuły, że muszą spróbować dotrzeć do domu.

John pokręcił głową. Ci z Florydy prawdopodobnie stanęli teraz twarzą w twarz z tysiącami osób, które kroczyły w przeciwnym kierunku.

- Reszta zgodziła się zostać. Pamiętasz, jak kilka lat temu prowadziliśmy dyskusję z nauczycielami na temat potrzeby zorientowania naszej uczelni bardziej na służbę? Mamy kilka innych college'ów w okolicy, które trąbią wszem i wobec o swej szlachetnej służbie na rzecz dobra wspólnego, więc wpisaliśmy do programu zajęć prace społeczne. I tego się teraz trzymamy.

- Dan, jest gigantyczna różnica pomiędzy tym, że uczniowie udzielają się w schroniskach dla bezdomnych albo ośrodkach opieki dziennej, a musztrą żywcem wyjętą z wojska!

- Śmiem się nie zgodzić, John. Jak mówi stara piosenka, czasy się zmieniają...

Kolumna studentów zawróciła i z powrotem maszerowała przez trawnik, trzymając broń przy ramieniu. Ten widok przeszył Johna zimnym dreszczem. Przeniósł wzrok na obraz Pyle'a, a potem znowu na studentów.

Mój Boże, pomyślał, nie ma różnicy. Tradycja musztry marszowej stanowiła główne wspomnienie pozostałe po czasach, gdy wojska rzeczywiście w taki sposób ruszały do boju, ramię w ramię. W dzisiejszych czasach chodziło ponoć o dyscyplinę i ducha walki oraz przynajmniej umiejętność maszerowania. Ale scena za oknem nie różniła się niczym od tego, o czym perorował z takim entuzjazmem na spotkaniach Koła Miłośników Wojny Secesyjnej i co widział podczas inscenizacji historycznych.

Nie, mimo wszystko dostrzegał jedną zasadniczą różnicę: to nie była inscenizacja, tylko rzeczywistość. Washington, kiedy skończy musztrę marszową, zacznie im wpajać elementarne zasady taktyki wojennej. Strzelanie, ruch, utrzymywanie stałej pozycji, padanie na ziemię podczas wymiany ognia, taktyka ataku na dużo większe siły wroga, oddawanie celnych strzałów, dowództwo w czasie walki, udzielanie pierwszej pomocy, taktyki infiltracyjne, walka wręcz, metody zabijania wroga nożem oraz zabijania gołymi rękami.

Widok tych młodych ludzi przechodzących musztrę zrobił na nim takie samo

piorunujące wrażenie, jak to, co był zmuszony zrobić w parku tydzień temu.

- Washington bardzo cię ceni - rzucił Dan. - A propos, opowiedział mi o tym, co miało miejsce w parku. Mówił, że świetnie to zniosłeś.

- Świetnie zniosłem? Prawie wyrzygałem swoje flaki!

- Nie, nie o to chodzi. Kiedy pierwszy raz kogoś zabijasz, ale masz serce, a w nim choćby odrobinę Boga, powinien to być dla ciebie horror.

Spojrzał w dal.

- Straciłem nogę w czasie ofensywy Tet w Wietnamie. Dzień wcześniej przecierałem szlak dla naszego oddziału. Skręciłem ze ścieżki i zobaczyłem... - westchnął, kręcąc głową. - Pamiętasz taki wiersz Thomasa Hardy'ego?

John przytaknął.

- „Ja strzeliłem do niego, on do mnie - on chybił, ja nie...” - zacytował.

- Trafiłem go pierwszy - ciągnął Dan. - Przecierał szlak dla swojej jednostki i po prostu wpadliśmy na siebie. Zanim nawet pomyślałem, wpakowałem w niego cały magazynek mojego M-16. Rozpętała się strzelanina, padłem na ziemię, leżałem przy nim i słyszałem, jak rozpaczliwie łapie powietrze. Wiesz, co usłyszałem?

John milczał, choć w myślach zgadywał.

- Wzywał swoją matkę. Znałem na tyle ich język, żeby się domyślić...

Urwał. John dostrzegł w jego oczach łzy.

- Ten dzieciak, którego zastrzeliłem - zaczął John - zdecydowanie w ostatnich chwilach swego życia nie myślał o swojej matce. Umarł przeżarty nienawiścią.

- Ale być może teraz inaczej na wszystko patrzy - odparł Dan. - Wiem, że niektóre osoby nie podzielają mojego poglądu, ale ja nie potrafię myśleć o Bogu jako o kimś, kto nie przebacza...

John próbował się uśmiechnąć. Na uczelni były osoby, które miały raczej tradycyjne, niezmiennie poglądy na temat zbawienia, Dan nigdy wcześniej nie wyraził głośno swojego zdania w tej kwestii. W pewnym sensie było to pocieszające, ponieważ wspomnienie ostatnich sekund życia tego wynaturzonego, skrzywionego psychicznie dzieciaka prześladowało Johna jak wciąż powracający koszmar.

- Washington powiedział mi o tym, jak na to wszystko zareagowałeś. Powiedział to też twoim studentom. Pamiętaj, że to jest szkoła chrześcijańska i mogłoby to zostać źle przyjęte, gdyby się okazało, że wykonałeś wyrok z zimną krwią. Tak więc twoje przeżycie posłużyło nam jako nauka, John, ale również twoje słowa zrobiły na nas wielkie wrażenie. Washington, a potem Charlie Fuller, powiedzieli mi, że był to moment przełomowy dla naszej

społeczności. Charlie podjął słuszną decyzję, ale nie wiedział, jak ją podjąć a potem prawidłowo wprowadzić w czyn. - I ty zrobiłeś to za niego - kontynuował Dan. - W tamtym momencie mogliśmy się pograć, zamienić w motłoch albo, co gorsza, w motłoch, który byłby gotów pójść za swoim przywódcą. Nawet jeśli byłby to ktoś obdarzony dobrym sercem, tak jak Charlie, i tak podążylibyśmy za nim pchani żądzą krwi i wtedy właśnie zaczęlibyśmy zjeżdżać po równi pochyłej. Jesteś historykiem, więc wiesz, że spośród wszystkich rewolucji w historii ludzkości tylko garstka odniosła prawdziwy sukces, czyli zachowała swojego ducha, pierwotny zamysł.

Dan wskazał ręką obraz przedstawiający prezydenta Waszyngtona klęczącego w śniegu. John uznał to za trochę zbyt melodramatyczne.

- Nie sądzę, żebyśmy stali na progu rewolucji - zaproponował. - Po prostu staramy się przeżyć do momentu, aż zostanie przywrócony jakiś porządek. Czekamy na przywrócenie łączności i wystarczającą ilość pojazdów na chodzie, żebyśmy mogli znowu połączyć się w jeden naród.

- Lecz założmy, że to nigdy nie nastąpi... - powiedział Dan cichym głosem.

- Jak to?

- Po prostu, John. Założmy, że ten dzień nie nadejdzie. Założmy, że stara Ameryka, nasza wspaniała ojczyzna, którą tak bardzo kochaliśmy, osiemnaście dni temu, o godzinie 16.50, zginęła. Umarła z powodu samozadowolenia, zaślepienia, nieumiejętności stawiania czoła brutalnej rzeczywistości, w której zanurzony jest świat. Umarła z powodu egocentryzmu. Założmy, że Ameryka umarła tamtego dnia.

- Na miłość boską, Dan, nie gadaj takich rzeczy! - zachnął się John.

- Cóż, John, ja uważam, że Ameryka naprawdę umarła. Moim zdaniem nasi wrogowie kompletnie nas zaskoczyli. A powinniśmy to byli przewidzieć. Założę się, że po Kongresie krążyły setki raportów przestrzegających przed tym, co się stało, a eksperci, którzy naprawdę znają się na rzeczy, na pewno bili na alarm. Przecież to się przytrafia wszystkim krajom, wszystkim cesarstwom w historii. Do diabła, sam jesteś historykiem, doskonale o tym wiesz. A w momencie, kiedy coś takiego się przytrafia, nikt nie może uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Ludzie nie są w stanie pojąć, jak ich wielkość i wspaniałość może zostać upokorzona przez innych, na których patrzyli dotąd jak na gorszych, jak na ludzi bez znaczenia, zacofanych tak bardzo, że nie mogą stanowić zagrożenia. Doskonale o tym wszystkim wiesz. Jedenasty września czy Pearl Harbor w porównaniu z tym teraz były jak ukąszenia komara.

- Najazd Mongołów na wschodnią Europę w 1241 roku - dodał John cichym głosem. -

Chrześcijańscy rycerze, kiedy pierwszy raz ujrzeli Mongołów w bitwie pod Legnicą, ponoć zrywali boki na widok swoich przeciwników, na koniach tak malutkich, że przypominały kucyki. Te kucyki miały być zmiążdżone przez pierwszą szarżę ciężkozbrojnej jazdy. Zniżyli swoje kopie, ruszyli z kopyta, a po chwili Mongołowie zdziesiątkowali ich swoimi łukami refleksyjnymi, o których nikt w Europie wtedy nie słyszał. Każda strzała leciała przez prawie pięćdziesiąt metrów i miała energię kinetyczną jak strzał oddany z broni kaliber 38. Mongołowie rozgromili tamtego dnia kwiat rycerstwa Europy.

Dan kiwnął głową.

- To samo z francuskimi rycerzami, którzy kpili z angielskich łuczników - wyliczał dalej John. - Albo Brytyjczykami naśmiewającymi się z nas pod Monmouth czy Cowpens. Niemcy pogardliwie zlekceważyli Rosjan w 1941 roku.

- No i jeszcze my w Wietnamie - dodał Dan cichym głosem - mimo że to nie była wojna w imię przetrwania naszego narodu, ale dla nich zdecydowanie była. Pamiętam, jak poleciałem tam naszpikowany bzdurami o tym, że zmieciemy żółtków z powierzchni ziemi. Skończyło się tym, że od tamtej pory nie mogę normalnie chodzić. Ci młodzi, na zewnątrz, będą walczyć o nasz kraj, John - ciągnął Dan. - Niektórzy z naszych profesorów mogą myśleć, że sprzedałem ten college społeczności, ale do diabła z nimi. Od razu przychodzi mi na myśl college po sąsiedzku, który wypuścił w świat wielu specjalistów od studiów pokojowych i rozwiązywania konfliktów i gdziekolwiek urządzano jakiś protest przeciwko naszej armii, zawsze się tam pojawiali, jakby to było ich obowiązkiem. A jeśli pojawiłby się tam człowiek werbujący rekrutów, pewnie by go pobili, oczywiście wszystko w imię pokoju. Wyobrażasz sobie, żebyśmy ty albo ja dostali pracę na takiej uczelni? Różnorodność służyła im dopóty, dopóki człowiek powtarzał za nimi słowo w słowo ich śpiewkę, zgodną z ich światopoglądem, ale teraz nadszedł czas próby.

Prychnął drwiąco.

- Nie mają szans na przetrwanie. Założę się, że dziś u nich na kampusie studenci siedzą jak francuscy arystokraci w Wersalu, gdy rozwścieczony tłum gromadził się pod bramami. Założę się, że śpiewają teraz *Give peace a chance*, mimo że przymierają głodem... Nie pozwolę, żeby to samo stało się z moimi uczniami - oświadczył Dan chłodnym głosem. - Dzięki temu przetrwa również nasza społeczność. Sto pięćdziesiąt osób w kompanii A. Kolejne sto osób w kompanii B, kiedy dostaniemy już broń. Przy okazji, przyjrzyj się im dokładnie, a zobaczysz, że niektórzy z nich noszą ze sobą kopie broni z okresu wojny domowej. Inni wykonują prace społeczne albo pracują przy równie ważnych projektach. To nasi wychowankowie pomogli zapanować nad epidemią salmonelli. Zgromadziłem już

grupkę dzieciaków, która rąbie drewno na opał na zimę, bo profesor Darby razem z całym wydziałem *Outdoor Education* uważa, że możemy zmodernizować kilka starych bojlerów, aby móc palić drewno w tym budynku i bibliotece i mieć ogrzewanie parowe. Potrzebujemy jednak ponad trzysta sągów drewna. Profesor Lassiter wspomina o zainstalowaniu turbiny wodnej na zaporze nad jeziorem Susan. Uważa, że do jesieni uda nam się ją uruchomić i tym sposobem będziemy mieć prąd.

John nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

Większość miast w okolicy właśnie w ten sposób została zelektryfikowana ponad sto lat temu. Przyjeżdżający tutaj przedsiębiorcy sprzedawali społeczności generatory, pokazywali, jak podłączyć je do zapory wodnej, przeciągnąć kable i nagle stawał się cud - bo wówczas prąd był cudem.

- Profesor Sonnenberg powiedział mi, że w naszej szkolnej bibliotece są stare egzemplarze pisma „Scientific American”, nawet z połowy XIX wieku, jak również stare numery „Popular Mechanics”. Na ich kartach opisane są plany sprzed osiemdziesięciu lub stu lat, jak budować radioodbiorniki, telegrafy, silniki parowe i spalinowe, baterie. Są tam opisy prawie każdego nowego odkrycia w chemii. W naszej bibliotece mamy niemal każdy cholerny numer „Mother Earth News”, no i książki Foxfire - zaśmiał się Dan. - Większość innych profesorów patrzy na takie pisma z pogardą, ale wcześniej, zanim do nas dołączyłeś, pracował u nas mój stary, ukochany profesor. Już nie żyje, jednak zdecydowanie był, jak mawiają młodzi, starym hipisem. Zostawił nam kopalnię złota! Instrukcje, jak znajdować pożywienie, jak je konserwować, jak przechowywać. Wysłaliśmy już kilka grup uzbrojonych w te książki. Zbierają tyle pożywienia, żebyśmy mogli utrzymać się - przy życiu. Trudno w to uwierzyć, John, ale szaszłyk z grzechotnika wcale nie jest taki zły... To wszystko mamy pod nosem, musimy tylko się po to schylić. Prawda jest jednak taka, że ktoś musi tego miejsca bronić, i robią to nasi uczniowie. A jeśli zajdzie taka potrzeba, przynajmniej odwloką w czasie...

- Co odwloką w czasie? Przecież przejścia są zabezpieczone.

- Ale wiadomo ci o starciach przy przejściach, prawda? - zapytał Dan.

- Tak.

- Mieliśmy na razie do czynienia z niezorganizowanym tłumem. Krążą jednak plotki, że grupy zaczynają się organizować. Większość z nich to po prostu przestraszeni ludzie łączący się, by przeżyć oraz bronić się nawzajem, czyli chodzi im dokładnie o to, o co nam tutaj. Ale docierają do nas też pogłoski o jakichś sektach, John. Kierująca się na wschód rodzina z Tennessee, której pozwolono wczoraj tędy przejść, powiedziała, że na terenie

Knoxville jakiś człowiek chodzi i rozpowiada, że to jest początek świętej wojny.

- Pozwól, że zgadnę. Ten człowiek stawia ultimatum: albo do niego dołączysz, albo zginiesz.

Dan przytknął.

- Mówi, że tuż przed tym, jak wysiadł prąd i wszystko inne, ukazał mu się Jezus i powierzył misję. Rzekomo jest on teraz nowym Janem Chrzcicielem mającym za zadanie przygotować grunt dla powrotu Chrystusa. O dziwo, dobry Boże, podobno zwerbował już setki zwolenników, zabijających tych, którzy mają czelność się z nimi nie zgadzać.

- Wystarczyło osiemnaście dni, żeby do tego doszło - westchnął John.

Dan położył mu dłoń na ramieniu.

- John, pamiętaj o słowach z Pisma Świętego: „Jest czas wojny i czas pokoju...”.

- A więc mamy powtórkę z historii. Znowu musztrujemy młodzież. Chciałbym myśleć, że dziś na obszarze całej Ameryki istnieje tysiąc tego typu grup, szkolących się pod kątem tego, by chronić cywilizację, żebyśmy nie stali się dzikim tłumem, w którym je ten, kto jest silniejszy od bliźniego, albo w którym ludzie wyznają się nawzajem w obłądnym amoku wywołanym przez szaleńców.

- To dlatego ci młodzi ludzie za oknem są musztrowani i dlatego chcę, żebyś był ich dowódcą.

- Ja? - zapytał John, nie dowierzając temu, co właśnie usłyszał. - Do diabła, przecież to ty masz jasną wizję tego wszystkiego!

- Ja jestem dyrektorem college'u - odparł Dan z uśmiechem. - Dyrektorem z jedną nogą.

- Jesteś rannym weteranem wojennym - poprawił go John ostrym tonem.

- Nie, głupim jak but osiemnastolatkiem z Mocksville w Karolinie Północnej, tak tępym, że nie zauważył ukrytej linki i zdetonował minę. Ale dostałem rentę inwalidzką i skoro już nie mogłem ani biegać, ani grać w piłkę, uświadomiłem sobie, że muszę być kimś innym. I tak oto trafiłem tutaj.

Zamyślił się na chwilę, a potem spojrzał na Johna i ciągnął dalej:

- Widzę w tobie naszego przywódcę, John. Charlie to dobry facet, cholernie prawy człowiek, ale skupia się na chwili obecnej, na tym, by społeczność przeżyła, i chwala mu za to! Ale potrzebujemy czegoś więcej. Potrzebujemy kogoś, kto ma wizję. Kogoś, kto, by zacytować piosenkę Aria Guthriego, sięga wzrokiem aż po „marzenia patriotów...”. Cieszysz się teraz szacunkiem u wszystkich mieszkańców miasta. U uczniów, członków naszej społeczności, u policjantów, Charliego, u wszystkich.

- Dlaczego? - rzucił John chłodnym tonem. - Dlatego, że odwalilem brudną robotę i rozpieprzyłem głowę jakiemuś ćpunowi?

- Z powodu tego, co powiedziałaś, zanim rozpieprzyłeś mu głowę, jak to brutalnie ująłeś. Może życie tego biednego, opętanego przez diabła chuligana nie było bezcelowe. Może było po to, by dać ci tamtą chwilę... U niektórych ludzi fakt, że go zastrzeliłeś, wywołał poczucie strachu i podziwu. Ale reszta z tych, którzy słyszeli twoje słowa, nigdy ich nie zapomni. To ci daje władzę, John. Poza tym przecież uzyskałeś rangę pułkownika i proponowano ci awans, pierwszą gwiazdkę na epoletach, ale zrezygnowałeś dla dobra Mary. Rodzina Mary to bardzo stara tutejsza rodzina; to, że odrzuciłeś możliwość zostania generałem, ponieważ chciałeś przywieźć żonę do domu, było sensacją, całe miasto tylko o tym mówiło. I chyba już pierwszego dnia zauważyłeś, że wszyscy cię tu poważają.

Szczerze mówiąc, John wcale tego nie dostrzegał, był za bardzo skupiony na Mary i nieco rozgoryczony, że ludzie dzierżący władzę w Pentagonie nie pomogli mu rozwiązać jego problemu. Ale to wszystko stare dzieje. Z wielu powodów, szczególnie teraz, John dziękował Bogu, że wylądował w Black Mountain.

- Dan, całe moje doświadczenie wojenne sprowadza się do stu godzin w czasie operacji Pustynna Burza. Niemal przez cały czas siedziałem zamknięty w czołgu i dyrygowałem akcją na odległość. Tylko raz trochę mną zatrzęsło, kiedy bomba spadła sto metrów ode mnie. I to wszystko. Mianuj dowódcą Washingtona, to on specjalizuje się w szkoleniu szeregowców, to on był w Hue.

- Washington nie chce tej funkcji. W pełni zgadza się za to z tym, co ci teraz mówię. Niedawno mi to wytłumaczył, kiedy zaczęliśmy planować utworzenie tego oddziału i na wierzch wypłynęła kwestia dowództwa. Pozostawiłem tę sprawę otwartą, myśląc początkowo, że rzeczywiście weźmie to na swoje barki, ale natychmiast stwierdził, że ty będziesz idealnym kandydatem.

- Co dokładnie powiedział?

- Śmiał się, że co prawda on jest najlepszym instruktorem musztry w szeregach marines, ale że do dowodzenia armią potrzeba czegoś więcej. Powinien to być ktoś wykształcony, kto umie zachować zimną krew w trudnej sytuacji, kto studiował historię wojskowości i potrafi swoją wiedzę spożytkować w przypadku kryzysu. To naturalnie wskazuje na ciebie, John. Moim zdaniem, jeśli dojdzie do poważnego starcia, Washington powinien walczyć na pierwszej linii, ale za plecami mieć kogoś takiego jak ty.

- I tak uważam, że byłby lepszym dowódcą.

- John, on jest niczym von Steuben, który pomógł Waszyngtonowi w czasie wojny o

niepodległość. Dowodzenie to twoje zadanie. Charlie zgodził się, że jeżeli nastąpi sytuacja kryzysowa wymagająca interwencji policji, ty będziesz na jej czele.

- Dzięki, o niczym innym nie marzyłem...

- John, gdybyś naprawdę o tym marzył, pewnie nie bralibyśmy cię w ogóle pod uwagę. Szukaliśmy kogoś, kto będzie to postrzegał jako służbę, a nade wszystko, kogoś, kto nawet broniąc teraz tej społeczności, będzie myślał perspektywicznie... John, marzymy o Ameryce - kontynuował Dan. - Chcemy, żeby Ameryka przysłała do nas. Choć osobiście uważam, że już nigdy nie przyjdzie. Ameryka, którą znaleźliśmy, umarła wraz z wybuchem tych głowic nuklearnych. A jeśli tak się sprawy mają, spoczywa na nas obowiązek, by nie czekać, lecz zamiast tego odbudować Amerykę, taką, jaką chcemy mieć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dzień 35

Wśród tłumów, które zebrały się wokół ratusza, panowała świąteczna atmosfera. John zaparkował przed remizą strażacką na swoim stałym miejscu.

Wozy strażackie, które ponad miesiąc temu zostały wyprowadzone na zewnątrz, aby zrobić miejsce dla kryzysowych zapasów upchniętych wewnątrz budynku, nadal stały w miejscu, bez ruchu i już nie błyszczały w słońcu, nieco zakurzone. Do błotnika jednego z nich zostały uwiązane konie.

Tłum na coś oczekiwał. Kiedy ludzie ujrzeli zbliżającego się Johna, nieco się odsunęli i z szacunkiem mu się kłaniali.

Te trzydzieści pięć dni odcisnęły piętno na wyglądzie mieszkańców miasta. Ich twarze były bardziej wychudzone, niektóre stały się wręcz wynędzniałe. Ubrania były, ogólnie rzecz biorąc, brudne i przesiąknięte potem. Mieli tłuste włosy. Wielu mężczyzn zaczynało zapuszczać brody. Od wszystkich bił odór. John zastanawiał się, czy rzeczywiście ludzie sto lat temu wydzielali tak ohydny zapach, czy może jeszcze trzydzieści sześć dni temu wszyscy byli przyzwyczajeni do nadmiernej czystości. Używali dezodorantów, by nie „urazić” bliźnich. I przynajmniej raz, a w lecie nawet dwa razy dziennie brali prysznic.

Czy teraz ten brzydki zapach stał się już normą? Czy tak właśnie brzydko pachniał Waszyngton, Jefferson i Abraham Lincoln? Czy stało się to czymś na tyle normalnym, że nikt już tego nie zauważał?

W drzwiach policyjnej części gmachu pojawił się Tom z uśmiechem na twarzy.

- Działa!

Tłum wydał z siebie okrzyk radości. Wielu zebranych zaczęło przepychać się w stronę wejścia i okien, by zajrzeć do sali konferencyjnej, tak jakby to, co znajdowało się wewnątrz, było jakimś cudem.

John przedarł się przez tłum i wszedł do budynku.

- Zaczynamy za kilka minut, ale w międzyczasie nacieszmy się tym - rzucił Tom.

John wkroczył do sali konferencyjnej i nie umiał powstrzymać uśmiechu na widok starego telefonu na korbkę przyczepionego do ściany.

- Tak, tak, słyszę cię! - krzyczał zgarbiony nieco Charlie ze słuchawką w jednej ręce. - Tak, słyszę cię. Działa. A teraz dalej montujcie kable. Tak, bez odbioru. Do usłyszenia..

Odłożył słuchawkę i odwrócił się twarzą do zebranych.

- Mamy system telefoniczny!

Przez tłum, nawet ten zebrany na zewnątrz, przetoczyła się fala entuzjazmu i aplauzu.

John spojrział na urządzenie wygrzebane ze sklepu z antykami, tak jak zasugerował. Podobny aparat zainstalowano w komisariacie w Swannanoa. Wymagało to pracy tuzina monterów, starszych pracowników firmy telekomunikacyjnej. Kilku z nich było uchodźcami, których przepuszczono przez przełęcz.

Światłowody i nowoczesne przewody elektryczne na nic by się nie zdały. Musieli znaleźć staromodny miedziany drut, co było trudnym zadaniem, lecz kawałeczki uzbierano z rozmaitych źródeł. Szczęśliwym trafem znalazła się długa na kilka mil, stara, porzucona linia telefoniczna lub telegraficzna, biegnąca wzdłuż torów kolejowych. Drut musiał być ostrożnie połączony, a potem naciągnięty na szkłe lub ceramiczne izolatorach. Większość z nich zrobiono z butelek po napojach gazowanych.

To była dopiero pierwsza linia. Teraz ambicją było dociągnięcie kabli aż do Asheville. To niewiarygodne, ale znaleziono starą centralkę telefoniczną w piwnicy wnuczki telefonistki z lat dwudziestych XX wieku. Podobno kiedy w latach pięćdziesiątych stary system został odesłany do lamusa, owa starsza pani zabrała sobie tę tablicę rozdzielczą do domu na pamiątkę. Teraz kilku pracowników firm telekomunikacyjnych próbowało sobie przypomnieć, jak to wszystko połączyć, by centralka mogła obsługiwać dziesiątki telefonów.

Były też inne osiągnięcia. Na jednym ze złomowisk w Swannanoa odnaleziono ciągnik siodłowy z wczesnych lat sześćdziesiątych napędzany silnikiem dieslowym i z powodzeniem przywrócono go do życia. Przy okazji wywiązała się burzliwa dyskusja na temat tego, kto powinien otrzymać ten pojazd. Ostatecznie zwyciężyła straż pożarna i na platformie ustawiono węże strażackie, drabiny i inne sprzęty. Rozgryziono nawet kwestię tego, jak używać silnika jako źródła mocy potrzebnej, by uruchomić pompę wodną.

Zagrożenie pożarowe stało się prawdziwą zmorą miasteczka. Ci, którzy nadal dysponowali żywnością, gotowali ją, paląc drewnem, stąd pożary domów i lasów stały się zjawiskiem nagminnym. W Black Mountain w miejscach leżących poniżej poziomu zapory na sztucznym jeziorze nadal było odpowiednie ciśnienie wody. Lecz ludzie mieszkający wyżej musieli sami taszczyć wiadra wody, dlatego wszyscy zaczęli zamartwiać się tym, że byle pożar domu może przerodzić się w pożar lasu, nad którym nie sposób będzie zapanować.

Pomiędzy Black Mountain a Swannanoa kursowało teraz ponad sto pojazdów i

codziennie ich przybywało. Spora grupka mechaników nauczyła się obchodzić lub eliminować elektronikę, zwłaszcza w przypadku samochodów, które w minimalnym stopniu polegały na nowoczesnej technologii. Wystarczyło wetknąć stare części zamienne, aby silniki znowu zawarczały.

Sklep z motorowerami osiągał świetne wyniki, jeśli chodzi o przywracanie tych stosunkowo prostych maszyn do życia, to samo tyczyło się starszych modeli motocykli.

Na jezdniach pojawiło się już tak wiele pojazdów, że w sklepie Smiley's został zamontowany stary generator, żeby znowu mieć dostęp do benzyny z podziemnych zbiorników.

Smiley's stał się czymś na kształt dawnego sklepu wielobranżowego. Towaru było tam tyle, co kot napłakał, z wyjątkiem legendarnych już papierosów, które Hamid wydawał na sztuki w zamian za martwą wiewiórkę, stare srebrne monety lub jakąkolwiek inną rzecz, która zainteresowała Pakistańczyka.

John teraz prawie już żałował tego, że pierwszego dnia zachował się zgodnie z zasadą fair play. Powinien był kupić tuzin kartonów papierosów. Zostało mu już tylko pięć paczek. Wydzielał sobie teraz nie więcej niż pięć papierosów dziennie.

- No dobra, wiara, czas na naradę, proszę opuścić salę! - ogłosił Charlie.

Ci, którzy zebrali się w środku, by pogapić się na telefon, niechętnie opuścili pomieszczenie. Charlie zamknął okna i opuścił zasłony.

W sali zostali stali członkowie rady. Charlie, Tom, Kate, doktor Kellor i John. Carl i Mike ze Swannanoa przyjeżdżali tylko wtedy, gdy omawiano sprawy bezpośrednio dotyczące ich miasta. Dzisiaj jednak mieli na głowie pożar lasu przy strumieniu Haw Creek. Istniało niebezpieczeństwo, że ogień przerodzi się w prawdziwe piekło.

Zaczęli od rytuału, który przeforsował John - cała grupa stanęła twarzą do amerykańskiej flagi stojącej w kącie sali i wyrecytowała tekst ślubowania wierności, następnie Kate odmówiła krótką modlitwę i Charlie ogłosił, że można zacząć naradę.

- Nie chcę wychylać się z czymś jak narwaniec, ale mam bardzo ważną sprawę - odezwał się John.

- O co chodzi?

- Mam wieści z zewnątrz.

- Na miłość boską, człowieku, i dopiero teraz o tym mówisz? - zapytał Charlie.

- Wszyscy byli tak podekscytowani telefonem i cóż, prawdę mówiąc, nie wszystko, co mam do przekazania, to wesołe informacje.

- Nie każ się prosić, John - sapnęła Kate.

- Złapałem coś w radiu. To była rozgłośnia Głos Ameryki.

- Kiedy?! - zawołała burmistrz.

- Zeszłej nocy jechałem autem i bawiłem się pokrętle. Złapałem stację, bez żadnych zakłóceń.

- Stacja radiowa?! - krzyknął Charlie. - Mów, co wiesz. Boże, znowu mamy radio!

- To stary radioodbiornik w edselu. Po prostu bawiłem się gałką i nagle usłyszałem audycję, sygnał głośny i czysty, stara częstotliwość obrony cywilnej. Siedzieliśmy i słuchaliśmy jej przez pół godziny czy coś koło tego, a potem widocznie przez złe warunki atmosferyczne straciliśmy sygnał.

- My? - zainteresowała się Kate.

John nie odpowiedział. Wczoraj Makala przyjechała na obiad i rzucić okiem na Jennifer. John odwiózł ją z powrotem do centrum konferencyjnego, które teraz pełniło funkcję domu opieki i miejsca kwarantanny nowo przybyłych uchodźców, którzy dostali pozwolenie, by zostać w Black Mountain.

- No więc co tam się, do diabła, dzieje? - zapytał Tom.

- Nadają z lotniskowca Abraham Lincoln, który był częścią naszej floty w Zatoce Perskiej, kiedy wybuchł konflikt. Sprowadzili go z powrotem tutaj. Teraz jest zakotwiczony gdzieś u wybrzeża Stanów Zjednoczonych i stanowi główny punkt dowodzenia operacjami niesienia pomocy i odbudowywania państwa. Mówili, że pomoc jest w drodze. Co pięć minut powtarzali tę informację. Poza tym, powiedzieli, że w całym kraju nadal obowiązuje stan nadzwyczajny.

- To akurat wiedzieliśmy już wcześniej - skomentowała Kate.

- Jakiego rodzaju pomoc?

- Nie podali żadnych szczegółów poza tym, że artykuły pierwszej pomocy lecą z Wielkiej Brytanii, Australii, Indii i Chin.

- Indii i Chin? - nie dowierzał Charlie.

- Tak, mnie też to uderzyło jako coś dziwnego. Przecież wcześniej wspomiano o bombie zdetonowanej nad zachodnim Pacyfikiem...

- Z kim więc walczymy? - zapytał Tom.

- Nie powiedzieli. Podali tylko, że siły alianckie toczą walkę z Iranem, Irakiem i Koreą, ale o tym też już wiedzieliśmy. Charleston, Wilmington i Norfolk ogłoszono centrami restrukturyzacji kryzysowej.

- A co to, do cholery, oznacza? - burknął Kellor.

- Domyślam się, że za granicą mamy sprzęt wojskowy, który nie oberwał, statki, które

dysponują energią elektryczną, samoloty, przeszkolony personel... Może oznacza to, że nadciąga pomoc i koncentruje się w tych trzech punktach?

- Najbliżej nas jest Charleston, dwieście pięćdziesiąt mil stąd - westchnął Charlie. - To nam za cholere nie pomoże, ani trochę.

- Wiem - odparł John.

- A co z wojną? - zapytał Tom.

- Wspominali tylko o tych trzech miastach? - wtrąciła Kate.

- Tylko. Aha, prezydentem jest była sekretarz stanu. Teraz ona rządzi.

Nikt tego nie skomentował.

- Podobno prezydent zginął na pokładzie Air Force One. Samolot nie był wystarczająco uodporniony na działanie impulsu elektromagnetycznego. Nie powiedzieli, co się stało z wiceprezydentem i rzecznikiem rządu.

- Żadna z tych informacji nie ma bezpośredniego wpływu na nas - zauważył Charlie. Wszyscy milczeli. To dziwne, pomyślał John: prezydent kraju nie żyje, a my mówimy, że to nas nie dotyczy.

- To wszystko. Potem zaczęli grać muzykę.

- Co? - zdziwił się Charlie. - Muzykę?

- Patriotyczne utwory. *God Bless America*, a potem *Battle Hymn of the Republic*.

John popatrzył po twarzach zebranych.

- Przynajmniej wiemy, że nasi gdzieś tam są...

- Ci legendarni „nasi” - wpadł mu w słowo Kellor - nie pomogą nam tutaj w niczym, w żadnej rzeczy, którą musimy przedyskutować.

- To, co nam przed chwilą powiedziałaś, John, wpędziło mnie w cholerną depresję - stwierdził Charlie. - Myśl o tym, że oni są tak blisko. Jeszcze półtora miesiąca temu samolot załadowany środkami medycznymi mógłby przylecieć tutaj z Charlestonu w godzinę. A teraz jest tak, jakby oni byli na księżycu... Mów dalej, doktorze.

- Wczoraj odnotowaliśmy zaledwie trzynaście zgonów - poinformował Kellor. Obecni wydali z siebie pomruk zadowolenia; była to najniższa liczba ofiar śmiertelnych, odkąd zaczęli prowadzić statystyki. - Dwa zawały serca i dwóch naszych dializowanych pacjentów. Chyba już więcej osób z tą dolegliwością nie mamy. Każdy mieszkaniec naszego miasta, który był uzależniony od dializ, nie żyje.

Zapadło milczenie.

- Zmarła też jedna osoba chora na cukrzycę.

Znowu nikt się nie odezwał, lecz John poczuł na sobie ich wzrok. Oczywiście

wszyscy z nich wiedzieli. John patrzył prosto przed siebie, nie odzywając się ani słowem.

- Trafił się nam też poród.

- Kto urodził? - zapytała Kate.

- Mary Turnbill. Zdrowa trzykilogramowa dziewczynka. Nazywa się Grace America Turnbill.

- W morde, ale ładnie! - pochwalił głośno Tom.

- Do tej pory odebraliśmy osiem porodów. Tylko w jednym przypadku zmarła zarówno matka, jak i dziecko. Nie mamy jeszcze bazy statystycznej, ale i tak wyniki są ponad normę w porównaniu z tym, co miało miejsce półtora wieku temu.

- Dobra robota, doktorze - rzekł Charlie.

- Przejdę teraz do mniej wesołych rzeczy. W pewnym sensie w tej chwili znajdujemy się, że tak powiem, w okresie karencji, ciszy między burzami. Początkowo, w pierwszych dniach po wybuchu, ludzie umierali jeden po drugim. Ci potrzebujący poważnych interwencji lekarskich, pierwsza fala śmiertelnych zatruc jedzeniem, ludzie w kiepskim stanie... jak wiecie, straciliśmy wtedy w Black Mountain i Swannanoa w przybliżeniu tysiąc dwieście osób z dziesięciu tysięcy pięciuset mieszkańców. Nadal nie dysponujemy dokładnymi danymi na temat tych, którzy dostali się do naszego miasta w ciągu kilku pierwszych dni, ale musiało być ich grubo ponad tysiąc, więc suma niech będzie dwanaście tysięcy, a po odliczeniu zgonów, jest nas około dziesięciu tysięcy.

- Nie wliczamy w to ofiar zamieszek przy przełęczy oraz uchodźców, którzy umarli za barykadą? - wtrącił Tom.

- Nie, teraz liczę tylko tych, którzy umarli z przyczyn naturalnych. Chcę powiedzieć, że ci, którzy mieli szybko umrzeć, w większości już zmarli. Przez kolejne mniej więcej piętnaście dni liczba zgonów powinna być w miarę niska, jeśli tylko zapewnimy stabilność naszej społeczności i nie nabawimy się żadnych egzotycznych paskudztw. Ale potem, i mówię to z bólem serca, znowu zaczną umierać więcej ludzi. A w ciągu miesiąca będzie gorzej, niż było nawet na początku.

Kellor zawiesił głos, wpatrując się przez chwilę w Johna; doktor znał jego sekret - wiedział, że ma zapas insuliny.

- Niemal wszyscy chorzy na cukrzycę typu 1 umrą w tym miesiącu. Apteki, ogólnie rzecz biorąc, wydawały jedną buteleczkę per capita, a buteleczek było z grubsza tysiąc. Te zapasy teraz zaczynają się kończyć. Możemy więc się spodziewać, że wszyscy z nich, około stu dwudziestu członków naszej społeczności, umrą.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Inni też umrą w tym miesiącu... Ciężko chorzy na astmę, dla których nie ma już inhalatorów, pacjenci z ciężką arytmia serca, którym zabraknie beta blokerów. Dlatego uważam, że jesteśmy w samym środku okresu spokoju, lecz niedługo uderzy w nas kolejna fala zgonów. Poza tym jest jeszcze inna sprawa, o której wielu z nas nawet nie pomyślało. Tom, lepiej zacznij się na to przygotowywać. Powinniśmy też rozważyć pomysł przerobienia jakiegoś budynku na oddział zamknięty.

- Z jakiego powodu? - chciała wiedzieć Kate.

- Ostrej psychozy.

- Masz na myśli choroby psychiczne? - zapytał Tom. - Psiakrew, przy przejściu już roi się od świrów. A w ostatnim miesiącu również od samobójców. Teraz to już chyba wszyscy mamy trochę nierówno pod sufitem.

- W ciągu kilku dni sytuacja jeszcze bardziej się pogorszy - ostrzegł Kellor.

- Kilku dni? Dlaczego?

- Mniej więcej co czwarty obywatel zażywa środki antydepresyjne lub leki niwelujące stany lękowe. Prozac, xanax, lexapro, a nawet zwykły stary lit. Większość z nich na samym początku pognęła do aptek i zrobiła zapasy, ale nawet wtedy średnio jedna osoba w najlepszym wypadku zaopatrzyła się na trzydzieści dni. A teraz te zapasy im się kończą. Dla niektórych odstawienie proszków nie będzie ciężkim przeżyciem, lecz u innych symptomy mogą być ostre i powodować halucynacje. Dodajcie do tego jeszcze stres, który na nas wszystkich oddziałuje. Jako stary lekarz mogę wam powiedzieć, że całkiem sporo osób zażywających te leki, w rzeczywistości cierpi tylko na łagodne neurozy. Są oni po prostu częścią bardzo rozpieszczonego społeczeństwa, w którym rzeczą niemal obowiązkową było posiadanie jakiegoś zaburzenia. Ale, mówiąc poważnie, mniej więcej pięć procent populacji rzeczywiście cierpi na ostre zespoły chorobowe, a u jednego czy dwóch procent występują niebezpieczne zaburzenia, które obejmują ostrą paranoję oraz prawdopodobieństwo wysoce agresywnych zachowań.

- Innymi słowy, musimy się przygotować na wybuch szaleństwa - skwitował Tom.

- To spadnie na twoją głowę - odparł Kellor - i moim zdaniem powinieneś wtajemniczyć w to swoich ludzi. W przeszłości, nie tak znowu dawno temu, nasze rodziny musiały jakoś żyć z tym, że trafił im się wujcio wariatuccio. Trzymali go przywiązanego do łóżka albo gdzieś pod kluczem, lub wywozili do szpitali stanowych, które w rzeczywistości były domami wariatów. To zresztą jeszcze starsza tradycja. Już w osiemnastowiecznej Anglii mieli taką placówkę, Bethlem Royal Hospital. Gdybyście zobaczyli stare ryciny, wiedzielibyście, że te szpitale to były istne piekła... Nie musieliśmy stawiać czoła temu

problemowi, odkąd w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zaczęto produkować wszystkie te nowoczesne lekarstwa. Ów fakt, wraz ze zmianą przepisów, która tak naprawdę zatrzymała praktykę przymusowego leczenia bez woli i zgody pacjenta, z wyjątkiem przypadków ekstremalnych, przyczynił się do tego, że tego typu ośrodki zaczęły świecić pustkami. Gdyby to wszystko, co nas spotkało, wydarzyło się pięćdziesiąt lat temu, przynajmniej stu obywateli naszego miasta znajdowałoby się pod ścisłą opieką w domu albo w instytucji państwowej. Natomiast teraz tacy ludzie są wśród nas, a leki, dzięki którym utrzymywali w mniejszym lub większym stopniu równowagę, wyczerpały się. Do tego dochodzą setki innych osób o zróżnicowanym stopniu niestabilności psychicznej. Pragnę was po prostu uświadomić, że będziemy mieć ponad tysiąc osób, które w różnym stopniu są zaburzone, przy czym ich stan nie ma związku z kryzysową sytuacją, w której się znaleźliśmy, tylko z przymusowym odstawieniem leków. Będzie około pięćdziesięciu do stu, a może i więcej, jednostek ekstremalnie niebezpiecznych dla siebie i dla otoczenia. Paranoicy, schizofrenicy, ludzie z zaburzeniami urojeniowymi oraz osoby z kryminalną przeszłością, u których zdiagnozowano obłęd, następnie przez jakiś czas leczono, po czym znowu wypuszczono między ludzi. Wydaje mi się, Charlie, że będziesz musiał udzielić mi władzy, dzięki której będę mógł orzekać, kto jest umysłowo nie zrównoważony i kogo trzeba siłą ubezwłasnowolnić. Następnie będziemy musieli znaleźć ludzi, którzy będą się nimi opiekowali, oraz zdecydować, co zrobić z wydawaniem im pożywienia.

Charlie westchnął, pocierając swoją brodę, a potem skinął głową.

- Udzielam ci władzy, abys mógł uznawać jednostki za chore umysłowo i izolować je od otoczenia, jeśli zajdzie taka potrzeba, nawet wbrew woli ich samych oraz ich rodzin. Tom, ty będziesz nadzorował aresztowania takich osób. Później wydam na ten temat publiczne oświadczenie.

Kellor skinął głową.

- Sądzę, że w około trzydziestu czy czterdziestu przypadkach powinniśmy zastosować metody zapobiegawcze, to znaczy interweniować już teraz, nawet jeśli te osoby posiadają jeszcze lekarstwa. Jako lekarz wiem, którzy z moich pacjentów byli w ciężkim stanie, zanim to wszystko się zaczęło. Mam na myśli pacjentów, którzy musieli być wielokrotnie hospitalizowani i mieli na koncie rozmaite wybryki. Tom, pewnie znasz część z nich dzięki incydentom, przez które wylądowali na oddziale psychiatrycznym lub za kratkami. Uważam, że powinniśmy już teraz usunąć tych ludzi z ulic, zanim rozpęta się piekło.

- Jedna rzecz, jeśli można - odezwał się John cichym głosem.

- Śmiało.

- Pamiętajmy, że takimi metodami zamykano również osoby, do których sąsiedzi byli nieprzychylnie nastawieni, jak również politycznych innowierców, a w nieco mroczniejszych czasach, ofiary poglądu, że obłąd jest dziełem szatana, na podstawie czego urządzano polowania na czarownice. Mamy u nas kilka małych kościołów, w których już teraz głosi się z ambony, że ten kataklizm to w istocie kara boska wymierzona narodowi przeżartemu grzechem oraz że oto właśnie nadchodzi koniec świata. Nad tym, o czym mówił doktor, nigdy nie rozmyślałem w odniesieniu do masowej psychozy, ale być może niektóre z tych obłąkanych osób zostaną albo obwołane prorokami, jeśli mają talent oratorski, mimo że są stuknięte, albo, z drugiej strony, zostaną uznane za osoby opętane przez diabła.

- Cholera, to wszystko pachnie mi średniowieczem - westchnęła Kate.

- Bo to jest średniowiecze, Kate - odparł natychmiast John. - Jeśli mamy ludzi, którym zaczyna odbijać, i mają oni historię ostrych zaburzeń umysłowych, rzeczywiście powinniśmy ich zamknąć, dla dobra wszystkich. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to hordy wyznawców jakiegoś stukniętego miejscowego proroka albo dzikie tłumy kamienujące czarownicę, a to jest już całkiem realne zagrożenie. Istnieje jednak cienka linia, której nie możemy przekroczyć. Wszyscy znamy wieści z Knoxville o tej szalonej sekcie, której tu nie chcemy nawet w szczątkowej formie.

John spojrzał na Kellora, który z aprobatą kiwnął głową.

- I jeszcze jedna rzecz na ten temat - dodał Kellor. - Alkohol. Po najeździe na sklep ABC, który miał miejsce pierwszego dnia, nie ostała się żadna butelka. Masowy szaber, który wtedy się zaczął, zwiędził dzieło.

John pomyślał o jednej jedynej butelce szkockiej, którą trzymał za biurkiem. W środku niewiele już zostało.

- Zatem moczymordy, zagorzali alkoholicy, zostali już bez gorzały i może się z tego zrobić niezły pasztet. Obawiam się, że dla zdobycia kilku kropel niektórzy są gotowi zrobić wszystko i że będą też próbowali wyprodukować sobie te kilka kropel.

- Każda kolba kukurydzy jest przeznaczona do spożycia - odparł Charlie. - Łapiemy każdego, kto próbuje ukraść kukurydzę, żeby ją zamienić w gorzałę. Kara za to jest cholernie surowa.

- Nie o to mi chodziło, Charlie. Miałem na myśli próby destylowania alkoholu z każdego potencjalnego źródła. Niektórzy ludzie są przekonani, że uda im się coś wycisnąć nawet z płynu hydraulicznego. Miałem już jednego takiego idiotę, który oślepl, bo napił się spirytusu drzewnego. Pojawi się więc również taki problem.

- No proszę, społeczność objęta prohibicją! - Kate zaśmiała się pod nosem. - Przez

długi czas po Wielkim Kryzysie mieliśmy tu prohibicję. Znosi się na powtórkę z rozrywki.

- A teraz przejdźmy do jeszcze poważniejszego zagadnienia - kontynuował Kellor. - Żywność.

Z ust obecnych wydarły się jęki i westchnienia.

- Znowu musimy cięć racje żywnościowe i teraz, w najlepszym wypadku, wydawać nie więcej niż tysiąc dwieście kalorii dziennie na osobę. Nasze zapasy wystarczą nam na góra dziesięć dni. Chcę zaproponować kolejne zmniejszenie porcji, o jedną trzecią lub coś koło tego, aby ten okres wydłużyć do piętnastu dni.

- To samo chodziło mi po głowie - mruknął Charlie.

- A co z bydłem, świniami, końmi?

- Zjedliśmy już jedną trzecią, a musimy te rezerwy rozciągnąć na tak długi okres, jak tylko się da.

- To znaczy, jak długi? - zapytała Kate.

- A co z tym, co powiedzieli w radiu? - wtrącił się Tom. - Jeśli faktycznie sytuacja zaczyna się poprawiać na wybrzeżu naszego kraju, to za miesiąc lub dwa może się zjawić pomoc. Oni potrzebują jedynie lokomotywy spalinowej, która pociągnęłaby dziesięć tysięcy ton pożywienia i różnych artykułów.

- Łatwo się mówi - skomentował John. - Kiedy w nas rąbnęli, każdy pociąg zatrzymał się na torach. To nie jest tak jak z autostradami, gdzie można wyminąć zdechłe wozy. Kiedy uruchomią już jakieś lokomotywy, każdy zatrzymany pociąg na każdej linii będzie musiał zostać zepchnięty z torów. Wszystkie zwrotnice trzeba będzie obsługiwać ręcznie. Liczę na to, że ludzie ze Smokey Mountain Railroad może jakoś puszczą w ruch swoją lokomotywę parową, przecież tory łączą ich z Asheville, ale na razie nie ma od nich żadnych wieści. Jeśli zbliża się do nas jakaś pomoc, to od strony wybrzeża. Jesteśmy teraz w takiej sytuacji, w jakiej Ameryka była przed dwustu laty. Jeden dzień drogi od wybrzeża albo głównej rzeki i człowiek ląduje w środku dziczy. Tak więc na razie nie planujemy nic w oparciu o to, że być może ci legendarni „nasi” w końcu się pojawią.

- Przypuszczenia nie można traktować jako przekonania - poparł go Charlie. - Zgadzam się z Johnem. Pomyśl o tym, Tom. Załóżmy, że marynarka wojenna faktycznie dotarła do Charleston. A tam jest milion ludzi pozbawionych żywności. Wszystkie miejsca znajdujące się dalej od oceanu... nie dawałbym im na razie większej nadziei. Doktorze, powiedz nam, co ty o tym myślisz.

- Kończy nam się żywność - oświadczył Kellor. - Na domiar złego coraz więcej tutejszych zgłasza się po kartki żywnościowe, ponieważ pokończyły im się w domach własne

zapasy. Tak więc z jednej strony kończy nam się jedzenie, a z drugiej pojawia coraz więcej gąb do wyżywienia.

John jeszcze nie zgłosił się po kartki żywnościowe dla swojej rodziny. Zawsze dobrze sobie radził z karabinem. Udało mu się ustrzelić sporo oposów, trochę wiewiórek, którymi nakarmił psy, oraz, co najlepsze, indora, z którego dało się zrobić taką ucztę, że aż zaprosił na obiad rodzinę Robinsonów. Lee Robinson przyniósł nawet butelkę piwa i kukurydzę w puszcze. Makala również stawiała się na obiad, miała ze sobą tabliczkę czekolady, którą od dawna chomikowała. Nawet psom dostało się trochę skrawków.

Oposy przypomniały mu o starym serialu telewizyjnym, w którym babcia zawsze wspominała o cieście z oposów. Kiedy John przyniósł pierwszą sztukę, Jen była przerażona. Próbowwała upiec zwierzę w piecu na tarasie, ale okazało się to wielkim fiaskiem. Mimo to nauczyli się je przyrządzać, chociaż ich mięso było niemiłosiernie tłuste.

- Zdajecie sobie chyba sprawę, że jeśli zmniejszymy racje do około dziewięciuset kalorii dziennie, osiągniemy niemal ten sam poziom, co w czasie oblężenia Leningradu. Ludzie już nie mają na nic siły, zmniejsza się ich odporność, przeciętna osoba straciła na wadze co najmniej piętnaście funtów. Niektórym wyszło to na zdrowie, ale zaraz dojdziemy do takiego momentu, kiedy organizm zacznie żywić się sam sobą, a nie tłuszczem, którym obrastała większość obywateli Ameryki. To będzie miało ogromny wpływ na siłę i wydajność ludzi i chcę podjąć ten temat za kilka minut. Zmniejszenie racji żywnościowych da nam wszystkim ostro w kość w ciągu następnych kilku tygodni. Układ odpornościowy wielu z nas zaczyna być poważnie osłabiony, a to oznacza, że jeśli dotrze do nas grypa z Old Fort, będziemy mieć coś na kształt epidemii z 1918 roku, która wybiła niemal dwa miliony Amerykanów. Według moich szacunków umrze wtedy co dziesiąty mieszkaniec. Charlie, sądzę, że będziemy musieli zamknąć wolne przejście przez przełęcz albo jakoś zmodyfikować procedurę. Bóg jeden wie, ilu zarażonych grypą ludzi codziennie przechodzi autostradą, kierując się na zachód.

Charlie westchnął, obrzucił spojrzeniem Johna i Toma.

- Jeśli to zrobimy - zaczął Tom - ściągniemy sobie na głowę jeszcze więcej kłopotów. To, że pozwalaliśmy ludziom iść dalej na zachód, uchroniło nas od większych zamieszek, pomijając tę wielką zadymę sprzed dwóch tygodni.

- Zgadzam się z Tomem - rzucił John. - Jeśli całkowicie zabarykadujemy przejście, w ciągu paru dni zgromadzi się tam kilka tysięcy uchodźców, którzy będą w jeszcze większej desperacji niż pierwsza fala, no i wybuchnie krwawa rzeź. Trzeba ich przepuszczać, ale też przeszkolić naszych ludzi, aby byli jeszcze bardziej ostrożni.

- Oni już noszą ochronne kombinezony - przypomniał Charlie.

- Wiem, ale pewnie zdejmują je z siebie gołymi rękami, zanim dokładnie je przemyją - westchnął lekarz. - Zaraza i tak pewnie do nas dotrze. Ludzie nie trzymają się tylko asfaltu. Przedzierają się też przez lasy.

- Dostaję na ten temat raporty - oznajmił Tom. - Obcy ludzie włamują się do domów, a potem dają nura między drzewa, kiedy ktoś z naszych mieszkańców się pojawia.

John zerknął na Kate, która siedziała bez słowa. Określenie „obcy” wryło się już w świadomość mieszkańców miasta. Podchwycili je nawet ci ludzie, którzy pierwszego dnia nie byli w Black Mountain, ale powrócili, gdy otwarto przejście. Ciągłe się słyszało: „Jestem już wśród was, nie jestem jednym z nich”.

- Jeśli chodzi o pożywienie, dzięki Bogu mamy już czerwiec. Szkorbut nie jest naszym problemem, zbieramy taką czy inną zieleninę, chociaż trzeba przyznać, że zupa z gotowanej trawy i mlecza to rzecz nieco trudna do przełknięcia. Zaczynają się też pojawiać pierwsze warzywa. W maju, Charlie, namówiony przez niektórych starszych mieszkańców, ogłosił kampanię „Ogród Zwycięstwa”. Zebrano każde nasionko w mieście, a trawniki, niegdyś tak piękne, będące kolejnym luksusowym dobrem rozpieszczonego społeczeństwa, zostały dokumentnie rozkopane, aby zasadzić na nich sałatę, kabaczki, fasolę i wszystko inne, byle jadalne.

- Mimo to jesteśmy na progu wyczerpania zapasów.

- Do cholery, doktorze - burknęła Kate. - Nadal mamy czterdzieści sztuk bydła, kilkaset świń i konie. W Swannanoa mają tego wszystko może nawet więcej.

- Jedna krowa dziennie do napelnienia dziesięciu tysięcy żołądków? - zapytał Kellor. - To w najlepszym razie dwie uncje mięsa, mniej niż tani kotlet z fast fooda, bez bułki. Dobra, założmy, że dwie krowy dziennie oraz jeden świniak. To daje pięć uncji mięsa, czyli nadal mało. W takim przypadku krowy w Black Mountain i Swannanoa skończą się w kilka dni, nie zostanie ani jednej. Następnie pod nóż trafią konie, które wyżywią nas przez kolejne dziesięć, może dwanaście dni. Zostaną tylko świniaki. Maksymalnie dadzą nam jedzenia na dwa miesiące. Potem nie będzie już nic. I co wtedy?

Wszyscy milczeli.

- Aha, nawet według takiego scenariusza - dodał po chwili Kellor - każdy człowiek otrzymywałby jakieś tysiąc lub tysiąc dwieście kalorii dziennie. Potem całkowicie skończy nam się jedzenie.

Spojrzał na Charliego.

- Charlie, musisz coś zaplanować na dłużej, aż do przyszłej wiosny, czyli na okres

czterokrotnie dłuższy niż ten, o którym rozmawialiśmy.

Charlie spojrzął na Johna, który niechętnie skinął głową z aprobatą.

- Nie liczcie na nic z zewnątrz. Być może żadna pomoc nigdy do nas nie dotrze. Aby coś do nas dotarło z Charlestonu, najpierw musieliby uporządkować sytuację w Columbii, a potem w Greenville Spartanburg. Żyją tam miliony ludzi. A tu, u nas w górach, zaledwie sto tysięcy... Poza tym, na pewno skłonni są myśleć, że my tu w górach dajemy sobie jakoś radę. Każdy zawsze myśli, że w górach roi się od żarcia.

- A co powiecie na pomysł, żeby spróbować wysłać tam samolotem Dona Barbera? - zaproponował Tom.

Jego słowa spotkały się z aprobatą większości obecnych.

- Przynajmniej dowiedzieliby się, że potrzebujemy pomocy.

John pokręcił głową.

- Ten samolot jest dla nas bezcenny. Dzięki niemu mamy oko na to, co się dzieje w okolicy. Jego zasięg to jednak, przy pełnym baku, mniej niż dwieście mil. Mógłby, co prawda, wziąć ze sobą przyczepione do samolotu dodatkowe kanistry paliwa, żeby udało mu się dolecieć do Charleston, ale co dalej?

- Jak to „co dalej”? Otrzymamy pomoc! - zaperzył się Tom.

- Nie sądzę. Gdybym to ja był dowódcą akcji ratunkowej, powiedziałbym Donowi kilka ładnych okrągłych zdań, podziękował za dostarczenie informacji i obiecał, że pomoc jest w drodze. I tyle. Bez wątpienia spływają do nich prośby i apele milionów ludzi z całego wybrzeża. Co gorsza, mógłby im się spodobać nasz samolot. Gdybym to ja był dowódcą, na pewno miałbym na niego chrapkę.

Spojrzał wymownie na Toma, który w pierwszych dniach groził mu, że zabierze jego forda edsela.

- Rozumiem twój punkt widzenia - odezwał się teraz smutnym tonem.

- Jeśli rzeczywiście zaczynają tam wszystko odbudowywać i przywracać do normy, to i tak robią to powoli, małymi kroczkami, podłączają druty do sąsiednich miast, przywracają ład i porządek, a dopiero potem idą dalej. A każdy kolejny krok oznacza coraz więcej ludzi do wyżywienia. Kiedy dojdą do Columbii, będą mieli na głowie ponad milion osób do wyżywienia, a jeśli ruszą brzegiem w dół do Savannah, przybędzie im kolejny milion, a może dwa. Nie, nie rwaliby się do tego, żeby przylecieć tu z pomocą, z powodu prośby paru tysięcy mieszkańców uwieczonych w górach.

- Charlie, mam drastyczną propozycję - oświadczył Kellor.

- Mów.

- Do tej pory nasza metoda dystrybucji jedzenia była bardzo egalitarna. Każdy otrzymywał takie same racje, trochę więcej dostawały małe dzieci, kobiety w ciąży oraz młode matki. Akurat temu nikt się nie sprzeciwiał. Musicie jednak wziąć pod uwagę fakt, że być może przyjdzie nam podzielić ludzi na... kategorie.

- Co?!

John wiedział, że to wisi w powietrzu. Spojrzał na Charliego. Dyrektor bezpieczeństwa nie był w formie, coraz wolniej podejmował decyzje niecierpiące zwłoki. Czy to dawało o sobie znać zwykłe zmęczenie, czy coś innego?

- Proponuję większe porcje dla funkcjonariuszy policji, ludzi ciężko pracujących oraz naszych oddziałów zbrojnych - oznajmił Kellor.

- Nie podoba mi się to - wtrąciła Kate. - To jakby żywcem wyjęte z *Folwarku zwierzęcego*, świnie są równiejsze niż inne zwierzęta.

- Kate, racje żywnościowe spadły poniżej poziomu, który jest adekwatny do jakiegokolwiek wysiłku, pomijając wstanie z łóżka i siedzenie cały dzień w miejscu. A przecież zebraliśmy sporo ludzi do ugaszenia pożaru przy Haw Creek. Strażacy walczący z ogniem powinni być na wysokoenergetycznej diecie, minimum cztery tysiące kalorii dziennie. To samo dotyczy żołnierzy. Nie można oczekiwać, że ludzie będą wykonywali ciężką robotę, pochłaniając zaledwie dziewięćset kalorii. W przeciwnym razie za trzy tygodnie wszyscy będą na skraju wyczerpania, nie będą mieli siły zbierać plonów z tych kilku poletek kukurydzy, nie wspominając nawet o bronieniu przełęczy czy łapaniu wariatów grasujących po ulicy...

Kellor urwał. Siedział teraz bez życia.

- Musimy to zrobić - poparł go John.

- John, miałam nadzieję, że w tej sprawie będziesz po mojej stronie - obruszyła się Kate.

John pokręcił głową.

- Chodzi o to, czego nauczyła nas historia. W starożytności i średniowieczu podczas oblężeń miast żołnierze dostawali większe racje żywnościowe niż inni. Podczas II wojny światowej chodziło co prawda bardziej o wpływ psychologiczny, o podwyższenie morale, ale nasze metody racjonowania żywności zawsze skupiały się na tym, by najwięcej trafiało do tych, którzy walczyli na froncie. Podczas tamtej wojny we wszystkich krajach zróżnicowane racje były faktem, a czasem - na chwilę się zawahał - formą dzielenia ludzi na kategorie... Doktor wspomniał o Leningradzie. Poczyniono wtedy trudne szacunki, według których nie dysponowano takimi ilościami pożywienia, by utrzymać przy życiu wszystkich mieszkańców.

Dlatego wystarczające porcje, potrzebne do przetrwania, dostawali w pierwszej kolejności żołnierze oraz kluczowi robotnicy, następnie porcje już nieco mniejsze otrzymywały kobiety w ciąży, kobiety które dopiero co urodziły, małe dzieci...

Urwał przemowę i spojrzał z powrotem na Kellora.

- Mamy w tej chwili w Black Mountain ponad dziesięć tysięcy ludzi. Dysponujemy taką ilością żywności, aby w dobrej formie utrzymać tysiąc, może dwa tysiące z nich, aż do jesieni, kiedy zbierzemy jakieś plony z pól kukurydzianych i sadów. Jeśli nadal będziemy próbowali karmić mieszkańców po równo, wątpię, czy wszyscy przeżyją. Wielu umrze z głodu, ale nie tylko. Pojawiać się będą bowiem zdesperowani ludzie z zewnątrz, którzy są jeszcze bardziej głodni niż my. Zanim to się stanie, ta namiastka ładu, którą mamy teraz, zupełnie przepadnie.

- Słodki Jezu, czy my mówimy o celowym głodzeniu na śmierć niektórych ludzi? - oburzyła się Kate. - Na miłość boską, to jest przecież Ameryka!

Przez chwilę wszyscy milczeli. Na Johnie największe wrażenie zrobiło słowo „Ameryka”. Kraina mlekiem i miodem płynąca, kraina, gdzie głównym problemem zdrowotnym była nadwaga, a sportem narodowym wyścig sieciowych restauracji serwujących fast foody, które w reklamach przechwalały się stworzeniem największego, najtłustszego hamburgera. John często się zastanawiał, nawet dawniej, jaką reakcję w Liberii, Jemenie czy Afganistanie wywołałyby owe reklamy pokazujące nieposkromione marnotrawstwo Ameryki.

- Celowe głodzenie ludzi na śmierć to dość brutalne ujęcie sprawy - odparł Kellor defensywnym tonem.

- Śmierć to brutalna sprawa - natychmiast odbiła piłeczkę Kate.

- Tu chodzi o brutalną rzeczywistość - zabrał głos John, mówiąc bez emocji. - To proste. Mamy X pożywienia oraz Y ludzi do wyżywienia. W ciągu kilku tygodni X i Y kompletnie się rozjadą. Liczbę ludzi, Y, trzeba będzie podzielić, jeśli ktokolwiek z nas ma przeżyć.

- Musimy to zrobić - powiedział Charlie łagodnie.

- Nie przyłożę do tego ręki - oświadczyła Kate.

- Pamiętaj, Kate, w tej chwili nie mamy demokracji. Jeśli nie chcesz brać w tym udziału, jeśli nie chcesz pobierać racji żywnościowych, w porządku, mnie to nie obchodzi.

- A co z resztą was?! - podniosła głos Kate. - Teraz wszystko wygląda jak w *Folwarku zwierzęcym*, macie swoich komisarzy ludowych oraz wielki głód w radzieckim stylu. Myślicie, że ludziom to się spodoba?

- Osobiście nie mam zamiaru brać dodatkowego pożywienia - oznajmił Charlie.

- Charlie, musisz! - zainterweniował doktor. - Wiem, w jakim jesteś stanie. Pamiętaj, że byłem twoim lekarzem rodzinnym. Masz lekkie nadciśnienie oraz chorobę refluksową przełyku. Nawet teraz działasz na zwolnionych obrotach, każdemu z nas rzuca się to w oczy.

- To tylko zmęczenie - uciął Charlie ostrym tonem. - Wystarczy mi długi, niczym niezakłócony sen.

- Gówno prawda! - warknął Kellor. - Chcesz odwalać robotę za dwóch chłopów, a jeść tyle co każdy inny? Wypalisz się. Już się wypalasz.

- To byłaby cholernie fajna sytuacja, gdybym miał ogłosić, że wielu ludzi będziemy musieli zagłodzić na śmierć, a sam chodził gruby i zadowolony. Pieprzę to.

John spuścił głowę.

- On ma rację - wyszeptał. - Chociaż nie zgadzam się w jednym punkcie. Ani słowo na ten temat nie może przedostać się do opinii publicznej.

- No proszę, teraz już naprawdę mówisz jak komisarz ludowy! - krzyknęła Kate.

John zgromił ją spojrzeniem.

- Myślisz, że podoba mi się to, co przed chwilą powiedziałem? - odparł ostrym tonem.

- Charlie, jeśli wyjdiesz tam, przed ratusz, i ogłosisz, że niektórzy ludzie teraz będą dostawać więcej jedzenia, w ciągu godziny rozpęta się piekło. Proponuję, abyśmy po cichu przenieśli nieco dodatkowych racji żywnościowych na campus. To, o czym rozmawialiśmy, i tak głównie odnosi się do ludzi z campusu. Osoby, którym będzie przysługiwać dodatkowe jedzenie, odbiorą je tam i nigdzie indziej. Co się natomiast tyczy Charliego, podjął osobistą decyzję i muszę dodać, że jest to decyzja o charakterze moralnym.

Charlie skinął głową i powoli usiadł na krześle.

- Przenoszenie jedzenia w tajemnicy? Sekretne obżeranie się, podczas gdy inni przymierają głodem? - Kate pokręciła głową. - Nigdy bym nie przypuszczała, że dojdziemy do takiego punktu tak prędko i że zgodzimy się na to, tu, dokładnie tu, w naszym mieście.

- Osobami, które w pierwszej kolejności ucierpiałyby z powodu zamieszek, byłiby ludzie spoza miasta - odezwał się John. - Mamy pewną namiastkę akceptacji, międzyludzkiej więzi, która rozpadłaby się w mgnieniu oka, Kate, i założę się, że wkrótce bylibyśmy świadkami morderstw i linczów. Ludzie masowo zdzieraliby sobie gardła, domagając się wyrzucenia na zbity pysk wszystkich, którzy nie mieszkali w tym mieście w dniu ataku. Następnie nasze obie społeczności zaczną patrzeć na siebie wilkiem, ponieważ, nie oszukujmy się, Swannanoa ma więcej jedzenia na osobę niż my. O wiele więcej, biorąc pod uwagę ich dodatkowe sztuki bydła i świń. Tak więc nastąpi rozłam, a mieszkańcy Black Mountain zaczną nawoływać do marszu na naszych dzisiejszych sojuszników, aby zabrać ich

bydło... Rozumiesz, Kate? To jest jak coś ze starożytnej historii, z Biblii... będziemy najeżdżać siebie w imię bydła. A potem każdy człowiek będzie samotną wyspą i wszyscy w rezultacie wyginą, jeśli napadnie na nas ktoś z zewnątrz stojący na czele zorganizowanej, silnej grupy. Oto scenariusz twojej wersji, Kate. Powiedz, co powinniśmy zrobić?

Burmistrz wbiła w niego ostre spojrzenie, nie była w stanie mu odpowiedzieć.

John zerknął na Toma, który podczas tej wymiany zdań milczał. Teraz natomiast skinął głową na znak, że zgadza się z Johnem.

- Wiem, że nie potrafiłbym w takim przypadku zaprowadzić ładu - ostrzegł. - Musiałbym skorzystać z pomocy milicji z college'u. Ale i tym bym nic nie wskórał, bo większość studentów zostałaby obwołana „obcymi”, a tłum też odwrócił by się do nich plecami. To byłoby prawdziwe piekło, Kate. John ma rację, musimy zrobić tę akcję z racjami żywnościowymi, ale wszystko powinno się odbyć po cichu.

- A zatem, innymi słowy, dacie jedzenie wybranym jednostkom, zrobicie to pokątnie, a kiedy ludzie wreszcie się zorientują, co robicie, będą już i tak zbyt wycieńczeni z głodu, żeby zareagować.

John wbił w nią spojrzenie.

- Tak.

- Bydlaki!

- Kate, tak to się właśnie odbywało od zarania dziejów, choć Ameryka nigdy nie znalazła się w podobnej sytuacji - przerwał, a po chwili dodał: - może jedynie część południowych Stanów w czasie wojny secesyjnej, ale nawet wtedy było to tylko zjawisko lokalne. Nigdy nas coś takiego jeszcze nie spotkało, lecz chcąc myśleć o tym realistycznie, musimy to zrobić, żeby ktokolwiek z nas przeżył. Nie możemy utrzymywać ładu społecznego i bronić naszego miasta, a jednocześnie rozdawać identycznej ilości jedzenia każdej osobie. Jeśli tego spróbujemy, umrzemy wszyscy.

- Ja nie wezmę dodatkowego jedzenia.

- Ale przecież nikt cię do tego nie zmusza, Kate - powiedział John miękkim tonem.

- Kate, nie możesz o tym pisać nawet słówka po wyjściu z tego pokoju - przypomniał jej Charlie ostrym głosem.

Burmistrz spojrzała na niego z furją.

- Bo co?

- Bo cię zaaresztuję.

- *Sieg heil, mein Führer* - wybuchła Kate i podniosła dłoń w faszystowskim geście.

- Do cholery jasnej, Kate! - warknął Charlie, jego głos niemal się łamał. - Nie chcę

tego tak samo jak ty, więc zejdź ze mnie, dobrze?!

Spuściła głowę.

- Wszystko, o czym mówiliśmy, musi zostać pomiędzy nami - oświadczył John stanowczym głosem.

- Będziesz brał dla siebie dodatkowe racje? - zapytała go Kate.

- Do diabła, jasne, że nie. Ja i moja rodzina nadal dajemy sobie jakoś radę.

- Dobra, Charlie. Jeśli żadne z nas tutaj obecnych nie będzie brać powiększonych racji, podpiszę się pod tym.

- Tom musi brać powiększone racje - ogłosił Kellor.

- Nie muszę, do cholery!

John spojrział na Toma. Jego obłe kształty, którymi mógł się pochwalić przed wybuchem, szybko zniknęły. Pasek miał teraz zapięty o wiele, wiele ciaśniej.

- Wszyscy policjanci, strażacy, członkowie milicji oraz ci wykonujący ważną pracę - powtórzył John. - A także kopiący groby.

Zapadła długa cisza.

- Oraz ty, doktorze - dodał John.

Kellor przytaknął.

- Nie będę zgrywał bohatera. Nie podoba mi się ten pomysł, w najmniejszym stopniu, ale jakość mojej pracy błyskawicznie się pogarsza. Wczoraj składałem wielokrotnie złamaną kość, jeden z chłopaków Quinceyów spadł z konia. Myślałem, że pod koniec zabiegu zemdleję. Jeśli nie będziemy mieć w naszym mieście lekarzy i pielęgniarek, które są w stanie normalnie funkcjonować, to i tak wszyscy padniemy trupem.

- Ilu ludzi stracimy? - zapytał Charlie.

- Kiedy?

- Powiedziałeś, że wskaźnik śmiertelności znowu wzrośnie. Jak wiele osób stracimy w ciągu dwóch czy trzech miesięcy.

Doktor rozejrzał się po twarzach obecnych.

- Jeśli zrealizujemy plan, o którym przed chwilą dyskutowaliśmy, jedną trzecią populacji albo i połowę.

- A jeśli nie zrealizujemy planu? - rzuciła Kate.

- Pociągniemy jeszcze trochę, ale nie dłużej niż trzydzieści dni. Do zimy wszyscy będziemy martwi.

Zapadło milczenie.

- Wreszcie potwierdziły się teorie Malthusa - odezwał się Charlie. - Liczba ludności w

tym mieście jest trzy, cztery razy większa niż populacja, która byłaby w stanie utrzymać się na tym terenie. Wszystko rozbija się o infrastrukturę. Sądzę, że w tej chwili w południowej Kalifornii setki tysięcy ton warzyw gnije w najlepsze. W północno-wschodnich stanach ludzie przez kolejne dwa miesiące będą tonąć w niezebranej kukurydzy. Ale nie ma możliwości, żeby przenieść to wszystko stamtąd tutaj.

Znów zapadła cisza. John wiedział, że wszyscy rozmyślają na temat jedzenia, co jest normą dla każdego, kto wkracza w fazę głodu i niedożywienia. Sam oczami wyobraźni widział setki tysięcy sztuk bydła w Teksasie i Oklahomie. Albo, nie szukając daleko, farmy świń, oddalone o dwieście mil stąd na wschód. Były one zazwyczaj lokowane w biedniejszych miastach i osadach. Od pięciu do dziesięciu tysięcy świń hodowanych w szopach, w których od urodzenia aż do momentu rzezi zwierzęta ledwie mogły się poruszać. Smród i zanieczyszczenie powietrza koszmarnie wpływały na wartość nieruchomości w promieniu wielu mil... A teraz posiadanie jednej takiej farmy byłoby jak zbawienie - ludzie powitaliby je padnięciem na kolana i oddawaniem Bogu pokłonów.

Ale nawet wtedy to wszystko i tak wzięłoby w łeb, pomyślał John. Przecież farmy funkcjonowały dzięki setkom ton przywożonej co tydzień paszy. Jeśli do tej pory nie zostałyby splądrowane, to pomór, który miałyby w nich miejsce, pewnie przekraczałby granicę wyobraźni. Zwierzęta zdychałyby z głodu. Ludzie, którzy do tej pory myśleli, że mięso rośnie na różowej tacce owiniętej folią, teraz próbowaliby złapać świnie, zabić ją i przyrządzić. Nie, oderżnęliby to, co się da, a połowa mięsa po prostu zgniłaby w słońcu. A jeśli świnie by uciekły, byłyby już teraz w lesie, błyskawicznie by zdziczały i stały się cholernie niebezpieczne.

Charlie wreszcie się ocknął i przemówił:

- Coś jeszcze?

Cisza.

- To mało ważna sprawa, ale zaczyna stanowić zagrożenie. Psy.

John spojrział na niego.

- Sporo psów zaczyna teraz biegać luzem. Są głodne i zaczynają dziczeć. Ubiegłej nocy mieliśmy wypadek na Fifth Street, dwoje dzieci zostało osaczone przez watahę psów. Na szczęście ojciec miał strzelbę i ustrzelił kilka z nich, reszta zwała.

Poprzednia dyskusja była tak nieprzyjemna, że John wiedział, iż nie powinien reagować aż tak ostro, lecz nagle poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość. Jego dwa psy, Zach i Ginger, rzeczywiście były teraz non stop głodne, desperacko zebrały o jedzenie przy każdym posiłku i nadal rzucali im skrawki i resztki. Większość wiewiórek, które John upolował w

ubiegłym tygodniu, została w surowej postaci rzucona psom na pożarcie.

- Uważam, że powinniśmy zarządzić odstrzał wszystkich psów w mieście - oświadczył Charlie.

- Nie, do cholery, wykluczone! - warknął Tom. - Wolałbym spłonąć w piekle niż pójść do domu i na oczach moich dzieci rozwalić głowę naszemu Ragsowi. Nie ma mowy! Można strzelać do bezpańskich psów, które stanowią zagrożenie, ale na więcej się nie zgadzam.

- Co tamten ojciec dzieci zrobił z ciałami psów, które zastrzelił? - zainteresował się Kellor.

- Jezu, nie wiem, to pytanie nawet mi nie przyszło do głowy - odparł Charlie.

- Ile mamy w mieście psów? - zapytał Kellor cichym głosem. - Co najmniej kilka tysięcy. To wystarczająca ilość mięsa na pełne racje na minimum trzy czy cztery dni, a połowiczne racje na półtorej tygodnia.

- Idź do diabła, doktorze! - zawołał Tom.

John był w szoku, widząc łzy w oczach szeryfa. Pierwszy raz od rozpoczęcia kryzysu, od początkowej paniki, egzekucji, strzelaniny przy barykadzie, Tom nie wytrzymał i się rozplakał.

- Kupiliśmy Ragsa w tym samym tygodniu, kiedy urodziło się moje najmłodsze dziecko. Jest z nami od dziesięciu lat i należy do rodziny. Oddałby życie, by nas ochronić, i szczerze mówiąc, ja dla niego zrobiłbym to samo. Nie dam go na odstrzał, koniec dyskusji.

- Tom, to, o czym wspominałem wcześniej - zaczął Kellor - to tylko pierwsza fala głodu. Nawet nie mam serca, aby teraz mówić o drugiej fali. Ci, którzy dożyją jesieni, i tak prawdopodobnie umrą przed końcem zimy. Myślisz, że do tego czasu jakimkolwiek z psów uda się przetrwać? Nawet jeśli jakieś się uchowają, będą już zupełnie dzikie. Będą jak watahy wilków zabijające ludzi, aby przeżyć.

- Zanim to się stanie, dotrze już do nas pomoc - zaprotestował Tom. - Przecież akcja już się zaczęła, słyszałeś, co mówił John... Charlie, mam gdzieś to, jaki wydasz rozkaz. Nie zabiję Ragsa ani żadnego innego psa, o którego właściciele nadal dbają.

Tom był cały czerwony na twarzy, w oczach Johna przypominał chłopca z sentymentalnego filmu o psie lub innym ukochanym zwierzątku, w którym jest obowiązkowa scena, kiedy dziecko ma zaraz stracić tego zwierzaka, chociaż wszyscy wiedzą, że film i tak się dobrze skończy.

Sam miał teraz w oczach łzy, myśląc o Zachu i Ginger. Jak Jennifer by zareagowała na coś takiego? Ginger była jej przyjaciółką, obie były jak papużki nierozłączki. Los ciążyący nad jego córką był już sam w sobie wystarczająco straszny. Dodatkowo zrobić jej coś tak

potwornego, odebrać Ginger? Nie, nie zrobiłby tego. Wiedział też w głębi serca, że nawet gdyby nie było Jennifer, doszedłby do takiego samego wniosku.

- Staję po stronie Toma - oświadczył.

- John, musimy schować sentymenty do kieszeni - odparł Kellor.

- To coś więcej niż sentyment - natychmiast rzucił John.

- To byłby kolejny krok wstecz, jeśli chodzi o nasze człowieczeństwo.

- John, dziesięć minut temu zgodziłeś się na to, aby niektórzy ludzie umarli z głodu szybciej niż inni. Więc co, do cholery, masz na myśli, mówiąc o cofaniu się w rozwoju?

- Wiem, że to nielogiczne. Chodzi o to, że jesteśmy Amerykanami. My i Brytyjczycy mamy już takie, a nie inne podejście do zwierząt. W naszych pupilach widzimy coś więcej niż tylko dzikie bestie. Chociażby dla ludzi starszych zwierzęta są ostatnim źródłem pociechy i miłości. Dla dzieci z kolei zwierzątko jest ukochanym przyjacielem, które je rozumie, gdy brak im tego zrozumienia nawet ze strony rodziców...

Poczuł się zażenowany, ponieważ uświadomił sobie, że zaczyna płakać.

- Osobiście zabiłbym każdego psa w mieście, gdybym mógł dzięki temu ocalić choćby jedno ludzkie życie - upierał się Kellor.

- Robiąc to, coś byśmy stracili, czegoś by nam ubyło, raz na zawsze... To granica, której nie chcę przekraczać. Nie chciałbym żyć w... Nie, po prostu nie.

- Ta granica pozostałaby na swoim miejscu - mruknął Kellor - niezależnie od tego, co byśmy zrobili.

Charlie się zniecierpliwił.

- Mam pomysł, powiedzcie, co o tym myślicie. Bezpańskie, biegające luzem zwierzęta będą zabijane i dołączane do miejskich zapasów żywności. Właściciele muszą trzymać zwierzęta wewnątrz domu albo na uwięzi. Jeśli właściciel postanowi pozbyć się zwierzątka na własną rękę, będą mogli je zachować i sami skonsumować. Czy zgadzacie się na to?

Tom natychmiast kiwnął głową.

- No to załatwione.

- Każdego dnia wszystkie te psy będą robić się coraz chudsze, a można by je przerobić na jedzenie - warknął Kellor. - Będą jadły pożywienie, którym ludzie będą je karmili, nawet odejmując sobie od ust i przymierając głodem.

- To jest wolny wybór ludzi - powiedział Tom.

Wydawał się zawstydzony tym, że okazał swoje emocje.

Otarł twarz i wstał.

- Coś jeszcze, Charlie?

Charlie smutno pokręcił głową.

- John, powinniśmy monitorować to pasmo radiowe, o którym mówiłeś. Wygrzebiemy jakieś stare radio samochodowe, znajdziemy baterie i zamontujemy antenę.

- Dobry pomysł.

- Może niedługo przyjdą nam z pomocą - rzucił Charlie z nadzieją w głosie.

- Pewnie, Charlie. Może przyjdą...

*

John wyszedł z sali i ruszył do domu. Radio było teraz nastawione na częstotliwość Głosu Ameryki, jednak słycać było tylko szum. Przez sekundę czy dwie dotarł do niego jakiś szept, ale potem znowu był już tylko szum.

Wpadł na pomysł, by podjechać do sklepu Hamida. Być może uda mu się zrobić z nim jakiś interes i zdobyć kilka papierosów. Poranna narada kompletnie go wyczerpała.

Otworzył skrytkę samochodową, w środku nadal była dodatkowa amunicja do glocka oraz coś, co John nazywał swoją „rezerwą”, czyli jeden papieros. Zapalił go, zaciągnął się mocno i wjechał w State Street, mijając gmach szkoły podstawowej. Piękny niegdyś trawnik teraz był poszarpany, udeptany, miejscami widać było dziury wyrwane w trawie. Na placu zabaw jakieś dzieci grały w baseball. Wyglądały na wychudzone, skojarzyły mu się ze zdjęciami niemieckich dzieci bawiących się w gruzach tuż po II wojnie światowej.

Posiłek dla mieszkańców przygotowywano na oczach wszystkich. Dzisiaj było mięso konia. Jeden ze starszych koni został zastrzelony, ponieważ i tak był bliski śmierci. Wokół zgromadził się tłum, który ciął go na kawałki. Ten widok znowu skojarzył się Johnowi z filmem z czasów II wojny światowej, z niemieckimi cywilami w zrujnowanym Berlinie, krojącymi martwe zwierzęta... Obok stał jeden z ludzi Toma, ze strzelbą pod pachą, obserwując, co się dzieje. Wszystko, każdy kawałek tłuszczu, kości czy wnętrzności, wylądowało w garnku, pod którym tlił się niski płomień. Do tego kucharz dorzuci trochę warzyw. Dokoła stało ponad pięćdziesiąt osób, śledząc każdy ruch, tocząc ślinę.

Minął szkołę i jechał dalej. Po lewej stronie miał autostradę międzystanową. Auto Makali nadal stało tam, gdzie nagle zgasło trzydzieści pięć dni temu. Poczł pokusę, by przejechać dodatkową milę do szpitala, stanąć na zewnątrz i ją zawołać. Gdyby wszedł do środka, nie mógłby stamtąd wyjść przez przynajmniej trzy dni. Tęsknił za nią, miał ochotę z kimś porozmawiać. Zwolnił, minął drogę, która prowadziła do jego domu, i jechał dalej, lecz przy skręceniu do centrum konferencyjnego nagle się rozmyślił. Uznał, że nie powinien tego robić. Pojechał więc dalej, prosto do wiaduktu, który biegł ponad międzystanową, tuż za

przełęczą. Wysiadł z samochodu, zaciągnął się po raz ostatni papierosem, którego wypalił aż po sam filtr.

Odgłos silnika samochodowego sprawił, że niektórzy z jego dawnych studentów stojący na straży mostu, odwrócili się i zaczęli do niego machać.

Jego dawni studenci... zawsze nazywał ich „dzieciakami”. Do cholery, pomyślał, Mary i ja mieliśmy tyle samo lat co oni, kiedy się poznaliśmy, a wtedy nikt nie nazwałby nas dzieciakami. Mary zdecydowanie nie była już dzieckiem w wieku dwudziestu lat... Pamiętał tak wiele szalonych nocy spędzonych razem z nią, podczas których oboje nie zmrużyli nawet oka, a o świcie musieli gnać na zajęcia. Lecz teraz, po wielu latach, ci studenci stojący na straży, wydali mu się właśnie tym - dziećmi.

Wszyscy byli ubrani w mundury. Niebieskie spodnie od dresu i niebieskie bluzki z długimi rękawami, czapeczki baseballowe z logo uczelni... i do tego broń. Niektórzy mieli na sobie białe kombinezony. Jedna z dziewczyn stała z karabinem w rękach i rozmawiała z grupką uchodźców po drugiej stronie barykady utworzonej z podwójnego rzędu porzuconych samochodów. Jeszcze w ubiegłym semestrze chodziła do niego na zajęcia. Była śliczna i seksowna, miała długie blond włosy, błękitne oczy i nosiła obcisłe bluzeczki. Teraz jednak wydała mu się dzieckiem, zaledwie dwa lata starszym od jego córki...

A mimo to stała tam, pełniąc służbę, dzierżąc karabin, przeszkolona do strzelania, jeśli ktoś spróbuje wspiąć się na samochody i przedrzeć na drugą stronę.

John dostrzegł lekarza i pielęgniarkę, oboje ubrani byli w kombinezony i przechodzili wzdłuż szeregu uchodźców, których przepuszczono przez barykadę. Sprawdzali stare prawa jazdy, przesłuchiwali każdego po kolei, być może uda im się znaleźć jedną lub dwie osoby, którym pozwoli się zostać w mieście, jeśli będą się mogli do czegoś przydać. Zerkają na listę pożądanых umiejętności, którą sporządzili John i Charlie. Figurowały na niej osoby znające się na maszynach parowych, elektrycy, lekarze, farmerzy, rzemieślnicy, ślusarze, chemicy z wiedzą na temat ropy i benzyny i tak dalej.

Jakaś kobieta została wyciągnięta z szeregu, stanęła kilka kroków przed wszystkimi, obejrzała się nerwowo do tyłu, lecz po chwili odczuła ulgę, gdy dołączyła do niej kobieta z trojgiem dzieci. Pozwolono im zostać. Pięć dodatkowych żołądków do wykarmienia, pomyślał John. Miał nadzieję, że posiadają przydatne umiejętności. Odeskortowano całą piątkę na ścieżkę, która prowadziła do miejsca pracy Makali.

Teraz wzdłuż rzędu uchodźców przechodził ktoś ze zraszczem do roślin, opryskując każdą osobę miksturą przyrządzoną przez Kellora. Miała za zadanie rozprawić się przynajmniej z wszami i pchłami, lecz zabieg ten pełnił też funkcję psychologiczną -

przypominał ludziom zza drugiej strony barykady, że po jej przekroczeniu są w pewien sposób inni i będą odseparowani od reszty.

Kolumna uchodźców ruszyła do przodu. Na jej czele szedł jeden ze studentów, drugi strażnik zamykał grupę; obaj mieli na sobie kombinezony, a w rękach dubeltówki. Za kawalkadą jechał volkswagen garbus z wymalowanym na drzwiach znakiem milicji Black Mountain. W środku dostrzegł studenta oraz jednego z policjantów Toma. Na tylnym siedzeniu piętrzyła się broń zarekwirowana uchodźcom, która zostanie im oddana, kiedy przejdą aż do zjazdu numer 59.

- Witam, pułkowniku!

Washington Parker stał tuż przy barykadzie.

John mu pomachał.

Parker gestem ręki przywołał go do siebie. Zrobił to tak, jakby sprawa nie cierpiała zwłoki.

Uchodźcy przechodzili teraz pod wiaduktem. Widok rozdzierał serce. Byli w oplakany stan, w brudnych, porwanych ubraniach. Niektórzy pchali przed sobą wózki z supermarketu, w których siedziały ich dzieci.

John podszedł na skraj mostu, aby zejść w dół skarpą na jezdnię.

- Dzień dobry, psze pana.

John ze zdumieniem zauważył jednego ze swoich studentów, który leżał w wysokiej trawie ubrany w mundur kamuflujący używany przez myśliwych. Twarz miał pomalowaną na zielono. To był Brett Huffman, członek drużyny szkolnej, cholernie fajny dzieciak, typ traper z Madison County. Zdobył stypendium za świetną grę w baseball, ale zdradzał też autentyczne zainteresowanie historią i chciał uczyć w liceum. Miał naturę przywódcy i cieszył się szacunkiem kolegów z klasy. John zauważył czarne paski sierżanta namalowane na jego kurtce. W ustach trzymał zwitek tytoniu.

- Brett, co ty, u diabła... - zaczął John.

- Vinnie Bartelli jest po drugiej stronie wiaduktu, schowany tak jak ja. Na wszelki wypadek, gdyby zrobiła się jakaś zadyma przy barykadzie albo gdyby któryś z tych po drugiej stronie spróbował siłą...

Urwał, poklepał swoją broń, półautomatycznego savage'a z celownikiem snajperskim.

- Wczoraj musiałem strzelić do jednego człowieka, psze pana. Oddałem dobry strzał, trafiłem go w nogę, nie zabiłem.

John nic nie odpowiedział. W głosie Brettusa usłyszał nutę zdenerwowania, ale również pewną nonszalancję, którą tak często słyszał w sprawozdaniach żołnierzy podczas Pustynnej

Burzy. Dobrze, młode chłopaki. Wyszkoleni na zabójców, zgrywali twardzieli, lecz w głębi serca nadal przeżywali szok.

- Ale i tak podejrzewam, że nie przeżył. Strzał z takiej broni, prosto w nogę...

- Zrobiłeś to, co musiałeś - pocieszył chłopaka John.

- Mimo wszystko... To było takie samo uczucie, jak wtedy, gdy zastrzeliłem pierwszego w swoim życiu jelenia. A może nawet gorsze.

- Uważaj na siebie, Brett.

- Dobrze, psze pana.

John zszedł w dół po nasypie prosto na jezdnię. Obejrzał się, Brett był niewidoczny. W college'u uczyło się wiele osób z małych miast, całkiem sporo myśliwych lub harcerzy, albo po prostu takich, co pół życia spędzili na szwendaniu się tu i tam - tych cholernie łatwo było przeszkolić do pełnienia nowych funkcji.

Uchodźcy przechodzili po drugiej stronie, długą, rozciągniętą kolumną. Maszerowali powoli. Kilka osób spojrzało na niego obojętnie. Wyglądali jak ludzie z innej epoki. Niektórzy byli w oczywisty sposób nieprzygotowani na tę katastrofę; John zauważył mężczyznę w trzyczęściowym garniturze, w zdartych i znoszonych eleganckich pantoflach. Jego głowa owinięta była bandażem. Wyglądał jak prawnik albo pracownik korporacji zajmujący jakieś wyższe stanowisko... jednak nie posiadał żadnych umiejętności, które teraz mógłby przehandlować za miskę wodnistej zupy. Szła też para rodziców, ramię w ramię, wycieńczeni, pchając wózek z supermarketu na poniszczonych, skrzypiących kółkach. W wózku spało dwoje dzieci z bladymi twarzami.

Niektórzy szli boso. Niewiele osób pierwszego dnia zrozumiało, że niedługo przedmiotem na wagę złota będą buty, buty dobre do chodzenia, długich marszów. John pluł sobie w brodę, że on też o tym nie pomyślał i nie wziął kilku dodatkowych par z magazynu w college'u. W kampaniach prowadzonych w ramach amerykańskiej wojny domowej często decydującym czynnikiem było to, która ze stron dysponowała lepszym obuwiem, ponieważ w tamtych czasach buty zazwyczaj rozlatywały się po jednym miesiącu ostrej wojaczki. Teraz ci, którzy zaczęli stupięćdziesięciomilowy marsz w eleganckich pantoflach, a nawet w starych płóciennych tenisówkach, wkrótce zostawali bez butów. Wiele osób miało teraz na nogach dwa różne buty nie do pary.

Jedna z kobiet przypominała mu Makalę podczas ich pierwszego spotkania. Ubrana była w bardzo seksowny szary zakiet i spódniczkę. Nadal miała na nogach rajstopy, ale były całe podziurawione. Obcasy zerwała z butów, aby łatwiej było się w nich poruszać.

Dostrzegła spojrzenie Johna, przywołała na usta wymuszony uśmiech i odgarnęła

tluste, oklapłe włosy.

- Cześć, mam na imię Carol - powiedziała i z wyciągniętą ręką ruszyła w stronę bariery. Była jak wysłannik świata, który już przepadł. Miała inteligentną twarz i emanowała seksapilem, którego zapewne używała do osiągania swoich celów. Wyciągnęła dłoń, by uprzejmym uściskiem zacząć spotkanie... a zapewne miała wprawę w kierowaniu wszelkimi spotkaniami.

- Proszę się cofnąć - rzuciła jedna ze studentek Johna. Twarz miała zasłoniętą kombinezonem. Uniosła swój karabin. - Proszę się trzymać białej linii na drodze, tak jak została pani poinstruowana.

Carol zatrzymała się i obejrzała przez ramię.

- Chciałam się tylko przywitać.

Studentka wycelowała w kobietę.

- Proszę się cofnąć. Zastrzele panią, jeśli spróbuje pani przejść przez tę barierkę.

Inni uchodźcy zaczęli się na nich gapić, paru zamarło, a kilku natychmiast skoczyło na drugą stronę jezdni.

- Hej, wy! - zawołała studentka - niech żaden z was nawet nie próbuje uciekać z jezdni!

Carol spojrzała na Johna z błaganiem w oczach.

- Boże, cóż to za miejsce? - zapytała łamiącym się głosem.

- Miasto, które stara się przetrwać - odparł John.

- Ostrzegam!

John podniósł w górę rękę w kierunku studentki.

- Spokojnie, zostaw ten karabin, ja to załatwię.

- Pułkowniku, niech pan nie pozwoli tej kobiecie zbliżyć się do pana! Nie chcę, żeby pan trafił do kwarantanny.

- Prowadź dalej resztę grupy.

- Pan jest pułkownikiem? - zapytała Carol, nadal z zawodowym uśmiechem na ustach, tak jakby przed chwilą John został jej przedstawiony. - W takim razie pan tu dowodzi. Miło mi pana poznać.

John próbował się uśmiechnąć.

- Były pułkownik. Teraz jestem profesorem na uczelni. I nie, nie jestem tu dowódcą.

- Widziałam, jak pana ludzie wybrali z naszej grupy tamtą rodzinę i gdzieś ją odprowadzili. Tam po drugiej stronie barykady krążą plotki, że pozwalacie zostać tym, którzy się w coś specjalizują.

John przetrwał jej słowa. Jeśli na drugą stronę faktycznie przeciekają takie informacje, trzeba będzie zacieśnić ochronę. Ludzie będą gotowi wymyślać dowolną umiejętność lub zawód, kłamać jak z nut podczas przesłuchania.

- Czy takim ludziom pozwala się zostać?

- Nie wiem - skłamał John.

- Pytali nas, czym się zajmujemy. Czy o to właśnie chodziło?

- Proszę pani, naprawdę nie wiem.

- Zajmuję się public relations w koncernie Reynolds Tobacco.

Spojrzała na studentkę, która nadal mierzyła do niej z karabinu.

- Pułkowniku, nie chcę owijać w bawełnę. Wasza operacja potrzebuje lepszych relacji z opinią publiczną. Pomogę wam błyskawicznie opracować plan, który pozwoli uniknąć wielu problemów w przyszłości.

To była oferta marketingowa, podana rzeczowo i profesjonalnie. Słuchając tego, John czuł wielki ból w sercu. Ta kobieta była przyzwyczajona do tego, że zawsze odnosiła sukces i wierzyła, że w tym przypadku też tak będzie.

- Przykro mi, proszę pani. Nie ja podejmuję tego typu decyzje. Od tego jest nasz doktor oraz policja. Przykro mi.

W tym momencie jej zawodowa, biznesowa maska - będąca pozostałością po starym świecie - pękła.

Zrobiła krok do przodu i złożyła obie dłonie w błagalnym geście.

- Niech pan mi pozwoli zostać, błagam!

Nie mógł odpowiedzieć.

Podeszła jeszcze bliżej.

- Chce się pan ze mną przespać? - zapytała. - Mówię poważnie. Niech mi pan pozwoli zostać. Polubi mnie pan.

Spojrzała na siebie, swój brudny i poszarpany kostium.

- Jak tylko się doprowadzę do porządku, spodobam się panu. - Spojrzała na niego z przekrzywioną głową i szeroko otwartymi oczami. - Ma pan w domu wodę? Chciałabym się wykapać, a potem panu pokazać... polubi mnie pan, naprawdę. Może mi pan nawet pomóc w kąpieli. Wiem, że by się to panu spodobało.

- Carol, proszę, nie rób tego - powiedział John. - Nie rób tego sobie. Proszę...

Załamana się, zaczęła szlochać.

- Mam tego nie robić... sobie?! - zawołała, bliska hysterii.

- Oddaję ci kawałek siebie, żeby przeżyć! Trzy dni temu zostałam zgwałcona.

Zgwałciło mnie czterech bydlaków, którzy mówili, że mają trochę jedzenia w swojej norze. Nawet wyczuwałam w tym podstęp... ale byłam tak głodna, że miałam to gdzieś. Słyszysz mnie?

- Przykro mi...

Płakała.

- Rano dali mi miskę wodnistej zupy. Jeden z nich mi dał. Prawie poczułam, że było warto, że zrobiłam dobry interes. Proszę, pułkowniku, spędzę z tobą noc, jeśli pozwolisz mi zostać i dasz cokolwiek do jedzenia.

Kobieta zrobiła krok do przodu, w kierunku barierki.

- Uwaga, bo strzelę! - krzyknęła studentka.

John zrobił błagalny gest, patrząc na swoją uczennicę.

- Nie strzelaj!

Strzeliła. Carol krzyknęła, padając na ziemię, reszta uchodźców też rzuciła się na jezdnię.

Dziewczyna albo strzeliła w niebo, albo spudłowała przez nerwy. Ale już przeładowywała, pusta łuska brzęknęła głośno uderzając o ziemię.

- Następny strzał będzie prosto w głowę - warknęła studentka.

- Carol, nie ruszaj się!

John zaczął przemieszczać się w kierunku barierki. Pał sześć kwarantannę, pomyślał.

- Pułkowniku, nie ruszać się!

To był Washington Parker nadbiegający z wyciągniętym coltem kaliber 45. Coś go jednak tchnęło, by schować pistolet; widok broni mógłby wywołać wybuch paniki.

Stanął naprzeciwko studentki.

- Skieruj broń prosto w niebo - powiedział spokojnym głosem. Dziewczyna wykonała rozkaz.

Następnie Parker odwrócił się twarzą do uchodźców.

- To tylko nieporozumienie, nic poza tym. Idźcie dalej. Przy zjedzie numer 64 czeka na was mnóstwo świeżej wody, będziecie mogli tam odpocząć i umyć się.

Wskazał ręką rodzinę pchającą wózek z dziećmi.

- Założę się, że wasze dzieci potrzebują kąpieli. Wszystko czeka na was trochę dalej za rogami. Musicie jednak iść równo środkiem jezdni.

Ludzie poruszyli się, weszli z powrotem na białą linię biegnącą środkiem drogi, oddzielającą oba pasy.

Washington podszedł do Carol, zachowując jednak dystans.

- Proszę pani, proszę wstać. Nikt pani nie skrzywdzi, jeśli po prostu wstanie pani i odejdzie od barierki.

- Zrób to, co każe, Carol - wtrącił John.

Wstała, była roztrzęsiona.

John spojrział na nią. Teraz wyglądała jak zupełnie inna osoba. Resztki dumy i przyzwoitości zupełnie z niej wyparowały. Ta kobieta jeszcze dwa miesiące temu prawdopodobnie miała własny gabinet, miejsce na parkingu ze swoim nazwiskiem wypisanym na asfalcie, niemal nieograniczone wydatki służbowe oraz cholernie dobrą „opcję na akcje”. A przed chwilą próbowała przehandlować swoje ciało za nocleg i miskę zupy.

- Carol, wszystko w porządku?

Nie odezwała się ani słowem, miała twarz zupełnie bez wyrazu, jak maska. Odwróciła się i dołączyła do reszty uchodźców idących rzędem.

Był niemal pewny, że ta kobieta długo nie pożyje. Była tak zdruzgotana, że pewnie z ulgą podcięłaby sobie żyły brzytwą. Nagle poczuł, że musi ją zawołać. Przeszedł przez barierkę i zrobił parę kroków w jej kierunku.

- Pułkowniku!

Obejrzał się. Ujrzał Washingtona, który kręcił głową, mówiąc „nie”.

Następnie sierżant stanął twarzą w twarz ze studentką, która oddała strzał z broni.

- Czy to był strzał ostrzegawczy, czy celowałaś w tę kobietę? - zapytał.

- Nie jestem pewna - odparła drżącym, łamiącym się niemal głosem.

- Popeliłaś dwa błędy - warknął Washington. Dziewczyna stała teraz na baczność. Dygotała. - Ta kobieta nie próbowała jeszcze przejść przez barierkę. Dostaliście rozkaz, by strzelać dopiero wtedy, gdy ktoś przejdzie przez barierkę albo spróbuje was zaatakować.

- Ale, sir, ona się zbliżała do profesora Mather... to znaczy, do pułkownika.

- Nie jestem żaden „sir”, jestem sierżant Parker. Naucz się na pamięć swoich rozkazów i się ich kurczowo trzymaj. A teraz drugie pytanie: czy to był strzał ostrzegawczy, czy nie? Pamiętaj, co powiedziałem wam wszystkim: tylko ja mogę oddawać strzały ostrzegawcze. Jeśli strzelasz, to strzelaj, by zabić. Strzał ostrzegawczy to zmarnowana kula. Nie zostało nam ich wiele.

- Chyba celowałam w nią.

Washington wyrwał jej z rąk karabin.

- Wracaj pod barykadę, będziesz pomagała przesłuchiwać uchodźców. Przyślę na twoje miejsce kogoś, kto ma jaja i nie boi się celnie strzelać.

Dziewczyna była zupełnie załamana. Odwróciła się i odeszła, drżąc i łkając.

Parker krzyknął do jednego z chłopaków przy barykadzie, aby eskortował uchodźców. John podszedł bliżej.

- Byłem trochę za ostry? - zapytał Washington.

John pokręcił głową.

- To samo ciągle powtarzam moim córkom: jeśli masz zamiar strzelać, to strzelaj tak, by zabić. Jednak ta biedna kobieta nie zasługiwała na to, by zginąć od kuli.

- Wiem - westchnął Washington. - Co mówiła? Zaproponowała, że się z panem prześpi?

- Tak.

- Dostaję dwadzieścia takich ofert dziennie. I nie dlatego, że jestem przystojny - powiedział Washington w ramach nieudanego żartu. - To chore - mówił dalej. - Dociera do mnie coraz więcej wieści na temat gwałtów, morderstw, kradzieży. Kradną nawet kaszkę dla dzieci. Tu na autostradzie sytuacja robi się rozpaczliwa. Miał pan zamiar pozwolić jej zostać, prawda?

- Tak. Widać było po niej, że jest na skraju załamania. Obawiam się, że przeżyje góra parę dni.

Obaj spojrzeli w kierunku Carol, która szła chwiejnym krokiem na szarym końcu kolumny.

Washington pokiwał głową.

- Wiem, niech Bóg ma ją w swojej opiece. Ma pan rację. Człowiek patrzy na tych ludzi i widzi, kto ma szansę na przeżycie. Biedna kobieta... ona ich nie ma. Straciła wszystko, co posiadała na tym świecie, a to, co może sprzedać, nie jest już pociągające...

John spuścił głowę.

- Do diabła z tym wszystkim - wychrypiał.

- Codziennie widzę setki takich jak ona - mruknął Washington zmęczonym głosem. - Sir, jeśli wpuścimy choć jedną dodatkową osobę, pomijając tych, którzy mogą nam pomóc przetrwać, jesteśmy zgubieni.

John nie potrafił odpowiedzieć. Pomyślał o batonie, którego trzymał w samochodzie, racja żywnościowa na czarną godzinę. Miał ochotę pobiec po niego, dać tej kobiecie, ale jeśliby to zrobił, w kryzysowej sytuacji nie mógłby go dać Jennifer.

- Może tej kobiecie się jednak poszczęści - powiedział Washington. - Może jakiś facet weźmie ją do siebie.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli rzeczywiście upadliśmy tak nisko...

- Sir, widziałem to wszystko w Wietnamie. Dziewiętnastoletni żołnierze uważali, że są

w niebie. Dziewczyny za kilka dolców? Człowiek patrzył na te dziewczyny... a mówię panu, że Azjatki z południa to jedne z najpiękniejszych kobiet na świecie... No więc, człowiek na nie patrzył i robiło mu się niedobrze. Przecież to były piętnastoletnie dzieci, które powinny siedzieć w szkole! Zamiast tego sprzedawały się, aby wyżywić rodziców, młodsze siostry, braci...

- A teraz to wszystko mamy w Ameryce...

Washington pokręcił głową.

- Niech szlag trafi wszystkie wojny... - westchnął.

- Wołałeś mnie po coś? - zapytał John.

- Tak, dziś rano doszły do nas paskudne plotki. Charlie powinien o tym wiedzieć. Niedługo uderzam do miasta, żeby mu to przekazać.

- O co chodzi?

- Uchodźcy mówią, że jakaś Dzika Banda zaczyna rządzić się na autostradzie. Teraz są w okolicach Charlotte. Niektórzy twierdzą, że oprychy idą autostradą międzystanową 77 w kierunku Statesville. Podobno mają sporo wozów na chodzie.

- „Dzika Banda”? Cholera, to brzmi jak z Dzikiego Zachodu.

- Nie, jeszcze gorzej. Dzika Banda to zbiorowe określenie elementu przestępczego w naszym kraju, jeszcze przed wybuchem. Zbiry, gangsterzy, którzy potrafią bez słów wpakować człowiekowi w ramach żartu kulkę w łeb. Handlarze narkotyków, najgorsze szumowiny. Byli tu na długo przed zamachem. Ci najbardziej bezlitośni przetrwali i są gorsi niż nasze najgorsze koszmary.

John uświadomił sobie, jak strasznie odizolowane od reszty świata jest ich małe miasteczko. Kilka lat temu prasa w Asheville opublikowała serię artykułów o przybierającej na sile działalności gangów, ale podobno lokalna policja szybko dała sobie z nimi radę.

- Dzika Banda. Usłyszałem o nich od pewnej biednej kobiety, której pozwoliliśmy przejść z poprzednią grupą uchodźców. Powiedziała, że była ich zakładniczką przez kilka dni, ale udało się jej uciec. Nawet nie chciała mówić dokładnie, co te bydlaki jej zrobiły... ale podobno nieludzkie rzeczy. Wszyscy po drugiej stronie o tym gadają. To jest jakby miejska legenda, która roznosi się wraz z wędrującymi grupami uchodźców. Niektórzy mówią, że jest ich tysiąc, a może nawet więcej, i że są uzbrojeni po zęby. Grasują gdzieś tam jak starożytni barbarzyńcy.

- Cholera - westchnął John. Znowu w głowie wyświetliły mu się fragmenty filmów typu *Mad Max* i innych tandetnych przedstawicieli tego gatunku z lat osiemdziesiątych i wczesnych dziewięćdziesiątych.

- Powinniśmy zacząć się bardziej pilnować. Tak mi podpowiada instynkt. Jeśli te plotki to prawda, koniec końców gang dojdzie i do nas. Pomyślą sobie, że Asheville, miasteczko górskie, pęka w szwach od żarcia, więc jest dobrą miejscówką, żeby się w niej zamelinować. A potem pójdą śladem uchodźców i pojawią się tutaj.

- Słyszałem audycję w radio - rzekł John.

- Ma pan na myśli Głos Ameryki? - upewnił się Washington.

- Skąd wiesz?

- Siedziałem tu ubiegłej nocy, żeby mieć na wszystko oko. Radio w tym pięknym mustangu nadal działa. Więc, psiamać, po prostu je włączyłem. Siedziałem w tej starej bryce, z włączonym radyjkiem, było niemal tak, jakbym się przeniósł w czasie. Wydawało mi się, że zaraz usłyszę głosy takich radiowców jak Wolfman Jack czy Cousin Brucie.

John zaśmiał się pod nosem.

- Wiem, co masz na myśli...

- Przez jakąś godzinę odbierałem sygnał, bez zakłóceń, czyścusięńki. Szkoda, że grali tylko te patriotyczne kawalki, wolałbym starego pocziwego R&B albo rocka. Słyszałem też tę audycję.

- I co o tym sądzisz?

- Propaganda, żeby podbić nasze morale, to wszystko. Może te informacje na temat miast nadbrzeżnych są prawdziwe, ale dla reszty z nas, dzisiaj, za tydzień, to wszystko głównie prawda. Musimy sami sobie dawać radę. Przy barykadzie puszczam w ruch plotkę, że ludzie powinni się odwrócić i ruszyć w kierunku wybrzeża. Wiem, że to szaleństwo, bo nikt z nich nie ma już na to siły, ale mam nadzieję, że to będzie taka jakby kontrplotka, która może gdzieś tam daleko stąd zadziała.

John przytaknął.

- Jest w tym jednak pewien szkopał. Jeśli ta plotka dotrze do tych bandziorów, jeszcze prędzej przyjdą tutaj do nas. Lepiej opracujmy dobry plan taktyczny, jak obronić nasze miasto w przypadku poważnego ataku. Jeśli w Dzikiej Bandzie są byli wojskowi, najpierw zbadają teren, a dopiero potem nam przywalą. Musimy mieć oko na tylne wejście do naszego miasta, tunel kolejowy oraz stare drogi do Old Fort. Tu już nie chodzi o uchodźców. Grozi nam armia tak bezlitosna jak nigdy dotąd w historii świata.

Washington przytaknął.

- Chyba pojedę teraz do domu - stwierdził John.

Uścisnęli sobie dłonie, John wspiął się na skarpe przy moście. Skinął głową Brettowi ukrytemu w trawie.

- Fran trochę poniosło. Cieszę się, że nie zastrzeliła tamtej babki.

- Ja też - odparł, chociaż zastanawiał się, czy zastrzelenie tamtej kobiety nie byłoby aktem miłosierdzia.

Wsiadł do edsela i ruszył do domu.

Zatrzymał się na podjeździe, Ginger i Zach zbiegły z tarasu, żeby go powitać. Ukląkł i pogłaskał oba psy. Nawet je przytulił.

- Tatusiu! - zawołała Jennifer, obok niej stała Pat.

- Wszystko w porządku?

- Pewnie, tatusiu.

Uważnie przyjrzał się córce. Straciła trochę na wadze. Przy każdym posiłku Jen wpychała w nią tyle jedzenia, ile się dało; mięso i warzywa, czyli gotowane mleczko. John omiółł wzrokiem sad. Gdyby to były brzoskwinie, za kilka tygodni mógłby już zbierać owoce. Ale na jego drzewach rosły jabłka i dojrzewały o wiele za wolno.

Nigdy nie przywiązywał wagi do tych ośmiu drzew, pomijając ich piękny wygląd na wiosnę. Jabłka były raczej kwaśne i zazwyczaj nawet ich nie zbierali. Cieszyli się tylko, kiedy działały jako wabik na niedźwiedzie.

- Musiała wcześniej zjeść odrobinę czekolady - poinformowała go Pat. - Poziom cukru spadł.

- Skarżypyta - burknęła Jennifer.

- Obiecałam twojemu tacie, że będę miała na ciebie oko.

- Sama potrafię o siebie zadbać.

Uścisnął obie dziewczynki, które nadal się kłóciły, kiedy wchodził do środka domu.

Jen przysypiała z książką położoną na piersi; to była stara książka, o wojnie secesyjnej.

- Gdzie Elizabeth?

- Wyszła z Benem na spacer - powiedziała Jen, podnosząc się i przecierając oczy.

- Ostatnio jakoś często wychodzą na spacer - zauważył John.

- No cóż, mój zięciu, lepiej usiądź.

- Dlaczego?

- Uważam, że musisz z nimi przeprowadzić poważną rozmowę.

- O czym?

- O seksie. O zachodzeniu w ciążę.

- Do diabła, Jen, nie teraz, nie dzisiaj, nawet nie chcę myśleć o takich rzeczach w odniesieniu do mojej córki.

- Mało który ojciec chce. Ale, prawdę mówiąc, mój zięciu, uważam, że twoja szesnastoletnia córka jest już, jak by to powiedzieć, kobietą.

- Jezus, nawet mi o tym teraz nie mów!

- Tyler i ja raczej szybko domyśliliśmy się, jak sprawa wygląda z tobą i Mary.

Spiekł raka. Nigdy wcześniej Jen tego mu nie powiedziała. Spojrzał na nią.

- Domyśliliśmy się chyba z dokładnością co do dnia. Przynajmniej ja, bo Tyler, tak jak każdy inny ojciec, wolał przymykać oko na rzeczywistość. John, widzę to samo teraz u twojej córki. Po prostu wiem.

- Jen, nie teraz - jęknął. - Mam na głowie tyle innych cholernych problemów.

Teściowa z wolna kiwnęła głową.

- Nie chcesz zmierzyć się z tym problemem. Rozumiem. Ale powinieneś. Elizabeth i Ben są przerażeni, nie widzą przed sobą żadnej przyszłości, wszystkie zasady przestają obowiązywać. Jestem na tyle stara, by pamiętać II wojnę światową, wtedy było tak samo. Osiemnastoletni chłopcy i dziewczyny po kilku dniach czy tygodniach znajomości, nagle myśleli sobie „a niech tam!”, i albo z miejsca brało się ślub, albo trzeba było wziąć go po paru miesiącach... Oto prawdziwa twarz naszego „złotego pokolenia”. Ludzie zapominają, jacy wtedy byliśmy: młodzi i przerażeni. Zatem staw czoła rzeczywistości, mój drogi zięciu. Jesteś profesorem historii, wiesz co się dzieje z młodymi ludźmi w czasie wojny.

Za dużo wydarzeń jak na jeden dzień, pomyślał John. Wstał, zerknął do pokoju Jennifer. Obie dziewczynki bawiły się kartami z Pokemonami.

Kolor skóry Jennifer wydał mu się niepokojący. Była blada, nieco żółta.

Boże, pomyślał, wystarczyłby jeden samolot z ładunkiem artykułów pierwszej potrzeby... dosłownie jeden samolot, który wylądowałby tu, w Asheville, a moje największe zmartwienie natychmiast by wyparowało.

- A ty nie możesz z nią porozmawiać? - zapytał, kiedy wrócił do Jen.

- Tchórz. Tak, mogę i już to zrobiłam. Ale uważam że ty jako ojciec też powinieneś z nimi się i porozmawiać.

- Dobra, ale później - rzucił nieco zbyt pośpiesznie. Spojrzał na Zacha i Ginger, poszedł do gabinetu, zajrzał do skrytki z bronią. Wyciągnął strzelbę i ruszył do drzwi, oba psy wlokły się za nim powoli w nadziei, że dzisiaj może trafi im się jakiś kasek, jeśli do ich pana uśmiechnie się szczęście.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dzień 63

Obudziło go szczekanie psów. Momentalnie wiedział, że... ktoś włamał się do domu.

John opracował i przećwiczył plan po tym, jak w ubiegłym tygodniu zamordowano Connorów mieszkających na końcu drogi. Zabito oboje rodziców i dwoje dzieci. Następnie sprawcy wywrócili wnętrze domu na lewą stronę w poszukiwaniu byle skrawka jedzenia.

Nie wahał się ani chwili. Chwycił za dubeltówkę i na kuckach wyszedł z gabinetu.

Oba psy wyły jak opętane, warcząc dziko. A potem usłyszał wystrzał i rozdzierający jęk.

Wszedł do salonu, tylne drzwi kuchenne były szeroko otwarte. Ujrzał dwóch facetów... chyba, nie mógł mieć pewności.

Decydująca chwila. Pociągnął za spust bez mrugnięcia okiem.

Pierwszy strzał niemal urwał głowę temu stojącemu przy drzwiach. Jego kolega odwrócił się i strzelił na oślep. Drugi strzał Johna trafił go w bebechy i odrzuciło go prosto na kuchenne szafki.

Obie jego córki zostały przeszkolone. W przypadku włamania miały paść na podłogę za łóżkiem. Łóżko wodne, na którym spały razem, stanowiło doskonałą osłonę.

Po kilku sekundach usłyszał wrzask Elizabeth.

- Tatusiu!

- Nie ruszaj się!

Nadal na kuckach wszedł do kuchni. Jeden z intruzów był na pewno martwy, widać to było nawet w ciemności rozjaśnionej jedynie światłem księżyca. Drugi jęczał cicho i spazmatycznie wierzgał nogami. Obok niego leżał Zach, zawodząc rozdzierająco, Ginger z obnażonymi kłami warczała z furią na rannego.

Może być jeszcze ktoś na zewnątrz, pomyślał John. Najpierw jednak podczołgał się do rannego, złapał pistolet, który leżał na podłodze, wyczuł, że to rewolwer, kaliber 22, i wetknął go sobie za pas. Drugi facet nie miał broni, tylko maczetę, którą John również zgarnął wolną ręką.

Ruszył w stronę otwartych na oścież drzwi z zamiarem wyjścia na zewnątrz.

Rozmyślił się. Przeszedł z powrotem przez cały dom, najpierw zajrzał do pokoju Jennifer, a potem do pokoju Elizabeth, by upewnić się, że w domu nie ma trzeciego włamywacza.

Zajrzał też na sekundę do swojego pokoju.

- Nic mi nie jest. Nie ruszajcie się - syknął. - Elizabeth, masz broń?

- Tak, tato - odpowiedziała drżącym głosem.

- Jeśli wrócę do was, najpierw zawołam. Jeśli wejdzie tu ktoś inny, strzelaj, nie wahaj się.

- Dobrze, tato.

Zajrzał do swojego gabinetu, a potem wyszedł frontowymi drzwiami i obszedł dom. Nikogo nie znalazł. Wślizgnął się tylnymi drzwiami od strony kuchni. Sprawdzał drzwi do piwnicy, były zamknięte jak należy. A potem znowu przemknął nisko przy podłodze do pokoi Jennifer i Elizabeth, nerwowo otwierając szafy w obu pokojach.

Wrócił do kuchni.

- Jen, zapal świecę i chodź tutaj.

Po minucie chybotały płomień oświetlił kuchnię. Jen aż wzdrygnęła się na widok ciała pierwszego włamywacza z dziurą zamiast twarzy. Drugi włamywacz jęczał teraz głośniej, kuląc się w pozycji embrionalnej.

Obok leżał Zach.

John podszedł do swojego starego kompana, przyjaciela od tak wielu lat, który teraz ostrzegawczym szczekaniem uratował życie swojej rodzinie. Został postrzelony w górną część pleców, tuż za łopatkami.

- O Boże, Zach... - wyszeptał John. Tak jak wiele rozpaczliwie rannych psów, Zach poliznął jego rękę, jak gdyby dzięki temu miał się poczuć lepiej.

John spojrzał na Jen, która stała przerażona.

- Pomóżcie mi - jęczał ranny włamywacz - proszę, pomóżcie...

John sam był zdumiony szybkością swojej reakcji. Wyjął glocka, którego nosił przy boku nawet podczas snu; pistolet był już naładowany.

- John! - krzyknęła Jen.

Nacisnął spust, wystrzał sprawił, że Elizabeth i Jennifer znowu krzyknęły.

- Wszystko w porządku! - zawołał John. - Wszystko dobrze, dziewczynki, nie ruszajcie się z miejsca.

John spojrzał na Jen, która nadal stała jak rażona gromem. Była w szoku.

- Gdyby przeżył, to i tak bym go zastrzelił w mięcie.

W ubiegłym tygodniu wykonał egzekucję pięciu osób. Dwaj z nich to byli miejscowi,

ukradli świnie, zabili ją, a potem obżerali się nią w jaskini w górach, kiedy ich wreszcie wytropiono. Żałośni głupcy, nie pomyśleli o tym, że głodny człowiek potrafi na pół mili wyczuć zapach pieczonego mięsa. Trzej „obcy”, których rozstrzelał, byli włamywaczami, tak jak tych dwóch leżących na podłodze.

- Jen, musisz mi pomóc wyciągnąć ich na zewnątrz. Nie chcę, żeby dziewczynki na to patrzyły...

Odwrócił się, słysząc cichutkie skomlenie Zacha. Ginger leżała u jego boku, liżąc swojego przyjaciela.

W Johnie wezbrała fala łez. Nie czuł już oporów przed zabijaniem ludzi w ramach egzekucji. Washington Parker miał rację. Najgorszy jest pierwszy raz, potem już z góry. A w tym przypadku zabicie dwóch włamywaczy, którzy stanowili zagrożenie dla jego córek, nie dręczyło go w najmniejszym stopniu.

Teraz chodziło jednak o Zacha. Oba psy schudły już tak bardzo, że przez niegdyś błyszczące futerko przebijały żebra. Nie bacząc na zakaz wypuszczania psów samopas, prowadził je na poszukiwanie, jako że ich stare tereny, po których chodzili, znajdowały się w lesie Pisgah niecałe sto metrów stąd. John martwił się, że padną ofiarą polujących tam ludzi, ale do tej pory miały szczęście.

Ukląkł przy Zachu. Pies podniósł głowę i znowu polizał swego pana.

- Dziękuję ci, przyjacielu - westchnął John. - Dziękuję za wszystko.

- Chcesz, żebym ja to zrobiła? - szepnęła Jen.

John, zaskoczony, spojrzał w górę prosto w oczy Jen.

- Nie, to nasz pies, mój i Mary.

Wyciągnął pistolet, którego zabrał martwemu włamywaczowi, odbezpieczył go i przystawił za uchem Zacha. Ginger wstała, wyczuwała, że dzieje się coś złego, zaczęła głośno zawodzić... Nie był w stanie tego zrobić. Rozplakał się.

- Ja się nim zajmę - szepnęła Jen. - Wyjdź na zewnątrz, zabierz ze sobą Ginger. Nie chcę, żeby ona na to patrzyła. No, idź już.

Wyszedł z kuchni, wrócił za kilka sekund z ostatnią paczką papierosów i butelką szkockiej, w której były ostatnie, bezcenne krople.

- Dziewczynki, jesteście bezpieczni, ale musicie zostać w swoim pokoju, na podłodze!
- krzyknęła Jen.

John spojrzał na Zacha i przez chwilę poczuł się jak tchórz, kompletnie osamotniony. Ukląkł i pocałował go w czoło. Pies był cały we krwi, głośno dyszał. John wstał i wyszedł z domu, ciągnąc Ginger za obrozę, którą puścił dopiero na zewnątrz. Zapalił papierosa i

odkorkował butelkę.

- Już dobrze, Zach, już dobrze.. - Słyszał głos Jen dochodzący z kuchni. - Powiedz Tylerowi, że go kocham. Pamiętasz Buffy, naszą suczkę? Będziesz się z nią teraz bawił...

Usłyszawszy przytłumiony wystrzał z pistoletu, John przechylił się przez barierkę na tarasie, targał nim płacz. Ginger skamlała i ocierała się o jego nogi.

Poczuł się dziwnie, jak w surrealistycznym śnie. Przed chwilą zabiłem dwóch ludzi, pomyślał, jednego z nich załatwiłem bez mrugnięcia okiem. A teraz płaczę z powodu psa?

Po chwili z domu wyszła Jen, niosąc Zacha zawiniętego w koc.

- Jest taki lekki - powiedziała łagodnie. - Teraz jest mu lepiej.

- Pochowam go, kiedy się rozjaśni - odparł.

- Nie, John.

- Jak to?

Nagle zrozumiał. Nie, tylko nie Zach! Nie byłby w stanie...

- Zwymiotowałbym. Dziewczynki też. Nie możemy...

- Zanieś go Robinsonom. Dla nich to nie będzie to samo. Poza tym biedna Pat przymiera głodem.

- Oni dostają racje żywnościowe. Jeśli dostaną jakieś dodatkowe jedzenie, stracą swoje kartki żywnościowe. W świetle prawa my możemy go zjeść, ale oni nie. Mam obowiązek oddać Zacha do miejskich zapasów żywności.

- Do diabła, John. Jesteś tak nieludzko logiczny w niektórych sprawach, a w innych zachowujesz się jak idiota. Zanieś go Robinsonom, teraz. Odwdzięczą się nam później.

Wreszcie się zgodził.

Podążyła mu ciało Zacha.

- Zawołam Lee, żeby pomógł mi uprzątnąć ciała. Nie pozwalaj dziewczynom wchodzić do salonu i kuchni... Powiesz im o wszystkim? - zapytał.

Kiwnęła głową.

John wolnym krokiem ruszył do samochodu.

- Nie drgnij nawet o milimetr!

Zamarł. W myślach wyzywał się od idiotów. A jednak było ich trzech, może nawet czterech. Był gotowy upuścić ciało Zacha i krzykiem ostrzec domowników, zanim go trafią. W ten sposób da Jen i Elizabeth czas, by się przygotowały.

- John, to ty?

Raptem rozpoznał ten głos. To był Lee Robinson.

- Jezu Chryste, Lee... tak, to ja.

- Usłyszałem strzały, przyszedłem pomóc.

- Dzięki, Lee.

Mężczyzna wyszedł z cienia i zbliżył się do Johna.

- John, co tam niesiesz... O Jezu, tylko nie jeden z twoich psów!

- To Zach. Gdyby on i Ginger nas nie ostrzegli, byłoby już po nas. Na szczęście udało mi się zastrzelić obu włamywaczy. Ale jeden z tych bydlaków trafił Zacha.

- Jeszcze minutę temu słyszałem strzał...

- Nie mogłem tego zrobić - wyznał John. Bezwiednie mocniej ścisnął Zacha. - Jestem zasranym tchórzem. Jen mnie wyręczyła.

- Już dobrze, John, już dobrze. - Lee położył rękę na ramieniu Johna.

Tacy są ludzie z Południa, którzy posiadają psy, pomyślał John. Oni rozumieją. Czuł, że Lee lekko drży, darzył Zacha wielką sympatią, jego własny pies, Mack, bawił się z Zachem.

Mack zniknął bez śladu tydzień temu, prawdopodobnie został upolowany, kiedy szwendał się po lesie. Lee do tej pory nie mógł się otrząsnąć po tej stracie.

John zebrał się w sobie. Obaj mężczyźni stali, wpatrując się w Zacha, i wiedzieli, o czym ten drugi teraz myśli.

- Weź go, Lee. - Tylko tyle mógł z siebie wydusić.

- John, nigdy przenigdy nie pomyślałbym, że dojdzie do takiej sytuacji...

John przekazał mu ciało.

- Zabiorę go i dam Monie. Z całym szacunkiem zajmie się... - urwał, przez chwilę nie mógł mówić, stał ze ściśniętym gardłem. - Dziękuję. Umierałem z nerwów z powodu mojej Pat. Te cholerne racje żywnościowe nie wystarczają. John, mojej córce Zach również uratował życie.

*

Kilka godzin później John wsiadł do samochodu i ruszył w stronę miasta. Ciała obu bandziorów leżały na ganku, kiedy odjeżdżał. Później przyślą „mięsoBUS” Bartletta, bo taki sardoniczny przydomek zyskał jego volkswagen bus.

Miał tak oziębły stosunek do śmierci obu włamywaczy, że przez chwilę analizował fakt, iż trzeba będzie teraz wydać dwie dodatkowe racje żywności w ramach nagrody za wykopanie dwóch grobów na cmentarzu. Na polu golfowym było już półtora tysiąca grobów. Kolejne pół tysiąca znajdowało się w Swannanoa, na boisku przy szkole chrześcijańskiej.

Kellor miał rację. Nadszedł pomór. Ludzie co chwila umierali z głodu. Wczoraj

niemal sto kolejnych ofiar. Głównie osoby starsze, ale też dorośli, rodzice.

Jako historyk John zdawał sobie sprawę, że taka jest właśnie kolej rzeczy. Osoba postronna, nauczyciel akademicki rozparty w swoim fotelu i deliberujący chłodno nad tą sprawą, obliczyłby, że następne w kolejce są dzieci. Ale który rodzic byłby w stanie wpychać do ust jedzenie, patrząc, jak jego dziecko umiera z głodu? W kolejkach za racjami żywnościowymi, a było ich teraz pięć w obu społecznościach, Black Mountain i Swannanoa, ustawiało się niemal dziewięćdziesiąt procent utrzymujących się nadal przy życiu ludzi. Dziennie dostawali jedną porcję zupy oraz albo suchar, albo kromkę chleba.

I tu pojawiała się kolejna „tajemnica państwowa”. Pilnie strzeżona piekarnia, na którą przemianowano miejscową pizzerię, gdzie zamontowano piec opałowy, teraz dorzucała do ciasta trociny, aby chleba było więcej. Stary patent sprawdzony w Leningradzie. Szczerze mówiąc, stamtąd właśnie John wziął ten pomysł.

Zatem rodzice, a wielu z nich pracowało po to, by otrzymywać dodatkowe racje, przynosili do domu jedzenie, odstępowali je dzieciom, a sami umierali. Kiedy oboje rodziców umarło, liczone na to, że sąsiedzi lub krewni przygarną sieroty.

Charlie i Tom zostali zmuszeni wydać ostre rozporządzenie, że osoba odbierająca swoją rację żywnościową jest zobligowana osobiście ją spożyć na miejscu, lecz mimo to, ludzie i tak chowali do kieszeni suchary, a niektórzy nawet wsadzali sobie worki foliowe do kieszeni, aby wlewać do nich ukradkiem zupę, a następnie szli wolnym krokiem do domu, gdzie czekało na nich dwoje, troje czy czworo głodnych dzieci.

Jak na ironię, przynajmniej według Głosu Ameryki, jednocześnie pojawiały się oznaki polepszania się sytuacji, gdzieś na wybrzeżu USA.

Ponoć został utworzony rząd federalny, funkcjonujący za granicą na lotniskowcu Abraham Lincoln, i nadal obowiązywał stan nadzwyczajny. Według raportów plony kukurydzy i pszenicy z północno-wschodnich stanów zostaną dowieszone głodującej ludności, otwarte też będą linie kolejowe, aby hurtowo przewozić pożywienie i inne artykuły. W Charleston została utworzona główna baza południowo-wschodniego rządu nadzwyczajnego i teraz codziennie ogłaszano raporty na temat postępującego procesu odbudowy kraju. Pojawiały się nawet pogłoski, że uruchomiono elektrownię jądrową w Georgii. Wyglądało jednak na to, że sytuacja poprawiała się jedynie w strefie przybrzeżnej, zahaczając w kierunku Atlanty. John zastanawiał się, czy ktoś z dowództwa postanowił „odciąć” środkową Karolinę Południową oraz zachodnią część Karoliny Północnej.

Na niebie widywano jednak samoloty. Kilka razy nad miastem przelatowały myśliwce oraz samolot transportowy. Władze Asheville wreszcie przyznały, że dowieziono im części

zamienne do generatorów szpitalnych.

Asheville nie kwapiło się dzielić z nikim innym. Linia telefoniczna, którą przywrócono w Black Mountain, została dociągnięta do rady hrabstwa, lecz komunikacja była raczej jednostronna, tak jakby ich dyrektor nadal miał im za złe szantaż „uchodźcy kontra zapasy wody”.

Sama myśl, że ludzie w Asheville otrzymali środki medyczne, doprowadzała Johna do pasji. Washington niemalże siłą musiał go powstrzymać przed pojechaniem tam i zażądaniem insuliny. John osobiście zatelefonował do Burnsa, który nadal rządził w Asheville, i błagał go o jakiegokolwiek informacje na temat insuliny. Burns jednak wyzutym z emocji głosem oświadczył, że nie dostali żadnych zapasów, a nawet gdyby takowe otrzymali, pod żadnym pozorem nie podzieliliby się nimi z ludźmi spoza swojego miasta.

Insulina stała się obsesją Johna. Dwa dni temu poziom cukru w krwi Jennifer znowu podskoczył, musiała wziąć zastrzyk, lecz nic nie pomógł.

Wreszcie pojechał zobaczyć się z Makalą, która dokładnie zbadała Jennifer, a potem odciągnęła go na bok.

- Te trzy ostatnie fiołki mogą być już niezdatne do użytku. - Tylko tyle była w stanie powiedzieć.

Ostatecznie musiał wstrzyknąć córce potrójną dawkę, aby obniżyć poziom cukru.

Czas, który dziewczynce pozostał, nagle skurczył się o dwie trzecie.

A pomoc, jeśli faktycznie nadciągała jakaś pomoc, była zbyt daleko, prawie jak po drugiej stronie księżyca.

Jeśli chodzi o resztę diabetyków w mieście, ponad połowa już umarła, reszta też powoli gasła.

Wyłączył silnik swojego samochodu, oparł się i zapalił kolejnego papierosa, szóstego tego dnia. Nie dbał już o liczenie, dozowanie.

Siedział, palił i wpatrywał się w autostradę międzystanową nadal zagrożoną samochodami, które utknęły na niej ponad dwa miesiące temu.

Uświadomił sobie, że wszyscy, już pierwszego dnia zaczęli toczyć sami z sobą grę, polegającą na tym, by nie spojrzeć rzeczywistości w oczy.

Każdy, kto wiedział choćby odrobinę o EMP oraz zagrożeniu, jakie stanowi dla kraju, powinien wariować ze zmartwienia przed zamachem. Podczas II wojny światowej cały naród został zmobilizowany, ciągle mówiło się o wszechobecności szpiegów, zbieraniu złomu na użytek armii, strażnikach na mostach kolejowych w Iowa. Większość z tych rzeczy okazała się czystym absurdem, kiedy wreszcie zrozumiano zagrożenie, długo po tym, jak wojna już

się zakończyła. W Ameryce nie było legionów szpiegów i sabotażystów, a ci nieliczni, którzy rzeczywiście próbowali przeniknąć do kraju, zostali w ciągu kilku dni wyłapani przez FBI.

Zatem wtedy zagrożenie było odległe, ale i tak należnie na nie zareagowano. A tym razem? Zagrożenie było sto razy gorsze i nikt z tym nic nie zrobił, absolutnie nic. John, gotując się z wściekłości, zgasił papierosa i zapalił następnego.

Gdyby tylko wszyscy zostali w porę uświadomieni... Gdyby przysposobienie obronne znalazło się w programie każdej szkoły tak jak w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku. Gdyby ludzie wiedzieli, jakie podstawowe rzeczy należy zrobić już pierwszego dnia, gdyby Charlie był przeszkolony w tym, jak zachować się w obliczu ataku EMP, jak zmobilizować swoich ludzi i błyskawicznie zareagować... Gdyby miasto miało odłożoną specjalnie na takie kryzysowe sytuacje odpowiednią ilość pożywienia oraz podstawowych artykułów, jak przystało na ludzi mieszkających na obszarach często nawiedzanych przez huragany i tornada, to czy teraz tkwilibyśmy po uszy w tym szambie? - takie pytania zadawał sobie w myślach John.

Prawdziwą zbrodnią było to, że ludzie wtajemniczeni w poziom zagrożenia nie zrobili nic, by temu zapobiec lub odpowiednio przygotować kraj na taką ewentualność. John z rozgoryczeniem zastanawiał się, czy ci ludzie cierpią tak samo, jak teraz cierpi reszta narodu, czy może gdzieś się bezpiecznie zamelinowali, schowali w specjalnych bunkrach dla członków Kongresu i rządu, gdzie od lat czekały na nich i na ich rodziny zapasy jedzenia, wody i lekarstw. Sama myśl o tym przepełniała go furją. Wiedział, co by zrobił, gdyby mógł tam teraz do nich pójść. Pokazałby im Jennifer, a potem dostaliby to, na co zasłużyli.

U siebie też widział niechęć stawienia czoła rzeczywistości już od pierwszego dnia, nawet mimo tego, że udało mu się przynajmniej dorwać insulinę dla córki. Żałował, że nie postarał się o niezbędne rzeczy: podstawowe produkty żywnościowe, najlepiej na wagę: pięćdziesięciofuntowy worek ryżu lub mąki, buty, baterie, dodatkowy glukometr dla Jennifer, cholera, nawet test ciążowy dla Elizabeth, karmę dla psów, filtr wodny, żeby nie musieli gotować tego, co wyciągali z basenu, zielonego niczym bagno.

Minęły ponad dwa miesiące. Ludzie w tym małym miasteczku w Karolinie Północnej umierali z głodu. John już pierwszego dnia skojarzył fakty, ale i tak unikał spojrzenia prawdzie, tej najgorszej prawdzie w oczy. Niemal miesiąc temu doktor Kellor podczas narady robił do tego aluzje, kiedy podjęto decyzję o zmniejszeniu racji żywnościowych dla większości ludzi, ale my, pomyślał John, nie potrafiliśmy skonfrontować się z brutalną rzeczywistością.

Ameryka, najbardziej urodzajna ziemia na świecie, która byłaby w stanie wyżywić

miliard ludzi bez najmniejszego problemu, teraz umierała z głodu. Dwie audycje Głosu Ameryki dzień w dzień trąkotały o tym, że pierwsze plony żniw jadą z południowego Midwestu, że zbliżają się dostawy bydła, a dla Johna brzmiało to jak stare chińskie i sowieckie audycje z okresu zimnej wojny, kiedy każdego dnia trąbili o swoich wielkich postępach, podczas gdy w rzeczywistości lud mieszkał w skrajnej nędzy i umierał z niedożywienia.

Jedzenie gdzieś tam jest, pomyślał John, ale nigdy nie dotrze tutaj, w to miejsce, nie teraz. To oznacza, że jedna piąta mieszkańców miasta już nie żyje, a w ciągu trzydziestu dni ten wskaźnik przekroczy pięćdziesiąt procent, podczas gdy jedzenie, miliony ton jedzenia, psuło się i gniło, ponieważ nadal nie było sposobu przetransportowania go w hurtowych ilościach w miejsca, gdzie najbardziej było potrzebne.

To samo dotyczyło lekarstw. Gdzieś tam na pewno były. Zapasy przechowywane za granicą... Lecz fabryki, które je produkowały, znajdowały się w miastach, a w miastach nie było prądu. Natomiast ludzie, którzy pracowali w fabrykach, byli teraz poukrywanymi lub rozrzuconymi tu i tam uchodźcami, być może niektórzy z nich leżeli martwi za barykadą. A nawet gdyby nagle jakaś fabryka została przywrócona do życia, to i tak na nic by to się nie zdało - insulina jest wytwarzana z genetycznie zmodyfikowanych bakterii, w laboratoriach. Owe laboratoria, znajdowały się tysiące mil stąd, może w Nowym Jorku lub w Arizonie. A fiolki, w które była pakowana insulina? Pewnie produkuje się je w Meksyku, a potem przewozi do laboratorium oddalonego o tysiące mil... następnie z powrotem pakuje się do ciężarówek z regulowaną temperaturą przewozu, wiezie na lotniska, wysyła priorytetem w specjalnie zaprojektowanych kontenerach, które być może są wytwarzane w Missisipi. I tak dalej...

Kroplówki. Niemal wszystkie worki do kroplówek w Ameryce były produkowane w jednym miejscu, w fabryce położonej na północ od Asheville. Trzaskano ich tam kilka milionów dziennie. Były pakowane w sterylnych warunkach, następnie przewożone do innych fabryk, gdzie napełniano je krwią pobraną pewnie w miejscu oddalonym o tysiąc mil lub różnymi roztworami wytwarzanymi w Oregonie, po czym przewożono je do Teksasu, gdzie składało się zestawy kroplówkowe.

Poza tym tak wiele, wiele rzeczy pochodzących z zagranicy, przyływa na kontenerowcach, które są rozładowywane przez dźwigi o napędzie dieslowo-elektrycznym, a następnie towar jest pakowany na ciężarówki. Prawdopodobnie ropę, z której wytwarzany jest plastik wykorzystywany do produkcji worków do kroplówek wydobywa się w Kuwejcie, następnie przewożona jest do Teksasu, tam przefiltrowana trafia do Luizjany, gdzie produkuje

się tworzywa sztuczne, w tym również te potrzebne do plastikowych worków do kroplówek, których brakowało w Asheville.

Sieć tak ogromna, misterna, piękna i szalenie skomplikowana - najbardziej skomplikowana w historii. I gdzieś tam kilku wrogów, których przez lata ignorowaliśmy, a których w ciągu jednego dnia zaczęliśmy nienawidzić. Ta nienawiść powoli ewoluowała, jak to u Amerykanów - zmieniała się w sobkostwo, pogardę, wyniosłą wiarę w zwycięstwo, być może nawet opartą tylko na tym, że zażyczyliśmy sobie, żeby oni, nasi wrogowie, zniknęli z powierzchni ziemi. Ponieważ tak naprawdę, rozpatrując sprawę z najbardziej bezosobowej perspektywy, co osiągnęły zamachy z jedenastego września? Zabiły trzy tysiące ludzi. To wszystko.

Czy następnego dnia, ciągnął swoją myśl John, gospodarka wpadła w recesję, czy moja córka nie dostała zastrzyku insuliny, czy pracownicy w fabryce produkującej insulinę rozbiegli się w panice z powodu zamachów na World Trade Center? Nie. I pomimo naszego oburzenia, naszych łez współczucia, jeśli tego dnia nie straciliśmy żadnego przyjaciela ani członka rodziny - nasz świat się nie zmienił. Z wyjątkiem tego, że na lotniskach zaczęła człowieka zalewać krew.

Sieć naszego społeczeństwa była jak te piękne pajęczyny, które John, będąc małym chłopcem, znajdował na podwórku za domem o świcie w letnie dni. Stawały się widoczne dzięki kroplom rosy. Ogromne, piękne, misterne konstrukcje. Wystarczyło leciutko dotknąć je zapalką, a cała pajęczyna psuła się i jedyne, co mógł zrobić pajak, jeśli przeżył, to spróbować odbudować ją od zera.

Nasi wrogowie wiedzieli o tym wszystkim i w to właśnie celowali... i odnieśli sukces.

John wyrzucił drugiego peta przez okno, zapalił jeszcze jednego papierosa i wjechał do miasta, aby zdać raport z napadu na jego dom oraz poprosić Jima, by przysłał swój „mięsoбус”.

Przed gmachem szkoły podstawowej formowała się już kolejka po zupę, mimo że wydawanie posiłków zaczynało się dopiero w południe. Ubita świnia przymocowana była do drzewa, właściwie ledwie mały prosiaczek, już wypatroszony aż do kości, które nawiasem mówiąc również wylądowały w garnku.

Ludzie stojący w kolejce przypominali kościotrupy. Wielu z nich ledwie się poruszało. Dzieci zaczynały mieć spuchnięte brzuchy. Przy krawężniku leżało kilkanaście ciał wyciągniętych z furgonetki, pozbawionych kompletnie godności, niczym nieprzykrytych. Było tam ciało mężczyzny i ciała trójki dzieci, które zapewne zostały osierocone, a nikt inny nie wziął ich pod swoje skrzydła, oraz ciało kobiety, ewidentnie ofiary samobójstwa, miała

bowiem rozprute nadgarstki.

Johnowi przypomniała się kobieta, którą spotkał na autostradzie... miała na imię Carol. Najpewniej już dawno popełniła samobójstwo.

Centrum miasta powoli się wyludniało. Ludzie przeprowadzali się do domów mieszkańców, którzy umarli.

Podczas tej krótkiej przejażdżki John poczuł, że wszystko chyli się ku upadkowi. Ciała ułożone przed szkołą, ulice zakurzone i zaśmiecone. Bez codziennego sprzątania kratki ściekowe zatkały się gruzem, wiele drzew runęło na ziemię, po czym zostały przycięte o tyle, by przejechał pojedynczy pojazd. Jedna z pięknych, górujących nad otoczeniem sosen, która rosła przed szkołą podstawową, runęła na ziemię w poprzek jezdni, miażdżąc knajpkę Front Porch po drugiej stronie ulicy. Część drzewa została usunięta, by udroźnić jezdnię, lecz reszta leżała tak, jak spadła.

Dach restauracji nie został zreperowany, wnętrze lokalu było teraz zupełnie odkryte, a do budynku bezustannie wdzierali się ludzie, którzy zadowalali się już nawet wyjadaniem zaschniętego tłuszczu z naczyń kuchennych.

Za każdym razem, kiedy tędy przejeżdżał, czuł, jak pęka mu serce. Dawno temu regularnie zatrzymywał się o poranku przy tej knajpce. Mary byłaby przerażona tym, że mąż pochłania śniadanie składające się z bekonu, jajek oraz placków ziemniaczanych, ale on naprawdę uwielbiał to miejsce. Autentycznie szanował właściciela, ciężko pracującego człowieka, który zaczynał od dziury w ścianie, kilka przecznic dalej, aż dorobił się małej restauracyjki, która w Black Mountain nie miała konkurencji jeśli chodzi o miejsca serwujące śniadania. W środku zawsze można było spotkać kierowców ciężarówek, robotników, właścicieli sklepów oraz przynajmniej jednego profesora. John spędził tam tyle poranków, po odwiezieniu dzieci do szkoły; zamawiał świetny posiłek, potem wypalał papierosa, gadał z tym i owym, grał w jedną z gier, które właściciel wystrugał z drewna, układał puzzle, a potem jechał do college'u na swój wykład.

W jakim świecie kiedyś żyliśmy, westchnął w duchu.

Parking przy banku porósł już chwastami, chociaż i tak proces ten hamowały nieco dzieci z obozu uchodźców zrywające wszystkie mleczce, by je zjeść. Ów bank był jednym z ostatnich przedstawicieli wymarłego już gatunku, czyli małych banków lokalnych. Land-rover właściciela nadal stał zaparkowany na zewnątrz, pokryty kurzem i zasuszonym błotem.

Obok sklepu Hamida stało kilka samochodów, volkswagen garbus oraz zdezelowany Chevrolet rocznik 1965 i kilka motorowerów. Hamid zrobił niezły interes, oddał trochę fajek w zamian za stary generator, potem za naprawę urządzenia i teraz miał prąd. To było wielkie

wydarzenie, kiedy włączył prąd i światła w jego sklepie zaczęły ćmić. Hamid elektrycznością obdzielił dwie rzeczy: lodówkę oraz jedną z pomp jego zbiorników paliwa. John natychmiast wpadł na pomysł, aby poprosić Hamida o przechowywanie resztek insuliny, które posiadał, lecz Makala się sprzeciwiła. Prąd wytwarzany przez generator był niestały, raz płynął, a za chwilę się wyłączał. Lepiej było przechowywać leki w stałej temperaturze dwunastu stopni Celsjusza, niż w nieco niższej, która nagle może znacznie podskoczyć, a potem znowu opaść.

Mimo to, jego stary przyjaciel nadal wyświadczał mu drobną przysługę. John wiedział, że jest to dług, którego już nigdy nie będzie mógł spłacić. Za każdym razem, gdy tu wstępował, czuł się jak żebrak.

- Dla mojej małej ulubienicy - mówił Hamid, kiedy wciskał w rękę Johna paczuszkę, w której była porcja lodu zawiniętego w gazetę. Lód, bezcenna odrobina lodu, dzięki której można było próbować obniżyć o kilka stopni temperaturę pozostałych fiolek.

- Nadal jestem ci dłużny dziesięć dolców - mawiał John, na co Hamid odpowiadał uśmiechem. Sam był ojcem małych dziewczynek, więc rozumiał sytuację. Był dumny, że jest Amerykaninem i może pomóc przyjacielowi w potrzebie.

Makala... To dziwne, ale przez kilka dni nie myślał o niej.

To przez głód. W takich warunkach człowiek zapomina o tak ponadprogramowych funkcjach organizmu, a po czterech latach celibatu wywołanego śmiercią Mary, przywykł już do tego. Wiedział, że Makala się nim interesuje; w świecie alternatywnym do tego obecnego, na pewno chodziliby na randki. Teraz to jednak wykluczone. Poza tym, nie chciał jednak zakłócać delikatnej równowagi panującej w jego rodzinie. Jen była przecież matką Mary - jak by zareagowała na coś takiego? A dziewczynki? Co innego polubić Makalę jako koleżankę, ale co innego jako kogoś więcej. Dla Jennifer Mary była już tylko niewyraźnym, wyblakłym wspomnieniem, lecz Elizabeth straciła mamę w wieku dwunastu lat, gdy dzieci stają się szczególnie wrażliwe; w swoim pokoju nadal miała kilka zdjęć, na których była z mamą, oraz jedną fotografię, która nadal poruszała go do żywego - piękny, oprawiony w ramki portret Mary z dnia rozdania dyplomów w liceum. Kolory były, lecz Mary wyglądała na zdjęciu dokładnie tak, jak wtedy, gdy John spotkał ją w college'u.

Zatrzymał się pod kompleksem budynków ratuszowych. Generator ustawiony na zewnątrz hałasował, raz bardziej, raz mniej, w zależności od tego, ile w danej chwili zużywano prądu.

Jeden z wozów strażackich był właśnie myty. Mechanicy wreszcie obeszlą całą elektronikę i tak oto dziesięć dni temu silnik wozu znowu odżył.

John wszedł do środka. Charlie był w swoim gabinecie, w rogu stało niezasłane łóżko

polowe. Spojrzał na Johna, gdy ten wszedł.

Szef bezpieczeństwa schudł o co najmniej trzydzieści funtów, może nawet więcej, twarz miał wręcz kościstą. Trzymał w ręku kubek czegoś, co wyglądało jak herbata ziołowa.

- Mam w domu dwa trupy. Zastrzeliłem ich dziś rano - powiedział John takim głosem, jakby mówił o pogodzie.

- To już osiem zgonów, które odnotowaliśmy od rana - odparł Charlie ochryple.

John usiadł, spojrzał na swoją paczkę papierosów, zostało mu jeszcze czternaście sztuk. Poczęstował Charliego, który bez wahania wziął jednego.

- Do cholery, Charlie, musisz wpychać w siebie przynajmniej jeden dodatkowy posiłek.

Charlie pokręcił głową.

- To i tak niedługo może być zupełnie bez znaczenia.

- A niby czemu?

- Sądzymy, że zbliża się do nas Dzika Banda.

- Co?

- Don Barber poleciał swoim samolotem kilka godzin temu, aby rzucić dla nas okiem na autostradę międzystanową numer 40, biegnącą w stronę Hickory. Jeszcze nie wrócił. Cztery dni temu nie mieliśmy ani jednego uchodźcy przy barykadzie, dwa dni temu pojawiło się niemal stu, wczoraj ponad dwustu, tak jakby coś ich od tyłu pchało w tym kierunku. Przynoszą ze sobą pogłoski o tym, że Morgantown zostało dopiero co splądrowane do cna, jak w cholernym średniowieczu. Ubiegłej nocy na autostradzie doszło też do strzelaniny.

- A więc to się już staje codzienną tradycją - powiedział John bezbarwnym głosem.

- Tym razem było inaczej. Facet był wielki, wyglądał na dobrze odżywionego, jako jeden z nielicznych szedł na wschód.

- No więc, co dokładnie zrobił?

- Washington go przywazażył. Miał dziwne przeczucie, bo widział tego samego gościa dzień wcześniej, jak szedł na zachód. Odstawał na tle reszty, bo wyglądał, jakby dobrze jadał. Nasz sierżant sam eskortował grupę, w której szedł ten facet i paru innych uchodźców idących na wschód. Washington rznął głupka, kiedy tamten bombardował go pytaniami. Ilu u nas mieszka ludzi, ile zostało jedzenia, czy mamy zorganizowaną ochronę.

- Szpieg?

- Otóż to. No więc Washington tuż przy barykadzie nagle wyciągnął giwerę i niemal się przy tym przekreślił. Okazało się, że facet miał schowany w rękawie staromodny rewolwer. Małą dwudziestkę dwójkę. Gwoli ścisłości to on pierwszy oddał strzał, dopiero

potem Washington go rozwalił.

- Parkerowi nic się nie stało?

- Lekkie zadraśnięcie. Kellor powiedział, że gdyby kula trafiła dwa centymetry bliżej ciała, biorąc pod uwagę bieżącą sytuację, Washington miałby poważny problem.

- Gdzie on teraz jest?

- W college'u.

- Chyba powinniśmy złożyć mu wizytę.

Charlie przytaknął, po czym obaj zapakowali się do edsela i wyruszyli na krótką przejażdżkę.

Droga na campus raz jeszcze przypomniała Johnowi o dawnym świecie, który przepadł kilka miesięcy temu. Z domu do pracy miał niecałe cztery mile; znowu na myśl przyszedł mu bekon i jajka. Cholera, westchnął w duchu, miałbym teraz na to ochotę...

Niemal powiedział to na głos do Charliego. Jedzenie rzeczywiście stało się obsesyjnym tematem, ale zakazano o nim wspominać, stało się to podstawową zasadą etykiety. Chodziło o to, że ludzi do szału doprowadzało słuchanie o tym, co ten czy tamten sobie zje, kiedy „będzie lepiej”.

Gdy mijali zjazd w ulicę prowadzącą do North Fork, zauważyli dwa ciała przykryte prześcieradłem, leżące przed domem.

- O cholera, tylko nie Elliottowie... - mruknął Charlie.

Na trawniku przed domem stało troje dzieci, wszystkie chude jak patyki, z wielkimi brzuchami, obejmował je sąsiad. W ciągu ostatnich paru tygodni nastąpił istny wysyp dzieci ze spuchniętymi brzuchami. Kellor wyjaśnił Johnowi, że to obrzęk głodowy - w jamie brzusznej gromadzą się płyny, podczas gdy organizm człowieka zaczyna obumierać. John zawsze przełączał kanał, kiedy w telewizji leciał akurat jakiś apel fundacji charytatywnej o pomoc głodującym dzieciom. Zawsze pokazywali dzieci z Afryki lub jakiejś nawiedzanej przez kataklizm części Azji. Zastanawiał się, czy teraz w jakimś miejscu na świecie, gdzie nie było problemów z elektrycznością, na ekranach telewizorów pojawiały się tego typu obrazki z Amerykanami w roli głównej? „Pomóż przeżyć głodującym dzieciom w Ameryce”.

Boże, co za wstrząsająca myśl. Czy nasi przyjaciele zza morza, ci, którym tak wiele razy pomagaliśmy, zupełnie bezinteresownie, teraz przyjdą nam z pomocą? Czy statki wypełnione jedzeniem płyną w naszą stronę? Czy może zupełnie ich to nie interesowało? A może, co gorsza, reagowali śmiechem i pogardliwym splunięciem?

- Elliott dostawał dodatkową rację żywnościową w nagrodę za kopanie grobów. Prawdę mówiąc, dostawał dwie racje, ponieważ kopał dwa groby dziennie - odezwał się

Charlie, przerywając myśli Johna.

- I zanosił je do domu, dla dzieciaków i żony - dodał John cichym głosem.

Nawet nie zwolnił, jechał dalej.

Minęli następnie trzech nastolatków, dwóch z nich dzierżyło karabiny kaliber 22, a trzeci wiatrówkę. Najmłodszy z nich również miał spuchnięty brzuch. Wszyscy trzej skradali się bezszelestnie, przeczesując wzrokiem drzewa oraz linie telefoniczne i elektryczne.

Prawdopodobnie w całym mieście nie ostała się już żadna wiewiórka ani zając, dlatego polowano teraz na ptaki. John zaczął wracać ze swoich wypraw z pustymi rękoma, chyba że zapuszczał się coraz głębiej w las Pisgah. Myśl o tym spędzała mu sen z powiek. Zach umarł z pustym żołądkiem. Wczoraj John był bliski szarpania się z Ginger o zająca, którego ustrzelił. Ginger dostawała jedynie kości po tym, jak Jen już oskrobała zwierzę z każdego skrawka mięsa, by przyrządzić gulasz.

- Zdajesz sobie sprawę, że zaczyna nam brakować amunicji do broni małego kalibru? - zapytał Charlie, kiedy mijali polujących chłopców. - Większość ludzi trzymała w szafie broń, ale rzadko kiedy ją wyciągała, więc w najlepszym wypadku mieli pudełko pięćdziesięciu do stu nabo. Teraz pięć nabo można było dostać za martwą wiewiórkę albo zająca.

Na szczęście John nadal miał kilkaset nabo, chociaż brakowało mu amunicji do strzelby. Jeśli chodzi o broń jeszcze większego kalibru, trzymał ją ze względu na inne rzeczy.

Brama była zablokowana. Jeszcze do niedawna studenci strzegący wejścia rozpoznawali samochód Johna i machali rękami, wpuszczając do go środka. Ale nie dzisiaj. Kazali mu się zatrzymać. Jeden ze studentów stał z podniesioną dubeltówką, a jego koleżanka podeszła z boku i zajrzała do środka auta.

- Dzień dobry. Wszystko u pana w porządku?

- Ty jesteś Rebecca, prawda?

- Tak, proszę pana.

Zajrzała na tylne siedzenie, skinęła głową, po czym razem z drugim strażnikiem uruchomiła volkswagena blokującego drogę tak, by John mógł wjechać, następnie cofnęli się na miejsce, w którym samochód stał poprzednio, tym samym zagradzając drogę.

- Młodzi zrobili się bardziej ostrożni.

- Cóż, skoro ubiegłej nocy zdarzyło się tyle tragicznych w skutkach włamań... - rzekł John. - Bóg jeden wie, jak dzisiaj będzie, ilu włamywaczom się uda oraz ile rodzin teraz leży martwych w swoich domach.

- Moim zdaniem bezpiecznie jest założyć, że część członków tej bandy już zdążyła przedrzeć się do naszego miasta. Dokładnie nas sobie obejrzel i zdecydowali, że warto w nas

uderzyć, choćby po to, żeby potem ruszyć na Asheville. Być może część z nich zamelinowała się w jakichś domach i teraz obserwują, czy przygotowujemy się do konfrontacji.

Skręcili w alejkę prowadzącą do Gaither Hall. Na zewnątrz stała młodzież wcielona do milicji. Już dawno mieli za sobą musztrę marszową. Teraz ćwiczyli ogień osłaniający oraz wycofanie wojsk. Na trawniku przed biblioteką rozstawiono wraki samochodów. Washington biegał tam i z powrotem, wykrzykując instrukcje. John podjechał bliżej i zgasił silnik.

Sierżant odwrócił się i odegrał rytuał, który nadal działał Johnowi na nerwy - zasalutował mu. John odwzajemnił gest.

Wszędzie dokoła byli studenci. Schowani za drzewami, pod samochodami, przyczajeni w oknach budynków. Nieco dalej ujrzał kompanię B, rozlokowaną za akademikiem dla dziewcząt. Dysponowali kilkunastoma wozami na chodzie; były to volkswageny, rzecz jasna dzięki uprzejmości Jimmiego Bartletta, oraz kilka pikapów. Jeden z nich miał zamontowaną atrapę karabinu maszynowego, w Somalii nazywano je technicalami, pomyślał John.

Washington przyłożył megafon do ust.

- Kapitanie Malady. Teraz!

Malady był przede wszystkim zastępcą głównego bibliotekarza. Potężny, szeroki w barach, miał gęste czarne włosy i kanciastą twarz, która nieco upodabniała go do Schwarzeneggera, dlatego też dzieciaki szybko wymyśliły mu ksywkę Conan Bibliotekarz. Malady kiedyś służył w wojsku, jako sierżant w jednostce zmechanizowanej w Iraku w 2003 roku. Niedawno zrezygnował z pracy w bibliotece i planował przenieść się jesienią na seminarium teologiczne w Princeton. A teraz skończył jako dowódca w stopniu oficera w kompanii B.

Przynajmniej wiedział, na czym polega ta zabawa. Technical umownie pluł ogniem, podczas gdy pojazd z pługiem przyczepionym z przodu sunął prosto na barykadę.

Oczywiście pojazd zatrzymał się, a Washington krzyknął, że barykada została przebita.

Malady uruchomił swoich żołnierzy, którzy wyskoczyli zza porzuconych samochodów, szturmując barykadę.

Gdyby to działo się kilka miesięcy temu, uczniowie nabijaliby się z tego wszystkiego, uznając za teatrzyk. Krzyczeliby i śmiali się. Lecz nie teraz. Milczeli. Wykonywali rozkazy swoich przełożonych, do których należeli członkowie personelu oraz ciała pedagogicznego z doświadczeniem militarnym. Siły zbrojne wycofywały się, starając się zwabić atakujących do czegoś, co miało być „strefą śmierci”, gdyby barykada ustawiona na autostradzie

międzystanowej została rozwalona. Nieco dalej od przełęczy, jezdnia została oskrzydłona po jednej stronie wysoką betonową ścianą, bezpieczną barierą wzniesioną na długości kilkuset metrów, która stanowić miała osłonę centrum konferencyjnego.

Washington już wyznaczył pozycje na tylnej stronie ściany. Kapliczka campusowa, ta nowa, zbudowana ładnych parę lat temu, w której znajdował się słynny fresk *Powrót syna marnotrawnego* znanego artysty Bena Longa, teraz służyła jako symulacja ściany. Studenci wyskakiwali nagle zza krawędzi dachu.

- Właśnie tak! - krzyczał Washington. - Kiedy jesteście tam na górze, macie przewagę ognia. Strzelajcie, ile wlezie, szybko i celnie! Wbijcie ich w panikę!

Udawana ściana zaczynała się walić. Studenci stali nieco zagubieni. Nie dało się uzyskać efektu realizmu. Nie było ślepeków, nie było laserowych karabinów treningowych.

Na początku używali kulek z farbą do paintballa, ale zużyli wszystko już pierwszego dnia.

Washington dmuchnął w swój gwizdek.

- Spocznij! Koniec. Godzinna przerwa. Obiad równo o dwunastej w południe.

Ku zdumieniu Johna, ktoś zaczął grać na piszczałce. Przebiegły mu po plecach ciarki. To był chłopak z rodziny D'Inzenzo, nie był uczniem college'u, tylko miejscowym, który należał do stowarzyszenia rekonstrukcji historycznych i polubił kręcenie się po terenie kampusu. Washington poczuł sympatię do chłopaka i mianował go oficjalnym członkiem milicji, grającym *Yankee Doodle* po zakończeniu ćwiczeń.

- Dobra melodia do maszerowania - rzucił sierżant, kiedy John spojrzał na chłopaka, który na głowie miał kepi armii Unii. - Studenci kochają tę melodię, działa dobrze na ich morale.

Uczniowie wyszli z budynków, wypełzli ze swoich ukryć, wszyscy uzbrojeni. Większość wyposażona w karabiny półautomatyczne większego kalibru, a spora część kompanii B - w strzelby do polowania na jelenie, niektóre z zamontowanymi celownikami. Charlie powiedział, że kiedy nadejdzie kryzys, odda Washingtonowi do dyspozycji broń automatyczną przetrzymywaną w komisariacie. Zgłosiło się też paru cywili, jeden z nich przyniósł nielegalny karabin M-16, pełny automat, z ponad czterystu nabojami, mówiąc, że jeśli tylko będzie mógł postrzelać sobie w czasie bitwy, chce być wcielony do oddziału. Był to weteran z wczesnego okresu Wietnamu.

Obie kompanie były teraz uzupełnione weteranami wojennymi, niektórzy walczyli dawno temu, jeszcze w Korei. W sumie do szeregów dołączyło niemal stu weteranów. Może i byli starzy, ale mieli doświadczenie bojowe i teraz sprawowali funkcje dowódców brygad i

plutonów.

Natomiast inni, tzw. survivaliści, między innymi legendarna rodzina Franklinów, uczyli młodych jak stworzyć domowej roboty miny odłamkowe, miny lądowe, ładunki wybuchowe i domowej roboty wyrzutnie raketowe zrobione z rurek PCV. Członkowie stowarzyszenia rekonstrukcji historycznych żalowali, że nie będą mogli postrzelać sobie z prawdziwych dział, lecz teraz mieszały proch i konstruowali armatę przy użyciu stalowej rury, do której planowali załadować metalowe puszki nabite prochem.

John patrzył, jak studenci rozchodzą się po ćwiczeniach. Kilku chłopaków śmiało się donośnie, dogryzając sobie po przyjacielsku. Kilkanaście par natychmiast się zeszło, kilka z nich bez krzty żenady ruszyło w objęciach w stronę lasu za laboratorium.

- Kroci się poważny problem. Pomyśleliśmy, że lepiej się z tobą spotkać - powiedział Charlie cienkim, ochrypłym głosem.

Washington skinął głową, po czym cała trójka ruszyła ocienioną ścieżką, przechodzącą po starym kamiennym moście, który prowadził z akademika do Gaither Hall. John zawsze uwielbiał to miejsce. Bardzo często zdarzało mu się siadać na moście i obserwować, jak potok grzmi tuż pod nim. Co chwila przechodził jakiś student, więc było to doskonałe miejsce, by sobie posiedzieć, uciąć pogawędkę z uczniami, potajemnie puścić dymka z jakimś innym palaczem... co było zresztą złamaniem przepisów, ponieważ znajdowali się poza strefą wyznaczoną do palenia. Jednak dziekan już dawno przestał molestować Johna z tego powodu, a zdaniem dyrektora to nawet dobrze, że członek ciała pedagogicznego działa trochę na nerwy biurokratom z administracji i wciąga do tej zabawy młodzież.

Wkroczyli do gabinetu dyrektora Hunta. Rzadko się teraz pojawiał na kampusie, choć jego dom był oddalony zaledwie o ćwierć mili. Pomimo błagań Johna, wielebnego Abla i Washingtona, Hunt oświadczył, że on i jego żona odmawiają przyjmowania dodatkowych racji żywnościowych. Jego zdaniem, każdy kawałek jedzenia powinien trafiać do „naszych żołnierzy i ochotników”. To było dla niego charakterystyczne i niebywale szlachetne. Skutek był jednak taki, że Hunt umierał.

Weszli do środka, usiedli przy stole w gabinecie. Nagle usłyszeli odgłos samolotu. Zerwali się z krzeseł i podbiegli do okna.

Don leciał swoim L-4, krążąc nad grzbietem Lookout Mountain, a następnie pikując prosto w wąską dolinę. Okrążył kampus, zawrócił, zaledwie parę metrów ponad czubkami drzew, pomachał skrzydłami, a następnie skierował się na południe, w stronę miasta, gdzie przy centrum handlowym Ingram znajdował się pas startowy.

- Pozwólcie, że zgadnę. Dzika Banda się zbliża - rzekł Washington.

John i Charlie przytaknęli.

- To było nieuchronne. Wcześniej czy później usłyszeliby o nas i ubzduraliby sobie, że posiadamy coś, co warto nam odebrać... Kiedy wyleciał Don? Jakies dwie godziny temu? - zapytał Washington. - Powiedzmy, że dwie i pół godziny temu. Jego samolot lata z prędkością około siedemdziesięciu mil na godzinę. To niedobrze. Zbliżają się wielkimi krokami.

Wrócili do stołu i usiedli.

- Jeden z naszych chłopaków ustrzelił wczoraj w nocy niedźwiedzia - oświadczył Washington. - Zajmują się nim teraz na stołówce. O dwunastej wszyscy dostaną mięso, może nawet funtowe porcje.

John momentalnie poczuł, jak ślini się na myśl o jedzeniu. Już dwa razy udało się upolować niedźwiedzia i mimo że mięso było piekielnie tłuste, posiłek był wyjątkowo sycący.

- Szkoda, że nie zje razem z nami dyrektor Hunt. Wysłałem kilka studentek do niego do domu, żeby go ładnie poprosiły, ale podobno tylko się uśmiechnął i odmówił. Dziewczyny wróciły zapłakane. Mówiły, że dyrektor wygląda koszmarnie.

- Oto cały Dan - powiedział cicho John. - Może zresztą ma rację. Młodzi muszą być w dobrej formie. Kiedy zjawi się Dzika Banda, nasi nie mogą być osłabieni i ledwo szurać nogami.

- Są na to gotowi? - zapytał Charlie.

Washington pokręcił głową.

- To niezbyt budujące, do cholery! - skomentował szef bezpieczeństwa ostrym tonem.

- Posłuchaj, Charlie. Uwielbiam te dzieciaki. Znam ich od lat. Większość pochodzi z małych miast, mają dobre serca. Pamiętaj, że to jest college chrześcijański, werbowaliśmy osoby z określonym światopoglądem i systemem wartości. Przynajmniej tak myśleli ich rodzice, nawet jeśli nie oni sami. Skoro jednak chcesz poznać brutalną prawdę, mogę wybrać dla ciebie garstkę młodych chłopaków. Tych, którzy wychowali się w biednych dzielnicach w Charlotte, Greensboro czy Atlancie. Oni powiedzą ci parę rzeczy na temat rzeczywistości. W wieku dwunastu lat toczyli między sobą walki i przechwalali się, że są gangsterami. Szesnastolatki, które już odsiadywały wyrok za kratkami, może już byli ojcami, mają oczy chłodne jak martwy wąż, zresztą większość z nich w wieku dwudziestu pięciu lat jest już martwa.

- Przypomina się stary, chory żart - westchnął John. - Nie znajdziesz handlarza narkotyków z pracowniczym planem emerytalnym.

- Otóż to - szybko zgodził się Washington. - Te dzieciaki tutaj jeszcze dwa miesiące

temu myślały o stopniach szkolnych, imprezach, ślubie po ukończeniu szkoły, a ci bardziej dojrżeli właśnie o swoich planach emerytalnych. To, czemu będą musieli stawić czoła razem z nami, to nie tylko gangsterzy z większych miast. Ta Dzika Banda przyciągała po drodze jak magnes każdą szumowinę, która gotowa jest zrobić wszystko, byle tylko przeżyć. Dodajmy do tego psycholi, o których wspominał doktor Kellor. Co się stało z więźniami, kiedy rąbnęła w nas bomba? Gdzie oni teraz są? Pamiętajcie, nasza wspaniała ojczyzna mogła się poszczycić niemalże rekordową na tle świata liczbą więźniów w stosunku do ogółu mieszkańców kraju. No i co, pozwolić im umrzeć z głodu? Na wszystkich przeprowadzić egzekucję? Być może w niektórych zakładach karnych o zaostrzonych środkach bezpieczeństwa naczelnik to właśnie zrobił. Kończy się jedzenie, ustawia ich wszystkich w szeregu i rozstrzeliwuje, zamiast pozwolić im uciec. Jednak w przypadku słabo strzeżonych ośrodków jestem pewny, że więźniowie już trzeciego dnia przeskakiwali sobie przez ogrodzenie. Większość z nich, czyli głupie dzieciaki, które poszły siedzieć za narkotyki, rozeszła się do swoich domów, ale w zakładach karnych siedzi też sporo prawdziwych skurczybyków, którzy w tych okolicznościach spiknęli się razem i dla nich świat jest teraz istnym rajem, czegokolwiek sobie zażyczą, mogą to mieć, jeśli tylko będą mieli dość jaj, by wyciągnąć łapę.

Washington pokręcił głową.

- Tu, na wschodzie, skończyło się jedzenie - ciągnął dalej. - Gdybyśmy mieszkali w tak zwanym pasie kukurydzy i pasie bydła, byłbym większym optymistą, ale tutaj? Gęstość zaludnienia kontra ilość dostępnego jedzenia... jesteśmy bez szans. A ci barbarzyńcy, bo to są barbarzyńcy, kierują się teraz tylko jedną zasadą. Wytropić jedzenie i pożreć je, i zadawać ludziom taki ból, o jakim nikomu się nie śniło. Właśnie o tym myślą, kiedy my tu siedzimy, dyskutujemy o racjach żywnościowych, szlachetności naszego dyrektora college'u i o tym, czy powinniśmy zabijać i zjadać nasze psy.

John skrzywił się, słysząc ostatnie słowa. Oczywiście Washington nic nie wiedział o Zachu.

Rozbrzmiał dzwonek telefonu.

Dźwięk ten nadal był szokujący. Trzej mężczyźni spojrzeli na siebie, po czym John wstał, podszedł do biurka dyrektora i podniósł słuchawkę. To był stary aparat z tarczą, z lat czterdziestych bądź pięćdziesiątych, słuchawka była ciężka, a kabel czarny jak smoła i zwisający prosto, bez charakterystycznej spirali.

- Tu Matherson.

- To ty, John? Mówi Tom.

- Nawijaj, Tom.

- Jest tu ze mną Don Barber. Dopiero co po niego pojechałem i przywiozłem do ratusza.

- Co udało mu się zobaczyć?

- Cholera, John, jest cały roztrzęsiony.

- Możesz go tu przywieźć?

- Jasne. Będziemy za pięć minut.

- Czekamy.

W słuchawce przez kilka sekund szumiało, po czym Judy, operatorka w ratuszu, przerwała połączenie i na linii zapadła cisza.

John odłożył słuchawkę.

- Mamy kłopoty. Za kilka minut pojawi się Barber i złoży sprawozdanie.

Czekając na Toma i Dona, cała trójka gwarzyła o nieistotnych sprawach, John stał w oknie i palił siódmego tego dnia papierosa. Grupka studentów wychodziła zza akademika dla chłopców. Pół tuzina dziewcząt i paru chłopaków. Przezywano ich hipisami i mimo że przed wybuchem trochę się z nich podśmiewano, teraz nikt nie śmiał ich przedrzeźniać.

Większość z nich wybrała specjalizację „outdoor education” lub biologię. Teraz ich domeną stało się zbieractwo: wiedzieli, które korzenie wykopywać, z których roślin można zaparzyć herbatę, a które posiadają jakieś właściwości lecznicze. Jedna z dziewcząt miała przy sobie egzemplarz przewodnika po roślinach autorstwa Petersona; podniszczona książka wystawała z kieszeni jej dżinsów. Inna niosła kosz wypełniony grzybami. Do tej pory nie zdarzyły się żadne wpadki z grzybami w roli głównej. Kolejna dwójka wspólnymi siłami niosła pleciony kosz, z którego aż wylewała się zielenina. Ta para wyglądała jak ucieleśnienie ideału Rousseau, jego marzenia o tym, jak powinien wyglądać świat, gdyby cywilizacja nagle przepadła.

Zza rogu wyłonił się antyczny jeep z czasów II wojny światowej, oficjalnie mianowany przez Toma radiowozem. Zatrzymał się przy Gaither Hall. Z samochodu wysiadł Don razem z Tomem i obaj przeszli prosto do gabinetu Hunta.

Barber dostrzegł papierosa w dłoni Johna i westchnął.

- Psiakrew, od lat nie miałem tego w ustach - powiedział cicho. - John, poczęstujesz mnie?

John zawahał się, skinął głową i podał mu jednego. Zostało mu już tylko jedenaście.

Don zaciągnął się głęboko, westchnął i usiadł przy stole.

- Nadciągają - oświadczył.

Wszyscy milczeli.

- Old Fort to ruina. Poleciałem tam na samym początku. Minimum pięćdziesiąt pojazdów, a w nich - urwał, zaciągnął się papierosem, a potem pomachał ręką w geście obrzydzenia - nawet nie umiem znaleźć słów, by opisać te szumowiny. Byli w centrum miasta, które w większości trawi ogień. Nadal toczy się tam walka, ale miasto jest skończone.

Westchnął i wyjrzał przez okno.

- Psiakrew, to przypominało mi Koreę w 1951 roku. Gdybym tylko miał oddział myśliwców F-105, moglibyśmy zgładzić ich awangardę jedną salwą.

- Awangardę? - zapytał Washington.

Barber przytaknął.

- Daj mi minutkę, Washington, mój mózg działa przez to wszystko na zwolnionych obrotach.

Czekali w milczeniu. Po chwili Don zaczął opowiadać:

- Tak jak mówiłem, naliczyłem około pięćdziesięciu pojazdów. Większość w centrum miasta. Ci barbarzyńcy są po prostu w amoku. Widziałem, jak rozstrzelili ludzi na środku ulicy, wyciągając ich za fraki z budynków, pod które podkładali ogień. Na autostradzie międzystanowej zobaczyłem około dziesięciu kolejnych pojazdów. Kilka razy strzelili do mnie, w moim samolocie jest teraz z tuzin dziur. Postanowiłem sprawdzić drogę, przelecieć się wzdłuż siedemdziesiątki, a potem wrócić nad międzystanową. Na tej pierwszej nie widziałem nic szczególnego, chociaż odniosłem wrażenie, że też się tam pokazali. Płonęły budynki, ale nieco dalej od drogi widziałem ludzi, którzy nadal żyli. Widać te kanale po prostu tamtędy przejeżdżały. Marion nie ucierpiało jakoś strasznie. Pewnie dlatego, że leży oddalone od międzystanowej, poza tym ludzie z tego miasteczka mieli dobrze utrzymane blokady drogowe, więc trudno jest tam wjechać. Oznaki walki widać tu i ówdzie, ale najwyraźniej te śmieci dały za wygraną i wycofały się.

- Myślisz, że nasze miasto też sobie odpuszczą? - zapytał Tom.

- Nie - powiedział z przekonaniem John. - Po pierwsze, ich szpiedzy już nas przejrzeni, wiedzą, że nadal mamy trochę zapasów i sprzętu. Po drugie, aby dostać się do Asheville, dużego miasta, które z przyjemnością splądrują, najpierw trzeba przejść przez Black Mountain. Po trzecie, idą w naszą stronę i już nie ma szans, żeby zawrócili. Do Marion może zajrzą później, ale najpierw złożą wizytę nam.

Washington skinął głową na znak zgody.

- Co było dalej, Don? - zwrócił się do weterana.

- Poleciałem do Morganton wzdłuż zjazdu numer 103 z autostrady międzystanowej.

Spuścił głowę.

- Myślałem, że najgorsze widziałem w Charlotte, kiedy nad nim przelatywałem. Ale w Morganton było inaczej. W Charlotte były zamieszki, jednak ludzie przeważnie próbowali spakować swój dobytek i wyjechać lub po prostu uciekali stamtąd w cholere, tak jak stali. Ale w Morganton było inaczej.

- Jak to? - zapytał John.

- Znacie szpital dla umysłowo chorych w Morganton?

Wszyscy przytaknęli. Stanowy szpital był umiejscowiony pół mili od autostrady międzystanowej, na pięknej zielonej przełęczy w starym, spokojnym, typowo południowym miasteczku Morganton, w którym były nawet przedwojenne domy na głównej ulicy.

- Mówię wam... To był, kurwa mać, koszmar.

John spojrział na niego zszokowany.

- Było aż tak źle? - dopytywał się Washington.

- Mój Boże... oni chyba zabijali ludzi i ich zjadali - wyszeptał Don.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Don patrzył w dal, wypalając papierosa aż po sam filtr.

- Żartujesz - powiedział cicho Charlie.

Don spojrział na niego ze złością.

- Myślisz, że żartowałbym na taki temat? - warknął. - Zobaczyłem kilkaset wozów zaparkowanych w wielkim kręgu. Stare samochody osobowe, jeepy, ciężarówki, a nawet kilka ciągników siodłowych. W środku tego kręgu ziemia była czarna od ogromnego pożaru, który nadal kopał. Było wcześniej, kiedy tam doleciałem, widziałem jak wszyscy spali rozwaleni na ziemi. Szpital płonął, wokół leżały martwe ciała, większość centrum miasta też się paliła, pełno trupów na ulicach. Ale najgorsze było to, co znajdowało się w środku tego koła utworzonego przez stare samochody, ciężarówki i motocykle.

Don wypalił papierosa, zgasił go w pustym kubku do kawy i spojrział błagalnie na Johna. John podał mu kolejnego papierosa i sobie też wziął. Zostało mu już tylko dziewięć.

- Postawili coś w rodzaju szubienicy. Rozwiesili na tym ciała... - Pokręcił głową i zaczął płakać. - Ciała były rozcięte, otwarte, niektóre z obciętych nogami i rękami. Było ich dziesięć, a może więcej. Wisiały jak zarżnięte świnię. O Boże...

Don walczył o panowanie nad sobą.

- Widziałem innych ludzi, którzy byli zakładnikami. Kiedy przelatywałem nad nimi, zaczęli skakać, machali do mnie, biedni ludzie, jakby uwięzieni w koszmarze. Zniżyłem się, aby lepiej się wszystkiemu przyjrzeć. Jeden z tych gnojów... widziałem, jak na mnie spojrział,

kiedy nad nim przelatywałem... poderżnął gardło jakiejś kobiecie. Zrobił to tak, abym to zobaczył. I wtedy prawie mnie zestrzelili. Mają karabin maszynowy, otworzyli ogień. Podziurawili mi skrzydło. Zanurkowałem nisko, leciałem prawie nad ziemią, wilem się jak wąż, unikałem kul.

Uśmiechnął się.

- Jak za starych, dobrych czasów. Boże, byłem wtedy naprawdę niezły, umiałem przelecieć pomiędzy dwoma drzewami oddalonymi od siebie o nie więcej niż parę metrów, i to jeszcze z kablami telefonicznymi nad głową.

A potem Don znowu się rozkleił.

- Nie mogę w to uwierzyć.

John westchnął, opadł na oparcie krzesła i pograżył się w myślach. Kanibalizm. Przypomniał mu się Leningrad i Stalingrad, ale wtedy to byli cywile doprowadzeni do ostateczności przez głód. To samo podobno miało miejsce w Chinach oraz, co przerażające, wiedział też o udokumentowanych przypadkach, jakie miały miejsce wśród japońskich żołnierzy, którzy uprawiali kanibalizm albo z czystej desperacji, kiedy byli odcięci od świata podczas naszej kampanii z zastosowaniem taktyki żabich skoków, albo w ramach rytuału przeprowadzanego na amerykańskich jeńcach wojennych.

- Ani ja - westchnął Charlie. - Na miłość boską, tu jest Ameryka!

- A jednak takie rzeczy dzieją się również tutaj - powiedział cicho John. - Dlaczego mielibyśmy być inni?

- Do cholery, jesteśmy Amerykanami, takie rzeczy się u nas nie zdarzają.

- A co z wypadkiem przy Donner Pass? Albo z tym, co się działo na pokładzie statku Essex? A co ci mówi nazwisko Jeffrey Dahmer? No i ta nasza chora fascynacja filmami z Hannibalem Lecterem. Wystarczy sześćdziesiąt dni bez jedzenia, bo nagle odcięto nam prąd. Takie rzeczy się u nas nie zdarzają? Wolne żarty... - rzucił John chłodnym tonem.

- To pewnie jakaś cholerna sekta. Tak jak mówił doktor Kellor, psychopaci grasujący na wolności.

Chodziło mu o nadal działającą sektę z Knoxville, której przywódca twierdził, że jest nowym wcieleniem Jana Chrzciciela. Były też doniesienia o kolejnych takich grupach, podobno jakiś świr obwołał się mesjaszem, inni szukali odpowiedzi w Apokalipsie św. Jana, a jeszcze inni twierdzili, że to inwazja kosmitów. John pomyślał o tej małej zatoczce przy strumieniu Haw Creek. Mieszkało tam kilkanaście rodzin, należących do jakiejś sekty, która według pogłosek nie tak dawno bawiła się w picie jadu węży. Kompletnie odcięli się od otoczenia, mówili, że oto nadszedł koniec świata i doświadczamy gniewu Boga. Nikt nawet

nie śmiał zbliżyć się na sto metrów do barykady, którą wznieśli. Johna nurtowało, jakie szalone rytuały praktykują ci ludzie.

- Teraz już nie mają nic do stracenia - odezwał się po chwili. - Mamy stan nadzwyczajny. Te szumowiny plądrują, gwałcą, mordują. Wiedzą, że jeśli powróci jeszcze kiedykolwiek cywilizacja, jakaś namiastka ładu i porządku, wszyscy zostaną postawieni pod mur i rozstrzelani. Nie mają więc nic do stracenia. Do tego dołączcie grozę całej tej sytuacji. My domyśliliśmy się, że padliśmy ofiarą ataku EMP, ale inni? Szczególnie ci, którzy i tak mieli już nierówno pod sufitem? Jaką sobie znaleźli odpowiedź? Bóg się na nas pogniewał, Gaja, bogini Ziemi się na nas wkurzyła, Szatan przejął władzę nad światem?

John poczuł, że sam znalazł się na skraju hysterii. Drżały mu ręce, kiedy wyciągnął kolejnego papierosa i poczęstował jeszcze jednym Dona.

- Nad światem zapanował Szatan. Być może ktoś, kto stoi na ich czele, właśnie to im wmawia. Bóg wypiął się na Amerykę, Szatan wygrał, więc wszystko jest dozwolone. Wątpię, by każda sekta dopuszczała się takich zbrodni, wolę wierzyć, że większość z tych ludzi czuje taki sam lęk przed tym, kto obwołał się ich przywódcą, jak my. Ale na pewno ich guru drze mordę, że ma poufne informacje od Boga, Szatana, czy kogo tam jeszcze chcecie.

- To obłąd - szepnął Charlie.

- Przypomnijcie sobie sektę Świątynia Ludu z Jonestown. To też byli Amerykanie, mimo że nie mieszkali w Stanach. Prawie tysiąc osób odebrało sobie życie, bo jakiś przekłety świr kazał im pić Kool Aid zmieszane z trucizną, twierdząc, że otrzymał taki rozkaz od samego Pana Boga. To wygląda tak: wystarczy wziąć grupkę przerażonych ludzi, a potem zabrać im wszystko, na czym opierał się ich świat. Założę się, że po tych dwóch miesiącach po całym kraju biega już kilkunastu proroków mówiących „chodźcie za mną” i nawet jeśli pójdzie za każdym z nich mniej niż jeden procent z tych, którzy przeżyli, i tak oznacza to setki tysięcy barbarzyńców siejących zniszczenie, podczas gdy reszta z nas ucieka przed nimi, robiąc w portki. Cholera, nasi wrogowie, którzy nas tak urządzili, dobrze nas znali - westchnął. - Zbyt dobrze znali ludzką naturę. Wiedzieli, jak delikatną konstrukcją jest cywilizacja i jak ciężko ją obronić. My o tym zapomnieliśmy.

Wszyscy milczeli, dopóki Don znowu nie przemówił:

- Polecałem z powrotem wzdłuż międzystanowej - zaczął cichym głosem. - Naliczyłem w Morganton, Old Fort i na drodze około dwustu pojazdów.

- W takim razie to daje nam osiemset do tysiąca osób - stwierdził Washington.

- Panowie, miejcie to w pamięci. Byłem wyszkolonym obserwatorem, wiem jak liczyć, wiem jak wszystko wypatrzeć.

- Nie wątpimy w to - powiedział Charlie.

- To dobrze, w tym przypadku wiercie mi na słowo. A teraz, jeśli chodzi o problematyczny aspekt taktyczny...

- Napierają na nas od tyłu - rzucił John.

- Właśnie. Naliczyłem dwa tuziny pojazdów na starej drodze gruntowej u podnóża gór przy gejzerze Andrew. Kilka na opustoszałej drodze asfaltowej. Kolejne nieco dalej, w miejscu, gdzie tory kolejowe przecinają starą drogę gruntową. Wiedzą, gdzie znajdują się tylne wejścia do naszego miasta.

- A co ze starymi drogami leśnymi? - zapytał Charlie.

Don pokręcił głową.

- Trudno cokolwiek dostrzec przez korony drzew - odparł.

- Wątpię, żeby tam byli - wtrącił Washington. - Chyba że mają kilku tutejszych chłopaków za przewodników. Te stare drogi leśne to istny labirynt. Stawiam na to, że będą się trzymali porzuconej asfaltówki, drogi gruntowej na północy oraz torów kolejowych i tam właśnie uderzą w pierwszej kolejności.

- Zgadzam się - mruknął Charlie.

- Mogą tu już dotrzeć późnym popołudniem, próbując zająć pozycję flankową - powiedział Don.

John przytaknął.

- Muszą mieć jakiegoś dobrego przywódcę wojskowego. Facet zna się na rzeczy i przeprowadził dokładny rekonesans. Uderzą w nas przed świtem - stwierdził. - Liczą na to, że zaskoczą nas we śnie. Gdybym był jednym z nich, lot Dona wziąłbym za znak, że do Black Mountain dotarło jakiegoś rodzaju ostrzeżenie, więc postanowiłbym przyspieszyć atak, abyśmy nie mieli czasu przygotować obrony. Możemy się jedynie modlić, żebyśmy mieli do czynienia z hołotą, której przewagą jest liczebność oraz działanie z zaskoczenia. Wygląda jednak na to, że w ich szeregach są jacyś byli wojskowi. Najgorzej by było, gdyby mieli kilku speców od rekonesansu, którzy wiedzą, jak zrobić rozpoznanie w terenie, jak rozpracować systemy obronne, jaką zastosować taktykę oraz plan ataku. Ich awangarda znajduje się teraz w Old Fort, aby zabezpieczyć teren dla reszty bandy, która dotrze tam później, ale założę się, że późnym popołudniem zaczną węszyć w terenie, więc musimy wyjść im naprzeciw. Jeśli zobaczą nasze oddziały i ocenią, jaką siłą dysponujemy, będziemy mieli jeszcze większe trudności z odparciem ataku. Dziś w nocy rozbiją obóz w Old Fort, zrównają tamto miasto z ziemią i uderzą w nas przed świtem.

- Będziemy przygotowani - oświadczył Washington i wstał.

- Musimy nakarmić nasze oddziały, a potem przenieść je na ich stanowiska. Washington, już omawialiśmy ten scenariusz, więc obaj znamy plan operacji. W ciągu godziny chcę dostać sprawozdania od oficerów. Tom, rozpocznij ewakuację mieszkańców domów za naszą linię odwrotu, tak jak ustaliliśmy wcześniej. Charlie, chcę, aby każdy mieszkaniec naszego miasta, który potrafi trzymać w rękach broń, był w naszej rezerwie. Panie Barber, mam nadzieję, że przez większość dnia będzie pan w stanie utrzymać swoją ślicznotkę w powietrzu. Ale niech pan wzniesie się bardzo wysoko. Chodzi tylko o to, żeby mieć oko na ich ruchy.

John rozejrzał się po obecnych. Na twarzy Washingtona ujrzał lekki uśmiech, Charlie, który dosłownie skurczył się z powodu niedożywienia, milczał, lecz jego spojrzenie było wymowne: osobą dowodzącą jest teraz John.

- Panowie, sądzę, że powinniśmy wziąć się do roboty - oświadczył John.

Tom ruszył z powrotem do swojego samochodu wraz z Donem.

Washington spojrzał na Johna i Charliego.

- Panowie, koniecznie musicie dołączyć do nas w kaplicy oraz przy posiłku.

Dwie godziny później, po sprawozdaniach oficerów oraz omówieniu planu, John był pewny, że wszyscy rozumieją swoje zadania. Kilku dowódców plutonów stanowili studenci. Jeremy i Phil awansowali do rangi podporuczników w pierwszym i drugim plutonie kompanii A. Pozostali dowódcy byli weteranami wojennymi, wielu z nich miało na koncie Pustynną Burzę, kilku było w Wietnamie.

John wkroczył do jadalni. Dziwne, pomyślał, w gruncie rzeczy nic się tu nie zmieniło. Kontuar, gdzie uczniowie podtykali swoje karty żywnościowe pod skaner laserowy do odczytu, okrągłe stoły, podwójne drzwi prowadzące do sali, gdzie wydawano jedzenie.

Było to pomieszczenie, z którym wiązało się mnóstwo radosnych wspomnień oraz kilka smutnych. Zanim zaczął tu pracować, zupełnie inaczej wyobrażał sobie tę placówkę. Obawiał się, że jego stary dowódca, chcąc jak najszybciej załatwić mu jakąś robotę w rodzinnym mieście Mary, wcisnął go do jakiegoś fundamentalistycznego ośrodka religijnego. Co prawda, jako Amerykanin nie był jakoś szczególnie uprzedzony to tego typu miejsc, na poziomie filozoficznym, lecz mimo wszystko był przecież człowiekiem z Jersey, wychowanym w katolickiej rodzinie. Jednak jego obawy nie znalazły odbicia w rzeczywistości. College był najbardziej przyjaznym miejscem, w jakim kiedykolwiek przyszło mu pracować.

Został przywitany z otwartymi ramionami, z miejsca stał się członkiem społeczności, w której zachęcano do przyjacielskich debat intelektualnych i mimo że kilka osób nieco zbyt

chętnie osądzało bliźnich, większość wykazywała wielką otwartość umysłu. Twierdzili, że tak właśnie wygląda prawdziwy duch nauk Chrystusa. Nie widział tu oszołomów, o co podejrzewała ich większość osób spoza Południa. Poza tym wszystkim szkoła stawiała na pierwszym miejscu studentów. College okazał się więc o wiele lepszy, niż John się spodziewał, i w tym momencie znowu uświadomił sobie, jak bardzo uwielbiał wszystkich tych ludzi, zwłaszcza „dzieciaki” siedzące teraz przy stołach, ubrane w mundury maskujące, z karabinami opartymi o ściany.

Tradycją ciała nauczycielskiego było to, by nie izolować się od uczniów na stołówce, przeciwnie: siadać razem z nimi przy stole, śmiać się, dyskutować, klócić, prowokować, stymulować.

Mary chodziła do tego college'u przez rok, potem przeniosła się do o wiele bardziej przeżartego duchem rywalizacji Duke, lecz fakt, że John zaczął tu pracować, był dla niej jak podróż sentymentalna. Kilku profesorów, kolegów Johna, dawno temu nawet ją uczyło.

Pod koniec życia Mary często przychodziła tutaj, by zjeść razem z Johnem lunch. Zawsze wokół ich stolika gromadzili się uczniowie. Ci, którzy byli wtajemniczeni w stan jej zdrowia, zazwyczaj na pożegnanie całowali ją w czoło, ściskali jej ręce i mówili: „Codziennie modłę się za panią”.

A potem Mary odeszła.

Lecz w ciągu kolejnych czterech lat i tak spędził tu wiele radosnych dni. Pamiętał wspólne posiłki oraz absolutnie absurdalne, ale i wzruszająco głupie żarty nauczycieli na dzień przed rozdaniem dyplomów.

A teraz...

W stołówce nie było długich kolejek do bufetu, punkt wydawania posiłków przeniesiony został gdzieś w kąt, stoliki ustawiono przy tylnym wyjściu. Na dworze grill dymił jak szalony, piekły się platy niedźwiedziego mięsa. Większość studentów już wzięła swoje talerze, każda porcja solennie wymierzona: kawałek mięsa, trochę warzyw i kubek herbaty ziołowej. Mimo wszystko był to całkiem spory kawałek mięsiwa i należało pamiętać o tym, że ludzie w centrum miasta stali teraz po porcję chudej zupy z krztyną mięsa.

Pomimo głodu, który odczuwali, wszyscy zachowywali się powściągliwie, siedzieli spokojnie przy stolikach. Rozmawiali, lecz nikt nie tknął jeszcze jedzenia.

John spojrział na Charliego.

- Będziesz jadł - powiedział ostrym tonem.

- Ale, John...

- Charlie, zjesz, koniec dyskusji.

Pchnął Charliego do przodu, zajęli miejsce na samym końcu kolejki. Po chwili dostali talerze z już odmierzonymi kawałkami mięsa. John zauważył, że personel kuchenny na stoliku do krojenia ustawił sobie wagę, na którą rzucano każdy kawałek, zanim wylądował na talerzu. Waga poszczególnych porcji mogła się nieznacznie wahać, lecz ważenie było jasnym komunikatem, że nie ma sensu wyklócać się o wielkość swojego posiłku.

John poszedł za Washingtonem do stolika naprzeciwko zamkniętych drzwi, w których dawniej wydawano posiłki. Kiedy dotarli do stolika, cała sala zamarła i zamilkła, wszystkie spojrzenia padły na nich.

Wielebny Abel zrobił krok do przodu, pobłogosławił posiłek, John i kilka innych osób obecnych na sali się przeżegnało.

Washington nadal stał w miejscu.

- Jestem z was dumny - rzekł.

Na sali cisza jak makiem zasiał, niezależnie od tego, jak tęsknym wzrokiem wszyscy obrzucali posiłek, który mieli przed nosem; kawałek mięsa, jakiego nie widzieli od tygodni.

- Jestem z was dumny, z was wszystkich. Z tych, którzy przynieśli nam jedzenie, szczególnie z naszego Strzelca wyborowego, Bretta Huffmana.

Brett, który ustrzelił niedźwiedzia, wstał; na jego cześć rozbrzmiała burza oklasków i okrzyków.

- Ale jestem też dumny z całej reszty. Z tych, którzy zbierają, tych, którzy szukają, tych, którzy wykonują prace uznawane przez co niektórych za zajęcia niedodające splendoru oraz z tych, którzy pracują w obozie uchodźców, na oddziale zakaźnym, w szpitalu oraz przy wyrębie lasu.

Omiótł wzrokiem zgromadzonych studentów.

- Dziś lub jutro czeka nas bitwa.

Przez salę przeszedł pomruk.

- Słyszeliście pogłoski o grupie zwanej Dziką Bandą. Nasz wywiadowca właśnie doniósł, że zbliżają się do Black Mountain.

Nikt się nie odezwał, lecz John widział zdenerwowanie w oczach zebranych.

- Jutro o tej porze czeka nas bitwa, w której niektórzy z was zginą. Nigdy was nie okłamywałem i okłamywać nie zamierzam. Niektórzy z was umrą.

Wpatrywali się w niego w absolutnym skupieniu.

- Jesteście teraz żołnierzami. Każdy z was. Ci, którzy przeszli szkolenie, i ci, którzy nie przeszli. Tak jak wcześniej ustaliliśmy, każdy student tego college'u jest teraz zmobilizowany. Studenci, którzy nie zostali wcieleni do żadnej z naszych dwóch kompanii

bojowych, będą pełnić rolę sanitariuszy, posłańców oraz wykonywać inne zadania, do których zostali przeszkoleni. Oczekuję od was wszystkich wykonywania swoich żołnierskich obowiązków.

Washington odwrócił się i zaczął siadać. John, nawet nie w pełni świadomy tego, co robi, nagle wstał.

Kilka osób zaczęło już kroić swoje mięso, lecz kiedy John wstał, przestali i spojrzeli ku niemu.

- Dziś w nocy albo jutro rano staniecie do walki. To będzie moment tragiczny, moment, w którym dorośnięcie i nigdy już nie uda wam się tego cofnąć. Stajecie w obronie tysięcy mieszkańców tego miasta, którzy są zbyt słabi, by się bronić. A teraz powiem coś bez owijania w bawełnę. Na chwilę zamilknę i chcę, aby każdy z was wbił wzrok w swój talerz. Ten posiłek jest poświęcony przez waszych bliźnich, aby dał wam siłę niezbędną do bronięcia ich oraz... siebie samych.

John rzeczywiście zamilkł, nikt się nie odzywał, niemal wszyscy spuścili wzrok i wpatrywali się w swoje talerze.

- Pomyślcie - zaczął, śmiejąc się smutno pod nosem - pomyślcie o tym, jak dwa miesiące temu narzekaliśmy na jakość jedzenia w naszej stołówce, jak nakładaliśmy sobie pełne talerze, a potem połowa z tego lądowała w koszu... Dziś wieczorem staniecie twarzą w twarz z mężczyznami i kobietami, którzy zabiją was i każdego innego w imię tego kawałka mięsa, który macie na talerzach, a który dwa miesiące temu wyrzucilibyście do kosza na śmieci.

Wahał się przez chwilę, lecz wiedział, że musi to powiedzieć.

- Zabiją was nawet dla... waszego mięsa, jeśli zwyciężą. Niespełna czterdzieści mil stąd ta wypaczona banda morduje ludzi, by następnie pożreć ich mięso.

Zebrani poczuli się nieswojo, zaczęli się wiercić na krzesłach.

- Zatem teraz podczas posiłku pamiętajcie o tym, że dwie mile stąd, w mieście Black Mountain, dziś rano kilka osób zdążyło już umrzeć z powodu głodu. Umarli po to, abyście wy mogli jeść, abyście mieli siłę stanąć w obronie naszej społeczności i zdołać przetrwać.

Westchnął, zaczął siadać, lecz zmienił zdanie.

- Niektórzy z was chodzili do mnie na zajęcia z historii wojskowości. Rozmawialiśmy dość bezceremonialnie o wojnach z przeszłości, a cierpienie tamtych ludzi wydawało się nam czymś odległym. Pamiętacie gości, których zapraszałem, weteranów z pokolenia, nazywanego teraz „Najwspanialszym Pokoleniem”.

Rozejrzał się po sali, ledwie był w stanie nad sobą zapanować, w oczach miał łzy.

- Dzisiaj, jutro lub za wiele lat, to wy będziecie tym najwspanialszym pokoleniem. Będziecie nim, bo musicie nim być. Musicie wygrać tę bitwę, a potem pamiętać o wszystkim tym, czym była Ameryka. Musicie ją odbudować i nigdy nie zapomnieć...

Westchnął, spuszczaając głowę.

- Nigdy nie wolno wam zapomnieć...

Usiadł. Przez chwilę panowała cisza.

Nagle Laura, dziewczyna z chóru szkolnego, podniosła się z miejsca i zaczęła śpiewać *Gwieździsty sztandar*.

Natychmiast wszyscy powstali i również zaczęli śpiewać. John nigdy w życiu nie słyszał tak zaśpiewanego hymnu Stanów Zjednoczonych.

Patrzył na nich, usiłując śpiewać, lecz bez skutku, zbyt bardzo zawładnęły nim emocje.

Gdy skończyła się ostatnia zwrotka, rozbrzmiały oklaski i okrzyki. Wszyscy usiedli, z wyjątkiem Laury. Dołączyło do niej kilku innych członków chóru.

Razem znowu zaczęli śpiewać, mimo że ich koledzy i koleżanki zabrali się już do swoich porcji. Tym razem był to *Danny Boy*.

John spuścił głowę, wbił wzrok w swój posiłek. Połowa, może ćwiartka dla mnie, pomyślał, reszta dla Jen, dziewczynek oraz Ginger.

Po obiedzie przyszedł czas na pochód. Na czele szła amerykańska flaga, sztandar szkoły i chłopiec grający na piszczałce. Szli do Kaplicy Syna Marnotrawnego, w której znajdował się słynny fresk Bena Longa. Nabożeństwo musiało być krótkie, ponieważ John poinformował wielbnego Abła, że czas nagli.

Zaczęli od Ojciec nasz. Akurat w momencie, gdy skończyli, nagle otworzyły się tylne drzwi do kaplicy i utykając, wszedł dyrektor Hunt, wsparty na ramieniu jednego ze studentów. Wszyscy wstali, wielu miało łzy w oczach. Wszedł na scenę, stanął pod freskiem, po czym powoli wyjął z kieszeni Biblię.

- Miałem ze sobą tę Biblię w Wietnamie - powiedział ściszym, wątlm głosem. - Kurczowo trzymałem się jej w noc, gdy zostałem ranny i straciłem nogę. Każdej nocy, będąc tam, czytałem pewien psalm. Chcę się nim z wami podzielić... To psalm dziewięćdziesiąty pierwszy, nazywamy go psalmem żołnierzy.

Otworzył Biblię, lecz widać było, że zna ów fragment Pisma Świętego na pamięć.

- „Kto przebywa w pieczy Najwyższego i w cieniu Wszechmocnego mieszka...” - Z każdym słowem głos dyrektora stawał się mocniejszy. - „W nocy nie ulękiesz się strachu ani za dnia lecącej strzały, ani zarazy, co idzie w mroku, ni moru, co niszczy w południe”.

*

Kiedy John wreszcie wrócił do domu, minęło już południe. W mieście widać było ludzi - przynajmniej tych, którzy mieli siłę się poruszać... Don znowu poleciał na zwiady i wrócił z informacją, że Dzika Banda rzeczywiście się przemieszcza, już minęli Marion. Pierwsza potyczka miała miejsce na zboczu góry przy przełęczy Swannanoa, jak na ironię losu nieopodal miejsca, gdzie ponad sto czterdzieści lat wcześniej, prawdopodobnie w ostatniej bitwie na wschodzie w czasie wojny secesyjnej, wojska konfederatów usiłowały odeprzeć jankeskich najeźdźców. Pół tuzina napastników wspinających się porzuconą asfaltową drogą zostało zabitych blisko miejsca, gdzie dawniej był punkt widokowy oraz budka z hot dogami.

Kolejne starcie wybuchło na drodze gruntowej trochę dalej na północ. Oddawano strzały z dużej odległości. Jeden student zginął, a drugi zaginął.

W mieście mężczyźni, którzy mieli choćby odrobinę siły, zbierali się, by rozlokować się na drugiej linii obrony.

Charlie był w ratuszu, kipiał złością. Telefonicznie przekazał wieści władzom Asheville, błagając ich o wsparcie. A oni spisali Black Mountain na straty. Twierdzili, że w ich stronę zbliża się jakaś grupa z południa, która już podłożyła ogień pod Hendersonville. W Asheville nie mają żadnego strategicznego punktu, aby powstrzymać atakujących. Wszystkie siły rzucili do obrony miasta przed najeźdźcami.

Tom doniósł, że barykada Asheville, tuż przy zjeździe 53, będąca wężutkim przesmykiem na autostradzie numer 40, została obstawiona przez milicję Asheville, ale nie mieli zamiaru ruszyć do przodu i pomóc Black Mountain.

Tak więc Black Mountain oraz Swannanoa mogły liczyć jedynie na siebie. Władze hrabstwa prawdopodobnie doszły do wniosku, że mieszkańcy Black Mountain mogą zainkasować cios, proszę bardzo. Jeśli uda im się odeprzeć atak, to super, a jeśli nie - najeźdźcy będą już tak osłabieni walką, że nie wystarczy im sił na zdobycie ich miasta. Być może był to rewanż za sprawę uchodźców, mimo że Charlie ostrzegł ich, że jeśli Black Mountain padnie, osobiście wysadzi rurę doprowadzającą wodę do Asheville i skaże miasto na zagładę.

O trzeciej po południu milicja Black Mountain, niczym przybysze z zamierzchłych czasów, przemaszerowała przez miasto. Na czele szedł chłopiec grający na piszczałce, w kepi na głowie i w niebieskim mundurze, grając w kółko *Yankee Doodle*. Był też dobosz z liceum oraz chłopak niosący flagę USA. To wszystko tworzyło obrazek niczym ze starych płócien.

Ulice zapełniły się przymierającymi głodem cywilami, którzy powitali oddziały bojowe okrzykami radości oraz płaczem.

Osoby, które pamiętały tego typu parady sprzed sześćdziesięciu lat, patrzyły na to ze zdziwieniem. W ich własnym mieście młodzież wyruszała teraz na wojnę dokładnie tak, jak miało to miejsce tak dawno temu. Wyruszali na wojnę - na wojnę z innymi ludźmi; obie strony konfliktu jeszcze dwa miesiące temu stanowiły jeden naród.

Treningowe uniformy, niebieskie i białe, w barwach uczelni, zostały zastąpione mundurami kamuflażowymi, będącymi darami od cywili, różnymi ubraniami myśliwskimi oraz zapasowymi ubraniami wojskowymi, które szczególnie w przypadku drobniejszych dziewcząt okazały się o wiele za duże. Mimo to nad wszystkim unosiła się aura prawdziwej wojskowości. Niektórzy weterani wcieleni do szeregów mieli na głowach hełmy. Sporo z nich dzierżyło też broń, która w dawnych czasach wywołałaby nalot ze strony amerykańskiego Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych. Można było bowiem ujrzeć kilka thompsonów, karabinów AK-47, strzelb armsel striker, siejący postrach karabin snajperski kaliber 50 oraz kilka egzotycznie wyglądających karabinów automatycznych. Na przyczepie ciężarówki piętrzyły się ładunki wybuchowe, prymitywne miny oraz setki metalowych puszek, wypchanych złomem i dynamitem; wystarczyło zapalić zapalnik i rzucić bombą w stronę wroga. Przygotowywanie tych ostatnich okazało się wyjątkowo trudnym zadaniem. Jeden ze studentów zginął, a dwóch zostało rannych, kiedy tuż po mszy pakowali „granat” i nagle ładunek wybuchł.

John pomyślał, że to wszystko faktycznie wygląda jak żywcem wyjęte z przeszłości. Obserwował, jak żołnierze maszerują ulicą Black Mountain, po czym skręcają w State Street, kierując się na wschód, ku barykadzie. Na rogu stanął na baczność i zaszutował, zamarł w tej pozycji, dopóki nie minęli go wszyscy żołnierze, na szarym końcu szedł jeden z oddziałów piechoty oraz oddział dodatkowego wsparcia. Były to chwile pełne powagi, lecz mimo to dostrzegł wielu ze swoich byłych uczniów, którzy się do niego delikatnie uśmiechali lub machali w jego stronę, zupełnie jakby nadal byli tylko dziećmi, które po prostu bawiły się w wojnę, mimo że ci młodzi ludzie nieśli prawdziwe karabiny, strzelby, ładunki wybuchowe, bazooki domowej roboty oraz granaty.

Pomiędzy Johnem i Washingtonem doszło niemalże do rękoczynów, kiedy spierali się o plan działania. John przez chwilę odniósł wrażenie, że te dwa miesiące, w ciągu których Washington zwracał się do niego per „pułkownika”, były jedynie pewnego rodzaju nawykiem oraz zwykłą szopką. Koniec końców Washington ustąpił, choć ostrzegł, że plan Johna skazuje ich na trzykrotnie większe starty w ludziach i że ceną może być porażka w tej

„wojnie”.

Po przemarszu wojsk do barykady, John wtajemniczył setki cywili-ochotników (niektórzy ledwie trzymali się na nogach) w ich zadania oraz powiedział, jakie mają zająć pozycje, z kolei Charlie dopilnował, aby dwie bezcenne sztuki bydła zostały przewiezione na linię frontu, a następnie ugotowane, tak aby wszyscy przed walką się posilili. Kellor miał co do tego pomysłu poważne zastrzeżenia; twierdził, że lepiej by było, gdyby żołnierze ruszyli do boju z pustymi żołądkami, ze względu na możliwe rany postrzałowe brzucha, jednak Washington i John przeforsowali pomysł. Uważali, że lepiej jest stracić więcej żołnierzy, którzy dostaną kulę w brzuch, niż dopuścić do tego, żeby połowa armii zemdlała z głodu. Wyciągnięto również ostanie opakowania witamin i każdy żołnierz połknął podwójną dawkę.

Carl ze Swannanoa również prowadził armię ponad pół tysiąca ludzi, którzy nadal mieli siłę trzymać w rękach broń i stanąć do walki.

John wreszcie poczuł, że ma czas, by ulotnić się i ewakuować swoją rodzinę. Ich dom znajdował się teraz w obrębie linii frontu, więc postanowił przenieść rodzinę do domu Jen, który, mimo że stał od dwóch miesięcy porzucony, nadal był w dobrym stanie, choć ktoś próbował się do niego dostać, wyłamując drzwi oraz tłukąc niektóre szyby.

John zatrzymał się na podjeździe. Trudno mu było uwierzyć w to, że wyjechał z domu zaledwie dziewięć godzin wcześniej. A przecież w tym czasie wydarzyło się tyle rzeczy...

Oba trupy nadal leżały na tarasie. „Mięsozub” się nie pojawił. Był upał, wokół ciał gromadziły się chmary much. Jen stała w progu. Kiedy John wyskoczył z auta, podbiegła do niego Ginger, lecz miała spuszczoną głowę, skamlała cicho, jakby się czegoś bała. Jennifer rzuciła się mu w ramiona.

- Tatusiu! - Dziewczynka zaczęła płakać.

John nagle zdał sobie sprawę, że tak bardzo był pochłonięty sprawą Dzikiej Bandy, iż zupełnie zapomniał o tym, co wydarzyło się rano u niego w domu.

Podeszła do niego Jen. Po jej oczach poznał, że coś jest nie tak. Czy ktoś inny próbował napaść na nich podczas jego nieobecności?

- Nic się nikomu nie stało? - zapytał John.

- Nie, wszystko dobrze.

- Dzięki Bogu.

- Wyglądasz na ledwo żywego, John.

- Nie mogę teraz tłumaczyć i wdawać się w szczegóły, Jen, ale mamy zaledwie godzinę, by spakować się i przenieść. Przeprowadzamy się do twojego domu.

- Ale dlaczego, na miłość boską?

- Jutro o tej porze będzie tutaj miała miejsce bitwa. Ewakuujemy ludzi po obu stronach autostrady.

- John, musimy wszyscy razem usiąść i poważnie porozmawiać.

Jennifer nadal oplatała go ramionami.

Uściskał ją.

- Przykro mi z powodu Zacha, kochanie. To był taki odważny piesek. Najlepszy na świecie.

- Wiem, Tatusiu.

- John, jest jeszcze inna sprawa.

Spojrzał na nią pytająco.

- Chodź za mną, proszę.

Ostatnio zbyt wiele się działo, a ton głosu Jen niemalże pchnął go na skraj paniki. Czy chodziło o Jennifer?

Odkleił od siebie dziewczynkę i spojrzał na nią. Jej karnacja była blada, żółtawa, lecz wyraz twarzy się nie zmienił.

- Jennifer, złotko, Ginger chyba chce wyjść na dwór pobawić się z tobą - rzekła Jen.

Jen nie powiedziała tego w formie sugestii; dziewczynka zrozumiała aluzję.

- Dobrze, babciu.

- Dopilnuj, żeby Ginger nie zbliżała się do ciał na tarasie.

Sposób, w jaki to sformułowała, przekaz jej słów, był kolejną rzeczą, która uderzyła w Johna z wielką siłą. Idź pobaw się z psem, lecz nie zbliżaj się do ludzi, których tatuś w nocy zastrzelił, ponieważ twój ukochany golden retriever może nagle pomyśleć, że trupy to obiadek...

Poszedł za Jen do salonu. Elizabeth i Ben siedzieli razem na sofie, trzymając się za ręce. Jakimś sposobem, John momentalnie zgadł, o co chodzi. Ku jego zdziwieniu, w kącie pokoju stała Makala, teraz odwróciła się i spojrzała na niego.

Poczuł na sobie wzrok Elizabeth, która wzięła głęboki wdech i oświadczyła:

- Tato, jestem w ciąży.

Stał jak rażony gromem. Nie był w stanie mówić. Spojrzał na Bena, który opiekuńczo trzymał rękę na ramieniu jego córki. Spróbował spojrzeć Johnowi prosto w oczy, po czym spuścił głowę.

John odwrócił się, bojąc się tego, co mógłby w tej chwili powiedzieć lub zrobić. Zapalił papierosa i podszedł do okna.

Podeszła do niego Jen.

Usłyszał za plecami płacz Elizabeth oraz Bena, który szeptał coś do ukochanej.

- John? - odezwała się Jen. - Na miłość boską, John, zrób to, co należy.

Odwrócił się w jej stronę i spojrzał na nią.

- Ale... jak to możliwe? - Tylko tyle mógł z siebie wydusić. Nagle uzmysłowił sobie absurdalność tego wszystkiego. Elizabeth w wieku szesnastu lat wyglądała już jak jej matka, a gdy poznał Mary, miała dwadzieścia lat, on był o rok starszy. Oczywiście wiedział, „jak to możliwe”.

Mimo wszystko, to była jego ukochana mała córeczka, która się do niego przytulała i mówiła, że zawsze będzie go kochać.

Podszedł do nich i z przerażeniem zauważył skrajny lęk w oczach swojej córki. Ben wstał.

- Psze pana. Jeśli ktoś jest temu winny, to tym kimś jestem ja - powiedział drżącym głosem, który nagle przerodził się w piskliwy skrzek nastolatka. - To moja wina, nie jej.

- Nie, Ben. Oboje jesteśmy winni...

Elizabeth wstała i objęła Bena ramieniem.

- Tato, my się kochamy.

John powoli usiadł, kręcąc głową.

- Boże święty - westchnął - przecież jesteście dopiero w liceum. Przed wami college.

- Już nie - rzuciła Elizabeth. Tym razem jej głos był bardziej asertywny. - Tato, to wszystko już skończone. Skończone.

Spojrzał na nią.

Zawsze była szczupła, tak jak jej matka, lecz teraz bardziej niż zwykle.

Nie chciał mówić tego na głos, ale powiedział:

- Może to przez niedożywienie. Może dlatego spóźnia ci się okres.

- Nie, John - odezwała się po raz pierwszy Makala. - Znalazłam test ciążowy. Wyszedł pozytywnie. Będzie miała dziecko.

Kiedy Makala wypowiedziała słowo „dziecko”, Elizabeth i Ben, jak niezliczona ilość par od zarania dziejów, uśmiechnęli się do siebie.

John znowu na nich spojrzał. Elizabeth była bardzo szczupła, traciła na wadze. Mimo że był katolikiem, choć niepraktykującym, przez myśl przemknęła mu aborcja. Od zawsze był jej stanowczo przeciwny, jednak ciąża w takim stanie może zabić Elizabeth.

- Muszę to przemyśleć - oznajmił, po czym wstał i skierował się do swojego gabinetu.

Zatrzymał się w progu i odwrócił.

- Musimy w ciągu godziny się stąd ewakuować. Zaczynjcie się pakować... - Tylko tyle

mógł powiedzieć. Wyszedł z pokoju.

Usiadł przy swoim biurku. Butelka schowana w szufladzie była pusta. Cholera jasna, przeklął w myślach. Z kieszeni wyłowił fajki. Zostało mu pięć. Wyjął jednego papierosa i zapalił.

Był jak otępiały. Spojrzał przez okno, gdzie Jennifer rzucała patyk Ginger, która poruszała się już wolno, lecz nadal próbowała się bawić.

- John?

Podniósł głowę. To była Makala.

- Przeszkadzam ci?

- Tak. Nie.

- Mogę się przysiąść?

Przytaknął. Makala usiadła na krześle przy biurku.

- O czym myślisz? - zapytała.

Westchnął.

- O tym, że świat zamienił się w piekło. Wiesz, że rano zastrzeliłem dwie osoby?

- Widziałam ciała. Zasłużyli sobie na to.

- A wiesz o Zachu?

- Tak mi przykro, John. Miał dobre życie.

Spuścił głowę. Trudno było mu uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się kilka godzin temu.

- W naszym kierunku zbliża się horda barbarzyńców. Możliwe, że jutro nas zaatakują. Jeśli tak się stanie, wszystko to będzie bez znaczenia. Jennifer zginie. Jeśli będziemy mieć szczęście, to ty i Elizabeth też zginiecie. Wszyscy zginiemy. Cały kraj zdechnie.

- I dlatego musisz zaakceptować to, co przytrafiło się Elizabeth.

- Co? To jeszcze dziecko! Miała wrócić do trzeciej klasy liceum, a ten sukin... - zawahał się - a Ben miał być czwartoklasistą. Na Boga, Makala, jak mam to zaakceptować?

- Od tysięcy lat dzieciaki jeszcze młodsze niż oni zachodziły w ciążę. Szczególnie w czasie wojny.

- Ale nie moja córeczka.

- Właśnie tak, twoja córeczka. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego kolana. - Posłuchaj, John. Oboje wiemy, że nasze szanse są znikome. Oni też to wiedzą. Uważają, że się kochają. I, na miłość boską, mam nadzieję, że rzeczywiście tak jest. Chcą poznać smak życia, tak samo jak chciałeś tego ty, ja czy ktokolwiek inny.

Spojrzał na nią, nie był w stanie odpowiedzieć.

- Daj im swoje błogosławieństwo, John. Wiem, że to cholernie trudne. Ale zrób to. Jestem świadoma ryzyka, które podejmuje twoja córka, wiem o tym lepiej niż ty. Daj jej błogosławieństwo, aby nosiła je w sobie i aby dodało jej to sił.

Ujrzał łzy w jej oczach.

- To dobre dziecko, John. Ty i Mary dobrze ją wychowaliście. Nie zamieniaj całej tej sytuacji w dylemat moralny. To dwoje przerażonych młodych ludzi, wokół nich świat zamienia się w piekło, to było nieuniknione. Gdyby nie ta wojna, byłoby inaczej. Ale nie jest. Musisz się z tym pogodzić.

Przytaknął.

- Poproś Bena, żeby tu przyszedł.

Chwilę później Ben stał już w drzwiach jego gabinetu. Stał na baczność, z szeroko otwartymi oczami. John gestem dłoni zaprosił go do środka.

- Proszę pana, może pan mi zrobić, co się panu żywnie podoba, sir. Ale niech pan nie obwinia swojej córki.

W tym momencie Johnowi zmiękło serce. Zrozumiał, że ten chłopak spodziewał się z jego strony strzału z dubeltówki albo połamania kości. A mimo to miał odwagę, by stawić temu czoła.

- Kochasz moją córkę?

- Bardziej niż cokolwiek innego na świecie, sir.

- Ja również. Kocham Elizabeth i Jennifer.

- Wiem o tym, sir.

John skinął głową. Nie chciał za bardzo zagłębiać się w kwestię tego, jak bardzo chłopak kochał jego córkę. Żaden ojciec nie ma na takie rzeczy ochoty. Widział jednak, że Ben, niespełna siedemnastolatek, próbował być w tym momencie mężczyzną i wiedział, że od tej pory będzie musiał nim być.

Wstał, odczekał chwilę, po czym wyciągnął dłoń w stronę chłopaka.

- Dziękuję, sir - odparł Ben łamiącym się głosem.

John skinął głową.

- Tylko nie zwracaj się do mnie jeszcze per tato - powiedział wreszcie. - Nie jestem na to gotowy.

- Dobrze, sir.

Wiedział, że Elizabeth siedzi w sąsiednim pokoju i słyszy ich rozmowę. Wpadła do jego gabinetu i rzuciła mu się na szyję.

- Dziękuję, tato!

Nagle poczuł przyływ łez. Wciąż miała głos małej dziewczynki, jego dziewczynki.

W progę ujrzał też Jennifer z uśmiechem na twarzy.

- A więc nie zabijesz ich, tatusiu? - zapytała i na moment rozładowała napięcie.

- Nie, oczywiście że nie, kochanie.

- To fajnie - rzuciła i odeszła.

John poczuł, że ta chwila wymaga jakiegoś rytuału, więc kiedy Elizabeth wyslizgnęła się z jego uścisku, ujął jej dłoń i położył ją na dłoni Bena.

- Za kilka dni, kiedy będzie już po wszystkim... jako że nasz ksiądz nie żyje, poprosimy wielbnego Blacka o odprawienie ceremonii ślubnej.

Elizabeth uśmiechnęła się i oparła głowę o ramię Bena.

- Teraz jednak mamy inne zmartwienia. Tak jak mówiłem, w ciągu godziny musimy się wynieść z tego domu. Dziewczynki, zapakujcie to, co zmieści się w samochodzie. Ben, biegnij do swojej rodziny i powiedz im, żeby również się ewakuowali, niech tymczasowo też pojedą w okolice kampusu. Jeśli będzie taka potrzeba, zamieszkają z nami.

Elizabeth i Ben spojrzeli na siebie.

- Później się pożegnacie, teraz nie ma chwili do stracenia. Powiedz swoim rodzicom, że podjadę po nich w ciągu godziny, więc niech będą już gotowi.

Zawahał się na moment i nagle naprawdę zabolęły go słowa, które musiał teraz wypowiedzieć.

- Ben, zaatakują nas najprawdopodobniej jutro z samego rana. Będziesz musiał dołączyć do gwardii rezerwowej.

- Dobrze, sir.

Elizabeth się rozplakała.

- Tato, czy Ben nie może zostać z nami w domku babci?

- Absolutnie nie - odparł Ben z naciskiem.

Spojrzała na Bena, potem na ojca. Łzy ciekły jej po policzkach.

- To jest teraz jego obowiązek - rzekł John łagodnym tonem.

Ben spojrział na Elizabeth i dopiero po chwili pocałował ją lekko w usta.

- Zobaczymy się później, kochanie.

Dziewczyna nie była w stanie nic odpowiedzieć, jedynie mocno się do niego przytuliła.

- Elizabeth, idź pomóż się pakować babci i Jennifer.

Stała przez chwilę bez ruchu.

Ben wyslizgnął się z jej ramion.

- Nic mi się nie stanie, kochanie. Idź już.

Zapłakana opuściła pokój, Ben stanął twarzą w twarz z Johnem.

John otworzył szafkę. Omiótł wzrokiem swój arsenał i wyjął karabinek M-1.

- Umiesz się tym posługiwać? Przeładowywać?

- Proszę pamiętać, sir, że rok temu strzelałem z panem z tego karabinu.

Sprawdził magazynek, był pełny. Znalazł jeszcze zapasowe pudełko amunicji.

- Weź je. Na pewno ci się przydadzą.

Ben przytaknął.

- Zamelduj się u Charliego Fullera. Przekaż mu, że wyznaczyłem cię na jednego z jego gońców.

- Sir, czy przypadkiem nie chce mnie pan chronić?

John pokręcił głową.

- Rzucam cię w sam środek tej bitwy - skłamał.

Ben skinął głową z poważną twarzą, podnosząc karabinek i przyglądając się mu.

- Czy mogę najpierw pomóc Elizabeth, jeśli nie ma pan nic przeciwko?

- Jasne. Masz kilka minut.

Chłopak spojrział na Johna poważnymi oczami.

- Jeśli cokolwiek mi się stanie, sir...

John z trudem przywołał na twarz uśmiech.

- Nic ci się nie stanie, Ben. No, idź już pomagać Elizabeth.

- Dobrze, sir.

Opuścił pokój. W drzwiach stała Makala, uśmiechała się.

- Postąpiłeś słusznie - oznajmiła.

- Sam jeszcze nie wiem.

Ku jego zdziwieniu, podeszła do niego i pocałowała go w usta.

- Lepiej już wróć do centrum konferencyjnego, aby ewakuować ludzi. Z tego, co podслуchałam, nasza placówka znajduje się w niebezpiecznej strefie.

John przytaknął.

- Odwiozę cię tam. Charlie ma przysłać do was kilka wozów, żeby pomóc przetransportować ludzi. Ewakuujemy wszystkich do centrum miasta. Później zamelduj się u doktora Kellora. Będzie potrzebował twojej pomocy.

- Może być aż tak źle?

John znowu przytaknął.

- Myślę, że będzie tragicznie.

Ścisnęła go mocno za rękę, a potem poszła pomóc dziewczynkom przy pakowaniu. John rozejrzał się po gabinecie. Co wziąć ze sobą? Rzecz jasna broń. Siedem karabinów, w tym oryginalny springfield z okresu wojny secesyjnej oraz replika skałkówki hawkinsa, kaliber 50. Trzeba je wrzucić do bagażnika samochodu. Znowu omiótł wzrokiem pokój. Co zabrać? Oczywiście portret Mary. Kiedy go brał do ręki, pomyślał o Makali, która była w sąsiednim pokoju. Ze smutnym uśmiechem uświadomił sobie, że Mary nie miałyby nic przeciwko temu, co tu przed chwilą zaszło.

Wyciągnął zdjęcie z ramki i wsunął je do kieszeni. Potem sprawdził stan glocka i dubeltówki. Wreszcie krzyknął głośno do dziewczynek i Jen, aby się pospieszyły.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Całe zbocze góry, na północ i na południe od autostrady międzystanowej, stało w ogniu. John patrzył na to piekło. Nic nie czuł, mimo tego, że płomienie trawiły również jego dom.

Nadal słyszał strzały. Kilku członków Dzikiej Bandy, którzy nie chcieli dać za wygraną, zabarykadowało się w jednopiętrowym domu naprzeciwko autostrady przy bocznej drodze, kilkaset metrów od przełęczy. To była kluczowa lokalizacja, idealny punkt obserwacyjny, z którego widać było zarówno międzystanową, jak i to, co dzieje się na porzuconej asfaltowej drodze oraz na torach kolejowych.

Chłopak i dziewczyna, oboje z oddziału Johna, pobiegli ku budynkowi, zbliżyli się do bezpiecznego punktu, gdzie stała zaparkowana ciężarówka. Wczołgali się pod samochód, wyszli z drugiej strony i przeturlali się pod ścianę domu. Dziewczyna, otworzyła plecak. Chłopak wyłuskał z kieszeni zapalniczkę, nacisnął ją i płomieniem dotknął wystającego z niego lontu.

W środku był dziesięciofuntowy ładunek prochu zmieszany z gwoździami i wciśnięty w trzycalową rurkę z PCV. Dziewczyna wstała, wrzuciła bombę przez wybite okno, a potem padła na ziemię na plecy. Dostała kulę w klatkę piersiową.

John usłyszał wrzask dobiegający z wnętrza budynku, ktoś wstał, próbował wyrzucić plecak z powrotem na zewnątrz, jednak zmiotła go seria z karabinów.

Eksplozja wyrwała ścianę budynku.

Tuzin członków milicji rzucił się do przodu, z dzikim okrzykiem nacierając na dom, przepychając się przez gruz i szturmując budynek wypełniony dymem.

Chwilę później kilkunastu bandytów wysypało się przez drzwi frontowe, żaden z nich nie przeszedł więcej niż parę kroków.

Zostały jeszcze dwa domy na szczycie wzgórza. Kilkudziesięciu członków Dzikiej Bandy w środku, otoczonych ze wszystkich stron. Na budynki spadł deszcz koktajli Mołotowa. Z jednego okna ktoś strzelał z karabinu maszynowego.

Ekipa szturmowa czekała w gotowości. W ciągu ośmiu godzin nauczyli się działać niczym weterani. Żadnej idiotycznej brawury, żadnych szalonych szturmów. Jeden z budynków wreszcie stanął w płomieniach, potem również drugi. W każde okno poleciały

serie z karabinów, aby nie dać przeżyć tym w środku.

Kolejne dziesięć minut i kilkanaście Mołotowów rzuconych o drewnianą ścianę, aby płomienie wreszcie wspięły się po dachu domu. Teraz już płonął w najlepsze. W środku krzyki. Drzwi frontowe nagle się otworzyły. Milicja tylko na to czekała. Rozstrzelano wrogów w chwilę po tym, jak wybiegli na zewnątrz. Na końcu z budynku wyszły dwie kobiety, padły na kolana, uniosły ręce do góry.

Nikt nie oddał strzału. Kobiety przeczołgały się po ziemi, aby oddalić się od płomieni, potem padły na twarz, błagając o litość.

Został jeszcze jeden budynek. Ten, z którego ktoś strzelał z broni maszynowej. John, obserwując bitwę, przeczuwał, kto znajduje się w środku.

Złapał za megafon.

- Ludzi z tego budynku chcę jako zakładników! - zawołał.

Dom stanął w płomieniach.

- Wychodźcie na zewnątrz, nie będziemy strzelać! - krzyknął John.

Chwilę później drzwi otworzyły się i wyszło przez nie sześcioro mężczyzn i kobiet, rzucając broń na ziemię.

- Na kolana, ręce na głowę!

Zrobili, co im kazał. Studenci otoczyli ich ze wszystkich stron.

Odgłosy bitwy powoli cichły. Słyszać było tylko strzały z dołu, przy drugim tunelu kolejowym oraz na Rattlesnake Mountain. Wszystko jednak zagłuszał pożar lasu po obu stronach autostrady, który rozprzestrzenił się dzięki bryzie wiejącej z zachodu.

John rozejrzał się dokoła, niektórzy żołnierze wychodzili z ukrycia, ostrożnie rozglądając się wokół, większość padła na ziemię, kiedy powietrze przecięły strzały snajpera na grani ponad przesmykiem. Kilka sekund później seria wystrzałów i cisza. Jeden z żołnierzy stanął na szczycie wzgórza, z wysoko uniesionym karabinem, machając na znak, że sprzątnął wroga.

John wstał z wiaduktu biegnącego nad autostradą, przeszedł na drugą stronę i zbiegł po skarpie, wchodząc na asfalt międzystanowej.

Był to znak, że wojna się skończyła.

Żołnierze stali w milczeniu i w szoku.

John spojrział na drogę biegnącą do przejścia znajdującego się sto metrów dalej. Była to droga jak z horroru.

Na niemal każdym kroku leżały poskręcane ciała. Strumyki krwi spływały po ulicy do kratek ściekowych.

Wśród trupów znajdowali się też ranni, liczeni w setkach.

Odwrócił się i spojrzął na autostradę w kierunku zjazdu 66, po czym przyłożył megafon do ust.

- Sanitariusze! Potrzebni sanitariusze, natychmiast!

Ekipa medyczna czekała z tyłu, aż wszyscy członkowie Dzikiej Bandy na grzbiecie wzgórza zostaną sprzątnięci. Napastnicy przejęli kontrolę nad tym terenem już w pierwszej rundzie walki.

Musiał im w tym pomóc ktoś tutejszy, własnowolnie bądź pod przymusem. Dwie godziny przed świtem pięćdziesięciu najeźdźców ukazało się na rzadko uczęszczanym szlaku Kazuma, znanym jedynie wędrowcom i amatorom jazdy rowerami po górach. Była to ścieżka, która prowadziła od położonego niżej płaskowyzu do najwyższego punktu na grzbiecie górskim, z którego widać było autostradę oraz okalające ją drogi.

Członkowie bandy zajęli tamtejsze domy, w ciągu paru minut rozprawili się z przebywającymi w nich ludźmi. Ich kule dosięgały aż samej przełęczy, obrońcy miasta znajdujący się w tamtym miejscu nie mieli nawet możliwości oddania strzałów.

Chwilę później zaczęło się główne natarcie. Pięćdziesiąt wozów wjechało na boczną drogę, mężczyźni i kobiety idący piechotą przechodzili przez tunel kolejowy, a od strony Old Fort ciągnęła kolumna niemal dwustu pojazdów, na czele których jechała ciężarówka z pługiem zamontowanym z przodu.

Barykada została staranowana, a potem stracili kolejne stanowisko obronne, miejsce, gdzie w tej chwili stał John - most ponad autostradą, ponieważ domy na górze były idealnym miejscem, by poprowadzić ogień w jego stronę.

Obrońcy miasta zostali zaskoczeni przejęciem przez bandę domów oraz grani ponad przełęczą, jednak błyskawiczne wycofanie się od samego początku stanowiło część planu Johna i Washingtona.

Washington był doskonałym marines, doskonałym instruktorem oraz przywódcą, lecz John uświadomił sobie, że pochwały Parkera, które wcześniej kierował pod jego adresem, mówiąc że jest pułkownikiem i dobrym przywódcą, okazały się w miarę prawdziwe.

Sierżant miał inny plan, bardziej bezpieczny. John go zawetował.

- Rzeczą niemal tak samo złą jak porażka byłoby zbyt szybkie zwycięstwo - powiedział. - Odeprzemy ich atak przy grzbiecie górskim, policzą straty w swoich szeregach, wycofają się, a potem zrobią jedną z dwóch rzeczy. Albo pójda sobie gdzieś indziej, albo zaczekają na odpowiedni moment, żeby nas dopaść, i uważam, że skłanialiby się ku drugiej opcji. Ktokolwiek stoi na czele tej bandy, nie może sobie pozwolić nawet na jedną porażkę,

ponieważ jego ludzie wypną się na niego, zabiją go, a potem znowu tu wrócą.

Największą zgorą Johna było to, że po błyskawicznej porażce najeźdźcy wycofają się do Old Fort, trochę się rozproszą, splądrują miasto, zrobią rekonesans i będą ich trzymać w niepewności dwadzieścia cztery godziny na dobę, grając na czas. Ludzie Johna popełnią błąd, obnażą swój słaby punkt, Dzika Banda uderzy w nich nocą, podczas snu albo burzy. Nie, John chciał, aby najeźdźcy przeszli przez grzbiety górskie, zajęli przełęcz... aby można ich było zwabić w klasyczną pułapkę, gdzie czeka ich śmierć.

- Góry po obu stronach mogą nam dać okazję do zastosowania taktyki rodem z bitwy pod Kannami lub mongolskiej taktyki osaczenia - argumentował John, a studenci, którzy uczęszczali na jego zajęcia, a teraz byli oficerami omawiającymi taktykę dzień przed atakiem, w lot złapali sens jego słów.

- Kiedy już wejdą do środka, a chcę, żeby weszli wszyscy, ani jeden nie może wydostać się na zewnątrz żywy.

Był to plan, przed którym przestrzegał Washington. Mówił, że jeśli wciela go w życie, stracą trzy razy więcej ludzi, lecz John przekonywał, że tylko w ten sposób wybiją najeźdźców co do jednego, zamiast tylko odeprzeć ich atak, a potem czekać, aż wrócą.

Tragedią było to, iż pierwszy pluton kompanii A strzegący przełęczy, został już na samym początku odcięty i żaden z żołnierzy nie uszedł z życiem. Przez to niemal wybuchła panika, ponieważ żywi członkowie drugiego plutonu za szybko się poddali na drugiej linii obrony, czyli na moście przy zjedzie 66 oraz przy domu opieki.

Sytuacja była więc szalenie trudna - atakujący napierali, przeczuwając zwycięstwo, wciskając się tam, gdzie droga numer 70 biegła w pobliżu autostrady, czyli w tym samym miejscu, gdzie John pierwszy raz spotkał Makalę. Jej bmw zostało przesunięte i dorzucone jako kolejna cegła obronnej barykady biegnącej wzdłuż głównej linii obrony, w miejscu, gdzie autostrada prowadziła na most ponad torami kolejowymi. Był to wiadukt kiepsko zaprojektowany dla ruchu ulicznego, ponieważ podczas każdej burzy lodowej ktoś zawsze w tym miejscu wpadał w poślizg, lecz z perspektywy bitwy stanowił konstrukcję doskonałą.

Był niczym wzgórze bez flank, o które trzeba się martwić. Na moście znajdowało się miejsce zupełnie odsłonięte, idealne do ostrzeliwania, biegnące przez milę wzdłuż jezdni. Natomiast za mostem, na stromej skarpie, stał stary zbiornik wodny - kolejne doskonałe stanowisko. W pobliżu przebiegała przecinka w lesie, przeznaczona dla linii wysokiego napięcia, tworząc otwarte „pole śmierci” dla każdego członka bandy chcącego dostać się do wieży.

A dalej była pułapka. Kompania B ukryta na obu stokach po obu stronach autostrady,

w pobliżu przełęczy, uzbrojona w najlepsze karabiny strzelające na dużą odległość, potężne strzelby do polowania na jelenie z zamontowanymi celownikami snajperskimi. Każdy dom po obu stronach autostrady międzystanowej, czyli kilkaset budynków, łącznie z domem Johna, oraz pole kempingowe, zostały przygotowane do tego, by spłonąć. W każdym budynku ustawiono wiadra benzyny. Studenci, którzy nie przeszli szkolenia wojskowego, zostali teraz zaprzęgnięci do pracy - po usłyszeniu sygnału, czyli syreny z wozu strażackiego, oraz po odpaleniu rac, mieli wkroczyć do akcji, pędząc na rowerach górskich bądź motorowerach i podpalać wszystkie domy. John liczył na zwykłą bryzę, która na dole płaskowyżu nagrzewała powietrze, a potem zaczynała je unosić, wyciągając z przesmyku i tworząc chłodny wiatr. Dopisało im szczęście, między innymi dlatego, że było to wyjątkowo suche lato.

Setki pożarów, które miały zlać się w jedno piekło będące zaporą na każdej flance. Płomienie pędzące na wschód, odcinające najeźdźcom drogę ucieczki, zapędzające ich na autostradę lub tory kolejowe, które były „strefami śmierci”.

Po drugiej stronie, na zachodzie, na moście biegnącym ponad autostradą czekały nie tylko resztki kompanii A, ale również każdy obywatel miasta, który potrafił strzelać. Czekali, ukryci za skarpią.

To była rzeź.

Kiedy padły zapory, do przodu ruszyła druga fala najeźdźców, setki pojazdów przeciskających się przez przesmyk. Tak jak na to liczył John, byli tak bardzo nabuzowani przecuciem zwycięstwa, że teraz po prostu napierali do przodu, pchani żądzą plądrowania i zabijania wszystkiego, co napotkają na swej drodze.

Walka na moście była niemal żywcem wyjęta z wojny secesyjnej. Setki mężczyzn i kobiet powstających nagle ze swoich kryjówek, celujących z broni, naciskających spust, deszcz kul, który niszczył wszystko, w co uderzył. Pojazdy Dzikiej Bandy uderzyły w barykadę, zaczęła się walka wręcz. A potem, z przeciwległych zboczy, zaczęły się wystrzały. Gdy w pułapkę wjechały ostatnie pojazdy, ekipa Malady'ego zamknęła tylne przejście przy użyciu dwóch karabinów maszynowych, których użył im Tom, razem z sześcioma tysiącami naboju. Pomogli również obywatele, którzy wyciągnęli „broń nielegalną”, oraz studenci uzbrojeni w kilkaset granatów domowej roboty.

Mimo wszystko, siły zbrojne ustawione na moście niemal poległy. Przez kilkanaście krytycznych minut John leżał nieprzytomny, znokautowany przez eksplozję. Ktoś jednak pomógł źle wyszkolonym posiłkom; nadal parli do przodu, nie zważając na swoje straty.

Wtedy pozostało już tylko jedno: zamknięcie wroga w pułapce. Kiedy otoczyli najeźdźców, ci nagle uświadomiwszy sobie swój los, wpadli w amok i zaczęli walczyć na

oślepi. Wiedzieli, że to nie jest bitwa, w której można podnieść ręce do góry i się poddać. Nie mieli szans ucieczki, nie mogli wycofać się, by za kilka dni lub tygodni powrócić z nowymi siłami. Wszystkim im tego dnia pisana była śmierć. Ta śmierć miała słono kosztować ludność Black Mountain i Swannanoa.

Washington ostrzegał przed tym, zanim zaczęła się bitwa. Proponował fałszywą ścieżkę ucieczki dla ocalałych członków Dzikiej Bandy, których potem można by wybić na drugim „polu śmierci” nieco dalej. John jednak nie chciał słuchać o takim scenariuszu. Zostawienie im drogi ucieczki byłoby dobrym pomysłem w przypadku wyszkolonej armii, lecz wydawało się cholernie ryzykowne, biorąc pod uwagę odziały, jakimi dysponował. Członkowie Dzikiej Bandy, którzy uszliby z życiem, być może mogliby się jakoś przebić i rzeczywiście uciec. A to oznaczałoby długie miesiące walk partyzanckich.

Wszystko więc zamieniło się w siedem koszmarnych godzin walki o każdy skrawek ziemi, krok po kroku, cholerny krok po kroku...

Sanitariusze szli parami do przodu. Zajmowali się tymi, którzy ucierpieli w pierwszych chwilach ataku, a którym udało się schować i przeżyć, oraz rannymi, staranowanymi na drodze przez setki napierających bezlitośnie wrogów. Na południowym zboczu szalał pożar, przemieszczał się na wschód. Słysząc było krzyki tych, których płomienie trawiły na śmierć. Johnowi skojarzyło się to z bitwą pod Wilderness z 1864 roku. Kiedy czytało się o tym w podręcznikach historii, trudno było to sobie wyobrazić. Teraz było inaczej. Mimo że płonęli członkowie krwawego gangu, i tak było to coś potwornego.

Za plecami Johna pojawiło się dwóch ludzi Toma; co kilka kroków zatrzymywali się, celowali i strzelali.

Ranni członkowie bandy mieli być rozstrzeliwani na miejscu. John nie chciał, by tę brudną robotę wykonywali jego studenci. Poprosił więc o to funkcjonariuszy policji oraz starszych obywateli. Studenci Johna byli już teraz zahartowani i uodpornieni, lecz wolał, by pozostała w nich choć odrobina wrażliwości.

Wolnym krokiem wszedł na pochyłą drogę ku grzbietowi góry i wreszcie go znalazł. Wokół jego ciała zebrała się grupka studentów. Stali ze spuszczoneymi głowami, niektórzy płakali.

Washington Parker leżał martwy. Został zabity w pierwszych minutach bitwy. Sposób, w jaki leżał na ziemi z rozpostartymi ramionami niemal przywodził na myśl Chrystusa. Co najgorsze, było tam też ciało młodej studentki. Zwinęła się pod jego ramieniem, tak jakby w ostatnich sekundach życia Washington starał się ją osłonić lub pocieszyć... a może było odwrotnie?

Washington upierał się przy tym, by być w pierwszej grupie atakujących. Tłumaczył Johnowi, że będzie tam potrzebny młodemu, zwłaszcza po to, by pokierować nimi podczas trudnego zadania: przeprowadzenia pozorowanej ucieczki. Tak jak reszta plutonu wyznaczonego do tego zadania, Washington zginął.

John liczył na to, że być może sierżantowi udało się gdzieś ukryć i przeżyć. W głębi duszy wiedział jednak, że to mało prawdopodobne.

Podszedł bliżej.

Uświadomił sobie, że Washington umarł tak, jak sobie tego życzył. Prowadząc do boju swoich ludzi, na pierwszej linii. John poczuł teraz wyrzuty sumienia, że sam szedł na końcu, kierując akcją jako dowódca.

Zbiegali się żołnierze Washingtona, a raczej dzieci przerażone bitwą, ze strachem wymalowanym na twarzach, ociekali potem.

Kilku z nich było obandażowanych, schodzili teraz ze wzgórza w kierunku autostrady, zbierali się przy swoim sierżancie.

Każda mijająca ich osoba zwalniała. John patrzył na nich, słyszał pożegnalne słowa wypowiedane szeptem.

„Dziękuję, sir”, „Niech Bóg ma cię w swojej opiece, sir”, „Przepraszam, sir”.

Z przerażającą intensywnością przypomniało to Johnowi słynny artykuł autorstwa Ernie Pyle'a, z czasów II wojny światowej, na temat śmierci ukochanego oficera oraz reakcji jego żołnierzy.

Jedna z dziewcząt uklękła, dotknęła twarzy Washingtona, po czym wstała i ruszyła dalej. Niektórzy zachowali milczenie, inni modlili się lub dziękowali martwemu, jeszcze inni przeklinali z bólu lub żalu.

John podszedł do leżącego. Jedyne, na co potrafił się teraz zdobyć, to stanąć na baczność i zaszutować. Ruszył dalej. W tym momencie jego emocje schowały się gdzieś głęboko, nie czuł nic prócz szoku. Zapłacze nad Washingtonem później, w samotności.

Z tyłu dalej padały pojedyncze strzały, rozległ się odgłos klaksonu volkswagena busa, który przewoził rannych do szpitala w centrum miasta.

Pojawiało się też coraz więcej pojazdów: stare ciężarówki farmerskie oraz ciężarówka z platformą, na którą można było za jednym zamachem załadować kilkudziesięciu rannych.

- John?

Ujrzał biegnącą ku niemu Makalę. Odruchowo mocno ją uściskał. Drżała, zanosząc się płaczem.

- Dzięki Bogu! Mówili, że nie żyjesz...

Pokręcił głową.

Tak, miał poparzoną twarz; członkowie bandy skonstruowali prymitywne wyrzutnie rakietowe z rur i zamontowali je na niektórych ciężarówkach. Jeden z pocisków wybuchł przy moście i pozbawił Johna przytomności na kilka długich minut.

Makala wyrwała się z jego objęć, zrobiła krok do tyłu, uniosła w powietrzu dłoń.

- Patrz na mój palec - powiedziała, zbliżając go i oddalając. Po chwili stwierdziła: - John, możliwe, że to wstrząs mózgu. I masz poparzenia drugiego stopnia.

- Nieważne, zajmij się innymi.

Makala przytaknęła, podbiegła do rannej dziewczyny, siatkarki z college'u.

Dziewczyna płakała, zwinięta w kłębek, trzymała się za brzuch. John patrzył, jak Makala uklękła, pogładziła dziewczynę po czole, wyszeptała kilka słów otuchy, a potem markerem napisała cyfrę trzy na czole rannej. Pochyliła się, delikatnie ją pocałowała, po czym wstała i podeszła do leżącego obok dziewczyny chłopaka. Jego noga była zmiażdżona poniżej kolana. On sam albo ktoś inny owinął ją byle jak bandażem.

Leżał nieprzytomny. Makala przyłożyła palec do jego szyi, aby zbadać puls. Napisała cyfrę 1 na jego czole i wstała.

- Mamy jedynekę! Tutaj, szybko! - zawołała.

Podbiegli ludzie z noszami, dziewczyna i chłopak. Chłopak spojrzał na postrzeloną w brzuch siatkarkę i zwolnił. John dostrzegł udrękę na jego twarzy. Rok temu oboje chodzili ze sobą, byli parą, zanim ona z nim nie zerwała. To mała uczelnia, każdy wie co nieco o życiu innych, czasem to nefajne, ale czasem całkiem miłe.

- Tutaj! Do niego, nie do niej! Szybko! - wołała Makala.

Chłopcu łyzy spływały po twarzy. Dziewczyna niosąca drugi koniec noszy pchnęła go do przodu. Ułożyli na noszach chłopaka ze zmiażdżoną nogą, odwrócili się i odbiegli truchtem. Makala już badała kolejnego ranego, trzymając marker w ręce. Pełniła teraz rolę walkirii, decydującej o tym, kto ma umrzeć w boju. Cyfra jeden oznaczała przypadki priorytetowe, dwójka ranego, który musi poczekać, aż sanitariusze zajmą się jedynekami, a ci oznaczeni cyfrą trzy... cóż, trójka oznaczała, że ranny i tak umrze, więc w danej chwili nie warto się nim zajmować.

Żaden ze studentów, którzy byli teraz żołnierzami, nie wiedział o takiej metodzie sortowania rannych. Wiedzieli o tym jednak studenci pełniący funkcję sanitariuszy oraz ci wszyscy, którzy pomagali wynosić rannych z pobojuwiska. Jednak poszkodowani w miarę szybko rozgryźli sytuację...

W rowie, przy barierce na autostradzie, leżała dziewczyna podziurawiona przez kule.

Makala ledwie na nią spojrzała. Napisała trójkę na jej czole i poszła dalej. Dziewczyna spojrzała na Johna, płacząc i krzycząc.

- Co ona napisała? Co mi napisała?

John ukląkł przy niej. To cud, że jeszcze żyła. Rana postrzałowa w górną część uda ewidentnie roztrzaskała jej kość udową. Jakim cudem arteria udowa nie została rozerwana, tego John nie mógł pojąć. Miała również rany w klatce piersiowej i brzuchu, a na ustach krwawą pianę. Nie znał jej. Prawdopodobnie była na pierwszym roku i jeszcze nie miała z nim zajęć.

- Napisała dwójkę, kochanie - skłamał. - Inni bardziej oberwali niż ty. Wkrótce przyjdzie pomoc.

Dziewczyna spróbowała się uśmiechnąć, skinąć głową, ale już zaczynała łagodnie gasnąć. John nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Idź spać, słonko. Wszystko będzie dobrze.

Wyciągnęła rękę i złapała go za dłoń. Jej uścisk był zaskakująco mocny.

- Tatusiu? - szepnęła. - Tatusiu, pomóż mi.

- Jestem tu...

Zaczęła się trząść.

- „Teraz położę się spać” - rozpoczął modlitwę.

- „Pan jest ze mną, nie muszę się bać” - dokończyła. Przestała drżeć... Nie żyła.

Odgarnął włosy z jej mokrego czoła, znowu pocałował ją lekko, uwolnił się z jej uścisku i odszedł.

Słyszał echo odległych serii ze strony wzgórz. Słyszał też strzały z tyłu, nieopodal ludzie Toma dobijali rannych członków bandy.

Spojrzał przed siebie i ujrzał dymiący się wrak samolotu Dona Barbera, który rozbił się o ścianę przesmyku. W najcięższych momentach bitwy widział ponad głową L-4 Barbera, który latał nisko, ciskał ładunkami wybuchowymi, unieszkodliwił jedną z ciężarówek, a potem nagle zaczął pikować i się rozbił.

John rozkazał Donowi nie mieszać się do walki, wzbić się jak najwyżej, prowadzić rekonesans - i w pierwszych godzinach bitwy to właśnie robił. Latał wysoko, obserwował, zniżając się jedynie przy ratuszu, gdzie zrzucał raport przyczepiony do papierowej tasiemki, w którym na bieżąco opisywał ruchy wroga. Te informacje były kluczowym czynnikiem, dzięki któremu John wiedział, skąd idzie natarcie, a przede wszystkim, czy udało im się zamknąć wszystkich przeciwników w „polu śmierci”, zanim ich wykończyli.

W głębi serca obawiał się jednak, że Don nie będzie w stanie nie mieszać się do walki.

I tak też się stało. Weteran postanowił odegrać rolę pilota myśliwca, który ma wspierać oddziały naziemne.

Ciało Dona Barbera, poskręcane, wbiło się we wrak maszyny... Nie żył. Miał na sobie stary mundur z wojny koreańskiej. John przystanął, zaszalutował, a potem ruszył dalej.

Jednym z pasów autostrady prowadzono grupę więźniów. Mieli związane za plecami ręce, które łączyła jedna lina. Było ich z grubsza trzydziestu, w tym ci, którzy wyszli z płonącego domu.

Strażnik, który prowadził jeńców, spojrzał na Johna, po czym gestem ręki rozkazał grupie maszerować w kierunku parkingu dla ciężarówek na szczycie przełęczy, tam, gdzie siedł John.

Parking dla ciężarówek był tak naprawdę zjazdem z autostrady na grzbiecie góry. Był to obowiązkowy przystanek dla wszystkich pojazdów ciężarowych, zwłaszcza osiemnastokołowców. Ciężarówki nie mogły dalej jechać, dopóki nie przeanalizowały mapy długiego zjazdu, na której zaznaczone były postoje dla kierowców mogących mieć problemy z hamowaniem podczas zjazdu. Nad pasem wisiały światła drogowe, wypuszczające ciężarówki w bezpiecznych odstępach czasu lub zatrzymujące je na stałe, jeśli gdzieś na drodze doszło do wypadku. Oczywiście to wszystko wydawało się teraz odległą przeszłością. Na początku kryzysu, szczęśliwym dla miasta zbiegiem okoliczności, jedna z ciężarówek, która zgasła w tym miejscu, była cała załadowana krakersami. Ale to też było dawno temu.

Parking służył jako stanowisko dowodzenia dla linii barykady. Wiele osób zmierzało właśnie w tym kierunku, jakby wiedzionych przez instynkt.

John maszerował dalej drogą, mijając co jakiś czas studentów. Wszyscy zaczęli iść za nim z bronią w rękę, pełniąc rolę jego straży. Wcześniej jeden ze studentów został wyznaczony na ochroniarza Johna, lecz został zabity przy zjeździe 65 przez wybuch, który pozbawił Johna przytomności.

Jeńców doprowadzono na pas dla ciężarówek, gdzie stało już kilkudziesięciu innych więźniów.

Kiedy pojawiła się druga grupa jeńców, ci już obecni zaczęli się rozglądać nerwowo, a niektórzy wstali na widok niskiego szczupłego mężczyzny z krótko przystrzyżonymi, siwymi, niemal białymi włosami. Na ramionach miał tatuaże, brzydka twarz była wykrzywiona i zdeformowana, prawdopodobnie wskutek rany zadanej nożem. Należał do ostatniej grupy, która wysypała się z płonącego domu.

John zobaczył nadal żywego Malady'ego, który jedną rękę trzymał na przemoczonym od krwi temblaku.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, którą Kevin uściskał lewą dłonią.

- Dobra robota, Kevin. Cholernie dobra.

- Straciłem wielu studentów - odparł cichym głosem. - Rozpętało się piekło, kiedy te bydlaki zorientowały się, że wpadły w pułapkę. Studenci z początku nie chcieli strzelać do kogoś, kto leżał i wyglądał na martwego albo ciężko rannego, ale szybko się nauczyli...

Urwał.

Spojrzał na młodych żołnierzy stojących z boku, patrzących zimnym wzrokiem na jeńców.

- Przesłuchiwałeś już ich?

- Tak, wszyscy puszczają farbę, obwiniają się nawzajem. Każdy twierdzi, że został do tego zmuszony. A tamten kawałek gówna to ich przywódca.

Kevin spojrzał na oszpeconego mężczyznę.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? Podobno to jakiś ważny handlarz narkotyków z Greensboro. Zajmował się transportami kokainy i heroiny z Florydy. Może wygląda na mięczaka, ale wszyscy się go boją, nawet ci najbardziej zwyrodniali. Utrzymuje, że ma osobisty kontakt z Szatanem i że Bóg porzucił Amerykę, dlatego to Szatan teraz rządzi. On z kolei został przysłany prosto z piekła z misją, by przygotować grunt pod przejęcie przez niego władzy nad Ameryką.

- A co z pogłoskami o kanibalizmie? - zapytał John.

Kevin skinął głową i splunął.

- Wszystkie są prawdziwe.

John podszedł do przywódcy, który spojrzał na niego i o dziwo uśmiechnął się.

- Niech zgadnę... ty jesteś tu dowódcą?

John nie odpowiedział.

- Genialny plan, nie ma co. Pewnie jesteś tym ich profesorem. Słyszałem o tobie wczoraj od jednej z zakładniczek. To była bardzo słodka dziewczyna. Wczoraj ją złapaliśmy.

John zamarł. Ten facet prawdopodobnie mówił o dziewczynie, która zaginęła na drodze gruntowej w czasie potyczki.

- Widzę w całej tej bitwie nutkę wiedzy historycznej. Inspiracje bitwą w dolinie la Drang? Zwabić wroga, zbliżyć się i otoczyć? Widziałem o tym program na History Channel.

- A mimo to nabrałeś się na to? - zapytał John spokojnym głosem.

- Tak, nabrałem... rzeczywiście, nabrałem. No cóż, pewnie to on zdecydował za nas.

- On?

- Szatan, rzecz jasna.

Facet odwrócił się i spojrzał na resztę jeńców.

- Czyż nie mówiłem wam, że jeśli nie oddacie mu całkowicie swoich dusz oraz wszystkiego, co posiadacie, to on was porzuci? Teraz rzeczywiście jesteście już skazani na smażenie się w piekle. Jako że Bóg przeklął ten świat oraz jako że zawiedliście mnie, Szatan również odwróci się do was plecami! Nie dostaniecie dzielenia z nim władzy, zamiast tego czeka was wieczna kara za wasz brak wiary. Te psy nie okażą wam cienia litości. Zamiast ucztować dziś wieczór, sycąc się ich mięsem, tak jak chciał Szatan, to wy staniecie się karmą dla psów i ptactwa... a może...

Przeniósł spojrzenie na Johna.

- A może oni zrobią sobie ucztę z waszego mięsa?

John miał ochotę odstrzelić facetowi łeb, tu, na miejscu. Uniósł nieco swój pistolet.

Reszta jeńców gapiła się na niego z wybałuszonymi oczami, niektórzy zaczęli łkać, inni padli na kolana, spuścili głowy pogodzeni ze swoim losem.

To takie cholernie dziwne, pomyślał John. To, że czasem ktoś tak niepozorny, jakiś szpetny, mały człowieczek jak ten tutaj, może dojść do takiej władzy... Miał niebywałą charyzmę, słodki głęboki głos, któremu potrafił nadawać władczy ton. Niezwykły talent, którym obdarowani są nieliczni: mogą wypluwać z siebie kompletne bzdury, a inni i tak ślepo będą za nimi podążać.

- Kanibale - powiedział John chłodnym tonem.

Mężczyzna spojrzał na niego, twarz wykrzywiła mu się w uśmiechu, który wydawał się niemal ciepły i serdeczny.

- Mój przyjacielu. Wiesz wystarczająco dużo na temat tego, co się wydarzyło, by mieć świadomość, iż ten naród jest skazany na zagładę! Z wyjątkiem nielicznych, wybranych jednostek, które są na tyle silne, by przetrwać. Ciało ludzi słabych jest dla nas świętym sakramentem, pomaga nam przeżyć i mieć siłę, umożliwia nasz triumf woli.

Przeniósł wzrok z Johna na swoich wyznawców.

- Przemierzyłem tę krainę wszereż i wzdłuż, poświęcając jej swe myśli, wspominając, czym kiedyś była. Wystarczyło na chwilę przestać jej bronić, wypuścić ją z rąk, a ziemia, którą niegdyś czciliśmy, zaczęła nas przeklinać. Powiadam wam, to miejsce jest przeklęte, a my zostaliśmy zesłani, by je oczyścić!

Spojrzał z powrotem na Johna.

- Tamta dziewczyna... naprawdę była słodka, takiej słodkiej chyba jeszcze nigdy nie miałem. Była dobrze odżywiona, zanim została naszym sakramentem. Czy wiesz, że rodowici mieszkańcy Nowej Gwinei swoich wrogów określają mianem „długa wieprzowina”? Dobrze

odżywione ludzkie ciało tak właśnie smakuje... jak wieprzowina.

John uniósł pistolet, przystawił lufę do czoła kanibala.

- No dalej, bydlaku - syknął przywódca Dzikiej Bandy. - Bądź taki jak ja, a gdy mnie zabijesz, wypij moją krew, tak jak ja bym wypił twoją. Wiem, że jesteś głodny. Zrób to, a wszyscy, którym przewodzisz, pójdą w twoje ślady, ponieważ również są głodni.

John zawahał się, następnie rąbnął go rękojeścią glocka, nokautując go.

Odwrócił się i spojrzał na setki ludzi, którzy zdążyli się wokół niego zebrać.

- Słyszeliście to na własne uszy z jego ust.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy stali w szoku, przepełnieni odrazą.

Rozejrzał się.

- Sznur.

Jeden z jego uczniów podszedł do niego, w rękach trzymał zwój sznura. Już zrobił pętlę. John wskazał grubą, aluminiową, poprzeczną belkę, do której przymocowane były światła uliczne.

Sznur został zarzucony na belkę. Kilka osób już zajęło się przywódcą bandy. Spodziewał się, że zostanie rozstrzelany. Na widok dyndającej pętli zaczął się wrywać, kopać i wyć, podczas gdy studenci zaciągnęli go siłą i zacieśnili sznur wokół jego szyi.

John podszedł do niego i miał zamiar przemówić, ale rozmyślił się. Do diabła z tym, pomyślał, nie będzie żadnych słów na pożegnanie.

- Dzięki władzy powierzonej mi przez obywateli Black Mountain i Swannanoa, ogłaszam, iż ten mężczyzna jest skazanym przestępcą, mordercą, kanibalem. Nie jest wart nawet kuli z pistoletu.

Zrobił krok w tył.

- Powieście go.

Unieśli go w powietrzu. Przez kilka minut skazaniec wisiał i spazmatycznie kopał i wierzgał nogami, zanim wreszcie umarł. Jego zwolennicy patrzyli na to ze zgrozą. Kilku z nich padło na kolana i uderzyło w płacz. Mówili, że żałują, błagali, by ich oszczędzono, jeden człowiek domagał się księdza, aby móc się wyspowiadać.

John spojrzał na tych ludzi, po czym się odwrócił. Zobaczył Toma w tłumie, miał ponurą twarz.

- Powieś tyłu, ilu się da, a resztę tych bydlaków zastrzel. Chcę, aby na boku tej ciężarówki wymalować napis „Kanibale”.

Tom przytaknął. Po kilku minutach powieszono pół tuzina członków bandy.

Reszta była już pewna swego losu. Rozległy się krzyki i błagania. John stał w

milczeniu. Patrzył.

- John?

Podbiegła do niego Makala.

- Na miłość boską. Część z nich to jeszcze dzieci. Pewnie przypadkiem dali się w to wciągnąć. Przerwij to!

Stał bez słowa.

- John, to się przerodziło w publiczny lincz. To wymknęło się spod kontroli. Przecież dokładnie przed tym broniłeś swojego miasta. Spójrz na nas.

Spojrzał na nią, a potem na swoich młodych żołnierzy, obywateli Black Mountain, którzy brali udział w bitwie, i w oczach wielu z tych ludzi widział dziki błysk.

Dziesięciu jeńców zostało odprowadzonych na bok postaju ciężarówek. Większość błagała o wybaczenie i wyła w niebogłosey... Zostali rozstrzelani. Ich ciała wyrzucono przez barierkę, spadały po stromym zboczu, by roztrzaskać się na skałach daleko w dole.

Minutę później rozstrzelano kolejnych dziesięciu jeńców. Ich śmierć tłum przywitał dzikimi okrzykami aprobaty.

W tym momencie w głowie Johna wyświetlił się czarno-biały film: Rosjanie wiszący na prowizorycznych szubienicach mroźną zimą 1941 roku; hiszpańscy jeńcy z rękami w górze, rozstrzeliwani przez francuskich żołnierzy Napoleona na obrazie Goyi; nadzy więźniowie prowadzeni do rowu przez SS, padają na kolana, strzał w głowę, ciała wrzucane do rowu. Oto oblicze wojny, wszystkich wojen, pomyślał. Teraz my mamy wojnę, wojna jest tutaj. Walczymy sami ze sobą, bliźni z bliźnimi, o kawałek chleba, a nawet o kawałek ciała zmarłego człowieka.

Zostało osiem osób. Ludzie Toma zaczęli ciągnąć ich na skraj wąwozu.

Zrobił krok do przodu, wyjął glocka. Tom, widząc to, cofnął się, podejrzewając, że John chce umocnić swoją reputację jako osoby, która w Black Mountain przeprowadza egzekucje.

John spojrzał na te osiem osób. Kilka z nich stało bez skruchy, jak ten narkoman z tatuażem węża, dawno temu. Zajrzał im w oczy, zastanawiając się: dlaczego? Czy we wszystkich ludziach czai się coś takiego? Odwrócił się i stanął twarzą do tłumu, setek osób, które milczały. U wielu z nich dostrzegł w oczach ten sam chłód, jaki widział u jeńców. Odwrócił się z powrotem do członków bandy.

Makala miała rację. Troje z nich, w tym jedna dziewczyna, to były jeszcze dzieci; mieli góra czternaście, piętnaście lat, mimo że z ich oczu bił ów chłód i brak emocji. Zastanawiał się, czy te dzieciaki były już takie wcześniej, zanim zaczęło się całe to piekło.

Czy były takie, jak opisywał je Washington: czy jeszcze przed wybuchem potrafiły zabijać dla żartu?

Obok nich stała kobieta, dwudziestokilkuletnia, telepała się. Była tak przerażona, że po nodze ciekła jej strużka moczu, tworząc u stóp kałużę. Dalej stał jakiś starszy mężczyzna z pustym spojrzeniem, biła od niego aura obłądu. Obok niego jakiś młody Latynos poruszał ustami, mówiąc coś po hiszpańsku. John po chwili rozpoznał w tym „Zdrowaś Maryjo”.

- Kevin.

Małady stanął u jego boku.

- Wyjmij nóż.

Kevin spojrzał na Johna, zawahał się, lecz po chwili wykonał rozkaz. Oczy jednego z trzech jeńców, tych nieokazujących ani krzty skruchy czy uczucia, rozszerzyły się nagle.

- Zastrzel mnie i miejmy to z głowy - rzucił chłodnym tonem. - Ale nie baw się ze mną nożem, człowieku.

- Przetnij im więzy.

- Co?

- Powiedziałem: przetnij ich więzy.

Kevin stanął za każdym z jeńców i uwolnił im ręce. Żaden z nich się nie poruszył.

John spojrzał na swoich studentów, sąsiadów, przyjaciół.

- To koniec - ogłosił.

Tłum wydał z siebie pomruk niezadowolenia.

- Skąd możemy mieć pewność, że ci zwyrodnialcy nie wrócą dziś w nocy, żeby poderżnąć nam gardła?

John pokręcił głową.

- Myliłem się.

- Bo ich nie rozwalileś?! - krzyknął ktoś.

- Zabijali naszych rannych bez litości! - zawołała dziewczyna, jedna z jego studentek, która dawno temu jako specjalizację wybrała analizę Pisma Świętego.

- A my dobijaliśmy ich ludzi. Wydaliśmy taki rozkaz wraz z Washingtonem, ponieważ i tak brakuje nam zasobów potrzebnych, by utrzymać nasze miasto przy życiu. Nie mamy prawie nic.

- Kanibale!

Przytaknął.

- Tak. Niektórzy z nich niewątpliwie są kanibalami. Tych tutaj nie mam zamiaru o to pytać, ponieważ i tak by skłamali, żeby ocalić swoje życie.

Ponownie pokręcił głową, nagle poczuł się bardzo zmęczony.

- Przerzywam tę rzeź, ponieważ zaczęło mi się to podobać. Nienawidzę ich i nienawidzę tego sukinsyna, który tam wisi, bardziej niż kogokolwiek w swoim życiu... Ale nie stanę się taki jak on... Nie pozwolę, żebyśmy stali się mu podobni. Ponieważ, niech Bóg ma nas w swojej opiece, właśnie w tym momencie, jesteśmy już krok od tego.

Nie czekał na odpowiedź tłumu, odwrócił się, by stanąć twarzą do jeńców.

- Nie będę zwracał sobie głowy jakimś zasranym bzdurnym rytuałem, żebyście przysięgali mi, że odejdziecie stąd, nigdy tu nie wrócicie i będziecie żałować swoich grzechów.

Latynos zaczął kiwać głową, padł na kolana i bez ustanku się żegnał.

- Pamiętajcie o tym, czego byliście tutaj świadkami. Nigdy tu nie wracajcie. Jeśli przeżyjecie, do końca życia, z powodu tego, czego się dopuściliście, będziecie nosić na sobie znamię Kaina. Jeśli natkniecie się na inne bandy takie jak wasza, opowiedzcie im, co tu się stało, i ostrzeżcie ich, że czeka ich taka sama porażka. Proszę was tylko o jedną rzecz. Darujemy wam życie, więc wy też nigdy już nikomu go nie odbierajcie, bo jeśli to zrobicie, zostanieie na wieki wieków przeklęci.

Odwrócił się do nich plecami.

- Precz!

Szóstka jeńców się nie wahała, po prostu odwrócili się i zaczęli uciekać. Latynos, który klęczał, spojrział w górę na Johna z wytrzeszczonymi oczami i zrobił gest, jakby chciał pocałować jego stopy. John zrobił krok do tyłu i ruchem ręki kazał mu wstać i wynosić się stąd.

- *Gracias, senior* - powiedział młody mężczyzna i odbiegł w dal.

Młoda kobieta, która ze strachu nie utrzymała moczu, stała teraz bez ruchu, jak skamieniała.

- Odejdź - powiedział spokojnym tonem.

- Gdzie?

- Po prostu odejdź.

- Przepraszam. Niech Bóg mi wybaczy, przepraszam... Nie wiem, czy mogę żyć z tym, co zrobiłam. Przepraszam...

Nadal płacząc, odwróciła się i wolno odeszła.

John stanął twarzą do tłumu.

- Odetnijcie wisielców - zarządził. - Z wyjątkiem ich przywódcy. Chcę, aby pod nim umieszczono tablicę: „Powieszony za to, że był przywódcą gangu zwanego Dziką Bandą,

składającego się z morderców, gwałcicieli i kanibali. Niech Bóg zlituje się nad jego duszą i duszami wszystkich, którzy go słuchali”.

Wsadził pistolet do kabury i dołączył do tłumu, do swoich żołnierzy i przyjaciół. Rozstąpili się, by mógł przejść, wielu spuściło głowy.

- Masz rację, John - szepnął ktoś.

Jego żołnierze. Patrzył na nich, gdy między nimi przechodził. Niektórzy dopiero teraz zaczynali się rozklejać. Szok pobitewny oraz zapewne reakcja na to, czego przed chwilą byli świadkami.

Niektórzy łkali, chowając twarz w ramionach bliźnich, szukając u nich wsparcia. Inni stali w milczeniu, jeszcze inni się modlili. Część osób zaczęła iść z powrotem w stronę miasta. Zatrzymywali się, by przekroczyć to czy tamto ciało, i nagle wybuchali płaczem, tuląc do siebie zmarłego przyjaciela lub przyjaciółkę.

John poczuł się słabo. Miał nudności.

- John, zabiorę cię do miasta.

To była Makala, która znowu pojawiła się u jego boku. Chwyciła jego dłoń.

Zatrzymał się i ją przytulił.

- Dziękuję za to, że mnie powstrzymałaś - wyszeptał. - Straciłem kontrolę.

- W porządku, mój drogi, już w porządku.

Uniosła głowę i pocałowała go w usta. Osoby, które ich mijaly, były zdumione tym widokiem. Ze względu na szacunek do Johna starali się jednak na nich nie patrzeć.

Nagle naprawdę opadł z sił, jakby miał za chwilę zemdleć. Musiał aż kucnąć.

- Nosze!

Spojrzał w górę na Makalę i pokręcił głową.

- John, masz wstrząs mózgu. Musisz się położyć.

- Muszę się stąd wydostać. Po prostu mi w tym pomóż...

Oparł się o nią. Szli razem przez pole bitwy.

Pole bitwy, które miał przed oczami, skojarzyło mu się ze zdjęciami poległych żołnierzy: tych spod Gettysburga z czasów wojny secesyjnej i tych, którzy walczyli o Wyspy Gilberta na Pacyfiku w czasie II wojny światowej i marines, którzy zginęli podczas bitwy o Hue, jednej z najbardziej krwawych batalii wojny wietnamskiej. Ale to tylko zdjęcia, pomyślał, ze zdjęć nie bije odór.

Pole bitwy, na którym stał, cuchnęło nie tylko prochem, ale też krwią, kałem, moczem, wymiocinami; w powietrzu unosił się zapach surowego mięsa, lecz to mięso było ludzkie, a raczej - wcześniej należało do ludzi. Do tego czuć było płonące samochody,

benzynę, spaloną gumę, olej, oraz co najgorsze, płonące ciała, upieczone, nabrzmiałe, pękające...

Pożar lasu po obu stronach autostrady, który jeszcze godzinę temu był bronią w walce z Dziką Bandą, teraz rozpętał się na dobre, falę gorąca wyczuwało się z odległości stu metrów. Ogień przemieszczał się dzięki bryzie wiejącej z zachodu, już przeszedł na drugą stronę góry i kroczył w dół, do doliny, w kierunku Old Fort. W tym ogniu smażyły się ciała wrogów, ale też ludzi Johna.

Było już po wszystkim, więc dokoła kręciły się setki ludzi. Szukali bliskich, synowie szukali ojców, matki szukały synów, młodzi kochankowie i przyjaciele szukali zagubionych „drugich połówek” oraz przyjaciół.

I znowu w głowie Johna wyświetliły się białe-czarne kadry. Scena z radzieckiego filmu *Aleksander Newski* tuż po bitwie na zamrożonym jeziorze, w tle żałobna muzyka, upiorne światło konającego dnia, żony i matki targane płaczem, szukające swoich bliskich i ukochanych.

Ale tu, teraz, to nie był film, to była rzeczywistość. John zobaczył chłopca, który był jednym z twardszych zawodników z drużyny futbolowej. Młodzieniec runął na ziemię, podnosząc szczątki ciała dziewczyny, tuląc ją do siebie i krzycząc z całych sił. Dokoła w milczeniu stali jego koledzy, którzy błyskawicznie rzucili się na chłopaka, gdy upuścił ciało ukochanej, wyciągnął pistolet i chciał strzelić sobie w głowę.

John szedł dalej chwiejnym krokiem.

Z przodu na autostradzie zobaczył kolumnę pojazdów. Na platformie ciężarówki układano rannych. Makala poprosiła o pomoc. Sanitariusze pomogli im obojgu wspiąć się na platformę.

Silnik zapalił, z rur wydechowych buchnął dym, zaczęli jechać, przyspieszając po tym, jak już minęli zjazd 65. Kierowca bezustannie trąbił, jadąc State Street, a potem zatrzymał się naprzeciw sklepu meblowego w centrum miasta. Wszystkie meble zostały wyrzucone na zewnątrz, w środku zostawiono jedynie łóżka i sofy.

I tak brakowało już miejsc.

- Wszystkie jedyńki tutaj! - ktoś zawołał. - Pacjenci oznaczeni dwójką tam!

Do środka na noszach wniesiono cztery „jedyńki”.

John spojrzał na Makalę.

- Muszę tam wejść.

- John, masz wstrząs mózgu, mam nadzieję, że łagodny. Najlepiej będzie, jak po prostu zawiozę cię do domu i położysz się w łóżku. Za tydzień będziesz znowu w dobrej

formie. Jen zajmie się poparzeniami.

- Nie. Muszę tam wejść. To są moi uczniowie... moi żołnierze.

Nie klóciła się z nim. Kilka osób pomogło mu zeskoczyć na ziemię. Kiedy zdjęto wszystkich rannych z platformy, kierowca ponownie odpalił silnik, zakreślił na parkingu przy ratuszu i ruszył w stronę pola bitwy.

John stał przed drzwiami, wziął głęboki wdech.

Wyrwał się Makali, robiąc krok w bok, po czym wszedł.

Niemal od razu chciał wyjść... ale zamarł w miejscu.

To była najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu przyszło mu zrobić. Trudniejsza niż czuwanie nad Mary w jej ostatnich chwilach życia, trudniejsze niż cokolwiek innego.

- Jezu, daj mi siłę... - wyszeptał i ruszył do przodu.

Kilkadziesiąt osób leżało na podłodze, wszyscy mieli jedynki wymalowane markerem na czole. Niektórzy płakali, inni milczeli, próbując zachować spokój, kilka osób, na szczęście dla siebie, straciło przytomność. John widział każdą możliwą ranę.

Szedł wolno przez salę. Jeśli ktokolwiek nawiązał z nim kontakt wzrokowy, zatrzymywał się i usiłował uśmiechnąć. Niektóre twarze rozpoznawał, teraz wstydził się swojej odwiecznej wady, braku pamięci do imion i nazwisk. Jedyne, co mógł zrobić, to pochylić się, położyć rękę na ramieniu, by dodać otuchy, oraz powtarzać w kółko:

- Jestem z ciebie dumny... Nie martw się, zanim się obejrzyysz, naprawią cię, pozszywają... Dziękuję, jestem z was dumny...

Opuścił tę część sali. Gdy wszedł do sąsiedniej, aż nim wstrząsnęło, Makala podbiegła do niego. Spojrzał na nią, zastanawiając się, jakim cudem ona jest w stanie znieść wszystko to, co widzi...

W Black Mountain i Swannanoa przed zamachem było łącznie dziewięciu lekarzy oraz trzech weterynarzy. Od tamtej pory jeden umarł. Na sali było jedenaście stołów, na każdym leżał ranny, wokół którego uwijała się ekipa medyczna, weterynarze również pomagali.

Anestetyki, które pozbierano z gabinetów weterynarzy i lekarzy, teraz okazały się prawdziwym błogosławieństwem. John zauważył Kellora, widok był porażający. Doktor odcinał jakiejś dziewczynie nogę, tuż nad kolanem, które było niczym innym jak krwawą papką. Ranna rzucała głową, cicho łkając.

John, zdruzgotany, spojrzał na Makalę.

- Do amputacji używamy znieczulenia miejscowego - szepnęła. - Znieczulenie ogólne rezerwujemy dla poważniejszych przypadków.

- Poważniejszych?

Makala nie musiała mu odpowiadać. Rozejrzał się. Rany głowy, połamane kości twarzy, rany brzucha - pacjentami z tymi ranami na razie się nie zajmowano. Nie wystarczało antybiotyków potrzebnych do leczenia po przeprowadzeniu operacji, jeśli mieliby szczęście i ją przeżyli.

John podszedł do dziewczyny leżącej na stole. Spojrzała na niego, jej szeroko otwarte oczy przepełnione były paniką; spojrzenie zwierzęcia, które zostało postrzelone, a teraz czekało na śmiertelny cios. Jego serce zamarło - znał ją.

Ujął jej dłoń.

- Laura?

- O Boże... ja to czuję - wyszeptała.

- Bądź silna - odparł.

Odgłos był przerażający. Kellor przecinał kość piłą. John zerknął. To była piła ręczna, ze sklepu z narzędziami. Boże święty, pomyślał, oni nawet nie mają narzędzi chirurgicznych.

- O Boże!

Ścisnął jej dłoń, nachylił się, spojrzał w oczy.

- Spójrz na mnie, Lauro, spójrz!

Spojrzała.

- Lauro, pamiętasz swoją piosenkę? *Zapamiętaj...*

- *Zapamiętaj tamten wrzesień...* Jezu, błagam, pomóż mi!

Odgłos piłowania ustał. Asystent Kellora zabrał odciętą kończynę. Doktor odszedł od stołu.

- Siostrze, zaszyj ranę. - Zdjął maskę, spojrzał na Johna, a potem przeniósł wzrok na Laurę.

- Kochanie, najgorsze masz już za sobą - powiedział. - Niedługo damy ci kolejny zastrzyk uśmierzający ból.

Kiwnęła głową, zanosząc się płaczem, John z trudem uwolnił swoją dłoń z jej uścisku.

Kellor odciągnął Johna na stronę.

- Skończyły nam się środki przeciwbólowe, z wyjątkiem odrobiny oksykodonu - szepnął. - Niech Bóg ma w swej opiece Laurę i resztę tych dzieciaków...

Zerwał z rąk gumowe rękawiczki i rzucił je na podłogę.

- Siostrze, robię pięciominutową przerwę, proszę przygotować następnego pacjenta.

John miał wyrzuty sumienia, że nie został z Laurą, lecz Kellor ruchem głowy dał mu znak, by wyszedł z nim z sali operacyjnej.

- John.

To była Makala.

- Jestem tutaj potrzebna. Skończyłam oznaczanie rannych na przełęczy.

Skinął głową, lecz Makala już się odwróciła, prosząc asystenta, by skropił jej ręce alkoholem.

Szedł za Kellorem, mijając inne stanowiska operacyjne. Podłoga była śliska od krwi. Spojrzawszy pod nogi, zauważył zdumiony, że podłoga pokryta jest wiórami. Rozrzucił je jakiś asystent, podczas gdy lekarze w pocie czoła operowali pacjentów.

Gdy minęli ostatni stół operacyjny, jakaś kobieta rzuciła głośno:

- Do jasnej cholery!

Zerwała z dłoni gumowe rękawiczki, odeszła od stołu i oparła się o ścianę, drżąc i płacząc, po czym dostrzegła Johna i spiorunowała go spojrzeniem, jak gdyby wtargnął do świata, do którego nie miał prawa zaglądać.

Dwoje asystentów zdejmowało ze stołu ciało chłopca, klatka piersiowa nadal szeroko otwarta, pamiątka po tym, jak pani doktor rozpaczliwie próbowała go uratować.

Kellor pociągnął Johna za ramię i wyprowadził go z sali.

- To był przyjaciel jej córki - wytłumaczył szeptem. - Syn sąsiadów.

Pomieszczenie, w którym się teraz znajdowali, zostało zaadaptowane na prowizoryczną salę pooperacyjną. Na podłodze brakowało już miejsca. Medycy dysponowali małą, bezcenną porcją plazmy, którą wygrzebano w klinice w Swannanoa. Pół tuzina butelek podano pacjentom, niekoniecznie tym, którzy najbardziej tego potrzebowali, lecz tym, którym pojedyncza butelka mogła zagwarantować przeżycie.

Ochotnicy, którzy nie walczyli na polu bitwy, teraz poświęcali własne życie - oddawali krew. Ze względu na ich fatalny stan zdrowia, pobierano od nich jedynie ćwierć litra krwi, lecz nawet tak niewielka ilość była ryzykowna dla zbyt wielu z nich. Mimo wszystko nadal dzielnie oddawali krew.

Ci, którzy wiedzieli, jaką mają grupę krwi, zostali przypasowani do odpowiednich rannych. Ci, którzy nie znali swojej grupy, mieli markerem na klatce piersiowej i plecach namalowaną literę. Transfuzje krwi były bezpośrednie i dla Johna wyglądały na absolutnie prymitywne zabiegi, z użyciem gumowych rurek, pompek, igieł. Dawcy leżeli na łóżkach polowych, nieco wyżej niż pacjenci, którym oddawali bezcenną substancję.

Kellor wyprowadził Johna przez boczne drzwi, na świeże powietrze. Po tym, co widział w ciągu ostatnich dwudziestu minut, John nie mógł teraz uwierzyć, że istnieje świat zewnętrzny, w którym świeci słońce, wieje ciepła bryza... Nagle ujrzał długi rząd ciał

ułożonych na parkingu na tyłach sklepu. To byli zmarli.

John grzebał w kieszeni, zostały mu tylko dwa papierosy, drżącymi rękami wyciągnął jednego i zapalił.

Kellor spojrział na niego, podniósł rękę, aby zbadać jego tętno.

- Makala już mnie zdiagnozowała. Wstrząs mózgu.

- I poparzenia. Lepiej czymś je potraktuj, jakąś maścią, a potem załóż sterylne bandaż. Niech Jen zrobi kompres, ręcznik zamoczony we wrzątku. Nie możesz ryzykować kolejnej infekcji. Nadal jesteś osłabiony po tej poprzedniej.

- Dobrze, panie doktorze.

- John, w ciągu kilku dni będziemy mieć ogromny problem.

- Co? Po czymś takim?

- Epidemia. Byłem na polu bitwy, kiedy zepchnąłeś ich z mostu. Widziałem członków bandy. Rozmawiałem z kilkoma z nich, zanim...

Urwał. Odczekał chwilę.

- Zanim ludzie Toma ich dobili.

- Nie przerywaj, mów.

- John, ich obóz był siedliskiem zarazy. Grypa, wirus zapalenia wątroby, chyba też jakieś egzotyczne paskudztwa, być może tyfus. Jeśli człowiek przyjrzałby się ich ciałom, zobaczyłby, że wcale nie byli w lepszym stanie niż ludzie, których terroryzowali. Sądzę, że w ciągu kilku dni wybuchnie u nas epidemia. O wiele gorsza niż ostatnim razem. Wszędzie krew, kałuże krwi... a przecież wielu z nich to byli narkomani. Będziemy mieć do czynienia z wirusem zapalenia wątroby B oraz C. A może nawet z HIV.

- Poinformuj o tym Charliego - westchnął John. - Ja już nie mam na to siły.

- Charliego?

John spojrział na Kellora.

- Nie wiedziałeś? Charlie nie żyje. Zginął podczas strzelaniny przy przełęczy.

- O Jezu... Mówiłem mu, żeby się tam nie pakował. Był zbyt słaby. Jego miejsce było poza linią frontu...

- Przecież wiesz, jaki był Charlie - rzucił Kellor. - Nie byłby w stanie siedzieć tu sobie spokojnie. Nie w takiej sytuacji.

- Cholera.

- John, teraz ty jesteś naszym szefem.

- Co?

- Charlie wyznaczył cię jako następcę. Powiedział mi tuż przed śmiercią. Kate była

świadkiem, zgodziła się. Teraz ty rządzisz miastem, nadal mamy stan wyjątkowy.

John oparł się o ścianę, ledwie trzymał się na nogach.

- Chcę po prostu wrócić do domu...

Kellor skinął głową i położył mu rękę na ramieniu, by dodać otuchy.

- Dzisiaj nie musisz niczym się zajmować. Ja wszystkiego dopilnuję. Aha, John... -

Lekarz odczekał chwilę. - Jest jeszcze jedna rzecz.

- Co takiego?

John ostatni raz zaciągnął się dymem, po czym cisnął petem na ziemię.

Kellor sięgnął do kieszeni na piersi Johna, wyjął ostatniego papierosa, absolutnie ostatniego papierosa i pomógł Johnowi go zapalić.

- Boże, co jeszcze się stało?

Kellor włożył rękę do swojej kieszeni i wyjął z niej pierścionek.

- Co to jest? - zapytał John.

- Pierścionek Bena Bartletta.

John zaniemówił. Wpatrywał się w pierścionek w swej dłoni, poplamiony zaschniętą krwią.

- Zmarł godzinę temu. Dali mu trójkę, ale zauważyłem go przy moście i przywiozłem tutaj.

Kellor wskazał głową jedno z ciał, jedno z niewielu, które było zakryte prześcieradłem.

- To był dobry dzieciak, John. Cholernie dobry. Został na moście, nawet kiedy tamci napierali. Wiele osób było świadkiem tego zdarzenia, widzieli, jak krzyczał do reszty żołnierzy, kazał im stawić czoła wrogom. Myślałem, że wiesz... Straciłeś przytomność kilka kroków od niego, kiedy zaczął się kontratak.

John nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

Lekarz westchnął.

- John, Ben zostawił po sobie dziecko, z którego powinieneś być dumny. Dumny, że jego ojcem jest Ben. Któregoś dnia złożę wam wizytę i opowiem Elizabeth o Benie. Cholera, przecież siedemnaście lat temu to właśnie ja pomogłem mu przyjść na ten świat. - Pokręcił głową. - Gdyby nie dzieciaki takie jak on, gdyby nie całe zastępy takich dzieciaków, przegralibyśmy bitwę... John, Ben prosił mnie, abym powiedział ci, że jest mu przykro, jeśli kiedykolwiek sprawił ci zawód. I poprosił, żebyś kochał dziecko, które ty i Elizabeth będziecie wychowywać.

Po twarzy doktora popłynęły łzy.

- Niech szlag to wszystko trafi - westchnął i spojrzał na Johna. - Idź teraz do domu, do Elizabeth.

John nadal nie był w stanie mówić.

Podszedł do ciała chłopca, chciał go odkryć, lecz Kellor go powstrzymał.

- Nie rób tego, John. Pamiętaj go takim, jakim był.

John spojrzał w dół.

- Jesteś moim synem - rzekł szeptem. - I zaopiekuję się twoim dzieckiem, przysięgam. Synu, jestem z ciebie dumny.

Odszedł, nadal w stanie szoku i ośpienia.

Sam nie wiedział, w jaki sposób znalazł się na State Street. Z przodu zaparkowała kolejna ciężarówka z kilkoma rannymi na przyczepie, trzech z nich miało dwójkę na czole, reszta jedyńki.

Minął samochód, nie przyglądał się rannym.

- Pułkowniku, niech mnie diabli, wygraliśmy!

Nawet nie spojrzał, by sprawdzić, kto to powiedział.

Jego stary edsel zaparkowany był pod ratuszem. Uzbierał się tam tłum. Ktoś na tablicy ogłoszeń napisał jedno słowo: ZWYCIĘSTWO!!!!

Kiedy się zbliżył, niektórzy zaczęli zadawać mu pytania, inni prosili o rozkazy, jeszcze inni pytali, co mają teraz zrobić.

Nie odpowiedział, przeszedł do samochodu. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Przekręcił je i wycofał wóz.

Włączył radio. Głos Ameryki.

„Dziś rano kontenerowiec z Australii zawinął do portu w Charleston. Nasi sprzymierzeńcy przysłali nam ponad milion racji żywnościowych, tysiąc zestawów radiowych z obustronną łącznością, sześć lokomotyw parowych...”.

Wyłączył radio.

Brama w pobliżu kampusu nadal była zabarykadowana. Przejazdu pilnowało dwoje studentów. John zahamował.

- Co u was?

Spojrzał na dziewczynę dzierżącą pistolet.

- Sir, czy nic panu nie jest?

- Wygraliśmy. - Tylko tyle był w stanie odpowiedzieć.

Dziewczyna uśmiechnęła się i zaskutowała. Ruchem głowy dała znak koledze, by przestawił volkswagena, który blokował wjazd.

John przejechał przez bramę, skręcił w Hickory Lane i zatrzymał się przy domku numer 12, należącym do Jen i Tylera.

Nareszcie był w domu. Cała czwórka wybiegła z budynku. Jen, Jennifer, Ginger, merdająca ogonem... oraz Elizabeth.

Siedział nieruchomo w samochodzie jak skamieniały. Biegły do niego. Spojrzał na Elizabeth, swoją córkę, lat szesnaście i pół. Nie było jeszcze żadnych widocznych gołym okiem oznak życia, które się w niej rozwijało. Sama nadal była dzieckiem.

Jennifer pierwsza dobiegła do samochodu, po czym zrobiła krok w tył.

- Tatusiu, wyglądasz okropnie!

- Nic mi nie jest, kochanie. Jestem tylko trochę... osmalony.

Elizabeth stała za młodszą siostrą, Ginger pomiędzy nimi, nachylona w stronę swego pana, którego chciała polizać na powitanie.

Boże, pomyślał, jeszcze dwa miesiące temu tak to właśnie zawsze wyglądało. Wracał do domu po wykładach. We wtorki i czwartki, kiedy miał wykład od czternastej trzydzieści do szesnastej, dziewczynki były w domu przed nim. Najpierw zawsze wybiegały psy, potem Jennifer, a na końcu Elizabeth, jego nastoletnia córka, której mimo wszystko wciąż chciało się odgrywać ten powitalny rytuał. Podchodziła do niego, ścisłała i całowała.

A teraz nie był w stanie się poruszyć i wysiąść z auta.

Podeszła Jen.

- Co się stało?

- Wszystko dobrze - odezwał się wreszcie. - Zwyciężyliśmy. Już ich nie ma...

Jennifer krzyknęła głośno, złapała Ginger i zaczęła z nią tańczyć.

- Wygraliśmy! Wygraliśmy! Wygraliśmy!

John patrzył się przed siebie... Zwycięzca powracający do domu z wojny. Triumf, parady, owacje. Tak to wygląda na filmach. A w rzeczywistości... czy naprawdę zawsze wygląda to tak jak teraz?

- John?

Jen zajrzała do środka przez okno.

- Jesteś ranny.

- To nic poważnego. Wstrząśnienie mózgu, trochę oparzeń, wyliżę się.

- Tato, gdzie Ben?

Spojrzał przez ramię Jen na swoją córkę.

- Dajcie mi wyjść - powiedział spokojnie.

Jen otworzyła drzwi. Po błyskawicznej wymianie spojrzeń wiedział, że Jen się już

domyśliła, odczytała to z jego miny.

Wszedł z auta, wsadził rękę do kieszeni.

Pamiętał, że na pierścionku jest zaschnięta krew. Zaczął go pospiesznie czyścić, zeskrobując krew paznokciami.

- Tato, pytałam o Bena. Widziałeś go?

- Tak, kochanie.

Szedł ku wejściu do domu. Jen wyprzedziła go, by otworzyć mu drzwi.

- W takim razie nic mu nie jest? - zapytała Elizabeth. - Wiedziałałam, że nic mu się nie stanie.

Usłyszał w jej głosie nutkę myślenia życzeniowego.

Wszedł do środka. Jen otworzyła wszystkie okna, wietrząc zbutwiałe powietrze, które ich przywitało po otwarciu drzwi. Słońce zalało wnętrze, wpadając przez okna, z których rozciągał się widok na górski strumień płynący za domem.

To było ulubione miejsce Tylera. Zawsze otwierał okna, chyba że na zewnątrz panował mróz. Słychać było szum wody rwącej po kamienistym korycie. Naprzeciwko okien ustawiona była miękka wygodna sofa.

Usiadł na niej.

- Elizabeth, chodź tu do mnie.

- Co się stało, tato?

Zaczęła płakać, zanim nawet usiadła u jego boku.

John wyłowił z kieszeni pierścionelek.

- Ben chciał, aby ci to dać - powiedział, tocząc wewnętrzną walkę, by nie załamał mu się głos, by nie dać po sobie poznać rozdzierającego go bólu.

Wzięła pierścionelek do rąk. Kiepsko mu wyszło oczyszczenie go. Na dłoni Elizabeth pojawiły się płatki zaschniętej krwi.

- Pewnego dnia... - zaczął - pewnego dnia podarujesz ten pierścionelek swojemu dziecku i opowiesz mu o jego ojcu. O tym, jakim był wspaniałym człowiekiem.

Elizabeth przytuliła się do niego, płacząc histerycznie, tak długo, aż zabrakło jej łez.

Cienie w pokoju zaczęły się wydłużać. Pamiętał jak przez mgłę, że Jen przyniosła mu miskę zupy, mówiąc, że to prezent od kapelana, i że złożyła wizytę rodzicom Bena, którzy wprowadzili się do jednego z porzuconych domów. Pamiętał głos Jennifer dochodzący z jej nowego pokoju, kiedy rozmawiała z Jen. Jennifer płakała, potem razem z babcią odmówiły Ojciec Nasz. Pamiętał odgłos tupotu Ginger, która człapała po mieszkaniu, a potem wskoczyła na łóżko, by zapaść w sen u boku Jennifer.

Kiedy zapadła ciemność, przyszła do niego Elizabeth, wtuliła się w jego ramię i długo płakała, zanim zasnęła.

Całą noc tulił do siebie córkę, aż nadszedł świt.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dzień 131

W mieście panowała upiorna atmosfera. Codziennie rano John objeżdżał centrum, by sprawdzić, czy w nocy coś się nie wydarzyło. Stało się to już jego rytuałem.

Teraz obok niego siedziała Makala, pogrążona w milczeniu. John sądził, że prawdopodobnie rozmyśla o rozmowie telefonicznej, którą planowali przeprowadzić.

Witryny ładnych niegdyś sklepów ciągnących się wzdłuż Cherry Street były teraz brudne i podziurawione. Jego ulubiony sklep Ivy Corner spłonął dwa tygodnie temu; był to przypadkowy pożar, ogień zaprószyli dzicy lokatorzy. Nie próbowano go nawet gasić, jako że nie zagrażał innym budynkom. John postanowił nie wymierzać żadnej kary winowajcom.

Po ulicy walały się papiery, kurz i liście unoszone przez jesienny wiatr. Na rogu ulic State i Black Mountain jakiś nastolatek sklecił sobie szałas z płyt dębowych, które zostały wyrzucone ze sklepu z meblami, kiedy przerabiano go na szpital. Z pała na sznurku zwisały dwie tłuste wiewiórki i zajac. Na tabliczce widniał napis: „Wiewiórka za siedem naboji, zajac za dwadzieścia, zapraszam do wymiany!”.

Im bardziej brakowało jedzenia, tym ceny stawały się wyższe. Jednak problemem był też niedobór amunicji.

Przewidywania Johna, że nową walutą staną się papierosy, okazały się nietrafione. Ostatnie papierosy zostały wypalone dawno temu. On sam nadal miewał ataki nikotynowego głodu. Teraz nową walutą były naboje, szczególnie kaliber 22, oraz amunicja do dubeltówek.

Sam na polowania przestał nosić karabin, chodził na nie z pistoletem skałkowym hawkins, kaliber 50. Jeden z członków ekipy rekonstrukcji historycznych otworzył biznes: wytwarzanie prochu strzelniczego. Odkrył, jak wyszukiwać i przerabiać saletrę i siarkę. Jeśli chodzi o ołów, można go było zdobyć, wygrzebując stare akumulatory samochodowe.

John minął szpital wojskowy. Teraz był już opustoszały. Ranni, nadal wymagający leczenia, zostali przewiezieni do Gaither Hall na kampusie, gdzie zamontowano dwa stare bojlerki do ogrzewania pomieszczeń. Prowadzeniem tej placówki zajmowała się teraz Makala, opiekując się niemal czterdziestoma osobami, które nadal walczyły o życie.

Liczba ofiar rzeczywiście była wysoka, ponad siedmiuset poległych, z tego stu

dwudziestu studentów, oraz siedmiuset rannych, przy czym niemal połowa z nich już umarła, a niektórzy nadal umierali.

Tak oto prawie jedna trzecia studentów zginęła podczas bitwy lub po niej. Kolejne trzydzieści procent uczniów zostało rannych. To była straszna cena, którą przyszło im zapłacić. Kiedy podczas wykładów opowiadał o bitwach z okresu wojny secesyjnej, w których dany regiment stracił na polu bitwy dwie trzecie żołnierzy, była to czysta statystyka. A teraz to wszystko stało się rzeczywiste, tak koszmarnie rzeczywiste. W bitwie zginął zarówno Jeremy, jak i Phil oraz wielu innych jego „dzieciaków”, jak ich zwykł określać.

Wczoraj był obecny na kolejnym pogrzebie - Laury, która straciła nogę tuż nad kolanem. Nie udało jej się pokonać śmiertelnego zakażenia.

Ten pogrzeb był rozdzierającym serce wydarzeniem. Pojawiła się zaledwie garstka osób, czyli te, które miały siłę się stawić. Kiedy składano ciało Laury do grobu, członkowie chóru szkolnego, którzy ocaleli, zaśpiewali pieśń, która stała się niejako hymnem college'u oraz całej bitwy: *The Minstrel Boy*.

Wszyscy, którzy polegli w walce, zostali pochowani na cmentarzu dla weteranów na obrzeżach miasta; wydzielono na ich groby jedną skarpcę. Mówiło się, że pewnego dnia zostanie ku ich pamięci wzniesiony pomnik. Pewnego dnia...

Wszyscy się zgodzili, że ofiary bitwy zasługują na wyjątkowe miejsce pochówku, a nie groby na polu golfowym.

Nadal zdarzały się czasem drobne potyczki, które wymagały interwencji oddziałów zbrojnych. Ostatnio miało miejsce starcie z małą grupką kilkudziesięciu najeźdźców, którzy przedarli się przez góry Swannanoa i przypałowali do miasta wzdłuż drogi numer 9. Tydzień później John poprowadził ekspedycję do Old Fort, by wybić ocalałych, lecz rannych członków Dzikiej Bandy, którym udało się zbiec z pola bitwy. Ta akcja pochłonęła życie sześciu studentów. Jeśli chodzi o Old Fort, w mieście nie było prawie ani żywej duszy po tym, jakie piekło zafundowali im najeźdźcy.

Członkowie oddziałów Johna, którzy nadal żyli, teraz rzeczywiście byli już zahartowani i uodpornieni na horror wojny.

Doktor Kellor trafnie przewidział epidemię grypy. Kilka dni po wielkiej bitwie zaczął się, jak niektórzy go określali, „miesiąc zarazy”.

Na polu golfowym wykopano prawie trzy tysiące nowych grobów. W jednym z nich pochowano samego Kellora. Personel medyczny został wyjątkowo przetrzebiony; przy życiu zostało jedynie dwóch lekarzy oraz jeden weterynarz. To rzeczywiście była zaraza jakby żywcem wyjęta z odległej przeszłości; większość lekarzy bohatersko nie ustawała w pełnieniu

swoich obowiązków, aż do momentu, gdy sami umierali. Jeden z lekarzy uciekł, skrył się w swojej chacie i teraz był traktowany jak wyrzutek, stracił cały szacunek mieszkańców Black Mountain.

Grypa oraz głód okazały się zabójczą mieszanką, bilans ofiar przypominał czasy „czarnej śmierci” w XIV wieku. Do tego doszły setki zarażonych wirusowym zapaleniem wątroby typu A, niektórzy byli nosicielami typu B oraz C, które ujawnić się miały dopiero za jakiś czas. Zwyczajne kontuzje, drobne rany prowadziły do amputacji oraz śmierci.

To był prawdziwy pomór. Statystyki z wczoraj mówiły, że zaledwie czterdzieści procent mieszkańców Black Mountain oraz Swannanoa, którzy żyli jeszcze cztery miesiące temu, nadal utrzymywało się przy życiu. Jeśli chodzi o procentowy bilans ofiar wojny, był on najwyższy od czasów średniowiecza. Legendarne dwadzieścia pięć milionów ofiar wśród Rosjan w II wojnie światowej stanowiło zaledwie jedną siódmą ich ówczesnej populacji.

A mimo to, ludzie, którzy ocalili w Black Mountain, tymczasowo mieli jedzenia pod dostatkiem. Pilnie strzeżone pola kukurydzy wydały bogate plony. Owoce, nawet te robaczywe, co do jednego zostały zebrane z sadów jabłkowych. Dynie dochodziły do wagi dwudziestu funtów i było pewne, że w tym roku nie zostaną użyte do wyrobu dekoracji na święto Halloween. Ekipa poszukiwaczy z college’u przeczesująca teren w poszukiwaniu żywności przynosiła kosze pełne orzechów, szyszek, słoneczników. Czasami udawało się nawet znaleźć w lasach pozostałości po sadach, w miejscach, gdzie sto lat temu były gospodarstwa rolne. Dawno zapomniane drzewa zostały dokładnie oskubane z owoców.

Pomimo tego, żywność była starannie liczona, ponieważ musiała wystarczyć aż do wiosny. To, co wydawało się morzem jedzenia, okazało się jedynie ledwie wystarczającymi zapasami. Mało tego - żywności miało nie wystarczyć dla wszystkich, którzy chcieli przetrwać zimę...

Jeśli chodzi o mięso, właściwie go nie było. Od czasu do czasu trafiła się jakaś pojedyncza wiewiórka, zając, szop pracz czy opos, lecz sarny, niedźwiedzie, a nawet dziki zostały wszystkie wystrzelane, były to gatunki zwierząt już bliskie wymarcia. I znowu kłaniały się nieaktualne wspomnienia na temat życia w zachodnich Stanach lub w górach, według których człowiek jedynie potrzebował strzelby, aby po kilkugodzinnym polowaniu przynieść do domu minimum sto funtów mięsa. Kiedy jednak na polowanie wybrało się tysiąc osób, a sezon łowczy trwał trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, to nawet na tak rozległych terenach, nie zostało już nic, co można by upolować.

Ekipy myśliwych z college’u zapuszczały się na szczyty górskie, przebywały tam trzy czy cztery dni i najczęściej wracały z pustymi rękoma. Las został kompletnie wyczyszczony z

pożywienia.

Dysponowali więc jedzeniem, lecz dieta nie była zbilansowana, przede wszystkim brakowało w niej białka, wskutek czego ludzie nadal umierali. Wszystkie zapasy były pilnie strzeżone przez całą dobę. Nieliczne starsze osoby, które nadal utrzymywały się przy życiu, zostały poproszone o to, by nauczyły resztę mieszkańców zapomnianej sztuki konserwowania żywności. Był jednak pewien problem - brakowało odpowiednich do tego słoików oraz weków, które można by szczelnie zamknąć.

John codziennie umierał ze strachu o Makalę, lecz do tej pory sprzyjało jej szczęście i ciągle żyła. W czasie „miesiąca zarazy” unikała wizyt w domu Johna. Przyszła jedynie wtedy, gdy choroba dopadła wreszcie jego samego, a potem Jen. Mieli jednak szczęście lub wyjątkowo dobrą opiekę medyczną - objawy grypy po paru dniach ustąpiły. Elizabeth również zachorowała. Ponieważ była w ciąży, John nie czuł wyrzutów sumienia z powodu tego, że brał dla niej będące już teraz absolutną rzadkością antybiotyki oraz dodatkowe racje żywnościowe. Na szczęście zaraza ominęła Jennifer.

Uwaga wszystkich skupiała się właśnie na młodszej z dziewczynek. Dwa tygodnie temu skromne zapasy insuliny przestały nadawać się do użytku, lek stracił całą swoją moc. Stało się to ponad miesiąc wcześniej, niż zakładał John. Opróżniając ostatnią butelkę insuliny, Makala musiała wykonać kilka zastrzyków, aby obniżyć poziom cukru we krwi dziewczynki z pięciuset dwudziestu do stu czterdziestu pięciu. Teraz znowu cukier podskoczył do sześciuset i nadal rósł, sześć dni temu Jennifer straciła przytomność. Wszystkie symptomy, które przewidział Kellor, przybrały na sile. Najpierw straszliwe pragnienie i niemal niekontrolowane oddawanie moczu. Skaleczone przypadkiem kolano nie chciało się zagoić, a w ranę wdała się straszna infekcja: czerwone pręgi biegły aż do krocza dziewczynki, trawiła ją wysoka gorączka. Jej system immunologiczny przestawał działać, tak samo jak nerki... Jej drobne ciało zaczynało obumierać.

John wiedział, że powinien skontrolować sytuację na przełęczy, lecz to musiało poczekać. Na razie wystarczy, że objechał całe miasto. Przejeżdżając obok ruin restauracji Front Porch, zauważył na chodniku przy szosie dwa ciała, które trzeba było stamtąd zabrać. Zanotował sobie w myślach, że musi w tej sprawie skontaktować się z Bartlettem.

Zaparkował na swoim miejscu pod ratuszem. Wysiadł z wozu razem z Makalą.

Najważniejszą osobą w mieście była teraz Judy, operatorka centrali telefonicznej, do niedawna jedynie niepozorna sekretarka. Judy wiedziała o każdej rozmowie, wchodzącej czy wychodzącej, mieszkała w biurze, a w nocy śledziła audycje odsłuchiwane na starym radioodbiorniku na baterie wyciągniętym z mustanga Jen. Słuchała komunikatów, nowych

wieści z zewnątrz, a następnie każdego ranka zapisywała je na tablicy ogłoszeń wywieszanej przed ratuszem.

John, mijając tablicę, rzucił na nią okiem. Przeczytał doniesienia o tym, że Asheville podobno miało stałą, obustronną łączność z Charlestonem. Poza tym cztery ciężarówki załadowane artykułami pierwszej potrzeby pojawiły się w Greenville, w Karolinie Południowej, a pod koniec tygodnia jedna z nich miała zawitać do Asheville. Judy nie zapisała na tablicy jednej informacji, którą osobiście przekazała Johnowi o świecie: wczoraj wieczorem w Memorial Hospital wylądował helikopter, na pokładzie którego były rzekomo zapasy lekarstw.

Gdyby wieść się rozniosła, ci, którzy nadal mieli siłę chodzić, próbowaliby dostać się do Asheville. John wiedział, że władze hrabstwa nie przepuszczą ani jednego mieszkańca Black Mountain przez barykadę ustawioną przy zjeździe 53. Był to niewątpliwie odwet za nieposłuszeństwo władz miasteczka, które wiosną nie chciały przyjąć fali uchodźców. Przepuszczano tylko osoby z zewnątrz, które przemieszczały się dalej na zachód. Lecz dla mieszkańców Black Mountain i Sawannanoa przejście było zamknięte.

John wszedł do środka.

- Cześć, szefie - powitała go Judy.

- Judy, połącz mnie z Memorial Hospital. Użyj mojej linii oraz linii w sali konferencyjnej.

- Robi się.

John wszedł do swojego gabinetu, który wcześniej należał do Charliego. Nie wprowadził tu żadnych większych zmian, jedynie powiesił oprawiony w ramki polaroid przedstawiający ocalałych członków oddziału, który określał teraz mianem Pierwszego Batalionu Rangersów Black Mountain. Osiemdziesięciu jeden żołnierzy stojących przed Griffin Hall na terenie kampusu. Zdjęcie zostało zrobione tydzień po wielkiej bitwie. W porównaniu z wiszącą obok fotografią - wykonaną podczas uroczystości rozdania dyplomów dwa dni przed atakiem EMP - wszyscy uczniowie wyglądali na starszych o dwadzieścia lat. Choć tylko część studentów widniała na obu zdjęciach.

Uczniowie na zdjęciu z uroczystości szkolnej wyglądali na gotowych ruszyć w świat i zawojować go swoim entuzjazmem i radością. Z kolei Rangersi sprawiali wrażenie, jakby mogli podbić świat jedynie z bronią w rękę. To zdjęcie za każdym razem przywodziło mu na myśl obraz *The Thousand Yard Stare*, który namalował Thomas Lea - artysta z okresu II wojny światowej. Na pierwszym planie umieścił żołnierza piechoty o dziwnym, odległym spojrzeniu - ofiarę nerwicy frontowej z bitwy o Peleliu, wysepkę na Pacyfiku.

- Szefie, gotowe.

John podniósł słuchawkę z widełek, usłyszał trzask.

- Szpital Memorial Hospital - odezwał się cichy głos, jakby z drugiego końca świata.

- Tu Black Mountain - poinformowała Judy. - Czy można prosić o połączenie z dyrektorem szpitala, doktorem Vance'em? Chce z nim rozmawiać doktor Matherson, Dyrektor Bezpieczeństwa Publicznego Black Mountain.

To był pomysł Makali, aby Judy użyła starego tytułu naukowego Johna. Powiedziała, że choć doktorzy nauk medycznych patrzyli z góry na doktorów nauk humanistycznych, może jednak ten zabieg odrobinę pomoże.

- Proszę poczekać - odpowiedział głos po drugiej stronie linii.

John spojrzał na Makalę, która stała przy telefonie na korbkę w sali konferencyjnej.

Minęło pięć, może nawet dziesięć minut. John siedział na biurku, czekając cały w nerwach, serce biło mu jak szalone, w słuchawce słyszał jedynie szum.

Nagle jakby z oddali dobiegł go głos.

- Tu Vance.

- Doktorze Vance, z tej strony - zawahał się na chwilę - z tej strony Matherson, Dyrektor Bezpieczeństwa Publicznego z Black Mountain.

- O co chodzi?

Głos lekarza przeżarty był skrajnym zmęczeniem. John spojrzał na Makalę, skinął głową. Bał się, że jeśli się odezwie, zawładną nim emocje, a człowiek po drugiej stronie linii nie miał czasu na rozemocjonowane apele o pomoc.

Od dnia śmierci Charliego John dzień w dzień zajmował się tym samym, tu, przy biurku. Podejmował decyzje dotyczące tego, kto ma otrzymywać racje żywnościowe, a kto nie. Musiał skazać na karę śmierci przez rozstrzelanie dwadzieścia dwie osoby, które dopuściły się kradzieży jedzenia; jednej nocy grupka piętnastu osób zabiła dwie sztuki bydła. Jednego człowieka musiał skazać na śmierć za kanibalizm. Na szczęście teraz mógł przenieść obowiązek przeprowadzania egzekucji na innych. Wytypował trzy osoby, jedną ze Swannanoa, jedną z Black Mountain oraz jednego profesora z college'u.

Musiał wysłuchiwać tak wielu prośb i apeli... a decyzje opierać na tym, co sprawiedliwe, czyli, innymi słowy, kto miał szansę dotrzeć do wiosny, a kto nie.

- Doktorze Vance, tu Makala Turner. Pracowałam jako dyplomowana pielęgniarka na oddziale chirurgicznym w szpitalu Overlook w Charlotte. Podlegałam bezpośrednio doktorowi Billingsowi. Teraz jestem szefową opieki medycznej tu, w Black Mountain.

Tę kwestię Makala uprzednio dokładnie sobie przygotowała. Celowała w to, by

stworzyć wrażenie równości pomiędzy nią a Vance'em, oraz odwołać się do tradycji obustronnego szacunku zawodowego.

- Billings... co u niego słyhać? - powiedział dyrektor i zamilkł, pewnie zdał sobie sprawę, jak absurdalne w obecnych okolicznościach jest to pytanie.

- Doktorze, w dniu wybuchu byłam w drodze do pana szpitala, aby stawić się na prowadzonym przez pana szkoleniu dotyczącym nowej metody kauteryzacji dla kontrolowania częstoskurczu nadkomorowego arytmii.

Cisza.

- Mam wrażenie, jakby to było milion lat temu... - John usłyszał, że ton głosu doktora jakby złagodniał.

Makala tę kwestię również sobie uprzednio opracowała. John spojrział na nią, lecz stała odwrócona plecami, aby uniknąć z nim kontaktu wzrokowego.

- Siostrze Makalo...

- Turner - dodała. - Doktorze Vance, mamy tu sytuację, w której mógłby nam pan pomóc.

- Słucham. - Głos Vance'a znowu stał się bardziej oschły.

- Otrzymaliśmy informację, że ubiegłej nocy w pana szpitalu wylądował helikopter z ładunkiem leków.

Długa pauza.

- Tak, to prawda.

- Doktorze Vance. Mamy tu dziewczynkę, dwunastoletnią, chorą na cukrzycę typu 1.

- I nadal żyje? - zapytał lekarz z niedowierzaniem.

- Jest starannie monitorowana, poza tym to silna, twarda dziewczynka. Jej ojcu udało się zdobyć odpowiednią ilość insuliny, by wystarczyła na pięć miesięcy, lecz lek się przeterminował i stracił moc.

- To niesamowite, że tak długo się trzyma.

John cały zeszytniał. Ponownie spojrział na Makalę. Sposób, w jaki teraz mówiła o Jennifer, był tak bezosobowy, kliniczny...

- Doktorze Vance, czy dostaliście jakieś zapasy insuliny?

Cisza.

- Czy dostaliście insulinę? - zapytał John, wcinając się do rozmowy drżącym, nerwowym głosem.

- Tak.

Cisza w słuchawce.

- Od jak dawna nie przyjmuje insuliny? - zapytał Vance.

Makala rzuciła pospieszne spojrzenie Johnowi, pokręciła głową.

- Ostatni zastrzyk miała cztery dni temu.

Skłamała. Ostatni zastrzyk był ponad dwa tygodnie temu.

Cisza po drugiej stronie linii.

- Poziom cukru?

- Trzysta dziesięć. - Kolejne kłamstwo. Poziom cukru wynosił dwa razy więcej i nadal rósł. - Doktorze Vance? - zaczęła Makala.

- Tak?

- Możemy przysłać kogoś, żeby odebrał fiolkę insuliny, nie prosimy o wiele. To uratuje jej życie.

Lekarz głośno westchnął. John wiedział, co to oznacza. Ileż to osób słyszało z jego ust takie samo westchnienie, zanim odrzucił prośbę o dodatkową miskę zupy, dwie lub trzy pigułki cyprofloksacyny lub kilka bezcennych antybiotyków, bezpiecznie schowanych w sejfie.

- Na jak długo uratuje jej życie? - odezwał się wreszcie Vance. - Miesiąc? Na kolejne zapasy insuliny będziemy musieli czekać być może długie miesiące. Zresztą to, co dostaliśmy, już zostało przypisane osobom, które mają szansę przeżyć, lub tym, którzy potrzebują o wiele mniejszych dawek niż diabetycy tacy jak ta pacjentka.

- Doktorze Vance, możemy ją przywieźć do pana szpitala w ciągu godziny. Prosimy o jeden zastrzyk, żeby ustabilizować jej stan. Słyszeliśmy, że droga do Columbii może być otwarta, stamtąd dojedziemy do Charleston, zaryzykujemy tylko po to, żeby pomógł nam pan przywrócić jej normalny poziom cukru.

- Oboje wiemy, że droga jest zamknięta. Kilka osób próbowało dostać się wczoraj do Greenville, wszyscy zostali sprzątnięci przy przełęczy Saluda - odparł doktor. - A nawet gdyby wam się udało, to i tak nie ma żadnych szans, żeby dostała więcej insuliny. Władze Charlestonu wciągnęły insulinę obok setki innych leków na listę kategorii A, czyli takich, które można wydawać jedynie w krytycznych sytuacjach ludziom poniżej czterdziestego piątego roku życia, mającym duże szanse na przeżycie oraz wykonującym określoną pracę. Przysłali mi dosłownie pięć fiolek.

John poczuł frustrację, pomyślał o samolocie Dona Barbera.

- A czy nie można zabrać jej samolotem gdzieś indziej? - zapytał z naciskiem. - Na pewno na lotnisku w Asheville macie jakieś maszyny, które nadal latają.

- Mieliśmy, ale nie wiem, czy jeszcze jakieś są. Tydzień temu straciliśmy dwa

samoloty. Piloci załadowali na pokład swoje rodziny i zniknęli bez śladu. A nawet gdybyśmy dysponowali jakimiś samolotami, to i tak wytypowałbym sto innych przypadków, innych pacjentów, do przewiezienia.

Makala dała Johnowi znak, żeby się zamknął. Zapadła cisza.

Cisza, która wlokła się przez długą minutę.

- Przykro mi, ale odmawiam. A teraz, jeśli państwo wybaczą, muszę...

John zerwał się z krzesła.

- Tu chodzi o moją córkę! - krzyknął.

- Podejrzywałem to - odparł mężczyzna. - I domyślam się, że od jej ostatniego zastrzyku minęło o wiele więcej czasu niż cztery dni.

- Proszę, doktorze... Błagam, to moja córka. Tylko jeden zastrzyk.

- Masz na imię John, prawda?

- Tak.

- Posłuchaj, John. Tak jak mówiłem, przysłali nam pięć fiolek. W tej chwili mam u siebie w szpitalu dwoje dzieci chorych na standardową wersję dziecięcej cukrzycy i ledwo się trzymają przy życiu. Ale, niech Bóg mi wybaczy, nawet im nie daję insuliny, ponieważ mam prawie trzydziestu dorosłych z różnymi odmianami cukrzycy, którzy mogą dłużej pociągnąć na jednej, małej dawce. To, co mam teraz, przyda mi się na cały rok, abym spróbował uratować tych, których może da się uratować.

- Błagam, na miłość boską...

- John, posłuchaj mnie, proszę. Jeden zastrzyk dla twojej córki nie wpłynie na jej stan, jedynie odwlecze w czasie to, co nieuchronne. Boże - westchnął zmęczonym głosem - myślisz, że podoba mi się to, co mówię? John, potrzebuję setek leków znieczulających, a mam tylko tyle, by przeprowadzić dwadzieścia operacji. Nie mam środków przeciwbólowych, nawet cholernej aspiryny...

Urwał.

Makala znowu dała Johnowi znak, by nie otwierał ust.

- Doktorze Vance, tu znowu Makala. Sprawuję opiekę medyczną nad tą dziewczynką od momentu, gdy to wszystko się zaczęło. To twarda sztuka. Możemy ocalić jej życie.

- Ale na jak długo? - zaoponował Vance, jego głos znowu stał się oziębły. - To najgorsza postać cukrzycy. Sto lat temu ludzie z nią zdiagnozowani umierali w ciągu paru tygodni. W takim świecie znowu żyjemy. I może będziemy żyli przez wiele kolejnych lat.

Znowu cisza.

- Siostrze Turner. Zna pani zasady selekcjonowanie pacjentów tak samo jak ja.

- Selekcjonowania? - krzyknął John. - Do diabła, mówi pan o mojej córce! Nie może jej pan spisać na straty.

- Przepraszam, współczuję ci, John. Naprawdę.

- Do diabła z tobą! Posłuchaj mnie. Mogę zmobilizować stu ludzi, członków piechoty, doskonale wyszkolonych, w ciągu godziny dotrzemy do was i siłą wydrę panu tę insulinę.

Długa cisza.

- Czy wiesz, co mówisz? Posłuchaj sam siebie - odparł Vance. - Naprawdę byłbyś gotów to zrobić?

- Tak!

- Nie sądzę, John. Wiele o tobie słyszałem, nie jesteś facetem, który zabija niewinnych ludzi. Nie próbuj ze mną tego numeru. A jeśli spróbujesz, natkniesz się na milicję Asheville już przy zjeździe 53. Nasz szpital jest również chroniony przez kordon żołnierzy.

Po chwili dodał:

- Przykro mi, współczuję ci, John. Bóg mi świadkiem, współczuję nam wszystkim. Współczuję tym, którzy mogli nas przed tym wszystkim uchronić, a teraz muszą dźwigać ciężar winy...

Urwał, głos niemal mu się łamał.

- Do widzenia.

Rozłączył się.

- Nie!

John szarpnął za aparat, wrywając kabel. Podniósł go, niemal eksplodując z bezradnej furii, i cisnął nim o ścianę.

- John, proszę cię...

Makala przeszła do jego gabinetu. Po twarzy płynęły jej łzy.

- Pieprzyć to. Pieprzyć ten kraj. Pieprzyć to wszystko... - Runął na krzesło, szlochając.

- Chodź, John, jedźmy do domu. Jennifer nas potrzebuje.

Wreszcie wstał. W holu Judy stała przy swoim stanowisku.

Słyszała każde słowo rozmowy, płakała cicho. Za nią stał Tom, z bladą wychudzoną twarzą. W milczeniu patrzył na Johna.

- John, jestem gotów pojechać tam i spróbować zdobyć te leki - powiedział łagodnym głosem.

Makala pokręciła głową.

- Nie, Tom. Jedziemy do domu. Czy możesz przejąć obowiązki Johna na kilka dni?

- Jasne.

- Judy, nie odbieraj telefonów do Johna.

Makala siadła za kółkiem i odwiozła Johna do domu. Kiedy mijali strzeżoną jak zwykle przez parę studentów bramę, John siedział w milczeniu i bezruchu. Studenci wpatrywali się w niego z szeroko otwartymi oczami. Widzieli, że płacze.

Kiedy dojechali na miejsce, Jen stała przed domem. Makala pomogła Johnowi wysiąść z auta.

Jen wiedziała, nie trzeba było jej o niczym mówić.

- Jak się czuje Jennifer? - zapytała Makala.

- Co chwila przysypia i się wybudza. Tak jak mówiłaś, jej oddech ma taki owocowy zapach. Już nie oddaje moczu. Nie mogę w nią wlać ani kropli wody.

- John... - odezwała się Makala, ściskając go mocno za ramię. - Musisz to teraz zrobić. Chcę, żebyś tam wszedł tak, jakby wszystko było w porządku. Nie możesz dać jej odczuć swojego lęku. Jeśli zapyta o lekarstwo, powiedz, że niedługo je przywiozą. Nie może wiedzieć, że się boisz.

Skinął głową.

- Gotowy?

- Tak.

Wszedł po schodkach, otworzył drzwi i zatrzymał się.

- Ojciec nasz, któryś jest w Niebie... - szeptał, wchodząc do środka.

Alkowa umiejscowiona od strony strumienia została przerobiona na pokój Jennifer. Łóżko ustawiono na podwyższeniu, na książkach, tak by dziewczynka mogła wyglądać przez okno, patrzeć na wodę, obserwować ptaki przy karmniku. Elizabeth wreszcie nieco otrząsnęła się po szoku, kiedy stan jej siostry stał się krytyczny. Spędzała wiele godzin, rozłupując szyszki, szukając cennych ziaren do napełniania karmnika i siedziała przy łóżku Jennifer, czytając jej na głos.

Ginger, chuda jak szkielet, ledwie mogła się poruszać i najczęściej leżała u stóp Jennifer w łóżku.

- Tatusiu?

- Jestem, pączusiu.

Podszedł bliżej, usiadł obok niej na materacu. Dziewczynka tuliła do siebie Pana Zajaca, a na brzegu łóżka ułożyła trzy pluszaki Beanie Babies, które w ostatniej chwili złapała, gdy ewakuowali się z domu. Jednym z nich był Miś Patriota, prezent na jej dwunaste urodziny.

- Wyzdrowieję?

- Oczywiście, kochanie, wkrótce będziesz zdrowiutka. Makala i ja zamówiliśmy dla ciebie leki, niedługo do nas dotrą.

Bał się spojrzeć w oczy Makali, wiedział, że stoi w progu pokoju. Obawiał się, że gdy na nią spojrzy, momentalnie cały się rozklei.

Dziewczynka odwróciła głowę. Była blada.

- Kłamiesz, tato. Nigdy nie umiałeś mnie okłamywać.

- Nie, kochanie. Mówię prawdę. Wkrótce poczujesz się lepiej.

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Chcesz, żebym ci trochę poczytał?

Odwróciła głowę, lecz przytaknęła.

Wstał, omiół wzrokiem półkę z książkami. Były tylko dwie. Nagle poczuł w sercu ciepło. Obie należały niewątpliwie do Mary, jedną z nich miała od dzieciństwa. Otworzył obie, w środku była dedykacja... „Wesołych Świąt, córeczko! 1976”. W drugiej, nabazgrane dziecięcymi kulfonami, różową kredką: „Książka Mary”.

Odłożył drugą książkę na bok, wrócił na łóżko, otworzył pierwszą i zaczął czytać na głos.

- „Kiedy pan Bilbo Baggins, z Bag End...”.

Nagle urwał.

Nie, tylko nie ta książka, pomyślał. Jennifer widziała filmy, kiedy pierwszy raz grali je w kinach. Była wtedy bardzo mała i przestraszyła się na seansie.

Odłożył *Władcę Pierścieni* i wziął drugą książkę. Była to opowiadka, którą czytało tak wiele dzieci i rodziców, od stu lat... Należała do tego starego świata, który zniknął, być może na zawsze. Otworzył ją powoli, spojrzął na charakterystyczny rysunek chłopca trzymającego za rękę pluszowego misia. Tańczyli razem...

- *Chatka Puchatka* - zaczął. - „Pewnego dnia, gdy Puchatek nie miał nic do roboty, pomyślał sobie, że warto by coś zrobić...”.

Przez cały dzień w domu panowała cisza przerywana jedynie głosem Johna, który przestawał czytać tylko wtedy, gdy Jennifer zasypiała.

Cienie w pokoju wydłużały się. Okna nadal były otwarte, wlatywało przez nie chłodne powietrze, lecz nie chciał ich zamykać.

Jennifer poruszyła się, Jen spróbowała ją napić. Nie chciała jednak pić, więc Jen po prostu usiadła po drugiej stronie łóżka i zwilżała jej usta mokrym ręcznikiem.

- Tatusiu...

Zwróciła twarz w jego stronę i otworzyła oczy.

- Słucham, kochanie.

- Pamiętasz swoją obietnicę?

- Którą, aniołku?

- Że pozwolisz mi zostać blisko ciebie... i żeby Pan Zając miał ciepło i też z tobą został, on również cię kocha...

- Oczywiście, kochanie, oczywiście... - Już nie potrafił dłużej nad sobą panować. Rozpląkał się, przytulił ją i pocałował w czoło. Dziewczynka próbowała objąć go ramionami, ale nie miała siły. Ujął jej dłonie, poczuł, że są zimne jak sople.

Wcisnął jej pod pachę Pana Zajaca. Główka ukochanego pluszaka opadła na klatkę piersiową dziewczynki.

Makala przycupnęła obok Johna i łagodnie głaskała Jennifer po czole. Elizabeth wyprowadziła Jen, usiadły w sąsiednim pokoju, płakały. Dziewczynka już nie była zgrzana, przestała się pocić. Makala powoli położyła rękę na jej szyi, by zbadać tętno, po czym spojrzała na Johna.

John znowu wziął w ręce książkę, zbliżali się już do końca. Położył sobie lekturę na kolanach, jedną ręką przewracał strony, a drugą trzymał dłoń córeczki.

Czuł, jak jej palce stają się coraz zimniejsze. Czytał teraz szybko, monotonnym głosem, przewracając strony, aż doszedł do ostatniej.

- „I poszli, trzymając się za ręce. I dokądkolwiek pójda i cokolwiek im się zdarzy po drodze, mały chłopczyk i jego Miś będą zawsze bawić się wesoło ze sobą w tym Zaczarowanym Miejsu na skraju Lasu”¹.

- John.

Nie mógł mówić.

- John, ona... odeszła - powiedziała Makala.

Wiedział. Poczuł, że odeszła, zanim skończył czytać ostatnią stronę książki.

*

Jennifer została pochowana w ogrodzie, pod oknem, jak najbliżej domu, tak jak jej obiecał. W nocy postawił na parapecie Pana Zajaca, aby miał oko na dziewczynkę. Większość następnego dnia spędził na zewnątrz, siedząc przy jej grobie i trzymając Pana Zajaca. Przemawiał do Jennifer tak, jakby siedziała obok niego, jakby znowu miała pięć lat, a Pan Zając nie był jeszcze tak wytarty jak teraz. Obok niego leżała Ginger; ledwie mogła się poruszać.

¹ Przeł. Irena Tuwim.

Przed wieczorem usiadła obok niego Makala.

- Martwię się o Elizabeth - stwierdziła. - Musi się lepiej odżywiać.

- Nie ma nic do jedzenia - odparł - z wyjątkiem racji żywnościowych przechowywanych w college'u.

- John, ona jest w trzecim miesiącu. To niezwykle ważny okres... jest chyba najważniejszy ze wszystkich miesięcy ciąży. Racje żywnościowe składają się w większości z węglowodanów, a Elizabeth potrzebuje białka, mięsa, tyle, ile uda nam się wepchnąć jej do ust.

Zamilkła, opierając głowę o jego ramię. Wiedział, co Makala ma na myśli.

To wcale nie była trudna decyzja. Wcale nie... Wszedł do domu, po minucie wyszedł ze strzelbą w ręku. Pana Zająca dał Makali.

Ginger leżała przy grobie Jennifer, jakby pilnowała swojej pani.

John kucnął i ją podniósł. Była taka lekka...

- Chodź, Ginger - wyszeptał. - Nadal możesz uratować komuś życie. Poza tym... Jennifer znowu chce się z tobą pobawić.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

*Ach! Jakże zostało samotne
miasto tak ludne,
jak gdyby wdową się stała
przodująca wśród ludów,
władczyni nad okręgami
cierpi wyzysk jak niewolnica.
Lamentacje 1,1*

Dzień 365

Obudził go telefon, który rozdzwonił się przy łóżku. Światło wlewało się przez okno, na dworze świeciło. Słyszał płacz w sąsiednim pokoju. To mały Ben. Elizabeth próbowała go uspokoić.

Podniósł słuchawkę. Dzwoniła Judy. Słuchał przez kilka chwil, nagle podniósł się do pozycji siedzącej.

- Będę tam najszybciej, jak się da.

Makala leżała u jego boku, na wpół rozbudzona.

- Wstawaj, kochanie, szybko!

- Co?

Otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju.

- Jeszcze ciemno...

- Wstawaj. Musimy jechać do miasta, wszyscy.

Włożył stare spodnie leżące obok łóżka, potarł ręką brodę i przez chwilę dumał, czy powinien się ogolić. Co za absurd, pomyślał, przecież nie golił się od przeszło pół roku.

Tydzień temu było na tyle ciepło, że wszyscy mogli wziąć kąpiel. John rozpałił ognisko, nabrał wody ze strumienia, by ją podgrzać, a potem wlał ją do tego, co kiedyś było małym oczkiem wodnym. Kiedy panie i dziecko już się wykapały, woda była ciemna i mętna, ale nic go to nie obeszło, to była jego pierwsza, nieco letnia, kąpiel od czasu późnej jesieni.

Następnego dnia Makala i Jen wyprały ubrania przy brzegu potoku, wszystko odbyło

się w starym stylu: płaski kamień i antyczna tarcza wygrzebana z piwnicy. Tego dnia w komplecie udali się do college'u, na coroczną wiosenną wieczerzę. Obecnych było stu pięćdziesięciu ocalałych studentów, wielebny Abel odprawił mszę w kaplicy, był występ chóru, a potem jednoaktowy skecz komediowy, o kimś, kto znalazł nadal działający odbiornik telewizyjny. Było to średnio śmieszne, bo temat wciąż wydawał się zbyt bolesny, lecz publiczność i tak się śmiała z uprzejmości.

Oczywiście Ben kursował z ręką do ręki, koleżanki Elizabeth dosłownie wrywały go sobie nawzajem... dla wielu z nich był to trening - minęła przecież jesień, a potem zima... i tak oto wiele dziewcząt spodziewało się dzieci, a wielebny Abel miał ręce pełne roboty, udzielając nagłych ślubów.

Obiad był sycący: gotowana kukurydza zmieszana z jabłkami, przyprawiona wiosenną cebulką oraz pierwszymi tej wiosny mleciami.

Po posiłku, koncercie i przedstawieniu John spotkał się z wielebnym Ablem, Kevinem Maladym oraz resztą członków ciała pedagogicznego, którym udało się przeżyć. Dyskutowali o tym, że dobrze by było uruchomić chociaż kilka kursów na uczelni... jednak nic z tego nie wynikło. Nadejście wiosny oznaczało okres, kiedy pojawiają się pierwsze rośliny i warzywa, można znowu zacząć polowania i może wreszcie ukończyć projekt turbiny przy zaporze, by ponownie popłynął prąd. Zajęcia szkolne mogły poczekać do jesieni.

John wszedł do salonu. Elizabeth stała przy oknie, podziwiając zachód słońca, Ben spał kołysany w jej ramionach.

Elizabeth naprawdę wyglądała jak kopia swojej matki. Obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła do ojca. Był to uśmiech promieniejący zadowoleniem, uśmiech Madonny, który wstępuje na twarze wszystkich młodych matek, kiedy trzymają w rękach swoje dzieci.

- Dzień dobry, tato.

- Jak się dziś czuje Ben?

- Mały czort głodny jak diabli.

- Włóż na siebie coś bardziej wyjściowego niż ten stary szlafrok. Jedziemy do miasta.

- Po co?

- Nie pytaj, tylko się ubieraj. Obudź Jen i też każ się jej zbierać.

Wyszedł na zewnątrz, powietrze było chłodne, niebo nad głową bezchmurne. Drzewa zaczęły już wypuszczać liście, chociaż na zboczach gór wciąż panowała zima, a szczyt Mount Mitchell nadal miał śnieżną koronę.

To dziwne, pomyślał. Dokładnie rok temu...

Obszedł dom i zauważył tulipana, który zaczynał kwitnąć. Zerwał go i ułożył na

grobie.

- Dzień dobry, mój mały aniołku - szepnął i spojrział w okno, w którym siedział Pan Zając, mając oko na dziewczynkę.

Obok grobu Jennifer był drugi, mniejszy grób. Nie zostało zbyt wiele do pochowania, lecz John czuł, że należy się grób z racji jej poświęcenia. Elizabeth znalazła starą, ceramiczną figurkę pieska i postawiła ją na grobie wkrótce po narodzinach Bena.

- Tato, o co chodzi?

Elizabeth wyszła z Benem na rękach.

- Wsiadaj do auta.

Stary edsel, ta cudaczna, ale i cudowna maszyna, nadal był na chodzie, chociaż już ledwo zipiał i przecierały się opony. Przekręcił kluczyk i samochód wrócił do życia, wypływając czarny dym z rury wydechowej. Zapasy benzyny, które pozostały, były strasznie zanieczyszczone.

Wyszła Jen, za nią Makala. Obie kobiety bardzo się do siebie zbliżyły w ciągu tej długiej zimy, „zimy głodu”, jak mawiali ci, którzy ją przeżyli. Jen podupadała na zdrowiu, nie była w stanie prosto chodzić, przyjąc swojej charakterystycznej wyprostowanej postawy pełnej godności - osteoporoza dawała o sobie znać. Do tego dochodziła katarakta, nadal jednak widziała na tyle dobrze, by móc czytać, co też czyniła podczas długich zimowych miesięcy, które spędziła, ogrzewając się przy piecu.

Drzewo na opał dostarczali studenci. John protestował, lecz młodzież nie wzięła sobie tego do serca. Przynosili również dodatkowe racje żywnościowe dla Elizabeth.

Jen usiadła z tyłu samochodu, obok wnuczki, Makala z przodu. John wycofał wóz i ruszył w stronę miasta.

- O co, do diabła, chodzi? - zapytała Jen nieco rozdrażnionym tonem. - Ktoś znowu upolował niedźwiedzia?

Niedźwiedzia upolowano trzy tygodnie temu, świętowało całe miasto. Zrobiony z niego gulasz wyżywił tysiąc osób, dorzucono trochę wysuszonej kukurydzy i jabłek.

Nie tysiąc, tylko raczej dziewięćset sześćdziesiąt - tylu było teraz mieszkańców, kiedy wczoraj po południu sprawdzano statystyki.

Zima głodu, tak jak przewidział to doktor Kellor, odebrała życie większości z tych, którzy przeżyli bitwę. Ludzie byli już skrajnie osłabieni, mrozy ich jedynie dobiły. Stawali się coraz bardziej osamotnieni, umierali ich sąsiedzi, gasły ogniska i ogień w piecach, nie mieli sił, by choćby wypełznąć z łóżka, przynieść drewno, na nowo rozniecić ogień...zwijali się w kłębek i odpływali w sen. Liczba zgonów była porażająca.

Wczoraj odbyła się narada w ratuszu. Makala była teraz szefem publicznej opieki medycznej. Na spotkaniu podjęła okropny temat pochówków. W lutym przyszedł kryzys, było zbyt wielu martwych, a zbyt niewielu żywych i na tyle silnych, by kopać groby. Oszacowano, że setki opustoszałych już domów - w których cała rodzina umarła - mogą spełniać funkcję kostnic. Ponad sto ciał leżało na terenie cmentarza w stanie rozkładu.

Podjęto decyzję, aby je skremować. Nagrodą za wykonanie tej koszmarniej pracy były potrójne racje żywnościowe.

I tu wdarła się potworna ironia losu. W czasie zimy zmarło tak wiele osób, a teraz nagle pojawiła się odpowiednia ilość pożywienia, aby ocalałych wyżywić aż do lata.

John zjechał na ulicę Black Mountain, ulicę, która przez kilka lat była jego codzienną trasą. Przy bramie już nie stała straż, pozostało już zbyt mało mieszkańców, by się tym zajmować. Na skrzyżowaniu przy Flat Creek musiał skręcić, ponieważ dwa miesiące wcześniej burza lodowa przewróciła kilkanaście drzew w całym mieście. Wiele ulic stało się nieprzejezdnych. Nikt nie miał siły, by zrobić z tym porządek.

Członkowie Pierwszego Batalionu nadal nieźle się trzymali, lecz John przydzielał ich do innych zadań, zadań wojskowych, takich jak pilnowanie ulic wjazdowych oraz zapasów żywności. To właśnie ci żołnierze najskuteczniej bronili się przed śmiercią; populacja miasta w ciągu roku skurczyła się o osiemdziesiąt procent, z kolei populacja uczniów jedynie o sześćdziesiąt procent, włączając w to ofiary wojny. Częściowo należało to złożyć na karb wyższej odporności młodych organizmów, a częściowo chodziło o dużą dyscyplinę, wpojona im przez Washingtona Parkera, a teraz podtrzymywaną dzięki Kevinowi Malady'emu. Swoją rolę odegrał też dyrektor Hunt, który wraz z żoną zmarł z głodu miesiąc po wielkiej bitwie; uważał, że warto poświęcić życie, by więcej pożywienia zostało dla „naszej młodzieży”.

Pamięć o tym jednoczyła armię studencką, była dla nich natchnieniem.

Kapelan udzielił ośmiu ślubów, kilka dziewcząt było w ciąży. Dwie z nich, tak jak Elizabeth, miały być matkami dzieci osieroconych przez ojców, którzy zginęli na polu bitwy.

Wyminąwszy przewrócone drzewa, John wrócił na ulicę Black Mountain, kierując się w stronę centrum miasta. Podczas zimy spłonęło kilka budynków. Niektóre po prostu porzucono, w innych nadal ktoś przebywał. Trawniki zazwyczaj były porośnięte owocami akcji „Zwycięskie Ogrody”.

Wszędzie panowała cisza, a raczej upiorna atmosfera wyludnionego miasta. Trochę ludzi pozostało jednak przy życiu, wielu z nich szło teraz w kierunku centrum, niektórzy niemalże biegli.

Wszyscy wyglądali jak więźniowie obozu koncentracyjnego. Chodzące szkielety,

wychudzone dzieci ze spuchniętymi brzuchami, niemal każdy mężczyzna nosił brodę, prawie wszyscy mieli na sobie ubrania o kilka rozmiarów za duże.

John przyspieszył, prując teraz środkiem jezdni. Pobocza zawałone były gruzem, połamanymi przez burze gałęziami, samochodami, które stały tam od pierwszego dnia.

Skręcił do ścisłego centrum Black Mountain i nagle ujrzał to... Z ust Elizabeth, Jen i Makali wydarł się głośny krzyk, tak głośny, że Ben zaczął płakać.

Wyhamował przy ratuszu, nie parkując nawet porządnie wozu. Gromadziły się setki ludzi.

Wyszedł z samochodu i spojrzał...

Na czele kolumny stał wóz pancerny Bradley, z boku przytwierdzona była powiewająca na wietrze... flaga Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Za bradleyem stała kolumna, która ciągnęła się wzdłuż drogi - kolumna wojskowych humvee, kilkadziesiąt ciężarówek, pięć osiemnastokołowców, kolejny bradley, większość z nich pomalowana na barwy kamuflujące, a do wszystkich przyczepione były powiewające na wietrze amerykańskie flagi.

- Już jest! - zawołał ktoś, pokazując ręką Johna.

Przed wozem dowodzącym stał oficer otoczony niemal tuzinem żołnierzy Johna, którzy powinni w tej chwili stacjonować przy przełęczy. Był to jego Pierwszy Batalion Rangersów Black Mountain. Rozmawiali z umundurowanymi żołnierzami, takimi, jakich zapamiętał John, w hełmach z kevlaru, choć mundury mieli zróżnicowane - standardowe, pustynne, miejskie. A jednak to jego podopieczni wyglądali na tych twardszych, mimo że mieli kościste twarze i zapadnięte oczy, a karabiny przewieszane przez wychudzone ramiona. Nowo przybyli byli pod wrażeniem, szczególnie pod wrażeniem dziewcząt, które wydawały się tak samo twarde, jak ich koledzy.

Patrząc na swoich byłych studentów, odruchowo pomyślał o żołnierzach z płótna Howarda Pyle'a *Nation Makers* wiszącego w gabinecie dyrektora Hunta, o tych wynędzniałych, obszarpanych żołnierzach, którzy mimo wszystko byli przepełnieni determinacją tak wielką, największą od dwustu lat.

Oficer stojący przy bradleyu miał na mundurze odznaczenia generalskie.

- Oto pułkownik Matherson! - Kiedy się zbliżał, żołnierze jego własnych oddziałów stanęli na baczność. Ku jego zdumieniu, żołnierze armii amerykańskiej z pełną powagą również stanęli na baczność i zaszalutowali.

Wszyscy dokoła zamilkli.

John zwolnił, potem zatrzymał się, spojrzał na generała, stanął na baczność i

zasalutował.

- Pułkownik John Matherson - rzekł.

Generał również mu zasalutował, a potem uśmiechnął się, zrobił krok do przodu, wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Johna.

- Znam was, pułkowniku Matherson. Chodziłem na wasze wykłady w Carlisle i byłem z wami na wycieczce w Gettysburgu. Wasz wykład o generale Lee był doskonały. To było w 1996 roku.

Nagle wzniosły się głosy radości, tak jakby ten prosty gest, uścisk dłoni, był symbolem powrotu do Starego Świata. Wokół obu mężczyzn zacieśnił się krąg ludzi. Przyjezdni żołnierze byli nagle obcałowywani, ściskani; choć wielu z nich przyjmowało te serdeczne gesty z zażenowaniem, jako że spora część mieszkańców Black Mountain od miesięcy nie brała kąpieli, a wielu z nich miało wszy.

John uśmiechnął się i spojrzał na generała. Twarz wydawała mu się znajoma, lecz nie mógł sobie przypomnieć nazwiska. Spojrzał na jego plakietkę - „Scales”.

John zastanawiał się, jak to wszystko wygląda oczami Scalesa. Czy nadal widział w nich Amerykanów? Czy może raczej wygłodzonych, chudych jak kościotrupy mieszkańców państw, którym Amerykanie przez niemal siedemdziesiąt lat spieszyli z pomocą. Nikt nie przewidział, że taki głód i nędza zapanują w ich własnym kraju, Ameryce.

- Ruszam do Asheville. Obejmę tam funkcję wojskowego gubernatora zachodniej Karoliny Północnej, dopóki nie zostanie ustanowiony rząd cywilny. Chciałem jednak najpierw zajrzeć do was.

Wiwatujący tłum nie słyszał słów generała, lecz John tak.

- Więc nie zostajecie tu?

- Siedziba główna będzie w Asheville, ale tak, zostajemy w tym regionie.

Sierżant stojący na bradleyu zaczął przemawiać przez megafon.

- Czy mogę państwa prosić o uwagę?

Wszyscy zamilkli, spoglądając z otwartymi ustami na żołnierza. To były pierwsze słowa, wzmacnione głośnikiem, jakie słyszeli od roku.

- Przepraszam na chwilę - rzucił Scales, po czym wspiął się na pojazd pancerny przy pomocy sierżanta, który podał mu rękę.

- Nazywam się generał Scales. Jestem oficerem armii Stanów Zjednoczonych. Przybyliśmy tutaj, aby na nowo zjednoczyć się z wami i waszą ojczyzną.

Ludzie wiwatowali przez długie minuty. Makala stała u boku Johna, tuliła się do niego, wiele osób płakało. Nagle jakaś dziewczyna, jedna z członkiń milicji Black Mountain,

należąca do chóru szkolnego, spontanicznie zaczęła śpiewać hymn Stanów Zjednoczonych.

W mgnieniu oka wszyscy zebrani zaczęli śpiewać, jednocześnie płacząc.

Generał stał ze spuszczoną głową, nie było krzty fałszu w tym, jak otarł twarz moką od łez.

- Zostałem mianowany gubernatorem wojskowym zachodniego regionu Karoliny Północnej. Naszą kwaterą główną będzie Asheville.

- Zostawia nas pan? - zawołał ktoś z tłumu.

- Nie. Oczywiście, że nie. Proszę was o to, abyście teraz ustawili się w kolejce na tyłach naszej kolumny wojskowej i cierpliwie czekali. Każda osoba otrzyma trzy racje żywnościowe, posiłki gotowe do spożycia.

Tłum znowu wiwatował.

- Mamy ze sobą ekipę lekarską, która postara się pomóc wam w poważnych przypadkach. Wszystkie dzieci, wszystkie kobiety przy nadziei oraz matki małych dzieci otrzymają również trzymiesięczny zapas witamin.

Witaminy... Boże, to takie amerykańskie, pomyślał John. Mała buteleczka pełna dobra. Ta informacja podniosła go na duchu nawet bardziej niż ta o jedzeniu. Elizabeth dzielnie znosiła ciężę, ale ledwie utrzymywała się przy zdrowiu. Witaminy dla niej i dla dziecka mogą się okazać wybawieniem.

- Ta kolumna wojskowa musi najpóźniej za godzinę udać się do Asheville, lecz obiecuję wam, jako żołnierz Stanów Zjednoczonych Ameryki, że nie opuścimy was, zostaniemy tu na stałe. Do końca przyszłego tygodnia pojawi się u was kolejna dostawa jedzenia oraz leków.

Generał oddał mikrofon sierżantowi, po czym zeskoczył i wrócił do Johna. Sierżant zaczął dyrygować tłumem, pomagali mu w tym żołnierze. John zobaczył, że do Elizabeth podszedł sanitariusz, spojrzął uważnie na nią i na jej dziecko. Sam ten widok sprawił, że w jego oczach znowu pojawiły się łzy. Żołnierze rozdawali dzieciom pojedyncze listki gum do żucia.

Generał poprosił, żeby John się z nim przeszedł.

- Jaką mieliście tu sytuację? Ciężką?

- Bardzo ciężką - odparł John.

- Tak, widziałem waszą wizytówkę przy przełęczy.

John nagle poczuł się zażenowany. Całą zimę wisiał tam trup przywódcy Dzikiej Bandy; w ciągu kilku dni kruki i wrony obgryzły kości do czysta. Część szkieletu nadal tam wisiała. Przez wiele tygodni do wąwozu zlatywały się sępy i inne zwierzęta padlinożerne -

można było znaleźć tam niemal tysiąc zwłok...

- Szliśmy po ich śladach aż od Statesville. Gratulacje za zmiecenie ich z powierzchni ziemi. Widziałem po obu stronach autostrady pogorzelnisko. Pożar doszedł aż do Old Fort, a raczej do tego, co kiedyś było Old Fort. W ten sposób zastawiliście na nich pułapkę?

John przytaknął.

- Dobry plan, pułkowniku.

- Czasem człowiek może się czegoś nauczyć z historii.

- Ile osób u was ocalało? Jedną z pierwszych rzeczy, którą będziemy musieli zrobić, jest dokładny spis ludności. A potem wydamy karty żywnościowe.

- Już to zrobiłem.

Scales się uśmiechnął.

- Miałem na myśli państwowe racje żywnościowe.

- Ach, tak... - John kiwnął głową. Nagle zastanowił się, czy przypadkiem nie czuje niechęci do tego wszystkiego, czy nie obawia się utracić władzy, po tym, jak przez wiele bolesnych miesięcy walczył o życie tego miasta.

- Jaki procent ludności przetrwał?

- Około dwudziestu procent, może trochę mniej, jeśliby liczyć osoby z zewnątrz, które w dniu wypadku akurat były w okolicach Black Mountain.

Scales pokręcił głową z niedowierzaniem.

- To kiepski wynik? - zapytał nerwowo John, bojąc się, że źle się spisał jako przywódca.

- Kiepski? Chryste, raczej niesamowity! W okolicach takich jak Midwest, gdzie roi się od pól uprawnych i jest niska populacja, przeżyła ponad połowa. Ale tu, na wschodzie...

Westchnął.

- Na Wschodnim Wybrzeżu jest teraz pustynia. Szacuje się, że przeżyło niespełna dziesięć procent mieszkańców. Uderzyli w was w najgorszym momencie, wczesną wiosną. Żywność się skończyła, zanim zaczęły się żniwa...

Generał spojrzał gdzieś w dal.

- Podobno w całym Nowym Jorku zostało teraz nie więcej niż pięć tysięcy osób, i to albo kryminaliści i barbarzyńcy, albo ludzie żyjący w ukryciu, żywiący się odpadami. Już bardziej humanitarna byłaby bomba nuklearna, spuszczonej prosto na głowę... Ubiegłej jesieni wybuchła epidemia, rząd postanowił porzucić Nowy Jork, odgrodzić od reszty świata, nikogo nie wpuszczać i nikogo nie wypuszczać. Mój znajomy, który tam stacjonował, mówił, że to było jak żywcem wyjęte ze średniowiecza.

Westchnął i spróbował się uśmiechnąć, jakby spostrzegł się, że zбочzył z tematu i mówi o czymś, na co lepiej spuścić zaslonę milczenia.

- Świetnie się pan spisał, pułkowniku Matherson. Naprawdę rewelacyjnie. Wpadliśmy na paru uchodźców na autostradzie, byli rozgoryczeni, że ich pan nie wpuścił do miasta. Ale jeden starszy facet, jakiś weterynarz, powiedział, że was podziwia. Podobno wam udało się zachować porządek i jedność, podczas gdy resztę kraju pochłonęło piekło.

John przytaknął, nie był w stanie mówić.

Scales stał w milczeniu, po czym spuścił głowę i rzekł szeptem:

- Podobno nikt nie przeżył na Florydzie. Mieli za dużo ludzi, a za mało ziemi, która mogłaby ich wyżywić.

- A co z pomarańczami, bydłem?

- Wszystko szlag trafił. Ludzie wybili bydło, żeby przygotować sobie pojedynczy posiłek, a za sprawą upału następnego ranka większość pozostałego mięsa już gniła, obsiadała muchami. Ale oni i tak to zjedli. Wiadomo, jak to się skończyło...

- Przecież mieszkali tuż przy morzu, to kopalnia jedzenia...

- To zabrzmiało niewiarygodnie, ale piraci uniemożliwili jakiegokolwiek połowy. Zupełnie jak historia z XVI wieku. Całe wybrzeże jest teraz naszpikowane piratami, marynarka wojenna USA poluje na nich. Kilka małych miasteczek dobrze się obroniło, musieli zabarykadować tylko jedną drogę, mieli własnych żołnierzy marynarki do strzeżenia łodzi rybackich, więc udało im się przetrwać. Do momentu, kiedy uderzył huragan.

- Huragan?

John kompletnie zapomniał, że istnieją jeszcze naturalne kataklizmy, które kiedyś nawiedzały Stany, były przyczyną klęsk żywiołowych. Dziwił się, że takie rzeczy jeszcze się zdarzają. Wiedział, że nie było możliwości, by takie informacje do nich dotarły, nie wiedzieliby, nawet gdyby coś takiego uderzyło niedaleko stąd, sto mil dalej.

- Ten huragan to była siostra Katriny, oko cyklonu było w Miami, kilka miesięcy później oberwała czymś trochę mniejszym Tampa-St. Pete.

Generał przerwał na chwilę i dopiero po paru minutach kontynuował relację:

- Tym razem jednak nie było tak jak wtedy w Nowym Orleanie. Nie przybyła żadna akcja ratunkowa. Ci, którym udało się przeżyć, i tak umarli. Dodajmy do tego brak klimatyzacji w takim upale. Żaden ze współcześnie wybudowanych tam domów nie nadaje się do życia bez klimatyzacji. Do tego jedna piąta ich populacji to starsi ludzie, wielu z nich zmarło już w ciągu kilku pierwszych dni. Podobno w niektórych miastach ulice były dosłownie zasłane trupami, tak jak w czasach dawnych plag. W takim klimacie wybuchła

epidemia, która wybiła większość ludzi, zanim nawet zaczęli umierać z głodu. Zatrucia pokarmowe, przegrzanie organizmów, odwodnienie lub zatrucie wodą, potem malaria, wirus gorączka Zachodniego Nilu. Podobno w Miami szalały tyfus i czerwonka, a nawet dżuma...

Znowu urwał na chwilę.

- No i zrodziło się zjawisko kanibalizmu, tak jak u tej waszej Dzikiej Bandy, ale też ludzie robili to powodowani rozpaczliwym głodem. Jak grzyby po deszczu zaczęły się pojawiać przeróżne sekty. Jedna z nich wzorowała się na cholernych Aztekach, składali ofiary z ludzi, aby zmitygować duchy ziemi, które wpadły w furję. Jakaś inna sekta bredziła coś o Ostatniej Wieczerzy i Komunii Świętej, wierzyli, że wołają Boga jest teraz to, aby ludzie jedli zmarłych. No a cała reszta to po prostu świry i czubki.

John westchnął głośno. Kraina prozaca cierpiąca na zespół odstawienia narkotyku, pomyślał, mając w pamięci dawne ponure prognozy Kellora.

- Na tamtych terenach przy życiu utrzymały się już tylko hordy barbarzyńców oraz małe społeczności ulokowane w dobrych pod względem taktycznym miejscach, na czele których stał dobry przywódca, taki jak wy, pułkowniku.

John zwrócił uwagę na to, że generał ciągle mówi o tej samej części USA. Dlaczego skupiał się na Florydzie?

Spojrzał na niego. Poczł, że nie powinien pytać, lecz musiał.

- Sir, pana rodzina... czy jest bezpieczna?

Generał popatrzył na niego rozpalonym wzrokiem.

- Byłem w dowództwie odpowiedzialnym za Azję Środkową. Wiecie, że nasza baza w Stanach jest w Tampa, Saint Petersburg. Przeniesiono mnie do Kuwejtu miesiąc przed tym, jak oberwaliśmy.

Westchnął.

- Moja rodzina: żona, troje dzieci, żona syna oraz dwoje wnuków, mieszkała w Saint Pete. Nie miałem od nich żadnych wieści.

- Przykro mi, sir.

- Wszystkim nam jest przykro...

John milczał, nie wiedział, co powiedzieć.

- Głos Ameryki nic o tym nie mówił - odezwał się w końcu.

Generał pokręcił głową.

- A co, myśleliście, że będziemy wam walić prawdę między oczy? - westchnął.

John się zjeżył.

- To jak, do ciężkiej cholery, wygląda prawda?

- Dostaliśmy po dupie. Taka jest prawda. Jedna bomba, wystarczyła tylko jedna bomba, żeby urwało nam dupę. Będziemy mieć szczęście, jeśli w kraju, który kiedyś był Stanami Zjednoczonymi, przy życiu pozostało trzydzieści milionów ludzi.

- Jak to „w kraju, który kiedyś był...”?

Generał pokręcił głową.

- Nie macie o tym pojęcia, bo nie mówimy o tym w radiu. Można zapomnieć o południowym zachodzie, łącznie z Teksasem, chyba że ktoś wytrzyma kolejnego Sama Houstona albo Davy Crocketta. W czasie zimy na te tereny wtargnął Meksyk, twierdząc, że zajmują je, aby stawić czoła Chińczykom.

- Że co?

- Chińczycy przybyli z akcją ratunkową, całkiem sporą, aby pomóc nielicznym ocalałym po dwóch miesiącach anarchii i zarazy. A teraz mają pół miliona swoich ludzi na zachodnim wybrzeżu, od Kalifornii po stan Waszyngton, aż do pasma Gór Skalistych.

- Nie rozumiem.

- Chińskie wojska. Przyjechali nam pomóc, rzecz jasna - powiedział Scales z goryczą w głosie. - Pewnie, rozdają jedzenie i leki, nawet pomagają odbudowywać tamto i owamto, ale nic nie wskazuje na to, że planują się stąd wynieść.

- A więc agresorem były Chiny?

Generał wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy.

- Jak to?

- John, to były trzy bomby. Jeden pocisk został wystrzelony z kontenerowca w Zatoce Meksykańskiej, zdetonowali go nad Kansas. Statek pływał pod banderą liberyjską, a wcześniej dokował w kilku miejscach, między innymi w Omanie. Podejrzewamy, że właśnie tam załadowano broń na pokład, pocisk średniego zasięgu z ładunkiem nuklearnym. Nawiasem mówiąc, ten statek wybuchł tuż po wystrzeleniu pocisku, nikt nie przeżył, co pasuje do modelu standardowej akcji terrorystycznej. Druga bomba wybuchła nad Europą Środkową, wystrzelono ją z kontenerowca w pobliżu Islandii. Identyczny scenariusz, statek wysadzony w powietrze tuż po odpaleniu pocisku. Nie wiemy, dlaczego zdetonowano go nad Rosją, a nie bardziej na zachód. Być może mechanizm namierzający się im schrzanił. Nie ucierpiała Anglia oraz część Hiszpanii. Trzecia bomba znokautowała Japonię oraz Koreę Południową... Niektórzy mówią, że zaatakowały nas Chiny, inni, że Korea Północna, która teraz, notabene, jest już niczym więcej jak napromieniowaną pustynią. Inni mówią, że terroryści, jeszcze inni, że Iran, który też został w dużej części zrównany z ziemią. Może oni

wszyscy razem, a może żaden z nich. Może to już nie ma znaczenia. Stało się. Wygrali.

- Jak to wygrali? Cholera, Głos Ameryki non stop trąbił o tym, że to my wygramy...

- Jasne, na świecie przybyło miejsc, gdzie kiedyś były miasta, a teraz są sterty gruzu. Zemściliśmy się, może słusznie, może trochę na oślep. Ale czy to zmieniło sytuację u nas w kraju? U was w mieście? Przysłano mnie tutaj prosto z Kuwejtu. Cała marynarka wojenna USA również tu jest, przynajmniej na wschodnim wybrzeżu. Niemal wszystkie nasze siły zbrojne, które stacjonowały za granicą, wróciły do kraju, by próbować to wszystko naprawić i odbudować oraz bronić tego, co zostało... John, widziałem, jak w nocy płonęły Baltimore oraz Waszyngton. Wstęgi dymu widoczne były z odległości niemal stu mil. - Generał mówił teraz monotonnym głosem. - Mój Boże... to było jak żywcem wyjęte z Biblii. Jak ponowne średniowiecze.

Waszyngton... John po raz pierwszy od wielu miesięcy pomyślał o Bobie z Pentagonu.

- Pamiętasz generała Boba Wrighta? Dyrektora szkoły wojskowej, kiedy na niej studiowałeś?

Scales skinął głową.

- Niektóre skurczybyki miały szczęście, bo rząd wysłał ich w porę w bezpieczne miejsca, do schronów awaryjnych. Niektórym więc się udało, upiekło. A innym... tak jak mówiłem, w Waszyngtonie zapanowało średniowiecze. Nie mam pojęcia, co stało się z twoim przyjacielem. Przykro mi, ale prawdopodobnie nie żyje, chyba że wysłali go do bunkrów w Maryland i zachodniej Wirginii.

Mężczyzna znowu spojrzął w dal.

- Jest sekta, która zajęła już tereny trzech stanów w Górach Skalistych. Ich przywódca twierdzi, że jest Mesjaszem, a kiedy świat zostanie zbawiony, wszystkie światła znowu się zapalą. Ma teraz dziesiątki tysięcy wyznawców. Mielicie konfrontację z Dziką Bandą? W Pittsburghu działa podobny gang, tylko że oni mają dziesięć tysięcy ludzi, najeżdżają wszystkie miasta w promieniu stu mil. Przygotowujemy się do tego, żeby ich rozwalić, ale to będzie piekło, takie samo jak to, które kilka lat temu przeżyliśmy w Iraku. Poza tym, przecież to kiedyś byli nasi ludzie, krajanie. Straciłem ośmiu żołnierzy trzy dni temu, kiedy próbowaliśmy wybić członków tego gangu w ruinach High Point. Może i się zemściliśmy, John, ale Ameryka nie jest już światową potęgą. Oni wygrali, my jesteśmy skończeni. Uciekliśmy ze wszystkich zakątków globu, aby próbować uratować to, co tu zostało. A dla tych, którzy nas nienawidzili, to oznacza zwycięstwo. Nie obchodzi ich to, że w ramach odwetu zmiotliśmy ich kraje z powierzchni ziemi. Poza tym, szczerze mówiąc, może nigdy się nawet nie dowiemy, kto nas tak urządził. Tym razem nie było czerwonych krop, swastyk

ani czerwonych gwiazd na samolotach, które zrzuciły bomby, bo zresztą nie tak to się odbyło. Po prostu z frachtowców wystrzelono trzy pociski, które następnie zostały zdetonowane. Boże, w samej Ameryce jest pewnie dwieście pięćdziesiąt milionów martwych. To jeszcze większy koszmar niż to, czym straszono nas w czasach zimnej wojny. Byliśmy tak nieprzygotowani, tak nieodporni, a nikt nie zrobił nic, żeby nas do tego przygotować albo nas od tego uchronić. Cofnęliśmy się o sto pięćdziesiąt lat.

- Nie, więcej - westchnął John. - Raczej pięćset lat. Ludzie z 1860 roku wiedzieli, jak ówczasie żyć, mieli infrastrukturę. My nie mamy. Wystarczy wyłączyć światło i telewizję, opróżnić apteki, odciąć wodę w rurach, żeby nie dało się splukiwać wody w toalecie.

John pokręcił głową.

- Byliśmy jak owce proszące się o rzeź.

Generał sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął paczkę papierosów i wyciągnął ją w stronę swojego rozmówcy. Były to angielskie dunhille. John toczył wewnętrzną walkę, po chwili jednak przypomniał sobie, w jakich okolicznościach wypalił ostatniego papierosa.

- Rzuciłem.

- Ja nie - odparł mężczyzna, zapalając dunhilla.

Generał wydmuchnął dym. Pachnie tak dobrze, westchnął w duchu John, lecz nie poprosił o papierosa. Pomyślał o Jennifer, która zawsze suszyła mu głowę z tego powodu. Nie, nie myśl o tym, nakazał sobie w myślach.

- John, muszę ruszać w drogę z tą kolumną. Przyjedziesz za parę dni do Asheville, żebyśmy mogli dłużej pogadać?

- Jasne. Czy macie zamiar konfiskować samochody?

Scales spojrział na niego zdezorientowany.

- Nieważne, miałem tu dawno temu taki problem... Przy okazji, jak już tam dojedziecie, proponuję wykopać dupka, który rządzi hrabstwem. Założę się, że ani on, ani jego kumple, przez cały ten czas nie głodowali.

Scales kiwnął głową.

- Oraz, na miłość boską, niech szpital znowu będzie otwarty dla ludzi... Żałuję, że nie dotarliście tutaj siedem miesięcy temu...

Urwał, nie mógł mówić.

- Kogo straciłeś?

- Córeczkę.

- Rozumiem.

Spojrzał generałowi prosto w oczy i zauważył, że rzeczywiście rozumie ten ból, sam

przeżył nawet większą tragedię. Jennifer spała w ogrodzie Johna, Scales prawdopodobnie nigdy nie dowie się, jaki los spotkał jego rodzinę, mógł jedynie odtwarzać w myślach rozmaite scenariusze. John uświadomił sobie, że zagubieni krewni to teraz chleb powszedni Amerykanów. Do tej pory zawsze wiedzieliśmy, gdzie znajdują się osoby bliskie naszemu sercu. Kiedy ktoś z członków rodziny ginął gdzieś na wojnie, kraj wydawał miliony dolarów tylko po to, by przywieźć rodzinie choćby fragment ciała. Teraz w Stanach Zjednoczonych było ponad dwieście milionów ciał... nikt nie byłby w stanie nawet ich zidentyfikować.

Scales na chwilę się odwrócił.

- W waszym ratuszu zostawię zapas wojskowych racji żywnościowych, żebyście mogli je rozdać ludziom, którzy dziś się tu nie stawili - powiedział.

- Dziękuję.

- Zostawię też jednego zaopatrzonego w leki członka ekipy medycznej. Mamy trochę antybiotyków, witamin, środków uśmierzających ból. Sporządzi listę chorych, kiedy kolumna wojskowa opuści miasto.

- A macie insulinę? - zapytał John chłodnym głosem.

- Nie, a czemu pytasz? Macie cukrzyków? Wszyscy już chyba umarli - odrzekł Scales, lecz po chwili zorientował się i zamarł. - Przepraszam, John.

John był w stanie jedynie kiwnąć głową.

Ścisnęli sobie dłonie, Scales zaczął się odwracać.

- Generale?

Mężczyzna spojrzał na Johna.

- Czy to jest... naprawdę?

- Co?

- To. Ten dzień. A może to tylko pic na wodę? Pokręcicie się tu chwilę, ale sytuacja i tak będzie się pogarszać, a potem czeka nas już tylko koniec. Jak w tym słynnym cytacie: „Świat kończy się nie hukami, a skomleniem...”.

Scales się zawahał.

- Przyjacielu, nie wiem. Wszystkie nasze piękne plany, nasze marzenia... Nie wiem. Teraz już naprawdę nie wiem.

Generał odwrócił się i ruszył do swojego bradleya. Zapalił silnik, żołnierze wskoczyli do swoich pojazdów, które ruszyły z miejsca, z wyjątkiem ciężarówek, z których nadal wydawano racje żywnościowe.

Kolumna wojskowa ruszyła do przodu, John patrzył, jak mija go amerykańska flaga powiewająca na wietrze.

Odruchowo stanął na baczność i zsalutował. Cywile położyli dłonie na sercu, milicja prezentowała broń, wiele osób znowu zaczęło płakać, widząc to wszystko.

Pięćdziesiąt gwiazdek, pomyślał John. Czy pewnego dnia będziemy znowu tym, czym kiedyś byliśmy? Usłyszał wewnętrzny głos, który mówił potworną prawdę...

Ujął dłoń Makali, spojrzał na nią i posłał jej uśmiech, jakby chciał ją pocieszyć, ona również się uśmiechnęła, chcąc go pocieszyć. Oboje wyczuli, że te uśmiechy, to pocieszanie, to kłamstwo...

- Spójrz na to, tato!

Elizabeth trzymała w rękach dwa słoiki witamin, przez ramię przewieszoną miała płócienną wojskową torbę.

- Jeden z tych żołnierzy pocałował Bena, mówił, że przypomina mu jego synka. Ten biedny facet płakał i ciągle przytulał Bena, a potem dał mi dwanaście racji żywnościowych! Są w tej torbie. Dali mi nawet wielką puszkę odżywki dla mojego maluszka! To koniec, tato, naprawdę koniec!

- Oczywiście, że koniec - powiedział z uśmiechem. Kiedy tak się cieszyła, znowu wyglądała jak dziecko.

- Chodźmy do domu.

Przemaszerowali do samochodu i pojechali do domu. Jen i Makala weszły do środka, Elizabeth za nimi, śmiejąc się radośnie.

John wszedł do domu, wziął Pana Zająca, a potem wyszedł na zewnątrz, by posiedzieć przy grobie Jennifer.

Świat zmienił się raz na zawsze. Ameryka, którą znali... nigdy już nie wróci.

POSŁOWIE

IMPULS ELEKTROMAGNETYCZNY: GROM Z POCHMURNEGO NIEBA.

Upadek muru berlińskiego oraz rozpad Związku Radzieckiego stanowiły punkt zwrotny mojej kariery w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych. Samolot, którym latałem - Boeing E-6, element strategicznego systemu dowodzenia i kontroli w przypadku wojny nuklearnej - przestał wzbijać się w powietrze w ramach bezustannego alarmu powietrznego wywołanego widmem bomby atomowej, która mogła uderzyć w nas jak „grom z jasnego nieba”. Wciąż mam nadzieję, że jeśli antropolodzy wojskowi postanowią kiedyś badać ludy zbieracko-łowieckie z okresu zimnej wojny, to moja raczej mało spektakularna kariera zostanie wzięta pod uwagę jedynie z powodu dwóch ważnych danych statystycznych: w czasie mojej służby nie straciliśmy ani jednego samolotu oraz nie miał miejsce żaden atomowy holocaust.

Dorastałem w Los Alamos w stanie Nowy Meksyk. Tematyka wojny atomowej najpierw stała się moją pasją, a następnie - tak się jakoś złożyło - ścieżką kariery zawodowej. Skakałem z radości, mogąc zwiedzić poligon Nevada jako młodszy oficer marynarki. Chłonałem obrazy widmowego miasta nuklearnego oraz będącego pozostałością po teście jądrowym SEDAN gigantycznego krateru o średnicy niemal pięciuset metrów i pojemności większej niż stadion futbolowy - wtedy właśnie porażająca, niszczycielska moc broni atomowej przybrała dla mnie realne kształty. Poświęciłem większość życia na wypełnianie swoich codziennych obowiązków, czyli bycie w pełnej gotowości do walki w strategicznej wojnie nuklearnej. Lękałem się jej następstw i pochłaniałem wszystko, co mogłem znaleźć na ten temat.

Przeczytałem klasyczną powieść apokaliptyczną Pata Franka *Alas, Babylon* z 1959 roku. Otuchy dodała mi jego postawa stawiania oporu unicestwieniu ludzkości oraz pokazanie umiejętności przeżycia w świecie po ataku nuklearnym. Major T.J. „King” Kong, humorystyczna postać grana przez Slima Pickensa w filmie *Dr Strangelove*, przypominał mi się za każdym razem, gdy robiłem spis kodów nuklearnych przechowywanych w sejfie z podwójnym zamkiem. Kiedy zostałem awansowany do rangi kapitana, ponownie

przeczytałem klasyczną powieść Nevila Shute'a, *Ostatni brzeg*, i zastanawiałem się, czy ja również miałbym odwagę taką jak Dwight Towers, kapitan łodzi podwodnej, który z klasą i godnością stanął twarzą w twarz ze śmiercią naszej cywilizacji.

Chciałbym, aby moja wyobraźnia pozwoliła mi się odprężyć i cieszyć powieścią mojego przyjaciela Billa Forstchena *Sekundę za późno* jako kolejną historią z gatunku science fiction. Niestety nie byłem w stanie tak jej czytać. To była lektura emocjonalna, czułem ją aż w swoich trzewiach - dlatego, że to wszystko może się *naprawdę* zdarzyć.

Konsekwencje ataku na Stany Zjednoczone z użyciem broni wywołującej impuls elektromagnetyczny (EMP) byłyby katastrofalne. Zdetonowanie broni nuklearnej generuje silne promieniowanie gamma, które rozprzestrzenia się radialnie od jądra wybuchu. Kiedy wybuch ma miejsce wysoko w powietrzu - powyżej czterdziestu kilometrów ponad ziemią - promienie gamma skierowane ku ziemi napotykają na swej drodze atmosferę, gdzie wchodzi w interakcję z molekułami i tworzą jony dodatnie oraz komptonowskie elektrony odrzutu, nazwane tak na cześć fizyka, który dostał w 1927 roku nagrodę Nobla za odkrycie „efektu Comptona”. Promieniowanie gamma, wchodzące w związki z molekułami powietrza, wywołuje separację ładunkową, podczas gdy komptonowskie elektrony odrzutu oddzielają się i zostawiają w tyle większe pod względem rozmiaru jony dodatnie. Pole magnetyczne ziemi, w kontakcie z elektronami komptonowskimi, wywołuje przyspieszenie ładunku, który następnie promieniuje polem elektromagnetycznym w postaci natychmiastowego impulsu elektromagnetycznego.²

Co więcej, wybuch atomowy wysoko ponad ziemią wywołuje stosunkowo wolny magnetohydrodynamiczny impuls elektromagnetyczny (MHD-EMP), którego działanie przypomina zakłócenia wywołane przez geomagnetyczną burzę słoneczną, powodujące przepływ prądu o bardzo niskiej częstotliwości wnikającego do ziemi i długich linii transmisyjnych. Rzeczywiste szkody dla sprzętu elektrycznego i elektronicznego, spowodowane przez impuls elektromagnetyczny, zostały oszacowane w wyniku rozmaitych testów broni jądrowych oraz dzięki wykorzystaniu symulatorów EMP³. Intensywny i niewidoczny impuls nie jest odczuwany przez ludzi i nie wyrządza szkody ludzkiemu ciału. W przeciwieństwie do uderzenia pioruna, wybuch EMP zarówno szybciej wywołuje przepięcia elektryczne, jak też ma o wiele większy zasięg jeśli chodzi o momentalne wywołanie awarii systemów elektrycznych oraz elektronicznych. Dobrze skonstruowany

² Gary L. Smith, treść zeznania, amerykańska Izba Reprezentantów, podkomisja do spraw badań wojskowych oraz rozwoju, 16 lipca 1997.

³ Samuel Glasstone i Philip J. Dolan (red.), *The Effects of Nuclear Weapons*, Departament Obrony USA oraz Energy Research and Development Administration, 1997, s. 522.

ładunek nuklearny zdetonowany wysoko ponad Kansas mógłby sparaliżować niemalże całe kontynentalne Stany Zjednoczone. Nasze społeczeństwo, przesiąknięte technologią i zależne od zaawansowanych systemów elektronicznych, mogłoby zostać kompletnie pogrążone poprzez awarię naszej jakże istotnej infrastruktury. Z dnia na dzień stajemy się coraz mniej odporni na taki atak. Jest to wynik naszego nasilającego się uzależnienia od elektroniki.

Były przewodniczący Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych, Newt Gingrich, opisując potencjalnie katastrofalne konsekwencje ataku EMP na USA odnotowuje, że „to nie są czcze spekulacje, lecz zgodny wynik badań dziewięciu wybitnych amerykańskich naukowców, którzy swym nazwiskiem firmują *Raport komisji oceniającej groźbę ataku z wykorzystaniem impulsu elektromagnetycznego (EMP) na Stany Zjednoczone*.⁴

Niestety ów raport⁵ został opublikowany tego samego dnia, w którym uwagę większości Amerykanów przyciągnął raport komisji badającej zamachy z jedenastego września, który zmuszał do poszukiwania odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie zapobiegliśmy straszliwym atakom terrorystycznym z 2001 roku. Telewizyjni komentatorzy rozwodzili się nad raportem na temat jedenastego września i zarzucali nas dogłębnymi analizami katastrofalnego w skutkach „braku wyobraźni”, podczas gdy rzeczowe ostrzeżenia i zalecenia komisji zajmującej się potencjalnymi atakami EMP przeszły w większości niezauważone i wylądowały na stercie projektów Kongresu, których nie udało się wdrożyć w życie.

Dlaczego zatem nie chcemy realistycznie zająć się groźbą ataku z użyciem impulsu elektromagnetycznego? Z ust sceptyków nie przestanie płynąć biurokratyczny bełkot w stylu: „technicznie to możliwe, lecz wysoce nieprawdopodobne”, lub „nie posiadamy żadnych wiarygodnych informacji zdobytych przez nasz wywiad i musimy koncentrować się na bieżących zmartwieniach”. Usłyszymy też inne tego typu oklepane, lekceważące zagrożenie wypowiedzi charakterystyczne dla światopoglądów sprzed jedenastego września.

Mimo że nie istnieje żadna prosta, obiektywna metoda analizowania możliwych niebezpieczeństw oraz ich kosztów, na szczęście rzeczą wartościową i cenioną jest reagowanie na wielkie kataklizmy takie jak huragany, powodzie, miejscowe awarie prądu - chodzi o zapobieganie im, przygotowywanie się do nich oraz przywracanie sytuacji do normy. Szczegółowy raport komisji do spraw ataków EMP umożliwia nam przyjrzenie się naturze problemu, taktykom łagodzenia skutków ewentualnego kataklizmu oraz różnym zaleceniom. Rozwiązanie problemu „jest wykonalne; dysponując odpowiednimi środkami i

⁴ Newt Grint, treść zeznania, senat USA, komisja do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego oraz spraw rządowych, 12 listopada 2005.

⁵ *Report of the Commission to Assess the Threat to the United States from Electromagnetic Pulse (EMP) Attack*, tom 1, 2004, dostępny pod adresem: <http://empcommission.org>.

zasobami jesteśmy jak najbardziej zdolni wykonać to zadanie”⁶.

Jeden z członków owej komisji, dr Lowell Wood, uznany fizyk, od trzech dekad zajmujący się bronią elektromagnetyczną, charakteryzuje tego typu atak jako „podróż wehikułem czasu, który przeniósłby nas do XIX wieku”. W odpowiedzi na twierdzenie, że technologia sprzed wieku nie byłaby w stanie utrzymać przy życiu naszej współczesnej populacji, Wood odrzekł bez emocji: „Tak, wiem. Populacja skurczy się, aż będzie mogła się utrzymywać przy życiu dzięki ówczesnej technologii”⁷. Nagle w cenie byłyby umiejętności rolnicze, a konie oraz muły byłyby na wagę złota. Broń EMP uderza w cele zarówno wojskowe, jak i cywilne, dlatego szczególnie istotną sprawą jest to, aby nasza infrastruktura elektryczna została uodporniona na impuls elektromagnetyczny.

Na atak EMP nie powinniśmy patrzeć jak na zimnowojenny „grom z jasnego nieba”, tylko przygotować się na niego jak na spodziewany „grom z pochmurnego nieba”, będący częścią wojny asymetrycznej. Zostaliśmy ostrzeżeni, że nasz kraj jest „niezwykle podatny na zranienie i niemalże nieuodporniony na atak z użyciem impulsu elektromagnetycznego, który mógłby uszkodzić i zniszczyć najważniejsze cywilne oraz wojskowe infrastruktury elektroniczne. Konsekwencje byłyby katastrofalne i mogłyby doprowadzić do trwałego upadku naszego społeczeństwa”⁸. Sekundę po ataku EMP będzie już za późno, by zadać dwa proste pytania: co powinniśmy byli zrobić, żeby zapobiec atakowi, oraz - dlaczego tego nie zrobiliśmy.

Kapitan Bill Sanders, U. S. Navy

Poglądy wyrażone w posłowniu są tylko i wyłącznie poglądami autora tekstu, a nie odzwierciedleniem oficjalnej polityki Departamentu Obrony lub rządu Stanów Zjednoczonych.

⁶ Tamże s. 3.

⁷ Lowell Wood, treść zeznania, amerykańska Izba Reprezentantów, komisja do spraw sił zbrojnych, 22 lipca 2004.

⁸ Roscoe G. Bartlett, list z 19 października 2004.

PODZIĘKOWANIA

W pewnym sensie wszystkie moje książki są dziełem innych ludzi... tych, którzy byli dla mnie inspiracją, kiedy byłem małym chłopcem, i nauczyli mnie, jak być nauczycielem, pisarzem i ojcem. Ci z Was, którzy w okresie zimnej wojny interesowali się science fiction, na pewno pamiętają książkę *Alas, Babylon* oraz mrożące krew w żyłach filmy *Testament* i *Ostatni brzeg*. Tego typu koszmarnie wizje, które dręczyły ludzkość w okresie mojego dzieciństwa, na szczęście nigdy się nie ziściły... może właśnie dzięki wspomnianym dziełom i zawartym w nich przestrogom? Wpływ, jaki te tytuły na mnie wywarły, jest doskonale widoczny w *Sekundzie za późno*, a zagrożenia, które opisywały, były wówczas tak samo prawdopodobne jak zagrożenie, które ja opisuję na kartach własnej powieści.

Szczególne podziękowania należą się mojemu przyjacielowi, Newtowi Gingrichowi, za uprzejme napisanie przedmowy do mojej książki oraz za dodawanie mi otuchy i udzielanie rad, jak również za pomoc w nawiązywaniu ważnych kontaktów. Kapitan Bill Sanders, który służy w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych, jest jednym z czołowych ekspertów w dziedzinie ataków z użyciem impulsu elektromagnetycznego EMP; poznałem go właśnie dzięki Newtowi. W pracy nad moim projektem jego porady okazały się bezcenne, tak samo jak łącząca nas przyjaźń. Muszę podkreślić, że kapitan Sanders jest prawdziwym profesjonalistą; zdarzało się, że zadawałem mu pytania, po których stwierdzał: „nie mogę na to odpowiedzieć”, i tym samym kończył wszelką dyskusję. Tak więc informacje, których mi udzielił, są informacjami jawnymi, a nie ściśle tajnymi. Kongresmen i człowiek w pełni oddany służbie narodowi, Roscoe Bartlett, który stanął na czele komitetu badającego groźbę ataku z użyciem impulsu elektromagnetycznego, również był dla mnie wspaniałym źródłem inspiracji.

Choć jego nazwisko może się wydawać nie na miejscu w tym zestawieniu, pragnę podziękować swojemu staremu przyjacielowi, Jeanowi Shepherdowi. Dziś już tylko nieliczni pamiętają jego nazwisko, mimo że prawie wszyscy znają jego słynny film o rodzinnych świętach Bożego Narodzenia w czasach Wielkiego Kryzysu. Jego twórczość literacka oraz audycje radiowe stanowiły dla mnie inspirację, gdy byłem dzieckiem dorastającym nieopodal Nowego Jorku; miałem też niewiarygodne szczęście być jego sąsiadem, gdy mieszkałem w Maine. Jako początkujący pisarz spędziłem w towarzystwie Jeana wiele niesamowitych chwil

i zawsze pamiętałem o jego dobrej radzie: „Pisz o tym, co wiesz i co znasz, synu”. Napisawszy tyle książek traktujących o przeszłości lub przyszłości, nagle zapragnąłem napisać powieść, której akcja rozgrywałaby się w teraźniejszości. To właśnie rada Jeana natchnęła mnie do osadzenia akcji w moim rodzinnym mieście. Black Mountain, Asheville oraz Montreat College, w którym pracuję jako nauczyciel historii, to miejsca jak najbardziej realne. Rzecz jasna, z uwagi na to, że *Sekundę za późno* jest fikcją literacką, bohaterowie nie są postaciami autentycznymi, lecz moi przyjaciele i sąsiedzi być może odnajdą część siebie na kartach tej powieści. Jestem im wszystkim głęboko wdzięczny za przyjaźń, która łączy nas od wielu lat. Szczególnie dziękuję Jackowi Staggsowi, szefowi tutejszej policji, który dzielił się ze mną swoimi refleksjami, mojemu lekarzowi rodzinnemu i miejscowemu farmaceucie - rozmowy na temat tej historii przejmowały nas wszystkich grozą. Tradycyjnie też podziękowania składam pod adresem Billa Butterwortha (W.E.B. Griffin Jr.), najlepszego redaktora i przyjaciela, jakiego można sobie życzyć.

Dziękuję jak zwykle mojej uczelni, Montreat College, oraz tysiącom studentów, których uczyłem na przestrzeni wielu lat. Darzę ich głębokim uczuciem, byli dla mnie źródłem natchnienia, podobnie jak niektórzy z wykładowców, z którymi się przyjaźnię i pracuję. Dziękuję dyrektorowi naszej uczelni oraz członkom Rady Naukowej, zwłaszcza Andy'emu Andrewsowi, weteranowi, który uczestniczył w operacji desantowej Plaża „Omaha” i jest moim bliskim przyjacielem od wielu, wielu lat. Dziękuję również personelowi tutejszego domu opieki, który wspierał mnie i sprawował opiekę nad moim ojcem przez ostatni rok jego życia... doprawdy, każda osoba, która tam pracuje, jest istnym aniołem.

Żaden pisarz nie jest w stanie funkcjonować bez dobrych redaktorów, wydawców oraz agentów. Tom Doherty na zawsze pozostanie w mojej opinii jednym z najlepszych w swoim fachu. Z Bobem Gleasonem czasem zdarzało mi się spierać, lecz to właśnie on pchnął tę książkę do przodu, i jestem mu za to ogromnie wdzięczny. Dziękuję również agentom literackim, którzy okazali mi tyle zaufania. Mam na myśli Eleanor Wood, Josha Morrisa i Kevina Cleary'ego. Jest jeszcze jedna wyjątkowa osoba, Dianne St. Clair, która nigdy nie przestała we mnie wierzyć i zawsze w najbardziej odpowiednim momencie dodawała mi otuchy i zachęcała do dalszej pracy. Brianie Thomsen - dzięki ci za wszystko.

Mam nadzieję, że wydarzenia opisane w mojej książce nigdy nie będą miały miejsca w rzeczywistości. Zagrożenie jest realne, przerażająco realne - a im więcej czasu człowiek poświęci na przestudiowanie tego zagadnienia i przeprowadzenie wywiadów z ekspertami, tym większe przejmuje go uczucie grozy. Gdy się spojrzy na całą sprawę z perspektywy historycznej, łatwo zauważyć, że w przypadku mocarstw upadek często przychodzi akurat

wtedy, gdy ludzie i naród mają największe poczucie bezpieczeństwa. Okrzyk: „barbarzyńcy u bram!” zbyt często pojawia się niczym straszliwy grom z jasnego nieba - i często są to ostatnie słowa, które da się usłyszeć. Niestety, w dzisiejszym świecie nie brak ludzi, którzy życzą nam klęski i którzy będą dokładać wszelkich starań, by osiągnąć swój cel. Tak jak powiedział Thomas Jefferson: „Ceną za pokój jest wieczna czujność”.

Modłę się, aby po latach krytycy mówili, że moja książka była tylko i wyłącznie głupstwem i kaprysem... będę wtedy zadowolony! Będę miał bowiem świadomość, że zachowaliśmy czujność i dlatego moja córka oraz osoby, które kocham, nigdy nie poznają świata, o którym piszę.

William R. Forstchen

Black Mountain, Karolina Północna

Lipiec 2008